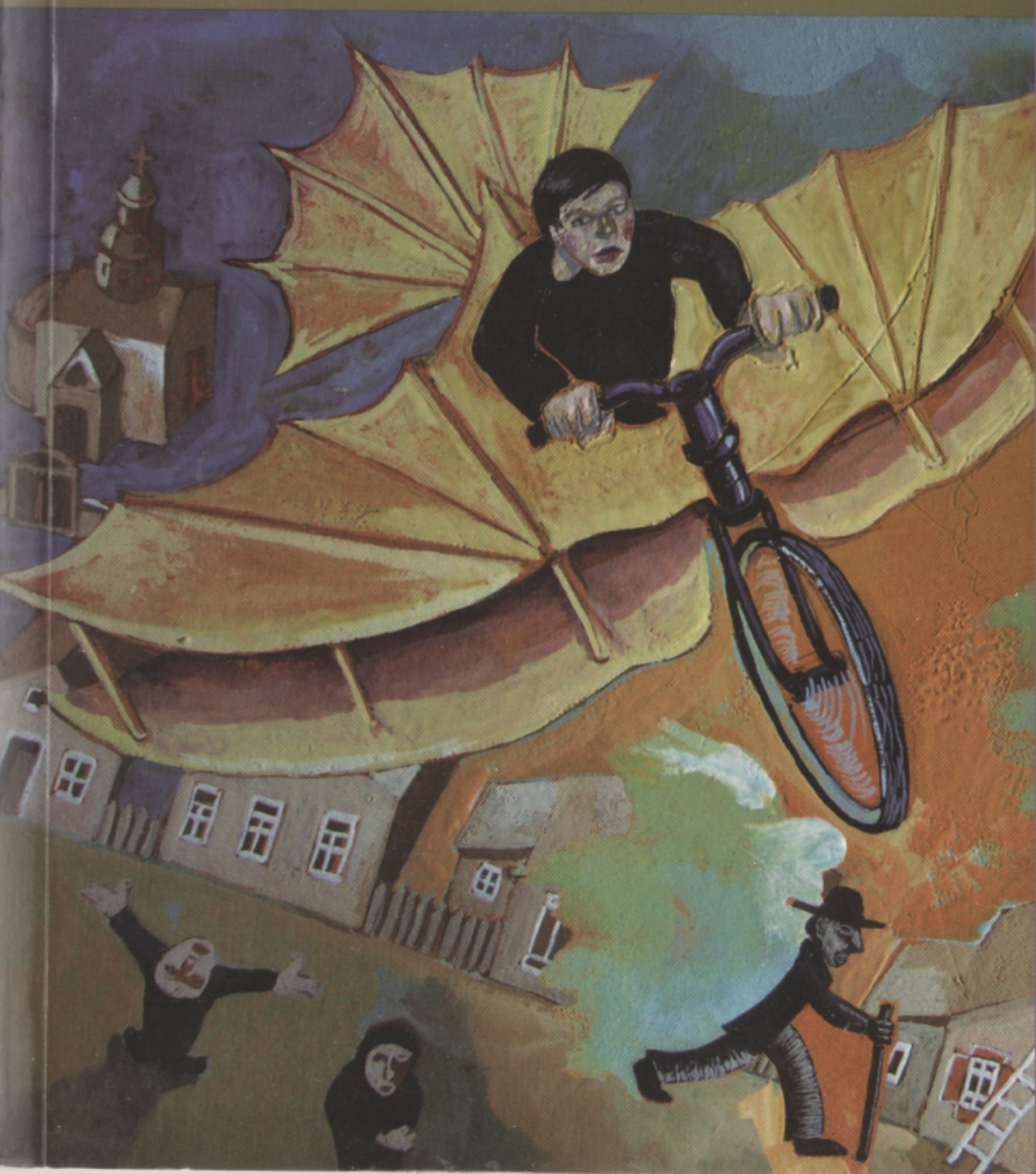




INNA EUROPA INNA LITERATURA

Danilo Kiš

CYRK RODZINNY



Daniło Kiš

CYRK RODZINNY

Przełożyła Danuta Cirić-Straszyńska

wydawnictwo  zarne

Wolowicz 2006

Tytuł oryginału PORODIČNI CIRCUS
(RANI JADI · BAŠTA, PEPEO · PEŠČANIK)

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ
Zdjęcie Autora © by THE ESTATE OF DANILO KIŠ

Copyright © by THE ESTATE OF DANILO KIŠ
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2006
Copyright © for the Polish translation
by DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA, 2006

Redakcja i korekta MAŁGORZATA POŹDZIK
Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ

ISBN 83-89755-59-9

Przedmowa

Wczesne smutki to szkice w bloku, oczywiście kolorowe, *Ogród, popiół* to grafitowy rysunek na płótnie, który pokryły ciemne barwy *Klepsydry*, gęste, zawiesziste, a szkice w bloku wskutek tego przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. *Klepsydra* to trzeci i ostatni tom cyklu rodzinnego; myślę, że dopiero w tym zestawieniu, jako swego rodzaju trylogia, książki te stają się prawdziwym *Bildungsroman*. Tak połączone, przedstawiają na dwóch różnych płaszczyznach, w jakimś niezwykłym paralelizmie, nie tylko rozwój dwu głównych postaci, które w tych książkach szukają się i dopełniają, lecz także ich dojrzewanie twórcze. Jeżeli postać nazwana A.S.-em jest identyczna z postacią autora, to te trzy książki, w wymienionym porządku, stanowią jednocześnie rodzaj *Bildungsroman*, ukazują pewną biografię literacką.

D.K., 1973

Jesienią, gdy zrywa się wiatr

Jesienią, gdy zrywa się wiatr, liście kasztanowca spadają raptownie, ogonkiem w dół. Słysząc odgłos, jakby ptak uderzył dziobem w ziemię. A kasztan spada bez najmniejszego wiatru, sam z siebie, jak gwiazda — z zawrotną szybkością. O ziemię uderza z tępyim krzykiem. Nie wychodzi jak ptak z jajka, stopniowo, lecz włochata łupina pęka nagle, od środka białoniebieskawa, i wyskakuje z niej łobuzerskie metysy, z błyszczącymi policzkami, jak policzki uśmiechniętego Murzyna. W niektórych łupinach znajdują się bliźniaki, a jednak ludzie mogliby je rozróżnić: jeden ma na czole znak, niby koń. Matka zawsze go pozna — po gwieździe na czole.

Chłopiec zbiera kasztany, które schowały się w dołkach na trawniku, i wkłada je pod policzki. Usta ma pełne jakieś lepkiej goryczy. Uśmiecha się. Warto by się wspiąć na gałąź, wybrać jedno grono kasztanów i czekać. Nie pozwolić się podejść aniołowi snu. Co najmniej trzy dni i trzy noce, bez jedzenia i picia, bez snu i odpoczynku, trzeba by się wpatrywać w owoc. Tak jak wpatruje się w małą wskazówkę zegarka. Kolce stwardniały i pociemniały na czubkach. Jeżeli dotknąć ich niezręcznie, zrobią

w palcu dziurkę, z której wypłynie piękna, czerwona krew. Trzeba będzie ssać brudny palec, który przed chwilą lepił kule z błota i łajna. Może też dojść do zakażenia krwi. Kiedy się to stanie, dzieci umierają. Wkłada się je do małych pozłaczanych trumienek i zanoszą na cmentarz, między róże. Na czele konduktu ktoś niesie krzyż, za trumną idą mama i tata chłopca, i naturalnie siostra, jeżeli miał siostrę. Mama jest w ciężkiej żałobie, nie widać jej twarzy. W miejscu, gdzie są oczy, czarny jedwab zmoczyły łzy.

Pewna biała paniuszka w czarnym fartuszkach gimnazjalistki siedzi w jakimś kryształowym świetle, wpadającym przez na wpół spuszczone żaluzje. Na fiołkowych flakonikach z wodą kolońską słońce rysuje złote gwiazdki.

A oto tajemnica zapachu fiołków: paniuszka, która sprzedaje obrazki z motylami i dzikimi zwierzętami, a także perfumy, ze wszystkich zapachów najbardziej lubi zapach fiołków. I wszystko szczerze nim skrapia: dłonie, bujne rude włosy (choć i do rudych włosów chyba lepiej by się nadawał jakiś inny zapach)...

Trzeba by skomponować fugę na orkiestrę i bez. Stawiać na podium w ciemnej sali fiołkowe flakoniki szlachetnych zapachów.

Tych, którzy by cicho, bez krzyku, tracili przytomność, wynoszono by do sąsiedniej sali, pełnej dzieciennego, leczniczego zapachu lipy i rumianku.

Aleja kasztanów

Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie się znajduje aleja kasztanów? Nie wie pan? Musi być gdzieś tutaj... Już nie pamiętam, jak się nazywała, ale wiem na pewno, że to gdzieś tutaj... Jak to? Nie ma tu nigdzie ulicy ze szpalerem kasztanów? Ależ, proszę pana, musi tu być. Niemożliwe, żeby wspomnienia były tak zawodne.

Tak, jeszcze przed wojną... Na rogu była szkoła, a przed nią studnia artezyjska. Nie podejrzewa pan chyba, że zmyślam. Chodziłem tu do pierwszej klasy, a przedtem do przedszkola. Nauczycielka miała na imię Fánni. Panna Fánni. Mogę panu pokazać fotografię naszej klasy: panna Fánni, wychowawczyni... tak, ten chłopiec siedzący obok to ja, Andreas Sam, moja siostra Ana, Fredi Fuchs, przywódca naszej bandy...

Ach, proszę pana, teraz sobie przypomniałem. Chodzi o ulicę Bema, należałem przecież do słynnej bandy bemowców, której wodzem był Fredi Fuchs, zwany Aca Tyczka, *volksdeutsch*... Ach, proszę pana, gdyby nie ta rozmowa, wcale by mi do głowy nie przyszło, że chodzi o ulicę Bema, wie pan, słynnego polskiego generała z 1848 roku. Może teraz pan sobie przypomni: Bem,

ulica Bema. No tak, przepraszam, pan oczywiście nie może tego pamiętać, skoro pan tu nie mieszkał przed wojną. Ale może te kasztany, szpaler kasztanów... Na wiosnę całą ulicę wypełniał ich zapach, nieco mdły i ciężki, chyba że było po deszczu. Wtedy zapach kwiatów kasztanowca, zmieszany z ozonem, roznosił się wszędzie naokoło.

Ależ się rozgadałem, przepraszam. Wie pan, zapytam jeszcze kogoś. Musi się znaleźć ktoś, kto sobie przypomni. Przed wojną ta aleja kasztanów nazywała się ulicą Bema...

Pan też nie pamięta? Mogę powiedzieć, że na rogu była studnia artezyjska, przed szkołą. A tam się znajdowały koszary, na lewo, za rogiem, na drugim końcu ulicy. My, dzieci, nie chodziliśmy tak daleko... Chociaż dużego ruchu tu nie było. Ale na rogu, przed koszarami, zaczynały się szyny. Tak, małe, żółto-niebieskie tramwaje. Zapomniałem powiedzieć, że obok szpaleru kasztanów, z prawej strony, wykopano tuż przed wojną rowy, które ciągnęły się zygzakiem. Była to kryjówka naszej bandy. Może dzięki temu szczegółowi pan sobie przypomni: długi, zygzakowaty rów... To prawda, wszędzie kopano rowy, ale kasztany rosły tylko na naszej ulicy. Tak, na naszej ulicy z całą pewnością rosły kasztany, a to są, proszę pana, akacje. I nigdzie nie widzę studni. Niemożliwe, może pan się myli, może ulica Bema była gdzie indziej, ta mi się wydaje za mała. Zresztą, dziękuję panu, sprawdzę. Zapukam do którychś drzwi i spytam, czy ta ulica nazywała się przed wojną ulicą Bema. Bo wszystko to, proszę pana, jest bardzo dziwne. Jak mogło zniknąć tyle

drzew, choć jedno by zostało. Drzewa chyba żyją dłużej, kasztany, proszę pana, nie umierają tak łatwo.

Ach, proszę pani, nie wierzę własnym oczom. Nikt nie potrafi wyjaśnić, gdzie się podziały te kasztany, i gdyby nie pani, gotów bym uznać, że to mój wymysł albo sen. Bo wie pani, jak bywa ze wspomnieniami, człowiek nigdy nie ma pewności. Bardzo dziękuję. Pójdę poszukać domu, w którym mieszkałem. Nie, dziękuję pani, wolę pójść sam.

W chwilę później podszedł, chociaż nie były to tam te drzwi, i nacisnął dzwonek. Przepraszam, powiedział zyczajnie, czy tu mieszka Andreas Sam?... Nie, odparła kobieta, nie umie pan czytać? Tu mieszka profesor Smerdel.

Jest pani pewna, zapytał znowu, że nie mieszka tu Andreas Sam? Mieszkał tu przed wojną, wiem na pewno. Może pani sobie przypomni jego ojca. Edward Sam, w okularach. Albo może przypomni pani sobie jego matkę. Maria Sam, wysoka, piękna kobieta, niezwykle cicha. Albo jego siostrę. Ana Sam, z nieodłączną kokardą we włosach... O, widzi pani, na miejscu tej grządki z cebulą stało ich łóżko. Dobrze to pamiętam. A tu stała maszyna do szycia należąca do jego matki, Marii Sam. Maszyna marki Singer, z pedałem...

O, przepraszam. Ja tylko przywołuję wspomnienia. Wie pani, po tylu latach wszystko znika. O, na wezgiu mojego łóżka wyrosła jabłonka, maszyna do szycia zamieniła się w krzak róży. A po kasztanach nawet ślad nie został. To dlatego, proszę pani, że kasztany nie mają wspomnień.

Dom nie istnieje, słyszysz pani? Na węzłowie mojego łóżka wyrosła jabłonka. Powyginane, pokryte naroślami drzewo, które nie daje owoców. Pokój mojego dzieciństwa zamienił się w grządkę cebuli, a singerowska maszyna mojej matki — w krzak róży. Obok ogrodu wznosi się teraz trzypiętrowy dom, mieszka w nim profesor Smerdel. Kasztany ścięto — wojna, ludzie albo po prostu czas.

A oto, co się tu stało, przy ulicy Bema dwadzieścia siedem. Przed dwudziestu laty, które chciałem przesadzić jednym lirycznym skokiem w przód. Wchodzi mój ojciec, w parę miesięcy po naszym wyjeździe stąd, do domu numer dwadzieścia siedem przy ulicy Bema i zabiera nasze sprzęty: dwie szafy, dwa łóżka, maszynę singerowską mojej mamy. Gdy wyniesiono ostatni mebel, a była to otomana, w której śpiewają sprężyny — ja wciąż jeszcze z panią rozmawiam, pani Smerdel — oto, co się stało: „Gdy wynieśliśmy ostatni mebel, droga Olgo, a była to otomana, w której śpiewają sprężyny, dom zawalił się jak zamek z piasku. Sam nie wiem, jakim cudem zdołałem...” (Z listu Edwarda Sama, mojego ojca, do jego siostry Olgi Sam-Urfi).

Teraz rosną tu piękne zielone pory i cebula, proszę pani...

Zabawa

Zajrzał przez dziurkę od klucza i pomyślał: to nie on, to nie Andreas. Długo jeszcze stał pochylony, myśląc: to nie on. Stał uparcie, nieruchomo, jeszcze wtedy, gdy poczuł ból w krzyżu. Był wysoki i klamka znajdowała się właściwie naprzeciwko jego nóg. Nie ruszał się jednak. Nie wyprostował się nawet wówczas, gdy oczy zaczęły mu łzawić i zamglily szkła okularów. Z pokoju wiało chłodem, jak z korytarza. Ale mężczyzna nie ruszał się. Tylko w pewnej chwili, gdy szkło okularów dotknęło klamki, cofnął nieco głowę. Muszę to pokazać Marii, myślał jakoś złośliwie, nieświadom ani tej myśli, ani zawartej w niej złośliwości. Muszę jej pokazać Maksa Ahaszwerowicza handlującego gęsim pierzem. Nie wiedząc czemu, odczuwał potrzebę dokuczania Marii. Ale jej dokuczy, myślał zadowolony. Trzeba pokazać Marii, jak płyną podziemne rzeki krwi. Andreas w gruncie rzeczy to nie jej Jasnowłósy Chłopiec (jak sądzi), ale jego krew, wnuk Maksa Tułacza. To ją zabił. Już z góry triumfował, napawał się skrytym cierpieniem Marii, bezradnością, która nie pozwoli jej nawet w duchu, nawet w milczeniu, oprzeć się sile jego dowodów, kiedy zobaczy (gdy on jej pokaże),

jak Jasnowłosy Chłopiec, jak jej Andreas, zachwala towar przed klientami, idąc od obrazu do obrazu, jakby tułał się przez wieki. To ją zaboli. Dlatego tak uparcie wpatrywał się w dziurkę od klucza, odkładał chwilę zadowolenia, bliską, na wyciągnięcie ręki. Nie chciał jednak, nie mógł wyciągnąć ręki i zadowolić się tym, że sprawi Marii ból. Dlatego odkładał tę chwilę. Cekał, aż sama dojrzeje, powlecze się fioletem i spadnie jak śliwka w błoto. Dlatego jeszcze nie wołał Marii, lecz nadal uparcie zaglądał przez dziurkę od klucza, przez którą, jak przez korytarz, wiało chłodem beczasowej dali. A na końcu tego korytarza, w zmaconej, zamglonej perspektywie, jakby w półmroku, stał on, Maks Ahaszwerowicz handlujący gęsim pierzem, i zachwalał swój towar sprytnie, po żydowsku. Mężczyzna myślał tylko o Maksie, musiał o nim myśleć, ponieważ go widział. Ani na moment jednak nie zapominał, że trzeba to wszystko pokazać Marii i że ją to zaboli. Tak, dlatego jeszcze jej nie wołał. Cekał, aż chwila sama dojrzeje, powlecze się fioletem, a wówczas, gdy spadnie, on ją zmiażdży, zdepcze.

Chłopiec (tymczasem) jest sam w pokoju. Czuje, jak ziębną mu ręce, i od dawna chce pójść do kuchni, żeby się zagrzać. Ale nie może. Tutaj nikt go nie widzi, a tam, pod okiem starszych, nie mógłby się tak bawić. Nawet by mu chyba nie przeszkadzali, na pewno by go nie skrzyzczeli (zwłaszcza mama), bo zabawa (czuje to) jest niewinna (cóż to znaczy w porównaniu z paleniem zapalek w szopie albo płuciem na przechodniów zza płotu). A jednak jest to jakaś dziwna zabawa. Ana nigdy by jej nie wymyśliła.

Chłopiec uparcie trzyma na ramieniu swoją perkalową poduszkę, niby to zgięty pod ciężarem chodzi od obrazu do obrazu (jest w tym coś zdroźnego, czuje to) i mruczy półgłosem. Koło maszyny do szycia, pod oknem, leżą na wyszorowanej podłodze jego zabawki: ołowiani żołnierze, gliniane kulki i szkiełka. Ale on się teraz bawi w co innego, chociaż właściwie nie wie w co. „Życzy sobie pani białego łabędziego puchu?”, szepcze w głębokim ukłonie, wpatrzony w tajemniczy uśmiech Mony Lisy nad łóżkiem Any. Na jego twarzy maluje się szczery zawód. To była ostatnia okazja. Tyłu klientów odprawiło go już z kwitkiem. I ten starzec (w śmiesznym kapeluszu i z długą fajką w zajęczych wargach), który wisi nad łóżkiem ojca, i ta starsza wytworna dama (z garbatym nosem i w śmiesznych spiczastych pantoflach z klamrą), i wszyscy po kolei, a teraz jeszcze i ta piękna pani, która tak zagadkowo, dwuznacznie się uśmiecha: zdaje ci się, że kupi wszystko, to znów masz wrazenie, że odrzuca twoją propozycję z lekką pogardą. Chłopiec stoi przed nią upokorzony i — zakochany. Wyczekuje odpowiedzi, myśląc: nie dla mnie ta robota. Tej kobiecie oddałbym wszystek towar za jej piękne oczy, za uśmiech, i mój sklep by przepadł. A niech przepadnie, myśli z błyszczącymi oczami. Niech tam, wszystko jej oddam, żeby spała w miękkiej pościeli. I nagle mówi głośno: „Pani Mono Liso, oto dar młodego kupczyka na pani posłanie... Zapłaciła pani swoim uśmiechem”. Klania się, naprawdę zarumieniony, choć wie, że to tylko zabawa i złudzenie. Wstydzi się jednak swego niedorostłego kawalerstwa i zdrady samego siebie, bo kiedy już ktoś gra rolę handlarza, powinien starać się

jak najlepiej sprzedać towar, a nie bankrutować z powodu czyjegoś uśmiechu.

Spojrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył swego nieżyjącego już ojca, Maks Ahaszwerowicza. To nie duch. To handlarz gęsim pierzem, Maks Ahaszwerowicz we własnej osobie. Przyszedł z daleka. Przez dziurkę od klucza, jak przez korytarz, wiało dokuczliwym chłodem. Mężczyzna milczał. Czuł, że mąci mu się w oczach. Maks napotkał klientkę. „*Frau, wünschen Sie feiner Gansfeder?*”, kłania się łobuzersko, zdejmując worek z ramienia.

Mężczyzna milczał.

„Pani Mono Liso”, mówi Maks, „to najpiękniejszy puch z naszych okolic. To puch łabędzia Ledy. Życzy pani sobie łabędziego puchu?”, po czym, dostrzegając na twarzy klientki ledwo wyczuwalny uśmiech, który coś obiecuje, który oznacza pieśczęotę, lecz także wzgardę, bierze worek na ramię i kłania się nisko: „*Adios, señorita*, pani tego pożąda”.
Mężczyzna drgnął. Jego dłonie, dotychczas spokojnie splecione na plecach, nagle zaczęły mówić coś, czego Maria nie mogła pojąć, bo była odwrócona tyłem. Mężczyzna jak gdyby przyrósł do dziurki od klucza. Naraz jednak wyprostował się i otarł oczy chusteczką, nie zdejmując okularów. „Mario”, powiedział półgłosem, „zgadnij, kto jest w pokoju. Zajrzyj! Tylko ostrożnie”. Kobieta odwróciła się, nie wypuszczając dżezwy*, którą liżał fiolkowy

*Dżezwa — naczynie metalowe, z długą rączką, do parzenia kawy (przyp. tłum.).

plomień maszynki spirytusowej. „Kto, Edwardzie?”. Widziała, jak jego gałki oczne napinają się pod szkłem okularów. „Kto? Kto? Popatrz!”, zawołał zirytowany. „Mój zmarły ojciec. Maks Ahaszwer!” Zmęczony opadł na krzesło i zapalił papierosa. Kobieta zdjęła dżezwę z płomienia. Widać było, że jej także drżą ręce.

Drzwi zaskomlały i chłopiec się wzdrygnął. Kobieta zastała go z poduszką w ramionach. Poza nimi w pokoju nie było nikogo.

„Andi”, powiedziała, nie mogąc ukryć drżenia głosu. „Co robisz w tej zimnicy? Ręce na pewno ci zgrabiały...”

„Nic”, odparł. „Bawię się”.

„Zostaw tę poduszkę”, powiedziała.

„Przecież ja się nią bawię, mamó”. Chłopiec zarzucił poduszkę na ramię i stanął przed matką. „Życzy pani sobie miękkiego łabędziego puchu?”, spytał z uśmiechem i skłonił się.

Kobieta milczała. Uśmiech zgasł na twarzy chłopca (no tak, wiedział, przeczuwał, jest coś zdroznego w tej zabawie). Wyrwała mu poduszkę z ręki i rzuciła na łóżko. Potem ruszyła ku drzwiom, lecz nagle stanęła, przykuta wzrokiem mężczyzny. Wypuściwszy dłoń chłopca, szybko przeszła obok Edwarda.

„Widziałas Maksa Ahaszwerowicza?”. Z jego ust ode-rwała się jakby dojrzała śliwka, spadająca w błoto.

„Tak, Edwardzie, widziałam. Zachwalał mi puch łabędzi”. „*Madame*, czy życzy sobie pani miękkiego łabędziego puchu?”

„Był sobie pewien król”, zaczęła opowiadać dziecku, gdy odmówili modlitwę. „I?”, spytał chłopiec, ściera-
jąc sen z oczu (ale wiedział, że na nic wszelkie wysiłki, bajka jak zwykle go uśpi). „I ożenił się z pewną Cygan-
ką...”. „A dlaczego?”, spytał chłopiec. „Cyganka była
piękna, najpiękniejsza w całym królestwie. I urodziła mu
syna, który kiedyś miał zastąpić go na tronie. Wówczas
król, uszczęśliwiony, kazał Cygankę zabić, bo gdyby się
okazało, że ona jest matką dziecka, następcą straciłby
tron. Tak więc chłopiec nigdy się nie dowiedział, kim była
jego matka. Na szczęście wdał się w ojca i nikt nie mógł
się dopatrzeć w kolorze jego skóry ciemnego odcienia
cygańskiej krwi...”. „Nie rozumiem”, powiedziało dziec-
ko. — „To nie jest takie ważne. Posłuchaj dalej”, odparła
matka, żalując trochę, że zaczęła tę bajkę, ale teraz już nie
mogła się zatrzymać, nie tylko ze względu na syna. „Nad
jego wychowaniem czuwali mędrzy i najlepsi nauczyciele
w całym królestwie. Król był zadowolony i szczęśliwy”. Tu
mogła się zatrzymać, a poza tym sama nie wiedziała, jak
zakończyć bajkę — będzie to przykre dla dziecka. Lecz
gdy usłyszała jego „A potem?” (przywykł już do zwrotów
akcji), zaczęła mówić dalej, zanim jeszcze wymyśliła
zakończenie: „Pewnego dnia król zajął do komnaty
syna, żeby się przekonać, czy królewicz już śpi...”. „A po-
tem?”. Chwilę milczała. „A potem zobaczył, jak dziecko
z aksamitną, jedwabiem haftowaną poduszką stoi przed
portretem swojej matki i żebrze: «Daj choć skórkę chleba,
potężna królowo (naśladowała teraz cygański sposób
mówienia), i jakiś gałgan, żebym mógł przykryć swoją
nagość...». Król, jak oparzony, wpadł do komnaty syna.

«Cóż ty robisz, królewiczu?», zakrzyknął. «Żebrzę, ojciec»,
odparł królewicz. «Znudziły mi się wszystkie zabawy,
i konie, i sokoły, więc bawię się w żebraka». Mówiła co-
raz ciszej, aż wreszcie umilkła. Chłopiec zasnął. Zgasiła
lampę i poszła przez pokój na palcach.

„Syna też zabił?”, usłyszała z ciemności i wzdrygnęła
się. Wróciła i pogłaskała dziecko. „Nie”, szepnęła, nie
zapalając światła. „Nie”.

Pogrom

Pragnienie, by nie przeoczyć zajścia, w które były wmieszane niemal wszystkie znane mi osoby z ulicy, a także skryty zamiar rozsypnięcia kłęбка zdarzeń, z którymi ostatnio spletało się moje życie, sprawiły, że dzielnie przyłączyłem się do tłumu. Gromada ludzi spieszących dokądś i zdyszanych pociągnęła mnie z sobą. Szedłem ramię w ramię z akcyźnikami i strażakami, dyszałem jakby u kresu sił i dostosowywałem oddech do ich kroku. Myślałem, że dzięki temu zdołam uchwycić sens wypadków, które głęboko wstrząsnęły mnie w tych dniach, a których nie umiała mi wyjaśnić nawet matka. Idąc, walczyłem jednak ze strachem. Śnieg skrzypiał pod nogami, stawał się zbity, twardy jak chodnik, łamliwy i dźwięczny. Tłum niby wielka stonoga dreptał po nim, a z ust unosiła się para, czysta i biała. Przez zasłonę smrodliwych wyziewów i dyszenia docierał do mnie, mimo filtru śnieżnego, zapach tanich perfum, kwaskowaty zapach potu, rozchodzący się z zielonych uniformów akcyźników i granatowych mundurów strażaków. Nagle rozległ się brzęk szkła, które jak błyskawica załśniło nad głowami tłumu, a za nim, niby dalekie echo, dobiegł trzask desek

i wreszcie westchnienie ulgi, gdy brama ustąpiła pod naporem.

Stałem pod daszkiem magazynu, chwytając za poły płaszczy, trzymając się spódnic, a gdy tłum wyciskał mnie i odrzucał, uparcie wracałem popychany strachem, przedzierałem się przez las nóg w przekonaniu, że tu, w oku cyklonu, jestem najlepiej przed nimi ukryty i nie wolno mi się oddalić od tej masy ludzi, od bezpiecznej osłony ich wściekłości, nawet na odległość ręki, bo mogliby mnie schwytać i zdeptać.

Ponieważ drzwi magazynu otwierały się na zewnątrz, pojawił się problem, bo nikt z pierwszych rzędów nie chciał odstąpić. Nastąpił piekielny hałas, wywijano kijami i krzyczano, słychać było tupot nóg, wołanie o ratunek. Naraz, nie wiem jakim cudem, duże jednoskrzydłowe drzwi wciąły się w tę czarną masę jak ostrze noża. Niebieskawy zmrok zaczął już zapadać wielkimi klatkami, niby olbrzymia winda zjeżdżająca wśród wysokich ścian do swego leża. W powietrzu dominował zapach nafty i mydła, ale z rozwartych ust magazynu napływały warstwy najrozmaitszych zapachów, wyprzedzając pomarańcze i cytryny, mydła toaletowe i przyprawy. Potem, z tandetnym dźwiękiem blachy, zaczęły się pojawiać konserwy w prostokątnych puszkach, dając w ciemnościach niegroźne sygnały swym mosiężnym błyskiem, wiązki świec w niebieskim papierze pakowym grzechotały jak wysuszone kości, jabłka padały z tępych stuków, a już w chwilę potem, zmiażdżone nogami, wyglądały jak przeżute. Z brunatnych papierowych worków sypał się cukier, skrzypiał pod nogami i mieszał się z rozdeptanym śniegiem.

Ludzie z trudem wydostawali się z tłumu, niosąc w ramionach jakieś tobołki, niby dzieci. Mąka unosiła się w powietrzu jak puder i osiadając na brwiach, nadawała ludziom jakiś odświętny wygląd, niemal żartobliwie uroczysty. Jedna z kobiet nagryzała zębami zrolowany jedwab, który wyciągnęła spod płaszczka. W świetle zapalki, które na moment rozjaśniło jej twarz, ujrzałem zęby różowe w odbłasku jedwabiu. Wokół nóg i wokół głów ludzi motała się uporczywie bela perkalu w kwiatki, niby długa wstęga karbowanej bibułki w noc sylwestrową. Kolorowy perkal zaciskał się niebezpiecznie i kobiety zaczęły krzyżeć. Wewnętrzne ruchy w tłumie stały się przez to wszystko jeszcze gwałtowniejsze, ludzie szarpali się i dławili, w wściekłością darli perkal, który jednak ciągle skądś napływał, wzbierając jak rzeka. Gdy w magazynie zostały tylko gołe ściany i mrok, wszyscy zaczęli się rozchodzić, unosząc łupy pod płaszczami.

Stałem teraz z boku, jak sprawiedliwy, którego nie dotknie zemsta. Zauważyła mnie jakaś kobieta o dobrym sercu i przechodząc obok, wetknęła mi do ręki puszkę oklejoną kolorowym papierem, na którym dużymi czerwonymi literami wydrukowano napis: SPAGHETTI À LA MILANESE. Długo ścisnąłem puszkę w dłoniach, nie wiedząc, co z nią zrobić, nie mając odwagi rzucić jej ani wziąć do domu.

Z przerażeniem patrzyłem na pana Antona, akcyźnika, jak stojąc na beczce, rzuca w powietrze *confetti*.

Opowiadanie, od którego człowiek się rumieni

Noc na otwartym morzu, opodal raf koralowych. Sprawdzam pistolet pod poduszką. Na wypadek buntu marynarzy albo pojawienia się na statku ludzi Joe Mamuta. W porządku. Trzeba tylko szerzej otworzyć okienko — noc jest tropikalna, duszna. Słychać skrzeczenie mew. Muszę się wyspać. Czeka mnie ciężki dzień.

„Hej, Sam, jak tam twoje wypracowanie?”

„Pojęcia nie mam. Chyba dobrze”.

„I co tu można wymyślić? To głupie. O czym napisales?”

„O tym, jak mama jedzie do Bakszy. Czeka na nią nad rzeką, a kiszki mi wyją jak głodny wilk. Mama wraca. To wszystko. Opisałem uśmiech chleba w jej koszyku”.

„Jaki znowu uśmiech chleba? Co to ma znaczyć? Ty zawsze fantazjujesz, Sam”.

„Chodziło mi chyba o zapach chleba. A o czym ty napisales?”

„O tym, jak się piecze chleb. Jak moja mama wchodzi na strych, przynosi mąkę... no wiesz, jak się to robi. Wkłada bochenki do pieca, a potem je wyjmuje. I tyle. Wszyscy pisaliśmy to samo. Ty jeden strugasz waźniaka”.

„Wiesz, Gál, chce mi się sikać... ale nie chce mi się ruszyć. Tak dobrze jest leżeć tu, w cieniu... nie mogę teraz iść do ustępu”.

„Ja tak samo. Zaraz się zsikam. A ty, jak zwykle, strugasz ważniaka. Do ustępu! Mówi się klozet albo wychodek, albo: gdzie król piechotą chodzi”.

„Dzwonek zadzwoni, a my się zsikamy. Właśnie. Przy najmniej ja”.

„Odwróć się na bok i sikaj tu. Zasłonę cię”.

„Sam tak myślałem... Ale mogłabyś nadejść jakaś dziewczynka. I mam wrażenie, że by mi nie pociekło”.

„Tym razem, oczywiście, też zgrywasz ważniaka. Ale mniejsza o to. Masz tu rękę i podnieś się trochę. Pomagam ci nie jako jedyny przyjaciel w całej szkole, ale dlatego, że mnie też się chce. A jak zadzwoni dzwonek, będę z tego nici... Sam, ty lejesz jak koń. Chyba z godzinę”.

„Był już dzwonek?”.

„Jeszcze nie. Pewnie im się coś pomyliło. Może pani Rigó ma jakąś pilną robotę... Albo już był dzwonek, a my nie słyszeliśmy”.

„Gdzie są chłopaki? Widzisz któregoś? Słyszysz jakiś głos?”.

„Nie jestem pewien. Chyba już weszli do klasy... Słuchaj, Sam, ty nigdy nie przestaniesz? Po prostu zakręć kran. Kiedy ja sikam i ktoś nadejdzie, udaję, że szukam czegoś za krzakiem czy za drzewem, a gdy ten ktoś sobie pójdzie, znowu otwieram kran i kończę. Nigdy ci się to nie zdarzyło? Sikasz, a tu nadchodzi jakaś dziewczyna. Albo pani Rigó. Ktokolwiek...”.

„To idź, Gál. Ja tak nie potrafię. Muszę opróżnić pęcherz, nie ma rady”.

„Nie możesz trochę prędeziej?”.

„Idź, idź. Jeszcze mi się chce siusiać... O, chyba ten wodospad się zmniejsza. Dopiero teraz mi ulżyło”.

Nagle z rozpaczą uświadamiam sobie: TO MI SIĘ ŚNI, TO MI SIĘ ŚNI, a w okolicy bioder czuję ciepły okład. Co powie mama, Boże! I Ana! Cały miesiąc będzie się ze mnie wyśmiewała albo nawet komuś wypaple. Muszę sprawdzić, może nie zamoczyłem prześcieradła. W takim wypadku dałoby się to ukryć. Włożyłbym spodnie na mokre majtki, a w szkole by wyschły... Podnoszę się na rękach, sprawdzam prześcieradło. Groza. Leżę w wielkiej kałuży, która jeszcze się rozlewa... Ile razy sobie przyrzekałem, że już mi się to nie zdarzy! W ostatniej chwili potrafiłem się obudzić. Prawie zawsze... A teraz dałem się zwieść. Naprawdę, powinienem się wstydzić. Że też się nie połapałem. Śmieszne. Sikać całą godzinę na dziedzińcu szkolnym. Dwuletnie dziecko by się zorientowało, że to sen. Ta przekłeta gorzka herbata, którą wczoraj piliśmy przez cały dzień!

Nachylam się do mamy i szepczę jej na ucho, żeby Ana nie słyszała:

„Posiusiałem się, mam...”.

Powoli, w półśnie, sprawdza dłonią prześcieradło, a natkawszy kałużę, uśmiecha się. Bierze z szafki nocnej zegarek i przykłada do ucha, żeby się przekonać, czy nie stanął.

„Musisz się przebrać”, szepcze porozumiewawczo. „Czas się szykować do szkoły”.

Wstaje ostrożnie, żeby nie zbudzić Any, otwiera szafę i wyjmuje suche majtki. Brudny jesienny świt, wilgotny i ponury, z wolna wpełza do naszego pokoju. Myśl o deszczu, o szkole działa na mnie druzgocąco. To nagłe przebudzenie, ten wstyd, którym sen mściwie sobie ze mnie zadrwił, jeszcze bardziej mnie dobijają. Idę do kuchni, gdzie mama nalewa mi z garnka wody na dłonie, przecieram nią oczy i nos. Trochę mi ulżyło. Szczęśliwie przebrnąłem brudną, letnią rzekę, która rozpościera się między snem a życiem. Jakieś zwierzęce ciepło ogarnia moje ciało i widzę już, jak bosy biegnę do szkoły. Wchodzę do klasy przemoczony i zmarznięty, bez słowa siadam koło pieca, bardzo ważny z powodu współczucia, jakie wzbudzają moje bose nogi i przemoknięte łachy.

A potem, kiedy wyschnę i usiądę na swoim miejscu (moich nóg nie widać i nie mam już zaczerwienionych dłoni, jak gdybym wciągnął białe rękawiczki), znów za jaśniejnie nad moją głową aureola prymusa i będę siedział w tej koronie, jak sowa, a pani Rigó będzie czytała najlepsze wypracowanie (moje) głosem podniosłym i śpiewnym. Później w klasie zapadnie cisza, aż do chwili, gdy nauczycielka opanuje wzruszenie i oświadczy, że to wypracowanie da do druku w „Dobrym Pasterzu”, bo jest pouczające i natchnione.

Serenada dla Any

Usłyszałem jakiś hałas pod oknem. Pomyślałem, że przyszli zabić ojca.

Po chwili głos skrzypiec podał to w wątpliwość i uwolnił mnie od strachu. Ten ktoś, kto grał pod oknem, nie był wirtuozem, ale najwyraźniej był zakochany w mojej siostrze Anie. Skrzypce wydawały głos prawie ludzki. Ktoś po uszy zakochany w gwiazdach, w mojej siostrze Anie, śpiewał wstydliwie, starając się nadać głosowi jak największą męskość i głębię. A jednak ten śpiew przypominał szept:

Dlaczego Pan Bóg stworzył miłość?

Dlaczego noce...

Ana znalazła w końcu zapalki i na chwilę zobaczyłem ją w tym świetle, stojącą za firanką, w bieli. A gdy wróciła do łóżka, usłyszałem, jak mama, wzruszona, mówi niemal sentencjonalnie:

„Zapamiętaj to raz na zawsze, Ana. Kiedy gra się komuś pod oknem serenadę, ten ktoś powinien zapalić zapalkę. To jest w dobrym tonie”.

Uspokojony głosem mamy, znowu pogrążyłem się we śnie, niby w gąszczu zapachów, na zielonej łące.

Nazajutrz znaleźliśmy na oknie gałązkę jabłoni podobną do srebrnej korony i parę rozkwitłych czerwonych róż. I zanim jeszcze nauczycielka zapytała nas w szkole: „Który to osioł deptał mi nocą ogród?”, już z samego rana, można powiedzieć, po zapachu wyczułem, że te kwiaty są z ogrodu pani Rigó, w którym od dawna wiązałem róże, przycinałem bez. Nie chciałem wygadać, że sądząc po głosie, tym osłem łamiącym róże był pan Fuchs junior, szewc, zakochany skrycie w mojej siostrze.

Ana, powiedz, czy wszystko to zmyśliłem?

(Kwiaty i zapachy).

Łąka, jesienią

Wyjechali cyrkowcy, „atleci” i niedźwiednicy, kończy się jesień. Tu, na Małym Polu albo na Hrabiowskim Zapiecku, jak bywa nazywane to miejsce, pozostały tylko ślady ich pobytu, ubita ziemia i wydeptana trawa. Pośrodku łąki znajduje się dół głęboki prawie na metr, wyraźnie widoczny wśród rozdeptanych kretowisk. Jeszcze niedawno był tu osadzony maszt, u dołu gruby i nieciosany, na szczycie smukły i giętki; na maszcie powiewała chorągiew. Wokół dołu ziemia jest rozkopana, gołe pole, widać wydobytą z głębi glinę. Można by pomyśleć, że to dół z zeszłego roku, sprzed dwóch lat, ale tak nie jest. Cyrki przyjeżdżają i wyjeżdżają, małe prowincjonalne trupy cyrkowe, złożone z iluzjonistów i Cyganów, z siłaczy i „atletów”, pojawiają się co roku, na progę jesieni, niby ostatni akord lata, jakieś zabawne pogańskie święto. Ale to nigdy nie jest ta sama trupa, nie ten sam namiot ani maszt. Zeszłorocznego dołu, tego, w którym poprzednio był osadzony maszt namiotowy, w ogóle już nie widać i trudno byłoby powiedzieć, gdzie się znajdował, bo dół zarósł jak rana, a nawet jeszcze bardziej, nie ma blizny — przykryły ją trawy, chwasty, ziemia. A i ten dół też wkrótce zniknie

podmyty deszczem, potem przez pewien czas ukryty pod śniegiem; gdy nadejdą wiosenne ulewy, zasypie go ziemia i porośnię trawa, jakby nigdy go nie było. Ślad nie pozostanie po jesiennej gali, która kwitła tu pod różowym płótnem.

Nie ma już kolorowego jarmarku, nie ma siłaczy, ucichł chichot małp, zamilkło trąbienie ociężałych słoni. Cyrk wyjechał niespodziewanie, tak jak się pojawił. Któregoś ranka, przed wschodem słońca, muskularni młodzieńcy w marynarskich koszulkach, którzy przez wiele dni prezentowali tu swoje zapierające oddech sztuki, powyciągali kołki, pozdejmowali druty i sznury, spuścili różowe płótna i obalili dumny maszt z chorągwią. Wszystko to spakowali szybko i sprawnie, złożyli w swoich drewnianych domkach, przypominających statki. Potem ruszyli cicho, można powiedzieć, ukradkiem. Koła domków smutno skrzypiały, a przez okienka, przez falujące firanki widać było, jak krzątają się wokół obiadu cudowne kobiety-ryby. Z kominów wzbijał się niebieskawy dym, ledwo widoczny w porannym błękitcie. Zwierzęta ryczały w klatkach, tylko słoń stąpał za orszakiem leniwie i dostojnie, wachlując się olbrzymimi uszami.

Teraz, ledwie parę dni po wyjeździe cyrku, pole nosi świeże ślady tego, co się tu działo. Na tej rozległej przestrzeni, większej niż krąg, nad którym wznosił się namiot (wydeptana łąka wyraźnie wskazuje jego granice), leżą na ziemi jeszcze błyszczące kapsle od butelek, porozrzucone na wszystkie strony, oblamowane po brzegach cienką koronką, niby kwiaty, leżą rozdeptane niedopałki, ogryzki jabłek, rdzewiejące pestki owoców, pogniecione

opakowania od lodów, widać ślady koni i ludzi, wyschnięte łajno zwierząt cyrkowych, skórki od chleba, stare gazety, na których siedzieli widzowie, kartki wyrwane z zeszytów szkolnych z rysunkami, pudełka od papierosów, od zapalek, podarte papierowe torebki, po których spacerują mrówki. W miejscu, gdzie stał kosmaty, stary konik cyrkowy, *pony*, ziemia jest zryta kopytami, trawa powyrywana, ledwie można by znaleźć jedno czy drugie źdźbło zdeptanej i zabloconej słomy, bardzo ściemniałej. Nieco dalej widać ślady po namiocie dla małp: prostokątny plac, na którym sterczą jeszcze, po rogach, grubo ciosane dębowe kołki, z korą zdartą obuchem siekiery. Choć minęło zaledwie kilka dni od wyjazdu cyrkowców, źdźbła trawy miejscami już się prostują, niby sprężyny z zielonej stali, dziwnie, jakby przed chwilą przeszła tędy stopa ludzka czy końskie kopyto.

Za tym wydeptanym polem rośnie gęsta pachnąca trawa, przemieszana z późnymi kwiatami, błękitnymi i żółtymi, z rozpekniętymi dzwonekami i rozmaitym chwastem, który krzewi się zwycięsko, dławiąc rdzewiejącymi na czubkach, ale wciąż silnymi ssawkami delikatne łąki kwiatów i modrozielonych traw. To już ostatni rozmach traw, ostatni haust korzeni. Babki wyciągają pociemniałe łodygi przystrojone kwiatem, liście chwastów zaczynają się marszczyć, wyostrome na czubkach jak pazury, które w siebie nawzajem wbijają. Toczy się tu niewidoczna dla oka bitwa, trwa wzrastanie, z którego sterczą zwycięskie szable chwastów i długie macki, a kwiaty pod nawałą żarlocznych, nienasyconych traw rosną ostatkiem sił i pachną jakoś przesadnie. Opite

i niesione zapachami, ciężkimi i pomieszanymi, upojone zaskakująco przeplatającymi się kolorami, pszczoły i inne owady brzęczą jak szalone na tym wonnym placu rozboju, zderzają się ze spasionymi muchami i osami, z pszczolinkami i ćmami. Niekiedy pasikonik, ciężki, jak gdyby wzdęty, koloru wiodnącego liścia, przelatuje głośno nad łąką, po czym spada ociężale w gęste sploty roślin jak dojrzały dziki owoc.

Tak wygląda łąka, pusta jesienna łąka po jarmarku...

Naraz, od zachodu, wyłania się z zielska mój ojciec, wymachując laską, i przystaje na skraju wydeptanego pola, tam, gdzie znajdował się namiot dla małp. Pochyla się i swym skupionym, fachowym spojrzeniem bada zgubne dla kwiatów skutki jesieni. Zatrzymuje wzrok na zmiętym papierze, wystającym ze świata roślin i odcinającym się bladą martwością od bujnej żywości jesiennej zieleni. Dotyka papieru czubkiem laski, jak ptak dotyka dziobem nieznanego owocu, później przyklęka, prostuje go. I tak, krótkowzroczny, nie podnosząc papieru z ziemi, sylabizuje gotyckie litery. Była to, wyrwana z jakiegoś niemieckiego magazynu, strona z przepisami, z których zapewne korzystali cyrkowcy i „atleci”, pragnąc zachować gumową elastyczność i stalową siłę mięśni. Mój ojciec czyta przepis na sos szczawiowy. Najwyraźniej nie zgadzając się z niemieckimi przepisami, których bezsensowność najtragiczniej odczuwa się w tym czasie wojny, kręci głową, a jego twarz przybiera wyraz gniewu i pogardy. On sam ma wypróbowany sposób przygotowywania sosu szczawiowego, bez tłuszczu, naturalnie z dodatkiem aromatycznych ziół i przypraw, których

nazw dotychczas nie ujawnił. Dlatego tak marszczy brwi, czyta z ironicznym uśmiechem. Ten przepis jeszcze bardziej upewnia mojego ojca o wyższości jego sposobu. Odwraca kartkę, nie zważając na, już stwardniałą, polewę odchodów ludzkich na gotyckich literach, ciągnącą się po przekątnej.

„Cha, cha”, woła, „macie, panowie, swoją śmietaną, macie swój gotycki sos!”. Zadowolony z tej drobnej zemsty, prostuje się, po czym precyzyjnym ruchem szermierza nabija ów papier na szpic laski, żeby jeszcze przez jakiś czas mieć go w ręku. I odchodzi przez wysoką trawę, ściskając pod pachą swój zielnik (*HERBARIUM PANNONIENSIS*), w którym jak cenne znaczki pocztowe leżą sprasowane kwiaty i okazy ziół łąkowych: stokrotki, dziurawiec, szaflwia, szafran, *Gypsophila peniculata*...

Narzeczeni

Było to w czasach, gdy jego ojciec jeszcze nie pił (a właściwie między dwoma Wielkimi Pijaństwami, jak mówiła później mama) i gdy on, Andreas Sam, jeszcze nie służył u gospodarza. Było to zatem w drugim albo trzecim roku wojny; chłopiec miał wszystkiego osiem, dziewięć lat. Siedział na wozie upojony zapachem świeżo zebranego siana i patrzył, jak czerwone słońce kryje się za linią horyzontu.

„Dzień dobry, panie Sam”, przechodzący drogą chłopczyk zdjął zatłuszczony kapelusz. Było to na pewno w czasach, gdy pan Sam, czyli jego ojciec, jeszcze nie pił.

Ojciec uchylił kapelusza ze sztywnym rondem:

„Dobry wieczór. Słońce już, widzi pan, zachodzi”.

„Jutro będzie wiatr”, powiedział chłopczyk. „Kiedy zachód jest czerwony, to znaczy, że będzie wiało”.

„Tak, proszę pana”, odrzekł ojciec, idąc za ledwo wlokącym się wozem.

Chłopiec nie wiedział, czy ojciec go zauważył. Od podsuszanej koniczyny kręciło mu się w głowie i czuł, że słabnie. Nagle zadrżał, skulił się w sianie. Ojciec i pan Herman mówili o nim. Ojciec powiedział: „Niech pan da spokój, zrobił się z niego niezły gagatek”. A więc to o nim.

Dlatego jeszcze bardziej wtulił się w siano, niemal upojony gęstym zapachem koniczyny i rumianku.

„Ech, mój panie”, powiedział wieśniak, „tylko patrzeć, jak zacznie biegać za spódniczkami”.

„Mówi pan «tylko patrzeć!»”, obruszył się ojciec. „On tu, proszę pana, zrobił coś takiego, że wstyd mi o tym nawet wspomnieć”.

Chłopiec nagle zrozumiał, że ojciec wie o tym. Ale najbardziej zabolowało go to, że mama musiała go zdradzić. A przyrzekła, że nie powie ojcu. Jeżeli to się nie powtórzy.

„Zdaje mi się...”, zaczął wieśniak, ale chłopiec zatkał uszy rękami, żeby nie słyszeć. Prawie mdlał od zapachu schnącego rumianku i ze wstydu.

A oto, co się zdarzyło. Przeklęta sprawa, z której powodu jeszcze teraz się rumieni. (Zostańmy przy trzeciej osobie. Po tylu latach Andreas to może już nie ja).

Bawili się w chowanego, w obejściu pana Szabó, ojca Julii. Było to w sobotę, po szkole. Farkas liczył, a oni kryli się parami: Otto i Marika, Emmika (siostra Julii) i Oskar, Julia i Andi. Już od dawna palił się do Julii. Chodzili do tej samej klasy i byli najlepszymi uczniami. On wśród chłopców, ona wśród dziewczynek. Julia staranniej pisała i odpowiadała szybciej, on ładniej rysował i pisał lepsze wypracowania.

Andi często był u państwa Szabó, bo mama robiła na drutach swetry z angorowej włóczki dla pani Szabó i jej córek. Często też wstępował do nich zimą, żeby pożyczyć coś do jedzenia. Stawał w drzwiach i mówił: „Niechbedziepochwalony”, i szybko dodawał: „Mama prosi,

że jeżeli pani może i jeżeli nie sprawi to pani kłopotu, żeby nam pani pożyczyła kilo chleba. Może być stary. Mama z góry dziękuje i przyrzeka, że w lecie odpracuje wszystko, co jesteśmy państwu winni”.

Brał chleb zawinięty w lniane płótno, dziękował (jeszcze raz) i biegł, żeby jak najprędzej ucieszyć mamę. Nigdy nie zatrzymywał się w domu państwa Szabó.

„Napiszę do ciebie list”, szepnął.

Leżeli w stodole, na słomie. Z podwórza dobiegał ochrypy głos Farkasa: pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt...

„Wiem, o czym napiszesz”, powiedziała.

„Nie wiesz”.

„Wiem”.

Umilkli. Zaskrzypiały drzwi do stodoły.

„Ktoś tu jest w słomie!”, zawołał Farkas. Wiedzieli, że ich nie widzi. Zapadła cisza. Ale wiedzieli też, że Farkas jeszcze tu jest i nasłuchuje. W chwilę potem usłyszeli kroki na żwirze przed stodołą. Nie zamknął za sobą drzwi.

„Nie wiesz”, powtórzył Andi.

„Wiem”, powiedziała.

„Dam ci go jutro w szkole. Włożę do katechizmu. Strona trzynasta”.

„Dlaczego trzynasta?”

„Tak sobie”.

„Dobrze”, powiedziała, „ale wiem, co będzie w tym liście”.

„Przysięgnij, że nikomu nie powiesz”.

„Dobrze”, powiedziała, „ale wiem, co będzie w tym liście”.

„Nie wiesz”, powtórzył. „Jak przeczytasz, spalisz list, a popiół rozrzucisz”.

„Dlaczego?”, spytała.

„Tak sobie. Żeby nikt oprócz ciebie tego nie przeczytał”.

„Już wszystkich znaleźli”, powiedziała Julia.

„Pójdiesz pierwsza”, rozkazał. „Powiesz, że byłaś w stajni”.

Zsunęła się ze słomy i pobiegła. Dopiero gdy usłyszała jej dźwięczny śmiech w głębi podwórza, sam wyszedł ze stodoły.

Następnym razem wypadło na niego. Ale później, jak umówieni, znowu spotkali się w tym samym miejscu.

„Wiem, co będzie w liście”, powtórzyła Julia. Miała warokce koloru słomy, zadarty nos i duże usta. Pachniała zeschniętą koniczyną.

„Chcesz teraz?”, spytał. Mówił z trudem. „Chcesz tego?”

„Boję się”, odparła.

„Ja też”.

„Przysięgnij, że nikomu nie powiesz”.

„Przysięgam”, powiedział.

„Boję się”, powtórzyła.

Leżeli bardzo blisko, jedno przy drugim. Julia przyknęła oczy. Andi pocałował ją. Miała dołek w policzku i piegowaty, zadarty nos. Pachniała koniczyną.

„Boję się”, powiedziała znowu.

„Ja też”, powtórzył.

Innym razem tak długo leżeli w słomie, że Farkas ich nakrył.

„Andi i Julia to mąż i żona”, zawołał.

„Nieprawda”, powiedział Andi.

„Oni są mężem i żoną”, powtórzył Farkas. „Ciągłe siedzą gdzieś razem”.

„Między nami nie ma niczego”, pisnęła Julia.

„To czemu się rumienisz?”, spytał Farkas. „Czemu się rumienisz, jeżeli między wami nie ma niczego?”.

Julia zaczęła płakać i sprawa się wydała. Potem wszystko potoczyło się źle. Andi, silniejszy od Farkasa, dał mu w twarz. Farkas pobiegł i poskarżył się siostrze Andiego, Anie.

Dlatego Andi postanowił nie wracać do domu na kolację. Ani nazajutrz na śniadanie. Ani nigdy. Latem będzie łowił ryby w rzece, zimą, chodząc od wsi do wsi, będzie pomagał chłopom. A gdy nazbiera pieniędzy, kupi łódkę i popłynie do dziadka, do Czarnogóry. Albo gdziekolwiek. Zostanie gangsterem albo detektywem. Jedno z dwojga.

Do zmroku krył się na brzegu rzeki. Potem zrobiło się zimno i zaczął drzeć. Z zimna i ze strachu. Mama z Aną na pewno szukają go po całej wsi. Jeżeli nie wróci do domu, mama może umrzeć z żalu. Dlatego postanowił odłożyć swoją podróż i podejść bliżej wsi. Usłyszał, jak Ana go woła. Odpowiedział.

„Wracaj do domu”, wołała Ana. Nie miała odwagi podejść do zarośli, w których się krył. „Wyjdz, nie powiem mamie”.

„A co byś mogła powiedzieć?”.

„Że jesteś narzeczonym Julii”.

„Powiedz mamie, że nigdy nie wrócę do domu”, mówiąco, czuł, jak ściska mu się serce.

„Mama będzie płakać”.

„Powiedziałas jej?”, spytał Andi.

„Nie. Przysięgam”.

„Jeżeli jej nie powiesz, nie pojedę do San Francisco. Ani do Czarnogóry”.

„Nie powiem”, powtórzyła Ana. Wtedy usłyszał zbliżające się nawoływanie mamy. Wytarł oczy, odetchnął głęboko i wyszedł z ukrycia. Zdążył jeszcze szepnąć do Any:

„Umowa stoi, pamiętaj”.

Mama zawsze jakoś potrafiła dostrzec jego łyzy.

„Dlaczego mój mały płakał?”, spytała.

„Nie płakałem”, odpowiedział i wyrwało mu się westchnienie jak po płaczu. Pomyślał, jak smuciłaby się mama, gdyby był uciekł w świat.

„Znowu się wybierał do San Francisco”, chciała mu pomóc Ana. „Albo do dziadka, do Czarnogóry”.

Teraz już musiał się przyznać, że płakał. I powiedziec dlaczego. Oczywiście za nic w świecie by się nie przyznał, że został narzeczonym Julii i że spał z nią w słomie. Powiedział tylko to, co było konieczne: krył się z Julią w stodole, a potem Farkas mu dogadywał. Dlatego przyłożył Farkasowi. I tyle. Gdyby go nawet łamali kołem albo zapalili mu zapałki pod paznokciami, nie przyznałby się do niczego więcej.

Był przekonany, że mama mu wierzy i że Ana niczego jej nie powiedziała. O tym, że został narzeczonym Julii, i o wszystkim.

A właśnie teraz rozumiał, że mama wie wszystko i nawet powtórzyła to ojcu. Bo dlaczego ojciec mówi,

„Andi i Julia to mąż i żona”, zawołał.

„Nieprawda”, powiedział Andi.

„Oni są mężem i żoną”, powtórzył Farkas. „Ciągłe siedzą gdzieś razem”.

„Między nami nie ma niczego”, pisnęła Julia.

„To czemu się rumienisz?”, spytał Farkas. „Czemu się rumienisz, jeżeli między wami nie ma niczego?”.

Julia zaczęła płakać i sprawa się wydała. Potem wszystko potoczyło się źle. Andi, silniejszy od Farkasa, dał mu w twarz. Farkas pobiegł i poskarżył się siostrze Andiego, Anie.

Dlatego Andi postanowił nie wracać do domu na kolację. Ani nazajutrz na śniadanie. Ani nigdy. Latem będzie łowił ryby w rzece, zimą, chodząc od wsi do wsi, będzie pomagał chłopom. A gdy nazbiera pieniędzy, kupi łódkę i popłynie do dziadka, do Czarnogóry. Albo gdziekolwiek. Zostanie gangsterem albo detektywem. Jedno z dwojga.

Do zmroku krył się na brzegu rzeki. Potem zrobiło się zimno i zaczął drzeć. Z zimna i ze strachu. Mama z Aną na pewno szukają go po całej wsi. Jeżeli nie wróci do domu, mama może umrzeć z żalu. Dlatego postanowił odłożyć swoją podróż i podejść bliżej wsi. Usłyszał, jak Ana go woła. Odpowiedział.

„Wracaj do domu”, wołała Ana. Nie miała odwagi podejść do zarośli, w których się krył. „Wyjdz, nie powiem mamie”.

„A co byś mogła powiedzieć?”.

„Że jesteś narzeczonym Julii”.

„Powiedz mamie, że nigdy nie wrócę do domu”, mówiąco, czuł, jak ściska mu się serce.

„Mama będzie płakać”.

„Powiedziałas jej?”, spytał Andi.

„Nie. Przysięgam”.

„Jeżeli jej nie powiesz, nie pojedę do San Francisco. Ani do Czarnogóry”.

„Nie powiem”, powtórzyła Ana. Wtedy usłyszał zbliżające się nawoływanie mamy. Wytarł oczy, odetchnął głęboko i wyszedł z ukrycia. Zdążył jeszcze szepnąć do Any:

„Umowa stoi, pamiętaj”.

Mama zawsze jakoś potrafiła dostrzec jego łyzy.

„Dlaczego mój mały płakał?”, spytała.

„Nie płakałem”, odpowiedział i wyrwało mu się westchnienie jak po płaczu. Pomyślał, jak smuciłaby się mama, gdyby był uciekł w świat.

„Znowu się wybierał do San Francisco”, chciała mu pomóc Ana. „Albo do dziadka, do Czarnogóry”.

Teraz już musiał się przyznać, że płakał. I powiedzieć dlaczego. Oczywiście za nic w świecie by się nie przyznał, że został narzeczonym Julii i że spał z nią w słomie. Powiedział tylko to, co było konieczne: krył się z Julią w stodole, a potem Farkas mu dogadywał. Dlatego przyłożył Farkasowi. I tyle. Gdyby go nawet łamali kołem albo zapalili mu zapałki pod paznokciami, nie przyznałby się do niczego więcej.

Był przekonany, że mama mu wierzy i że Ana niczego jej nie powiedziała. O tym, że został narzeczonym Julii, i o wszystkim.

A właśnie teraz rozumiał, że mama wie wszystko i nawet powtórzyła to ojcu. Bo dlaczego ojciec mówi,

A co powie panu Molnárowi, jeżeli znajdzie Krasulę i przygna ją późno w nocy, jak zeszyłam razem? Powie, że Krasula pasła się w pobliżu, z innymi krowami, a w pewnej chwili zniknęła, jakby się pod ziemię zapadła.

„Czy ty w ogóle pilnujesz krów?”, zapyta pan Molnár. „No powiedz, pilnujesz ich czy nie? I co właściwie robisz w lesie?”.

„Nic, proszę pana”, odpowie. „Wiem, że Krasula jest cielna, i nigdy nie spuszcza jej z oka. Ale cóż, jakby się pod ziemię zapadła...”.

Nagle chłopcu wydało się, że słyszy w gąszczu trzask gałęzi, i zdyszany przystanął.

„Krasula! Krasula!”.

Chwilę nasłuchiwał z zapartym tchem.

Gdzieś z dala dobiegł głos rogu pasterskiego. Andi zrozumiał, że zapada mrok, i przeląkł się, że wkrótce ścieżka może mu zniknąć z oczu.

„Dingo, gdzie jest Krasula?”, spytał. „No powiedz, Dingo”.

Pies stał przed nim i spoglądał niemo. „Co teraz zrobimy, Dingo?”.

Mówiąc do psa, patrzył mu prosto w oczy, a pies go rozumiał. Pokręcił ogonem i przekrzywiwszy głowę, zaskomlał.

„Jeżeli wkrótce nie znajdziemy Krasuli, nie wrócimy do pana Molnára”, ciągnął chłopiec, a pies biegł za nim i skomlał.

Szli wąską, zarośniętą ścieżką w stronę Cesarskiego Dębu.

„Pójdiesz ze mną”, mówił Andi. „Pan Berki nie będzie się gniewał, że cię wzięłam. Wie, że gdy jesteś ze mną,

niczego ci nie zabraknie. Jak by to było, gdybyś mnie opuścił?... Wróciłbyś pewnego dnia i zaszczekał przed domem. Wszyscy by powiedzieli: Andi chyba nigdy już nie wróci. Naturalnie, przy mamie i Anie głośno by tego nie powiedzieli. Tylko by tak pomyśleli, gdybyś pewnego dnia sam wrócił do wsi”.

Pies zatrzymał się i zaczął węszyć.

„Boże”, powiedział chłopiec, „pomóż mi znaleźć Krasulę”.

Dingo zaskomlał i Andi domyślił się, że znalazł świeży trop zająca albo lisią norę w pobliżu. Ledwo już widział psa, który skomlał, przedzierał się przez zarośla.

„Ty i ja pójdziemy razem w świat. Bo pomyśl, co by to było, gdybyś wrócił sam, a moja mama i Ana, i pan Berki, i wszyscy stanęliby przed tobą i spytali z wyrzutem: Dingo, gdzie Andi? Mama zaraz by się zorientowała, że nie żyje, i upadłaby na ziemię, a Ana wyrwałaby sobie włosy z głowy. Pan Berki, mój kuzyn, pocieszałby je i mówił: Pani Sam, na miłość Boską, niechże się pani opamięta! Jakież to dowód, że Andiemu coś się stało. Dingo wrócił, bo po prostu zgłodniał albo Andi sam go przepędził... Tak by powiedział pan Berki, ale w duchu byłby pewien, że ja nie żyję albo schwytali mnie zbójcy, albo rozszarpały wilki, albo uwięziła nimfa leśna. I tylko by udawał, że nic takiego nie przyszło mu do głowy, bo byłoby mu żal mojej mamy i Any... A co by w gruncie rzeczy myślał o tobie, co? Przy wszystkich wcale by się z tym nie zdradził, ale gdybyście zostali sami, powiedziałaby, że tobą gardzi, może nawet splunąłby ci w pysk za to, że mnie

zdradziłeś... Wiem, wiem, nigdy byś tego nie zrobił, tak tylko mówię. A pamiętasz książkę *Człowiek, koń, pies*, którą czytałem zeszłej jesieni? Na pewno pamiętasz, czytałem ją, gdy paśliśmy krowy koło Rzymskiego Traktu. Potem streszczałem ją wszystkim, Virágowi i Laciemu Tóthowi, i Béli Hermanowi, wszystkim. Chyba pamiętasz, jak byli sobie wierni? Cały Dziki Zachód nic im nie mógł zrobić... A gdyby nas tak napadły wilki? Dałbyś sobie rękę co najmniej z dwoma. A ja? Jak myślisz, ile wilków mogą razem zabić Andi i Dingo, gdy zostaną sami w lesie?... A jeżeli nas schwytają złodzieje? W nocy, gdy zasną, przegryziesz sznur, którym mnie skrepują. Oni będą spać, a ja zdobędę pistolet... Nie, dwa pistolety. W każdej ręce jeden. Myślisz, że nie umiem się obchodzić z pistoletem? Chyba w to nie wątpisz?... Potem zaprowadzimy złodziei na policję. Policjanci, zdumieni, długó nas będą przesłuchiwać. Wezwą mamę i moją wychowawczynię, panią Rigó. Mama bardzo się wystraszy, bo skoro ją wzywają na policję, znaczy, że znaleziono mnie martwego albo że popełniłem jakieś przestępstwo. Tymczasem oni pogratulują jej i powiedzą, że schwyciłem całą bandę najgroźniejszych, krwiożerczych złodziei, za którymi wysłali list gończy i już od lat daremnie ich tropią. W końcu wręczą mamie nagrodę. Olbrzymią sumę. Przez trzy dni i trzy noce byś tych pieniędzy nie zliczył. Takiej sumy nie daje się do rąk dzieciom, choćby rozbroili bandę najgroźniejszych złodziei. A panią Rigó wezwą, żeby przeliczyła pieniądze, no i żeby, zgodnie z przepisami, usprawiedliwiła wszystkie dni, które opuściłem w szkole. Naza jutrz, w klasie, pani Rigó powie: Słuchajcie, dzieci,

Andreas Sam, uczeń naszej szkoły, schwytał całą bandę najgroźniejszych złodziei. Powie też, oczywiście, że pomagał mu jego pies Dingo. A Julia Szabó rozplacze się ze wzruszenia, bo uprzytomni sobie, co się z mną mogło stać”.

Mówił już całkiem głośno. Oprócz psa nie było nikogo, kto by go mógł słyszeć. W lesie zapadły już ciemności, tylko nad wysokimi drzewami przesuwało się szafirowe niebo. Andi szedł przez zarośla, za psem, osłaniając twarz rękami. Bosymi stopami stąpał po mchu albo po zeschłych liściach, a czasem nadeptywał na trzeszczące szyszki. Mówił głośno, bo las nagle zaczął szumieć tysiacy dźwiękami i chłopcu zdawało się, że wszystko jest stracone raz na zawsze. Nie było słychać głosów pasterzy, a dalekie ryczenie krów dawno zamarło. Virág na pewno przygnał już krowy i opowiada panu Molnárowi, co mu tylko przyjdzie do głowy, bo przecież nie zdążyli umówić się co do tego. Pewnie wygadał mu wszystko, co najgorsze, zdradził. Tak jak w zeszłym roku, kiedy on, Andi, jeździł na Laciej, a pan Molnár dowiedział się o tym i zagroził, że go zwolni. A więc ten Virág wziął i wszystko wypalał: jak paśli w Hrabiowskim Lesie, jak rozpalili ognisko i on, Andi, opowiadał chłopcom *Kapitana „Srebrnego Dzwonu”*. Potem, gdy chcieli przygnać krowy bliżej, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a chłopaki z Bakszy i Csesztregu gnali już bydło do domu, Andi zauważył, że nie ma Krasuli. Pan Molnár na pewno spytał Virága, jak dawno Andi sprawdzał poprzednio, gdzie są jego krowy. A ten gamoń Virág, Cygan jeden, powie, że Andi umówił się z Bělą Hermanem, że tego dnia Běla będzie pilnował

krów obydwóch, on zaś dokończy *Kapitana „Srebrnego Dzwonu”* i potem wszystkim go opowie. Taki właśnie jest Virág. Gdy Béla Herman dał znać, że brakuje Krasuli, Andi wysłał na poszukiwanie psa, a sam opowiadał dalej: jak Mulatka weszła do kajuty i zagroziła Alejandrowi, że otruje się z zazdrości. Na dłoni miała małą białą pigułkę, oczy jej świeciły blaskiem Morza Karaibskiego...

„A co byśmy zrobili”, mówił głośno do psa, za którego skomleniem szedł niemal na oślep, „gdyby rzuciła na nas urok nimfa leśna? Widzisz, jak dobrze, że jesteś ze mną. O ile mi wiadomo, ani nimfy leśne, ani wiedźmy nie mogą rzucić uroku na psa. Dlatego gdy ujrzymy zamek, zatrzymasz się nieco w tyle, żeby zobaczyć, co ze mną będzie. Nie dziw się, lada moment może się ukazać taki zamek. Tylko się nie bój. Jeżeli będzie to piękny, starożytny zamek, taki jak zamek hrabiiego za Cesarskim Dębem, cały oświetlony, to będzie zamek nimfy leśnej. Myślisz, że ucieknę? Ani mi się śni. Może ta nimfa uprowadziła Krasulę, tylko po to, żebym jej tu szukał i sam wpadł w sidła? Będę udawał, że nie wiem, kim ona jest. Uklonię się grzecznie i spytam: Czy nie była pani łaskawa spotkać cielnej krowy, zwanej Krasulą? Nimfa, możesz być pewien, będzie się tylko uśmiechała, żeby mnie uwieść, i pójdzie w stronę zamku, niby to zawstydzona. A wiesz, jak taką poznać? Będzie cała w bieli, jak z jedwabiu, tylko jeszcze cieńszej i przezroczystej. Nimfy zawsze ubierają się na biało... Udam więc, że niczego nie zauważam, tylko pięknie podziękuję i pójdę dalej, jeżeli będę mógł pójść. Jeżeli się obudzę, to był, znaczy, sen. A jeżeli się nie obudzę i nie będę mógł iść dalej, to znaczy, że nimfa rzuciła na

mnie urok. Wobec tego zostanę u niej przez jakiś czas, a ty nie będziesz się gniewał. Wrócisz i postarasz się wyjaśnić mamie i panu Berki, że nie umarłem — tylko rzuciła na mnie urok nimfa leśna. Żeby się nie martwili... Zostanę u niej rok, może i dwa lata. A wiesz ty, Dingo, jakie to niebezpieczne? Można zapłacić za to głową. Jeszcze nikt stamtąd nie uciekł. Dlatego, że było tak pięknie, że w pamięci zataryły się wszystkie inne wspomnienia, albo dlatego, że przebywającego tam dosięgła kara. Ale ja ucieknę. Ja sobie dam radę. Jeszcze nie wiem jak, ale ucieknę. Ze względu na mamę. Mama będzie wiedziała, że żyję, i będzie na mnie czekać... Tylko ty, Dingo, nie bój się, gdy zobaczysz zamek pięknie oświetlony”.

Naraz jakby się rozjaśniło. Jakby w lesie przed nimi wybuchł pożar. Chłopiec i pies przystanęli.

„Znalazła się Krasula”, zawołał Virág. „Przyprowadzili ją chłopaki z Bakszy. Poznali ją”.

Na polanie, w świetle zachodzącego słońca, stała Krasula, jakby zarumieniona.

„To najpiękniejsza krowa w całej wsi”, powiedział Andi, „dlatego ją poznali”.

Nagle zrobiło mu się żal, że Krasula się odnalazła. Pomyślał, że Virág mógłby jednak opowiedzieć wszystko panu Molnárowi. A on, Andi, może by w tym zamku został nawet i trzy lata.

Łąka

Szedł brzegiem rzeki, w stronę Bakszy. W powietrzu pachniało ozonem zmieszanim z wonią przekwitłego czarnego bzu. Świeże kretowiska czerwieniały jak krosty. Nagle wyrzało słońce. W trawie zaiskrzyły się jaskry. Zapachniał rumianek, pole stało się ciężkie od nadmiaru zapachów. Patrzył, jak jego pies ogryza pierwiosniki, a z pyska spływa mu zielona ślina. Sam też położył się w trawie, na brzuchu, obok kretowiska, które parowało jak bochen świeżego chleba. Gryzł w zębach jeszcze wilgotną łąkę szczawiu.

Był boso, w krótkich spodenkach z granatowego lnu. Między palcami rąk zasychały krosty.

(W tamtych czasach do głowy mi nie przyszło, że kiedykolwiek będę pisał opowiadania, a jednak pomyślałem: „Boże, jaki jestem bezsilny wobec tych kwiatów!”).

W kieszeni ścisnął niebieski wojenny banknot, dwa miliony, którymi miał zapłacić za siarkę w sztabkach.

Przed domem lekarza szarpał się na łańcuchu wielki bernardyn. Wściekły z przejeżdżenia.

(Wiedziałem, że będę musiał kłamać: dwa miliony to było tyle co nic).

„Co cię sprowadza, młodzieńcze?”, spytał lekarz. Jego biały fartuch pachniał cukierkami miętowymi.

Chłopiec wyciągnął rękę i rozsunął palce.

„Świerzb”.

(Nie może to trwać wiecznie, myślałem w duchu. U lekarza będę, no, może pół godziny, plus droga powrotna — cała ta przykra sprawa skończy się najdalej za godzinę. Za godzinę, nawet za pół godziny, będę wracał brzegiem Kerki, a doktor, udawanie, kłamstwo i wstyd — wszystko to stanie się przeszłością. Wszystko będę miał za plecami, jak bernardyn ogon. Wszystko to będzie przeszłością. A nigdy dotychczas nie rozróżniałem tych dwóch czasów. Wtedy, u lekarza, nauczyłem się: gdy jest ci przykro, trzeba myśleć o tym, co będzie później. Jak łąka w drodze powrotnej).

Lekarz, z przyzwyczajenia, wypisał receptę, po czym rozmyślił się, podarł ją i dał mu dwie sztabki siarki, zawiązane w celofan. Chłopiec przełknął ślinę i wrócił z łąki, przez którą szedł już w myślach.

„Ile jestem winien?”, zapytał.

„A ile masz pieniędzy?”, spytał lekarz.

„Dwa miliony, proszę pana”.

(A szedł już przez łąkę, ścinając kijkiem główki dzwonków. Willa lekarza i pies, i wszystko było już za nim. Gdyby nawet chciał, nie zdołałby ponownie uchwycić tego czasu, mógłby tylko kręcić się w kółko jak pies, który chce chwycić w zęby własny ogon).

„Co można kupić za dwa miliony, młodzieńcze?”.

„Nie wiem, proszę pana”.

(A wiedział. Jedno jajko. Najwyżej).

„Nic”, powiedział lekarz.

(A on był już blisko domu. Szedł przez kładkę i patrzył, jak woda płynie, niby czas).

Szedł zatem brzegiem rzeki do wsi. Szedł jako zwycięzca. W jednej kieszeni ścisnął niebieskie wojenne banknoty, dwa miliony, w drugiej dwie sztabki siarki, zawinięte w celofan.

Już je widział: Anę, swoją siostrę, i mamę w drzwiach. Ana ma krwawiące ranki między palcami.

Rzuci sztabki na stół i powie:

„Utrzeć je z tłuszczem. Smarować wieczorem, przed snem”.

Na chwilę niby mu to wypadnie z głowy (umyślnie), a potem sobie przypomni. Rzuci banknoty na stół.

„Nie chciał tego wziąć”, powie. „To nic niewarte. On wie, że to nic niewarte”.

(Przedtem jednak zatrzyma się na kładce, żeby popatrzyć, jak płynie woda).

Wyobrażał sobie, jak mama uciera siarkę w metalowej miseczce. Jak żółtko. Można by to zjeść.

Wracal do wsi brzegiem rzeki. Zwycięzca czasu, nadal bezsilny wobec kwiatów i łąki.

Kiedy iskają mu włosy

„Andi, zostań po lekcjach”, poleciała nauczycielka, pani Rigó. Nie powiedziała: „Andreas Sam”, tylko „Andi”... To znaczy, że znowu będzie musiał wysprzątać jej kurnik. Minęło już parę miesięcy od czasu, gdy sprzątał w nim ostatnio.

Wszyscy, wychodząc, trzaskali pulpitemi, on zaś siedział jakby zawstydzony. Myślał o tym, jak pani Rigó po skończonej robocie da mu jeść. Przedtem oczywiście będzie musiał porządnie się umyć. Wydlubać drewnikiem brud spod paznokci i wypłukać usta.

Nie może jednak nie myśleć o tym, co będzie, zanim dojdzie do mycia. Wyschnięte kurze odchody lepią się do języka i dostają do płuc. Nozdrza mu się kleją. Zamiata i skrobie, klęcząc na kolanach. Gdy już nie może dłużej zatrzymywać powietrza, odsuwa dwie dachówki i wystawia głowę. Jego rozczochrana głowa na długiej, cienkiej szyi przypomina jakiś dziki grzyb nad dachem kurnika. Ślinę ma gęstą i ciemną jak kurze odchody.

Później zasuwa dachówki i schodzi z drabiny. Obu rękami podnosi starą miednicę, splekaną, prawie bez emalii, pełną stwardniałych kurzych odchodów, szarych

jak popiół. Wyleniała, krótką miotłę opiera o ścianę wychodka w głębi podwórza, a miednicę opróżnia w ogrodzie różanym.

Już jesień, róże opadają. Białe płatki leżą na suchych liściach. Jedna jaskrawoczerwona róża płonie jak słońce o zachodzie. Chłopca na moment dolatuje mocny zapach; dotyka jej nosem. Róża natychmiast się rozpada. W powietrzu zapachniało suszoną czerwoną papryką.

Andi myje się w drewnianym korycie obok drwalni. Z początku woda jest czysta, bieleją w niej obłoki. Kiedy schyla się niżej, widzi swoją twarz. A dno koryta jest wysłane ciemnozielonym aksamitem.

Zanurza głowę.

Po wodzie pływają kurze wszy.

W ustach ma wciąż jeszcze smak udek niedokładnie oskubanych z pierza.

Potem puka (puka naprawdę) do oszklonych drzwi. Otwiera mu Anton, syn pani Rigó, jego rówieśnik. Chłopiec stąpa bosymi nogami po dywanie — a dywan jest jak dno koryta, aksamitny. Kolarcję dostaje w kuchni. Stół nakryty obrusem w kratkę, który pachnie przypalonym mlekiem. Na talerzu skwarki, już trochę wyschnięte. W białej porcelanowej salaterce czerwone jabłka i jedna pomarańcza.

Chłopiec jest głodny, ale nie może jeść, bo na niego patrzą. Obraca w ustach tłusty kęs; przesuwając nogi pod stołem. Nie widzi, ale wie: na betonie pozostaje wilgotny ślad jego stóp. Jutro, kiedy zgłodnieje, będzie żałował.

Mruży oczy — pomarańcza przypomina różę.

Wstaje i najgrzeczniej jak potrafi, dziękuje gospodyni.

Pani Rigó daje mu torebkę ze skwarkami, których nie mógł zjeść. Poza tym daje mu jabłko, które zawstydzony wkłada za pachę.

Mruży oczy — pomarańcza przypomina zachodzące słońce.

Nieco później, w domu: leży w łóżku, na brzuchu, goły, tylko głowa wystaje spod kołdry. Mama i Ana, jego siostra, iskają mu włosy. Szukają w szwach koszuli. I gdy mama przebiera mu we włosach, pstrykając paznokciami, ogarnia go sen, nagły jak utrata przytomności. Nie wiadomo, czemu chce mu się płakać. Ale nawet na to nie ma siły. Czuje zapach swojego domu, swojej poduszki, a przed oczami pojawia się czerwona róża, która się rozpadła w ogrodzie. Ta róża przez chwilę rysuje się tak wyraźnie i konkretnie, że zaciskając powieki jak przed jaskrawym światłem, czuje jej zapach — zapach ostrej czerwonej papryki.

To ostatnie, co jeszcze wyraźnie do niego dochodzi. Niespodziewany zapach i czerwony blask.

Oczy mu się zamykają, sen nagle go morzy. Jakby z bardzo daleka, z tego ogrodu różanego, dobiega jeszcze głos Any:

„Patrzcie, gdzie się wcisnęła, przekłeta! Aż pod pachę. Myślała, że jej tu nie znajdzie...”.

Grzybobranie

„Po prostu nikt ich tu nie szukał”, powiedział chłopiec.
„Boże”, szepnęła z zachwytem pani Sam i wysypała na trawę szyszki.

Stali na polance, w pobliżu wyjścia z Hrabiowskiego Lasu. Słońce zalewało czerwonym światłem suche liście i sosnowe igły. Pachniało butwiejącym sianem i żywicą.
„Nikt ich tu nie szukał”, powtórzył chłopiec.

Żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Patrzeli jak osłupiali. Dokoła, na brzegach polanki, rosły okazałe grzyby, z wierzchu połyskujące, ciemnobrażowe jak chleb.

„Kiedy tędy szliśmy, nie było ich”, zauważyła Ana.
„Tak”, rzekła pani Sam pouczająco. „Prawdziwki potrafią wyrosnąć w ciągu paru godzin. Zwłaszcza po deszczu”.
„Gdy byliśmy pod Cesarskim Dębem, padał deszcz”, powiedział Andi.

„Tak”, rzekła pani Sam, „błyskało się na zachodzie. Pewnie przeszła tędy ulewa”.

„Mam wrażenie, że ziemia jest jeszcze wilgotna”, zauważyła Ana, rozrzucając nogą warstwę zbutwiałych liści.

Żadne z nich nadal nie próbowało zbierać grzybów. Stali i patrzeli na nie. Zdawało im się, że grzyby wyrastają

na ich oczach. Że przebijają się gdzieś spod ziemi niby dziwne glisty, aż podnosi się warstwa zbutwiałych liści. Potem wylania się brunatny, gładki kapelusz, niby ciasto, które brązowieje i rośnie.

Najpierw zbierali je ostrożnie, wygrzebując palcami spod warstwy wilgotnych liści, które zasłaniały ogonki. Potem nagle wydało im się, że ktoś może nadejść, i zaczęli je chwytac, łamac, wrzucać do worka, z którego wysypali szyszki. Już od początku jesieni przemierzali las, zbierając szyszki na opał, i tylko czasem udawało im się znaleźć jakiś grzybek.

„Pan Molnár na przykład”, powiedział chłopiec, „wstaje o trzeciej i chodzi gdzieś daleko, chyba nawet do Keszthely. Grzyby zazwyczaj rosną w głębi lasu”.

„Nikomu o tym nie opowiadaj”, ostrzegła go Ana. „Żebyś zaraz nie wypaplał”.

„Tak”, poparła ją pani Sam. „Znaleźliśmy je za Cesarskim Dębem. Tak powiemy”.

„Pan Molnár mówi, że każdy ma swoje miejsce, gdzie zbiera prawdziwki, i przed nikim się tym nie chwali”, powiedział chłopiec.

„Boję się, żeby ich ktoś nie odkrył”, westchnęła Ana. „To miejsce jest tuż obok drogi. Wystarczy, że komuś wejdzie tu krowa”.

„Muszę spytać panią Szabó, jak się je suszy”, powiedziała pani Sam. „Miałabym zapas na zimę...”.

„Trzeba je tylko pokroić, o tak, wzdłuż”, pokazał Andi. „Potem suszy się je na białym ręczniku. Pani Molnár suszy grzyby na dachu”.

„Na dachu?”, spytała podejrzliwie Ana.

„Tak, na dachu kurnika”, wyjaśnił chłopiec. „Rozkłada grzęcznik, a na nim pokrojone grzyby. Zabiera je, gdy zajdzie słońce. To wszystko”.

Najmniejszych grzybów nie zebrali. Zostawili je, żeby urosły.

„A więc nikomu ani słowa”, powtórzyła pani Sam. „Gdyby ktoś spytał, znaleźliśmy je za Cesarskim Dębem”.

„Jeżeli chodzi o mnie, na pewno się nie wygamam”, oświadczyła Ana.

„Niektórym wystarczy, że zobaczą grzyby, a już wiedzą, gdzie były zebrane”, powiedział chłopiec. „Tylko popatrz, i już wiedzą”.

„On to mówi dlatego”, zauważyła Ana, „że chce się pochwalić przed panem Molnárem i przed tym Cyganem Virágiem, z którym zaczął się kolegować”.

„Nie wiem, co on widzi w tym Virágu”, dodała pani Sam.

Szli na skróty, przez wilgotne łąki. Na zachodzie, za wsią, piętrzyły się różowe obłoki. Patrzeli na nie i szli w milczeniu przez wilgotną trawę. Worek niosła najpierw pani Sam. Później pomagała jej Ana. Andi szedł naprzód i rozrzucał świeże kretowiska swoim klonowym kijkiem.

„Dobry wieczór pani”, powiedział stary pan Horvát. „Napracowaliśmy się dziś, nieprawdaż?”.

„Dobry wieczór, panie Horvát”, odparła pani Sam i przełożyła worek na drugie ramię.

Pan Horvát wbił szpic laski w grzyb, który potoczył mu się pod nogi. „Patrzcie no”, powiedział, „na co wam psie grzyby?”.

„Jak to psie?”, spytał Andi.

„Bardzo trujące”, odrzekł wieśniak. „Radzę pani zaraz je wyrzucić. I to nie na moje pole, pani Sam, ale do rzeki, za wsią... Boże, gdybym był poszedł inną drogą, z zacnej rodziny Samów zostałby tylko ten szalony ojciec!”.

Pani Sam spuściła worek na ziemię i chciała coś powiedzieć. Nie powiedziała nic. Tylko pociągnęła chłopca za rękę i wszyscy troje poszli w stronę rzeki.

Kocięta

W krzakach bzu za domem chłopiec znalazł czworo ślepych kociąt. Piszczały tak, że zrozumiał, iż ktoś rozłączył je z matką, która z pewnością szuka ich teraz na drugim końcu wsi, płacząc na dachach. Miał jednak nadzieję, że zaopiekuje się nimi jakaś kocia stara panna, kotka nieródka czy jakakolwiek kotka o dobrym sercu.

Trzeba przyznać, chłopiec wszedł do ogrodu, żeby kraść porzeczki. Leżał na plecach pod krzakiem i rozgarniał liście. Czerwone grona wisały mu nad głową jak kolczyki. Od spodu były popryskane drobnymi kropelkami błota — wczoraj wieczorem padał deszcz. Krzak porzeczki rośl tuż obok krzewów bzu, okalających ogród.

Kocięta nie mogły go widzieć, ale wydało im się, że podchodzi do nich jakiś wielki kocur. Nie wiedziały, że chłopiec kradnie porzeczki, a przy okazji podpatruje ptaki. Piszczały jak zupełnie małe dzieci.

Chłopiec pobiegł do domu, włożył do puszek trochę chleba i nalał mleka. Potem po kolei wpychał do puszek kocie pyszczki. Kotki tylko miauczały bezradnie, napijając powieki na zaropiałych oczkach.

Było to przed wieczorem.

Nazajutrz rano, zanim jeszcze wygnał krowy pana Molnára, a więc bardzo wcześnie, poszedł do ogrodu za domem sprawdzić, co robią jego kocięta, czy nie zaopiekowała się nimi jakaś kocia stara panna, kotka nieródka czy jakakolwiek kotka o dobrym sercu. Jedynym znakiem ich życia było to, że drżały w zroszonej trawie. Obok stała puszka, nietknięta. Tylko mleko wsiąkło w spęczniały chleb.

„Nie ma sprawiedliwości na tym świecie”, powiedział sobie chłopiec. „Ani między ludźmi, ani między kotami”.

Podniósł leżący w pobliżu kamień i nagle go spuścił. Jedno z kociąt pisnęło jak gumowa zabawka, a jego głowa została pod kamieniem. Tylko łapki prostowały się i kurczyły. Między pazurkami pojawiał się wtedy różowy wachlarz. Podniósłszy kamień, chłopiec ujrzał zakrwawioną głowę kotka i złotozielone oko pod pękniętą powieką. Krzyknął i znowu rzucił kamień.

Długo trwało, nim zabił je wszystkie.

(Gdy stanął przed panem Molnárem z purpurową twarzą, przerażony i drżący, jakby za chwilę miał zemdleć, gospodarz nie powiedział słowa).

Pochował je dopiero wieczorem, pod krzakiem bzu. Razem z kociętami zakopał kamień. Niczym nie oznaczył tego miejsca.

Gruszki

Chłop wchodzi na drzewo i strząsa gruszki. Słychać, jak spadają na trawę. Te dojrzałe pękają i wylewają się z nich wnętrzości koloru dojrzałych fig. Do nich kierują się osy, pijane słodyczą. Chłopki, kwaśno pachnące potem, rozrywają gruszki opalonymi rękami, szukając mniej dojrzałych, soczystszych.

Chłopiec, który całe przedpołudnie zbierał zboże i wiązał snopy, podsuwa gruszki pod nos, a potem zjada lub odrzuca daleko, żeby się tu nie zbierały osy.

„Patrzcie no”, mówi pani Molnár, jego nowa gospodyni, „ten mały Sam wybiera gruszki węchem, jak za przeproszeniem, pies. Trzeba go wziąć na polowanie. Mamy za mało psów...”.

Konie

Chłopiec leżał na drewnianej skrzyni, wpatrzony w obłoki dymu, który snuł się pod sufitem. Tylko czasami wyłaniały się z dymu tłuście czarne belki, na których osiadała sadza, gęsta, połyskująca. Z blaszanego piecyka wiatr wydmuchiwał w porywach smugi dymu, które przez chwilę unosiły się wokół wysokiej, cienkiej rury, jak grzywa. Lampa napełniona naftą i smarem trzaskała, przebijając zasłonę dymu. Rozmiękła glina cuchnęła końskim moczem. (Przed paru laty trzymano tutaj konie). Podłogę wprawdzie przekopano i naniesiono nowej, jak wosk żółtej gliny, a jednak wciąż tu cuchnęło. Wilgoć wchodziła na ściany lepianki i przeżerała je jak kwas.

Padał śnieg, a przez szpary w oknie i pod drzwiami wiatr wrzucał garście kryształowych igiełek. W piecyku skwierczały wilgotne szyszki, jak ślina na gorących wargach.

„Że też się nie podusicie w tym dymie”, powiedział żołnierz, trąc zażawione oczy.

„Przywykliśmy”, odrzekł chłopiec. „Niech pan rozłoży koc tu, na dole. Będzie cieplej, a dymu mniej”.

Żołnierz, wąsaty rezerwista, rozłożył koc obok chłopca i zabrał się do reperowania rozpadającego się siódła.

Chłopiec leżał koło niego na twardej skrzyni, owinięty starym płaszczem ojca. Drżał i z zamkniętymi oczami, tylko węchem wyostrzonym jak u wyżła, pogrążony w jakimś chorym półśnie, śledził to, co działo się wokół. Kwas-kowaty zapach moczu końskiego, zapach wilgotnej gliny jak zapach świeżego ciasta, zgniły zapach nafty, gorzkawa woń żywicy. I zapach stajni przyniesiony przez żołnierza. (Był to jeden ze stajennych, przydzielony tu na kwaterę).

Nagle posłyszeli, że ktoś otrząsa śnieg z butów przed drzwiami. Był to drugi stajenny. Wsunął głowę przez uchylone drzwi.

„Sultana padł!”, powiedział, jakby ogłaszał upadek państwa tureckiego.

Chłopiec nagle usiadł. Żołnierz wbił krzywą igłę w siodło i szybko wyszedł. Chłopiec za nim. Płomień lampy zatrępotał jak wystraszona sowa.

Sułtan leżał na boku, nieruchomo, na cienkiej warstwie wiórów. Oczy miał ciemnofioletowe i już nie było w nich gwiazdy. Tylko na jego czole błyszczał jeszcze srebrny półksiężyc.

„Nie dajże się, Sultana!”, żołnierz klepnął go po zadzie.

Koń leżał sztywno, jak obalony posąg.

„Ale się jutro major rozedrże!”, powiedział starszy żołnierz. „Wytłumacz takiemu, że siana nie ma. To ukradnij — powie. — Wymyśl je, urodź! Ale jak mu to zrobić, przekłemu!... Kraść nie wolno, a konie muszą mieć siano. Choćbyście wy — powiada — wyzdychali. A skąd, to już wasza głowa... Przekonaj teraz takiego!” — I kopnął konia butem w żebra. Sulłtan tylko szarpnął głową, bezsilnie.

„Ta też pójdzie w jego ślady”, powiedział młodszy żołnierz i trącił Bulę buciorem w brzuch. Kobyła zachwiała się na cienkich nogach.

„No, przekonaj go teraz!”, powtórzył zdesperowany wasacz. „Urodź mu to siano, wymyśl!”.

„Trzeba je podwiązać”, powiedział młodszy. „Major nie może ich tak zastać”.

Szybko przynieśli sznury i przerzucili przez belkę pod sufitem, nad kobyłą. Przeciągnęli jeden sznur za jej przednimi nogami, wokół brzucha, drugi przed zadem. Potem związali sznury. Chłopiec trzymał lampę, osłaniając płomień ziębniętymi palcami.

Aby podnieść posąg Sulłtana, musieli zawołać kilku żołnierzy z sąsiedztwa. Znow przeciagnęli sznury nad belką, następnie pod brzuchem Sulłtana i za przednimi nogami, jak przedtem. Żołnierze zakrzyknęli: „Hu!-u!-u!”, i koń podniósł się z wolna, sztywny, pozieleniały jak brąz.

Nazajutrz rano chłopiec pobiegł do stajni. (Kiedy też była tu stajnia, a później pomieszczenie służyło za szopę, w której stryjenka trzymała wióry do swojego wielkiego pieca). W stajni panował ziąb, pod sufit wiskała się mgła. Konie rysowały się nad ziemią niby posągi zimowym rankiem. Głowa Buli opadła i sztywno spoczywała na szyi, złobiąc w cienkiej warstwie wiórów równą bruzdę — w miarę jak wiatr kołysał zwierzę. Głowa Sulłtana uwięzła między szczeblami drabiny, z której zwisała nad żłobem garść wilgotnego siana. Na czole konia białał zgasły półksiężyc.

Wkrótce nadszedł zaspany major, z twarzą czerwoną z zimna i ze złości. Stajenni stali przed nim na bacność,

w śniegu po kolana, opuchnięci po bezsennej nocy. Major zagroził im sądem polowym. Pisarz sporządził protokół pod dyktando cywila-weterynarza i major poszedł ze swym ordynansem, klnąc na czym świat stoi. Żołnierze powlekli się do stajni i popuścili sznury. Bula runęła na ziemię. Obalili też pomnik Sultana, jak podczas rewolucji.

„Wiedziałem, że zdechniesz”, powiedział wąsacz i kopnął. Brzuch szkapy wydał odgłos jak statua z brązu.

Żołnierze załadowali Sultana i Bulę na sanie i zawieźli na koński cmentarz. Sanie ciągnęła szkapa, po której było widać, że sama też wkrótce tam trafi. Za saniami dreptał chłopiec ze ściśniętym sercem (zwany Andim) i pies, który zwał się Dingo.

Człowiek, który przybył z daleka

Trzy dni i trzy noce przechodzili żołnierze przed naszym domem. Można sobie wyobrazić, ilu to jest żołnierzy, skoro idą bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Szli pieszo, jechali na wozach, na koniach i w ciężarówkach. Trzy dni i trzy noce. Przez cały ten czas stałem ukryty za krzakami bzu. Trzeciego dnia po południu przeszedł ostatni żołnierz. Został za innymi daleko w tyle. Głowę miał zabandażowaną, a na ramieniu niósł papugę. Dopiero gdy zniknął, wyszedłem z krzaków na ulicę. Nic nie wskazywało na to, że przez wieś trzy dni szli żołnierze. Może tylko cisza.

Trochę było mi żal, że przez wieś nie przechodzi już ani jeden żołnierz. Gdyby przed czyjś domem trzy dni i trzy noce przechodzili żołnierze, każdy by się do tego przyzwyczaił. Potem wszędzie wydaje się pusto. Nikt nie przejeżdża konno, nikt nie gra na organkach...

Nagle na skraju wsi ujrzałem wylaniający się z obłoków kurzu wóz i pomyślałem, że znów nadjeżdża wojsko. Ale był to tylko jeden, śmieszny, mały wóz, ciągnięty przez dwa muły (a właściwie osłomuły, jak się później okazało). Kurz tak zmienił kolor ich sierści, że wyglądały raczej

jak dwie wielkie myszy niż muły czy osłomuły. Jak dwie myszy, które wyszły z worka mąki.

Ponieważ we wsi nie było nikogo innego, kto by wtedy stał na drodze i gapił się na każdego, kto nadjeżdża, człowiek siedzący na wozie zwrócił się do mnie. Powiedział coś w jakimś obcym języku, który nie bardzo rozumiałem. Wiedziałem jednak, że jeśli mężczyzna i kobieta nadjeżdżają z daleka takim małym wozem, to na pewno potrzebna im jest woda. Dlatego zapytałem:

„Pewnie jedziecie z daleka?”

Wiedziałem, że mnie zrozumie. Ojciec wytłumaczył mi kiedyś, że dwóch ludzi mówiących dwoma różnymi językami może się mimo to porozumieć, jeżeli nie brak im dobrej woli i rozsądku. Trzeba tylko mówić powoli i mądrze, nie trzeba natomiast zadawać trudnych pytań. Dlatego właśnie spytałem powoli i całkiem po prostu, czy jadą z daleka. Pokazałem przy tym ręką kierunek, z którego przybyli, chcąc w ten sposób podkreślić znaczenie moich słów.

„Niech ci wystarczy, młodzieńcze, że przybywamy z daleka”, powiedział mężczyzna, schodząc z wozu, „i że nam się spieszy. Dlatego wskaż, proszę, gdzie można by napoić osłomuły”.

„Myślałem, że to muły”, wyrwało mi się, „choć najbardziej są podobne do myszy... A jeżeli chodzi o wodę, to znajdziecie ją u nas na podwórzu”.

Mężczyzna chwycił osłomuła za ucho i wprowadził wóz na nasze podwórze. Pobiegłem do domu i powiedziałem mamie, że ten człowiek przybył z daleka i mówi tak, że można się z nim zupełnie dobrze porozumieć, chociaż

jest cudzoziemcem. Wziąłem konewkę i przyniosłem wody ze studni. Jako że nasi krewni nie wrócili z obozu, ja rozporządzałem podwórzem i stajnią. Powiedziałem więc mężczyźnie, że może wyprzeznąć osłomuły.

Kiedy przybysz się mył (kobieta nadal siedziała na wozie), spytałem, czy gdzieś po drodze nie spotkał mojego ojca. Człowiek, który jedzie z daleka, na pewno spotyka po drodze wielu ludzi. Powiedziałem, że ojciec jest wysoki, lekko przygarbiony, nosi czarny kapelusz ze sztywnym rondem, okulary w metalowej oprawce i laskę zakończoną szpicem. „Zabrali go trzy lata temu”, wyjaśniłem, „i od tej pory nic o nim nie wiadomo”.

Mężczyzna odparł, że po drodze rzeczywiście spotykał wielu ludzi, co jest zupełnie naturalne, gdy człowiek jedzie z daleka. „Byli wśród nich”, powiedział, „ludzie z laską i w czarnym kapeluszu, więc któryś z nich całkiem prawdopodobnie mógł być twoim ojcem”.

„Chód miał”, dodałem, „trochę śmieszny z powodu płatfusa”. I spytałem, czy któryś ze spotkanych przez niego ludzi z laską i w czarnym kapeluszu nie miał trochę dziwnego chodu.

„Może któryś ze spotkanych przeze mnie ludzi rzeczywiście miał płaskie stopy”, powiedział mężczyzna. „Kiedy człowiek podróżuje miesiącami, łatwo może spotkać kogoś, kto ma śmieszny chód”.

„Kiedy go zabrano”, przypomniałem sobie, „był w czarnym surducie i ciemnych spodniach w jasne prążki. Cesał się z przedziałkiem na środku i miał wysoki kauczukowy kołnierzyk. Nie spotkał pan przypadkiem takiego człowieka?”.

„Och”, roześmiał się mężczyzna, myśląc pewnie, że ma do czynienia z wielkim kłamcą albo żartownisiem, „naprawdę spotkałem takiego człowieka. Nosił czarny kapelusze ze sztywnym rondem, okulary w metalowej oprawce, laskę i wszystko inne. Był w czarnym surducie i spodniach w jasne prążki. Miał śmieszny chód i wysoki kauczukowy kołnierzyk. Spotkałem go”, pomyślał chwilę, „dokładnie cztery lata temu, w Bukareszcie. Był to, młodzieńcze, japoński minister przemysłu ciężkiego”.

Z aksamitnego albumu

...W LESIE NAGLE ZAPADŁA CIEMNOŚĆ. Moja matka miała dziwne przeczucie, odezwał się w niej niepokój, więc pociągnęła nas za ręce. Worek z szyszkami wlekiśmy na zmianę, nie chcąc porzucić bogatych zbiorów, smutnych zbiorów naszej jesieni. Mama się nie omyliła. Będąc już w pobliżu wsi, spostrzegliśmy światło w domu naszych krewnych: za szkłem upiornie migotał błędny ogień. Zadrżeliśmy... Czy mama pragnęła jego powrotu? Czy jej dobre serce przebaczyło mu wszystko? Na pewno tak. Bo gdy weszliśmy na podwórze, nie bez zabobonnego lęku, i zapukali do drzwi pani Rebeki, moja matka się cofnęła. Niewątpliwie spodziewała się, że zastanie w domu ojca i jego rodzinę, teraz już pogodzoną wspólnymi cierpieniami, drogą krzyżową całego plemienia. Ale w domu zastaliśmy tylko kuzynkę Rebekę, a jej wygląd nie dodał nam otuchy. W pierwszej chwili z przerażenia żadne z nas nie mogło dobyć słowa. Boże, jak ona się zmieniła! Po jej bujnych włosach nie został ślad, czarny kok opadł, knoty pukłów jakby nadpalił ogień. Stała z ciężkim siedmioramiennym świecznikiem w ręku i ze zdziwieniem ujrzelśmy, że tylko w jednym ramieniu pali się biała stearynowa

świeca, a pozostałe są puste. Ów świecznik z jedyną palącą się świecą był tu zapewne po to, żeby swymi wygaszonymi płomieniami, swoją pustką zapowiedzieć nam treść tego, co oznajmi za chwilę kuzynka Rebeka (pokręciła wychudzoną głową powoli, z godnością, ruchem pełnym znaczenia, najpierw w lewo, potem w prawo, i znów w lewo i w prawo, jeszcze wolniej): nie ma go! Czy była to chwila ulgi, czy ogarnęła nas niema rozpacz? Mój ojciec — martwy! Ja w każdym razie wobec faktu jego śmierci okazałem głębokie powątpiewanie. Byłem pewien, że kuzynka Rebeka nie mówi prawdy, choć jej wygląd i ruchy głowy miały w sobie coś tragicznego. Tak czy owak, dopatrywałem się wielkiego szachrajstwa, podejrzewałem, że pani Rebeka chce przekreślić istnienie mojego ojca w sposób najmniej bolesny — tym powolnym kręceniem głową. Zaglądała nam w twarze (stała się krótkowzroczna), przysuwając do policzka płomień świecy, a swoje przeczące potrząsanie głową powtórzyła przed każdym z osobna, za każdym razem z innym, znaczącym odcieniem: przed moją matką z rodzajem szczerzego współczucia, przed Aną z odcieniem pedagogicznym — teraz ostrożnie, moja mała kuzynko! — a przede mną ze skrytą złośliwością: twoje przekonanie o jego nieśmiertelności wkrótce zostanie obalone, mały pyszałku, czas pozbawi mocy twoją wiarę! Mrugając znacząco, z chytrze uśmiechniętymi oczyma, podczas gdy jej twarz i usta były jak skamieniałe, długo trzymała płomień świecy przy moim policzku i wpatrzona w moje źrenice, kręciła w lewo i prawo długim nosem. Czy jej pantomima miała poza tym jakieś znaczenie? Co się jeszcze kryło w tych dużych czarnych oczach

o szaleńczym blasku? Wciąż mi się wydaje, iż ów złośliwy odcień oznaczał chęć zakomunikowania mi, że mój ojciec nie tylko nie umarł jak bohater, z nieśmiertelnym hasłem na ustach, które będzie zapamiętane i przytaczane jako wzór filozoficznej postawy, umiejętności zachowania zimnej krwi w obliczu śmierci, lecz przeciwnie, że wobec swoich katów... Och, nie wątpię. Z pewnością przejrzał znaczenie opacznej gry, w jaką go wciągnięto, i kiedy stanął po lewej stronie, wśród kobiet i dzieci, wśród chorych i niezdolnych do pracy (albowiem łączył w sobie wszystkie ich cechy, był wiecznie chory i był histeryczną kobietą, kobietą brzemienną, w stałej urojonej ciąży, jak gdyby cierpiał na jakiegoś wielkiego guza, a był też dzieckiem, dużym dzieckiem swoich czasów i swojego plemienia, i był niezdolny do pracy, do żadnej pracy, zarówno fizycznej, jak umysłowej, gdyż krzywa jego geniuszu i jego aktywności wiła się niebezpiecznie, i w końcu, po kolistej orbicie, dobiegała do punktu wyjścia, do absolutnego zera, do swego zaprzeczenia) — a zatem po lewej stronie Boga i życia, przez chwilę, ale tylko przez chwilę myślał, że to jego oszustwo, jego zmysł humoru, umiejętność radzenia sobie w skomplikowanych sytuacjach życiowych, lecz zaraz potem musiał poczuć, swoimi wrażliwymi kiszkami i szaloną głową, że głupio, dobrowolnie stanął po stronie śmierci, dał się oszukać jak dziecko... Złe oczy pani Rebeki pozwalały ujrzeć gorzką i tragiczną prawdę: idąc w kolumnie chorych niewolników, wśród zdjętych strachem kobiet i załęknionych dzieci, idąc z nimi i przy nich, wysoki i przygarbiony, bez laski i okularów, które mu zabrano, stawiając chwiejne, niepewne kroki in tej

kolumnie przeznaczonych na ofiarę, jak pasterz wśród stada, jak rabin ze swoją trzodą, jak wychowawca na czele swoich uczniów... ach, nie! Bili go pałkami i kolbami, jęczał i padał, kobiety podnosiły go i dodawały mu odwagi, a on, jooj, płakał jak małe dziecko, podczas gdy wokoło szerzył się zapach jego ciała, okrutny fetor jego zdradzieckich kiszek.

2

Z naszych krewnych wrócił jeszcze tylko stryj Andrej, też opalony jakimś dziwnym słońcem, światłem piekła, ze skórą chorobliwie wilgotną i stęchłą — zgubne piętno czarnego słońca. Przyniósł z sobą piosenki nowych czasów, smętne ballady obozowe i lamenty rabinów, które nucił półgłosem, bez słuchu, albo grał na okarynie, pohukując jak puszczyk.

W parę dni po powrocie zaczął kopać w stajni, tam, gdzie stały kiedyś wojskowe konie, czemu daremnie sprzeciwiała się stryjenka Rebeka. Ziemia, którą wyrzucił z dołu, była wilgotna i cuchnęła końskim moczem. Wkrótce w tej wykopanej przez niego studni zniknęła głowa stryja Andreja, a głos, którym wydawał krótkie polecenia stryjence, rozlegał się jak z grobowca. Ku swemu olbrzymiemu zdumieniu w pewnej chwili zobaczyłem, że stryjenka Rebeka wyciąga z tej cuchnącej studni belę perkalu w płonące róże, czerwone i niebieskie... Złoczyła u swych nóg tę zdobycz, kwiaty, które się wplątały w perkalową sieć niby wspaniałe głębinowe ryby. Co za polow! Ujrzawszy pierwsze róże, jeszcze rzadkie i drobne,

dopiero w pąkach, tę rybią drobnicę wplątana w oka sieci, która długo tam leżała, więc zaczęła już zalatywać i płowieć, stryjenka nerwowo chwyciła perkal, ciągnąc go z gorączkowym wysiłkiem. Ach, nieszczęście! Olbrzymia bela, zakopana tu przed wybuchem wojny, owinięta woskowanym płótnem i schowana w solidnej skrzyni, była przeżarta kwaśnym roztworem końskiego moczu, który wszystko zamienił w proch i popiół — róże pachniały jak śnięte, zbutwiałe ryby.

Nazajutrz stryjenka Rebeka próbowała coś z tego uratować: swą wielką sieć rozwiesiła na płocie, w pięciu warstwach, licząc zapewne na dobroczynny wpływ słońca. Wokół domu, jak wokół starodawnych zamków, wyrósł nagle żywopłot z pnących róż, ale na nic, podwórze cuchnęło moczem. Nie było rady. Na perkalu rzucały się w oczy szkodliwe skutki czasu i ciemności, zgubny wpływ ziemi i bursztynowych strumieni, którymi żołnierskie konie w latach wojny zlewały glinę, a strugi te padały z ukosa, niby promienie słoneczne.

Stryjenka Rebeka ze łzami w oczach usiłowała ratować swoje jedyne bogactwo, tę ukrytą kopalnię. Zaczęła wycinać nożyczkami kawałki materiału, nieco dłuższe od łokcia, lecz w końcu musiały wszystko rzucić na śmieci, bo perkal rozpadał się pod palcami jak pajęczyna. Przez całą noc stryjenka i stryj Andrej, ukryci w ciemnościach przed oczami chłopów, przenosili te zgniłe róże na śmietnik, widłami. O, ileż gorączkowych przekleństw rzucono tej nocy na ciężkie narządy wojskowych koni, ile wściekłych klątw, błyskotliwych i strasznych porównań!

Chyba pod wpływem ojca, wpływem, którego zgubnym pułapką opierała się do końca jego życia, mama dała się porwać myśli o skonstruowaniu maszyny dziewiarskiej — z desek i drutów starych parasoli. Chociaż doprowadziła swój kunszt rękodzielniczy do doskonałości, stworzywszy dzięki szprychom kół rowerowych małą manufakturę, która by mogła zaopatrzyć cały okręg w jej wyroby, mama zamierzała rozbudować ten warsztat o wspomnianą maszynę dziewiarską i zaopatrywać nie tylko okręg, ale całą żupanję. Dzięki temu miała nas, Anę i mnie, „wycofać z pól”, jak mówiła, i przywrócić nam obywatelską godność.

Od tego zamiaru mama odstępowała niestety, z ciężkim sercem, już po wstępnych czynnościach przygotowawczych — nie znalazło się tyle starych parasoli. Kontynuując pracę ręcznie, po nocach, przy lampie, w której płonie wojenny smar do kół, zmieszany z naftą i pastą do butów, wywija swymi błyszczącymi drutami jak z platyny. Te dwa druty... Mówię „druty”, a należałoby właściwie powiedzieć, że w skład owego przyboru wchodziły także palce, na równi, nie tylko jako część ręki wykonująca jej wolę, lecz po prostu jako część przyboru. Mam tu na myśli, przede wszystkim, wyciągnięte palce wskazujące, do których dwa metalowe druty (własnoręcznie wykonane) dodano tylko jako przedłużenie. Nawet nie wiedząc o tym, mama urzeczywistniła swoją myśl o maszynie dziewiarskiej: w poprzek delikatnego grzbietu palca wskazującego, gdzie stale przesuwano się miękka nić, utworzył się wąski

kanal, jakby wyżłobiony ostrą stalową igłą. Spod tuzina migających drutów, z tego przedziwnego ściegu, powstawały, snując się jak bajka, długie białe karty jej roboty z wełny angorskiej; a gdyby ktoś dmuchnął w puchowe włoski, żeby trochę je rozsunąć, ukazałyby się przepiękne wzory, jak ze wschodnich dywanów.

Tajemnica jej kunsztu była prosta: mama nigdy się nie powtarzała. Kiedy panna Fanni zamawiała taki sam sweter, jaki ma pani Maria, mama, nie chcąc tłumaczyć swych powodów małostkowym wiejskim pięknosciom, przyjmowała zamówienie bez uwag, ale na zadany temat wykonywała wariację jedynie na oko podobną do wzoru. Tworzyła w ten sposób zupełnie nowy styl, tylko pozornie zbliżony do poprzedniego, tak, by można było poznać rękę mistrza, jego charakter, jego własne piętno, niepowtarzalne. Postępowała tak z przyczyn całkiem praktycznych: jej wyroby, ze względu na prestiż firmy, musiały być unikatami, niepowtarzalnymi nawet dla niej samej.

Jej warsztat kwitł, niestety, krótko. Kobiety wiejskie, zwłaszcza wojenne wdowy, idąc za przykładem mojej mamy, ze szczerego podziwu (który — jak to zwykle bywa — wkrótce zamienił się w zazdrość), same zaczęły robić na drutach w długie zimowe wieczory. Z początku szło im to niemrawo, ale z czasem coraz lepiej. Naśladowały ją udatnie, tworząc doskonale imitacje oryginału, i niewtajemniczeni nie dostrzegali różnic ani też nędzy tych sztucznych wytworów, pozbawionych szczerości prawdziwego natchnienia i przeżycia.

Mama z początku próbowała przeciwstawić się temu zalewowi naśladownictwa, zmieniała ściegi, nadając

swoim wyrobom formę chłodnej wirtuozerii, która nie pociąga, lecz onieśmiela. Wszystko na próżno. Mistrzostwo, jakie osiągnęła w długie bezsenne noce, pracą w pocie czoła i natchnieniem, pruciem i cięciem na kawalki, analizowano w wiejskich warsztatach i bezlitośnie imitowano. Zrozumiawszy, że szarlatani potrafią naśladować wirtuozerię mistrza, mama uciekała się do prostoty, nagości stylu i wyrazu, nie rezygnując z tego, by w gładzinę wpleść jakiś tajemniczy wzór, mistyczną różę natchnienia. Daremnie. Fałszywe różę zaczęły się pojawiać na angorskich dzianinach w tych samych miejscach, co jej różę, a niezorientowani nie potrafili ich odróżnić od prawdziwych. (Tymczasem wystarczyłoby zajrzeć na lewą stronę wyrobów mamy, tam, gdzie był odcisnięty symetryczny negatyw jej rękodzieła, żeby się zorientować z węzełków i supłów, ze splotu korzonków dzianiny, ile trudu było potrzeba, aby z tej popękanej wełny, z resztek i krótkich niteczek wyczarować prawą stronę wyrobu. Tu sztuczki i wybiegi nie były widoczne, a wszystko wyglądało czysto i lekko, jakby wykonane z jednej nici, za jednym zamachem). W końcu, po ciężkich pokusach i wielu bezsennych nocach, mama całkiem się poddała i znowu wyszła na pola, by zbierać resztki pozostałego zboża — nie miała już ani jednego zamówienia.

4

Wchodzimy do pociągu ze śmiesznym bagażem, wlecemy z sobą cygański namiot naszej tułaczki, żałosny posag mego dzieciństwa. Nasz historyczny kufer, teraz

już odrapany, z zamkami, które ustępują z zardzewiałym trzaskiem niby w starych skałkówkach, wypłynął z potopu sam, pusty jak trumna. Leżą w nim jedynie smętne szczątki mego ojca jak w urnie z popiołami: jego fotografie i dokumenty. Metryka i świadectwa szkolne, te niewiarygodne Tor y, wypisane kaligraficznym piśmem zamierzchłej, niemal mitycznej przeszłości, cenne świadectwa zmarłego poety, historyczne archiwum jego choroby: odpisy wyroków sądowych, dokumenty Fabryki Wyrobów Szczotkarskich w Suboticy (którą doprowadził do bankructwa), rozporządzenia, umowy o pracę, zawiadomienie o awansie na inspektora kolei, wreszcie dwa jego rękopisy: Wielki i Mały Testament oraz karty choroby ze szpitala w Kovinie...

Jakaż myśl mną kierowała, kiedy to dziwne archiwum przemyciłem do naszego kufra, w tajemnicy przed matką? Była to, niewątpliwie, wczesna świadomość, że będzie ono jedynym wianem mego dzieciństwa, jedynym dowodem materialnym, że kiedyś istniałem i że istniał mój ojciec. Bez tych rękopisów i fotografii byłbym dziś niechybnie przekonany, że to wszystko się nie zdarzyło, że jest to tylko zastępcza, wyśniona opowieść, którą zmyśliłem sobie na pociechę. Postać ojca zatarłaby się w pamięci jak tyle innych, a wyciągnięta ręka uchwyciłaby próżnię. Myślałbym, że śnię.

To archiwum rodzinne, które wówczas, przed odjazdem, przebrałem według własnych kryteriów, teraz widzę — słusznych, przemyciłem do kufra razem z moimi zeszytami i książkami, również przebranymi: z zeszytów wzięłem tylko dwa, zawierające wypracowania,

swoim wyrobom formę chłodnej wirtuozerii, która nie pociąga, lecz onieśmiela. Wszystko na próżno. Mistrzostwo, jakie osiągnęła w długie bezsenne noce, pracą w pocie czoła i natchnieniem, pruciem i cięciem na kawalki, analizowano w wiejskich warsztatach i bezlitośnie imitowano. Zrozumiałwszy, że szarlatani potrafią naśladować wirtuozerię mistrza, mama uciekała się do prostoty, nagości stylu i wyrazu, nie rezygnując z tego, by w gładzinę wpleść jakiś tajemniczy wzór, mistyczną różę natchnienia. Daremnie. Fałszywe różę zaczęły się pojawiać na angorskich dzianinach w tych samych miejscach, co jej różę, a niezorientowani nie potrafili ich odróżnić od prawdziwych. (Tymczasem wystarczyłoby zajrzeć na lewą stronę wyrobów mamy, tam, gdzie był odcisnięty symetryczny negatyw jej rękodzieła, żeby się zorientować z węzełków i supłów, ze splotu korzonków dzianiny, ile trudu było potrzeba, aby z tej popękanej wełny, z resztek i krótkich niteczek wyczarować prawą stronę wyrobu. Tu sztuczki i wybiegi nie były widoczne, a wszystko wyglądało czysto i lekko, jakby wykonane z jednej nici, za jednym zamachem). W końcu, po ciężkich pokusach i wielu bezsennych nocach, mama całkiem się poddała i znowu wyszła na pola, by zbierać resztki pozostałego zboża — nie miała już ani jednego zamówienia.

4

Wchodzimy do pociągu ze śmiesznym bagażem, wlecemy z sobą cygański namiot naszej tułaczki, żaloszny posag mego dzieciństwa. Nasz historyczny kufer, teraz

już odrapany, z zamkami, które ustępują z zardzewiałym trzaskiem niby w starych skałkówkach, wypłynął z potopu sam, pusty jak trumna. Leżą w nim jedynie smętne szczątki mego ojca jak w urnie z popiołami: jego fotografie i dokumenty. Metryka i świadectwa szkolne, te niewiarygodne Tor y, wypisane kaligraficznym piśmem zamierzchłej, niemal mitycznej przeszłości, cenne świadectwa zmarłego poety, historyczne archiwum jego choroby: odpisy wyroków sądowych, dokumenty Fabryki Wyrobów Szczotkarskich w Suboticy (którą doprowadził do bankructwa), rozporządzenia, umowy o pracę, zawiadomienie o awansie na inspektora kolei, wreszcie dwa jego rękopisy: Wielki i Mały Testament oraz karty choroby ze szpitala w Kovinie...

Jakaż myśl mną kierowała, kiedy to dziwne archiwum przemyciłem do naszego kufra, w tajemnicy przed matką? Była to, niewątpliwie, wczesna świadomość, że będzie ono jedynym wianem mego dzieciństwa, jedynym dowodem materialnym, że kiedyś istniałem i że istniał mój ojciec. Bez tych rękopisów i fotografii byłbym dziś niechybnie przekonany, że to wszystko się nie zdarzyło, że jest to tylko zastępcza, wyśniona opowieść, którą zmyśliłem sobie na pociechę. Postać ojca zatarłaby się w pamięci jak tyle innych, a wyciągnięta ręka uchwyciłaby próżnię. Myślałbym, że śnię.

To archiwum rodzinne, które wówczas, przed odjazdem, przebrałem według własnych kryteriów, teraz widzę — słusznych, przemyciłem do kufra razem z moimi zeszytami i książkami, również przebranymi: z zeszytów wzięłem tylko dwa, zawierające wypracowania,

Tutaj, w tych znakach zapytania, w tych pytaniach bez odpowiedzi, rzucono nasienie tęsknoty do wiedzy, nasienie gorzkiej zazdrości, skrytych marzeń i dziecięcych ambicji. Te schematyczne pytania (piano? skrzypce?) wyczarowują nieznaną świat, dla mnie niedostępny. Z tej książeczki, z jej rubryk przypominających białe oszlone drzwi, wyłaniają się uprzejme twarze nauczycieli domowych i korepetytorek, bogato oświetlone salony i cisza popołudniowych godzin, gdy odzywa się dzwonek u drzwi i do pokoju ucznia wchodzi biała guwernantka (od godziny czwartej do szóstej) z boskim *bonjour* na ustach, a razem z nią pojawia się przecucie świata, do którego nosi ona klucze ukryte pod językiem jak medalion, a który z wolna się przybliża. Innym razem (możemy sobie pomarzyć!) znowu odzywa się dzwonek u drzwi, jeszcze dźwięczniej i ładniej, gdyż nacisnął go pan profesor gry na fortepianie. O, już przebiegają po klawiaturze jego długie białe palce, płyną etiudy, wysączają się z pokoju dziecinnego przez firanki. A potem? Potem przychodzi profesor... nie, profesorka. Jej smukłej kibici lepiej odpowiada wytworny kształt skrzypiec, nie tworzy się jej podbródek, gdy oprze na instrumente swą smutną głowę. (Nie, teraz już mi tego nie żal. Na pewno lepiej było, i pożyteczniej — a słowo to piszę z drżeniem — deptać w zimne jesienne popołudnia bosymi nogami po ciepłym krowim łajnie). Z umiłowaniem prawdy i wiarą w uszlachetniającą siłę cierpienia wpisuję do tej mojej książeczki, w rubryce „Powód nieobecności” — brak obuwia (13 lutego 1944 roku), a pod datami piąty, czternasty i dwudziesty czwarty lutego — zamieć...

7

Ale dlaczego wlekliśmy z sobą te „pigwy”, okrutne brzemie, zawinięte w papier pakowy i pościągane sznurkami? Dlaczego wlekliśmy je z sobą, skoro moja matka rozstała się bez żalu z cenniejszymi rzeczami (na przykład ze swoją maszyną do szycia) niż te zakiszone pierzyny, wilgotne i gruzłowate, pachnące pleśnią, z których puch sączył się i lepił do włosów, do ubrania, jak brudny wilgotny śnieg. Poprzez przerzedzone sito cienkiego perkalu wysuwały się, na kształt puchowych śnieżynek, rogowate końce piór plectwa domowego, ciągnąc za sobą nadwątłone, zlepione skrzydełka. Po ich ciemnej, matowej powierzchni, bez połysku, rdzaworudej i czarnej, nie trudno się było zorientować, że i te pióra są oszukane, podobnie jak niewygodne pierzyny, napełnione — poza niewielką ilością czystego puchu tłustych panańskich gęsi — twardym, nawet nie dartym pierzem kur, wśród których tak częste były pomory. Mama niewątpliwie wiedziała o tym oszustwie, które wkraadało się w nasze sny i naszą bezsenność, ale dla niej pierzyny znaczyły tyle (to znaczy wszystko), ile dla mnie relikwie dzieciństwa: papiery ojca i moje książki. Dla niej te wyliniałe „pigwy” były symbolem naszego dzieciństwa i jej miłości do nas, pamiątką idyllicznych wieczornych godzin, gdy nowe jeszcze pierzyny, w poszwach z batysty, podwijała nam pod plecy i pod nogi, klepiąc po tym wielkim cieście dłonią z rozstawionymi palcami, a nam wystawały spod pierzyn tylko kędzierzawe czupryny i rumiane czubki nosów...

Nie wierzę, by mojej matce mógł umknąć przerażający fakt, którego wówczas jeszcze sobie nie uświadamiałem: że te pierzyny napelnione oszukany pierzem to tylko dalszy ciąg, może ostatni rozdział tułaczkiej ahaswerowskiej historii, którą zapoczątkował mój ojciec, a właściwie jego przodkowie handlujący gęsim pierzem, i że przedo-
stały się tu gdzieś z dalekich mroków historii — ciężkie dziedziczne brzemie, które wciąż jeszcze wlekliśmy, bez sensu.

Chłopiec i pies

Pies, który mówi

Urodziłem się, jak przyznaje mama, wskutek pewnej lekkomyślnej przygody, która przyniosła jej siedmioro dzieci i niemało biedy. Dwaj moi bracia i siostra umarli zaraz po przyjściu na świat. Ja otworzyłem oczy w domu pani Albiny Knipper, wiejskiej akuszerki, w latach wojny, z początkiem jesieni. Mama i pani Albina bardzo o mnie dbały, karmiły mnie i pieściły. Koszyk miałem wymoszczony gałgankami i pierzem niby ptasie gniazdo. Mama uczyła mnie życia: jak się macha ogonem, jak pokazuje kły, jak myje się oczy i przepędza natrętne muchy. Ćwiczyliśmy także, między sobą, podstawowe chwytty zaczepne i obronne. W tej miłej i bezpiecznej zabawie rzucaliśmy się na siebie jak wiejskie kundle, ale nasze kły były jakby owinięte aksamitem, a pazurki schowane, jak bagnet w pochwie.

Pewnego dnia jednak rozłączono mnie z mamą, wtedy właściwie zaczęło się moje psie życie. (Słowa „psie” proszę nie rozumieć błędnie, nie skarżę się na życie. Chcę po prostu powiedzieć: moje życie).

Kiedy pan Berki (tak się nazywał mój przyszły pan i władca) wręczył pani Knipper zapłatę, nie było jeszcze

wiadomo, które z nas weźmie, a ja niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. Pamiętam tylko, że mama była bardzo smutna i przez cały czas płakała. Dopiero później pojąłem, dlaczego się nie sprzeciwiała i nie przedsięwzięła nic, aby temu zapobiec. W gruncie rzeczy postąpiła tak dla mojego dobra. Kto wie, jaki los stałby się moim udziałem, gdyby nie wziął mnie wtedy pan Berki. Z nas, czworga szczeniąt, tylko dwoje pozostało przy życiu, ja i mój brat. Brata sprzedano jakiemuś myśliwemu z innej wsi. A moje dwie siostry spotkała straszna śmierć: pani Knipper zawiesiła im kamienie u szyi i wrzuciła je do wezbranej rzeki. Zrobiła to z ciężkim sercem, wiem, że gdyby nie trudne lata wojny, zlitowałaby się nad nimi, choćby ze względu na mamę. Lubiła zwierzęta, nawet rozkapryszone koty, ale cóż począć, *à la guerre comme à la guerre*, jak by powiedział wielki miłośnik zwierząt, La Fontaine.

Moja mama z bólu oszalała. Całymi dniami nie jadła, tylko płakała i zawodziła, biegała po podwórzu i po wsi, zaglądała w każdy kąt. Aż pewnego dnia pani Knipper powiedziała: „Musiałam to zrobić, Lolu” (tak miała na imię moja mama). „Wybacz, Lolu, musiałam...”. Mama leżała przed nią z nastawionymi uszami, żeby lepiej słyszeć każde słowo pani Knipper, i patrzyła tak smutno oczami pełnymi łez, że stara pani Knipper też się rozplakała: „Nie patrz tak na mnie, Lolu! Sama wiesz, jak ciężko jest związać koniec z końcem”. Ale mama, nieprzytomna z żalu, patrzyła na nią nadal. „Nie patrz tak na mnie, Lolu, nie patrz!”, prosiła pani Knipper. „Wrzuciłam je do rzeki”.

Mama zrozumiała, że przecucia jej nie myliły. Krzyknęła i rzuciła się ku rzece. Gnała, gnała z jej biegiem, skomląc jak pies, Boże odpuść, jak człowiek. Znalazła moje siostry na płyciźnie, na terenie należącym już do innej wsi, z kamieniem u szyi, zaplatane w korzenie wierzby.

Wróciła przed wieczorem, po to, by umrzeć przy mnie.

Leżałem na werandzie u pana Berki, mojego nowego gospodarza, i rozmyślałem o tym, co mnie spotkało, o nie-szczęsnej mamie, o braciach i siostrach, o pani Knipper, o życiu w ogóle. Rozmyślając, skomlałem, raczej ze smutku niż z zimna.

Wtedy to nadszedł jakiś chłopiec, zaczął mnie głaskać i rozgrzewać w rękach, jak gdybym, nie daj Boże, był wróblem, a nie psem. Przyjrzał mi się uważnie i wybuchnął śmiechem.

„Ana, Ana!”, zawołał. „Przyjdź, to coś zobaczysz. Wróbelka!”.

„Ale słodki”, powiedziała Ana i uszczypnęła mnie w policzek.

„Ten pies kogoś mi przypomina”, zauważył chłopiec. „Bardzo do tego kogoś jest podobny”.

„Rzeczywiście”, zgodziła się Ana, jego siostra. „Kogoś przypomina, ale kogo?”.

„Też ci się tak wydaje?”, spytał chłopiec.

„Można pęknąć ze śmiechu”, zawołała Ana.

„Naprawdę”. Chłopiec wciąż trzymał mnie na dłoni, jak wróbla.

„Już wiem”, powiedziała jego siostra.

„Do kogo on jest podobny? Do kogo, Ana?”, pytał. „Proszę cię, powiedz!”.

„Pomyśl sam”, powiedziała Ana.

„Proszę cię, powiedz”, powtórzył. „Nic mi nie przychodzi do głowy. Wiem tylko, że ten pies... naprawdę, można się popłakać ze śmiechu”.

„Do pewnej starszej pani...”, zaczęła Ana.

„Do pani Knipper! Wiem!”, zawołał.

„Ze śmiechu można pęknać”, powtórzyła jego siostra. „Wykapana pani Knipper!”.

Po tym zdarzeniu sam się zastanawiałem, czy nie jestem podobny do pani Knipper, choć szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzyłem. Być może tylko smutek nadawał nam podobny wyraz twarzy, gdyż pani Knipper czuła się bardzo nieszczęśliwa z powodu swojego postępków, a ja tęskniłem za bliskimi. Podobny byłem natomiast do mamy. Te same duże ciemne oczy, fiołkowszare, jak śliwka, te same uszy, zaostrome i nieco zawinięte na czubku. Może jedynie postać odziedziczyłem po (nieznanym) ojcu, bo z czasem wyrosłem na smukłe psisko o długich nogach, jakich nie miała, jeżeli dobrze pamiętam, moja mama. Po mamie odziedziczyłem poza tym żółtorudą sierść i inne cechy: przeczulenie, pokorę, cierpliwość, wierność, oddanie, nerwowość, jak też pewną leniwość i lekkomyślność.

Pies taki jak ja nie może się pochwalić jakąś ciekawą historią, którą by można długo opowiadać. Co do mnie, miałem dosyć szczęśliwą młodość (nie mówiąc, naturalnie, o rozstaniu z bliskimi), choć przypadła ona na

czas wojny. A może właśnie dlatego. Postaram się to wytłumaczyć. Wojna zabiera ludzi, a w pozostałych budzi strach, nieufność, szorstkość. W takich warunkach pies wierny jak ja wiele znaczy. Jeżeli ktoś nie jest dzieckiem i nie jest przeczulony, może kochać psa bez rozpacz, bez obawy, że oszaleje, że umrze z żalu, jeżeli zabierze go wojna, może kochać bez poświęceń, może mu się zwierzać bez lęku, że pies go wyda. Podczas wojny psu jest ciężko tylko dopóty, dopóki jeszcze nie wyrosną mu kły. (Dlatego zginęły moje siostry, niech spoczywają w pokoju). A dla dorosłego, silnego psa wojna jest dobrodziejstwem. Wśród bydła panują wtedy pomory, padają konie, a żołnierze zakopują je płytko, byle nie wystawały nad ziemię. I tak, mówią, rozniosą je psy i Cyganie.

Kogo by mogła interesować moja biografia, skoro nie byłem słynnym psem myśliwskim (tylko całkiem przeciętnym) ani nie wslawiłem się na wyścigach, i nie tylko nie mam szlacheckiego pochodzenia z rodowodem, lecz wszystko wskazuje na to, że jestem nieślubnym dzieckiem, czyli bękartem; nie odniosłem zasług wojennych, za życia nie wystawiono mi pomnika i nie dostałem odznaczenia od Czerwonego Krzyża ani od nikogo. Jestem więc zwyczajnym psem, a mój los był przeciętny. Jedno czyni mnie w pewnym sensie wyjątkowym: moja zdolność mówienia. A łaską mowy obdarzyła mnie miłość pewnego chłopca, mógłbym powiedzieć, nieszczęśliwa miłość.

Pewnego ranka pojawił się pan Berki, mój nowy gospodarz, i spytał:

„Andi, jak ci się podoba ten pies?”.

„Jest cudowny!”, powiedział chłopiec. (Skądinąd, skłonny był do przesady). „Jak będzie miał na imię?”

„Dingo”, odrzekł pan Berki.

„Dingo?”, zdziwił się chłopiec. „Nie podoba mi się to imię. Chciałbym, żeby mi pan wyjaśnił, co to znaczy”.

„To nazwa dzikiego psa australijskiego”, odrzekł pan Berki.

„O, bardzo mi się podoba”, powiedział na to chłopiec.

Moim panem oficjalnie był pan Berki, ale duszą i ciałem należałem do chłopca. Ze wszystkich ludzi na świecie z nim najbardziej się zgadzałem i najlepiej się porozumiewaliśmy. Myślę, że oprócz jego młodego wieku złożyły się na to niektóre nasze wspólne cechy. Wierzę, iż nie mijam się z prawdą, mówiąc, że mieliśmy wiele cech wspólnych: byliśmy leniwi, rozpuszczeni, wierni, żądni przygód... Sądzę, że nie jestem zbyt zadufany, twierdząc, iż ten chłopiec miał w sobie coś z psa; jeśli chodzi o jego powonienie i wrażliwość na zapachy, z pewnością się nie mylę. Połączyły nas samotność i smutek. Jego tęsknota za ojcem i moja tęsknota za rodzicami stworzyły między nami rodzaj przyjaźni opartej na pokrewieństwie. Kiedy zacząłem nagle rosnąć i zdobywać poważanie wśród wiejskich kundli jako mądry, uczony pies pewnego mądrego i mądrego pana, chłopiec nie czuł się już taki opuszczony, był coraz bardziej dumny ze mnie i pewny siebie. Nie tylko wyzbył się dzięki mnie wrodzonego strachu przed psami (ta choroba prześladowała także jego ojca), lecz w ogóle stawał się coraz odważniejszy, wiedząc, że ma we mnie oddanego, niezawodnego obrońcę. Z drugiej strony on nauczył mnie wielu rzeczy, dzięki którym

zyskiwałem poważanie. Potrafiłem przygnać zabląkane krowy, rozkopywać kretowiska (dla zabawy i zabicia czasu), gonić zające, odkrywać nory lisie i gniazda ptaków błotnych, chwycić dzikie kaczkę, żaby, motyle, węże. Chłopiec nauczył mnie nawet rozmawiać z nim w chwilach samotności...

Pamiętam, jak kiedyś, gdy zginęła nam krowa, Krasula, o mało nie poszliśmy w świat. Po drodze chłopiec powierzył mi trudne i odpowiedzialne zadania. Jedno z nich było takie, że czułem się jak gołąb pocztowy, nie jak pies... Kiedy byliśmy bardzo nieszczęśliwi, zaraz knuliśmy plany ucieczki w świat. W rzeczywistości nie dotarliśmy dalej niż za trzecią miedzę. Czasami chłopiec opowiadał mi albo czytał różne historie. Myślę, iż nie przesadzę, mówiąc, że nauczyłem się na pamięć powieści *Człowiek, koń, pies*, którą nieraz opowiadał pasterzom, często upiększając ją i niejedno dodając od siebie...

Nie, moje życie nie jest powieścią. Składa się z krótkich opowiadań, z mnóstwa drobnych zdarzeń, wesołych i smutnych, ale w tych opowiadaniach zawsze jest obecny chłopiec, tak jak ja jestem obecny w jego opowiadaniach.

Ostatnio zauważam, że posmutniał. Stał się w stosunku do mnie jakiś chłodny, ostrożniejszy. Widzę, że coś ukrywa...

Wkrótce, niestety, zrozumiałem, w czym rzecz, i znów ogarnął mnie dawny psi smutek. Chłopiec znowu szykuje się do ucieczki w świat, tym razem naprawdę. Nie ma co do tego wątpliwości. Rozumiem też, dlaczego mnie unika: chce sobie ułatwić rozstanie.

Rozchorowałem się z tego nagłego smutku. Wysiadam pod progami, żeby nie uciekł mi bez pożegnania. Ślęczę tak i rozmyślam o życiu.

Czuje, że tego rozstania nie przeżyję.

Auuu! Auuu!

List

Kochany panie Berki, piszę do pana z daleka. Pragnę pana pozdrowić i spytać o zdrowie. Powoli przyzwyczajam się do nowych kolegów w szkole, choć oni kpią sobie ze mnie z powodu mojej wymowy. Po nocach jeszcze mi się śni, że jestem tam, u was. Ostatniej nocy mama obudziła mnie, bo płakałem przed snem. Mama mówi, że to nostalgia, która szybko minie.

Kochany panie Berki, najprzejmiej proszę, żeby pan się ze mnie nie wyśmiewał po tym, co teraz napiszę: tej nocy płakałem przede wszystkim z powodu mojego psa Dingo. Ana też mi dokucza, mówiąc, że jestem zakochany w tym psie. Może to i prawda. Wierzę jednak, że pan mnie zrozumie.

Opowiem panu, jak ciężko mi było w dniu wyjazdu, jak to rozstanie mnie wstrząsnęło. Może pan pamięta, że przed samym wyjazdem zniknąłem i przyszedłem w ostatniej chwili, aż wszyscy na mnie krzyczeli. Powiem panu, gdzie wtedy byłem. Zaprowadziłem Dinga na brzeg Kerki, żeby się z nim pożegnać. Potem przywiązałem go paskiem do wierzby, a on się nie opierał, tylko skomlał. Chciał ze mną iść i prosił, żebym mu pozwolił, lecz powiedziałem, aby został, bo takie jest życie. I powiedziałem

jeszcze: wiem, że nigdy nie znajdę lepszego przyjaciela, ani wśród psów, ani wśród ludzi... Usłyszałem, że mnie wołają, więc pobiegłem, aby się z wami pożegnać. Pamięta pan, wszyscy płakaliśmy, moja mama i Ana, pana mama i pan. Wiedzieliśmy, że już nigdy się nie zobaczymy. Kiedy wóz ruszył, nie przestawałem płakać, serce mi się krajało. Wspominałem wszystkie spędzone z wami lata, mojego ojca, który nie wrócił z obozu, pana i pana mamę, nauczycielkę, panią Rigó, Bélé Hermana, Laciego Tótha, Julię Szabó i innych. Specjalnie się nie oglądałem w obawie, że jeszcze bardziej się rozryczę, kiedy ostatni raz zobaczę wieś, dzwonnice, Hrabiowski Las i wszystko. Ale nie mogłem się powstrzymać. I jak pan myśli, panie Berki, kogo zobaczyłem?... Za nami biegł Dingo i skomlał na cały głos. Teraz już popłakaliśmy się wszyscy, a ja prosiłem wujka Martina, żeby odpędził psa i jechał szybciej, bo nie mogłem znieść tego skomlenia. Dingo, niech pan sobie wyobrazi, był u kresu sił, gdyż biegł za nami aż do Csesztregu. Wysunął język, z pyska ciekła mu piana. Ja wciąż krzyczałem i szlochałem, a wujek Martin musiał wysmagać Dinga batem, aż w końcu pies się zatrzymał, właściwie zwałił się, wyczerpany, na drogę. Jeszcze gdy pociąg ruszył, wciąż patrzyłem przez okno i płakałem. Zdawało mi się, że słyszę jego skomlenie, że nadal za nami pędzi. To właśnie chciałem panu opowiedzieć i poprosić, drogi panie Berki, żeby pan napisał do mnie o wszystkim. Proszę napisać, jak się ma Dingo. I mam jeszcze jedną prośbę, tylko niech pan się ze mnie nie śmieje: żeby mu pan przeczytał ten list i powiedział, że to nie moja wina, nie mogłem go zabrać, ale nigdy o nim nie zapomnę.

Kiedyś, gdy zostanę poetą, napiszę o nim wiersz albo bajkę. W tej bajce pies będzie mówił. I naturalnie będzie wabił się Dingo. Proszę więc, panie Berki, żeby pan zechciał to zrobić. On wszystko zrozumie pod warunkiem, że będzie pan mu patrzył prosto w oczy i powtarzał moje imię. Proszę mu powiedzieć: „Andi, Andi. Andi cię pozdrowia”. Proszę mówić powoli, jak do małego dziecka. Zobacz pan, że zrozumie. Gdy usłyszy moje imię, zacznie skomleć. Będzie to znak, że wszystko rozumie.

Na koniec proszę jeszcze, żeby pan dbał o niego i żeby mu pan przyrzucił dobrą kolację za pieniądze, które posyłam. Dingo najbardziej lubi koninę (dosyć kościstą), a na pewno dostanie ją pan w Bakszy, u rzeźnika, pana Fejesa. Proszę także, aby nie wspominał pan w liście do mamy, kochany panie Berki, o tych pieniądzach (z moich oszczędności), bo Ana na pewno by się ze mnie wyśmiała. A najlepiej, żeby pan napisał do mnie osobiście, jeszcze raz bardzo proszę.

Pana i pana mamę oraz panią Rigó i wszystkich kolegów, a zwłaszcza Bélé Hermana, Laciego Tótha i Julię Szabó, często wspomina i najserdeczniej pozdrowia

wasz biedny
Andreas Sam, uczeń

Odpowiedź

Kochany mój Andi, cieszę się, że masz się dobrze i jesteś dobrym uczniem, jak widać z listu twojej mamy. A z twojego listu widać, że piszesz coraz lepiej i coraz ładniej. Wierzę, że kiedyś zostaniesz poetą, a sądząc po twoim

niezwykłym już ojcu, wam, Samom, nie brak fantazji. Co do twojej prośby, kochany mój poeto, mogę tylko powiedzieć, że chętnie bym ją spełnił, gdyby nie stało się było to, co wiem, że bardzo cię zasmuży.

Tamtego dnia, gdy wyjechaliście, Dingo wrócił zbity, zmęczony, długo skomlał i wył. Przez cały dzień nie tknął jedzenia, chociaż przynieśliśmy mu nawet wątróbkę. Tylko pił i pił, bardzo łapczywie.

Nazajutrz znaleźliśmy go martwego przed drzwiami.

Kochany mój A. S., nie smuć się zanedto, są w życiu gorsze rzeczy — przekonasz się, gdy dorośniesz. Mogę ci tylko wspomnieć, że ja też się zmartwiłem, to był naprawdę wspaniały pies, a mama nawet płakała. Jestem pewien, że to przebolejesz, a kiedyś nawet całkiem zapomnisz. Za pieniądze, które ci posyłam (są to odsetki), kup sobie wieczne pióro, spróbuj coś o tym napisać, wierszem albo prozą i przyslij mi. Jeżeli to będzie dobre, pokażę tekst twojej wychowawczyni, pani Rigó, która na pewno bardzo się ucieszy. Jeżeli twoja praca jej się spodoba, może ogłosi ją w „Dobrym Pasterzu”.

Pozdrawiają cię wszyscy koledzy.
Usłuchaj mnie i nie smuć się za bardzo.

Twój wujek Berki

Harfa eolska

Harfa jest instrumentem, który składniej niż jakikolwiek inny łączy w sobie formułę piękna (*perfectio prima*) i celowości (*perfectio secunda*); ma być zatem piękna dla oka, to znaczy zbudowana zgodnie z zasadami harmonii formalnej, lecz nade wszystko ma być przystosowana do swego podstawowego celu: do wydawania miłego dźwięku.

W dziewiątym roku życia miałem harfę. Składała się z drewnianego słupa telegraficznego i z sześciu par drutów rozpiętych na porcelanowych izolatorach, przypominających stłuczony serwis do herbaty. (Jeden z izolatorów wyszczerbiłem procą, zanim jeszcze w moim eolskim instrumencie odkryłem muzyczną funkcję tego serwisu z chińskiej porcelany).

Po opisie układu strojeniewego mogę się już zająć pozostałymi częściami instrumentu.

Aby zatem otrzymać harfę eolską, trzeba jeszcze (oprócz wspomnianych porcelanowych gałek do naciągania strun) mieć co najmniej dwa słupy telegraficzne ze zwykłych smołowanych pni sosnowych. Idealna odległość między pniami wynosi pięćdziesiąt metrów. Słup winien być długo (przynajmniej od pięciu do dziesięciu

lat) wystawiony na przemienne działanie deszczu, mrozu i skwaru, tak, by wskutek nagłych skoków temperatury (od +36°C do -22°C) drzewo pękło wzdłuż. A pęknie, jak zasmucone serce, gdy pojmie, że raz na zawsze przestało być pniem, drzewem, zieloną sosną, i raz na zawsze stało się słupem telegraficznym.

Kiedy zraniony, nadpęknięty pień zrozumie, że jest tu na zawsze, wkopany po kolana, i nie ma mowy o ucieczce, nie pozostanie mu nic innego, jak patrzeć w dal, ku lasom, które kiwiają mu głowami.

Wówczas pojmie także i to, że najbliższymi jego przyjaciółmi, przyjaciółmi i towarzyszami, są dwa inne pnie w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów na lewo i na prawo; tak samo zasmucone, wkopane po kolana w czarną ziemię.

Kiedy więc słupy połączy się drutami i zamiast zielonych gałęzi nałoży im na głowę ów chiński serwis do herbaty (sześć par odwróconych dnem do góry filiżanek, z których nie mogą pić nawet ptaki), wtedy zaczną śpiewać, zaczną grać na swych drutach. Wystarczy przytknąć ucho do słupa. Ale to już nie słup, teraz to jest harfa.

Niedoświadczeni czytelnicy (którzy nigdy nie przytkali ucha do drewnianego słupa telegraficznego) gotowi pomyśleć, że potrzebny tu jest wiatr. Otóż nie. Idealna pora dla takiej harfy to upalny dzień lipcowy, kanikuła, gdy powietrze migocze w spiekocie i łatwo o miraże; gdy pień jest suchy i dźwięczny, jakby był w środku pustej.

Omam nie zapomniałem: idealnym miejscem do ustawienia takiej harfy jest poblizko prastarej drogi. Ta, o której opowiadałem, stała przy Pocztovej Drodze, zbudowanej

w czasach, kiedy Panonię zamieszkiwali Rzymianie. Dzięki temu słup, czyli strojnica harfy, na podobieństwo anteny chwytął również dźwięki z dawnych czasów; melodie dobiegały z przeszłości i z przyszłości.

Struny obejmują całą oktawę w tonacji moll, która przez dominantę łatwo przechodzi w dur.

Tyle o samym instrumencie.

Teraz trzeba się tylko rozejrzeć, czy nikogo nie ma na Cesarskim Trakcie, nikogo w zbożu, nikogo w rowie, nikogo na horyzoncie. Jeżeli nadjeżdża wóz wyładowany sianem, lucerną czy zbożem, trzeba szybko skryć się w kalle odwadniającym i zaczekać, aż wóz przejedzie.

Już rozumiesz: niezbędna tu jest samotność. A poza tym, po co ludzie mieliby opowiadać, że jesteś stuknięty jak twój ojciec, i zastanawiać się, czemu przytykasz głowę do słupa. Ktoś gotów jeszcze posądzić ciebie o głupią wiarę, że w napęczniałym, wyschniętym słupie telegraficznym roją się pszczoły, i pomyśleć, że połakomiłeś się na miód. Ktoś może powie, że nasłuchujesz szumu nadlatujących alianckich samolotów i kogoś o tym powiadamy. A niektórzy mogą w swych fantazjach posunąć się jeszcze dalej i pomyśleć, że odbierasz z eteru tajemne przesłania.

Dlatego (między innymi) najlepiej jest sprawdzić, czy nikogo nie ma na Cesarskim Trakcie, nikogo w zbożu, nikogo w rowie, nikogo na horyzoncie.

Przyznaję, gdyby ktoś nieobeznany z muzyką przytknął ucho do słupa, naprawdę by mógł pomyśleć, że słyzy daleki warkot samolotów, i czym prędzej by uciekł do rowu; albo pobiegłby na łąkę na szyję, żeby powiadomić

wieś o nadlatującej eskadrze bombowców. Lecz jest to tylko pierwsze (mylne) wrażenie; to akompaniament, basy, w którym słuch chłopca rozpoznaje dźwięk czasu; z głębi czasu i historii dobiegają bowiem dźwięki jak od kwazarów, dalekich gwiazd. (Zapach topiącej się żywicy jedynie drażni powonienie, podobnie jak w świątyni, gdy spala się wonne zioła, drzewo sandałowe lub kadzidło).

Oto, co śpiewa chłopcu, który mocno zamyka oczy, oto, co mu śpiewa harfa do ucha: że wkrótce przestanie pracować u pana Molnára jako sługa; że jego ojciec nigdy już nie wróci; że opuści ruderę z klepiskiem zamiast podłogi; że w końcu dotrze do dziadka w Czarnogórze; że będzie miał nowe książki; że będzie miał 1500 ołówków, 100 wiecznych piór, 5000 książek; że wkrótce umrze mu matka; że spotka dziewczynę, którą będzie kochał wiecznie; że będzie podróżował; że zobaczy morza i miasta; że — zgłębiając odległą historię i czasy biblijne — będzie badał swe mgliste pochodzenie; że napisze opowiadanie o harfie eolskiej ze słupów telegraficznych i drutów.

PS Choć powstało jakieś piętnaście lat po ukazaniu się książki *Wczesne smutki*, opowiadanie *Harfa eolska* należy tematycznie do tego cyklu. Dlatego włączyłem je do zbioru, na końcu ballady, jako rodzaj lirycznego epilogu.

W lipcu 1983 r.
D. K.

ÖGRÓD, POPIÓL

że matka na chwilę odstawiła tacę i zdecydowanie ruszyła w stronę okna, by odsunąć ciemną zasłonę. Pokój rozjaśniał się wtedy rażącym blaskiem przedpołudnia i mocno zaciskałem powieki, dopóki blask ów nie przetopił się w żółć, błękit, czerwień. Na swojej tacy w słoiku z miodem, w butelce z tranem matka przynosiła bursztynowe barwy słonecznych dni, zgęszczone, upajające zapachy. Te słoiki i szklanki zawierały tylko próbki, specjalny z nieznanymi portów, do których zawijał rankiem nasz szalony statek. W szklance połyskiwała chłodna woda, próbka wody, którą popijaliśmy ze zjawstwem, małymi łykami, cmokając niczym wytrawni degustatorzy. Niekiedy za pomocą grymasów i pokaszliwania okazywaliśmy niezadowolenie: woda była bez smaku, zawiesista jak deszczówka, pełna jesiennego osadu, a miód tracił kolor, stawał się gęsty i mętny, zaczynał się scurzczać. W deszczowe dni, pośepne i chmurne, na trzonkach łyżeczek zostawały ślady naszych palców. Osowiali i marotni, nie chcieliśmy wówczas wstawać i znów kryliśmy się pod przytulne kołdry, żeby przespać dni, które zaczynały się psuć i pachnieć jak nieświeże ryby.

Na naszej ulicy kasztanowce stykały się rozpostartymi gałęziami, tworząc jakby podcienia. Między tymi olbrzymimi arkadami rozciągało się sklepienie obrośnięte liśćmi niby bluszczem. Gdy przypadało zrównanie dnia z nocą albo w zwykłe bezwietrzne dni ta śmiała konstrukcja wznosiła się pewnie i nieruchomo, niekiedy tylko słońce na próżno rzucało swe włócznie w gęstwinię liści. Przebiwszy się przez gałęzie, czas jakiś drgały jeszcze własnym

rozpędem, ukośne i krzyżujące się, potem topniały i skapywały na wybrukowaną kocimi łbami ulicę, jak krople płynnego srebra. Przechodzimy pod tymi uroczystymi arkadami, uroczystymi i pustymi, spiesząc w stronę śródmieścia. Cisza, pełna powagi cisza świątecznego przedpołudnia. Za spuszczoneymi zakurzoneymi żaluzjami śpią jeszcze urzędnicy pocztowi i ekspedienci. Idąc koło niskich okien na parterze, spoglądamy na siebie znacząco i uśmiechamy się z należytych respektami: poprzez ciemne, falujące zasłony i miechy harmonijek-żaluzji słychać chrapanie najbardziej zawziętych śpiochów. Płyną wielkie statki snu po ciemnych wodach Styksu, obracają się koła zamachowe silników. Chwilami wydaje się, że zagraża im jakieś uszkodzenie, katastrofalna awaria. Maszyna rzeźi, jakby statek trafił na podwodną skałę, gubi rytm, zwalnia. Lecz oto widocznie uszkodzenie usunięto, a może w ogóle go nie było. Płyniemy z prądem, z szybkością trzydziestu węzłów. A obok zaspanych śpiochów stoją duże metalowe budziki, prostując się na dwóch nogach jak koguty, dziobią drobne ziarno minut, by wkrótce — nasycone do granic wytrzymałości, spasionie i złe, wpierając się nogami w marmurowe blaty szafek nocnych — zapaść triumfalnie, aż zachwieją się ich krwiaste grzebienie.

Zza rogu naprzeciw koszar wyłania się Freulein Weiss ze swymi kartonowymi pudełkami. Spod wystrzępionej sukni wystają chude, sękaty nogi w pomarańczowych skarpetkach. Freulein Weiss, stara Niemka, sprzedaje karmelki z palonego cukru. Chwiejąc się, przygięta ciężarem,

pełnie pod swoimi pudełkami, zasłonięta nimi i przywiązana do nich papierowym sznurkiem, tak że wystaje tylko głowa, jakby własną głowę trzymała w pudełku pod pachą. Starość i choroby upodobniły jej twarz do zmaconej kałuży. Zmarszczki promieniście rozchodzą się od ust, które przesunęły się na sam środek twarzy i przypominają ranę na dłoni Jezusa. Tu, w tej wielkiej starej odległości, znajduje się gwiaździste zlewisko wszystkich kanałów jej zmarszczek. Patrzcie, dzieci, ta sterta ogryzionych kości, to pełzanie i charczenie — to kapitalny romans za trzy grosze, ostatni rozdział zniszczonej książki, pełnej świetności, klęsk i triumfów. Jedna z ocalałych ofiar monstrialnej katastrofy Titanica, Freulein Weiss, usiłowała kiedyś popełnić samobójstwo. Wzorem pewnej słynnej aktorki poleciła swój pokój w hotelu usłać kwiatami. Mali chłopcy na posyłki i boye hotelowi, niby aniołki, przez cały dzień znosili naręczą najwonnejszych kwiatów, aż windy zamieniły się w wielkie wiszące ogrody, które wznosiły się ku niebu ciężkie od zapachów i wracały z zawrotną szybkością, całkowicie zatraciwszy orientację. Tysiące róż, goździków, hiacyntów, peonii i bzów, setki białych lilii padły tego dnia ofiarą. A jej dusza, uszpiona zapachami i zmieszana z nimi, miała unieść się w powietrze, wyzwolona z ciała, ku rajskiemu ogrodowi różanym albo przemienić się w kwiat, w peonię... Nazajutrz znaleziono ją nieprzytomną wśród morderczego kwiecia. Potem, jako ofiara zemsty boga kwiatów, wpadała pod samochody i tramwaje, przetaczały się po niej chłopskie fury i szybkie dorożki, za każdym razem jednak wyciągano ją spod kół poturbowaną, ale żywą i w ten sposób,

w tych zapamiętałych spotkaniach ze śmiercią, poznała tajemnicę wieczności. Postępując, wydając jakieś głębokie, żalodne dźwięki, podobne do płaczu dziecka, przechodzi koło nas, jakby się odwracały kartki wystrzępionego romansu... *Gut'n Morgen, Freulein Weiss. Küss die Hand!*

Nieco dalej wyrostki-*volksdeutsche*, w krótkich skórzanych spodenkach, z plecakami, wybierają się na niedzielną wycieczkę. Na ich muskularnych łydkach połyskuje żółtawa szczecina, u pasów wiszą piękne fińskie noże o rękojeściach z drzewa różanego. Grają na organkach, małpując świerszcze. Przed narożną cukiernią z trzaskiem otwierają butelki różowawej lemoniady o zapachu wody kolońskiej. Potem znowu wtykają organki w rybie usta i jednym zaciśnięciem silnych szczęk rozgryzają je na trzy kawałki. Na opustoszałych świątecznych ulicach mijają się w bezmyślnym krążeniu wagony tramwajowe, niebieskie, żółte i zielone, grają melodyjnie na swoich lirach, dzwoniąc cienko, gdy przetnie im drogę zawieszista pustka, ściśnięta w wąskim gardle dalekiej perspektywy miejskich ulic.

Wkrótce docieramy do małej czerwonej kolejki, która latem przewozi plażowiczów nad rzekę, a wiosną i jesienią gna w pola i lasy, kierując się już tylko własnym nastrojem i upodobaniami. Ów miniaturowy pociąg z piękną lokomotywką przypomina sznur czerwonych biedronek. Wagony tłoczą się, zderzają i ta wielka harmonia koloru malin wygrywa melodię *kola*. Potem ta ważka, ta jarmarkowa atrakcja, sapiąc i brzęcząc, nabiera rozpędu, a maki w zbożu za torem kreślą długie, rwące się linie, jakby narysowane czerwoną kredką.

Coraz bardziej kręci mi się w głowie, matka bierze mnie za rękę. Idę z zamkniętymi oczyma. Pod mocno zacieniętymi powiekami wybuchają jeszcze płomieniem pęki kolorowych sztucznych ogni. Do zamku zbliżam się na ślepo, prowadzony ręką matki, od czasu do czasu ocierając się ramieniem o pień jakiegoś drzewa.

Zdyszani zatrzymujemy się przy ogrodzeniu i wyciągamy ręce przez kraty. Z cieniściego parku wysuwa się najpierw jeleni, a za nim łania o dużych ciemnych oczach. Stąpając i zachowując się z godnością, wychodzi ze swego wytornego więzienia ta para o manierach nieco już zblazowanych jak u pańskich dzieci wracających z lekcji muzyki, wylania się z gęstego leszczynowego zagajnika, z mrocznych, tajemniczych zakątków hrabiowskiego parku. Jeleni i łania o smukłych nogach, z ciemną wilgotną plamą nozdrzy, podchodziły do ogrodzenia i brały cukier z rąk mojej matki.

Z inercji i przyzwyczajenia odwiedzaliśmy zamek w ciągu całego tego lata. Był zupełnie opuszczony, więc prawem kaduka zaczęliśmy go uważać za naszą własność, nawet matka mawiała nie tylko „nasze jelenie”, ale „nasz zamek”, chociaż nigdy nie wetknęliśmy nosa za ogrodzenie z żelaznych, spiczastych jak włócznie sztachet i nigdy nie naruszyliśmy jego integralności, samotności, dostojeństwa. Moja matka i ja sądziliśmy po prostu, że opuszczony zamek, odsłaniający ciekawemu oku piękno ruin, możemy uznać za część naszego bogactwa i w tym sensie przywłaszczyć go sobie, podobnie jak przywłaszczaliśmy sobie złoto słonecznego lata. Traktując odkrycie

zamku jako własną zasługę, strzegliśmy tajemnicy i nie zdradzaliśmy nikomu, gdzie spędzamy niedziele.

Były to już ostatnie dni lata, dni przełomowe, właściwie półlato, półjesień. Ranek pozwalał jednak wierzyć, że lato jest jeszcze w pełni, a rumieńce liści są tylko następstwem długotrwałej spiekoty. Przed domem powoli zaczynały się już kruszyć łupiny kasztanów, dawno pozbawione owoców, a liście, tu i ówdzie pożółkłe i pachnące jak tytoń, niezdecydowanie odrywały się od gałęzi. Moja matka uważała, że możemy zaufać barwie nieba — akwamarynowej — i obietnicy porannego słońca.

A jednak kiedy stanęliśmy na moście, miała jakieś dziwne przecucie zbliżającej się ofensywy jesieni i rzeczywistości: Dunaj był zdumiewająco inny, mętnozielony, pełen podejrzanego osadu, który świadczył o ulewach gdzieś w górach Schwarzwaldy. Nie ufając więc bezchmurnemu niebu, ruszyliśmy szybko do czerwonej kolejki, bo w powietrzu wyczuwało się zapowiedź deszczu. Decyzja nasza była bez wątplenia rozsądna — dzięki niej zdążyliśmy na ostatni tego lata kurs kolejki. Na tak uroczystą okazję przystrojono ją wstęgami z karbowanej bibułki i kwiatami polnymi, a jakiś pan w meloniku, prawdopodobnie przedstawiciel władz wojewódzkich, wygłosił mowę, zdaniem mojej matki dowcipną i wzruszającą. „Proszę państwa — powiedział — na cześć tego ostatniego w sezonie kursu, przedsięwzięcia tak zbawiennego dla higieny, dla zdrowia i na chwałę tradycji naszego miasta Czerwona Kolejka powiezie dziś wszystkich pasażerów... wszystkich pasażerów...”. Oklaski i okrzyki „niech żyje mównca”, a także radosny wrzask

dzieci zagłuszyły ostatnie jego słowa, po mieście bowiem chodzący słuchy, że tradycyjna uroczystość nie odbędzie się w tym roku ze względu na ogólną sytuację polityczną, nakazującą przezorność i oszczędność.

Sprawdziły się obawy mojej matki. Ledwo znaleźliśmy się w pobliżu zamku, gdy nagle nad Fruszką Górą zaczęło się chmurzyć. Nie zdążyliśmy nawet zawołać łani i jelenia, a już lunął deszcz.

Ruszyliśmy na przełaj biegiem przez las. Deszcz głośno bębnił po liściach, które, o dziwo, kruszyły się i rozpadały, tak że wyszliśmy z lasu przemoknięci do nitki, upojeni ozonem. I naraz okazało się, że zbłądziliśmy. Na próżno matka starała się to przed nami ukryć. Ulewa całkowicie odmieniła wygląd okolicy... Moja matka przeżegnała się i przystanęła na chwilę. Z lasu nadciągało z impetem konnicy, spowite mgłą, stado czarnych bawołów, pragnących tym samobójczym pędem przeciwstawić się atakowi ulewy, zagłuszyć szyderczy chór żab. Zwartym szpalem, z rogami nastawionymi jakby do ataku bawoły wypadły z lasu i ciężkim, pruskim krokiem, nieustraszenie, ruszyły ku bagnom. W tej chwili deszcz ustał i tylko dzięki temu zdołaliśmy jakoś dobrać do drogi. Stąd mogliśmy jeszcze dostrzec, jak bawoły giną w trzęsawisku, w tej przebiegłej pułapce. Tonęły szybko i bezradnie.

Moja matka, poruszona okropnym widokiem i świadoma niebezpieczeństwa, którego zdołaliśmy uniknąć, przeżegnała się po raz drugi...

Gdy wróciliśmy do miasta, wszędzie już została ogłoszona ofensywa jesieni. Wielkie żółte plakaty nawoływały ludność do porządku i posłuszeństwa, a z samolotu

rzucano propagandowe ulotki — czerwone i żółte — które butnym językiem zwycięzcy zapowiadały nadchodzącą zemstę.

„Umarł twój wujek” — powiedziała matka. Głośniejsze niż zazwyczaj pobrzękiwanie srebrnej łyżeczki o oddzwaniający kryształ zdradzało drżenie jej rąk, otworzyłem więc oczy, aby przekonać się o słuszności mego podejrzenia. W rażącym świetle słońca twarz jej wydawała się blada, jakby wypudrowana, tylko oczy obwiedzione były czerwonymi kręgami. Wyczuła moje zmieszanie i wyszeptła, nawet nie patrząc: „Ty go nie znałeś”. Pomyślałem, że sama jest jakby zdziwiona i poruszona faktem, iż ta niespodziewana śmierć udaremniła znajomość pełną obietnic. Nadążając za tokiem swoich lub moich myśli, dodała: „I nigdy go już nie zobaczysz”. Słowo „śmierć”, Boskie nasienie rzucone tego rana w głębę mojej ciekawości, zaczęło naraz wysysać wszystkie soki mego umysłu, choć w pierwszej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy. Bardzo szybko wystąpiły objawy owego przedwczesnego zapłodnienia: zawrót głowy i nudności. Na pozór całkiem niezrozumiałe, słowa matki uprzytomniły mi, że kryje się za nimi jakaś groźna, szaleńcza myśl. Za zgodą matki wyszedłem ze spuszczoną głową odetchnąć trochę powietrzem, ale była to tylko próba ucieczki. Oparłem się o ścianę naszego domu. Poprzez ogołocone gałęzie kasztana patrzyłem w niebo. Dzień był zwyczajny, jak wszystkie inne. I wtedy, nagle, poczułem jakiś dziwny strach, nieznanym dotąd ciężar i zamęt w żołądku, jakby w moich

kiszkach grasował rycynus. Półprzymkniętymi oczyma patrzyłem w niebo, jak pierwszy człowiek, i myślałem, że umarł mój wujek, że go teraz zakopią i nigdy go już nie poznam. Stałem jak skamieniały, przyszło mi do głowy, że któregoś dnia ja też będę musiał umrzeć. Jednocześnie z tą myślą, która w pierwszej chwili nie przeraziła mnie nadmiernie, gdyż wydawała się niewiarygodna, pojąłem z rozpaczą, że i moja matka umrze pewnego dnia. Wszystko to naraz zwały się na mnie, rozbłysło na moment jakimś liliowym światłem, i ze wzmożonej nagle aktywności kiszek i serca zrozumiałem, że to, co w pierwszej chwili wydawało się tylko domysłem, jest prawdą. Dzięki temu stało się zupełnie jasne, że kiedyś umrę i ja, i moja matka, i ojciec, i moja siostra Ana. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak to któregoś dnia umrze moja ręka, jak umrą moje oczy. Przypatrując się ręce, uchwyciłem na dłoni własną myśl, związaną z ciałem i nieodłącznie od niego. Ze zdumieniem i zgrozą uświadomiłem sobie wówczas, że jestem chłopcem nazwiskiem Andreas Sam, którego matka pieściotliwie nazywa „Andi”, że ja jedyny mam to imię i nazwisko, ten nos, ten smak miodu i tranu w ustach, że mnie jedynemu w świecie wujek umarł wczoraj na gruźlicę, że ja jedyny mam siostrę Anę i ojca Edwarda Sama i ja jedyny na świecie myślę w owej chwili właśnie o tym, że jestem jedynym chłopcem o nazwisku Andreas Sam, którego matka pieściotliwie nazywa po prostu „Andi”. Bieg moich myśli przypomni mi kupione kiedyś przez siostrę pudełko pasty do zębów, na którym namalowana była roześmiana panienka trzymająca w ręce pudełko,

na którym roześmiana panienka trzyma w ręce pudełko — ta gra luster męczyła mnie i wyczerpywała, gdyż wbrew mojej woli nie tylko nie pozwalała zatrzymać się myślom, lecz nieustannie rozdrabniała je na coraz bardziej miałki, unoszący się w powietrzu pył, w którym widać roześmianą panienkę trzymającą w ręce pudełko, na którym panienka, ach, panienka...

Z początku łatwiej mi było znosić myśl o własnej śmierci — w którą po prostu nie chciałem uwierzyć — niż myśl o śmierci matki. Jednocześnie uprzytomniłem sobie, że właściwie nie będę świadkiem mojej śmierci, podobnie jak nie jestem świadkiem moich snów, i trochę mnie to uspokoiło. Zacząłem też wierzyć we własną nieśmiertelność. Sądziłem, że skoro znam już tajemnicę śmierci, to znaczy wiem o jej istnieniu — które w duchu nazwałem „tajemnicą śmierci” — tym samym odkryłem również tajemnicę nieśmiertelności. Dzięki tej wierze, dzięki złudzeniu własnej wszechmocy zdołałem się uspokoić i nie odczuwałem już strachu przed śmiercią, gnębił mnie tylko jakiś łzawy żal z powodu śmierci mojej matki. Mimo wszystko bowiem nie byłem aż tak naiwny, żeby uwierzyć, iż uda mi się obronić przed śmiercią i ją, i moich bliskich. To niedorzeczne prawo rezerwowałem jedynie dla siebie nie z samolubstwa, ale z przekonania, że na tak wielką chytrłość nie potrafię się zdobyć, starczy jej ledwie dla mnie samego.

Długo nie mogłem usnąć. Tej nocy po raz pierwszy zjawiała się zmora, która męczyła mnie potem w ciągu całego dzieciństwa. Myśl o śmierci osaczała mnie zwłaszcza

wieczorami, przed zaśnięciem, zwlekałem więc z położeniem się do łóżka, bałem się zostać sam w pokoju. Słyszac moje majaczenie i krzyki przez sen, matka zorientowała się, że gnębi mnie jakiś dziecięcy strach, i wyraziła zgodę, abym usypiał kołysany aksamitnym głosem panny Edith, epileptyczki. Byłem już dość duży, w następnym roku miałem pójść do szkoły, więc wszyscy śmiali się z mojego przywiązania do matki, nawet panna Edith, która przyznawała, że sama jest we mnie zakochana. Matce jednak sprawiało radość moje oddanie i zawsze brała mnie w obronę, twierdząc, że jestem nadmiernie wrażliwy, z czego cieszy się, bo być może nie będę egoistą, jak ojciec, ale jednocześnie martwi się bardzo o moją przyszłość. Gdy goście się rozchodzili, spałem już na jej kolanach, zapomniawszy na chwilę o swym zadaniu, czyli o tym, jak pewnego dnia będę musiał być przy śmierci matki. Ułoży ją na posłaniu z kwiatów — jak zeszłego roku panią Melanię — a ja na próżno będę ją wołał i całował. Potem zanoszą ją na cmentarz i pochowają pod różami... Tej myśli nigdy nie mogłem domyśleć do końca. A gnębiąca mnie zmora przejawiała się między innymi właśnie w wysiłku, z jakim starałem się przerwać tę myśl. Kiedy bowiem myślałem o śmierci, a zdarzało się to zawsze po zgaszeniu światła, myśl ta rozwijała się sama przez się, jak bela czarnego jedwabiu zrzuciona z okna na trzecim piętrze. I siłą własnego ciężaru nieuchronnie snuła się coraz dalej...

Najpierw klękałem w niebieskiej piżamie obok mojej siostry Any i modliłem się do Boga szeptem, zapatrzony w postać anioła, który czuwa nad dziećmi

przechodzącymi przez mostek. Tę tanią kolorową litografię w cienkich złotych ramkach dostała moja matka, gdy urodziła się Ana. Przez mostek idzie dziewczynka z bukietem polnych kwiatów i chłopiec w krótkich spodenkach. Mostek jest już zmurszały, belki wyszczerbione, a w dole otwiera się przepaść, w której huczy spieniony potok. Nadchodzi wieczór, zanosi się na burzę. Dziewczynka jedną ręką przytrzymuje na głowie słomkowy kapelusz, chłopiec kurczowo chwyta się wykrzywionej poręczy. A nad nimi, nad ich niepewnym krokiem, nad tą fioletową ciemnością unosi się z rozpostartymi skrzydłami Anioł Stróż, Dobra Wróżka dziecięcych snów, kobieta-motył, *Chrysidia Bellona*. Spod różowej sukni widać tylko palce niebiańskich stóp, a tęczę skrzydeł wieńczy płomienista jasność. Matka mawiała często, że ów chłopiec i dziewczynka to ja i moja siostra; przez długi czas wierzyłem, że to naprawdę my, błądzący we śnie po tej okolicy pod skrzydłami naszego Anioła Stróża... Wpatrzony w obrazek nad łóżkiem, modliłem się półgłosem. Kiedy odmówiłem Ojczy Nasz i jeszcze jedną, troskliwie przez matkę ułożoną modlitwę, której sobie nie przypominam, leżąc już pod naciągniętą na głowę kołdrą, gorąco prosiłem Boga, aby dał długie życie mojej matce i wszystkim najbliższym. Modlitwa ta była w istocie myślą o śmierci, toteż zaczynałem drzeć ze strachu i z wysiłku, żeby o tym zapomnieć, ale coraz bardziej ogarniało mnie zmęczenie, więc by powstrzymać nagle spadanie czarnego jedwabiu, zaczynałem liczyć, byle tylko nie myśleć, byle nie pozwolić tej myśli rozwinąć się do końca. Aż którejs nocy, gdy byłem już

zmożony tym wysiłkiem i sennością, przyszedł mi do głowy piekielny pomysł. Dobrnąłem właśnie do sześćdziesięciu — umiałem wtedy liczyć do dwustu — gdy nagle liczba ta pojawiła się w mojej świadomości nie jako zwykła liczba bez treści, będąca po prostu jednym z paciorków dziecięcego różańca, odmawianego po to tylko, żeby prędzej zasnąć — podobnie jak raz za razem powtarzamy jakieś słowo, usiłując poprzez brzmienie dotrzeć do jego treści, do przedmiotu, który oznacza, lecz w pewnej chwili właśnie treść zatracą się w dźwięku, rozlewa się jak ciecz i zostaje tylko puste kryształowe naczynie słowa — ale, na zasadzie odwrotnego procesu, jedna z liczb stała się pucharem, na którego dnie unosił się ciemny osad treści, stała się w pewnej chwili ilością lat i przez to inne liczby nabrały tego samego znaczenia: określały długość życia mojej matki. Dwieście lat — cóż to za wiek dla matki chłopca, który postanowił wywinąć się śmierci nie jak jaszczurka, ale jak człowiek, który ma, który będzie miał niezawodny plan — wykluczający przypadkowość oraz improwizację — obmyślany i przemyślany w ciągu całego życia. Liczyłem więc do dwustu i znów od początku do dwustu. Fakt, że — jak mówiła Ana — można liczyć przez całe życie, ale i tak nie dojdzie się do ostatniej liczby, bo po każdej z nich następuje jeszcze jedna, wyraźniej tylko uprzytamniał mi bliskość i nieuchronność śmierci mojej matki, gdyż liczby oznaczały lata, a bezlitosny wynik operacji matematycznej, którą przeprowadziłem tej samej nocy, świadczył, że moja matka nie może już żyć dłużej niż siedemdziesiąt do osiemdziesięciu lat, ponieważ ma

ponad trzydzieści pięć, a najstarsi ludzie, gdzieś tam w Rosji — jak twierdzi pan Gawanski — żyją najwyżej do stu dwudziestu lat. Zmęczony liczeniem i myślami, pogrążyłem się nagle w otchłań wieczności, a ostatnią pocięchę, że nie rozbiję się o jakąś podwodną skałę, przynosiła ręka mojej matki, której obecność wyczuwałem ostatnim atomem udręczonej świadomości...

PEWNEGO WIECZORU, pocałowawszy mnie i zapaliwszy na szafce nocnej lampkę, abym się nie bał, moja matka powiedziała, że za parę dni czeka nas podróż pociągiem. Zrobiła to świadoma wrażenia, jakie wywrą jej słowa, wiedząc, że rozmyślania o podróży pochłoną mnie bez reszty, zmęczą jak zabawa i zasną, już teraz kołysany stukotem kół i wyciem lokomotywy. Potem, w północy, słyszałem, jak matka wchodzi powoli i widząc, że jeszcze nie zasnąłem, szepce: „Spróbuj sobie wyobrazić, że już jedziesz”. I wówczas nagle — ponieważ obecność mojej matki odegnała wszelkie inne myśli i strach przed śmiercią — moje łóżko, matka i ja, flakon z kwiatami, szafka nocna z marmurowym blatem i szklanką wody, pudełko papierosów symfonia, anioł czuwający nad dziećmi, maszyna Singera, nocna lampka, szafy i zasłony, cały nasz pokój ruszył w podróż jako wagon pierwszej klasy i niebawem uśpiło mnie to magnetyzujące złudzenie, a we śnie przesuwali się obok stacje kolejowe i miasta, których nazwy ojciec wymawiał w gorączce, mającąc. Mój ojciec przygotowywał bowiem w tym czasie trzecie czy czwarte wydanie jednej ze swych niezwykle poetycznych książek, słynnego

wówczas *Rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*. Spowity błękitnawym dymem symfonii, z nabiegłymi krwią oczyma, podmieniany i podchmielony, geniusz podróży, Ahaswer — był jak poeta spalający się w ogniu twórczego natchnienia.

Rano przytomnieję powoli, nie wiem jeszcze, gdzie jestem i kim jestem, budzę się jak ptak, jak jaszczurka. Lecz nagle jakieś wewnętrzne uniesienie, jakaś dziecinna muzyka, która wypełnia pokój i przenika do mojej świadomości, przypomina mi wczorajsze słowa mojej matki, nie usiłuję więc otworzyć oczu, poddaję się temu uniesieniu. Słyszę, jak Ana mlaska, obracając językiem ostatnie kęski chleba — więc z przymkniętymi oczyma mówię do Any: „Jutro jedziemy”, pragnąc, by mi przytaknęła, pomogła upewnić się, że to nie sen. Zanim jednak Ana powie, że wiedziała o tym wcześniej niż ja — matka mówiła jej to już dawno, tylko mnie nie chcieli na razie wtajemniczać, żebym się zaudał i nie przejął i nie zaudał pytaniami — słyszę, jak matka miele w młynku mak, czuję dolatujący z kuchni zapach wanilii i nie wątpię już w prawdziwość naszej podróży. Bowiem strucla z makiem oznacza u nas podróż. Szybko wstaję, idę do kuchni pomóc matce i zebrać łyżeczką z dna rondla warstwę maku. Dzień mija w świętecznej gorączce. Ana zawija jajka na twardo w papierowe serwetki, nasza żółta waliza ze świńskiej skóry leży już na stole. Pachnie garbowaną skórą i klejem, a na wewnętrznej stronie wieka mieni się i połyskuje żółto-brunatna jedwabna podszełka — zapach mięty, naftaliny i wody kolońskiej...

Rzeczy już spakowane. Waliza ściągnięta paskami. Obok torba podróżna i termos. Strucla z makiem wypełnia zapachem cały pokój: wyzwala się z niej dusza stworzona z pyłu egzotycznych roślin, wanilii, cynamonu i maku, a przyprawę te, których pochodzenie jest mi całkowicie nieznane, swym ceremonialnym umiarem, przywodzącym na myśl balsamowanie, świadczą o podniosłości podróży, której zostały złożone w ofierze jak kadzidło.

Wieczorem, kiedy się kładziemy, mój ojciec po ciemku pali papierosa; widzę, jak wokół jego głowy krążą rozrzone robaczki świętojańskie, błyszczące świetliki geniuszu. Utwierdzam się w przekonaniu, że tej nocy nie będę mógł zasnąć, wydaje mi się, że wkrótce zacznę śniwać, tak długo już leżę bezsennie, unoszę więc głowę, aby sprawdzić, czy inni śpią, czy tylko udają, i naraz czuję, jak głowa opada mi ze zmęczenia, i wiem już, że jednak zasnę przed świtem. Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak to się dzieje, że sen przychodzi tak nagle, bez mojej wiedzy i woli, i co noc zasypiając, nie potrafię uchwycić momentu, gdy anioł snu — ten wielki nocny motyl — zamyka mi skrzydłami powieki. Zaczynam więc czatować na tę chwilę. Chciałbym raz przynajmniej być świadkiem nadejścia snu — podobnie jak postanowiłem, że któregoś dnia będę świadomie uczestniczył w nadejściu śmierci — złapać za skrzydła anioła snu, kiedy po mnie przyjdzie, złapać go w dwa palce jak motyla, którego cichaczem udało się podejść. Posługuję się właściwie metaforą, bo mówiąc „anioł snu” — podobnie jak wtedy, w latach dzieciństwa, gdy wierzyłem jeszcze w anioła snu — mam na myśli ów

moment, w którym ze stanu przytomności przechodzi się w stan narkozy. Długi czas uważałem — jak sądzę, całkiem słusznie — że następuje to nagle; organizm usypia stopniowo, powoli, świadomość natomiast musi zatonąć nagle, jak kamień. Chcąc zatem złowić anioła snu w podstępną pułapkę, pozwalałem sobie zasypiać, starałem się nawet ze wszystkich sił zasnąć, a potem, zrywem godnym dorosłego, podnosiłem głowę w ostatniej chwili, sądząc, że przyłapałem się w momencie zapa d a n i a w s e n. Niekiedy budziłem się po dziesięć razy, ostatnim przeblyskiem świadomości, resztką woli człowieka, który pewnego dnia ma przechrzyć śmierć. Owe zmagania ze snem były po prostu przygotowaniem do wielkiej wojny ze śmiercią, chociaż nigdy jakoś nie mogłem trafić na właściwy moment, gubiła mnie niecierpliwość i nie udawało mi się zajrzeć w sen, a to przecież było moim celem; przytomniałem zazwyczaj tuż przed bramą snu, anioł zaś uciekał, krył się za wezglowiem, w mysiej dziurze, nie wiadomo gdzie. Kiedyś jednak, jedyny raz, wydało mi się, że złapałem sen na gorącym uczynku, inaczej mówiąc *in flagranti*. Powtarzałem sobie, myślałem w duchu: „Czuwam, czuwam” i czekałem jak w zasadzce, żeby ktoś, anioł snu czy Bóg, zaprzeczył prawdziwości tej myśli, podważył ją, unicestwił. Pragnąłem się przekonać, kto to jest i w jaki sposób potrafi nagle zatrzymać bieg moich myśli, a właściwie to jedno proste zdanie, tę nagą myśl, której nie chciałem oddać bez walki. Zmęczony wysiłkiem i czujnym trwaniem przy tej myśli, widząc, iż anioł snu nie przychodzi, aby jej zaprzeczyć — prawdopodobnie świadom faktu, że na niego czyham — uciekałem się

do podstępu: przestawałem ją powtarzać, żeby anioł snu uwierzył, iż wyczerpany i senny, postanowiłem poddać się bez oporu, z zamkniętymi oczyma. Ale i to nie było łatwe, bo prosta myśl „Czuwam, czuwam” snuła się sama siłą inercji, a im usilniej starałem się ją przerwać, tym bardziej była natarczywa (podobnie czasem starałem się nie słyszeć tykania budzika na szafce nocnej przy łóżku, ale właśnie wtedy dochodziło ono do mojej świadomości i wyraźnie je słyszałem). Kiedy wreszcie udawało mi się naprawdę zapomnieć o „czuwaniu”, zapadałem w sen, nie wiedząc nawet jak (podobnie tykania budzika udawało mi się nie słyszeć tylko wtedy, gdy o nim nie myślałem albo gdy już zasnąłem). Ale, powtarzam, jeden jedyny raz zdołałem ocknąć się właśnie w chwili, kiedy skrzydła, jak cień, przesłoniły mi oczy i owiał mnie jakiś upojny zapach: mówiąc ściślej, obudziłem się w momencie, gdy anioł snu przyszedł po mnie, ale nie zobaczyłem nic, niczego się nie dowiedziałem. Zrozumiałem wreszcie, że obecność mojej świadomości i anioła snu wzajemnie się wykluczają, mimo to długo jeszcze prowadziłem tę wyczerpującą i niebezpieczną grę. Pragnąłem, powiadam, świadomie uczestniczyć w nadejściu snu, powodowany strachem i ciekawością, podobnie jak postanowiłem któregoś dnia świadomie uczestniczyć w nadejściu śmierci i w ten sposób ją pokonać. Przyczaję się, a kiedy niedźwiedz-śmierć przyjdzie mnie obwąchać, niech jej się wydaje, że już jestem martwy.

Nagły, cierpki głos budzika wdarł się w moją świadomość jak błysk światła — i przyłapałem się w stanie

wyczerpania, całkowitej klęki. Chociaż natychmiast uprzytomniłem sobie, że budzik zadzwonił po to, by triumfalnie obwieścić porę długo wyczekiwanej podróży, wskutek zmęczenia i zemsty anioła snu — którego chciałem złapać za skrzydła — leżałem z głową schowaną pod koldrę i w pierwszej chwili nie miałem ochoty budzić się ani jechać, wydawał mi się bowiem niezastąpiony ten stan wewnętrznego spustoszenia, w którym znajdowało się moje ciało i moja świadomość, pogrążona niby w jakiejś ciepłej, pachnącej cieczy. „Andi, Andi, już czas — słyszę głos matki. — Zapomniałeś? Dziś jedziemy!”. Z wolna przychodzę do siebie, nie otwierając oczu, pozwalam zdjąć sobie piżamę i zmoczyć czoło. Podczas gdy mama mnie czesze, głowa ze zmęczenia opada mi na jej ramię.

Nastrój mój zmienia się jednak błyskawicznie, gdy wypityszy filiżankę ciepłej białej kawy, spostrzegam przed naszym domem dorożkę, ciemnofioletową w poświęcie księżycy i wstającego brzasku, wielką jak statek. Powietrze chłodne, konie pachną sianem i bzem. W świetle latarni dorożkarskiej widzę pod nogami konia dymiącą kupkę żółtego nawozu. Sadowię się pomiędzy matką i Aną na tylnym siedzeniu pod skórzaną budą. Ojciec siada na koźle obok dorożkarza. Przed nami leży żółta waliza ze świńskiej skóry; nogi owijamy grubym płedem z wielbłądziej wełny, pachnącym koźmi i moczem. „Czy czegoś nie zapomnieliśmy?” — pyta moja matka. „Ja mam termos” — mówi siostra. Wówczas matka spogląda w niebo i robi znak krzyża. „Zdaje mi się, że wzięliśmy wszystko”. Twarz jej przybiera wyraz zadowolenia: na niebie łśni pełnia, a moja matka jest wielbicielekłą księżycą.

Szkli się polany lub splukany deszczem asfalt, a dorożka płynie cicho, kołysząc się łagodnie na falach wzbierającego przyływu zorzy porannej. Słysząc jedynie monotonny stukot silnika, w którym pracują potężne tłoki. Senność już minęła, tylko poranny chłód wieje koło nosa, więc — zawsze wrażliwy na zimno — przytulałam się do matki. Przed dworcem ojciec płaci za kurs, podaje nasze rzeczy багаżowemu. Potem wchodzimy do pociągu, do wagonu pierwszej klasy z ciemnoniebieskim światłem acetylenowych lamp i siedzeniami z zielonego pluszu, porośniętymi gęstą, nisko jak w angielskich ogrodach strzyżoną trawą. Nad siedzeniami żywoplot z białych koronkowych róż. Podbiegam do okna, sadowię się na honorowym miejscu. W przedziale jest ciepło, zaczynam tajać. Na peronie lekko kołyszą się kwiaty w zielonych koszykach, z których wylazła mech. Z półmroku wylaniają się dwie zakonnice jak dwa duże pingwiny. Naraz stacja rusza z miejsca, ruszają kwiaty w rozkołysanych koszykach. Spoglądam przez okno w górę: rusza także w drogę błada jutrzienka, dobra gwiazda naszych podróży.

Cieszyły mnie kasztany przed domem, nasz pokój i meble, zapach mojej pościeli i naszego domu, lecz zawsze robiło mi się smutno, ilekroć zrozumiałem, że przyszedł kres podróży. Już wtedy bowiem, podobnie jak ojciec, byłem zakochany w pociągach. Już wtedy zatrwały mnie tęsknotą nazwy miast, wymawiane przez mego ojca w sennych majaczeniach. Upajałem się muzyką podróży, którą wygrywają koła, a jaskółki i inne wędrowne ptaki gęsto zapisują triolami na pięciolini

drutów telefonicznych, uwielbiałem partie solowe *ad libitum*, improwizacje między trzyciowymi pauzami, w które wpadają nagle, z hukiem, wielkie organy mostów i flet syren, przebijający gęstą ciemność nocy i przestrzeni — to strudżonym westchnieniem, ni to szlochem. Za dnia, z nosem przylepionym do szyby, podziwiałem pejzaż jak chińskie domino: brązowe prostokąty zoranych pól, zielone romby łąk, żółte kwadraty zbóż, spalonych i smutno falujących w spiekocie południa... Szczególnie jednak zachwycał mnie odczuwany niejasno fakt, że kiedy śpię, ciało moje, kołysane miękkimi skrzydłami snu, pokonuje przestrzeń, odległość, na przekór swojej nieruchomości, na przekór snowi; wydawało mi się nawet, że dzięki upajającej szybkości, z jaką ciało moje porusza się w czasie i przestrzeni, jednocześnie wyzwała się od śmierci, czyli że ta szybkość i ruch oznaczają w istocie zwycięstwo nad śmiercią i nad czasem. Świąteczne podniecenie, z jakim moi rodzice przygotowywali się do podróży, zielony plusz i koronki w przedziale, niebieska, niemal atramentowa żarówka zapalana przez ojca, gdy usypialiśmy, i akwamarynowe głębie jej światła — wszystko to zamieniało podróż w jakieś ciche święto, toteż po powrocie zawsze bywałem osowiały i siedząc w dorożce, w półśnie wciąż jeszcze słyszałem nocne zawodzenie syreny, melodyjny stukot kół. A gdy posmutniały drzemałem pod skórzaną budą, zmęczony i mimo wszystko spragniony prawdziwego snu, dorożkarz wywijał batem, konie puszczały wiatry — i nagle do uszu moich dobiegał cichy płacz Any. Moja siostra, zdaniem matki, mało wrażliwa, potrafiła jednak płakać w wyjątkowych sytuacjach: kiedy

skończyły się święta albo podróż. Gdybyście ją wtedy pytali, dlaczego płacze, zamyśliłaby się na moment, odpowiedziałaby, że jest jej bardzo, ale to bardzo przykro, iż minęły święta — albo podróż — potem śmiałaby się przez chwilę z waszego zdziwienia, z braku wyrozumiałości — i znów by zaczęła szlochać, niepokieszona.

Patrzę na dorożkę i konie oddalające się od naszego domu, słyszę, jak matka otwiera drzwi. Wchodzę z oczyma klejącymi się ze snu i zmęczenia. I wtedy, zanim jeszcze otworzę oczy, czuję nagle zapach naszego pokoju. Zapach, który zdążyłem już zapomnieć, a który w jednej chwili uprzytomnia mi, że znajduję się w naszym pokoju, zapach, do którego jestem tak przyzwyczajony, że poczułem go dopiero, wracając do domu z podróży. Zapach kawy, tranu, wanilii, cynamonu i ojcowskich symfonii. Wszystko to w stanie lekkiego rozkładu, jak woda, która przez całą noc stała we flakonie z kwiatami.

Moja matka przekreśliła kontakt, zalśnił kraciasty woskowany papier na stole; dotykam go palcem: jest jeszcze trochę śliski od tłuszczu, a tu i ówdzie widać pociemniałe naciecia niby dawne, zarośnięte rany. Wilgoć wysywała na suficie olbrzyma, który stał się dobrym duchem, opiekunem naszego domu: z brodą bujną jak u żydowskiego proroka, w prawej ręce trzyma tablice, a w lewej naszą lampę z porcelanowym kloszem, przypominającym odwróconą dnem do góry spluwaczkę — porównanie to muchy rozumiały dosłownie.

„Ach, nasz pokój!” — wzdycha Ana. Rozglądamy się dokoła, przypominając sobie sprzęty, które podczas

naszej nieobecności jak gdyby pociemniały. Dwa łóżka, drewniane i staromodne, dwie szafy, w których korniki wywierciły mnóstwo małych dziurek — sypie się z nich prześliczny różnowawy pył, lekki i pachnący jak puder. A obok — szafki nocne z płytami białawego marmuru, niczym na grobach dzieci z dobrego domu. W kącie, na prawo od drzwi, kanapa z wytartym pokryciem koloru sznilej wiśni, piękna staromodna otomana przypominająca pianino, w której pod wieczór albo gdy jest zupełnie cicho, grają sprężyny. Nad kanapą barwna litografia: Mona Lisa wycięta przez moją matkę z jakiegoś tygodnika w czasach skandalicznej kradzieży tego obrazu z Luwru albo jego triumfalnego powrotu, dokładnie już nie pamiętam. Była oprawiona jak obrazek, w wąskich drewnianych ramkach — pozłacanych. Podobnie jak ów czuwający nad dziećmi anioł, kobieta-motyl, *Chrisidia bellona* (nazwa motyla z mojej kolekcji), do której się modliliśmy. Stół nakrywało się zazwyczaj koronkową węgierską serwetką, a na niej stał flakon z niebieskiego szkła udającego kryształ i okrągła blaszana popielniczka. Na marmurowym blacie szafki nocnej obok łóżka ojca była jeszcze jedna, duża, zielona, emaliowana popielniczka, w kilku miejscach obtłuczona. Trzy poprzeczne kanały, w których kładło się papierosy, dzieliły jej szeroką, okrągłą krawędź na trzy jednakowe łuki. Uwypuklające się na nich grube czarne litery powtarzały po trzykroć jak echo: SYMPHONIA. Podłoga w pokoju była z cienkich desek, które skrzypiały z cicha jak nowe buty, oprócz miejsc, gdzie leżał kilim i gdzie kroki zupełnie zamierały.

Na prawo od drzwi, przy oknie, stała maszyna do szycia mojej matki — mocna metalowa konstrukcja z lanego żelaza, przywodząca na myśl łuki mostów kolejowych. Łuki te u dołu zakończone są kółkami również z czarnego lanego żelaza. Maszyna ma pedał z metalowej plecionki o oczkach drobniejszych niż na bokach. Za pośrednictwem ukośnej dwuramiennej dźwigni pedał łączy się z kołem zamachowym. W wyźłobieniu krawędzi tego koła spoczywa okrągły pas transmisyjny, spięty dwoma drucianymi spinaczami. Drugie kółko o wyźłobionej krawędzi, znacznie mniejsze, osadzone jest na główce z prawej strony, tuż obok błyszczącego koła napędowego, w którym promieniście rozwidlają się krótkie, grube szprychy. Główka maszyny — jak duże czarne ramię, zdjęte w łokciu — pokryta jest lakierem, a z lewej strony, gdzie znajduje się skomplikowany mechanizm igły i niewidocznej szpuleczki, zakończona dwiema oškami, wysuwającymi się niby rogi ślimaka. Gdy maszyna jest w ruchu, niewidoczna szpuleczka przędzie nić jak jedwabnik albo pająk. Oprócz pionowych osiek w główce maszyny i błyszczącego koła napędowego — wykonanych z chromowanej hartowanej stali — wszystkie inne metalowe części pomalowane są czarną farbą. Boki spina od wewnątrz poprzeczna, rozgałęziona rama o kształcie przypominającym trapez, na której widnieją duże, ozdobnie wykonane litery SINGER. W miejscu, gdzie boki się rozszerzają, po obu stronach umieszczony jest symetrycznie emblemat firmy. Przy dokładniejszych oględzinach można, nie bez zdumienia, zauważyć, że wplecione w oczka żelaznej konstrukcji boków pająki nie są właściwie pająkami, lecz

stokrotnym powiększeniem czółenka z mechaniczną szpuleczką, z której na kształt litery S snuje się nitka — w tej skali gruba jak sznur i dlatego trudna do rozpoznania — stwarzająca złudzenie nóg pajęcznych. Emblemat ów, niby herb szlachecki, połyskuje złotem, podobnie jak arabeski na lakierowanej główce maszyny. Złocenia częściowo już się wytarły, farba odpada cienkimi, delikatnymi łuszczkami. Drewniany blat, pokryty fornirem, także się już łuszczy, zwłaszcza na brzegach. Najpierw, wskutek wilgoci i zmian temperatury, wyskakują na nim bąble, potem fornir zaczyna marszczyć się i łamać niczym chore paznokcie. Na smukłym karku maszyny połyskuje, przytwierdzony dwiema śrubkami o ząbkowanych główkach, mały mosiężny emblemat jak elipsoidalny złotawy medalion. Widnieje na nim ta sama szpuleczka-pająk, lecz w zmniejszonych rozmiarach, o wiele wyraźniejsza. Wokół, jak na monecie, wytłoczone są płaskie literki napisu THE SINGER MANFG. CO — TRADE MARK. Gdy poruszałem pedał, maszyna dźwięczała niby lira. Pewnego dnia złamałem igłę, więc moja matka zdjęła pas transmisyjny. Mniejsza zresztą o to. Po powrocie do domu, nim zamknęły mi się oczy, wzrok biegł ku tej maszynie i zapewne wskutek długotrwałej jazdy pociągiem oraz obfitości wrażeń dźwiękowych, które trwały jeszcze w moich uszach, zdawało mi się, że maszyna pracuje. Słyszałem, jak furkoczą koła, jak miękko ślizgają się oški.

Pod wieczór przychodziła do nas czasem panna Edith. Z jej osobą kojarzyły mi się najdziwniejsze zajęcia, najwymyślniejsze zainteresowania, toteż białe kapelusze, które

przynosiła razem z formą do modelowania, uważałem za jeden z przejawów jej ekstrawagancji, jej indywidualności i specyficznych kolei losu. Wszystko to były dla mnie kapelusze ślubne panny Edith. „Pani Sam, jak się pani podoba ten ślubny kapelusz?” — pytała moją matkę, przymierzając nowy model i przechylając na bok głowę, jak czynią osoby ze skłonnością do melancholii. Znałem przeszłość panny Edith i dzięki temu jej postać wydawała mi się jeszcze bardziej zdumiewająca. Panna Edith była zaręczona z jakimś hrabią węgierskim, ale porzucił ją tuż przed ślubem. Zamiast ślubnego подарunku przysłał jej paczkę, duże pudełko, na którym wypisana była złotymi literami nazwa znanej wody kolońskiej *Chat noir*. Gdy panna Edith otworzyła pudełko wyskoczył z niego czarny kot albo po prostu wypadł z niego czarny kot uduszony drutem, dokładnie już nie pamiętam. Wówczas to panna Edith po raz pierwszy dostała ataku epilepsji. Neurastenia jej nasilała się zwłaszcza wieczorami, wtedy też najbardziej przytłaczała ją samotność; jako miejsce ucieczki wybrała więc nasz dom — kontynuując jakby przyjaźń swojego ojca z moim — gdyż hałaśliwe rozrywki miejskie pogrążały ją w najgłębszej melancholii. Napady epilepsji dosięgały jej niekiedy i u nas, w chwilach gdy najmniej można by się spodziewać jakichś lirycznych ekscesów: w pół najzwyczajszego słowa albo w samym sercu ciszy, którą czarodziejsko potrafiła nas oplatać.

Panna Edith modeluje nowy ślubny kapelusz, ze swej torby, jak z ubitej zwierzyny, patroszy koronki i wstążki. Matka przygląda się temu z udawaną obojętnością, Ana z zachwytem. Siedząc na kolanach matki, obserwuję

palce panny Edith i przypominam sobie, niby jakieś dziwne zdarzenie, jak jeszcze przed chwilą głaskała mnie tymi dziwnymi palcami, stworzonymi, wydaje się, do przebierania koronek. Palce jej zakończone są długimi lakierowanymi paznokciami, które w zetknięciu z jedwabiem trzeszczą cichutko. Właśnie powiedziała półszepem jakieś zdanie — w miarę jak zapadała noc, głos jej stawał się coraz cichszy i subtelniejszy — i jej urok oswadnął nami bez reszty. Gdy po raz pierwszy straciła przytomność, mimo przeżytego lęku wierzyłem, że to, co się stało, jest zupełnie naturalne i równie dobrze jak pannie Edith mogło się zdarzyć każdemu z nas, a zwłaszcza mnie — z początku nie zdawałem sobie sprawy, że ten otaczający nas wszystkich nastrój ułudy, tę magnetyzującą atmosferę stwarza właśnie ona swymi dziwnymi palcami i chaotyczną płataniną koronek. Miała duże ciemne oczy w ledwie dostrzegalnych sinawych obwódkach, co jeszcze bardziej podkreślało ich głębię. W tych oczach odbijały się mgliście instynkty kobiece, które po przeżytym szoku więziła w kruchej powłoce swojego ciała. Świadoma zgubnej, niszczycielskiej siły swego bytu i płci, próbowała nałożyć sobie pęta i stąd zapewne w jej obecności ogarniało nas upajające odurzenie, wskutek którego powietrze przybierało ciężar złotego Zeusowego deszczu.

Panna Edith padała na wznak na naszą wiśniową kanapę, gdzie dosięgała jej zemsta bogów.

W takich chwilach drżałem od stóp do głów, nie tyle ze strachu, ile z przekonania, że jestem świadkiem tajemniczego, niezwykłego zjawiska. Przewracając się na plecy,

panna Edith nie wypuszczała trzymanej właśnie koronki, potem podnosiła nogi, odsłaniając wnętrze swego ciała. Najbardziej zdumiewało, po prostu oszałamiało mnie to, że w długiej balowej rękawiczce, którą przypominała wówczas jej postać, wbrew moim oczekiwaniom, nie było widać szwów ani końców nitki, podbita była natomiast jedwabiem i przystrojona koronką, może nawet bardziej wytworna niż na zewnątrz.

Przez kilka minut walczy rozpaczliwie z chorobą, chwytając się za piersi, szarpie i rzuca głową, rozpuszczając upięte włosy, z których wypadają spinki i klamry. Potem ciało jej skręca się w lubieżnym skurczu. Moja matka szybko ustala miejsce najsilniejszego ucisku i odpina pannie Edith guzik u bluzki. Widzę jeszcze tylko jaskrawą biel wytryskującego nagle strumienia jej piersi. Po chwili w pokoju roznosi się kwaśna woń octu, którym moja matka naciera chorej skronie. Teraz już kryzys mija. Gdy znów otwieram przymknięte ze wstydu oczy, panna Edith leży na otomanie pod kocem, oddychając spokojnie jak dziecko, z rękami wyciągniętymi ponad głową.

Panna Edith wraca do przytomności tak, jak otwierają się kwiaty. Potem wsuwa we włosy spinki, przytrzymując je w zębach. Wkłada do torby koronki i wstążki, a kapelusz i formę do dużego kartonowego pudła. Nikt się nie odzywa. Przez chwilę jakby zdumiona przygląda się swoim rękóm, po czym zapina ów guzik rozpięty przez moją matkę. Po jej wyjściu w pokoju zostaje jakaś dziwna, pachnąca pustka, od której zaczyna mi się kręcić w głowie.

Panna Edith wносиła do naszego domu, w naszą patriarchalną skamieniałość barwy egzotyki i *Weltschmerzu*, gęsty, zmącony zapach kobiecości, jakąś wielkomięską, dystygowaną, powiedziałbym, szlachecką atmosferę. Ten wielkomięski spleen czaił się w jej głosie, w lakierowanych paznokciach koloru perły, wreszcie w jej pańskiej chorobie, u której źródle tkwiły uroczyste ceremonie i uniesienia, jak również zadziwiający zdradliwy symbol — czarny kot i woda kolońska o tej samej nazwie, wypisanej złotymi literami na kartonowym pudle jej uniesień. W moje sny panna Edith wносиła niepokój, uzależniony od nieuchwytnych fluidów i zagadkowy jak falowanie jej koronek, jak zapachy, którymi wodziła na pokuszenie moją ciekawość i mój dziecięcy spokój. Te upajające zapachy świadczyły bowiem o istnieniu jakiegoś innego świata, poza ścianami naszego domu, poza granicami mojego poznania, poza kręgiem naszej zacinicznej codzienności.

Panna Edith swymi zapachami, niewątpliwie sztucznymi, wносиła rozterkę w moją duszę.

W widmie tych aromatów tylko kolor fiołkowy odpowiadał zapachowi jej ciała, inne natomiast, przełamane przez pryzmat kobiecości, miały nieznaną mi, ale niewątpliwą odcień egzotyki i błękitnej krwi. Od owego wieczoru, gdy po raz pierwszy straciła przytomność na naszej kanapie i gdy w ognisku mojej rozpalonej wyobraźni ujrzałem jedwab i koronki, zacząłem się wymykać z kolan matki, gdzie dotychczas siedziałem sobie spokojnie, osłaniany przed grzechem i występkiem. Od owego wieczoru chętniej natomiast siadywałem na naszej

kanapie koloru zgniłej wiśni, na tej samej kanapie, która była łożnicą i świadkiem złotego deszczu. Nie znaczyło, że osłabła moja miłość do matki, na pewno nie. Przeszła jednak głęboki kryzys: nie mogłem znaleźć w niej wytlumaczenia dla moich urazów, dla dreszczy, które opanoływały mnie pod wieczór, w porze, gdy rzeczywiste lub urojone zbliżanie się panny Edith zapładniało powietrze zgęszczonym zapachem, zwiastunem jej ciała. W takich chwilach, słysząc wymaginowane pukanie do naszych drzwi, zsuwałem się z kolan matki i niby to tak sobie, po prostu, szedłem wyciągnąć się na otomanie — nie chciałem oszukiwać mojej matki, ale nie chciałem też, aby panna Edith zastała mnie tak bez rezerwy poddającego się pieszczołom innej kobiety.

Tu można by zakończyć tę historię, na tym haniebnym wyznaniu. Nie muszę chyba dodawać, że matka odkryła moją zdradę i powiedziała kiedyś ze smutnym zdziwieniem: „Kochanie, zdaję sobie sprawę, że któregoś dnia odejdiesz ode mnie na zawsze. Usuniesz mnie gdzieś do lamusa albo do domu starców...”. Z przerażeniem i skruchą zacząłem się wówczas zarzekać, że nigdy tak nie zrobię, i przeklinać w duchu chwilę, gdy panna Edith przekroczyła próg naszego domu. Matka, boleśnie dotknięta zdradą, nie rozumiejąc przedwczesnego spaczenia moich instynktów, dręczyła mnie jednak nadal, zaczęła mówić o starości i śmierci, jakby to były dla niej sprawy oczywiste i niewątpliwe, których nadejście przyśpieszone zostało moim postępowaniem. Wtedy rozplakałem się, błagałem, żeby już tak nie mówiła, żeby cofnęła te słowa, przysięgałem jej wierność, ani na moment nie wątpiąc

przy tym w szczerość swoich przysięg, odczuwałem nawet jakąś radosną satysfakcję, że może któregoś dnia będę mógł dowieść ich prawdziwości.

Jeszcze tylko jedno, to już naprawdę koniec. Pewnego ranka, wiosną, moja matka, chcąc wykorzystać pierwszy tego roku słoneczny dzień, urządziła generalne sprzątnięcie. Otworzyła na roścież okna i panna Edith uleciała niby pachnący obłok. Matka, która z pewnością zauważyła jej odejście, nie powiedziała ani słowa, udawała nawet, że niczego nie dostrzega. Dwoma palcami, ale z uszanowaniem, podniosła tylko strzępek koronki, który wpadł za kanapę i srebrzył się teraz, inkrustowany kurzem, jak cacko filigranowej roboty. Położyła tę relikwię na śmietniczce i oto koronka zwinęła się na kształt korony. Zdążyłem jeszcze spostrzec, jak majestatycznie zaślśniła w złotych promieniach porannego słońca ponad zwiewnym puchem kurzu, zmiętymi gazetami i skorupkami od jajek.

Pan Gawanski, wegetarianin, wchodził gromko, z hałasem, dymiąc jak gorąca parówka, owiany mroźnym tchnieniem śnieżystego zimowego wieczoru, który wnosił do naszego pokoju pełnymi garściami albo wtaczał przed sobą niby wielką pigułę. Kiedy wydyszał z siebie nadmiar pary, pozamykał wszystkie wentyle, roztarł ręce i zdjął palto z futrzanym kołnierzem, zaczynał, jak czarodziej, wyciągać z kieszeni owoce. Podczas tej ceremonii mój ojciec ustawiał figury na szachownicy i czekał na niego ze swą partią angielską jak w zasadzce. Ojca nie interesowały sztuczki i dziecinne figle pana Gawanskiego.

Dla mnie natomiast i dla mojej siostry Any było to zjawisko godne podziwu i szacunku. Już sam fakt, że pan Gawanski jest jarozsem, a więc człowiekiem pozostającym w zmwowie z roślinami, wystarczał, aby podsyć moją ciekawość. Zazwyczaj stawał na środku pokoju, na nieco rozkraczonych nogach, jakby wymagało to specjalnego wysiłku, a potem czekał, aż panująca wokół cisza i osłupienie osiągną punkt krytyczny. Gdy moja matka wstrzymała oddech, a my z Aną z ciekawości otworzyliśmy usta, pan Gawanski teatralnym, dobrze wyreżysrowanym ruchem wsuwał wreszcie obie ręce do kieszeni palta i wyciągał okazy rozmaitych owoców, od najwyklejszych, jak plasterki suszonych jabłek i bursztynowe ziarna rodzynek, aż do wyszukanych, jak mandarynki i daktyle. Efekt był zawsze doskonały. Decydowała o tym nie tylko zimowa pora, kiedy zapach owoców sam przez się wydaje się magiczny i czarodziejski, lecz także fakt, że pan Gawanski, niby mistrz czarnej magii, potrafił wyciągnąć z kieszeni taką masę suszonych, ale wciąż jeszcze pachnących owoców — które zatem nie straciły prawie nic na wartości — że wkrótce nasz stół wyglądał jak zastawiony do uczy, a odurzające zapachy mieszały się i wzajemnie uszlachetniały. Przecieraliśmy oczy jak w cyrku, ale czasem wydawało się nam, że pan Gawanski przekracza dozwolone granice i próbuje, niczym w prowincjonalnym kabarecie, obalamucić nas za pomocą zbiorowej halucynacji, kiedy zaś uwolni nasz wzrok i słuch z więzów magii, znajdziemy się być może w kłopotliwym i bardzo niemiłym położeniu. Wszystko jednak inscenizował znakomicie. Najpierw zatem wyjmował

z kieszeni najwyklejsze owoce — powiedzmy, garście rodzynek — jako wstęp do drugiej części programu, rozpoczynanej w chwili, gdy myśleliśmy, że to koniec i nie będzie już niespodzianek. Wtedy właśnie wyciągał z kieszeni i spod podszewki marcepany, daktyle, figi, migdały i jakieś inne egzotyczne owoce, które rozróżnialiśmy tylko po zapachu, ale nazwy były i na zawsze pozostały dla nas tajemnicą.

Wreszcie w drzwiach pojawiał się mój ojciec i przeżywał tę zabawę, jego zdaniem dziecinną i godną lekceważenia.

„Przyjacielu — mówił nie bez złośliwości — te zamiłowania artystyczne doprowadzą pana do bankructwa”.

Wtedy pan Gawanski, jak przyłapany na gorącym uczynku, kładł na stole ostatnią figę i wycofywał się z moim ojcem do pokoju, gdzie natychmiast wybuchał zgryźliwy spór, kto pierwszy obejmie dowództwo nad armią białej królowej.

MÓJ OJCIEC bezskutecznie starał się o wydrukowanie nowego rozkładu jazdy, nad którym pracował od lat. Rękopis leżał w szufladzie biurka, przepisany na maszynie, pełen podkreśleń czerwonym ołówkiem, poprawek na marginesach, podolepianych fragmentów, odnośników, uwag, dopisków, uzupełnień, upstrzony jakimiś dziwnymi znakami i miniaturowymi ideogramami. Ideogramy te ojciec wyciął ze swojego rozkładu jazdy na rok 1933 i cierpliwie ponalepiał na nowy rękopis, co nadało mu szczególnego uroku. Rysunek przedstawił wagony z numerem klasy, róg pocztynia w kształcie stylizowanego półksiężyca, widelec i nóż skrzyżowane symetrycznie, niby emblemat w szlacheckim herbie, parostatk, z których wysnuwała się cienka, świderkowata nić dymu, samoloty nie większe od komarów i jak one lekkie i bzykające, samochody sprowadzone do doskonałej kubistycznej formy, z kołami zmniejszonymi do idealnego punktu. W tym wspaniałym rękopisie spotkały się wszystkie miasta, wszystkie lądy i morza, wszystkie nieba, wszystkie klimaty, wszystkie południki. W dziele tym zostały połączone jakby jedną idealną linią Mojżesza najbardziej

oddalone miasta i wyspy, Syberia – Kamczatka – Celebes – Cejlon – Meksyk – Nowy Orlean były w nim tak samo oczywiste jak Wiedeń, Paryż czy Budapeszt. Przypominało ono apokryficzną, świętą Biblię, w której powtórzył się cud stworzenia, ale zostały przy tym naprawione wszystkie pochodzące od Boga krzywdy i niemoc człowieka. W pięcioksięgu tym przestrzeń dzieląca światy, tak okrutnie zwiększona z woli Bożej i na skutek grzechu pierworodnego, została na nowo sprowadzona do należytych rozmiarów. Zaslepiony twórczym, prometejskim gniewem ojciec mój nie chciał uznać oddalenia nieba i ziemi. W tym anarchicznym i ezoterycznym Nowym Testamencie zostało rzucone ziarno nowego braterstwa i nowej religii, sformułowana teoria uniwersalnej rewolucji przeciwko Bogu i wszystkim Jego zakazom. Było to zdumiewające, powiedziałbym nawet, chorobliwe połączenie panteistycznej myśli Spinozy, russowskiego kultu natury, anarchizmu Bakunina, trockizmu i modnego wówczas kierunku unanimitycznego, niezdrowy amalgamat antropocentryzmu i antropomorfizmu, jednym słowem, genialna teoria panteistyczna i pandemonistyczna, oparta na zdobyczach nauki, na podstawowych założeniach współczesnej cywilizacji i techniki, jak również na naturalnych właściwościach skorupy ziemskiej i oceanów, teoria usiłująca przekornie pogodzić nowe kierunki materialistyczne z okultystycznymi naukami średniowiecza. Jakkolwiek wyglądało to paradoksalnie, owa *summa* nowej religii i nowego poglądu na świat uwzględniała w równym stopniu bazę materialną i duchową naddbudowę, a *Kapitał* Marksa stanowił jedną z podstaw tej

nowej kosmogonii i umowy społecznej. Pomimo to, pisząc swój imaginacyjny rozkład jazdy, ojciec nie brał dostatecznie pod uwagę konfliktów klasowych i zachodzących w świecie przemian społeczno-politycznych, zapominał o czasie historycznym i przestrzeni, tworzył go tak, jak prorocy swoje księgi: opętany wizją i na marginesie rzeczywistości.

Kiedy otwierałem szufladę w biurku ojca, aby obejrzeć rysunki i ideogramy w jego rękopisie, wszyscy byliśmy jeszcze przekonani, że naprawdę chodzi tu o nowe — trzecie — rozszerzone wydanie *Rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* (wydawnictwo Engl & Comp. Nowy Sad, drukarnia Dziordzia Ivkovicia). Upłynęło wiele czasu, nim poznaliśmy istotną treść i sens pracy ojca. Gdy ją mianowicie zaczynał, umysł jego był już po trosze zainfekowany nazwami krajów i miast, dlatego — wbrew najzwyczajszemu, praktycznemu zamiarowi połączenia lądów i mórz — zrodziła się w nim zwodnicza, halucynacyjna myśl, że dla dokonania takiego Mojżeszowego wprost dzieła nie wystarczy tylko przeciągnąć linię pomiędzy dwoma oddalonymi miastami oraz wpisać godzinę przyjazdu i odjazdu pociągu lub statku. Wynikało nagle mnóstwo trudnych do rozwiązania kwestii, masa problemów, a mój ojciec nie chciał ich po prostu zignorować, jak robili to jego poprzednicy i on sam w swym *Prafauście*, w pierwszym wydaniu swojego rozkładu jazdy, w tym z roku 1932, w którym nie zostały jeszcze uwzględnione linie międzynarodowe. Wyłoniły się, powiadam, bardzo trudne sprawy, na których rozwiązanie trzeba było całego życia. Jak już wspominałem,

ojciec zamierzał z początku przygotować tylko „trzecie, uzupełnione i rozszerzone wydanie” rozkładu jazdy, co bynajmniej nie wydawało mu się trudne. Chcąc zapewnić sobie potrzebny czas i pieniądze, złożył wypowiedzenie w pracy i przystąpił do zbierania bibliografii. Również i w tym nie zawiódł go zmysł praktyczny. Od dawnych klientów, przeważnie kupców żydowskich — którzy z powodzeniem reklamowali swe towary za pośrednictwem jego rozkładów jazdy — udało mu się, tytułem zaliczki, uzyskać pewną sumę. Przyczyniła się do tego oczywiście umiejętność komponowania błyskotliwych ogłoszeń, które z przejęciem układał na podstawie suchych danych z książki telefonicznej, nocą, przy księżycu, niby genialne miniatury liryczne. „Trzydzieści i jeden dzwonów, porzynając od 7560 kilogramów wagi, odlano w ludwisarni inżyniera Poznjakowa. Panowie, żądajcie ofert!”. A oto prawdziwe haiku z jego kolekcji, reklama studni artezyjskich: „Nasza pompa — to koniec posuchy, bezmierne bogactwo źródlanej wody. Adolf Krohn i synowie”. I jeszcze inna: „Róże rozmaitych gatunków dostarcza jesienią i wiosną znany plantator Ladislaus Szevar. Erstklassig!”. Prawa autorskie zastrzegł sobie ojciec poprzez agencję w Budapeszcie i teksty ogłoszeń rozsyłał klientom wraz z odpisem potwierdzenia swych praw. Zgromadziwszy w ten sposób kwotę, dzięki której mógł rozpocząć wstępne prace, zaopatrzył się w nowe mapy oraz inne materiały — i pewnego dnia, późnym wieczorem, w przystępie twórczego natchnienia rzucił na papier pierwsze zdanie, które miało stanowić początek wstępu czy przedmowy wyjaśniającej, jak posługiwać się rozkładem jazdy.

Ta wspaniała myśl olśniła go nagle, jak Mojżesza głos z krzaka gorejącego. I to jedno jedyne zdanie, ten wielki problem poddany przez los i przeniesiony potem na wyższy, metafizyczny plan wkrótce porwie ojca swoim sensem, zagadką, którą postanowił rozwiązać: „Jak jechać do Nikaragui?”

Świadom faktu, że zubożam wielkość i znaczenie ojcowskiego przedsięwzięcia, podkreślam jednak, iż w pierwszej chwili nie było w jego zamiarach nic wyjątkowego ani nadzwyczajnego. Z początku, powiadam, były tylko krótkie wskazówki dla turystów, dotyczące pamiątek historycznych, muzeów, fontann i pomników, z dołączonym niekiedy związłym komentarzem o zwyczajach, religii, dziejach, sztuce i kulturze. W miarę jak mój ojciec zagłądał w związku z tym do encyklopedii i leksykonów — najczęściej posługiwał się piętnastotomowym *Meyers Lexikon* z 1867 roku, jak również jego nowym wydaniem z lat 1924–1930, poza tym wielką *Encyclopaedia Britannica* i pięciotomowym *Jüdisches Lexikon* z roku 1928 — pytania, na które szukał odpowiedzi, odciągały go jednak zarówno w głąb, jak wszecz badanych zagadnień i wkrótce zebrał olbrzymi wykaz literatury z najrozmaitszych dziedzin, we wszystkich prawie językach europejskich, a miejsce leksykonów zajęły rozprawy z zakresu alchemii, antropologii, antropozofii, archeologii, astrologii, astronautyki, astronomii, botaniki, charakterologii, chirromancji, darwinizmu, deizmu, dialektyki, diastrofizmu, dualizmu, dydaktyki, dymorfizmu, dynamiki, dyplomacji, dyspsomanii, egzogenezy, egzorcystyki, egzystencjalizmu, ejdetyzmu, eklektyzmu, ekliptyki,

ekologii, ekonomii, ekwilibrystyki, embolii, embriologii, emmetropii, emocjonalizmu, empiriokrytycyzmu, empiriomonizmu, empiryzmu, encyklopedyzmu, endokrynologii, entomologii, epikureizmu, epistemologii, epizootii, erotyzmu, erystyki, eschatologii, esperanta, estetyki, etatyizmu, etnografii, etnologii, etyki, etymologii, eugeniiki, eurytmii, ewangelii, ewolucjonizmu, fantasmagorii, farmaceutyki, faryzeizmu, fatalizmu, fenologii, fenomenologii, fetyszyzmu, filogenezy, filologii, filozofii, findeielizmu, fizjonomiki, fizyki, florystyki, folklorystyki, formalizmu, freudyzmu, genealogii, genetyki, geocentryzmu, geodezji, geodynamiki, geofizyki, geografii, geologii, geometrii, geopolityki, geotermiki, geotropizmu, germanistyki, glaciologii, gnoseologii, gnostycyzmu, gramatyki, harmonizacji, heglizmu, heliocentryzmu, hellenizmu, hemoterapii, heraldyki, heteroseksualizmu, hinduistyki, hipnotyzmu, hipologii, historii, humanistyki, hydraulici, hydrografii, hydromechaniki, hydrotechniki, idealizmu, ideografii, ikonografii, ikonoklazmu, iluminacji, iluzjonizmu, indeterminizmu, indywidualizmu, intuicjonizmu, irracjonalizmu, judofobii, jurysdykcji, kabalistyki, kartezjanizmu, kartografii, katalepsji, katastrofizmu, katoptryki, kauteryzacji, kazuistyki, komediografii, komparatystyki, konfucjanizmu, kosmogonii, kosmografii, kosmologii, kwietyzmu, lamarkizmu, lartpurlartyzmu, leksykografii, leksykologii, literatury, magii, magnetyzmu, makiawelizmu, marksizmu, martyrologii, masonerii, materializmu, mechanoterapii, mediewistyki, mediumizmu, memoryzacji, merkantylizmu, metamorfizmu, metempsychozy, mikrobiologii, mineralologii, mistycyzmu,

mitologii, monoteizmu, moralistyki, morfologii, muzykologii, nawigacji, neokantyzmu, nosogeografii, numizmatyki, obiektywizmu, onomastyki, optyki, optymizmu, organologii, orometrii, osmologii, paleofitologii, paleografii, paleontologii, panteizmu, parazytologii, partykularyzmu, pietyzmu, platonizmu, pluralizmu, polimorfizmu, polityki, prozelityzmu, retoryki, satanizmu, polimorfizmu, scholastyki, semazjologii, sensualizmu, sinologii, socjologii, sofistyki, solipsyzmu, spirytualizmu, stechiometrii, stoicyzmu, surrealizmu, sybarytyzmu, syjonizmu, tautologii, techniki, tektoniki, telepatii, teologii, termodynamiki, toksykologii, topografii, toponomastyki, unanimizmu, uranografii, urbanistyki, urologii, utopizmu, wenerofobii, wersyfikacji, woluntaryzmu, wulkanologii, zoochorii, zoofagii, zoogeografii, zoolatrii oraz zoologii. Notki u dołu strony, znaczki w kształcie krzyżyków, półksiężyków i gwiazdek zostały zastąpione gęsto zapisanymi stronicami, skróty rozwinięły się w wyczerpujące przypisy, przypisy w nowe rozdziały i wkrótce początkowa koncepcja rozkładu jazdy, zawierającego zwięzłe informacje dla turystów, stała się tylko małą, prowokacyjnie płodną komórką, która — niby pierwotniak — dzieliła się na zasadzie postępu geometrycznego tak, że w końcu z *Rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* pozostał tylko zeschnięty kokon, znak ideograficzny, wielki skrót i nawias, zaś podtekst, marginalia i odnośniki wchłonęły urojony, abstrakcyjny pratemat, tę przyziemną, utylitarną i wątplą osnowę, prawie niewidoczną teraz i mało ważną na barwnej mapie świata treści, sprowadzoną do cienkich linii południków

i równoleżników w tej wielkiej konstrukcji, liczącej ponad osiemset stron maszynopisu z pojedynczym, małym odstępem.

Mój ojciec uparcie i wytrwale trzymał się pierwotnego tytułu książki, co świadczyło o chorobliwym zatraceniu orientacji, i nie przestawał wierzyć, że któryś z wydawców nabierze się na ten oczywisty podstęp i pod niewinną nazwą rozkładu jazdy ogłosi drukiem owo anarchiczne, przesadnie wypieszczone dzieło.

Gdy moja matka przypomniała ojcu, że jesteśmy całkowicie niezaopatrzeni na zbliżającą się jesień i zimę, zaniósł *Rozkład jazdy* do wydawcy, choć nie uważał swego arcydzieła za ostatecznie skończone. Ponieważ jednak dawno minął przewidziany umową termin, a złożona kaucjka miała mnóstwo braków, wydawca maszynopisu nie przyjął; mój ojciec musiał jeszcze zwrócić zaliczkę i pokryć koszty sądowe. Po przegranej procesie wpadł w głęboką depresję, którą przez dłuższy czas tłumaczyliśmy sobie jako następstwo odrzucenia *Rozkładu jazdy*, nie mogąc początkowo dopatrzeć się innej, bardziej naturalnej przyczyny tego zjawiska. O wiele później zrozumiałem, że na jesieni mojego ojca zwykle ogarniała depresja, z której budził się dopiero wiosną. W tych przejściowych okresach oddawał się pochłaniającym go bez reszty twórczym medytacjom i całkowicie zrywał kontakt z otoczeniem. Najpierw zamykał się po prostu w swoim pokoju, gdzie nie wolno nam było nawet wsunąć nosa, potem wybierał się zazwyczaj w jakąś długą podróż, której sens i cel zawsze pozostawały dla mnie

niewiadomą. Opuszczał dom późną nocą, w największej tajemnicy, bez pożegnania. Rano matka oznajmiała zagadkowym dla mnie tonem, że nasz ojciec „wyjechał na dłużej, w nieznanym kierunku”. Wracał wiosną, wychudły i jakby wyższy, dziwnie zmieniony. Już z dorozki uśmiechał się do nas i machał zwróconą w kierunku twarzy dłonią. Można by pomyśleć, wszystko minęło. Przez kilka dni był spokojny, podejrzanie cichy, aż nagle, bez żadnej konkretnej przyczyny, zaczynał dziko ryczeć i wymachiwać laską nad szklankami i talerzami. Z nadejściem wiosny budził się bowiem z letargu, uwalniał od męczących rozmyślań, na pewien czas zapomniał o przeklętym rękopisie i powracał do stanu swego zwykłego rozdrażnienia, owej dziwnej irytacji, buntu przeciwko światu i otoczeniu, który w gruncie rzeczy stanowił istotę jego natury. Tak boleśnie tłumiony jesienią i zimą, w lecie obumierający, z wiosną odzywał się w nim egoizm, niedostatecznie kiedyś sprecyzowany protest przeciwko urządzeniu świata i stosunkom między ludźmi, a to wojownicze nastawienie, ten nadmiar siły, zamęt w myślach i we krwi przywracały go na nowo do życia. Był to rodzaj niezdrowej ekstazy, odurzenia słońcem i alkoholem, świadomość wszechobecnej wiosennej wybujałości, która jeszcze bardziej go podniecała, a egoizm mojego ojca stanowił właściwie tylko część jego *Weltanschauung*, jego panteizmu. Był to egoizm bez granic. Wszystko musiało mu być podporządkowane niby uzurpatorowi ze Starego Testamentu. Tak więc — kiedy przyroda rozmiłowana w swej wiosennej wybujałości roztaczała całą skalę energii i siły — mój ojciec w większym

niż zazwyczaj stopniu odczuwał ciężar krzywd wyrządzonych mu w równej mierze przez Boga i przez ludzi. Dlatego jego metafizyczny bunt, kaleka latorośl zmarnowanej młodości, krzewił się na wiosnę z jeszcze większą mocą, wzbierał jak wulkan, jak wrzód.

Świadomi niebezpieczeństwa grożącego nam z powodu mesjanistycznego *Rozkładu jazdy*, który — wskutek zawartych w nim wolnomyślicielskich i rewolucyjnych idei — znalazł się na indeksie nowego ładu, musieliśmy się usunąć z Alei Kasztanów. Przeprowadziliśmy się do małego domku w najbiedniejszej dzielnicy miasta, która była właściwie „dzikim” osiedlem pełnym Cyganów, włóczęgów i lumpenproletariuszy, jak ich nazywał mój ojciec. Dziesięć kroków od płotu ciągnął się nasyp kolejowy, po którym dudniły pociągi, a domek co chwila trząsł się w posadach. Z początku utrzymywało nas to w ustawicznym napięciu, chwytałyśmy się za głowy i chowaliśmy pod pierzynę, bliscy załamania nerwowego. Huk pociągu zagłuszał nasze słowa, najniewinniejsze rozmowy przemieniał w zażarte kłótnie, gdyż nie mogąc się nawzajem zrozumieć, wymachiwaliśmy sobie rękami przed nosem i podnosiliśmy głos do krzyku, aż niebezpiecznie narbmiewały żyły na szyi. Upłynęło wiele czasu, zanim odkryliśmy pewne prawa akustyki, które uratowały nas od całkowitego zachwiania równowagi i pozwoliły odzyskać względny spokój: w razie potrzeby zniżaliśmy głos mniej więcej o kwintę i rozmawialiśmy w tonacji zdecydowanie różnej od tej, którą narzucał hałas pociągu, wywołujący dotychczas w naszym domu takie zamieszanie.

Dobywaliśmy teraz głosu jakby z brzucha, spuszczać głowę tak nisko, aż tworzyły się nam podbródki.

Mój ojciec pracował wówczas przy usuwaniu gruzów, żandarmi bowiem wytropili wreszcie miejsce jego pobytu. Złożył jednak ostry protest, uzasadniając go na prawie dziesięciu gęsto zapisanych stronach złym stanem swego zdrowia, udokumentowanym zeznaniami świadków i wyciągami z kart pobytu w szpitalach dla nerwowo chorych. Siła jego argumentów była nieodparta, zwłaszcza gdy prócz konkretnych faktów uwzględnić jeszcze ton polemiczny i błyskotliwość stylu. „Zwracam uwagę Szanownego Komisariatu — pisał w owym zażaleniu — na punkt 2a), w którym pozwoliłem sobie przytoczyć powody katastrofalnego stanu mojego zdrowia i uzasadnić — co prawda jak najbardziej przytomnie — moją anormalność, a także całkowitą nicość moralną i fizyczną, nicość neuropaty i alkoholika, niezdolnego nawet zadbać o siebie i swoją rodzinę, poza tym w celu jak najdokładniejszego przedstawienia sytuacji — choć każdy z przytoczonych już faktów sam przez się oznacza kalectwo — zwracam również uwagę, że cierpię na płatfus, i załączam potwierdzające to, wydane przez komisję poborową w Zalaegerszeg zaświadczanie, że z powodu stuprocentowego płaskostopia zwolniony jestem od służby wojskowej...”.

Minęły trzy tygodnie, ale mój ojciec nie dostał jeszcze odpowiedzi. Powód był oczywisty. Zamiast jawnie, choć by tylko dla formy, wyrzec się swego wyklętego dzieła, on jako przyczyny niezdolności do pracy wymieniał alkohol, obłąd, wreszcie farsowy pretekst — płaskostopie...

Przychodził do domu wieczorami, okropnie zmęczony, z krwawymi pęcherzami na dłoniach, i bez słowa padał na łóżko. Nie miał nawet tyle siły, żeby coś rozbić swoją łaską. Był całkowicie obezwładniony. Do pracy musiał chodzić bez laski, wracał na pół ślepy od kurzu osiadającego na szkle okularów, których okrutni, bezwzględni strażnicy nie pozwalali mu nawet przetrzeć.

Tak przywykliśmy już do pociągów, że zaczęliśmy liczyć czas według rozkładu jazdy, tego ogromnego, kapryśnego budzika. Nocą, w półśnie, słyszeliśmy *pianissimo* szkła dźwięczącego na półkach, a pociąg przecinał nasz pokój wielkimi kwadratami nadlatujących w szaleńczym pędzie okien. Podsycalo to w nas tylko tęsknotę za daleką przestrzenią, marzenie o ucieczce. W tym roku, spędzonym obok nasypu kolejowego, w roku bezwzględnej klęski mojego ojca, przestrzeń oznaczała dla nas bowiem nie tylko daleką, wspaniałą przygodę, lecz także gwałtowną, bardzo konkretną myśl o ucieczce, wybawienie od strachu i głodu. Myśl o ucieczce powiększała jednak panujący u nas zamęt: zaczęliśmy żyć w naszym pokoju jak w przedziale kolejowym. Ten pomysł wyszedł oczywiście od mojego ojca. Rzeczy trzymaliśmy w walizkach, a herbatę piliśmy z termosu. Pod nieobecność ojca, całymi dniami drzemaliśmy przy opuszczonych zasłonach, okryci kocami, jedno obok drugiego, jak w podróży.

Pod naporem wszystkich tych wydarzeń — które zresztą docierały do mnie jak przez mgłę, gdyż moja matka sama była bezradna i zdezorientowana — zapadłem

w jakąś dziecięcą melancholię, straciłem apetyt, w przystępie hysterii spaliłem kolekcję motyli i całymi dniami leżałem na łóżku, nakryty z głową. Do reszty wyczerpały mnie ostre, uporczywe biegunki, na które przez dłuższy czas nie było rady, chociaż co rano, zgodnie z zaleceniami matki, zjadałem łyżeczkę lub dwie mielonej kawy zmieszanej z odrobiną cukru. Nawet matka nie mogła zrozumieć przyczyn mojej choroby i ogólnego otępienia. Później dopiero okazało się, że ustawiczne biegunki były następstwem strachu, który odziedziczyłem po ojcu. Choroba ta zaczęła się bez jakichkolwiek zaburzeń organizmu, była więc raczej skutkiem przeciążenia mojej zbyt ściśle związanej z ciałem duszy, której wstrząsy dawały się we znaki przede wszystkim układowi nerwowemu i narządowi trawiennym.

Gwałtowne biegunki wywarły jednak na mnie wpływ dobroczynny. Towarzyszyły im, jak wspomniałem, ogólne otępienie organizmu, nareszcie schudłem i zahartowałem się.

Mówiąc obiektywnie, z dzisiejszej perspektywy, głód wpływał dobroczynnie na nas wszystkich, przynajmniej z początku. Moje częste bóle głowy, spowodowane po prostu przeładowaniem żołądka, ustąpiły bez śladu. Ojciec natomiast przeżył metamorfozę równającą się cudowi: wzmacnił się i zaczął chodzić nieco lepiej, a po miesiącu zdjął bandażę i trzymał teraz kilof gołą ręką. W miejscach krwawych pęcherzy, szpecących jego piękne dłonie — dłonie wytwornego fryzjera damskiego — narosła teraz ciemna skorupa; od czasu do czasu wycinał ją zyletką. Zmęczony ciężką całodzienną pracą, wieczorami był spokojny,

milczący, nie dręczył nikogo swymi napadami mizantropii. W ciągu dnia zużywał całkowicie nadmiar energii, nazywany u niego obłędem, albo może uspokajał się, sam nie wiem. Moja siostra Ana jak gdyby naraz z dziecka stała się dziewczyną, bledsza teraz i smuklejsza, z ciemnymi sińcami, wyrysowanymi pod oczyma przez głód, które jednocześnie rzeczywistą oznaką dojrzenia. Moja matka — wyzwolona spod terroru ojca, a zarazem pozbawiona oparcia — odzyskała nagle dawną ruchliwość, pozrywała zasłony z okien, rozpakowała walizki i pewnego ranka oświadczyła, że nareszcie dojechalibyśmy, podróż się skończyła i zaczniemy prowadzić „normalne życie”.

Pukanie, które obudziło nas o brzasku, przedarło się z trudem, niby przez skałę. Gdy wreszcie rozkleiłem powieki, mocno zlepione jakby gorącym woskiem, w szarym, brudnym świetle ujrzałem mojego ojca. W pasiastej piżamie, boso, z włosami spadającymi na czoło jak u pianisty, w zapamiętaniu podpierał drzwi swoją łaską. Ktoś się do nas wściekle dobijał, a ojciec wetknął żelazny szpic łaski w zamek niby w oko. Ze strachu znieruchomieliśmy w łóżku, wsparci na zdętwiałych łokciach, wpatrzeni w ojca, który z naprężonymi żyłami na karku i oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia stawał podłym napastnikiem bohaterski opór. Poprzez drzwi słychać było głosy mężczyzn, zachrypię od porannego chłodu, grube i groźne, a także głosy kobiet, histeryczne i ostre niczym ptasie dzioby.

Jak zazwyczaj w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, wobec którego mój ojciec przyjmował postawę

defensywną i skrajnie filozoficzną, przed drzwiami wyszła matka, okryta kocem, wysoka i chuda, z podniesionymi rękoma. Słyszałem jej głos, prawie nierealny. Mówiła coś, czego nie mogliśmy zrozumieć, w jakimś okropnie chyba kaleczonym obcym języku, na pewno nie tak płynnie jak ojciec. Jej pojawienie się, jej rozpacz i stanowczość podziały jednak na zgromadzonych i ludzie zaczęli się rozchodzić, poruszeni widocznie siłą jej argumentów.

Mój ojciec, jakby z inercji, nadal podpierał drzwi, przykładając ucho do deski, i nie chciał wpuścić matki bez podania hasła.

Wkrótce potem, w ślad za gwiazdą ojca, przenieśliśmy się do baru na przedmieściu, obok ślepego toru. Była to już trzecia przeprowadzka w ciągu roku, a ów ślepy tor okazał się ostatecznym grobem naszych marzeń o ucieczce. Zwyczajne szyny kolejowe nadbiegały z daleka wielkim lukiem. Może na drugim końcu urywały się tak samo niespodzianie, gdzieś tam koło cegielni... Tor dochodził do naszego baru i tu stała dęba jak śmiertelnie ranne zwierzę. Szyny były na końcach wygięte w górę i podparte zbutwiałymi już słupkami. Nie zrobiono tu nawet nasypu. Tor zarósł bujnym zielskiem i ciemniejszymi od niego pokrzywami, spośród których przezierały żółta trawy, już na wiosnę szczerbiały i pokryte rdzą — jakby zarażone pasożytem rdzy, która dwiema nabrzmiałymi żyłami szerzyła czerwoną epidemię, a panoszące się chwasty i trawy przybierały jakieś potworne kształty, zdeformowane przez dziedziczną chorobę krwi. Jedynie płójące się zielsko zdradliwymi

maczkami wynajdywało tu ożywcze soki dla swych pełnych trucizny, jadowitych gruczołów. Powierzchnię szyn, niegdyś pewnie błyszczących jak lustro, pokrywały strupy rduszonego nalotu. Rdza zamieniła żelazo w jakąś porowatą, zbutwiałą tkankę, w kość pozbawioną szpiku, a po bokach odrywała całe kawały, przetwarzając je w ceglasty popiół, który wsiąkał potem w ziemię, w serce chwastów. Podkłady pękały wzdłuż, wyżarte tą czerwoną zarazą jak kwasem.

Ów ślepy tor, o czym już zdaje się wspomniałem, odebrał nam ostatnie złudzenia.

Stało się to jak cud.

Któregoś ranka, raniutko, matka obudziła mnie ze snu i pełna przejęcia szepnęła, żebym się ubrał. Ta resztką rzeczy, które nam jeszcze zostały, była już spakowana, w walizkach. A przed barakiem, tam, na ślepych torze, rozświetlony blaskiem swoich okien, stał pociąg — WAGON LITS, SCHLAFWAGEN, RESTAURANT — wychylały się z niego zdziwione damy w kapeluszach, z włosami w lekkim nieładzie, gryząc białe bułki zawinięte w cienkie serwetki, którymi wycierały potem długie lakierowane paznokcie i rzucały zmięte papierki w panoszące się przy torze zielsko, gdzie grzebały chore, nastroszone kury...

MÓJ OJCIEC CAŁYMI DNIAMI wytrwale siedział obok woźnicy niczym wygnany rosyjski książę, w podniosłym nastroju, jakby naraz doznał dziwnego olśnienia, uświadomił sobie, że oto musi wypełnić się los zapisany w historii jego rodu, w księgach proroków. Zmienialiśmy sanie w jakichś ciemnych zabudowaniach, naprędcie, łyknąwszy na rozgrzewkę gorącej herbaty z koniakiem, potem, w saniach, przytuleni do siebie zapadaliśmy w głęboką sen, a dzwonki rozbrzmiewały lirycznym echem naszego snu i naszej ucieczki. Mój ojciec ponaglał woźniców, częstując ich koniakiem i bezwstydnie podkupując, mówił prędko, zadyszany, jak ktoś, kogo gonią. Wziął na siebie wszystkie kłopoty związane z podróżą, poświęcając się bez reszty, choć wiadomo było, że sam nie rozumie sensu i nie zna celu tej jazdy. Ale też nie dbał o to. Wiedział tylko, że musi się wypełnić jeden z rozdziałów wielkiej księgi prorocत्व, gdzie było mu pisane, że będzie się tułał i uciekał, nie oglądając się na nic; dlatego wsiadał do pierwszych lepszych san, kierował się ku pierwszemu z brzegu osiedlu, omijał je najgorszą drogą, całkowicie obojętny na to, że jego los

musimy dzielić i my, gdyż proroctwa, od których nie odstępował i w które ślepo wierzył, nie należały do najważniejszych i ojciec nie był zupełnie pewny, czy nie odnoszą się do nas wszystkich. Poddawaliśmy się zresztą jego woli bez protestu, uważając, że powinniśmy przyjąć na siebie część klątwy i przeznaczenia. Całymi dniami przemierzaliśmy śnieżne pustkowia, jednostajne jak ocean, straciwszy do reszty orientację. Ojciec jednak pewną ręką prowadził nasz statek, zapatrzony w gwiazdziste niebo dyktował drogę wylekłym woźnicom. Od czasu do czasu z wewnętrznej kieszeni palta wyciągał mapę nieba i rozpościelał na kolanach, jak niegdyś w pociągu swój rozkład jazdy. Uporawszy się z różą wiatrów, nagle wskazywał palcem ku błyszczącej gwiazdzie w konstelacji zodiaku, a spłoszony tym woźnica podcinał konie. Nie wiedział, że ojciec szuka gwiazdy swego przeznaczenia, dokładnie określonej w studium kabalistyczno-astrologicznym *A csillagfejtetés könyve*°.

Niekiedy zatrzymujemy się i mój ojciec stuka do bram niczym wygnany rosyjski książę. Nie mam siły ani chęci zadawać pytań, czuję tylko, jak oczy kleją mi się z rozspania, że zmęczenia i jak drzę ze strachu, z którym nie odważyłem się jeszcze oswoić, ze strachu przed nieznanymi stronami i ludźmi, przed zamkniętymi bramami. Słyszę, jak odprowadzane ujadaniem psów oddalają się dzwonki san, którymi przyjechaliśmy. Mój ojciec nadal dobija się do bramy, z jakimś wewnętrznym ogniem, z upartym postanowieniem. Z tamtej strony odzywa się pobrzękiwanie

A csillagfejtetés könyve (węg.) — Księga wróżenia z gwiazd.

kluczy i ojciec podaje swoje imię z patosem, z jakim wymawia się imiona proroków. Zgrzyta zasuwa — „Poczekaj chwilę, człowieku, nie da się szybciej! Nie spodziewaliśmy się was w nocy, o tej porze!” — potem ukazują się jakieś nieznane twarze, twarze lunatyków, ludzie wyrwanych z najgłębszego zimowego snu. Chwytają mnie za ręce i całują zaschniętymi, szerniałymi ustami o nieświeżym zapachu. Prowadzą nas przez jakieś mroczne izby, potem zapalają knot w lampie, mówiąc coś głosem jeszcze zaspianym i chropawym. Defiluje przede mną cały poczet krewnych, nieznanych i nieprzyjaznych, obrośniętych czarnymi kręconymi włosami, piegowatych, o nosach jak muszle ślimaków, a ja całuję się z wszystkimi po kolei, nie wiedząc dlaczego i po co. Wyjątkowe obrzydzenie czuję do stryjenek, których skóra ma niemiły smak, a z rozchylonych kołnierzyków — gdy staruszki przekrzywiają pomarszczone szyje, żeby ukazać twarz w korzystnym świetle — owiewa mnie trupi zapach, woń świec parafinowych i nieświeżej wody we flakonie ze zwędzłymi różami. Tylko rude, piegowate kuzynki całuję z kazirodczą czułością, podniecony zapachem ich bujnych, płomiennych włosów i rozwiązłą bielą skóry.

Mój ojciec z nerwowym pośpiechem pomagał swemu przeznaczeniu, pragnął, aby spełniły się słowa proroctwa, pragnął wybawienia. Fakt, że wiedziony jakąś wielką wizją pojawił się niby Ahaswer w krainie swego dzieciństwa — skąd uciekł był przed laty — świadczył w jego mniemaniu o nieuchronności losu, stanowił dowód, że dostał się w błędne koło, z którego nie ma wyjścia: łuk przegody jego życia zamykał się oto jak pułapka. Bezsilny

wobec Boga i wobec przeznaczenia, za swoją klątwę winił ludzi, a siostry i krewnych oskarżał jako sprawców wszystkich swoich nieszczęść, gdyż ogarnięty był obłądną manią, że cierpi za grzechy całej rodziny, całej ludzkości. Uważał się za jagnię ofiarne. Czuł się zraniony w swej dumie hipochondryka i człowieka zmarnowanego. Pragnął dać wszystkim do zrozumienia, że jest Ofiarą, tym, który się poświęca, skazanym na poświęcenie, chciał, żeby wszyscy to cenili i traktowali go jako Ofiarowanego. Swoją przegraną rozświetlał sztucznym ogniem z ołtarza, na którym się spalał, a swoją nędzę tłumaczył siostrą i krewnym jako wyrzeczenie, potępiał bogactwo w imię swej nieudolności, w imię ofiary, a swój koniec nazywał końcem świata, spełnieniem Apokalipsy. Naiwnością jednak byłoby sądzić, że ojciec poddawał się losowi bez oporu. Przeciwnie, uważał, że nikt z bliskich nie śmie i nie może przetrwać jego katastrofy, że jego przeznaczenie jest przeznaczeniem całej rodziny i całego narodu. Głosem matowym i ochryplym przepowiadał spełnienie Apokalipsy, unosił rękę niby prorok i jednym ruchem tej proroczej ręki obejmował sklepy swoich krewnych pełne towaru, płomiennym palcem wskazywał jedwabie, zasłony, kilimy i żyrandole, oczyma rozpalonymi sprawiedliwym gniewem rzucał klątwę na psy, koty, drób i bydło.

„Pomyślcie, ludzie, któż by mógł przypuszczać, że ten biedak całkiem straci rozum” — słyszę głos stryjenki i zaraz potem przejmujący, nieludzki ryk ojca. Oskarżał ich, wertując jakieś rachunki bodaj sprzed pół wieku, przytaczał cyfry i daty, wymieniał nazwiska prawdziwych

i fałszywych świadków głosem, od którego dzwoniły szklanki na półkach w sąsiednim pokoju, a pies na podwórzu zaczynał wyc obłądnie, jak podczas powodzi albo pożaru. W rezultacie klótni ci, z którymi się rozprawiał i których obrażał, porwany szałem, musieli zawsze rezygnować ze swoich argumentów, poddawać się i wszystkie siły skupiać na uspokajaniu ojca, przyznawać się świadomie i publicznie — jak pokutnicy — do całej zwalonej na nich winy, przyjmować wszystkie oskarżenia, wreszcie ściszać głos do szeptu, gdyż wszelkie wysiłki przekrzywienia mojego ojca nie odnosiły skutku. Ojciec bowiem potrafił tak podnieść swój boski głos i tak go natężyć, że wszystkie inne głosy nikięły w rwącej rzece jego barytonu, a każda próba przekrzywienia go wywoływała odwrotny efekt, gdyż wtedy, właściwie bez większego trudu, nadawał głosowi niesłyszana siłę, tak że wkrótce jego słowom, owemu rykowi trąby jerychońskiej, zaczynało wtórować brzęczenie szkła i porcelany, szczekanie psów, beczenie kóz i gdakanie kur, ludzie z sąsiedztwa schodzili się zaniepokojeni, z kijami w rękę, a kobiety nawoływały dzieci uciekające po pokojach jakby przed pożarem. Na głos tej trąby jerychońskiej wszyscy zaczynali ze strachu szeptać, uwierzywszy na chwilę, że szaleństwo mojego ojca jest tylko rodzajem objawienia. A on triumfalnie krzychał dalej, nie zniżając wysokiego tonu, do jakiego wznosił był swój baryton w chwili najsilniejszego gniewu i natchnienia: „...te wasze charty, te powozy, te wasze złodziejskie sklepiki... (Edwardzie! Jak możesz tak mówić!) ...w których piętrzą się kompromitujące sterty podłości, głupoty i zarozumiałstwa, zbrodnia pozwijana

w bele, powpychana do worków, nagromadzona na półkach... (...nasza gościn...) Pluję ją, zacna rodzino, na waszą gościnność! Pluję na wasze oblicze moralne! Tfu! Tak samo zresztą przyjęliście mnie w osiemnastym roku, aż świętej pamięci Moryc, też ofiara waszych machinacji, zapytywał, jak możecie — zaślepieni w samolubstwie — nie dostrzegać ogromu swojej marności, nie czuć się odpowiedzialni za swój ród i nie słyszeć głosu Apokalipsy! I wy macie jeszcze odwagę mówić mi o gościnności!... (Jeżeli ci się nie podoba...), to możesz sobie iść! Oczywiście, że sobie pójdę, żeby nie patrzeć na wasze lukulusowe uczyty, na wasze zakrwawione stoły, z których rzucacie nam kości jak psom, podczas gdy wnętrzności nasze wyżera zaraza głodu! Słuchajcie, wy źmije, wy odszczępieńcy! Przepowiadam wam czarną godzinę! Nie słyszycie głosu trąb jerychońskich? Niiiee słyszycieeee?!... A może uważacie, że to halucynacje Edwarda Sama, moje *delirium tremens*, moje białe myszki? (Edwardzie, na Boga, uspokój się, ludzie słuchają!) Nie obchodzą mnie żadni ludzie, niech się zejną wszyscy, wszyscy niech się zejną i zobaczą, niech będą świadkami krwawej krzywdy człowieka, niech słyszą moje sprawiedliwe słowa i prośnictwo! Albowiem, powiadam wam, wypluję was z ust moich. Mówisz: jestem bogaty i niczego mi nie trzeba. A nie wiesz, żeś nieszczęśny i nędzny, i ubogi, i nagi, i ślepy. Biada! Biada, miasto potężne, Babilonie, miasto zatwardziałe, gdyż godzina twoja jest blisko...”. W tych ostatnich słowach, które w delirycznym *fortissimo* zamieniały się w chaos niedorzeczności i przesady, mój ojciec gubił już wątek, przyzywał Mesjasza i rozprawiał

się z nim w przejmującym grozą, proroczym monologu, w natchnionych *lucida intervalla*, po których jego głos, podniesiony do niebywalej wysokości, zaczynał się zniżać i załamywać, przechodził w jęk i rżenie.

Siedzę w saniach koło matki, z roziskrzonymi oczyma, zatruty posłannictwem ojca. Jego słowa odcisnęły mi się na czole jak pieczęć, zaczynam odczuwać ścigającą nas klątwę i nagle pojmuję, że na zawsze przepadły te czasy, kiedy nasze dni były tylko przerwą w pięknych podróżach, a nasze podróże tylko krajobrazami wplatającymi się w sny. Siedzę przedwcześnie dojrzały, przytłoczony jakimś zwątpieniem, podwójnym zwątpieniem poznania. Niedawno, kiedy woźnica zaprzęgał, wszedłem za nim do stajni, gdzie w półmroku połyskiwały jak aksamit końskie zady. Woń stajni, woń moczu i zwiędłej trawy przypomniła mi nagle woń owego koca z wielobłądziej wełny, którym przykrywaliśmy nogi w dniach jakże odległych, wyjeżdżając o brzasku z Alei Kasztanów. Od wczesnego dzieciństwa wykazywałem bowiem chorobliwe przeczuwanie, w mojej wyobraźni wszystko zamieniało się szybko we wspomnienia, stanowczo za szybko: niekiedy dość było jednej nocy, dystansu kilku godzin, błahej zmiany miejsca, aby zwyczajne doznawanie, z którego wartości lirycznej początkowo nie zdawałem sobie sprawy, zostało uwieńczone niezwykle echem, jakie wzbogaca pewnego dnia tylko te przeżycia, które przez wiele lat istniały silnie utrwalone w podświadomości, w lirycznym zapomnieniu. Ów proces galwanostegii, pod którego wpływem rzeczy i osoby zyskują cienką

warstwę pozłoty i szlachetną patynę, przebiegał we mnie z tak chorobliwym nasileniem, że wczorajsza wycieczka — jeżeli jakaś obiektywna okoliczność wskazywała, że jest to fakt ostatecznie miniony, który nie powtórzy się i nie może się powtórzyć — już następnego dnia stawała się źródłem melancholijnych i niesprecyzowanych medytacji. Wystarczyły dwa dni, aby jakaś sprawa uzyskała łańcuszek wspomnienia. Powodowała to liryczna pobudliwość, którą odziedziczyliśmy po ojcu i wskutek której moja siostra Ana potrafiła płakać po świętach i po podróży, nie czekając, aż te wydarzenia staną się już tylko przeszłością; wystarczało, że mijał dzień, że zbliżał się wieczór, że zachodziło słońce, aby pojęła ich niepowtarzalność i płakała nad nimi jak nad dalekimi wspomnieniami. Na szczęście, gdy podrosła, wzdobyła się niezdrównej wrażliwości na zjawisko przemijania, niezwykle wysiłkiem zwalczyła przeczuwanie, drogą kobiecego, praktycznego rozumowania doszła do wniosku, że pewne sprawy są nieuniknione, i przestała się nimi przejmować — mnie natomiast nigdy się to nie udawało.

Nasi krewni, opatuleni w kraciaste chusty, ustawili się przed drzwiami według hierarchii wieku i godności, z rękami krótkimi jak podcięte skrzydła, i machają nam ruchem ledwo dostrzegalnym, wystraszeni klątwą mojego ojca, jego prorocztwami, które na moment wniosły w ich dusze niepokój. Mój ojciec ostrzega woźnicę, żeby nie zapalał latarni i trzymał się jego wskazówek. Potem wyciąga z kieszeni mapę nieba i ostrożnie rozkłada na kolanach. Drżącymi rękami pociera wilgotne zapalki, mamrocie coś, wymawia jakieś liczby — astralne, magiczne,

od których przechodzą nas ciarki. Płyniemy przez spienione obłoki, we mgle zamierają dzwonki, a dźwięk ich zamienia się w głuche grzechotanie.

Gdy wydostaliśmy się z gęstych oparów, przez które żeglowaliśmy na oślep, zdani na genialny instykt koni, dzwonki znów zadzwoniły i zobaczyliśmy gwiazdę ojca wśród konstelacji zodiaku. Woźnica spał, wiążąc podwójne furmańskie supły na grubej nici swego astralnego snu.

Ojciec, wierny idei wyrzeczenia, hojnie nagradza woźnicę, nie sprawia mu zawodu. Kobyła przenosi ciężar ciała na tylne nogi, jakby zamierzała usiąść, mocniej wspiera się w śnieg i zaczyna oddawać mocz. Drugi koń idzie za jej przykładem — słyszymy, jak w śniegu powstaje bulgoczący lejek. Ta scena, bynajmniej nie liryczna, oddziałuje wręcz poniżająco, zabija wzniosłość gestu ojca i naszego spotkania z krewnymi. Stryjenka Neti, staruszka o trzęsącej się głowie, w wyciągniętych rękach trzyma poświęconą macę i podaje mojemu ojcu na powitanie. Za nią ustawiła się reszta krewnych, w grubych ciemnych chustach: stryjenka Rebeka, o gęstych i kręconych czarnych włosach upiętych na ciemieniu w wielki kok, który stanowi jakby przeciwwagę dla jej nosa; na skronie opadają długie kędziory niby błyszczące druciane sprężynki; stryj Otto ze sztywną nogą, wysoki, chudy, zdegenerowana latorośl naszej rodziny, o rzadkich, prostych włosach, przynoszących wstyd temu bujnemu, kudłatemu plemieniu; i wreszcie synowie stryjenki Rebeki, moi bracia-gogusie, którzy z Budapesztu, gdzie się kształca,

przywieźli wiedeńską modę i owoce zachodniej dekadencji: srebrne cygarniczki i buty na wysokich obcasach. Ich biblioteka, zajmująca w pokoju całą ścianę, składa się prawie wyłącznie z powieści brukowych i sensacyjnych, przeważnie w wydaniu *Pesti Hirlap Könyvek*. Stryj Otto jest właścicielem sklepu z towarami „mieszanym i kolooidalnym”; mieści się on w niskiej, ciemnej izbie wypełnionej zapachem nafty, mydła, cykorii i rumianku. Duże emalowane tablice reklamowe, niebieskie i czerwone, wystrzelają krótkimi, treściwymi epigramami na cześć cykorii firmy Franck. Na drugim skrzydle drzwi rozgrywa się pełna kuszących obietnic kampania w interesie pasty do butów marki Schmol. A obok wzniosłej, zaczerpniętej jakby z La Rochefoucaulda maksymy o zdrowych, lśniących zębach — których porcelanowy połysk gwarantuje pasta marki Kalodont o smaku poziomkowym, zapewniająca ponadto świeżość ust — wisi przyczepione pinełkami ogłoszenie na kawałku ząbkowanego papieru do wykładania pótek. To stryjenka Neti wypisała ołówkiem chemicznym pytyjską sentencję: „W poniedziałek po niedzieli 11 lutego 1942 r. — cukier będzie sprzedawany po 200 pengő, a w kostkach po 230 pengő za kilogram”.

W głębi podwórza, obok drwalki, znajduje się nasze nowe mieszkanie — „oficyna dla służby” z czasów feudalnych, opustoszała i podupadła, pamiętająca dawny, mityczny okres, kiedy mój dziadek ze strony ojca, Maks, miał liczną służbę i powóz zaprzęgany w cztery konie. Są tu dwie niskie, ciemne izby o podłodze z ubitej gliny, która wiosną zaczyna jakby tajać, chełpić się fałszywą płodnością, w istocie najzupełniej jałowa, niezdolna

wydać nawet marnego chwastu. Z belek na suficie sączy się żywica zmieszana z sadzą, szerniała, wisi jakby ociągając się, narasta i wzbiera niby krople zakrzepłej czarnej krwi. Za domem, blisko malutkiego jak w piernikowej chatce okienka kuchni, wychodzącego na ogród, znajduje się wybielony wapnem ustęp z wyciętym w drzewach serduszkciem. Wewnątrz, po prawej stronie, wisi torebka z białego płótna, z wyhaftowanymi kolorowym jedwabiem dwiema różami; pomiędzy liści wystają kolce niby tandetna ilustracja oklepanej sentencji. W tej nędznej torbie kończyły swą błyskotliwą karierę gwiazdy filmowe i wiedeńscy hrabiowie, bohaterowie skandalicznych afer i kobiety-wampy, słynni łowcy i badacze, „bohaterowie frontu wschodniego” i niemieccy lotnicy. Z rana, niby w skrzynce listowej, znajdowałem tu pocięte ilustrowane czasopisma, które stryjenka Rebeka otrzymywała z Budapesztu. Dzięki temu dostawały się w moje ręce najślawniejsze osobistości owych wojennych czasów, ludzie i zdarzenia pojawiali się przede mną wyrwani z kontekstu, zdani na łaskę i niefaskę mojej wyobraźni, i zdarzało się, że — dodając do zdjęcia mylne objaśnienie — scenę z jakiegoś filmu ogłaszałem jako rzeczywiste wydarzenie historyczne, ustalone w miejscu i czasie, a Katalin Karadi koronowałem na królową angielską, pod której portretem przyczepiałem jednak wycięty z tygodnika podpis: „Dziewięćdziesiąt dziewięć kreacji Katalin Karadi”. Byłem zatem poinformowany o najświeższych kapryсах mody, z ogromnym zainteresowaniem śledziłem przebieg procesów przeciwko szpiegom, oszustom i dostawcom wojskowym, według

własnego uznania wymierzałem kary i królewskim gestem korzystałem z prawa łaski.

Owo przesiadywanie w ustępie wkrótce stało się przedmiotem ogólnego zainteresowania, zaczęło budzić wątpliwości i podejrzenia. Przyjmowano je jako jedno z moich dziwactw lub tłumaczono odziedziczonym po ojcu usposobieniem introwertyka i skłonnością do obstrukcji, zamęczano mnie środkami przeczyszczającymi i przeciwbólowymi, a jednocześnie wszystkich zdumiewały moje wiadomości o wiedeńskiej modzie, o nowych rodzajach broni, o skandalach pałacowych w Szwecji, jak również przedziwne niedorzeczności, które niekiedy potrafiłem żarliwie udowadniać, nie przytaczając oczywiście źródeł. Ach, ta nienasycona żądza wiedzy, ta łatwowierność, ta zazdrość, ta nieporadność, ta ambicja! Skandale na dworze królewskim w Szwecji wybuchały z mojego powodu, zbrodni i wiarołomstwa dopuszczano się po to, aby mnie zjednać — byłem bowiem twórcą zawistnego i złego świata.

JULIA JEST BEZLITOSNA, Julia zawsze zwycięża. O tysięczny ułamek sekundy wcześniej podaje wyniki najpodstępniejszych zadań matematycznych: „Jeżeli piechur w ciągu godziny przechodzi pięć kilometrów, to ile...” i tak dalej. Ta skryta wojna toczy się pomiędzy nami od pierwszego dnia, zaciekła, okrutna, i każde z nas czuje, że nie może ustąpić, nie może się poddać, nie wolno zawieść wszystkich tych, którzy stawiają na nas jak na wyścigowe konie. Julia ucieka się do swego wdzięku, co swych kobiecych machinacji, co do tego nikt nie ma wątpliwości i jest publiczną tajemnicą, że wszyscy chłopcy z naszej klasy oddają do jej dyspozycji swój rozum, swoje siły i swoje kapitały. Pracuje na nią cała armia mrówek, obliczają wyniki i cichaczem posyłają jej pod ławkami, zagadują nauczycieli, piszą anonimy i werbują stronników, chwytają dla niej najpiękniejsze motyle i owady, wynajdują najrzadsze okazy kwiatów do zielnika.

Ja przystępuję do walki zupełnie nieprzygotowany, rozporządzając tylko chaotycznymi wiadomościami z ilustrowanych czasopism. Nie mając dosyć sił ani możliwości, by walczyć otwarcie, stawiam na oryginalność.

Nie mogąc zaimponować piękniejszej połowie klasy wdziękiem, siłą ani zuchwalstwem, decyduję się na szaleńczy krok: zdobyć Julię.

Każdy mój ruch, każde słowo jest wyrachowane. Usypiam jej czujność. Liczę na dalekosiężne skutki mojej przebiegłości. Ku ogólnemu osłupieniu na którejs lekcji oświadczam, że nie mam zielonego pojęcia o wyszywananiu i temu podobnych robótkach. Julia podnosi znad haftowanej właśnie serwetki zielone oczy, nagle przestraszona, wyczuwając, że za moimi słowami kryje się jakiś niebezpieczny podstęp. Nawet wychowawczynię, panią Rigó, której wiadome było wszystko, co się dzieje w klasie, speszyło na chwilę to niespodziewane wyznanie. „Każdy w końcu — powiada po chwili namysłu — ma własne zainteresowania” — w ten sposób dała mi poznać, że nie traci jeszcze nadziei na moje zwycięstwo, i co ważniejsze, dała mi wolną rękę. Korzystając z najnowszych osiągnięć aerostatyki i aerodynamiki, z najnowszych doświadczeń w zakresie budowy samolotów — oczywiście dzięki czasopismom stryjenki Rebeci — oraz licząc przy tym na zaskoczenie, na szok, zrobiłem kilka samolocików, niezwykle oryginalnych, wyposażonych w stabilizatory na ogonie i na skrzydłach, w broń i we wszystko, co tylko się da. Już sama ich konstrukcja, śmiała i pomysłowa, mogła wprowadzić w zdumienie, ale szczyt zaskoczenia, bombę zdumienia zachowałem na ostatek. Dzięki małemu stabilizatorce, chytrze ukrytemu pod skrzydłami, jeden z tych samolotów, po popisowym locie, mógł wylądować na moim ramieniu. Pani Rigó, najwyraźniej życząc mi sukcesu, dała oczyma znak — i puściłem samolot w powietrze. Przedtem

oczywiście dokładnie nastawiłem wszystkie urządzenia. Samolot poleciał jak mewa, ku jasności. A kiedy wszyscy wstrzymali oddech, jednym nagłym i niespodziewanym ruchem zmienił kierunek, niemal zawadzwszy skrzydłem o okno, wykonał wspaniałą pętlę i okrążywszy głowę Julii niby zakochany gołąb, posłusznie wrócił na moje ramię. Zanim spoczął po tym niebezpiecznym i emocjonującym locie, zamachał ogonem jak sroka, a potem, straciwszy wszystkie swoje wzniośle cechy, znieruchomiał, zamieniony czarodziejską różdżką w ptaka bez nieba, w łabędzia bez jeziora. Obserwowałem spod oka Julię: w tej chwili gotowa była się poddać, całkowicie mi ulec.

Podczas przerwy puściliśmy jeszcze dwa samoloty, które w zetknięciu z ciepłymi prądami powietrza przeżyły zadziwiające metamorfozy. Jeden, jak motyl z połamanymi skrzydłami, spadł nagle, głową na dół, koło studni. Drugi, porwany północnym wiatrem, wzbił się wysoko, zniknął za drzewami i dachami domów. „Zamienił się w ptaka!” — zawołała z podziwem Julia, zapomniawszy się na moment, po czym ugryzła się w język i przybrała wyraz całkowitej, choć fałszywej obojętności. Chłopcy pobiegli szukać samolotu w szkolnym ogródku, żeby zadać kłam łatwowierności Julii i zawrócić ją z drogi nadmiernego entuzjazmu. Przyniesli tylko martwą jaskółkę, znalezionej wśród zroszonych krzaków bzu. Nie miała prawie wcale ciężaru — drobne czerwone mrówki wyniosły jej wnętrzności przez dziób.

Chłopcy złożyli ptaka u stóp Julii jakby w hołdzie, nie śmiąc podnieść oczu.

Po pierwszym moim zwycięstwie sprawy przybrały nowy obrót. Przystępuję do walki z jeszcze większym polotem, wykorzystując próżność Julii, milimetr po milimetrze zdobywam jej umysł i ciało. Na początku drugiego okresu układ sił zaczyna się wyrównywać, zyskuję coraz więcej zwolenników. Chłopcy, przestraszeni moim nagłym sukcesem, pożerani zazdrością, gromadnie stają po stronie Julii, podstawiają mi nogi, skarżą. Nazywają mnie uwodzicielem i zarzucają, że nie przestrzegam zasad gry. Z drugiej strony, prawem polaryzacji, dziewczynki zaczynają kręcić się koło mnie, bardzo delikatnie, niemal niedostrzegalnie, pilnując się, aby nie zdradzić swej życzliwości. Ich pomoc sprowadza się właściwie do poparcia moralnego: dodają mi odwagi spojrzzeniami. Niezdolne do otwartej walki jak chłopcy, skrupowane wstydlivością i patriarchalnym dziedzictwem, działają na tyłach, sabotując odpowiedzi Julii nagłymi, doskonale dawkowanymi wybuchami śmiechu. Szerzy się zaraźliwy *fourire*, dziewczynki ślaniają się jak pijane, wprost płaczą histerycznie ze śmiechu, wypełniając klasę bukietami fajerwerków. Chłopcy natomiast siedzą niewzruszeni jak skała, przewidując domyślnie sens tych sabotaży, ale nie mogą niczym im zapobiec. W napięciu, niecierpliwie czekając na decyzję Julii, wpatrują się badawczo w jej twarz, zaczerwienioną od skrywanej złości. Na upstrzonym piegami policzku z prawej strony robi się dołek, twarz wykrzywia nerwowo grymas. Julia pokastuje, wycierając spocone dłonie chusteczką. Nagle z piersi jej wyrwa się śmiech, niemal bolesny, jak długo powstrzymywany jęk czy kaszel, wybuch, rozpraszając kropelki śliny, ły

przesłaniają jej oczy. Ostatecznie pokonana Julia, zataczając się, idzie do drzwi, drży na całym ciele, a warkocze same jej się rozplatają.

Pani Rigó — nie potrafiąc oprzeć się epidemii szalonego śmiechu ani przeciwstawić się skutecznie tej zarazie, która zagraża już i lewemu rządowi ławek, gdzie siedzą chłopcy i gdzie teraz odzywa się symptomatyczne, zdradzieckie pokaszliwanie — bierze ze stołu dzwonek i energicznie ogłasza dużą przerwę. Srebrzysty dźwięk rozlega się w tym śmiechu jak kadencja, a chłopcy, korzystając z okazji, wymykają się z klasy.

Julia stoi oparta o ścianę, w spoconej dłoni ścisła małą batystową chusteczkę. Jej płacz przypomina nam o powadze sytuacji, o toczącej się zapalczywej wojnie. Egoizm pokonał we mnie współczucie. Z hardością zwycięzcy przechodzę nad tym do porządku dziennego, udając, że nic nie zauważyłem.

Nikt nie wie, dlaczego Julia płacze.

Kto zaszczepił we mnie ten grzech, kto mnie nauczył niebezpiecznej i powabnej roli donżuana, kto włożył mi w usta uwodzicielskie słowa, pełne oszałamiającej dwuznaczności i ponętnych obietnic, które szeptałem Julii, mijając ją na korytarzu, w ogródku szkolnym podczas przerwy albo przed nosem wszystkich, w ścisłości pod drzwiami, owijając te obrzydliwe słowa w dźwięk dzwonka jak w staniol? Śledziłem ją z niebezpiecznym, groźnym uporem, śpiewałem oczyma, omotywałem swoją ciekawością niby pajęczyną, wsuwałem spojrzenia jak macki w dekolt jej bluzki, gdy podnosiła z podłogi ołówek, potrafiłem nawet

uchwycić pod sukienką nagość jej kolan, kiedy wbiegała po schodach. Stawałem się coraz bardziej zuchwały i zmieniałem taktykę uwodzenia, której nauczyłem się z ilustrowanych czasopism, posługiwałem się słownikiem amantów filmowych lub żargonem handlarzy żywym towarem i właścicieli kabaretów, opowiadałem aluzyjne historyjki o pałacowej rozpuście, przemawiałem wyrafinowanym językiem budapeszteńskich stręczycieli, wykorzystując wiedzę czerpaną z brukowych powieści w bibliotece mojego stryja, rozbudzałem w niej kobiecość i ciekawość, niebezpiecznie już przytłumioną pochlebstwami i naiwnymi zalecankami chłopców w grze będącej tylko sztuką dla sztuki. Zdołałem wykazać jej zupełną ignorancję w sprawach wykraczających poza ciasne ramy nauki w szkole i zadawanej lektury, upokorzyć ją, aż sama sobie wydała się bezradna i śmieszna. Nie chcąc poza szkołą wypuścić jej spod władzy mojej dwuznacznej i zwodniczej elokwencji, postarałem się zbliżyć do jej rodziców, którzy przyjęli mnie z naiwną prostodusznością, nabrawszy się na zrzęcinie udawaną wstydlivość, podziwiając wytworne manieiry i dystynkcję, w jaką ubierałem słowa i gesty.

Pewnego dnia, tej samej jeszcze zimy, gdy upewniłem się, że Julia, zatraciwszy indywidualność w przytłaczającym piekle moich fantazji, gotowa jest mi ulec, zdecydowałem się na ostateczny krok. Mówiąc tak, nie mam odwagi przyznać, że ów „ostateczny krok” był tylko częścią mojego planu, obmyśloną z wyłączeniem improwizacji, a zatem wchodziło w grę to, co w kodeksie kościelnym i sądowym nazywa się działaniem z premedytacją. Ukryliśmy się w sianie, w szopie pana

Szabó, ojca Julii. Laci Tóth, jej paż i nadworny błazen, liczył do dwustu, uczciwie, nie oszukując — słowa Julii były dla niego świętością — ja zaś leżałam koło niej na sianie, odurzony zapachem, i patrząc jej w oczy, ozna- miłem zuchwale, iż nie ma dla mnie tajemnic: wiem, że włożyła dzisiaj różowe majteczki. Nie wybuchnęła gniewem i nie uciekła. Tylko twarz jej oblała się rumieńcem. Potem podniosła na mnie swoje zielone oczy, w których malowało się oddanie i podziw. Dzięki wyjawieniu tej małej tajemnicy przebyliśmy naraz dzielące nas dotąd olbrzymie przestrzenie i staliśmy się sobie całkiem bliscy.

Z łańcie kobiecą przebiegłością Julia rozkazuje, żeby Laci Tóth liczył od nowa, rzekomo przypuszczając, iż nie stanął na wysokości zadania i oszukiwał. Rozgniewać Julię znaczyło dla Laciki zasłużyć na łaskę jej uwagi — taką miała nad nim władzę — toteż usłuchał z jakąś gorzką satysfakcją, wyczuwając w jej słowach zdradę. Zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, rozeszliśmy się w różne strony, obawiając się podejrzliwości zazdrośnika. I znów spotkaliśmy się w sianie, w tym samym wgłębieniu, które zachowało jeszcze ciepło naszych ciał. Julia przytuliła się do mnie, bez białych rękawiczek swojej hardości, piego- wata, zielonooka, z warkoczami o barwie dojrzalego żyta. Powiedziałem, że napiszę do niej list.

„Wiem, co będzie w tym liście” — odparła, nawet się nie rumieniając...

Popychani siłą obudzonej zmysowości, zachwyceni i przerażeni nowymi możliwościami zmysłów i pozna- nia, dumni z faktu, że jedno przed drugim odkrywamy

swoje tajemnice, oszołomieni aż do zawrotu głowy ana- tomią ludzkiego ciała i zagadką, pod której wrażeniem przechodziły nas ciarki, zaczęliśmy spotykać się coraz częściej, ocierać się o siebie niby to przypadkiem w wą- skich drzwiach naszej klasy, na dziedzińcu szkolnym, w ogrodzie i w sianie, w szopie pana Szabó o zmroku. Kuszeni tym grzesznym zawrotem głowy, zdumieni przedziwnymi różnicami w budowie naszych ciał, w ich zapachu, zachwyceni i przerażeni faktem, o którym dotąd mieliśmy mętne pojęcie, przeczuwaliśmy go jedynie — zaczęliśmy odkrywać przed sobą wszystkie swoje tajemnice, demonstrując je dokładnie i wyjaśniając. Przypatrywaliśmy się sobie tak, jak się ogląda pornograficzne obrazki albo atlasy medyczne, przeprowadzając, niby pierwsi ludzie, naiwne porównania ze zwierzętami i roślinami. Ach te zwierzenia! Ta tajemnica! Porośnięci złotawym puchem jak brzoskwinie, pozbawieni jeszcze ciemnych włosów — oznaki dojrzałości, staliśmy jedno przed dru- gim obnażeni niby obrane ze skórki pomarańcze, w rajcu, z którego wkrótce mieliśmy zostać wygnani.

Nasza zażyłość zaczyna budzić podejrzenia. Śledzą nas całe pułki szpiegów, usiłują dobrać się do naszych listów, pochwyć nasze tajemne spojrzenia, żeby mieć dowody, nakryć nas *in flagranti*, a potem skompromitować. Rodzice Julii otrzymują anonimy zawiadamiające, że jesteśmy zaręczeni, że związaliśmy się przysięgą, zamie- nili pierścionki, że wypiliśmy wzajemnie po kropli krwi z serdecznego palca nakłutego stalówką. Naturalnie nie brak w tym wszystkim chorobliwej przesady, wywołanej

zazdrością i zawiścią, nie brak fantazji i prymitywnej łatwowierności, wymysłów i plotek, podawanych z ust do ust podczas sąsiedzkich pogwarek na wsi w długie zimowe wieczory. Pani Rigó przybiera oficjalną, surową minę, obawiając się ewentualnych następstw, udaje, że o niczym nie wie, niczego nie zauważa. My oboje tymczasem wierzymy naiwnie, że nasze spojrzenia są niewidoczne dla innych, że nikt nie zwraca uwagi na nasze przypadkowe spotkania.

Ta naiwna przygoda miłosna, rozdmuchana do rozmiarów skandalu, z ciasnego ziemskiego padoleń przenosi się wkrótce w eter, wieść o niej dociera do samego nieba, bez przesady mówiąc, staje się niebiańską aferą, bowiem grzeszne dotknięcia, rozpalone żrenice, nagość naszych ciał i naszych myśli dojrzał siwy starzec o rogach jak u fauna, z czołem przeciętym zmarszczką, z brodą białą i kędzierzawą niczym runo owiec angorskich, którą w niewinności braliśmy po prostu za jeden z obłoków.

Jego nadejście oznajmiały straszliwe błyskawice, drzewa same się otwierały i do pokoju wchodziło To, jego straż przednia, coś nieokreślonego, głos bez ciała, błyskające w ciemności oczy, szpony wyciągnięte ku mojej szyi. Wołałem przerażony: „*Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*”. Wówczas rozlegał się jego śmiech jak beczenie owcy, donośniejszy od huku pioruna. Budziłem się zła ny potem, słysząc głos mojej matki: „Kochanie, znowu wzywałś Jęgo”. Matka odwracała mnie na prawy bok, wyłączając w ten sposób serce z obwodu elektrycznego sennych majaczeń. Znikają dręczące mnie zmyry, gdyż na

tym boku miewam tylko piękne sny: jadę teraz na rowerze stryja Ottona, szprychy połyskują w słońcu, śpiewają niby lira. Przyjeżdżam nad wielki rów — olbrzymią paleolitową rysę w skorupie ziemskiej, rower unosi się w górę jak ptak, lecę bez obawy, pełen jakiejś uskrzydlającej radości, wreszcie opuszczam się w dolinę, gdzie zgromadzeni ludzie witają mnie niczym zwycięzcę głośnego wyścigu rowerowego. Julia własnoręcznie zakłada mi na żółtą koszulkę z emblematem klubu wieniec z liści laurowych, których zapach czuję nawet we śnie, liście te są twarde i sztywne, jak z patynowanego brązu. Rower stryja Ottona zamieniał się w moich snach we wspaniałą maszynę latającą Leonarda da Vinci, na której — pod wpływem jakichś nieokreślonych instynktów okresu poprzedzającego dojrzewanie — zaspokajałem ikarowe pragnienia. Za dnia rower ten, pokryty warstwą pyłu, stał oparty o taras — czasem pozwalano mi go wyczyścić, usunąć pokłady kurzu i błota. Lubilem patrzeć na błyszczące niklowane części: przygotowywałem go do nocnych podróży, do latania we śnie. Wsuwałem szmatki między szprychy jak między palce, pod wpływem chuchania niklowana powierzchnia zachodziła mgłą niczym lusterko i oczyszczony rower, jak bielejący łabędź, migotał szprychami, grał niby harfa. Ta genialna latająca maszyna za dnia, w rękach stryja Ottona, znowu jednak stawała się zakurczonym, używanym tylko w celach praktycznych starym gratem, którym stryj jeździł do Bakszy, do Lendawy, a nawet do Zalaegerszeg w interesach handlowych i paskarskich. Od urodzenia miał on lewą nogę nieruchomą w kolanie, więc tylko prawą stawiał na pedały i przymocowywał paskiem, lewa

zaś, nieco krótsza i wykrzywiona, zwisała z boku mar-
twa i niepotrzebna. Ów milczący odludek, który powoli
włókł się na rowerze po zakurzonych wiejskich drogach,
pogwizdując pod nosem, w moich oczach okropnie po-
niżał wspaniałą, niebiańską latającą maszynę, nie tylko
dlatego, że kręcił pedałami z upokarzającą opieszałością,
bez najmniejszego zapału. Wracając z paskarskich wypraw,
obciążał moją powietrzną, grającą maszynę torbami z ry-
żem albo soczewicą, nad tylnym kołem kładł nawet cały
worek mąki, aż za rowerem zostawały na piasku cienkie,
niezgrabne ósemki.

Po raz drugi On ukazał mi się wiosną tego samego
roku. Było to tak: chodząc na czworakach wśród zarośli
nad rzeką, skubałem dziki szczaw. Zapach i zieleń świeżej,
gęsto wybujałej trawy w pewnym sensie rozbudziły we
mnie, odziedziczoną po ojcu, skłonność do panteizmu,
pragnąłem poczuć się panem wszystkiego, szaleńczo, jak
mój ojciec, sercem, oczyma, ustami, wewnętrżnościami.
W uniesieniu wywołanym tą zielenią, tą bujnością, ze
smakiem szczawiu na języku, z żabim skrzekiem śliny
w kącikach ust, nagle poczułem, jak w okolicy moich
bioder wzbiera jakieś niezdrowe podniecenie — to samo
uczucie, które budzi we mnie piegowata skóra Julii, trójkąt
szyj pomiędzy warkoczami, zapach jej potu.

Stał na krawędzi obłoku, niebezpiecznie przechylony,
zachowując jakąś nieludzką, nadludzką równowagę,
z rozżarzoną obręczą wokół głowy. Pojawił się niespo-
dziewanie i równie szybko, niespodziewanie zniknął
niczym spadająca gwiazda.

Jego nieme ostrzeżenie pogrąża mnie w najgłębszej
rozpaczy, bliskiej szaleństwu. Postanawiam wrócić na
drogę pokuty, zostać świętym.

Wielebny nasz prefekt i pani Rigó przyjmują moje
postanowienie radośnie, z nabożną gorliwością. Ksiądz
prefekt wzywa matkę i oznajmia, że niestety, w tych cięż-
kich okolicznościach, w dzisiejszych warunkach,
nie będę mógł zostać ministrantem, choć tak bardzo
tego pragnę. Mogę natomiast uczęszczać na naukę re-
ligii, na jego lekcje, na to oczywiście się zgadza, nawet
cieszy się bardzo i czuje się zaszczycony, gdyż uważa,
że wyjątkowo interesuję się tym przedmiotem i mam
godne pozazdroszczenia wiadomości. Słyszając to, matka
zapłakała ze wzruszenia. Pani Rigó stała z boku, dumna
ze mnie, też wzruszona do łez.

Mocno postanowiwszy wytrwać w podjętym zamiarze,
zaczynam umartwiać ciało, biczować się. Nie pomijam
okazji, żeby przytknąć dłoń do rozpalonej płyty kuchen-
nej, często szczypię się do łez. Udaję, że nie dostrzegam
czasopism ilustrowanych w ustępie, przestaję się intere-
sować powieściami kryminalnymi i nareszcie zgadzam
się przeczytać książkę, którą już od dawna podsuwają
mi krewni jako jedyną odpowiednią na mój wiek lek-
turę — *Chłopców z Placu Broni* Ferencza Molnára.

KSIĄŻKĄ MOJEGO ŻYCIA, która wywarła na mnie głęboki, wszechstronny wpływ, z której wywodziły się moje przywidzenia, zmyślenia i fantazje, odkryciem, które zaćmiło potępiony *Rozkład jazdy* ojca, książką, która wysalała mi się w krew i mózg stopniowo, przez lata całe, pomiędzy grzesznymi, zawilgocionymi artykułami z budapeszteńskich czasopism ilustrowanych, pomiędzy *Kapitanem „Srebrnego Dzwonu”*, *Ślicznotką w klatce*, *Człowiekiem, koniem, psem* i innymi, tą książką była *Mała Biblia dla szkół* w wydaniu Towarzystwa Świętego Stefana; opracował ją „dla uczęszczających się młodzieży dr Joannes Marcell, vicarius generalis”. Biblię i *Mały katechizm* kupiła mi matka w trzeciej klasie od koleżanki Any, Ilonki Vaci, której nazwisko wypisane było na książkach czerwonym atramentem, raz na zawsze. Biblia ta była kwintesencją wszelkich cudów, wszelkich mitów i legend, bohaterskich czynów i okrucieństwa, koni, wojsk i mieczów, trąb, bębnow i jęku. Wystrzępiona i bez okładki, niczym owoc obrany ze skórki, niczym słodko-gorzki marcepan wyjęty ze staniolu, zaczynała się od siódmej strony, *in medias res*, od grzechu pierwotnego: wkrótce po jego popełnieniu ludzie

dowiedzieli się, że przyjdzie ktoś, kto zmiażdży głowę węża. Cudownie zwięzłą anegdotę, to sedno sprawy bez zbędnego gadulstwa, te wydarzenia ogołocone aż do kości, ten rozżarzony do białości temat ilustrują grawiury, z których twarze bogów, świętych i męczenników przemawiają swoim patosem. Oto całe zastępy złych i dobrych, grzesznych i niewinnych, uchwyczone w decydującej chwili, która kształtuje charaktery lub przynajmniej je określa, twarze naznaczone charakterem niby stemplem, niby piętnem Bożej farmy, z której pochodzą. Twarz pierwszego człowieka w momencie gdy Adam podnosi jabłko do ust — wydzielanie się mitycznej śliny, jak u psów Pawłowa, wskutek odruchu warunkowego, wywołanego kwaśno-słodką soczystością jabłka — twarz ściągnięta grymasem pożądliwości. Ewa, pramatka Ewa, z wystającymi, rozrośniętymi biodrami, oparta o pień z zaczepną kokieteryą, w pozie wiejskiej uwodzicielki oferującej pierśnikowe słodycze swej nagości. Z włosami spływającymi aż do kostek, jak gdyby stała pod wodospadem, z małymi piersiami, zupełnie nieproporcjonalnymi do szerokich ramion i bioder, przypomina okazowe postacie kobiece z podręcznika anatomii. Jeden ze strumieni tego ciemnego wodospadu, pasmo bujnych włosów podkreślone jak wąs, wymyka się naraz z tej kaskady, owija wokół bioder niby płózający się pęd albo jakiś żywy organizm i na przekór sile ciężkości, w przystępie boskiego, a zarazem grzesznego natchnienia przykrywa nagość pramatki, z której płodnego żywota sterczy pępek niczym wielkie oko Cyclopa. Stojąc pochylony nad grawiurami nie w roli widza gigantycznego filmu historyczno-baśniowego, ale w roli

świadka, jakbym dzięki transcendentnemu cofnięciu się w przeszłość mógł uczestniczyć w tych wydarzeniach. Świadom dalekosiężnych i tragicznych skutków postępu Adama, za każdym razem na nowo, obłany potem, szepczę: „NIE! NIE!”, bowiem wciąż jeszcze nie jest za późno, aby rozluźnić palce i wypuścić jabłko, dając mu znaki oczyma, żeby się odwrócił i zobaczył to, co ja: węża nad głową Ewy, owiniętego niby pnącze wokół gałęzi. Ale ta przełomowa chwila wciąż trwa, skończona, lecz ponawiająca się za każdym razem i ilekroć odwrócę kartkę, znów owiewa mnie zapach — utraconego — raj, woń owoców południowych, oblewa mnie blask słońca i błękit morskiej zatoki (przypomina mi to chwilę, gdy podczas jednej z naszych podróży zatrzymaliśmy się nad morzem, które zobaczyłem wtedy po raz pierwszy). Rajski pejzaż na grawiurze, na dalszym planie, owo genialne dzieło boskiego natchnienia nie było dla mnie, powiadam, rysunkiem, ilustracją wydarzeń, ale oknem wieczności, czarodziejskim zwierciadłem. Te grawiury, te krajobrazy biblijne były po prostu zlodowaciałymi, skamieniałymi momentami długich dziejów człowieka, skamielinami, które przetrwały wszystkie kataklizmy, niby w złotym jak miód bursztynie osłaniającym skrzydła ważki, a także dym ołtarzy ofiarnych, dźwięk jerychońskich tręb, ryklwów i beczenie owiec w raju, namiętny krzyk biblijnych tłumów, huk rozszalałego morza, woń krzewów mirtowych, fig i cytryn, ochryple głosy proroków.

W dzieciństwie przeżyłem losy wszystkich postaci ze Starego Testamentu, grzechy grzeszników i sprawiedliwe czyny sprawiedliwych, byłem Kainem i byłem Ablem,

raz jednym, raz drugim, płynąłem arką Noego i topiłem się w morzu z grzesznikami. „A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć... dopuszczali się przewinień i ziemia była pełna nieprawości. I rzekł Bóg do Noego: Sprowadź na ziemię potop, aby zniszczyć wszelką istotę pod niebem... Ty zaś zbuduj sobie arkę, gdyż z tobą zawrę przymierze... A gdy upłynęło siedem dni, wody potopu spadły na ziemię... Noe oraz jego synowie, żona Noego i trzy żony jego synów weszli do arki, a wraz z nimi wszelkie gatunki zwierząt, tak jak Bóg Noemu przykazał. I zgromadzili wszelką żywność, aby była na pokarm dla nich i na paszę dla zwierząt. Przez czternaście dni i czternaście nocy padał deszcz, wody podnosiły się coraz bardziej, tak że zakryły wszystkie góry wysokie... Wszystkie istoty poruszające się na ziemi... wyginęły wraz ze wszystkimi ludźmi... Pozostał tylko Noe i to, co z nim było w arce... Gdy wody obeschły... wyszedł Noe z arki... zbudował ołtarz i złożył na nim ofiarę całopalną... Bóg przyjął ofiarę, pobłogosławił Noego i jego synów i tak rzekł do nich: Nigdy już nie będzie potopu niszczącego ziemię... Łuk mój kładę na obłoki, aby był odtąd znakiem przymierza, które zawarłem z wami i ze wszystkimi ludźmi”.

Biblijny dramat potopu za każdym razem na nowo przeżywałem jako swój własny dramat, w chwili szczerości uprzytamniając sobie, że nie ma dla mnie miejsca w arce, i drżałem na kolanach matki, okryty przemokniętą derką na dachu jakiegoś domu razem z garstką ludzi, którzy pozostali jeszcze przy życiu, świadomi, że to ich ostatnie schronienie, a deszcz padał nieustannie, jak w Biblii.

Wraz z grzesznikami spalam się w płomieniu skruchy, na dachu domu niby na kępie koralu pośrodku morza, a dokoła pływają obrzękle zwłoki zwierząt i ludzi, bieleją jak ryby ciałka małych, niedawno narodzonych dzieci i pomarszczone, owłosione ciała starców. A ów człowiek odziany w kaftan, z obłądnym błyskiem w oczach, z rękami wzniesionymi ku niebu, to mój ojciec, grzeszny prorok i fałszywy apostoł. Woda przybiera centymetr po centymetrze, nieubłaganie, zamieniając wszystko w jedno ogromne płynne n i c, a na falach, w ciemnej dali, unosi się arka Noego niczym jakiś wielki owoc, z którego powstaną ludzie, zwierzęta i rośliny, płynie to wielkie laboratorium życia pełne nasienia ludzkiego i zwierzęcego, okazów wszelkiego gatunku, posortowanych i oznaczonych etykietami z łacińskim napisem jak w aptece, pełne młodej, dopiero kiełkującej cebuli i ziemniaków, jabłek, poukładanych w drewnianych skrzynkach niby na straganie, pomarańczy i cytryn, kryjących w sobie załazek światłości i wieczności, ptaków w klatkach, które wkrótce zapłodnią powietrze drobnymi nasionkami świergotu i uszlachetnią pustynną nagość nieba brawurowymi lotami.

W chwili, kiedy już przebyłem w duchu dni kataklizmu, pogodziłem się ze śmiercią moją i mojej matki, w chwili gdy uprzytamniałem sobie, że to koniec wszystkiego, że będąc tylko obrzękłymi zwłokami w morzu, przestaliśmy cierpieć, i odsuwam na razie myśl o smutnych konsekwencjach czekających moją duszę (wspaniałomyślnie rezerwuję sobie miejsce w czyścisku, przynajmniej w przepływie największego optymizmu) — w tej chwili przeżywam także radość tych, którzy pozostali przy życiu,

kolumbową radość sprawiedliwych. Ów moment, gdy wody ustąpiły i arka dotknęła dnem ziemi — po tylu dniach bezsensownego błędzenia wśród fal morskich — przeżywam jako podniebny wzlot mojej fantazji i historii człowieka. Radość życia narasta we mnie aż do krzyku, jak tylko mogę, staram się zapomnieć, że właściwie na nią nie zasłużyłem, i poddaję się tej fantazji, temu kłamstwu, krzyk mój przyłącza się do krzyku wychodzących z arki, widzę triumfalny lot ptaków oswobodzonych z klatek, słyszę ich śpiew i ryk lwów zostawiających na wilgotnej jeszcze, popękanej ziemi ślady pazurów, i gromki tupot byłda deptającego ziemię, z której wystrzelają już trawy i kwiaty, pędy młodej cebuli i szczawiu, a figi i pomarańcze, ledwie wyniesione na ląd, pękają jak ziarna bobu nabrzmiałe sokami i przeznaczeniem.

W pełnym ekstazy momencie moich najwspanialszych fantazji istnieje jednak przerwa między aktami, boski antrakt w pół drogi pomiędzy zniszczeniem a początkiem bujnego życia. Ta twórcza chwila bliskiej wybuchu brzemienności, niby przed erekcją, następuje w miejscu, gdzie kręgi zniszczenia przecinają się z tęczą życia, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie, w panującej nad światem płodnej ciszy, którą niebawem rozniosą dziobami ptaki i stratują zwierzęta, w ciszy po potopie, której nie nagryzają jeszcze drobnymi ząbkami trawy ani nie drążą pułony wichrów. Jest to moment krytyczny owej jedynej, niepowtarzalnej ciszy, szczyt jej brzemienności, z której narodzi się gwar świata.

A już na następnej stronie cisza rozniesiona została na strzępy, rozdeptana zakurzonymi trepami synów

Noego, rozerwana krzykiem ptaków i zwierząt, rykiem biblijnych osłów, wołaniem sprawiedliwych i zbrodniarzy, niezliczonymi jękami rodzących biblijnych matek, wśród których nie było bezpłodnej, a żywoty ich otwierały się raz za razem jak brama szkoły, wydając grona zdrowych potomków Noego, puculołwatych i niecierpliwych, którzy w pośpiechu historii ledwie zdążyli przegryźć pępowinę, a mnożyli się niby muchy, najczęściej zaś niby bakcyle, po prostu przez podział, jak u pierwotniaków, pragnąc czym prędzej wypełnić swe wielkie posłannictwo. Wzrastali niczym ucieleśnienie boskich idei, niczym typy w jakiejś monstrialnej farsie, w której główni aktorzy mają z góry wyznaczone role; złoczyńcy zaś i ojcobójcy rodzili się z nożem za pasem. Spoglądali ku niebu hardo jak Prometeusz, zapominając o okazanej im łasce, i wznosili wieże wysokie, dążąc do przekroczenia zakreślonych przez Boga granic: „Chodźcie, zbudujemy sobie wieżę, której wierzchołek będzie sięgał nieba, i w ten sposób rozślawimy imię swoje”. Wówczas to nadleciał rój aniołów i w niskim, koszącym locie ponad ich głowami jednym skinieniem pomieszał ludzkie języki — oto tysięczne gromady budowniczych, szaleńczo wymachując rękami, wymawiając jakieś niezrozumiałe zgłoski, słowa dotychczas nie słyszane, mdlejąc ze strachu i spadają z wieży, która wali się w tym powszechnym apokaliptycznym pomieszaniu języków, pojęć i słów.

Na stronie piętnastej potop jest już tylko odległym, mitycznym wspomnieniem, a morał wieży babilońskiej praktyczną zdobyczą budowniczych i urbanistów: domy i wieże stawia się bez ambicji dorównania Bogu —

parterowe, niekiedy paropiętrowe — mając na względzie po prostu ludzkie, ziemskie potrzeby. W tych niskich domkach gnieźdzą się niezliczeni jak mrówki potomkowie Noego i Abrahama, całe zastępy ogorzałych od słońca brodaczy, obrośniętych niby owce, kłótliwych niczym sroki, leniwych i brudnych — tłum opojów, którzy ze wszystkich danych od Boga zalet zachowali tylko męskość, biblijną płodność byków, lecz daru tego nadużyli, stworzyli z niego zasadę, nałóg, rzucając się na kobiety, obficie trwoniąc swoją płodną sprośność, a one, stale ciężarne, wydają na świat przyszłych grzeszników, całymi gronami, niby ikre.

Znając siebie, świadom swego zepsucia, grzesznych myśli i postępków, wiedząc, że podstawową cechą swojego charakteru jest ciekawość granicząca z grzechem, właściwie równająca się grzechowi, przynajmniej w moim wypadku — przeżywałem oczywiście straszliwy kryzys u bram Sodomy. Zachowując dla siebie fałszywą rolę sprawiedliwego, wciąłem się w żonę Lota, gdyż postępowanie jej wydawało mi się najbardziej ludzkie, a jednocześnie błędne, czyli najbliższe memu. Zniewalała mnie ciekawość, porywał wspaniały, a zarazem przerażający widok pożaru i katastrofy, podczas której wałęsają się domy, wieże przewracają się jak zbudowane z klocków, a lament ludzki wznosi się aż do nieba, ciekawość moja — doprowadzona do eksplozji i jeszcze bardziej spotęgowana bożym ostrzeżeniem — stawała się naraz jedyną, dominującą cechą charakteru, tłumiała głos rozsądku i uczucie strachu, zamieniała mnie w słabą kobietę, nieumiejącą się opanować — i nagle obracałem się całym ciałem, jak

gdyby gwałtownie odrzucony siłą odśrodkową własnej ciekawości, która, stawszy się moją osią, przenikała mnie niby miecz.

A kiedy bracia sprzedali mnie do Egiptu, pokornie szedłem za srogimi ciemnoskórymi kupcami, przepelniony cichą radością męczennika, świadom, że wypełniam swe przeznaczenie ofiary. Wrzawa targów egipskich, Murzyni, Arabowie, Żydzi, Mulaci i Mulatki, niezrozumiały, różnojęzyczny gwar, zapach egzotycznych owoców, tumany kurzu, karawany wielbłądów, spalone słońcem twarze Beduinów, dźwięki i barwy obcych krajobrazów, przygoda w postaci podróży przez piaski pustyni w towarzystwie niewolników — wszystko to stanowiło tylko boską dekorację mego boskiego losu, nagrodę za przeżyte cierpienia, finał pierwszego aktu mojego biblijnego dramatu.

Na dwudziestej siódmej stronie moja rola Józefa jest już skończona, doczekałem się pełnego triumfu, wspinałem *happy endu* z trąbami i fanfarami, opadł tuman pustynnego piasku i dawno zamarła wrzawa egipskich targów. Otrzymałem natomiast nową rolę w biblijnej farisie, najzupełniej bierną, powiedziałbym, podrzędną, właściwie pozbawioną znaczenia, rolę Mojżesza i przeżywam z pewnością najdziwniejszą ze swych przemian, jakiś quasi-antropozoficzny powrót do czasów najwcześniejszego dzieciństwa, ale oczywiście — bez tego nigdy nie może się obejść — znów staję się ofiarą, najniewinniejszą na świecie, ofiarą nad ofiarami (podobnie jak mój ojciec): jednym z hebrajskich chłopców wrzuconych w wody Nilu na rozkaz okrutnego, wszechwładnego faraona. Jednakże,

jak zazwyczaj, jestem szczęśliwym wyjątkiem, śmiertelnikiem, który uniknie śmierci, zaginionym, który się odnajdzie, ofiarą, która zmartwychwstanie. Moja matka układa mnie zatem w koszu z papirusu powleczonego żywicą i smołą, pozostawia w sitowiu na brzegu Nilu i oto w błahej, ale pełnej powagi roli podrzutka staję się sierotą bez ojca i matki, boskim *enfant trouvé*. Tego pięknego, świetlistego popołudnia, w cieniu rozkołysanych palm — gdy płacz mój dobiegł do uszu córki faraona, ciemności piękności przechadzającej się w towarzystwie dam dworu — przeżywam jakieś niezdrowe, grzeszne podniecenie, bynajmniej nie licujące z moją wzniosłą rolą. Zapominam, że jestem niemowlęciem i ze wszystkich możliwych wrażeń, ludzkich czy boskich, mogę najwyżej odczuć i przeżyć sceniczny efekt słońca, które oślepia mnie nagle w tej chwili, gdy córka faraona podnosi wieko papirusowej kołyski, gdzie oczekiwałem, aż wypełni się moje przeznaczenie, i grałem podrzędną rolę, kwiląc tak głośno, jak tylko się dało, aby zwrócić uwagę spacerującej królowej i jej dam. Zapominam o tym, gdyż wcale nie jest to dla mnie ważne. Wyjątkowo wrażliwy na wszelkie anegdoty, w których występują carowie i królowie, królewicze i carewicze, księżęta i dworzanie, jak również ich żeńskie odpowiedniki, przede wszystkim one — podobnie uczulony jestem na nazwy egzotycznych krajów, w których najczęściej rozgrywa się akcja tych królewskich opowieści, na Hiszpanie, Chiny i Egiptu — przeżywam prawie jak doznanie erotyczne ów przełomowy moment, gdy piękna córka faraona, ogarnięta litością nad kwilącym niemowlęciem, przytula mnie do piersi

(na grawiurze), a jej smukłe dwórki na lirach i fletach płaczkliwie akompaniują tej scenie. (Wrażliwość na historii z życia królów odziedziczyłem po mojej matce, w której opowieściach bohaterami wszystkich wielkich, doniosłych dramatów byli królowie, książęta i księżniczki, zwykli zaś śmiertelnicy musieli się zadowolić rolami statystów, anonimowego tłumu, spośród którego tylko szczęśliwi wybrańcy, najczęściej piękna Cyganka lub piękny Cygan, mogli doczekać się ważniejszej roli, na czym zresztą polegał zazwyczaj sens tych bajek. Na mojej matce w czasach młodości wielkie wrażenie wywarł bowiem *Ostatni z Abenserażów* Chateaubrianda w wolnym przekładzie króla Mikołaja I Petrovicia i przez całe życie pozostawała pod silnym, niesłabnącym wpływem tej lektury). Zakończeniem, *happy endem* całego dramatu Mojżesza jest dla mnie właśnie to spotkanie, ów dramat nie toczy się już dalej, zastyga na zawsze tego parnego egipskiego popołudnia, w przełomowej chwili, która według mnie stanowi jednocześnie punkt kulminacyjny historii Mojżesza, a jego dalsze losy przestają mnie obchodzić, są to już tylko mało ważne didaskalia, złożone nonparelem, nieistotne dla akcji dramatu: odejście orszaku królewskiego, śpiew dwórek, rytmiczne kołysanie się ich bioder pod barwnymi tunikami, dźwięki akompaniujących instrumentów.

Prawdziwy koniec wszystkiego nie został przedstawiony na grawiurze. Powiadam: prawdziwy, gdyż jest to rzeczywiście nieodwołalny, okrutny koniec, nagła, niespodziewana zagłada wszystkiego, co żyje, chociaż

znajdujemy się dopiero na trzydziestej trzeciej stronie. Jest to jednak, powtarzam, ostateczny, prawdziwy koniec — mój, mojej książki (dalej nie mogę już czytać) i jednego z rozdziałów Biblii. Śmierć przychodzi niespodziewanie, przerywa mi lekturę, przecina nić fantazji nożycami mroku, a ten mrok, ta koszmarna ciemność — ponad siły i możliwości świętego grawera, który kapitułuje wobec wielkiego, apokaliptycznego tematu — wyraża się w doskonałym, obrazowym tekście, a nawet w samym składzie, w którym powoli zatracą się sens, w Boskiej wszechmocy nagiego słowa, w neurotycznej egzaltacji kursywy, która zastępuje kręte linie i arabeski grawiur, a te dobitne, złożone kursywą hasła wdzierają się jak krzyk w akademicką sztywność petitu, naruszają utarte koleje, łamią się trawione jakąś wewnętrzną gorączką, splatają się, buntownicze i anarchiczne, skłonne do przesady i ekscesów, ale splecione zwartymi wierszami lojalnego petitu, wraz z którym stają się Słowem Bożym, natchnionym nierozumną, prometejską ideą. Słowem, które pragnie przemówić, opowiedzieć po swojemu o tym, co nie da się wyrazić, o tym, przed czym skapitułował nawet genialny grawer: o Końcu.

A końcem nazywam po prostu eschatologiczne przekonanie, że mój koniec kładzie kres wszystkiemu, gdyż teraz przydzielam sobie ostatnią rolę, rolę pierworodnego (choć Ana, moja siostra, jest ode mnie starsza), którego zgładzi Boży anioł-morderca, bowiem niezwykle mi się podoba śmierć z ręki anioła, umieram więc jako męczennik za ludzkość, jako ofiara nad ofiarami, dziesięcioma rodzajami śmierci, a śmierć taka najbardziej — jednak — odpowiada

mojej fantazji, gdyż jest dowodem przekory, siły i wytrwałości, taka śmierć zadawała moją żądzę poznania — co prawda już nieprzydatnego — nawet w chwili zgonu. Ale udzielmy wreszcie głosu samej Księżce i niech się spełni Słowo: „Mojżesz i Aaron ponownie przybyli do faraona i uczynili tak, jak nakazał Jahwe. I rzucił Aaron laskę swoją przed faraonem i zamieniła się w węża... Jednak serce faraona było nieustępliwe i nie usłuchał ich...”. Wówczas Bóg Hebrajczyków zesłał na Egipt dziesięć plag straszliwych: 1. Woda Nilu zamieniła się w krew, 2. Żaby wyszły z wód i pokryły całą ziemię egipską, wypełniły wszystkie domy, 3. Stada komarów spadły na ludzi i zwierzęta, 4. Stada much zniszczyły cały kraj, 5. Wielka zaraza poraziła wszystko bydło, 6. Wrzody i pryszcze powstały na ludziach i zwierzętach, 7. Deszcz i błyskawice z gradem na przemian zniszczyły wszystko, co było na polu, 8. Szarańcza pożarła wszelką trawę ziemi i wszelki owoc z drzewa, który pozostał po gradzie, 9. Ciemność gęsta stała się w całej ziemi egipskiej przez trzy dni, 10. O północy przeszedł przez Egipt Jahwe: Boży anioł-morderca przeleciał po niebie i pozabijał wszystko pierworodne w ziemi egipskiej, od człowieka aż do bydła. I podniósł się wielki krzyk, gdyż nie było domu, w którym by nie leżał umarły.

Nie będziemy tu powtarzać wszystkich żalonych następstw owej boskiej komedii, rozpoczętej dzieciną, na pozór błahą intrygą. Ograniczymy się do najistotniejszych.

Pod ohydny pretekst, że przywłaszczyłem sobie farby Julii — w ten sposób chciano po prostu skompro-

mitować naszą miłosną zażyłość — rodzice jej pewnego dnia oświadczyli, że powinienem przestać odwiedzać ich dom. „Nikt prócz ciebie, kawalerze, ostatnio do nas nie zaglądał — powiedział mi pan Szabó — a te farby leżały tutaj, o, właśnie tu, i nikt ich nie ruszał”. Nie dołożyłem go przekonać moje zakłęcia ani żarliwa obrona. Bliski histerycznego płaczu oświadczałem, że będę dochodził prawdy choćby u samego Pana Boga, odnajdę podłych intrygantów, którzy się za tym wszystkim kryją, i zmuszę, żeby się przyznali. Nie ominie ich zasłużona kara.

Ale to tylko początek nieszczęść, jakie się na mnie wałą. Moja siostra dostaje anonim, który odmalowuje intymność naszego stosunku ze zdumiewającą przesadą — pomimo zmienionego charakteru pisma rozpoznaję w tym chorobliwe fantazje Laciki Tótha. Ów wstrętny anonim zawiera również groźbę, że jeżeli się nie odczepię od Julii, zostaną zabity z zasadzki, co w normalnych warunkach wybudziłyby we mnie tylko śmiech, gdyż Laci Tóth jest osobieniem tchórzostwa. Przestraszona tą groźbą Ana pokazuje anonim matce, która, wstrząśnięta zepsuciem syna, wpada jednak w głęboką rozpacz z obawy o jego życie. Przyznając się do winy — nawet pomimo chęci wrzucenia ciężaru z serca — ograniczam się oczywiście do stwierdzenia (co można by nazwać po prostu kłamstwem), że Julia i ja spotykaliśmy się w szopie pana Szabó i mieliśmy tam kryjówkę. To wszystko. Reszta natomiast to chorobliwe wymysły zazdrosnych kolegów. Tak, przyśięgam na jej życie, na życie mojej matki, że ani o milimetr nie przekroczyliśmy dozwolonych granic... Moja matka, choć niezupełnie mi dowierza, obiecuje zachować

tajemnicę wobec ojca, który przeżywał wówczas cichą przedwiosenną depresję.

Złoty pył czasu zaczyna z wolna pokrywać i to zdarzenie. Farby Julii wyrzwały któregoś dnia z kieszeni fartucha, gdzie dotychczas drzemały sobie niby tuzin różnokolorowych foremek do guzików, niby odcisnięte na akcie mojego oskarżenia woskowe pieczęcie, które w zetknięciu ze światłem dziennym same popękały, uwalniając mnie od podejrzeń.

W dniu Wszystkich Świętych Julia przystępuje do Pierwszej Komunii i obmyta z grzechów, jakby dopiero wyszła z ciepłej kąpeli, opuszcza kaplicę ubrała na białe, z małą książeczką do nabożeństwa w okładce o perłowym połysku, z warkoczami upiętymi wokół głowy, zarumieniona z powodu wyznanych przed chwilą wielbnemu spowiednikowi kompromitujących postępków. Czy przedstawiła mu cały rozwój wypadków, moją przebiegłość i swój udział w tej historii? Czy podała imię uwodziciela?

Wyjątkowo czuły na stronę dekoracyjną, na inscenizację obrzędów kościelnych, na dźwięk dzwonów i zapach kadzidła, klęczałem wraz z innymi chłopcami u progu raju, na moment — przynajmniej pozornie — zrównany z nimi, a przecież wyłączony, naznaczony piętnem, które paliło mi czoło, gdyż tego ostatniego stopnia — od klęcznika do zakrystii — nigdy nie będę mógł przekroczyć, a i tutaj znalazłem się tylko z łaski wielbnego księdza prefekta, który pozwolił mi być obecnym podczas

uroczystego obrzędu bierzmowania, kiedy nasza klasa niezłym stado parszywych owiec wejdzie do Bożej łąki i wkrótce wróci obmyta, wybielona, zostawiwszy za sobą mnóstwo grzechów niby stertę gnoju. Stoję przytłoczony okropnym ciężarem winy, klęczę na zimnym betonie jak męczennik, jak zatwardziały grzesznik, a na tę moją zatwardziałą duszę kapie witról zazdrości, którą odczuwam wobec kolegów opuszczających zakrystię z promienną, rozjaśnioną twarzą, z policzkami o skórze odświeżonej jakby pod wpływem cudownego, oczyszczającego leku. Tylko ze względu na powagę chwili powstrzymuję się, żeby głośno nie szlochać, żeby w rozpacz nie odbyć spowiedzi publicznej przed całą tą trzodą, przed kolegami szkolnymi oraz ich rodzicami, i w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, wywołać ogólne współczucie, odzyskać pełną wartość, lecz jednocześnie obawiam się zdradzić całą swoją parszywość, i tak rzucając się w oczy.

Kapią uroczyste, rytualne słowa — od *Ad Deum* do *Gloria Tibi* — w boskiej, niezrozumiałej łacinie, przerywają je gęstą ciszą półnutowe pauzy, niby białe odstępy pomiędzy wierszami, kapią te wzniosłe słowa, którym akompaniują synkopowane, srebrzyste dźwięki dzwonek w rękach ministrantów, toczy się święty dialog — *Kyrie eleison, Christe eleison* — jak Boskie rymy do ludzkich słów. Klęczę u wejścia do nawy, oszołomiony aż do zawrotu głowy dymem kadzidła, które podczas tej powszechnej biesiady dusz wyczarowuje zapach lasów iglastych, zapach sosen i żywicy, a na wprost mnie, w górze ponad nawą, nad migotliwymi, skwierczącymi świeciami płonie barwny fajerwerk okrągłego witraża

tajemnicę wobec ojca, który przeżywał wówczas cichą przedwiosenną depresję.

Złoty pył czasu zaczyna z wolna pokrywać i to zdarzenie. Farby Julii wyrzwały któregoś dnia z kieszeni fartucha, gdzie dotychczas drzemały sobie niby tuzin różnokolorowych foremek do guzików, niby odcisnięte na akcie mojego oskarżenia woskowe pieczęcie, które w zetknięciu ze światłem dziennym same popękały, uwalniając mnie od podejrzeń.

W dniu Wszystkich Świętych Julia przystępuje do Pierwszej Komunii i obmyta z grzechów, jakby dopiero wyszła z ciepłej kąpeli, opuszcza kaplicę ubrała na białe, z małą książeczką do nabożeństwa w okładce o perłowym połysku, z warkoczami upiętymi wokół głowy, zarumieniona z powodu wyznanych przed chwilą wielbnemu spowiednikowi kompromitujących postępków. Czy przedstawiła mu cały rozwój wypadków, moją przebiegłość i swój udział w tej historii? Czy podała imię uwodziciela?

Wyjątkowo czuły na stronę dekoracyjną, na inscenizację obrzędów kościelnych, na dźwięk dzwonów i zapach kadzidła, klęczałem wraz z innymi chłopcami u progu raju, na moment — przynajmniej pozornie — zrównany z nimi, a przecież wyłączony, naznaczony piętnem, które paliło mi czoło, gdyż tego ostatniego stopnia — od klęcznika do zakrystii — nigdy nie będę mógł przekroczyć, a i tutaj znalazłem się tylko z łaski wielbnego księdza prefekta, który pozwolił mi być obecnym podczas

uroczystego obrzędu bierzmowania, kiedy nasza klasa niezłym stado parszywych owiec wejdzie do Bożej łąki i wkrótce wróci obmyta, wybielona, zostawiwszy za sobą mnóstwo grzechów niby stertę gnoju. Stoję przytłoczony okropnym ciężarem winy, klęczę na zimnym betonie jak męczennik, jak zatwardziały grzesznik, a na tę moją zatwardziałą duszę kapie witról zazdrości, którą odczuwam wobec kolegów opuszczających zakrystię z promienną, rozjaśnioną twarzą, z policzkami o skórze odświeżonej jakby pod wpływem cudownego, oczyszczającego leku. Tylko ze względu na powagę chwili powstrzymuję się, żeby głośno nie szlochać, żeby w rozpacz nie odbyć spowiedzi publicznej przed całą tą trzodą, przed kolegami szkolnymi oraz ich rodzicami, i w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, wywołać ogólne współczucie, odzyskać pełną wartość, lecz jednocześnie obawiam się zdradzić całą swoją parszywość, i tak rzucając się w oczy.

Kapią uroczyste, rytualne słowa — od *Ad Deum* do *Gloria Tibi* — w boskiej, niezrozumiałej łacinie, przerywają je gęstą ciszą półnutowe pauzy, niby białe odstępy pomiędzy wierszami, kapią te wzniosłe słowa, którym akompaniują synkopowane, srebrzyste dźwięki dzwonek w rękach ministrantów, toczy się święty dialog — *Kyrie eleison, Christe eleison* — jak Boskie rymy do ludzkich słów. Klęczę u wejścia do nawy, oszołomiony aż do zawrotu głowy dymem kadzidła, które podczas tej powszechnej biesiady dusz wyczarowuje zapach lasów iglastych, zapach sosen i żywicy, a na wprost mnie, w górze ponad nawą, nad migotliwymi, skwierczącymi świeciami płonie barwny fajerwerk okrągłego witraża

pojawił się przede mną w prawdziwych wymiarach: szedł po nasypie, brzegiem wezbranej rzeki, wracał niespodziewanie po sześciodniowej nieobecności, kiedy już myśleliśmy, że zablądził w Hrabiowskim Lesie albo uciekł w ślad za swoją gwiazdą. Gdy tak zbliżał się po nasypie, zapatrzony w przestrzeń, w czarnym surducie, w poźółkłym już kauczukowym kołnierzyku i okularach w metalowej oprawce, wysoko wymachując laską i kołyszając się niby maszt — nagle wszedł w pejzaż jak w ramy obrazu i całkowicie się zdemistyfikował. Zapewne zobaczył mnie już z daleka i żeby nie zwracać na siebie uwagi, schował pod pachę swój kapelusz ze sztywnym rondem, usiłując przemknąć się niepostrzeżenie. Widok to był naprawdę wstrząsający. Bez kapelusza, pozbawiony owej pełnej dostojeństwa Jezusowej korony, z szarymi jak popiół włosami i przedziałkiem pośrodku głowy, niezgrabny, niepewny na płaskich stopach — zupełnie zatracił swoją wielkość, stał się po prostu niepozorny. Nie miałem odwagi go zawołać. Rzeka przybrała jak zazwyczaj wiosną, więc obawiałem się go przebudzić z rzeczywistego lub udawanego lunatycznego uspienia, żeby nie spowodować fatalnego upadku. Wolałem raczej wycofać się i pozwolić mu przejść bez zatrzymania. Dosłownie musnęła mnie trzepoczącymi połami surduta, owiał zapachem tytoniu, moczu i alkoholu, ale zachował przy tym niewzruszony spokój. Na naturalnym tle przyrody, w tych świeżych, nieheblowanych ramach, całkowicie ujawniła się jego twarz, wspaniała nos upstrzony czerwonymi i niebieskimi żyłkami, jak bibuła. Pozbawiony barokowego tła bram miejskich i oświetlonych podwojów eleganckich

małomiasteczkowych hoteli, nie mogąc się ratować za pomocą mimikry, ukazał się w swych naturalnych wymiarach. Mistrz szachownicy, pisarz, sławny podróżnik i apostoł nie potrafił bowiem zdobyć się na wysiłek przeobrażenia w zwykłego wieśniaka czy drwala. Powodem tego była oczywiście nie tylko duma — choć pragnął utrzymać nas w tym mniemaniu — ale całkowita niedyspozycja fizyczna i brak siły, w przeciwnym razie, kto wie, może przedzierzgnąłby się w chłopca, by w tym przebraniu kryć się dalej. Od niedawna pozbawiony oficjalnym aktem stopnia emerytowanego nadinspektora kolejowego, co pociągnęło za sobą również następstwa finansowe, znalazł niezawodny pretekst dla swych wyczynów: upijał się regularnie i podniecony alkoholem szerzył po wsiach idee anarchistyczne, nucąc *Międzynarodówkę*. Wkrótce zasłynął na całe województwo jako niebezpieczny rewolucjonista, poeta i neurastenik, lecz w pewnych kręgach cieszył się szacunkiem z powodu swego stroju: surduta i laski oraz półcyindra, z powodu delirycznych, krasomówczych monologów i przenikliwego, budzącego respekt głosu. Specjalne względy zaskarbił sobie u szynkarek, gdyż na sam ich widok ogarniało go natchnienie, w którym snuł złotą nić swego rozśpiewania lirycznego i poczucia galanterii. Dzięki tym muzom z za szynkwasy, które tylko mrugały oczyma, nie rozumiejąc jego słów ani pieśni, wychodził zdrowo i cało z licznych opresji, gdyż właśnie owe pulchne bukoliczne muzy sztuki oratorskiej mojego ojca ratowały go z rąk policji, otwierały przed nim ukryte drzwi, broniły przed wiejskimi zabijakami, których całkowicie dystansował zarówno w śpiewie, jak

w piciu, niebezpiecznie zagrażając ich sławie. Stojąc na stole, wysoko ponad głowami zebranych — niczym pomnik wielkiego mówcy i demagoga — wypijał łyk wina z cudzej szklanki, gwałtownie wypływał go na podłogę, po czym z przytkniętymi oczami, jakby coś sobie przypominał, określał wiek wina, procent alkoholu, gatunek latorośli i okolice, z których pochodzi, zgadywał nawet, czy rosła w miejscach mniej czy bardziej nasłonecznionych. Efekt był zawsze doskonały.

Podjeżdżając ewentualną zmwę ojca z jego Kalio-pami i Euterpami, chłopci przynosili mu w kieszeniach flaszki z własnym winem, byle tylko zdemaskować go i skompromitować. Wypływał wtedy wino jeszcze szybciej niż zazwyczaj, z wyrazem boskiego gniewu na twarzy, niby sztukmistrz, któremu zagładają w rękaw, kiedy przebija swe serce ostrą stalową szpadą. „Panowie — miał wówczas — na tak nędzny podstęp nie nabrałby się nawet ostatni pętaś. Podsuwanie mi, panowie, podrabiany tokaj z Lendawy niby jakiemuś smarkaczowi fałszywe banknoty. Ze względu na obecność damy — tu mój ojciec ruchem głowy wskazuje panią Klarę, która od chwili jego wejścia zajęła miejsce na mostu kapitańskim, trzymając rączkę pompy do piwa niby ster okrętu prującego spienione fale — ze względu na obecność damy, powiadam, powstrzymuję się, aby nie plunąć tym winem na wasze podejrzania i nie skapitulować przed insynuacjami, kładąc tym samym kres jarmarcznej atmosfery i podstępom podszeptowanym przez tak zwany zdrowy rozsądek, którym gasicie każdy przebłyśk polotu... Zacznę od spraw nieco dalszych, aby podsyć

jeszcze żalosną podejrzliwość i uwypuklić waszą ignorancję w chwili, w tej wielkiej i sromotnej chwili, gdy wam powiem, z czego została spreparowana dusza tego wina, jego fałszywy smak, gdy rozszyfruję te kuglarstwa, rozwinę wam przed nosem sztuczną bibułkową różę jego czerwieni, zetnę kłamiwy karmin z jego warg, których właśnie dotknąłem i przeraziłem się stopniem wyrafinowania, z jakim usiłują naśladować prawdziwie odurzających, dziewiczy żar tokaju...”.

Był to tylko pierwszy akt komedii odgrywanej przez mojego ojca pod wieczór w karczmach wiejskich, a właściwie mały fragment bogatego repertuaru, w który wnosił całe swoje deliryczne natchnienie, cały swój geniusz, wybujałą elokwencję i olbrzymią, wszechstronną erudycję.

Śpiewać zaczynał tylko wtedy, gdy go sprowokowano, i wydawało się, że robi to jedynie po to, by upokorzyć wiejskich krzykaczy. Głos jego rozbrzmiewał naraz z taką siłą, że trzęsły się szklanki na bufecie i na półkach, śpiewacy natomiast milkli, bojąc się konkurencji, nie chcąc ośmieszać się w oczach dam i reszty publiczności. Mój ojciec znał mnóstwo sentymentalnych romansów, starych ballad i barkaroli, piosenek estradowych, czardaszów, arii z oper i operetek, w które wplatał od czasu do czasu dramatyczne recitativo. W jego interpretacji jednak sentymentalne teksty i melodie przybierały jakiś jasny durytowy ton, a słodkawy osad krystalizował się w srebrnym pucharze jego głosu, stawał się przejrzysty i dźwięczny. W rzewne, wibrujące pieśni *fin de siècle'u* wnosił nowe niuanse, oczyszczał je z biedermeierowskiego fałszywego przeczulenia i purytańskiej skromności, śpiewał

bez glissanda, pełnymi płucami, po męsku, ale z pewnym ciepłem. Niewątpliwie zawdzięczał to przede wszystkim barwie swego głosu, który nie nadawał się do misternych lirycznych treli, ale spadał z wysokości stołu jakby szerokimi pokosami, nieco chrapliwy, niczym dźwięk trąby.

Trzeci akt długiego *tournée* mojego ojca, które niby spektakl w teatrze elżbietańskim ciągnęło się całymi dniami i tygodniami, kończył się smutno, jak tragifarsa. Mój ojciec budził się gdzieś w rowie, upstrzony sińcami niewiadomego pochodzenia, w mokrych od wymiocin spodniach, bez złamanego grosza w kieszeni, bez jednego papierosa, z uczuciem pragnienia palącego wnętrzości, z uporczywą myślą o samobójstwie.

Niby podstarzały pierrot podnosi z błota swoje liche rekwizyty: laskę, kapelusz i okulary, po czym daremnie szuka choćby niedopałka papierosa, ostatniego przed śmiercią, wreszcie próbuje sporządzić bilans swoich spektakli i swojego życia, podsumowując rachunki do dołu do góry. Nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy i gdzie zarobił tyle siniaków, stara się przynajmniej rozszyfrować cyfry nabazgrane własnoręcznie na pustym pudełku po symfoniach. Ma oto przed sobą zwartą kolumnę cyfr, poddanych wszystkim podstawowym działaniom matematycznym, niby jakieś znalezisko egipskie upstrzone hieroglifami jego własnego pisma — szyfr, do którego raz na zawsze zapomniał klucza.

I wreszcie portret mojego ojca po finale tragedii i farsy, której był autorem, reżyserem, a jednocześnie odtwórcą głównej roli: rola już skończona, pozostał zwykły

śmiercielnik, sławny śpiewak bez organów swojego głosu, bez wzniosłych gestów, geniusz, który usnął opuszczony przez muzy i boginie, kłown bez szminki i przyprowadzonego nosa — a na krześle leżą jego sławne już rekwizyty: satynowy kauczukowy kołnierzyk, poźółkły niby stara klawiatura, i czarny krawat z ekstrawaganckim węzłem, jakie noszą kelnerzy. Pokój wypełnia kwaśna woń wyziewów alkoholowych, wymiotów i tytoniu. Na krześle obok łóżka duża emaliowana popielniczka z napisem SYMPHONIA. leżniała srebrna papierośnica. Zapałki. Pękaty zegarek kieszonekowy z rzymskimi cyframi na tarczy odmierza jakiś mityczny czas, drganie jego mechanizmu przenosi się na fornir. Zza surduta przewieszzonego przez krzesło — jakby zza czarnej kurtyny, która skrywa niesławne szczątki sławnego artysty — prostą, błękitną smużką unosi się w górę dym, a potem skręca się w kształt korkociągu. Chociaż mój ojciec od dawna leży jak martwy, w popielniczce dopala się jeszcze symfonia, powoli rozpada się kręgosłup z popiołu.

Ale proszę państwa, gdzie się podział słynny kapelusz?

W słynnym kapeluszu, stojącym na komodzie niby jakiś czarny wazon, rozkłada się kilogram wołowiny, którą mój ojciec kupił sześć dni temu w Bakszy i nosił ze sobą od gospody do gospody, ściskając w półcyndrze pod pachą. Dzisiaj już szósty dzień. A na tym mięsie, niczym na padlinie, zeruje rój much i jedna niby-pszczoła, której brzęczenie przypomina daleki, bardzo daleki dźwięk dzwonów.

Łącząc tak — z podniesioną brodą, półżywy, z opadniętą szczęką i obwisłą wargą, ze zwiotczałą grdyką, w której

bulgotały jakieś lepkie tylnojęzykowe spółgłoski — mój ojciec budził litość. Pozbawiony był oznak swej godności: berła laski i korony półcyndra, a twarz bez okularów, bez surowej maski szorstkości czy zamyślenia, ujawniała anatomię jego skóry: żyłki, wągrzy na okazałym męskim nosie i sieć zmarszczek, choć do tej pory wierzyłem, że pojawiają się one tylko wraz z maską męczennika i apostoła. Była to po prostu gruba, szorstka skóra, spocona i natłuszczona jakby przed charakteryzacją, upstrzona cienkimi sinawymi żyłkami. Oczy miał podpuchnięte i podbite jakby pęcherzami nabrzmiałymi limfą. Ręka, jego zabalsamowana ręka zwiślała z łóżka niby strażnik ciała, uśpiony strażnik, i pokazywała figę — ostatnia złośliwość, jaką mój ojciec mógł wymyślić: figa podsunęta pod nos całemu światu i snom, w które przestał wierzyć.

Nazajutrz — oprzytomniały już, ale skacowany, dręczony piekielnym pożarem pragnienia, które gasił wodą — usiłował odzyskać utraconą godność, a krawat przed lustrem wiązał szybko, tak jak wkłada się do ust protezę. Wychodził bez słowa, podejmując swój genialny monolog, i wracał nocą. Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewa. Dopiero później chłopci i pasterze przynosili wiadomości, że widziano go w sercu Hrabiewskiego Lasu, z dziesięć kilometrów od wsi, albo nawet dalej, w całym już obcych okolicach. Do domu przychodził tylko po to, żeby się przespać, ogolić i zmienić kołnierzyk, do nikogo się nie odzywał, a w obawie, żebyśmy go nie otruli, uparcie wzbraniał się przed jedzeniem. Żywił się grzybami, dzikim szczawiem i jabłkami, wypijał ptakom jaja,

wyciągając je z gniazd pałką laski. Później, latem, zienacka spotykaliśmy go w polu, to tu, to tam — nagle wylaniał się spośród wysokich kłosów czarny półcynder, błyskały w słońcu okulary. Wąsał się zamyślony, wysoko wymachując laską, snuł się jak lunatyk w ślad za swoją gwiazdą, którą gasiły słoneczniki, i znajdował ją dopiero na skraju pola — na swym czarnym, zatłuszczonym surducie.

Samotne przechadzki mojego ojca musiały wzbudzić podejrzenia u chłopów i miejscowych władz. W porozumieniu z policją, za wiedzą wojewody i dostojników kościelnych, ludowa straż cywilna i wiejskie — faszystowskie — organizacje młodzieżowe wzięły na siebie uciążliwe zadanie wykrycia tajnej misji mojego ojca, powodu jego ustawicznych wędrówek i symulantwa. Zaczęto go zatem szpiegować, nadstawiać uszu na jego natchnione monologi i składać donosy, często złośliwie wypaczające prawdę, sklecone z wyrwających mu się niekiedy lunatycznych wynurzeń, które trafiały do uszu szpiegów zatarte wiatrem i prądami powietrza, całkowicie pozbawione kontekstu i wiarygodności. Bez wątpienia bowiem monologi mojego ojca były dziełem geniusza podobnie jak księgi proroków, jak przesycone pesymizmem przypowieści apokaliptyczne, były niekończącą się pieśnią nad pieśniami, wymowną, pełną znaczenia, natchnioną, niepowtarzalną jeremiadą, owocem wieloletnich doświadczeń, bezsennych nocy i rozmyślań, ciężkim, przejrzałym owocem świadomości rozjaśnionej, rozbłyślej w momencie najwyższego, krytycznego jej

nasilenia. Były to modlitwy i zaklęcia tytana zbuntowanego przeciwko bogom, panteistyczne psalmy — nawiązujące niewątpliwie do nauki Spinozy, z której mój ojciec czerpał poglądy etyczne i estetyczne — nie należy jednak sądzić, że jego twórczość przekazywana ustnie, wywodząca się z pradziejów, z biblijnego okresu plemion semickich, pozbawiona była lirycznych kadencji i sprowadzała się do suchego jak u Spinozy filozofowania. Na pewno nie. W bezpośrednim zetknięciu z przyrodą, wśród koronek paproci i sosnowych szpilek, w zapachu żywicy, w śpiewie kosów i trznadli filozofia mojego ojca uległa znamiennej metamorfozie — zwłaszcza w porównaniu z przekonaniem i stylem, jakie reprezentował tak zwany *Rozkład jazdy* z roku 1939, który stanowi podstawowe i jedyne niestety dzieło zawierające wykład jego panteistycznych poglądów. Filozofia ojca stopniowo oddalała się od chłodnego racjonalizmu, postępowanie dowodowe sprowadzało się w coraz większej mierze do dowodzenia lirycznego, które nie tracąc siły argumentacji, było za razem bardziej przekonującym, przemawiając do wyobraźni i pewniejsze. Odrzucony został balast ciężkich erudycyjnych wywodów, przechodzenie od tezy do antytezy, od antytezy do syntezy pod wpływem uszlachetniającego zapachu żywicy leśnej następowało w sposób prosty, niemal niedostrzegalny, a *quod erat demonstrandum* padało w odpowiednim miejscu i czasie jak żołędź z drzewa, natomiast fałszywe i niedające się udowodnić twierdzenia usychały jak gałęzie i łamały się z trzaskiem przypominając o konieczności zachowania rozsądku i umiaru. Mój ojciec w gruncie rzeczy stanowił rodzaj

współczesnego pustelnika-panteisty i wędrownego filozofa, był prorokiem i reformatorem jak Zaratustra, lecz w pełni świadom wymogów czasu, osadzony z absolutną pewnością w przestrzeni, ani na chwilę nie tracił orientacji — stąd właśnie jego przywiązanie do surduta i półcyindra, moda na pustelników w fachtmanach minęła bowiem bezpowrotnie. Dlatego też zależało mu tak bardzo na zegarku z cyframi rzymskimi: wskazywał on *dokładny czas*, zacierał różnicę pomiędzy czasem obiegu Ziemi dookoła Słońca i rokiem kalendarzowym, służył ponadto mojemu ojcu jako dowód i przestroga, że nie należy oddawać się ponad- i bezczasowemu filozofowaniu, zapominając o aktualnych problemach epoki.

Największe podejrzania w stosunku do mojego ojca żywił mimo wszystko Kościół. Przedstawiciele władz natomiast przyjmowali doniesienia szpiegów, stenografowali je i składali w napęczniałej już kartotece ze wgardliwą obojętnością, bez jakiegokolwiek zainteresowania, a na wypadek gdyby się to okazało potrzebne, na szczycie całej sterty mętnych i niepewnych donosów przechowywali zaświadczenie lekarskie o zachwianiu równowagi umysłowej mojego ojca, zwalniające ich od bezpośredniej odpowiedzialności. Pomimo to czekali na jakiś wyskok, który by go ostatecznie skompromitował i pozwolił pozbyć się go w sposób bezbolesny. Kościół tymczasem posiadał gotowe dowody błuznierczej i buntowniczej działalności mojego ojca. Fakt, że jest natchnionym jasnowidzem i szaleńcem, miał na przykład stanowić dowód jego wtajemniczenia, konszachtów z ciemnymi siłami, gdyż w oczach kleru mój ojciec był

tylko grzesznikiem, przez którego usta, niby za pośrednictwem medium, przemawia sam szatan. Opowiadano i głoszono z ambony, że jego laska z metalowym szpicem ma moc czarnoksięską, że w Hrabioskim Lesie, gdziekolwiek przejdzie, drzewa schną jak żółbla trawy, a z jego płwociny wyrastają groźące śmiertelnym zatruciem grzyby — *Ithyphallus Impudicus* — które do złudzenia przypominają jadalne pieczarki.

Szpiegowanie mojego ojca biorą na siebie wkrótce członkinie trzeciego zakonu, zbzikowane wiejskie dewotki, na znak swych zasług przepasujące się sznurem z trzema wielkimi węzłami, nabożne wdowy gaszące piekło roznamiętnionych bioder modlitwą i postem, pomyłone, rozhisteryzowane megieri, u których podniecenie erotyczne przemieniało się w trans religijny i zabobon. Za zgodą proboszcza chodziły ślad w ślad za moim ojcem, ma się rozumieć w przyzwoitej odległości. Ojciec naturalnie niczego nie zauważał i wygłaszał swoje psalmy z jednakowym zapamiętaniem, wpatrzony w paprocie i ptasie gniazda. Luiza, najgorliwszy szpieg mojego ojca, niekiedy notowała niezdarne jego słowa, zdania i urywki zdań, oblizując krótki chemiczny ołówek, od którego wargi jej siniały, jakby się najadła tarciny. Z pasją opętanej fanatyczki, członkini trzeciego zakonu i wdowy pozbawionej przez wojnę męża śledziła każdy ruch mojego ojca, zapisywała w zeszycie „tajemne znaki”, które czynił w powietrzu laską, zapamiętywała drzewa, pod którymi oddawał mocz, a nazajutrz znajdowała je rzekomo „uschnięte i szczenia, jakby rażone gromem z nieba”. Napchawszy pełne usta szczawiu

i poprawiwszy krawat, ojciec wbija laskę w ziemię, zawieszona na niej swój sztywny kapelusz, jak poganin budujący posąg bożka, po czym zwraca się ku zachodowi i wznosi ręce, aby odmówić hymn na cześć zachodzącego słońca, drugiego w hierarchii bóstw swojej religii (a pierwszym bóstwem jest słońce-syn, słońce-Elohim, które ukazuje się rankiem na wschodzie, ono jest bóstwem najwyższym, ojcem i synem w jednej osobie), prostuje się i zaczyna śpiewać, zawodzić, oświecony i natchniony, geniusz panteizmu, a jego modlitwa, jego słowo staje się słowem Bożym, pieśnią nad pieśniami. Tymczasem w dali, wkrótce potem, las zaczyna trzeszczeć, wybucha ogień, szerzy się pożar...

Przeciwko mojemu ojcu gromadzono coraz więcej dowodów. Pod naciskiem Kościoła władze musiały wreszcie coś przedsięwziąć. Nie mając jednak *corpus delicti*, nie angażowały się w tę brudną robotę, dały tylko wolną rękę młodzieży skupionej w organizacjach kościelnych. Same postanowiły na razie umyć ręce i wystąpić dopiero w chwili, gdy mój ojciec zostanie ukrzyżowany. Interwencja władz ograniczy się wtedy do sporządzenia oficjalnego protokołu, ewentualnie do przesłuchania świadków, a ostatecznie do zatrzymania któregoś z uczestników linczu na krótki czas w areszcie. Znalazł się nawet ochotnik nazwiskiem Tóth, który gotów był się poświęcić i odespać w areszcie cały tydzień pod warunkiem, że zostanie uwolniony dopiero w dziesięć dni po zajściu, bo przedtem musi zorać pole. Dzięki donosom szpiegów spiskowcy znali w przybliżeniu rozkład dnia

mojego ojca, jego zwyczaje, wszystko, co można by nazwać życiem osobistym, prywatnym, gdyby określenie to nie było przeciwieństwem jego misji społecznej, ałtruistycznych zamiarów i czynów. Faktem jest jednak, iż wiedzieli, że mój ojciec nie wyrzekł się pewnych przyzwyczajzeń, że nie chcąc zamienić się w filozofa-cygana i wiejskiego pustelnika, dbał o zachowanie cech człowieka nowoczesnego. Dzięki pewnym szczegółom ubioru, dzięki regularnym posiłkom, spożywanych trzy razy dziennie o ściśle określonej porze, dzięki poobiedniej drzemce starał się nie wypaść z trybu życia współczesnego Europejczyka, pragnął sprostać wymogom dwudziestego wieku bez względu na ciężkie warunki wojenne i swoją samotność. Tak więc przyłapano go podczas drzemki, w zaroślach paproci, w chwili gdy zaczął majestatycznie chrapać, co upewniło napastników, że usnęła głębokim snem, a wraz z nim usnęła jego czarnoksiężka, demoniczna moc. Leżał na wznak, z rękami rozłożonymi szeroko, jakby ukrzyżowany, w rozluźnionym krawacie, a po czole chodziły mu mrówki, muchy spijały z kącików ust nektar akacji i mleczu. Obok, na odległość wyciągniętej ręki wbita była w ziemię jego czarodziejska laska, ledwo wystająca spośród wysokich paproci, a na łasce wisiał czarny kapelusz ze sztywnym rondem, nieco przekrzywiony, jak hełm na grobie nieznanego żołnierza albo strach na wróble w kukurydzy.

„Któż to przerywa sen sprawiedliwego?” — spytał mój ojciec z patosem, podnosząc się z ziemi.

Był najzupełniej spokojny, tak się przynajmniej wydawało, gdy poczuł, jak dubeltówka odcisnęła mu na

plecach kształt ósemki. Chłopi, uzbrojeni w kije, zdyszani i brudni, zaczęli wysuwać się z paproci. Na czole łuzka, z roziskrzonymi oczyma, żegnając się raz za razem. Pod nogami jej leżała czarodziejska laska, zdeptana jak jadłowita żmija. Ojciec wydawał się całkowicie spokojny i głos nie zdrzął mu ani przez chwilę. Schylił się po kapelusz, potem zaczął rozglądać się za laską. Przeształ nogi na nogę, niezdarnie dreptał w miejscu, kołysząc się niby kaczka. Nagle ręce zaczęły mu się trząść jak alkoholikowi. Długo prostował kapelusz, chcąc zamaskować paniczny niepokój, który poczuł w chwili, gdy zorientował się, że został rozbrojony, potem sięgnął do kieszeni po symfonię.

„Uważaj, Tóth, on może mieć broń” — ostrzegł któregoś z chłopów.

Mój ojciec jednak wyjął już rękę i wszyscy zobaczyli kawałek gazety, którym po chwili wytarł nos. (Zdenerwowanie zawsze powodowało u niego silne zaburzenia przemiany materii i przyśpieszało proces powstawania wydzielin. Wiedziałem, że jeśli wyjdzie z tej opresji żywy, przede wszystkim pobiegnie oddać mocz za jakimś krzakiem, głośno puszczając wiatry.) Gdzieś nad naszymi głowami stukał niewidoczny dzieciół: tap-tap-tap, tip-tip-tip, tap-tap-tap, tip-tip-tip-tip, co mogło brzmieć jak zły omen. Spozstrzegłem, że i ojciec to zauważył, gdyż ledwo widocznym ruchem odwrócił w tym kierunku głowę, jakby odbierał zaszyfrowaną depeszę. Po bankructwie mój ojciec zaczął pracować na stacji kolejowej w Szid, i alfabet Morse'a nie był mu obcy. Mógł więc przyjąć polecenie od dziecięcia-telegrafisty i odczytać je,

wprawdzie nie dosłownie, ale tak jak list miłosny, skreślony niewyraźnym pismem. Sądzę, że oprócz tamtych na stacji w Szid, dawno, jeszcze przed moim urodzeniem, była to jedyna depesza, jaką odebrał. A to, co opowiadają po wsi, że ojciec ma radiostację nadawczo-odbiorczą, za pomocą której przekazuje zaszyfrowane wskazówki nadlatującym samolotom sojuszniczym, to najprawdopodobniej po prostu bujda. I tylko pragnienie, żeby ujrzeć go w roli bohatera, a nie świętego i męczennika, dawało mojej wyobraźni minimalną szansę: oto on, mój ojciec, płaskostopy jak kaczką, wielki aktor, bohater i męczennik, siedzi w samym sercu Hrabiowskiego Lasu, w jakiejś grocie, siedzi ze słuchawkami na uszach i naciska taster: ti, ti-ti ti-ti, titititi, w tej chwili wszechwładny, mający w ręku losy ludzkości, kierujący za pomocą swych depesz eskadrami sojuszniczych bombowców, które na jeden jego znak mogą zniszczyć całe wsie i miasta, aż nie zostanie kamień na kamieniu, wszystko zamieni się w proch i pył. Niestety, wyobrażenia te były nie tylko następstwem moich wątpliwości co do bohaterstwa ojca, były także całkowitą fikcją. (Odziedziczyłem bowiem po nim skłonność do urojeń — żyłem, jak on, na księżycu. Ojciec jednak był przy tym fanatykiem: wierzył w możliwość urzeczywistnienia swoich fantazji i żarliwie o to walczył. Ja natomiast leżałem w szopie pana Molnára — u którego pasłem krowy — leżałem na pachnącym, świeżo skoszonym sianie i wszystkimi zmysłami przeżywałem średniowiecze. Brzęk pancerzy, zapach lilii i półnagich niewolnic — wpływ literatury. Zwiewny zielony muślin na jasnych włosach wybranki — Juli

o dłoniach ciężkich od pierścieni. Głos trąbki. Zgrzyt dźwigni i łańcuchów zwodzonego mostu u bram zamku. Jeszcze przez kilka sekund nie otwierałem oczu, a potem stawałem przed panem Molnárem, moim gospodarzem, blady, w krótkich zielonych spodenkach z płótna utkane go z pokrzyw. „Tak, proszę pana, rozumiem. Mam pokroić drobno buraki i uwiązać cielę”. Tymczasem w duchu myślałem: „Nie, Wasza Wysokość, nie odpowiadają mi te warunki. Są po prostu niegodziwe. Będziemy walczyć na szable!”)

Mój ojciec zaczynał tracić równowagę. Ledwo się już trzymał.

Zauważyłem, że cały wysiłek jego ciała i ducha skupia się w jednym gwałtownym skurczu, którym starał się powstrzymać biegunkę. Zaciskał wargi i spoglądał w stronę krzaka bezsilnie, obawiając się najgorszego. Poznawszy mimo doprawionej brody przedstawiciela władz wojewódzkich, który pojawił się w tym kompromitującym miejscu, gdzie zamierzano popełnić straszliwą zbrodnię, ojciec zwrócił się do niego, wyłącznie do niego, patrząc na innych z pogardą i całkowicie ich ignorując, zaczął mu tłumaczyć w ogólnych zarysach, bardzo co prawda chaotycznie, swoje panteistyczne zasady, z którymi nędzne wymysły w rodzaju alfabetu Morse'a nie mają absolutnie żadnego związku. „Gdyby ci panowie oskarżyli mnie — tak mówił mój ojciec do rzekomego kupca, który zdemaskowany i speszony krył się za plecami innych — gdyby oskarżyli mnie o współpracę z ptakami niebieskimi, o złośliwe i tendencyjne ingerowanie w życie przyrody i naruszanie jej tajemnic choćby w najczystszej

panteistycznej intencji opanowania jej i zmuszenia do sjażusu z człowiekiem, który zresztą nie zasługuje na taką przyjaźń — mógłbym jeszcze zrozumieć ich oskarżenia. Ale ci panowie się mylą! Cóż ja właściwie mam wspólnego z tymi bezmyślnymi oskarżycielami, z krzywoprzysięzcami, którzy pomawiają mnie o ludzką, ach, nazbyt ludzką złośliwość? Nie, panowie! — Tu zwrócił się do wszystkich, trzęsąc się jak szalenciec: — Ja tylko głoszę w mojej świątyni, w lasach, moją religię, która niestety nie ma jeszcze wyznawców, ale pewnego dnia dotrze do ludzi i wtedy tutaj, właśnie tu — wskazał palcem — gdzie zamierzacie dokonać ohydnej zbrodni, zostanie wzniesiona świątynia. Dlatego, panowie, spełnijcie swe zamiary jak najszybciej, niech rozkwitnie nowe, potężne wyznanie, religia, jakiej nie było, stwórzcie przez swoją zbrodnię pierwszego świętego i męczennika Religii Przyszłości. Możecie rozporządzać moim umęczonym, bezsilnym ciałem, a i duch, mówiąc filozoficznie, jest gotów do ukrzyżowania. Wykonajcie, powtarzam, swój zamiar jak najszybciej, będzie to czyn brzemienny w skutki. Gromady pielgrzymów z różnych stron świata wydeptają bosymi stopami setki ścieżek do świątyni, która już bieleje w mojej duszy, a zostanie podźwignięta na moim grobie. Turystyka, panowie, zacznie się krzewić jak chwast na polach. A więc do dzieła, jeśli macie w ręku dowody i czyste sumienie w obliczu Tego, który widzi wszystko. — I dalej, po chwili milczenia: — Wydaje mi się, jakbyście się wahali, jakby was wzruszył mój osobisty los, los męża i ojca dwojga wątłych dzieci — szuka mnie w gromadzie mętnym wzrokiem — w takim razie

panowie, zażegnajmy to nieporozumienie, jak przystoi dżentelmenom...". Elokwencja i demagogiczny zapal nie zawiodły mojego ojca nawet w tej trudnej sytuacji. Z początku chłopi, niecierpliwi, ale już trochę onieśmieni, wymachiwali mu kijami przed nosem, przerywali tę przemowę wyzwiskami i przekleństwami, lecz stopniowo tak ich zbiła z tropu, że zaczęli słuchać ojca, nie rozumiejąc z tego wszystkiego nic prócz faktu, że mówi do nich geniusz, szalenciec, i wreszcie, zwłaszcza ze względu na obecność zagadkowego „kupca” — w którym i oni poznali urzędnika z województwa, gdy nie chcąc dłużej się kompromitować, zdjął przyprawioną brodę — zgodzili się na wysunięte przez ojca warunki: jeżeli znajdą radiostację ukrytą w krzaku wskazanym przez członkinię trzeciego zakonu, powieszą go na pierwszym z brzegu drzewie lub ukrzyżują jak Jezusa albo jak łotra, jeżeli zaś nie znajdą, pozwolą spokojnie odejść i oddadzą mu łaskę, żeby mógł wędrować za swoją gwiazdą. Przedstawiciel władz — polechtany faktem, że ojciec właśnie temu ofiarował kwiat swojej wymowy i zaproponował dżentelmeńską ugodę — skinął głową i wszyscy zbliżyli się do podejrzanego krzaka. Był to piękny, rozkwitły głóg, pod którym kryła się opuszczona lisia nora. Uderzali po niej kijami, aż kwiaty posypały się jak płatki śniegu. Wyciągnęli stare, zardzewiałe kolanko rury: rdza obgryzła już z żeber mięso. „Masz — pomyślałem — oto jaką radiostację ukrywa twój ojciec”. Tóth wyjął nabój z lufy i schował do kieszeni spodni. Ktoś trzasnął rurę drągiem tak jak żmiję — w kark. Żebra łamały się z chrzęstem, bezdźwięcznie, jakby to nie był metal.

„Ja nie kłamię — powiedziała członkini trzeciego zakonu i podwinęła spódnicę, ukazując sznur z trzema węzłami. — Bóg mi świadkiem”.

W tej chwili dziękił znów zaczął wystukiwać swój szyfr, a któryś z chłopów schował postronek za pazuchę.

Ojciec przestępuje z nogi na nogę i mętnym wzrokiem spogląda po zdeptanych paprociach jak jastrząb. Naraz pochyla się i triumfalnie chwytą laskę, potem prostuje się, nagle silny i wysoki, odzyskawszy równowagę, laskę zawieszają na ręce i zaciągają węzeł na krawacie, końcem laski odtrąca zardzewiałe, złamane kolanko rury jak trujący grzyb. Wyjmuje z kieszeni kawałek gazety i mocno sięka nos, unosząc głowę jak kogut, gdy ma zapisać, zwija uważnie ów strzęp zadrukowanego papieru, składa starannie na czworo, na ośmioro, jakby w środku był złoty pył albo aspiryna. Wydaje się, że schowa go do kieszeni kamizelki, obok zegarka. Ojciec jednak zniechęca odrzuca go daleko. Papier przez chwilę trzępoce jak ptak, przeciwstawiając się prawu grawitacji, po czym spada nagle jak kamień i niknie wśród kwiatów glogu...

Mój ojciec przyzwyczaił się wycierać nos gazetą. Ciął na czworo stronicę „Neues Tageblatt” i nosił przy sobie w zewnętrznej kieszeni surduta. Niespodziewanie przystawał pośrodku pola albo gdzieś w lesie, zawieszał laskę na lewej ręce i trąbił jak róg myśliwski. Najpierw raz, głośno, potem jeszcze dwukrotnie, ciszej. W lesie, zwłaszcza przed wieczorem, słycać go było w promieniu kilometra. Później składał ów kawałek heretyckiej poniekąd gazety i rzucał gdzieś w trawę, pomiędzy kwiaty. Pasąc krowy pana Molnára, daleko w Hrabiowskim Lesie,

w miejscach, gdzie zdawałoby się, nigdy nie stanęła ludzka stopa, znajdowałem czasem poóółkły kawałek „Neues Tageblatt” i myślałem zdumiony: „To aż tutaj zawędrował mój ojciec...”.

W dwa lata po jego odejściu — gdy zrozumieliśmy, że nigdy już nie wróci — na polance, głęboko w Hrabiowskim Lesie, w trawie niebieskiej od chabrów znalazłem strzęp wyblakłej gazety i powiedziałem do mojej siostry Any: „Popatrz, to wszystko, co zostało po naszym ojcu”.

TAK WIĘC, całkiem niespodziewanie, ta historia, ta opowieść staje się w coraz większym stopniu historią mojego ojca, genialnego Edwarda Sama. Jego nieobecność, jego lunatyzm, jego misja — pojęcia pozbawione ziemskiego i zgódźmy się, powieściowego kontekstu, materia nieuchwytna jak sen, poważnie obciążona pierwotnymi, negatywnymi cechami — wszystko to jest jak gdyby gęstą tkaniną o niewiadomym, swoistym ciężarze. Przycmiewa ona egoistyczne historyjki o mojej matce, siostrze i o mnie, obrazki przedstawiające pejzaże i pory roku. Wszystkie te opowiadania, osadzone w czasie i naznaczone ziemskim piętnem, schodzą na dalszy plan niby wydarzenia historyczne, o które nie musimy za bardzo się martwić: odnotujemy je bez pośpiechu, gdy przyjdzie pora.

Lecz gnębi nas, nie pozwala zająć się beztróskim notowaniem faktów mglista opowieść o moim ojcu, utkana, jeżeli można tak powiedzieć, z braku faktów. Nie trzeba tego źle rozumieć: w moim ówczesnym otoczeniu obecność ojca zaznaczała się bardziej niż cokolwiek innego, tyle że zawsze chował się zrećnie pod którąś ze swoich

licznych masek, z niesłychaną wprawą zmieniał role, ukrywał prawdziwe oblicze, uciekając się do najperfidniejszej mimikry. Pomimo to spróbujemy go zdemaskować, idemistyfikować, i tak bowiem powoli, nieuchronnie zbliża się koniec historii mojego ojca.

Chcąc dowieść wszystkim, że naprawdę zmienił się na korzyść po tym okropnym dniu, kiedy chciano go ukrzyżować jak Jezusa, ojciec zaczął nagle zajmować się tym, czego nikt by się po nim nie spodziewał. Pisał listy do dawno zapomnianych przyjaciół i krewnych, prosił o przebaczenie swojej siostry, z którymi przed kilku laty pokłócił się na śmierć i życie, porządkował zieleniki i notatki. Poprosił nawet, bardzo pokornie, stryjenkę Rebekeę, żeby pozwoliła mu podlewać pelargonie na swoim tarasie.

Pewnego dnia — kiedy właściwie już całkiem pogodziliśmy się z głodem oraz stwierdziliśmy z radością, że kryzys minął (cytuje, naturalnie, mojego ojca) i możemy teraz długi okres przetrzymać bez jedzenia, „czerpiąc z tej cennej rezerwy kalorii, które organizm gromadził nie tylko przez ostatnie lata, ale w ciągu całego życia, świadomy lub, wyrażając się ściślej, przygotowany na takie przykre niespodzianki” — mój ojciec zdobył się na wyczyn zaiste wspaniały. Wziąwszy łaskę — z wyrazem twarzy zdradzającym jakiś ważny zamiar i decyzję — udał się do ogrodu i zaczął ścinać pokrzywy. Rozgarnął łaską gałęzie bzu w ogrodzie naszych krewnych, a gdy zobaczył pokrzywę, łamał ją nad korzeniem, uderzając łaską po krzaku, niezrećnie.

„Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś naścinał tyle pokrzyw naraz” — powiedziałem, niby to zdziwiony, chcąc go sprowokować.

Mój ojciec wyprostował się na chwilę; pomyślałem, że odpowie mi jakąś sentencją, niezwykle budującą i życiowo użyteczną. Ale nawet na mnie nie spojrzął, rozluźnił tylko węzeł na krawacie i zmrużywszy oczy, znowu zaczął uderzać po krzaku bzu.

„Robisz to bardzo niezgrabnie — powiedziałem, nie rezygnując ze swych zamiarów. — Połamałeś tyle samo bzu, co pokrzyw”.

„Młody człowieku!” — przemówił mój ojciec i wyprostował się w całej okazałości.

„Robisz to bardzo niezgrabnie” — powtórzyłem.

Był wyraźnie stropiony moim zachowaniem, wykraczającym daleko poza ramy protokołu.

„Ty nigdy nie miałeś zrozumienia dla swojego ojca — rzekł rozniewany. — W zupełnie dla mnie niepojęty sposób zaczynasz oceniać swego ojca na podstawie zewnętrznych, całkiem nieistotnych i nietypowych faktów, na podstawie niektórych moich postępów, wynikających z nakazów wyższego rzędu, uwarunkowanych głębszymi, dla ciebie niezrozumiałymi przyczynami. A dzieje się to przede wszystkim pod wpływem ciemnego małomiasteczkowego i chłopskiego środowiska, bardzo szkodliwym dla twego kształtującego się charakteru. Rozumiem, wszystko potrafisz zrozumieć: i ty, synu, Brutusie, zaczynasz niestety kumać się przeciwko ojcu z tymi nicponiami, z synami zacnej pani Rebeki, mojej, pozał się Boże, kuzynki, poddajesz się wpływowi pana Ottona, jaśnie

odwieconej starszej pani... sądzę, że wiesz, kogo mam na myśli... i wszystkich tych, którzy postanowili skompromitować mnie w oczach rodzonych dzieci i w oczach całego świata...”.

Następnie, nie pozostawiając mi czasu na odpowiedź i obronę, odwrócił się gwałtownie i zaczął uderzać po bzie na oslep, aż nagle raz jeszcze, całkiem niespodziewanie, wyprostował się i odwrócił do mnie, jak ktoś, kto chce tylko dorzucić ostateczny wniosek do swych niezbitych argumentów; zauważyłem, że ten gest wykracza poza odgrywaną przez niego patetyczną rolę, że jest szczerą i rozpaczliwą próbą znalezienia we mnie świadka jego męczeństwa.

„Andi, czy ty wiesz, od kiedy twój ojciec pali? Odpowiedz, czy wiesz?”

„Wiem — pokiwałem głową, zadowolony, że nareszcie zaczął ze mną rozmawiać. — Paliłeś już, jak mieszkaliśmy na Bema”.

„No widzisz, młody człowieku — powiedział. — Wypalałem osiemdziesiąt sztuk dziennie. W ten sposób podtrzymywałem umysł i wątłe ciało, zmęczone bezsennością i pracą”.

„Paliłeś symfonie. Osiemdziesiąt sztuk dziennie. Może i więcej”.

„Osiedziesiąt do stu dwudziestu, młody człowieku. Przypuszczam, że to nie wymaga komentarzy. Jesteś na tyle dojrzały, że możesz samodzielnie wyciągnąć z tego daleko idące wnioski, przypatrzeć się swojemu nieszczęsnemu ojcu i sądzić go na podstawie tego jednego jedyne go faktu, nie biorąc pod uwagę wielu innych, niby aureola

oświetlających moje poczynania. Albowiem wiesz, młody człowieku, co to znaczy, kiedy ktoś, kto wypalał sto dwa dzieścia symfonii dziennie, nagle — można powiedzieć, bez jakiegokolwiek przygotowania filozoficznego — zostaje pozbawiony możliwości jednego choćby zaciągnięcia się papierosem?”

„Wszystko to rozumiem — odpowiedziałem naiwnie. — Ale wybaczone, nie jest dla mnie jasne, na co ci tyle pokrzyw?”

„Dobrze — powiada ojciec. — Mimo że w tej sytuacji wolałbym nie tłumaczyć bliżej mego postępowania — jako że sprawa jest natury zbyt delikatnej — wyjaśnię ci, na co mi tyle pokrzyw. Przyrzeknij tylko, że postarasz się mnie dobrze zrozumieć. Jeżeli bowiem ktoś, kto wypalał osiemdziesiąt symfonii dziennie...”

„Sto dwadzieścia, ojciec!”

„...a więc sto dwadzieścia symfonii dziennie, zostaje pozbawiony jednego choćby zaciągnięcia się papierosem, tego błędnego złudzenia, wtedy przyznasz, młody człowieku, że trudno mu w swych odpowiedziach i postępowaniu korzystać z pełnego zasobu posiadanych argumentów i możliwości intelektualnych. Przynajmniej to, młody człowieku, powinno być dla ciebie jasne”.

„W porządku — powiedziałem. — Ja też wreszcie jestem w jakiś sposób wrażliwy i potrafię każdego zrozumieć”.

Było mi go naprawdę żal. Ostatnio wyraźnie zmarniał. Przestał nagle pić, bo w gospodach nie dawano mu już na kredyt, i nie mógł oczarować nawet najnowszej szynkarki w całym województwie, nie mógł też palić liści lipy zmieszanych z korzeniami mlecza, którymi

z początku oszukiwał się, twierdząc i udowadniając żarliwie, że mieszaneczka taka zawiera znaczny procent trujących kwasów o działaniu podobnym do nikotyny. Kauczukowy kołnierzyk na jego cienkiej, gęszej szyi stał się o wiele za luźny i położył na brzegach.

„Nie będę cię już o nic pytał — dodałem pojednawczo. — Jeżeli pozwolisz, ojciec, zostaną tu do końca i przekonam się na własne oczy, co zrobisz z tymi pokrzywami. Bo o ile ja się znam na paleniu...”

„Zrobię z nich zupę” — powiedział mój ojciec i wyprostował się tak gwałtownie, że słychać było, jak zatrzeszczały jego stare, spracowane kości.

„O ile mi wiadomo — powiedziałem szczerze zdumiony — pokrzywy daje się świniom”.

Sam poczułem, że przeciągnąłem strunę. Spostrzegłem, jak wielkim, nadludzkiem wysiłkiem powstrzymuje się, żeby nie ryknąć. Przelknął ślinę, a jabłko Adama, podobne do klatki piersiowej ptaka, nerwowo zaczęło skakać mu w górę i w dół. Po chwili odezwał się głosem na pozór spokojnym, ale zdradzającym niebezpieczeństwo tłumionego wybuchu:

„Muszę przyznać ze zdumieniem i z ubolewaniem, że ze zdumieniem i z ubolewaniem, że całkowicie przesiąknęś małowieszczańskimi i chłopskimi nawykami, zaczęłeś patrzeć na wszystko z punktu widzenia tak zwanego zdrowego rozumu, prostackiej logiki, która nie jest niczym innym, młody człowieku, jak tylko najędźniejszą ignorancją w sprawach wyższego rzędu. Na dowód tego przytoczę ci jasny jak słońce i oczywisty fakt: pokrzywa, młody człowieku, była jednym z

specjałów na dworze hrabiów Esterházy! Czy zatem nadal utrzymujesz, że jedzą ją tylko świnie!

„Wszystko jedno — powiedziałem. — Daję głowę, że dostałbym od niej pokrzywy albo czegoś w tym rodzaju!”

„Twoje prostactwo i brak poszanowania dla faktów głęboko mnie obrażają i przejmują strachem — ciągnął dalej. — Stanowią bowiem tylko dowód, jeszcze jeden dowód, jak wielki wpływ wywarło na ciebie chłopskie *milieu*, to niezdrowe środowisko, pozbawione wyższych, wzniosłych celów i pojęć, ta przyziemna logika, która nie dostrzega nic poza zasięgiem popolitości, to życie i obyczaje, w których nie ma miejsca na odwagę i ryzyko. A pokrzywę jadano, powtarzam i kiedyś będziesz mógł to sprawdzić w książkach, na dworze jednego z najznakomitszych rodów w Europie owych czasów. Stanowiła doskonałą pożywkę dla działalności intelektualnej i artystycznej. Przy zupie z pokrzyw — *potage d'ortie* — muzykowano i komponowano, dzięki niej uszlachetniał się umysł i wyczułał słuch”.

Krzywiąc się w grymasie bólu, gołą ręką zaczął obrywać liście pokrzyw i wrzucać do swego czarnego kapelusza. Potem ścisnął ów czarodziejski kapelusz pod pachą i ruszył w stronę domu, powoli, niczym perypatetyk obmyślający genialną odpowiedź, która stanie się jedną z podstaw filozofii, wykwittem krasomówstwa i celnego rozumowania.

Pewien byłem, że na tarasie znajdzie się ktoś z naszych krewnych, z którymi ojciec znów zdążył się pokłócić, zatem i ja włożyłem ręce do kieszeni, przybrałem godną minę i ruszyłem za nim, pogwizdując.

Naprawdę, gdybyście się przyjrzeni z boku mojemu ojcu, jak kroczy koło tarasu naszych krewnych, z fasonem wymachując laską, całkowicie pochłonięty wagą swoich myśli, nigdy by wam nie przyszło do głowy, że w kapeluszu pod pachą niesie pokrzywy, z których postanowił ugotować zupę, jaką jadano na dworze jednego z najznakomitszych rodów w Europie.

Wiedzieliśmy dobrze, że ta historia z pokrzywami jest wstępem do jakiejś wielkiej gry, zapowiedzią katastrofy. Mój ojciec bowiem zrywał liście pokrzywy podobnie jak pies, który skubie trawę przed burzą: bezsilny, lecz gotów walczyć przeciw całemu światu. Czekaliśmy więc w napięciu. Tymczasem, przynajmniej z początku, wydawało się, że cisza potrwa nieco dłużej. Wobec nas ojciec nadal posypywał głowę popiołem i pisał listy, długie listy do siostr, do przyjaciół, czasem mądre i pouczające, czasem ponure jak testament. Pewnego dnia znów sięgnął po swój półcylinder i wybrał się do Budapesztu, wycalowawszy wszystkich, nawet krewnych, z którymi był skłócony i którzy przyjęli ten gest ze zdziwieniem i nieufnością. „Musimy zdwoić czujność — powiedział stryj Otto, ledwie ojciec oddalił się o parę kroków — przywiezie pewnie z Budapesztu dynamit albo maszynę piekielną”. Wkrótce przed dom zajęchała bryczka, ojciec usadowił się w niej z powagą i poprosił, żebym go odprowadził na stację. Matka popatrzyła mi w oczy znacząco i ostrzegawczo.

Siedziałem w bryczce koło ojca i pana Horgosa, woźnicy i dorożkarza, przez całą drogę nie zamieniliśmy ani

słowa. Chciałem pozostawić inicjatywę mojemu ojcu, sprowokować go milczeniem, żeby się wytłumaczył i zdradził swe zamiary. Odezwał się dopiero w bufecie na stacji, gdzie po długim, przykrym milczeniu zamówił i wypił namiastkę kawy. Zauważyłem, że walczył z sobą, aby przełamać pociąg do alkoholu; przyjąłem to jako ofiarę z jego strony i dobrą wróżbę.

„Korzystając z chwili spokoju i wzajemnego zaufania, chciałbym ci powiedzieć parę słów — tak zaczął mój ojciec. — Wbrew fałszywym pozorom wierzę bowiem, że ty jeden potrafisz mnie jeszcze zrozumieć i wszystkie moje słabości — widzisz, przynajmniej się i do nich — ująć w głębszym aspekcie... Wiem, wiem, nie możesz mi darować egoizmu, niepokodzenia się ze światem. Prawdopodobnie masz rację, ale za późno już na skruchę i wyjaśnienia. Teraz już za późno, rozumiesz, młody człowieku?... Więc pozwól, że powiem ci co innego. Rola ofiary, którą z większym czy mniejszym powodzeniem grałem przez całe życie — człowiek właściwie zawsze w życiu jest aktorem — ta rola, powiadam, z wolna zbliża się do końca. Jeżeli przez całe życie gra się rolę ofiary, w końcu, młody człowieku, musi się tą ofiarą zostać, zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Widzisz, teraz już nie ma wyjścia i wypada mi tylko dołożyć starań, aby z godnością odegrać tę rolę do ostatka. Będzie to moja pokuta i dlatego powinniście mi wybaczyć”.

Muszę przyznać, niezupełnie go zrozumiałem. Odczułem jednak, że mówi w tonacji nieco niższej niż zazwyczaj, uchwyciłem od dawna już u niego niesłyszana, niezwykłą i wzruszającą nutę szczerości. Siedzieliśmy w bufecie

małej prowincjonalnej stacji prawie sami, *tête a tête*, nad poplamionym kraciastym obrusem. Było późne letnie popołudnie, muchy spadały na podłogę upojone lotem i ciepłem. Pachniało gulaszem i pastą do podłóg. W rogu stały cymbały nakryte kapą niczym trumna. Lep u sufitu kołysał się ledwo dostrzegalnie, jakby odmierzał minuty. Butelki na półkach zatopione były w poobiedniej drzemce, nabrzmiałe pod wpływem słońca i zawartego w nich ładunku jak pąki na drzewach albo granaty.

„Niekörtóry ludzie — ciągnął mój ojciec — rodzą się po to, aby byli nieszczęśliwi i unieszczęśliwiali innych, rodzą się jako ofiary boskich, niezrozumiałych dla nas machinacji, króliki doświadczalne boskiej mechaniki, buntownicy na zasadzie przydzielonej im roli, którzy jednak zgodnie z okrutną logiką boskiej komedii przychodzą na świat z podciętymi skrzydłami. Tytani pozbawieni tytanicznej mocy, skarłałe tytaniatka, których cała wielkość sprowadza się do bezlitosnej dawki wrażliwości, a w niej niby w alkoholu ulega rozcieńczeniu ich bezużyteczna siła. Ludzie ci kierują się swoją gwiazdą, chorobliwą pobudliwością, lecz pochłonięci tytanicznymi planami i zamiarami, rozbijają się jak fale o kamieniste rafy pospolitości. Szczytem okrucieństwa jest jednak dana im przez Boga inteligencja, świadomość granic własnych możliwości, niezdrów zdolność zachowania dystansu wobec samego siebie. Przyglądam się sobie w roli narzuconej przez niebo i los, nieustannie świadomej swojej roli, lecz jednocześnie nie potrafię przeciwstawić się jej siłą woli ani rozumu... Na szczęście, jak już powiedziałem, ta rola zbliża się do końca...”.

Ów wyjątkowy moment szczerości i przytomności mojego ojca zakłóciło nadejście pociągu. Zostawił więc królewski napiwek i zabrał swą tajemnicę do grobu.

Wróciwszy z Budapesztu, gdzie przebywał zaledwie kilka dni, ojciec przywiózł mi pudełko z narzędziami stolarskimi, tak jak obiecał przed wyjazdem. Gest ten świadczył o wzruszającej serdeczności. Ojciec chodził po mieszkaniu z dumną miną, udając jednak, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, jak ktoś, kto przywykł spełniać dobre uczynki i przywozić prezenty, lecz wie dzieliśmy doskonale, jaką to było ofiarą z jego strony i przyznajcie sami, dowodem dobroci, gdyż z pewnością cią musiał zdobyć się na wielki wysiłek, aby o tej mojej prośbie, wypowiedzianej raczej tylko dla formalności i z absolutnym niedowierzaniem, pamiętać w ciągu całej niewątpliwie misjonarskiej wyprawy. A miniaturowy warsztat stolarski był tylko częścią mojego dawnego snu, kwiatem marzeń, narzędziem wrodzonych zdolności, rozkwitłych podczas poprzedzającego okres dojrzewania gwałtownego kryzysu religijnego: od chwili, gdy na jednej z grawiur w szkolnym katechizmie, w rozdziale pod tytułem *O czwartym przykazaniu boskim* zobaczyłem Dzieciątka Jezus z dłutem i młotkiem w dłoni, mój zapal do stolarki wybuchł z jeszcze większą siłą. Podpis pod tym obrazkiem głosił płomienną kursywą: *I był posłuszny rodzicom swoim*, co ściśle kojarzyłem ze stolarstwem, uważając robienie drewnianych trójnogów za szczyt poddania się woli rodziców i Boga, za uczynek równie chwalebny jak modlitwa lub ścisły post.

Stryj Otto, wciąż jeszcze nie dowierając ojcu, pewnego dnia skorzystał z jego popołudniowej, perypatetycznej przechadzki i pod pozorem zainteresowania przywiezionym z Budapesztu prezentem zaczął rozkładać moje narzędzia; spodziewał się widocznie znaleźć wśród nich materiał wybuchowy. Z zapartym tchem, ostrożnie obracał w rękach świder, trzymając go z dala od oczu, starał się zbadać tajemnicę wszystkich narzędzi, zajrzeć do środka, odkryć pod niewinnym kształtem ich piekielne przeznaczenie. Czoło zrosiły mu ziarniste krople potu.

Była to oczywiście przesada, chorobliwy lęk stryja Ottona o życie i mienie. Mój ojciec bowiem, wbrew wszelkim naszym wątpliwościom i podejrzeniom, naprawdę zmienił się na korzyść. To już nie była gra. Przeciwnie. Przeżywał swoje wspaniałe *lucida intervalla*, jakie miewają tylko ludzie nieprzeciętnego umysłu, spokojnie patrzący śmierci w twarz, mówiąc filozoficznie, przygotowani na śmierć.

Moja matka pakowała rzeczy ojca do dużej torby, w milczeniu, ze spuszczoną głową, pełna nabożeństwa. Widocznie przebaczyła mu wszystko. Starła się nic nie mówić, aby uszanować jego majestatyczny, godny podziwu spokój. Wkładała więc do torby strój tego boskiego kłowna, który odchodząc na emeryturę, zabierał swoje słynne rekwizyty.

Obok pasiastej piżamy, w której kilkakrotnie występował jako ojciec-opiekun rodziny i ojciec-obronca (na przykład podczas pogromu, gdy napastnicy wściekle dobijali się do drzwi, a on podpierał je swoją laską z metalowym

szpicem), obok pasiastej piżamy, podobnej do tych, jakie noszą w szpitalach dla nerwowo chorych i w sanatoriach, leżą jego białe koszule, nakrochmalone, lecz wytarte już ze starości, a na nich — pęk ściągniętych gumką kauczukowych kołnierzyków, niby wieńczący je puszysty kwiat, pęk tych błyszczących, sztywnych kołnierzyków poźółkłych od nikotyny i wiązka czarnych krawatów, długich jak łodygi lilii wodnych, prócz tego para spinek do mankietów, z imitacji srebra, niczym pierścien królewski z inicjałami.

Któż zatem miałby odwagę porównać mojego ojca z wędrownym kupcem?

Kiedy wyruszył w drogę, był piękny letni dzień. Szedł Rzymskim Traktem pełen zapału, wysoko wymachując laską, my zaś — szanując jego spokój — o kilka kroków za nim. Gdy jednak wypadło skręcić z Rzymskiego Traktu na pełną kurzu wiejską drogę, ojciec zaczął szybko tracić siły; ze zmęczenia opierał się całym ciężarem na lasce, co mogło świadczyć tylko o tym, że jego płaskie stopy odmawiają posłuszeństwa i gaśnie wewnętrzny ogień. Oczywiście za nic by się do tego nie przyznał i nigdy nie zdecydowałby się na krok, który uczyniła moja matka: zatrzymała cygański wóz i poprosiła woźnicę, żeby podwiózł tego pana, który cierpiąc na platfus, nie zdoła pieszo dojść aż do Bakszy. W zamian za to ofiarowała Cygance swoją muślinową chustkę. Ojciec wdrapał się na wóz niby to z niechęcią, po prostu jakby robił wszystkim grzechność. Ale usadowiwszy się na przednim siedzeniu obok młodej Cyganki, nagle znów stał się dawnym, wspaniałym Edwardem Samem, trzymającym się prosto, pełnym

galanterii dla dam i pogardy dla bogaczy. Ruszyliśmy w ślad za wozem.

Ciągną go dwa małe parszywe muły, człapiące po zakurzonej wiejskiej drodze, a na wozie pod dziurawą budą Cyganięta miauczą jak kotki, brzęczą garnki i miski, młody Cygan podaje ojcu swoją fajkę, żeby zaciągnął się dymem. Siedzi więc on, mój ojciec, na wozie koło młodej Cyganki o nabrzmiałych piersiach, siedzi jak Wellsowski ksiądz — albo, jeśli wolicie, jak krupier, jak *maitre d'hôtel*, jak sztukmistrz, jak menażer cyrkowy, jak pogromca lwów, jak szpieg, jak antropolog, jak szwajcar, jak kwakier-misjonarz, jak podróżująca incognito głowa państwa, jak inspektor szkolny, jak wiejski lekarz i wreszcie jak agent zachodnio-europejskiego przedsiębiorstwa, trudniącego się sprzedażą tytelek — siedzi wyprostowany, dumny, majestatyczny w swym olimpijskim spokoju, pod czarną koroną półcyndra, na którym osiada kurz niczym pyłek z kwiatów.

A tymczasem w domu Reinweinów:

Pan Reinwein, niski, chuderlawy kupiec, z nosem przypominającym ślimaka, łysy, krótkoreki, z głową wciśniętą w ramiona, stoi na krześle jak na szczudłach, zgarbiony, i spogląda swymi małymi oczkami z tych szczudeł, które podwyższają go, lecz jednocześnie czynią bardziej widocznym, aż zmieszany pochyła się nieco, wciska się w swój garb jak w skorupę, z której dobywa się ochrypyły głos. W rękę trzyma wielką księgę podwójnej buchalterii, jak Mojżesz tablice na górze Synaj, i wykrzykuje:

„Eine Singermaschine!”

„Ja”.

„Lustro duże, dwuskrzydłowe!”

Milczenie.

„Duże dwuskrzydłowe lustro!”

Służący po niemiecku (!):

„Nie możemy znaleźć, proszę pana”.

Chwila zamieszania. Robotnicy i służba kręcą się wśród mebli na podwórzu i w mieszkaniu, pan Reinwein cierpliwie mruga małymi oczkami, wypatrując z ptasiej perspektywy lustra, które zapodziało się gdzieś podczas tej wielkiej wędrówki ludów, w historycznej chwili przypominającej zamęt przed potopem. Pani Reinwein, zażywająca na damę z runem bujnych włosów pod staroświeckim kapeluszem o szerokim rondzie, w sukni z trenem wlokącym się po ziemi, błąka się po częściowo już opróżnionych pokojach całkowicie zagubiona — pozbawiona kulis, wśród których latami wiodła mieszczańską egzystencję — wzruszająco nieporadna w tej bezcelowej krzątaninie, z anachronicznym, absurdalnym wachlarzem w małej, twardej dłoni, białej jak pergamin.

Ale oto i po kłopotach. Lustro znalazło się w jakimś ciemnym kącie — zasłonięte było perskim dywanem — i robotnicy ostrożnie kładą je teraz na wóz; we wzniesionym ponad stertę gratów zwierciadło odbija się idylliczny letni pejzaż: zieleń i światło, skrawek jasnoblękitnego nieba, po którym, niby na obrazach artystów flamandzkich, płyną czyste, białe obłoki. Potomkowie Noego wyruszają na śmierć jak faraonowie egipscy w cień majestatycznych piramid, zabierają ze sobą wszystko, co posiadali na tej ziemi, o naiwni. Kilimy, makaty, umywalki, porcelanowe wanny, sekretery, toaletki, stoliki o marmurowych

blatach, stare, cenne księgi oprawne w skórę, biedermeierowskie fotele podobne do tronów, kanapy, szafy, naczynia kuchenne, szkła, kryształy, donice z fikusami, z oleandrami, z pelargoniami, z karłowatymi drzewkami pomarańczowymi i cytrynowymi, srebrne sztuce w pudełkach wysłanych pąsowym sukniem niby pudła na pistolety do pojedynku, pianino, skrzypce w futerałach jak trumienka małego dziecka, dokumenty powiązane w paczki, portrety rodzinne w barokowych ramach, pokryte kurzem, wytrącone z bezruchu, ze swej wiecznej pionowej pozycji, rzucone na wóz w sposób bluźnierczy, poniżający, głową na dół albo w nieprawdopodobnie skróconej perspektywie, w której zatracą się wyraz twarzy i siła charakteru, zegary ścienne jak ołtarze, w złotych wahadłami, małe ozdobne budziki niby złote jabłka, duże czarne parasole jak zwinięte chorągwie pogrzebowe, kolorowe, niemodne już parasolki w kropki, z długimi pozłocanymi rączkami, powiewna, obszyta koronką jedwabna bielizna, wagi szalkowe i sprężynowe, całe muzeum historii kupiectwa od epoki brązu po dzień dzisiejszy, pudełka z cynkowanymi odważnikami ustawionymi według wielkości, bele materiałów, perkalu i mory, na których niczym orderzy wiszą pozłocane kartonowe krążki z ceną, numerem i znakiem firmowym, przedstawiającym niewinne jagnię lub kwiat margerytki, zagadkowe skrzynie z grubymi łańcuchami, eleganckie złote walizy i nesesery jeszcze pachnące garbowaną skórą, naładowane, spuchnięte, o błyszczących niklowanych zamkach, ściągnięte w poprzek pasami, żelazne piecyki, z których sypie się sadza przy wtórze towarzyszącej im

artylerii rur, stół bilardowy, jak kulisa przedstawiająca łąkę, ledwo mieści się w drzwiach, wśród złorzeczeń i przekleństw robotników sunie milimetr po milimetrze niby znieawidzony kamień piramidy Cheopsa, w końcu służący wynosi kule, trzymając je na dłoni ostrożnie, jak zniezione przed chwilą, jeszcze ciepłe kacze jaja.

„*Ein Luster!*”.

„*Noch ein Luster!*”.

„*Ein Halbzylinder!*”.

„*Ein Frack!*”.

„*Noch ein Frack!*”.

„*Ein Frack. Powiedziałem, ein Frack!*”.

Przechodzi z rąk do rąk olbrzymia sterta rupieci, dawne bogactwo, pozbawione nagle kontekstu i sensu. Wydobyte z mrocznych, muzealnych głębi szaf, z ponurych kątów sklepu, salonu i magazynu, ze strychu i z zatęchłych piwnic, wszystko to zaczyna naraz tracić wartość, rozpada się pod dotknięciem promieni słońca, ciemnieje jak papierek lakmusowy, próchnieje, zamienia się w cień, w pajęczynę, w *reliquiae reliquiarum*, w popiół i pył.

Ładowanie tymczasem postępuje z niewiarygodną sprawnością, sprzęty tworzą nadbudowę wozu i karo-serii, stają się jego częścią składową, piętrem, wóz powiększa się, rośnie, wznosi się w powietrze wysoki niby rusztowanie budowane na podstawie planów genialnego architekta, stworzonych *ad hoc*, w przyływie nieopartego natchnienia. Wystarczy dorzucić szpilkę z jednej lub drugiej strony, a rozpadnie się ten wspaniały gmach, trzymający się jedynie dzięki prawu równowagi lub tajemnym zasadom ekwilibrystyki. I rzeczywiście

przed chwilą odśrubowana mosiężna pompa, z której jeszcze kapie, zostaje wciśnięta pomiędzy nogi leżącego krzesła — to już naprawdę ostatni ciężarek, położony na prawej szali. Stan równowagi wskazuje dyszel, niby języczek wagi aptekarskiej, dokładnie pośrodku między dwoma końskimi łbami. Stan idealnej równowagi.

Hop!

Na stertę rzeczy wskoczył szary kot i usadowił się na pudle ze skrzypcami. Nasłuchuje. Robotnicy obwiązują naladowany wóz jak trumnę.

Na drugi wóz składają worki pszenicy i najbielszej mąki, która unosi się w powietrzu jak puder po zatrzaśnięciu puderniczki, worki kukurydzy, żyta i ziemniaków, pudła kawy, ryżu, pudełka z przyprawami i mieloną papryką — wieża babilońska zapachów. Służący cierpliwie odrzuca łopatą łajno spod nóg ociężałych styryjskich koni, które wierzgają oszołomione ogólnym zamętem.

Robotnicy dźwigają z kolei butelki i słoiki soków i konfitur z wypisaną na nalepkach datą i rodzajem owocu, szynki i długie naszyjniki kielbas, sery olbrzymie jak kamienie młyńskie, toczą beczki piwa i wina, ciągną konewki ze smalcem i oliwą, wielkie konwie, na których panoszą się nazwy gigantów europejskich monopoli — czarne, zaokrąglone, gotyckie litery niby na płytach nagrobnych lub sztydach. Flaszki w skrzynkach grzechoczą niczym kule armatnie, szampan noszony jest ostrożnie jak nitrogliceryna, a butelki wody mineralnej, którą popijają zmęczeni tragarze, strzelają z cicha, ledwie skrapiając brodę Franza Josepha na etykietce z napisem: „*Ferencz József keserűvíz*”.

Marna parafraza ewakuacji sprzed potopu, lądowa adaptacja wiecznej arki Noego, owej boskiej, biblijnej komedii, grana jest konsekwentnie do końca. Potomkowie Noego, nauczeni doświadczeniem, zabierają z sobą — na czwartym, piątym i szóstym wozie — wszelkie gatunki bydła i drobiu, gdacząc niespokojnie kury, gęsi wciąż wytykają głowy jak szydełka przez oka drucianej siatki, syczą bezsilne i oglupiałe, kanarki miotają się samobójczo, wpadając pomiędzy pręty klatek, a papuga, stropiona hałasem, nie może przypomnieć sobie ani jednego słowa, nawet przekleństwa, skrzeczy tylko w papuzim języku, psy warczą i szczekają, przyczajone jak lwy, potem zaczynają wyc jakby przed pożarem, cielęta zaś nawołują matki-karmicielki żałośnie, błagalnie, płacząc zupełnie jak dzieci...

W tej chwili pan Reinwein spostrzegł mojego ojca schodzącego z cygańskiego wozu.

„Hej, Sam! — zawołał z wysokości krzesła. — Sam, gdzie są pańskie rzeczy?”

Ojciec spojrział w jego stronę i uniósł kapelusz gestem nieco teatralnym.

„*Omnia mea mecum porto!*” — To powiedziawszy, uniósł z kolei swoją torbę, a potem upuścił ją na zakurzoną drogę ruchem pełnym patosu, jakby rzucał w ogień dziecko.

Edward Sam, mój wspaniały ojciec, posyłał nam z bryczki zwiewne pocałunki, dmuchając na dłoń, jakby puszczał bańki mydlane. Liryczna maska kłowna — jedna z ostatnich jego masek — nie miała oczywiście służyć ku

uciesze nielicznej, przyglądającej mu się ze zdumieniem publiczności, ojciec pragnął tylko rozproszyć powagę chwili, a przede wszystkim ośmieszyć pana Reinweina, który tę podróż traktował w sposób zdecydowanie tragiczny, z faraonowym namaszczeniem. Nie mając odwagi powiedzieć tego otwarcie, rozeźmiać mu się w nos — nie mógł być przecież aż tak arogancki, skoro pan Reinwein wziął go na własną bryczkę — mój ojciec dyskretnie pokpiwał ze wzniosłych gestów swego dobroczyńcy, a przybrawszy postać wędrownego aktora i jarmarkowego wesołka, pozwolił sobie delikatnie sztychować nawet z dramatycznej roli potomków Noego, robiąc złośliwe uwagi pod adresem takich świętości, jak Stary Testament i jego bohaterowie pozytywni, wybrani przez Boga, oraz mieszając je bluźnierczo z dowcipami na temat koni styryjskich i dojnych krów. Swoją półcylinder trzymał na kolanach, wyraźnie dając do zrozumienia, że zamierza ograniczyć się w tej lichej farsie do roli rezonera, albo też po prostu jego kapelusz — ów wieniec laurowy i korona cierniowa nabyta w sklepie z konfekcją — nie mieści się w roli pełnej drobnych złośliwości i na oko rzeczywiście pozbawionej patosu.

„Możecie się o mnie w ogóle nie martwić — mówił ojciec zwrócony do nas półprofilem — możecie się o mnie w ogóle nie martwić, powiadam, bo oto pan Reinwein z braterską hojnością przyjął mnie pod swoje skrzydła, a dzięki tym pegazom — tu wskazał na ciężkie styryjskie konie — zajedziemy aż do piramid zdrowi i cali, prowadzeni sprawiedliwą ręką Boską. Dzięki zasobom zacnego pana Reinweina natomiast będziemy mogli kupić sobie

nieśmiertelność jak faryzeusze albo nawet jak Judasz i wkroczyliśmy w krainę nieśmiertelności triumfalnie niby Gilgamesz, pozyskawszy stróżów piramid za pomocą złota i upoiwszy reńskim winem cherubiny stojące u bram wieczności”.

Tu mój ojciec znowu podnosi dłoń do ust i wydmuchuje pocałunek, aby rozproszyć ewentualne wątpliwości co do sensu jego słów.

Coraz bardziej zmęczeni, ubieleni kurzem, powoli zostajemy w tyle i już tylko z daleka docierają do nas błyskawice ojca, zamieniające się we wspaniałe monologu rzucony światu w twarz. Ledwie już rozumiemy jego słowa, zagłuszane skrzypieniem kół i biblijnym hałasem, jako podnoszą zwierzęta; było w swoich cyrkowych kłakach zaczyna zawodzić boleśnie, straceńczo, opuszczając zielone, słoneczne okolice, które wzbudzą w nim jakby ludzką nostalgię i niewytłumaczalny lęk, gdyż instynktownie (doświadczenie biblijne) wyczuwa zbliżanie się wielkiego, apokaliptycznego potopu.

Na granicy gruntów należących do sąsiedniej wsi — kiedy wzbiło się w niebo szczekanie psów, gęganie gęsi i ryk cieląt jak żałosny dźwięk puzonów — ojciec włożył kapelusz i skłonił swą wspaniałą głowę, nie potrafiąc dłużej ukrywać twarzy pod tanią maską rezonera w tragedii życia.

„Biedak! — powiedziała moja matka. — Zdawało mi się, że lada chwila się rozpłaczę”.

Wozy z wolna niknęły w dali niby jakieś cenne pudła okręcone szmatami.

Nazajutrz moja matka wyniosła rzeczy ojca na słońce, wietrzyły się na podwórzu aż do wieczora. Wizytowy surdut, zniszczony już i upstrzony tłustymi plamami, nieulubiany czarny garnitur, który ojciec miał na sobie może dwa razy, kilka pożółkłych kauczukowych kołnierzyków — oto co zostało z jego garderoby. Pod wieczór matka napełniła kieszenie surduta kwiatem lawendy i schowała wszystko do szafy. Tę gwałtowną zmianę zapachów w naszym pokoju odczuliśmy jak wielką przykrość. Nawykliśmy do wszechobecnego, nieśmiertelnego zapachu ojcowskich symfonii i nagle odorująca, balsamiczna woń lawendy uprzytomniła nam, że tym razem w odejściu ojca było coś nieodwracalnego, fatalnego. Gwałtowny zanik zapachu symfonii jakby ostatecznie pozbawił nasze mieszkanie surowych, męskich cech, a wygląd wnętrza zupełnie się zmienił: zarysy sprzętów nabrały płynności, kanty zatracaly ostrość, krawędzie mebli wyginały się kapryśnie, rozkwitając jakąś barokową dekadencją...

Kiedy minęło piętnaście dni, matka wybrała się wraz ze mną odwiedzić ojca. Dzień był letni, upalny. Ojciec był w samej koszuli i wciąż poprawiał szelki, które spadały mu zawsze, gdy nie miał marynarki.

„Wzywali mnie dzisiaj do biura — powiedział z ożywieniem, zacierając ręce. — Postawili plus przy moim nazwisku. Mówił mi o tym Schmutz, on ma w biurze znajomości”.

Z trudem go poznawałem. Jego likwidacja w naszym domu była całkowita i ostateczna, jego zapach w ciągu tych piętnastu dni ulotnił się do reszty, rozwiewając nieodwołalnie złudzenie jego obecności, patrzyłem

więc na mojego ojca jak na coś nierzeczywistego, jak na człowieka, który nie ma nic wspólnego z naszymi prywatnymi sprawami. Ojciec niewątpliwie też to rozumiał. Dlatego nie grał już przed nami, nie demonstrował swojej władczej roli, nie popisował się erudycją, nie nadawał głósowi proroczego tonu. Sam miał gorzką świadomość nieodwołalności swego odejścia i faktu, że odwiedzamy go w związku z tym jak dawnego znajomego, któremu darowaliśmy wszelkie winy, że przyszliśmy do niego tak, jak chodzi się na grób, raz do roku, na Wszystkich Świętych.

Mieszkał w małym, jednoosobowym pokoiku na krańcach getta, ciemnym i pustym jak klasztor na ciele. Pojąłem z goryczą, że w chwili gdy los przeznaczył mu rolę sprawiedliwego i ofiary, gdy pozwolił mu wystąpić na tle kul przedstawiających pustelnię, ojcu nagle zabrakło odwagi, zmienił swój mesjanistyczny program i całkowicie zobjętniał na sprawy wyższego rzędu. Kto wie, może nawet wróci do teizmu? Wobec nowej sytuacji wykazywał nie zwykłą tolerancję, chwalił swój rzekomo wygodny pokój i podnosił jego zalety, wręcz mienił się wybrańcem losu. To złożenie broni, to pogodzenie się z rzeczywistością i pragnienie powrotu do domu zupełnie go zdegradowały — wyglądał jak kandydat na rabina. Nie mogłem się doczekać, żeby stamtąd wyjść, nie patrzeć już na to.

Wyczuwając nasze zniecierpliwienie i rozczarowanie, powiedział:

„Cóż, wracajcie do domu. Wkrótce i ja przyjadę. Tym pociągami o szesnastej czterdzieści pięć. Jeżeli mi są dzone. *Sic!*”.

W podwórzu roznosił się zapach zjełczałego gęsiego smalcu i żywicy. Od wewnątrz ogrodzenie nie było pomalowane, ze świeżych jodłowych desek ściekała żywica. Tylko gdzieniegdzie, pomiędzy deskami, przedostawała się z zewnątrz zielona olejna farba. Snuli się tu brodati starcy przypominający proroków ze Starego Testamentu, przecinali krąg podwórza po jakichś sobie tylko znanych, kabalistycznych orbitach, od czasu do czasu mijali się, podnosząc głowy, aby boskim, wybaczącym spojrzeniem obdarzyć tych, którzy stanęli im w poprzek drogi. W oknach ukazywały się kobiety, z bujnym ruściem zmierzwionych ciemnych włosów, z obrzękłymi twarzami, i w niezrozumiałym na tle słonecznego dnia pośpiechu ściągały ze sznurków lub rozwieszały mokre pieluchy.

Niedaleko bramy, oparty plecami o ogrodzenie stał chłopiec w czarnych aksamitnych spodniach sięgających do kolana. Ręce trzymał rozłożone na wysokości ramion, dłońmi zwróconymi na zewnątrz. O pięć, sześć kroków przed nim zebrało się kilku wyrostków, smutnych, wysokich chłopców o poważnych twarzach. Stali w milczeniu, bici w gromadkę, niczym wychowankowie szkoły rabinackiej. Widziałem, jak naraz rozsunęli się, błysnął nóż, zagłębił się miękko w świeżą jodłową deskę i zamigotał obok ramienia chłopca.

Po tym spotkaniu ojciec długo nie dawał o sobie znać. Niewątpliwie pragnął zatrzeć przykre wrażenie, jakie na nas wywarł, odpokutować swą niegodną postawę i brak konsekwencji. Otrzymaaliśmy od niego tylko jeden list

jakiś miesiąc później. W liście tym, a ściślej mówiąc, na skrawku koperty wyrzuconym z zaplombowanego wagonu, ojciec prosił najpierw uczciwego znalazcę o dostarczenie go pod wymieniony adres. Następnie czytelnym, wyrobionym charakterem, który dobrze maskował zdenerwowanie, napisał ołówkiem wzdłuż przekątnej koperty: „Wszystkie kołnierzyki mam już brudne. Bardzo mnie to denerwuje. Dam wam znać, gdzie mi przysłać nowe. Tułę was do ojcowskiego serca, martwię się o was...” itd.

Potem przez kilka lat w ogóle się nie odzywał, wszelki ślad po nim zaginął. Było mu wstyd albo przeszkadzały mu jakieś ważne zajęcia... Ja tymczasem myślałem o nim coraz częściej i nade wszystko chciałem do niego napisać, gdyż ostatni list całkowicie zrehabilitował ojca w moich oczach. List ten i sposób, w jaki został wysłany, świadczą o niezwyklej inwencji, co schlebiali mojej próżności, poza tym ojciec okazał się wierny sobie — dowodem stosunek do sprawy kołnierzyków, rzecz zrozumiała jedynie dla tych, którzy dobrze go znali...

Tak mijają niekiedy dwa, trzy lata, a ojca ani widu, ani slychu. Kiedy indziej znów daje o sobie znać kilka razy do roku, w niewielkich odstępach czasu. Przyjeżdża jako rzekomy agent handlowy, jako zachodnoniemiecki turysta w skórzanych spodniach, udając, że w ogóle nie rozumie naszego języka. Dwa lata temu pojawił się jako przewodniczący delegacji byłych więźniów Oświęcimia i Buchenwaldu. Miał wygłosić mowę na wiecu dla uczczenia pamięci pomordowanych w obozach koncentracyjnych. Kiedy spotkałem go na ulicy i zacząłem za

nim iść, uciekł do hotelu i ukrył się przy bufecie, zamówiwszy kawę po wiedeńsku! Dowiedziałem się, że ożenił się w Niemczech, ale historyjka o utracie pamięci była najprawdopodobniej tylko zwykłym wykrętem. Siedział więc przy bufecie, zwrócony do mnie plecami. Z początku udawał, że nie zauważa, iż zwracam się do niego. Wreszcie jednak, przyciśnięty do muru, odezwał się z jakimś niewątpliwie sztucznym, obcym akcentem:

„Na jakiej podstawie sądzi pan, młody człowieku, że to właśnie ja jestem pańskim szanownym ojcem? I ostatecznie czy ma pan jakieś przemawiające za tym pozytywne dowody?”

Patrzył na mnie z wyrazem gniewu i głębokiej obrazy. Nie śmiał jednak obrócić się do mnie całą twarzą, *en face*, mówił wpatrzony w filiżankę, z której wolno sączył swoją kawę po wiedeńsku, co jeszcze bardziej go zdradzało, świadcząc, że nawet mimo charakteryzacji i wszelkich wysiłków po tylu latach niewiele się zmienił. Tylko trochę przytył, zaokrąglił się, a złota dewizka zwisała mu na brzuszku, co do którego nie mógłbym twierdzić, że jest sztuczny.

„A zresztą — ciągnął — gdyby nawet prawdą było to, przy czym pan się upiera, młody człowieku, to znaczy, że akurat ja jestem pańskim ojcem, miałbym pełne prawo o tym nie pamiętać. Wie pan, młody człowieku, ile od tej pory minęło lat? Ano dwadzieścia, młody człowieku, dwadzieścia. Bardzo proszę, sam pan widzi. Nie wydaje się panu logiczne, że po tylu latach człowiek może zapomnieć? Nie mówiąc już o tym, że jako dowód mojego ojcostwa przytacza pan tak nieistotne okoliczności, jak

podobieństwo głosu, chodu i ruchów. Nie, nie, młody człowieku, pan się myli. Nazywam się Edward Kohn, przyjechałem z Niemiec i nie mam z panem, młody człowieku, nic wspólnego. Wygłoszę w waszym mieście przemówienie na wiecu dla uczczenia pamięci pomordowanych w obozach i jutro już mnie tu nie będzie. Do widzenia, młody człowieku, dobranoc!”

Była to tylko jedna z wielu sztuczek mojego ojca. Przypuszczałem co prawda, że po tak niebezpiecznej scenie więcej się już nie pokaże, że będzie raczej unikał spotkania ze mną i z moimi oskarżeniami albo przynajmniej starał się lepiej maskować. Nie minął jednak rok od tego zajścia, a ojciec znów pojawił się w naszym mieście — w związku z międzynarodowym turniejem szachowym, w którym brał udział jako jeden z pretendentów do tytułu mistrza — i bardzo ostrożnie zaczął się o mnie przepytwać. Książki ogłaszał pod zmienionym nazwiskiem, rezygnując nawet ze swych ambicji, postacie matki, siostry i moją poddawał we wspomnieniach znaczącym retuszom, o sobie natomiast pisał ogólnie, skąpiąc czytelnikom szczegółów biograficznych. Stał się skryty i podejrzliwy, unikał wywiadów i nie pozwalał się prowokować. Gdy zorientował się, że wpadł w pułapkę, używał najędzniejszych sposobów, byle uwolnić się od mojej ciekawości. Tak na przykład pewnego razu zamknął się w hotelowym w.c. i przesiedział tam aż do rana. Kiedy wreszcie, obawiając się najgorszego, wezwałem portiera i siekierą rozbiliśmy drzwi, okazało się, że mojego ojca już nie ma. Przypuszczenie, że wydostał się przez rury kanalizacyjne, było właściwie absurdem, mimo to przyjąłem

go jako pewnik. Im bardziej mnie unikał, tym usilniej starałem się go odnaleźć i zdemistyfikować, mocno przekonany, że kiedyś mi się to uda, albo że ze strachu zaniecha przynajmniej swoich prowokacji. Gdyby bowiem mój ojciec zdecydował się po prostu odejść z tego świata, pogodził się ze śmiercią, gdyby wreszcie wybrał sobie któryś świat, któryś kraj i jakąś rodzinę — nie robiłbym z tego problemu. On jednak ciągle wadził się ze światem, nie chciał się pogodzić ze starością i ze śmiercią, stał się jak Ahaswer i najczęściej w przebraniu niemieckiego turysty powracał, aby prowokować moją ciekawość, dręczyć nawet we śnie, przypominać o swojej obecności. Jeżeli pragnął nam udowodnić, że nie umarł, na przekór światu, który rzekomo tylko czekał na jego śmierć, to w porządku, ja przynajmniej mu wierzę. Ale czemu tak się zawziął, aby za wszelką cenę zadać kłam stryjence Rebecce i jej twierdzeniu, że zginął w którymś z obozów koncentracyjnych jak zwykły śmiertelnik?

Ostatnim razem, gdy go spotkałem, miał na rękawie czarną przepaskę. Siedział w podchmielonym towarzystwie i żarliwie dowodził, że nie mając ponoć nikogo, kto by po nim płakał, nosi żałobę sam po sobie. Nigdy nie opuszczała go ta skłonność do paradoksu, wisielczy humor, którym doprowadzał mnie do białej gorączki, a o swej obecności starał się mnie przekonać za pomocą materialnych dowodów — bił się w piersi na znak, że oto żyje na przekór wszystkiemu. Domyślając się prawdopodobnie, że podsłuchuję, co mówi, zaczął narzekać na ból w krzyżu, dotykać rzekomo bolesnych miejsc rękami. Nie wstydził się opowiadać o sprawach

intymnych, które nie powinny obchodzić nikogo spoza naszego domu — rozgadał się szeroko o tym, jak to pewnego razu syn wygarbował mu skórę jego własną laską. Nie przyznał się oczywiście, że był wtedy pijany jak białe i uderzyłem go laską po siedzeniu, bo dokuczał mojej matce, kłując ją metalowym szpicem tejże laski. Przede wszystkim jednak wyprowadzał mnie z równowagi chytrą, zgrywaniem się. Minęło już ponad dwadzieścia lat od czasu, jak go uderzyłem — miałem wtedy siedem lat — a on udawał przed swoim audytorium, że stało się to niedawno, przed kilkoma godzinami, niemal przed chwilą. Kiedy się przysunąłem, zaczął naturalnie mówić po niemiecku i niby to rozpytywać o ceny w hotelu.

Kim jest ten człowiek i czego ode mnie chce?

W DAWNYCH, MITYCZNYCH CZASACH, kiedy jeszcze nosiło się półcylindry i gdy w Europie powszechnie panowała, skłonna do ekstrawagancji, wiedeńska moda, późny barok oczywiście już dekadencji, w tej mitycznej epoce o wiele starszej od swego odpowiednika historycznego i dlatego historycznie nieokreślonej, którejś pochmurnej jesieni wszedł do restauracji „Pod Złotym Lwem” mężczyzna w czarnym, sztywnym kapeluszu, ciemno ubrany, w okularach o metalowej oprawce. Miał popielate włosy, z przedziałkiem pośrodku głowy, jak nakazywała kapryśna moda owych czasów, i długie kościste palce niby neurastenik czy gruźlik; spod wysokiego kauczukowego kołnierzyka wyrywał się czarny krawat zawiązany w duży węzeł. Ów wysoki kauczukowy kołnierzyk, który najprawdopodobniej miał symbolizować tęsknotę za odległą już epoką zgniłej półfeudalnej Europy, wywodził się z mundurów junkierskich noszonych w armii Franza Josepha i w pewnym sensie był ich ukoronowaniem. Nadawał postaci wyjątkowy szyk i narzucał dyscyplinę, utrzymywał głowę wzniesioną dumnie, niejako idealistycznie, ponad zasięgiem oczu, ponad przestrzeniami i czasem.

To nakrochmalone skrzyżowanie kołnierzyka od munduru i od sutanny — którego błyszcząca biel stanowiła wykończenie poważnych, ciemnych garniturów — ścisła szyję jak jarzmo, przeciwstawiając się przywiezionej z nowego kontynentu, rozwiązłej, sportowej modzie niby opozycja, niby oznaka przywiązania do rodzimego, środkowoeuropejskiego ducha i europejskich tradycji mieszczańskich. Głowa była usztywniona, co zobowiązywało do higieny, do posługiwania się słownictwem filozoficznym i do powagi.

Mężczyzna zatrzymał się w przejściu i jakiś czas nie zdecydowanie rozglądał się dokoła. W chwili gdy można by pomyśleć i gdy on sam pomyślał, że raczej stąd wyjdzie, nagle skierował się do szatni, gdzie zdjął swój czarny płaszcz i kapelusz. Wszystko to zrobił z taką, zdawałoby się, pewnością, iż obserwując go, byłibyście państwo przekonani, że właśnie o to tylko mu chodziło: rozebrać się i usiąść. Zapomnielibyście prawdopodobnie, że kilka minut temu byliście świadkami rzucającego się w oczy braku zdecydowania i braku woli. Bardziej domyślni natomiast mogliby się zorientować, że patrzą na człowieka, który nie wie, co ze sobą począć, i że jego postanowienia, jego ruchy są zupełnie przypadkowe, uwarunkowane przez jemu samemu nieznaną mechanizmy. Obrzucił salę szybkim, wszechogarniającym spojrzeniem, jakby sprawdzał skutki swej nagłej decyzji, jakby teraz dopiero ustalał współrzędne czasu i przestrzeni, po czym ruszył ku wolnemu stolikowi — ku jednemu tego wieczoru wolnemu stolikowi „Pod Złotym Lwem” — i usiadł wyprostowany, pełen filozoficznego spokoju, zwrócony do gości

półprofilem. Ze srebrnej papierošnicy — przy jej otwieraniu i zamykaniu rozlegał się trzask należący do chętnie stosowanych efektów podczas rozmów o ważnej treści, podczas krótkich, naelektryzowanych, pełnych napięcia pauz w przemówieniu albo przed podjęciem doniosłej, rozstrzygającej decyzji — wyjął papierosa i zapalił, jak gdyby pokrzepiony faktem, że w ostatniej chwili potrafił się jednak znaleźć, mówiąc filozoficznie: dokonać wyboru. W restauracji „Pod Złotym Lwem” roilo się o tej porze od urzędników i samotnych mężczyzn, którzy jedli kolację i wypijali swój kieliszek, a ploteczki o podwyższeniu podatków i o pikantnych szczegółach damskiej mody szybko zamieniały się w poważne rozmowy o światowym kryzysie gospodarczym i o Konstytucji Czerwcowej. W różnych dzielnicach kraju pojawiali się już wówczas szpiegdy, prowokatorzy — przyprawionymi wąsami i udając działaczy robotniczych, przysłuchiwali się rozmowom w restauracjach, drobnymi literkami, szyfrem zapisywali w notesikach rewolucyjne lub choćby podejrzone, anarchistyczne wypowiedzi niektórych postępowych mieszczan, pracowników drukarni czy pomocników murarskich.

Kelnerzy zamieniają już serwety na kraciaste obrusy z frędzelkami. Zapach gulaszu, piwa i pasty do podłogi. Dym z papierosów. Ktoś stroi cymbały. Ktoś przeciąga palcem po strunach. Odpowiadają dzwięcznym *pianissimo* jak bzykanie muchy w szklance. Cin-cin-cin. Do stolika, przy którym usiadł nasz znajomy, zbliża się kelner i ze zsuniętymi piętami, nieco pochylony, z twarzą wyrażającą w tym samym stopniu usługowość co drwinę, czeka na

zamówienie. Pod pachą ściska serwetkę, przytrzymuje ją białą, pasywną ręką. Potem nagle odchodzi i wkrótce wraca z kieliszkiem, który stawia przed klientem niby coś niezwykłego, niby pomarańczę albo orzech kokosowy. Struny cymbałów pobrzękują cicho jak muchy.

Nasz znajomy wypija wódkę, pochylając się w pasie, jak gdyby całym ciałem, potem odstawia kieliszek na stolik, szybko, niczym parząca palce łuskę wystrzelonego przed chwilą naboju.

A oto — po opisie sylwetki dokonany na podstawie ówczesnych fotografii i szkiców, gwarantującym podobieństwo do oryginału — wszystko, co ponadto wiemy o tym człowieku, wszystko, czego podczas długich lat pracy i rozmyślań zdołaliśmy się dowiedzieć o jego tajemniczej, feralnej indywidualności, oto rezultaty wszelkich możliwych badań, ankiety przeprowadzanej w ciągu dwudziestu lat wśród jego przyjaciół i znajomych, wśród bliższych i dalszych krewnych, w milicji i w ministerstwach. Oto suma niepewnych wiadomości, jakie udało nam się zebrać dzięki sondowaniu jego dokumentów, zaświadczeń i świadectw szkolnych, odcisków palców i prywatnej korespondencji — przynajmniej tej znikomej ich części, która odnalazła się o wiele później — wyroków sądowych, orzeczeń komisji wojskowych i lekarskich, jak również dzięki legendzie o tym człowieku, która zachowała się w pamięci żyjących jeszcze przedstawicieli jego pokolenia, legendzie, jaka otacza każdą istotę ludzką, wreszcie dzięki chiromancji, telepatii i tłumaczeniu snów. Oto jednym słowem wszystko, co wiadomo nam o tym

człowieku aż do jego — powtórzmy: feralnego — wejścia do restauracji „Pod Żółtym Lwem”.

Edward Sam — mowa tu bowiem o nikim innym jak o nim, o tajemniczym Ojcu — niespodziewanie pojawia się w owej restauracji pewnego pochmurnego jesiennego wieczoru w 1930 roku, wynurza się z wielomilionowej masy anonimowych istot, wyłania się z głębokich, zalegających świat ciemności, pełnych chaosu, niestety, zbyt dosłownie uchwycony *in medias res*, niby Księga Stworzenia rozłożona gdzieś w środku, gdy cała jej poprzednia część jest nieczytelna albo w ogóle zagubiona. Wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć o jego rodzicach, to właściwie imiona, które same przez się nie mówią nic, otwierają tylko ślepe okna przed bujną fantazją badacza. Ojciec zwał się Maks, matka Regina, Regina Fürst. Regina — to królewskie imię. O ojcu wiadomo jeszcze, że miał „zającą wargę”, jeśli wierzyć słowom pewnej kobiety, bardzo już leciwej w chwili, gdy o tym wspomniała. Po coś jednak podawać w wątpliwość wszystkie twierdzenia? Przyjmijmy zatem ową informację jako prawdziwą i ustalmy według danych z tego samego źródła, że człowiek z zającą wargą miał powóz zaprzęgany w trzy pary koni, że polował, że handlował gęsim pierzem i dorobił się sporego majątku. Tyle wiemy o nim, reszta tonie w głębokim mroku. A na potwierdzenie tego, że wiadomość o powozie odpowiada prawdzie w stopniu o wiele większym niż bądź co bądź niepewna legenda, możemy powiedzieć, iż po wielu latach odnaleźliśmy stajnię, w której niegdyś trzymano wspomniane konie. (W czasach, gdy mieliśmy okazję przekonać się o ich

istnieniu, to znaczy po przyjeździe na wieś do krewnych ojca, stajnia ta została już co prawda zamieniona w szopę na drzewo i wióry, lecz kiedy pewnego razu kopano w niej dół, gdyż krewni nasi tutaj ukryli złoto i kosztowności, głębsze warstwy ziemi jeszcze czuć było końskim moczem — skądinąd potwierdza to również naszą tezę o wieczności zapachów, tezę dosyć śmiałą, której słuszność i trafność sprawdziliśmy jednak wielokrotnie.) Człowieka z zajęczą wargą możemy sobie wyobrazić jako dziwaka, jako dekadencją latorośl silnego niegdyś plemienia, które wyrwane ze swej praojczyzny i wyrzucone na łód nowego świata uległo degeneracji. Na podstawie owej zajęczej wargi, niby odcisku skrzydła przedpotopowego ptaka, próbujemy odtworzyć wygląd ogólny, charakterystyczny dla przedstawiciela danego gatunku, wyobrazić sobie warunki klimatyczne i kataklizmy, na jakie był narażony. Nie rozporządzając jednak wystarczającym materiałem dowodowym, wycofujemy się całkowicie rozczarowani, rezygnujemy z pokus stwarzanych przez śmiałe hipotezy.

Dzieciństwo Edwarda Sama pozostaje nie mniejszą niewiadomą i tajemnicą. Patriarchalne, sielskie dzieciństwo w cieniu powozu zaprzęganego w trzy pary koni, lichwiarskiego dobrobytu i podwójnej buchalterii. Na Boga, czy państwo potraficie sobie wyobrazić Edwarda Sama, jasnowidza i proroka, w krótkich porcjętach, przyglądającego się w posiadłości swego ojca, jak — przypuśćmy — rozmnażają się konie? Jak wyobrażacie sobie ów stopień ewolucji, na którym rozpoczął się proces urbanizacji Edwarda Sama po przybyciu do szkoły handlowej

w Zalaegerszeg? A ów historyczny moment, gdy po raz pierwszy wsunął swą długą szyję w sztywny biały kauczukowy kołnierzyk niczym w pętlę, co jednocześnie symbolizowało poddanie się ścisłym rygorom, jakim hołdowali wolnomyśliciele europejscy? Jak potraficie wytłumaczyć rewolucyjną, doniosłą decyzję zerwania stosunków z rodzicami, z licznymi siostrami, z bratem i w ogóle z całą rodziną? Jak wyobrażacie sobie historię jego choroby, narastanie boskiego gniewu, którego następstwem będzie rezygnacja z przypadającej mu części spadku po ojcu i decyzja wydania wojny świętej całemu światu, wszystkim bogom i religiom, genialna, szaleńcza idea podporządkowania sobie świata drogą wyrzeczenia i filozofii? Jak wyobrażacie sobie tego geniusza, teoretyka rewolucji i proroka w przedwczesnej roli członka spółki będącej w posiadaniu fabryki szczotek, którą czeka pamiętne bankructwo? A jak wyobrażacie go sobie w roli młodego anarchisty i sabotażysty — w okularach z metalową oprawką, niczym u przedstawiciela rewolucyjnej inteligencji rosyjskiej — na szeroko rozpostartej siatce monarchii austro-węgierskiej?

Wreszcie, jak potraficie sobie wytłumaczyć praktyczny cel jego *Prafausta*, którego zaczął pisać mniej więcej w tym samym czasie, owego poprzednika *Rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*, w którym nie zostały jeszcze uwzględnione połączenia międzynarodowe i w którym nie było nawet cienia chorobliwej przesady, spowodowanej zaburzeniami umysłowymi?

Kiedy tak Edward Sam wychyla czwarty czy piąty kieliszek, pałac nieodłączne symfonie — obrusy dawno już zostały poplamione, wino leje się strumieniem, połamane wykałaczkę pływają w kałużach piwa pod stolikami, Cyganie grają Straussa i Liszta, rozmowy i śmiech przeplatają się zagmatwane, jak lewa strona dywanu perskiego, szklanki i sztućce wybijają werbel na szynkwasie, a okrągłe kartonowe podstawki pod kufle z piwem, wchłaniając płyn, pęcznią, łuszczą się cienkimi płatkami niby mika — my na wzór dawnych, dobrych pisarzy opowiedzmy o przygodzie miłosnej naszego bohatera (śmiało możemy go tak nazwać, nie jest jeszcze przecież naszym ojcem), opowiedzmy, jak umiemy, streszczając to, czego dowiedzieliśmy się od innych, nieustannie świadomi faktu, że nigdy nie poznamy całej prawdy i że w wielu momentach musimy opierać się na relacjach niepewnych informatorów.

Będzie to zatem rozdział raczej hipotetyczny, przyznamy, zaledwie błada odbitka, tania kopia wspaniałej, pełnej zapamiętania powieści miłosnej, którą niegdyś wymyśliły utalentowane plotkarki, która rozpowszechniana była jak bestseller tajnymi kanałami drobnomieszczańskich intryg, występowały w niej bogate kupcowe i ich córki powyżej lat osiemnastu, pulchne ekspedientki sprzedawały ją spod lady, zawijając w te pełne zapamiętania stronicie bochenki jeszcze ciepłego, pachnącego chleba, wilgotne szpalty czytane były skrycie jak literatura rewolucyjna, roznoszona w koszykach przez gospodynie i służące z dobrych domów, w końcu powodowały napady hysterii u pobożnych wdów i starych pańien.

Jesteśmy również świadomi, iż wbrew najlepszym chęciom zmuszeni będziemy rozczarować wiernych czytelników literatury romansowej i zwolenników intrygi przejrzystej jak w tragediach klasycznych. Nie chcąc jednak odstępować od rzeczywistości, nie chcąc sprzeniewierzyć się własnej prawdzie, musimy przyznać, że nie da się z całą pewnością ustalić nawet zasadniczego faktu: w kim właściwie zakochany był nasz bohater, w matce czy w córce. Ta opowieść miłosna, przekazywana z ust do ust, dawno już niestety stopniała niby różowy lizak. Genialna kobieca intryga, którą mianowaliśmy stróżem historii i twórcą mitów, przekazała paradoksalną wiadomość, iż zakochany był w jednej i w drugiej, co stanowi, że tak powiem, tylko przenośnię potwierdzającą niemożność poznania podstawowych prawd. Bogata w doświadczenia i bynajmniej nie naiwna, intryga ta stwarza szerokie pole dla domysłów, nie dając nigdy ostatecznych odpowiedzi i konsekwentnie pozwalając na filozoficzną swobodę wyboru. Zręcznie naigrawa się z poważnej teorii względności uczuć, podsuwając nam niezliczoną ilość możliwych rozwiązań, z których wymienimy jedynie kilka: kochał się tylko w córce, ciepłej i pachnącej jak świeży chleb; kochał się w matce, o okrągłych, obfitych kształtach, poddającej się dotknięciu niczym ciasto w dzieży; kochał się trochę w matce, a trochę w córce — pachnąca obfitością; kochał się najpierw w matce, a potem, kiedy córka dorosła — miała otrzymać w posagu połowę matczynej piekarni i odsetek w banku — także w córce, nie zdradzając przy tym matki; kochał się najpierw w córce, ale zmienił obiekt, gdyż

córka okazała się gąską nieumiejącą dochować tajemnicy, więc naturalnie zakochał się w matce; i wreszcie, żeby skończyć tę zabawę kosztem poważnej teorii prawdopodobieństwa — na którą pozwalamy sobie tylko dlatego, że nęci nas i kusi szeroki wachlarz możliwości, a fakty nie pozbawiają satysfakcji, jaką daje granie ze zrządaniami losu i przypadku, tak jak one grają z nami — uwzględnijmy jeszcze jedną możliwość, zresztą najprostszą: nie był zakochany ani w matce, ani w córce. Ale dość już, bez przesady. Nie podawajmy wszystkiego w wątpliwość. Czyż mit o miłości pana Sama i córki albo matki, panny Horgos albo wdowy Horgos, nie jest tak samo realny jak mit o Tristanie i Izoldzie na przykład?

A oto ciąg dalszy tego mitu.

Pan Sam, nieszczęsny Tristan, przeżył mityczną, rujnąjącą katastrofę miłosną, ugrzązłszy na niebezpiecznej mieliźnie z powodu wdowy Horgos, właścicielki piekarni, bądź panny Horgos pachnącej świeżym, ledwo wyjętym z pieca chlebem. Klęski tej pan Sam nie mógł we własny sposób po prostu skwitować filozoficznym wnioskiem o marnym urządzeniu świata i o konieczności powszechnej rewolucji. Postanowił więc wymierzyć winnym okrutną i pouczającą dla całej ludzkości karę.

Taki był początek jego głośnego przedsięwzięcia, akcji zakrojonej na niesłychaną skalę. Pan Sam włożył w nią cały swój geniusz, wszystkie oszczędności, całą pasję obrazy. Wkrótce w mieście załopotał wielki transparent, rozpięty w poprzek ulicy Świętego Sawy, krzyczący dużymi czerwonymi literami i spryskany farbą niczym

obrus po krwawej uczcie bogów. Na tym chińskim smoku, dotykającym drutów tramwajowych i powodującym zakłócenia w komunikacji, na tym arcydziele kupieckiej pomysłowości i reklamy — które wzbudziło zazdrość wszystkich właścicieli sklepów, a zwłaszcza piekarzy, wywołało panikę drobnych rzemieślników, jak również powszechny spadek akcji piekarskich i zbożowych — pyszniła się nazwa tajemniczej firmy, groźnie rozpostarta na widnokręgu małomieszczństwa, rozbłysła nagle i nieoczekiwanie jak kometa:

PIEKARNIA MECHANICZNA KOHN & COMP.
PIERWSZA NOWOCZESNA PIEKARNIA
W EUROPIE ŚRODKOWEJ I NA BALKANACH

Gazety dzień w dzień zamieszczały artykuły o rewolucyjnym przedsięwzięciu, a oplacani przez zagrożonych kupców i rzemieślników detektywi, podobnie jak dziennikarze, gorliwie zajęli się tym przypadkiem, usiłując zidentyfikować nieznanego akcjonariusza, który ukrywał się pod nazwą KOHN & COMP. Policja codziennie otrzymywała liczne anonimy, przynajmniej dziesięciu hochsztaplerów i obieżyświatów twierdziło i udowadniało, że inicjatorami tego przedsięwzięcia są właśnie oni, lecz wszyscy po kolei okazali się oszustami. W szpitalu miejskim znalazło się w tych dniach kilku piekarzy-magnatów podających się za KOHNA & COMP., a najdziwniejsze, że było wśród nich paru dotychczasowych Napoleonów, którzy zdradzili zatem gwarantujące sławę imię dla zwodniczego powabu pieniądza i fortuny. Pewna

panna z dobrego domu — a był to już szczyt skandalu — która zaszła w ciążę z jakimś hochsztaplerem, oświadczyła uparcie, że ojciec mającego się narodzić dziecka jest właśnie owym tajemniczym bogaczem i że przyznał się jej do tego w momencie lirycznego uniesienia. Proszę nie sądzić, że cała afera wokół piekarni mechanicznej KOHN & COMP. sprowadzała się do oszustwa. Najbardziej zastanawiał i przerażał fakt, że złożone w izbie handlowej papiery tajemniczego biznesmena były w najlepszym porządku, a stan jego konta w Pierwszym Banku Serbsko-Amerykańskim — strzeżony, jak się okazuje, niezbyt ścisłą tajemnicą zawodową — świadczył o wielkim kapitale.

Wdowa Horgos była zapewne jedyną osobą, która знаła prawdę o tajemniczym akcjonariuszu, ale — przynajmniej na początku — zachowywała ją dla siebie. Również fakt, że ów niezwykle transparent znajdował się tuż koło jej piekarni, przemawiał na korzyść tezy, że pod nazwą KOHN & COMP. ukrywa się nikt inny, jak pan Edward Sam, właśnie on, i że całe przedsięwzięcie obliczone było na to, by ugiąć karku dumnej pani — ewentualnie panie — Horgos. Szanownego pana Sama oczywiście wcale nie obchodziło, że wraz z nią zbankrutuje przynajmniej połowa środkowoeuropejskich i bałkańskich drobnych kupców oraz handlarzy zbożem, że setki, tysiące terminatorów i czeladników piekarskich stracą chleb i pójdą na żebry. Czyżby miał się przejmować tym, że ci tradycyjnie nastawieni proletariusze niesławnie skapitulują, zasilając szeregi bezklasowego lumpenproletariatu? Skądże, wszystko to nawet nie powstało mu w głowie.

W panice, jaka zapanowała na walnym zebraniu piekarzy i akcjonariuszy — które miało uchwalić szybkie i skuteczne środki przeciwko niebezpieczeństwu zagrożającemu produkcji rzemieślniczej nagłą inwazją zagranicznego kapitału i maszyn — jedynie pani Horgos nie straciła głowy, twierdząc z przekonaniem, że firma KOHN & COMP. jest jak nadmuchany balon, który najwyżej jeszcze przez parę miesięcy będzie krążył nad miastem niczym upiór, a potem gwałtownie eksploduje i zniknie, jakby go nigdy nie było.

Proroctwo pani Horgos spełniło się niebawem.

Pan Sam, magnat i kapitalista, bankrut w miłości i akcjonariusz sentymentów, stał przez pewien czas na deszczu, wmieszany w gromadę dzieci i gapiów, przyglądając się z żalem, jak ściągają z drutów transparent głoszący nazwę jego firmy, jak następnie ciskają go w błoto niby standard pokonanego państwa, a lumpenproletariusze i synalkowie kupieccy intonują hymn *Boże, cara chрани*. Nie mogąc dłużej patrzeć na tę okropną scenę, odszedł ze zwieszoną głową jak zbity pies. Wstąpił do pierwszej lepszej knajpy i nie wychodził stamtąd przez trzy dni i trzy noce, nie żałując sobie alkoholu, dowodził przy tym rozbawionym gościom i kelnerom, że właśnie on jest tym słynnym bankrutem, o którym rozpisują się gazety na pierwszych szpaltach. Dzięki niezwykle zmysłowi ekstrawagancji, dzięki skłonności do przesady, wyrażającej się między innymi w braku umiarkowania, w ciągu trzech dni — i nocy — zdołał zamienić pozostały kapitał Piekarni Mechanicznej KOHN & COMP. na bezwartościowe drobne banknoty, rozwleczone w postaci

napiwku po kieszeniach kelnerów lub pozatykane na smyczku cygańskiego kapelmistrza.

Pan Sam siedział sztywny i nieruchomy, a własne ciało wydawało mu się początkowo jakby cudze, dopóki nie zalała go ciepła fala alkoholu, dzięki której odczuł bliskość, intymność swoich kończyn. Rozchodzące się po organizmie ciepło, to niewidoczne słońce, które rozgrzało go od wewnątrz, przywróciło mu indywidualność i znów spojrzął na palce u ręki jak na część swojej dłoni, swojego ciała. Ciało jego na nowo uległo scaleniu i prostowało się w swej naturalnej wielkości od czubków palców u nóg aż po końce włosów na głowie. Z zadowoleniem zaczął rozglądać się po sali, pewny siebie, niemal silny, a zmartwychwstałe uczucie miłości własnej promieniowało teraz na wszystkie strony, nie obawiał się jednak, że znów zgaśnie niby gwiazda. To niezwykle narastanie siły przypisywał działaniu alkoholu, lecz jednocześnie drżał jak gdyby ze strachu. Bał się, że go rozsadzi ten gwałtowny przypływ mocy, nagłe scalenie się osobowości, która odzyskała wewnętrzną wartość i nadawała jego skórze, jego mięśniom i kościom zupełnie nową cechę: istniały w sposób jakby bezbolesny, naturalny niczym u dziecka. Od dnia, gdy zbankrutował — w piekarni mechanicznej oraz w miłości — i systematycznie zaczął poniewierać swoje ciało, które wydawało mu się jakby cudze, po raz pierwszy tego wieczoru „Pod Żłotym Lwem” zdołał zespolić w jedną całość wszystkie jego części — serce, głowę, ręce, nogi, wnętrzości — i ponownie odczuć je jako własne.

lebrna papierośnica, którą trzymał na dłoni, także odzyskała pełną wartość, zasadnicze znaczenie wykraczające poza zwykły cel użytkowy, a kauczukowy kołnierzyk znów stał się niby zaszczytna pętla na szyi, noszona bez protestu, ze stoickim spokojem i szlachetną dumą, jako oznaka przynależności duchowej i filozoficznej. Szybkim, jak gdyby ostatnim spojrzeniem objął całe swoje ciało, odziane i równocześnie nagie, odczuł twarde, zrogowaciałe paznokcie w skarpetkach jak w jedwabnej rękawiczce, skórę białą i upstrzoną piegami niczym u pstrąga, świeżo przystrzyżone popielate włosy, które wsuwały się pod sztywny kauczukowy kołnierzyk i tarty o niego przy każdym ruchu głowy. Ów jeden jedyny rzut oka ostatecznie przywrócił panu Samowi zadowolenie i odwagę — upewnił go, że wszystko znajduje się na swoim miejscu: ostre, sterczące łopatki, z powodu których wydaje się nieco przygarbiony, wystające kości stawowe rąk i palców, wszystko, dosłownie wszystko, jakby się to od niego nie oddaliło, jakby nigdy tego wszystkiego nie znienawidził. Czuł, jak drętwieją mu na krześle pośladki, ściśle mówiąc, „to na czym się siedzi”, gdyż właściwie nie miał pośladków, a nogi na kształt cyrkla wyrastały mu wprost z bioder, czemu przypisywał swoje chroniczne hemoroidy, o których myślał teraz bez wstrętu jak o niewinnym figlu bogów. A członka uspiętego między nogami, męskiego narządu spowitego gęstwą włosów tym razem nie pominął, jak zazwyczaj, z obrzydzeniem do własnego ciała i do tej kłopotliwej, ciężkiej męskości, lecz owym wszechobejmującym spojrzeniem musnął i jego, prawie ze skruczą; nie zastanawiając się, dlaczego i po

co, zaakceptował całe swoje ciało nie bez nadziei: kryzys samobójczy minął...

Tego wieczoru wśród gości przy sąsiednim stoliku Edward Sam ujrzał pewną panią, pewną niezwykle piękną panią, i oświadczył, najzupełniej przytomnie, jakby w trosce o zachowanie osiągniętej nagle jedności ducha i ciała, którą słusznie łączył z obecnością tej kobiety:

„Panowie pozwolą, że

.....

Na chwilę zapanowała przy stoliku jakby zgęszczona cisza, którą zostało naznaczone decydujące spotkanie dwojga istnień ludzkich, dwóch gwiazd.

I tylko z trzaskiem zamykały się i otwierały papieronice w rękach panów.

OJCIEC MÓJ ODSZEDŁ z końcem lipca, a nasi krewni nieco później, w sierpniu. Ostatni opuścił dom stryj Otto. Własnoręcznie pozamykał okiennice i dwuskrzydłowe drzwi sklepu. W ciągu dnia stały one zawsze otworem, obwieszone barwnymi tablicami reklamowymi, a fasada domu naszych krewnych przypominała wtedy rozpostarte skrzydła kolorowego ptaka. Teraz, gdy stryj Otto zamknął ciężkie dębowe drzwi, dom osleplę i pociemniał. Czerwona woskowa pieczęć odcisnięta w miejscu, gdzie zwierają się ślepe skrzydła zewnętrznych drzwi, upodobniła je do wielkiej, szarej urzędowej koperty z nudnymi poufnymi zarządzeniami. Stryj Otto z zadowoleniem popatrzył na pieczęć przypominającą ranę, po czym wsiadł na rower i ruszył w ślad za bryczką, którą odjechały stryjenka Neti i pani Rebeka, siostrzenica mojego ojca.

Moja matka przez pewien czas podlewała pelargonie na ich tarasie, ale już pierwsze jesienne przymrozki całkowicie zarwały kwiaty. Dingo, pies naszych krewnych, wyl po nocach złowieszczo, załośnie, nienawykły do głuchej ciszy, jaka zapanowała na podwórzu i w domu, gdzie

od dawna już nie rozbrzmiewało echo okrutnego gniewu mojego ojca i drobnych złośliwości pani Rebeki, na którą ojciec był uczulony jak na mundur wojskowy albo na pokrzywę.

Niespodziewane nieszczęście, jakie dotknęło naszych krewnych, i cisza, jaka zapanowała w obejściu, gdzie nie słychać już było dzwonięcia rozsypującego się szkła ze szklanki, którą mój ojciec cisnął na taras za plecami opalającej się tam pani Rebeki, jesienna posepność krajobrazu i ślepe okna zabudowań — wszystko to sprawiło, że Dingo i ja zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. Całe dwa dni po odejściu stryja Ottona przeleżał na tarasie, na swoim zwykłym miejscu, powodowany jakimiś wruszającymi zasadami, które sprawiły, że nie chciał okazać się niewiernym prostakiem jak pokorny wiejski kundel, kierujący się jedynie potrzebami żołądka. Przeleżał więc na tarasie dwa dni i dwie noce, naskowyczał się i nazał wodził niczym na grobie, trzeciego ranka zaś przeniósł się przed nasze drzwi, ze łzami w oczach, ale z czystym sumieniem. Nie należy zresztą sądzić go zbyt surowo. Dingo zawsze miał dwóch panów: naszych krewnych i mnie. Do nich przywiązany był, można powiedzieć, na zasadzie interesu i przynależności — to oni kupili go, a potem karmili, prowadzili na szczepienia przeciwko nosówce i innym chorobom — do mnie natomiast z powodów natury uczuciowej, sercem, na zasadzie zrobzonego niewątpliwie od pierwszej chwili sentymentu, wyczuł we mnie bowiem bratnią duszę, a *simil similibus gaudet*: obaj byliśmy leniuchami i psotnikami zarazem,

wielbicielami pomysłowych zabaw, zdeklarowanymi wólcami i wolnomyślicielami.

Nasza przyjaźń zaczęła się dawno, kiedy go przyniesiono, przeszło rok temu. Pochłonąłem już wtedy mnóstwo książek i we wszystkie wyczytane historie wierzylem z dziecięcą naiwnością, między innymi bardzo przejmowałem się dołą podrzutek, które rozpoczynały swoje ciężkie życie u bram domów zamieszkałych przez szlachetnych i dystyngowanych panów. A że w marzeniach sennych bywałem zazwyczaj bogaty i wyniesiony do godności co najmniej hiszpańskiego granda, także owego jesiennego poranka obudziłem się z pełnego pychy snu, w którym miałem właśnie dokonać szlachetnego czynu, ratując podrzutka płaczącego pod barokową bramą moich litościwych rojeń. Płacz podrzuconego niemowlęcia, którego los zależał tylko ode mnie, tego ranka przeciągnął się jednak poza ramy snu, przesiąkł, wyciekł jak woda, jak moczu dziecka, którego wilgotna pościel świadczy o tym, że sen o szkole i o szkolnej ubikacji przelał się niestety poza dane od Boga granice. Obudziłem się już na dobre, nasłuchiwałem z oczyma pełnymi zdumienia, wpatrzony w mglisty, mleczny świt, a płacz rozlegał się nadal.

Ów prześliczny podrzutek, zrodzony z mojego snu niby z wnętrza matki, leżał na boku, na podścielonych szmatach, i wpatrując się we mnie załawionymi oczyma jak dwa duże ciemne winogrona, lizał mi dłoń ciepłym różowym językiem. Sierść miał jak u lisa pustynnego lub u kuny, połyskującą, miękką, i piękne miniaturowe łapki krwiożerczego lwa, podobne do dwóch

różowych przytulnych gniazdek, z których wyglądały po cztery ptasie dziobki. A ogonek, to małe pasożytnicze zwierzątko, żył swoim pasożytniczym życiem, całkowicie samodzielny, skłonny do nagłych i niespodziewanych ruchów, wesoły i swawolny. Tylko pyszczek był smutny, sfaldowany od powstrzymywanego płaczu, przypominający przedwcześnie postarzałą buzię dziecka. Szczeniak podbił mnie już pierwszym spojrzeniem. Najdziwniejsze jednak w tym wszystkim było niesłychane podobieństwo, zwłaszcza w oczach i zmarszczkach wokół warg, do starej pani Knipper, akuszerki wiejskiej. Wszelkimi sposobami usiłowałem opędzić się od tego błuźnierczego porównania, od tej personifikacji, ale na próżno — piesek miał pomarszczoną, zawsze gotową do płaczu twarz starej pani Knipper, akuszerki wiejskiej. Niechaj czytelnik nie sądzi, że to porównanie, to niezaprzeczalne podobieństwo, nasuwające grzeszną myśl, iż szczeniaka wydała na świat pani Knipper, nie budziło we mnie dalszych skojarzeń. Przeciwnie. Słyszałem już kiedyś, jak pani Rozika, praczka, opowiadała mojej matce, że w Nowym Sadzie pewna dystyngowana dama urodziła sześć szceniaków — owoc grzesznego stosunku z owczarkiem niemieckim półkrwi, któremu jeszcze przedtem zapisała cały majątek. Aż do tej pory opowieść tę traktowałem z dużą dozą rezerwy, teraz jednak, na widok psiaka pod naszymi drzwiami, uwierzyłem nagle, iż nie była ona wymysłem pani Roziki. Moja matka zaś nie zaprzeczała plotce nie dlatego, że nie chciała wobec tej ciemnej baby stawiać sprawy na ostrzu noża, ale dlatego, że sama dopuszczała możliwość takiego stosunku, z takim rezultatem.

Proszę sobie wyobrazić, jak byłem przerażony, gdy nazajutrz stryj Andrej powiedział mi, że szczeniaka przyniesiono od... pani Knipper, akuszerki!

„Czy stryj nie uważa, że ten piesek jest uderzająco podobny do starej pani Knipper?” — spytałem, chcąc sprawdzić swoje podejrzenie.

Stryj Andrej, syn pani Rebeki, ujął mordkę szczeniaka w obie ręce, wywijając miękkie, aksamitne uszy, podobne od wewnątrz do płatków róży, przyjrzał mu się dokładnie i zaczął trząść się ze śmiechu. Moje porównanie wcale nie wydało się stryjowi absurdalne, potwierdził je nawet, dziwiąc się, że sam na to nie wpadł, chociaż psiak od pierwszej chwili uparcie mu kogoś przypominał. Wszyscy resztą zgodzili się z tym porównaniem, zauważyli podobieństwo, moja siostra i moja matka, i stryjenka Rebeka, wszyscy. Stryjenka Neti z początku śmiała się bezżębnymi ustami, a potem zniżając głos, powiedziała, że nie trzeba obrażać Boga, więc przestało się o tym mówić, choć z pewnością każde z nas zastanawiało się jeszcze nad grzesznym porównaniem, graniczącym właściwie z pornografią, przynajmniej w moim odczuciu.

Stryj Andrej oznajmił mi niby jakąś uroczystą tajemnicę, że psiak będzie się nazywał Dingo, tak jak dzikie, krwiożercze psy grasujące w Australii.

Dźwięczne egzotyczne imię zabrzmiało dla mnie jak zapowiedź nadchodzących przygód, oczyma wyobraźni widzę już bogatą w przeżycia przyszłość, pełną cudownych atrakcji. To małe stworzenie, wilgotny nos, drżące łapki, które otwierają się i zamykają niczym kwiat ostu — wszystko to należy teraz do mnie, cała ta delikatna

zabawka, która kiedyś stanie się w moich rękach niebezpieczną bronią, groźbą i postrachem moich wrogów, stróżem mojego snu i mojego ciała, a przy tym cyrkowym cudakiem umiejącym tańczyć na tylnych łapach i palić fajkę! Poczulem nagle zapierającą oddech radość, zrozumiałem, że zgodnie z logiką serca Dingo będzie mój — dzieci z usposobienia są mu bliższe niż dorośli, na zasadzie podobieństwa, gotowości do zabawy i do ofiary. Jeżeli nawet stryj Andrej, dotrzymując obietnicy, będzie go tresował, uczył różnych sztuczek — i tak ja na tym skorzystam. Stryj może go nauczyć chodzić na tylnych łapach i palić fajkę, a ja nauczę go mówić. Bo dlaczego młody, mądry psiak, który potrafi patrzeć i płakać zupełnie jak człowiek, nie miałby się nauczyć mówić? I to nie jak głupia papuga, bezsensownie powtarzająca oderwane, niezrozumiałe dla niej słowa, nie, on będzie umiał jak człowiek, jak dziecko wyrazić całą skalę uczuć różnorodnych i bogatych, tak jak teraz robi to oczami.

Rozdzielony z matką, która gdzieś tam na pewno za nim tęskni i przyzywa go, Dingo kuli się z jakiegoś odwiecznego strachu, drży, czołga się u naszych nóg i tylko czasem, gdy na chwilę ocknie się w nim pierwotny instynkt, wysuwa pazurki jakby z futerału, obnaża kły i gotuje się do ataku z oczyma pełnymi dzikiej groźby. Ale ów instynkt, utajona zła krew i zew dzikości znowu słabną w pętach wychowania i tresury, samobójczo, napastliwie rozwarła paszcza napotyka przyjaźnie wyciągniętą białą dłoń dziecka i Dingo liże tę pachnącą ludzką dłoń, chowa pazury jakby do pochewki, zapominając o niedawnych zamiarach.

Powoli zapomina nawet matkę, skowyczy już tylko wtedy, gdy jest zupełnie sam, gdy przypomni sobie jej zapach i jej język. Budzi się wówczas z głębokiego snu albo z najgłębszej medytacji, podnosi łeb i zaczyna ją wołać. Własne skomlenie, śmieszne, bezsilne i daremne, przywraca go do rzeczywistości — Dingo znów kładzie głowę na wyciągniętych łapach i usiłuje przypomnieć sobie swój sen. Zapach mleka w postawionej przed nim miseczce miesza się ze snem jako jego przedłużenie, jako jego owoc, i psiak, choć najprawdopodobniej świadom podstępu, zaczyna godzić się z tą zamianą: bez pośpiechu, jak gdyby dając do zrozumienia, że nie całkiem pozwoli się nabrać, liże mleko językiem jak kot, oblizuje się. Zapach Tytoniu — czyli mój stryj Andrej, który pali w tajemnicy przed matką — oczywiście nie jest przy tym obecny. A pani Rebeka, której ciemna, tłusta skóra drażni nozdrza ostrym zapachem kobiecości, pojawia się za zasłoną ciepłego, parującego mleka tylko na moment, tylko na tyle, aby to złudzenie mleczne było pełniejsze, gdyż jej zapach jeszcze bardziej przypomina szczeniakowi utraconą matkę-karmicielkę. Jedyne ja kucam obok, maczając mu nosek w mleku, i przemawiam pieszczotliwie, aby zapamiętał mój głos, aby uważał to mleko za dar pochodzący ode mnie, że tak powiem, ze mnie wyssany.

Leży teraz osowiały, jakby dał za wygraną, mruga zażawionymi oczyma, nagle zrozumiałem, że to nie mleka mu brakowało, ale czegoś innego, nieokreślonego, że głęboko w nim tkwi jakaś melancholia, tęsknota za czymś dalekim, utraconym. Spogląda wokół z rozczarowaniem,

syty, ale niewesoły, i próbuje uwolnić się od tej całej psiej niedoli za pomocą błogiej drzemki, słodkiego snu, w którym pozostał jeszcze ślad jego bohaterskich walczych przodków, jakaś atawistyczna siła — ostrzy na niej zęby i pazury niczym na osełce, dzielny, nieustraszony. I wtedy, w półśnie, na granicy złudnego zawrotu głowy i purpurowego blasku, spostrzega swój ogon, to nieznane, zmijokształtne zwierzę, które skręca się i zamierza na niego, smaga po grzbiecie i po bokach, szukając miejsca, gdzie najlepiej zadać śmiertelne ukąszenie. Atawistyczny strach i gniew jeżą sierść Dinga, zaczyna się groteskowa pogoń, szalony taniec w kółko, karuzela. Chwilami udaje mu się schwytać własny ogon, ale gdy już ma rozprawić się z nim raz na zawsze, to chytre zwierzę wymyka mu się i ucieka dookoła, tuż przed jego nosem.

Jest to jednak mało istotny, przemijający konflikt, który po kilku dniach zakończy się paktem o nieagresji, trwałym sojuszem, wkrótce ulegnie zapomnieniu na rzecz o wiele ciekawszych konfliktów z pchłami, owadami, kotami i ptakami. Pomogą też o nim zapomnieć coraz to nowe zapachy dolatujące z kuchni, tarasu i podwórza, namiastka ludzkiego pożywienia, resztki ze stołu, wreszcie fundamentalny, odwieczny problem obranej z mięsa kości. Zazwyczaj nieporadny i nieufny, podczas pierwszego zetknięcia z rzuconą mu kością Dingo odkrył jakąś prastarą, biblijną prawdę. Już samo spotkanie węchu z wołowym zębem wydobyciu mu z gardła wcale nie dziecinny, ochrypy warkot, a zetknięcie kłów z tą nieco jeszcze krwawą kością nadało jego łagodnym, pokornym, ciemnobłękitnym oczom patynę zwierzęcej

dzikości: pierwsza kość stała się pomostem między atawistyczną prehistorią i obecną egzystencją wśród istot dwunożnych.

Mój ojciec dość długo udawał, że niczego nie zauważa, że obecność psiaka w naszym obejściu wcale go nie obchodzi. Sprawa jednak przedstawiała się inaczej: ojciec przeląkł się, że stworzenie to może zagrozić jego sławie, usunąć go w cień, na dalszy plan, gdyż od kilku dni u nas i u naszych krewnych mówiło się wyłącznie o psie, a na wyczyny ojca zwracano coraz mniej uwagi. Tym przynajmniej nasi krewni tłumaczyli królewską obojętność ojca wobec Dinga. My ze swej strony skwapliwie podtrzymywaliśmy tę tezę, aby ukryć przed nimi prawdę (która resztą nie podważała słuszności tezy naszych krewnych): przy pierwszym spotkaniu ze szczeniakiem, jeszcze nieochrzczonym i głupiutkim, ojciec przeżył silny szok, który mógł się skończyć tragicznie. Stało się to w dniach największej jego sławy, w okresie wspaniałych spektakli i burzliwych oklasków, jakie zbierał w karczmach podczas swych słynnych występów i prelekcji urozmaicanych mistrzowskimi improwizacjami śpiewaczymi. Pewnego mglistego jesiennego poranka wracał z dwutygodniowego *tournée* po okolicy, z twarzą bladą, z półprzymkniętymi oczyma, pijany sławą i alkoholem, poturbowany i opluty, w ubłoconym surducie i pogniecionym półcylindrze. Całą noc błądził po obcych polach, straciwszy orientację, gdyż gwiazdy były przesłonięte gęstymi chmurami. Usiłując uparcie odnaleźć właściwą drogę dzięki mchowi porastającemu pnie drzew od strony północnej

i innym podobnym znakom, brnął w błocie, osuwał się do rowów, wpadał na płoty. Była to piekielna, burzowa noc, pełna błyskawic i grzmotów, czarna jak smoła noc obwieszająca symbolicznie zgubę mojego ojca i koniec świata. Ale nawet od metafizycznego lęku i od strachu przed błyskawicami silniejsze było przerażenie, które poczuł w chwili, gdy opadły go rozwścieczone wiejskie psy, zgraja kundli spuszczonej z łańcucha i zgłodniałych, szarpiących jego strudzone, umęczone ciało. Mój ojciec — encyklopedysta, mag, psycholog itd. — nie zdał się oczywiście na łaskę i niełaskę wiejskich kundli ani nie bronił się łaską z metalowym szpicem, jak mogliby sądzić niewtajemniczeni. Dzięki wieloletnim doświadczeniom i znajomości kynologii skłaniał się raczej ku metodom bardziej skutecznym, absolutnie niezawodnym. „Kiedy napadnie cię pies — pouczal mnie pewnego razu, wpajając podstawowe wiadomości o życiu — pamiętaj, młody człowieku, nie broń się, jak Cygan, kijem i nogami. Wywiera to marny skutek, a poza tym wywołuje w psychice psa całkiem odwrotne efekty, budzi drzemiący instynkt samoobrony, jednym słowem, człowiek nie ma już do czynienia z psem lub mówiąc dokładniej, z psami, ale z całą zgrają wygłodniałych wilków, równie inteligentnych, co krwiożerczych. Dlatego, młody człowieku, zapamiętaj to sobie raz na zawsze: przede wszystkim nie zwracaj na nie uwagi, nie bój się szczekania, całkowicie zlekceważ ataki — to szczekanie i ujadanie właściwie nigdy się nie kończy i trwać będzie dopóty, dopóki na świecie pozostanie choćby jeden pies i jeden człowiek. A wówczas ów «wierny przyjaciel człowieka» niewątpliwie unicestwi

ostatniego przedstawiciela istot dwunożnych, rozszarpie go na drobne kawałki, zakończywszy w ten sposób walkę, pomściwszy haniebne poddaństwo, niewolę, która trwa już od tysięcy lat, jak niewola synów Izraela. Tyle o rozwoju stosunków pomiędzy istotami dwu- i cztero- nożnymi. A jaki wniosek należy z tego wyciągnąć, młody człowieku? Trzeba się jednak bać i trzeba walczyć, ale inteligencją, sprytem. W chwili, gdy zgraja rozwścieczonych psów rzuca się na ciebie, to znaczy, chciałem powiedzieć, na człowieka, trzeba szybko kucnąć, oprzeć się na rękach, stać tak jak gdyby na czterech łapach przed niebezpiecznym, krwiożerczym wrogiem i patrzeć mu prosto w oczy bądźz nawet zaszczekać. Jeżeli ma się na głowie kapelusz czy półcylinder, należy go zdjąć i położyć przed sobą na ziemi. Ta metoda, młody człowieku, sprawdzona w praktyce, w mojej własnej praktyce, jest niezawodna i najbardziej skuteczna. Stając oko w oko z czworonożnym wrogiem, większym od siebie i silniejszym, a przy tym będąc świadkiem zadziwiającej metamorfozy, zwierzę z podwinętym ogonem rzuca się do ucieczki, przekonawszy się raz jeszcze o chwilowej przewadze człowieka, przekonawszy się, że ów dwunożny uzurpator, jeżeli tylko zechce, może nawet przybrać postać czworonoga, natomiast jemu, psu, odwrotna przemiana nigdy się nie udaje, przynajmniej nie w sposób, w jaki by tego pragnął”.

Wierny swoim teoriom, pamiętnej nocy ojciec przeszedł na czworakach przez kilka wsi, szczekając na rozwścieczone kundle. Póżywy ze zmęczenia, przejęty panicznym strachem, dowłókl się do naszej wioski wytrzeźwiały, nie

potrafił sobie jednak uprzytomnić, czy koszmar na noc była tylko ponurym snem, czy jawą, czy może tym, czego spodziewał się nade wszystko: nawrotem delirycznych napadów sprzed lat dziesięciu, których wspomnienie odżyło w jego świadomości i doprowadzało go do rozpacy, nasuwając upartą myśl, że jest człowiekiem skończonym. Zobaczywszy przed drzwiami naszych krewnych zwinętego w kłębek, skowyczącego psa, mój ojciec — nie wiadomo który już raz tej nocy — ukląkł powoli, zrezygnowany, po czym zdjął półcylinder i sam też zaskowyczał, usiłując nadać ochryplemu głosowi wysoki, żalony ton. Szczęściem nasi krewni niczego nie słyszeli, a matka wprowadziła go do domu, udając, że nie domyśla się celu tego padania na kolana i wybijania pokłonów niby przed jakimś bożkiem.

Zdarzenie to legło u podstaw stosunków pomiędzy moim ojcem i Dingiem. Przez całe dwa lata ojciec przechodził obok, jakby go w ogóle nie dostrzegał, a pies, pamiętając ową jesienną noc, kiedy mój ojciec pokłonił mu się do ziemi i zdjął przed nim kapelusz, nie chciał naruszać tego układu sił i sprowadzać do dziecinnej poufałości. Dingo szanował jednak mojego ojca, był do niego przywiązany i nigdy nie zapomniał jego wzniesłego panteistycznego gestu, o czym świadczy fakt, że w przedniu odejścia ojca całą noc był przeraźliwie, żalony, rozumiejąc ogrom straty i przeczuwając ciszę, która przysypie nasze podwórze jak popiół... Jakiś czas biegł za cygańskim wozem, a potem zrównał się z nim i przez chwilę patrzył mojemu ojcu prosto w oczy, wybaczywszy mu wszystkie zniewagi. „Spójrzcie — powiedział wtedy

ojciec, udając, że aż do tej pory wcale psa nie zauważył — spójrzcie, nie ma nikogo, kto by odprowadził Edwarda Sama na cmentarz, na Golgotę. Tylko biedne psisko leżę za nim. Biedne, mądre psisko”. Spuścił nawet rękę z wozu, lecz cofnął ją szybko, nie dotknąwszy psa, do końca pozostał wierny sobie. A może zorientował się, że go słyszymy, i zrozumiał, że nas obraża?

JESIEŃ OWEGO ROKU, po odejściu mojego ojca, upływała pod znakiem jakiejś śmiertelnej ciszy, gęstej i lepkiej, pod znakiem cichego głodu, wieczorów wypełnionych tęsknotą i pożarów we wsi. W szkole często pisywaliśmy wypracowania pod tytułem *Pożar*, wzruszające reportaże, w których dominował ton modlitewnej skruchy, dziewczęta krztusiły się łzami, przejęte tym wielkim apokaliptycznym tematem, papier w zeszytach czerwienił się odblaskiem ognia. Byliśmy błądzi, z oczyma podkrążonymi po nieprzespanej nocy.

Pod wpływem głodu zapadaliśmy w apatyczny półsen, całymi godzinami patrzyliśmy przez okno, jak leje deszcz albo jak podróżują podniebnymi szlakami dzikie kaczkę i żurawie. Ich lot, ich zdecydowanie, ich boskie głosy przypominały nam ojca i machaliśmy ręką ptakom niebieskim. Moja siostra Ana, pragnąc urozmaicić sobie nudne popołudnia, przebierała się w sukienki, z których dawno już wyrosła, z długich ciemnych włosów upinała przed lustrem przeróżne fantazyjne fryzury, które — naszym zdaniem — wykraczały niekiedy poza granice przyzwoitości. Potem, krygując się, malowała wargi czerwona

karbowaną bibułą, co jeszcze bardziej uwydatniało jej błądłość.

Mizdrzy się do lustra, kręci siedzeniem, spuszcza włosy, przysłaniając jedno oko i nagle zaczyna śmiać się śmiechem świadczącym o jakimś niezdrowym podnieceniu, ciało jej przebiegają skurcze, oczy napełniają się łzami. Wreszcie sama uświadamia sobie, że przeciągnęła strunę, odwraca się do lustra plecami, jak gdyby przestraszona, i jednym krokiem wychodzi z jego ram niczym z wody. Po raz nie wiem który wyjmuje swoje widokówki, rozciąga je jak barwny wachlarz, potem rozkłada jedną obok drugiej niby karty w pasjansie. O czym mówią jej ci fałszywi królowie i waleci, o czym szepcze dźwięczna gama kolorów, jaskrawoczerwone jesienne róże, słoneczne pejzaże i liliowe panoramy dalekich miast? Jaką wartość przedstawia dla niej ten oczywisty kicz, sielankowe, małowieszczańskie motywy, wieże słynnych katedr, sentymentalne pary w staroświeckich powozach albo z raketami tenisowymi w rękę, niesmaczne wyznania miłosne spod znaku serca przebitego strzałą? Pozostanie to wieczną tajemnicą. Moja siostra Ana nie oddaje się bowiem nazbyt długo pensjonarskim marzeniom o rycerzu na siwym koniu, lecz zamyka je w ciemnych zakamarkach szafy, gdzie leży bielizna damska i białe kule waty, nie pozwala opanować się bez reszty lirycznym snom i rojeniom, z chichotem składa ów barwny wachlarz, zanim zupełnie ją osłepi. Zaczyna teraz robić z widokówek „kasetkę na biżuterię”, zszywając brzegi jedwabną nitką.

Obojętna na treść, jaką zawierały, na wyblakłe litery skreślone rozmaitymi charakterami pisma, wszywała

w swoje pudełka cenne dokumenty, te papirusy, które ukradkiem próbowałem rozszyfrować, za każdym razem skłonny do utożsamiania się z osobą piszącą lub z adresatem, zawsze pełen lirycznego przewrażliwienia. „Droga moja Marisette, jaśmin krzewi się tutaj jak groszek. Widziałem całe pola jaśminu...” — udało mi się odczytać jedną z kartek i wkrótce upijałem się miłością jak trunkiem, wymyślając naiwną, sentymentalną historyjkę, której bohaterem byłem oczywiście ja i w której wszystko osiągnięte było zapachem jaśminu...

Kiedy tak przerzucałem stare, pożółkłe widokówki — zrozumcie mnie dobrze — przerzucałem je dziś, po latach, nagle wszystko mi się pomieszało, powikłało. Od chwili, gdy w tej historii zabrakło wspaniałej postaci mojego ojca — wszystko rozprzęgło się, rozpadło. Jego silna indywidualność, autorytet, a nawet samo jego imię i słynne rekwizyty składały się na podstawowy wątek, zamykający w swych ramach tę opowieść, która fermentuje jak winogrona w beczkach, opowieść, w której owoce, nabrzmiałe od własnych soków i promieni słońca, gniją powoli, zdeptane, zmiażdżone ciężarem wspomnień. Teraz zaś popękały obręcze, wyciekło wino, a wraz z nim uleciała dusza owoców i żadna siła nie natoczy go już do pustej beczki, nie nasyci nim ponownie opowieści, nie zleje do kryształowego kielicha. Ach, ten zlatoróżowy płyn, ta bajka, te opary alkoholu, o losie! Nie będę bluźnił ani skarżył się na życie. Pozbieram raczej widokówki z epoki pełnej staroświeckiego wdzięku i romantyzmu, potasuję karty i położę pasjansa

dla czytelników, którzy lubią pasjansy i upojenie, lubią jaskrawe kolory i zawrót głowy.

Nasze seansy tęsknych wspomnień — termin utworzony naturalnie o wiele później — zaczęły się któregoś jesiennego wieczoru, po odejściu ojca, od improwizacji mojej matki. Wtedy jeszcze nie miały nazwy, lecz pogańskie, nieochrzczone, powtarzały się, nieregularnie resztą, czasami całkiem niespodziewanie. Zaczęły się od improwizacji, jak poezja, potem stopniowo przybierały coraz bardziej określony kształt, aż wreszcie stały się przedsięwzięciem o dość jasno sprecyzowanych, idealistycznych celach. Staraliśmy się naturalnie nie zepsuć tych wieczorów sztywnym rytuałem i rygorami, toteż zawsze miały urok świeżości, choć powtarzały się z jesieni na jesień w ciągu kilku lat i dawno już przekroczyły granice improwizacji.

Za każdym razem zaczynało się to jakby przypadkiem. Jedyny, podstawowy warunek stanowiła nieobecność mojej siostry — matka i ja, nie porozumiewając się, przyjeźliśmy tę zasadę — gdyż Ana nie była odpowiednim medium podczas takich seansów spirytystycznych. W jej obecności, jak przekonaliśmy się kiedyś, okrągły stół, w którym nie ma żelaznych gwoździ — mówiąc w przenośni — ani drgnął: nieufność Any, jej ironiczny stosunek do wszelkich zjawisk poetyckich, idealistycznych rozprzały mistyczną atmosferę, w której lubiliśmy pogrążyć się oboje z matką.

Wieczorem, gdy moja matka zaświeciła kaganek, w którym palił się dziegieć zmieszany z naftą, kuchnia nasza,

w swoje pudełka cenne dokumenty, te papirusy, które ukradkiem próbowałem rozszyfrować, za każdym razem skłonny do utożsamiania się z osobą piszącą lub z adresatem, zawsze pełen lirycznego przewrażliwienia. „Droga moja Marisette, jaśmin krzewi się tutaj jak groszek. Widziałem całe pola jaśminu...” — udało mi się odczytać jedną z kartek i wkrótce upijałem się miłością jak trunkiem, wymyślając naiwną, sentymentalną historyjkę, której bohaterem byłem oczywiście ja i w której wszystko osiągnięte było zapachem jaśminu...

Kiedy tak przerzucałem stare, pożółkłe widokówki — zrozumcie mnie dobrze — przerzucałem je dziś, po latach, nagle wszystko mi się pomieszało, powikłało. Od chwili, gdy w tej historii zabrakło wspaniałej postaci mojego ojca — wszystko rozprzęgło się, rozpadło. Jego silna indywidualność, autorytet, a nawet samo jego imię i słynne rekwizyty składały się na podstawowy wątek, zamykający w swych ramach tę opowieść, która fermentuje jak winogrona w beczkach, opowieść, w której owoce, nabrzmiałe od własnych soków i promieni słońca, gniją powoli, zdeptane, zmiażdżone ciężarem wspomnień. Teraz zaś popękały obręcze, wyciekło wino, a wraz z nim uleciała dusza owoców i żadna siła nie natoczy go już do pustej beczki, nie nasyci nim ponownie opowieści, nie zleje do kryształowego kielicha. Ach, ten zlatoróżowy płyn, ta bajka, te opary alkoholu, o losie! Nie będę bluźnił ani skarżył się na życie. Pozbieram raczej widokówki z epoki pełnej staroświeckiego wdziału i romantyzmu, potasuję karty i położę pasjansa

dla czytelników, którzy lubią pasjansa i upojenie, lubią jaskrawe kolory i zawrót głowy.

Nasze seansy tęsknych wspomnień — termin utworzony naturalnie o wiele później — zaczęły się któregoś jesiennej wieczoru, po odejściu ojca, od improwizacji mojej matki. Wtedy jeszcze nie miały nazwy, lecz poganiańskie, nieochrzczone, powtarzały się, nieregularnie resztą, czasami całkiem niespodziewanie. Zaczęły się od improwizacji, jak poezja, potem stopniowo przybierały coraz bardziej określony kształt, aż wreszcie stały się przedsięwzięciem o dość jasno sprecyzowanych, idealistycznych celach. Staraliśmy się naturalnie nie zepsuć tych wieczorów sztywnym rytuałem i rygorami, toteż zawsze miały urok świeżości, choć powtarzały się z jesieni na jesień w ciągu kilku lat i dawno już przekroczyły granice improwizacji.

Za każdym razem zaczynało się to jakby przypadkiem. Jedyny, podstawowy warunek stanowiła nieobecność mojej siostry — matka i ja, nie porozumiewając się, przyjeśliśmy tę zasadę — gdyż Ana nie była odpowiednim medium podczas takich seansów spirytystycznych. W jej obecności, jak przekonaliśmy się kiedyś, okrągły stół, w którym nie ma żelaznych gwoździ — mówiąc w przenośni — ani drgnął: nieufność Any, jej ironiczny stosunek do wszelkich zjawisk poetyckich, idealistycznych rozprzały mistyczną atmosferę, w której lubiliśmy pogrążyć się oboje z matką.

Wieczorem, gdy moja matka zaświeciła kaganek, w którym palił się dziegieć zmieszany z naftą, kuchnia nasza,

ich fragmenty, utożsamiałem się zuchwale to z królewiczem czy z księciem, to z pięknym Cyganem — jeżeli przypadła mu rola bohatera i kochanka, ignorowałem przy tym wszelkie normy etyczne i religijne.

„Ale w końcu, kochanie, po co to wszystko?” — pytała nagle moja matka, nie przestając poruszać drutami, które krzyżowały się jak miecze lilipucich rycerzy skazanych na wieczny pojedynek o wełnianą bluzeczkę lilipuciej piękności.

Najwyraźniej zaczynała się obawiać ogarniającego nas coraz bardziej przeculenia. Zrozumiawszy, że znanadto już przywykłem do tej zabawy — aby przed zaśnieciem tłumaczyć deszcz wierszem — matka postanowiła zawrócić mnie z drogi poetyckiego nałogu i ekstrawagancji sama zaczęła wymyślać przedziwne opowieści, poddając się pięknej i niebezpiecznej fikcji poetyckiej. Intencje miała zresztą jak najlepsze: chciała skanalizować mój idealizm, sprowadzić go do normalnych wymiarów, skierować ku jakimkolwiek rzeczywistym sprawom, byle poważniejszym od bajki. W długim monologu lirycznym opowiadała mi historię swego dzieciństwa, które upłynęło wśród drzew figowych i pomarańczowych, dzieciństwa wyidealizowanego niczym w opowieściach biblijnych, i tutaj bowiem, jak w Biblii, pasły się złotorune owce i ryczały osiołki, figa zaś była drzewem wybranym. Bajkom jesiennego deszczu moja matka starała się przeciwstawić własną legendę, usytuowaną w miejscu i czasie, a jako dowód rozkładała mapę świata (w skali 1 : 500 000, znalezioną w spuściźnie po ojcu), wskazując końcem sztydka tę Arkadię, słoneczne Eldorado wyidealizowanego

dzieciństwa, oblaną promieniami słońca Górę Oliwną, Montenegro. Pragnąc osłabić oddziaływanie deszczu, uwolnić mnie od sugestii i uroku jego tercyn i kwartyn, matka rozświetlała obraz swego dzieciństwa wiecznym słońcem i jaskrawymi barwami lata, umiejscawiała je w żywej okolicy, w oazie wśród gór i skał.

Przejęta własną opowieścią i własnym mitem, za każdym razem wracała do kwestii pochodzenia naszej rodziny, nie bez dumy odnajdując przodków w dalekich, mgłą osnutych czasach średniowiecza, pośród możliwych panów i dam dworu, oraz ustanawiając przez nich koligacje z książętami, arystokratami dubrownickimi i weneckimi, jak również z albańskimi władcami i uzurpatorami. Na odległych gałęziach tego drzewa genealogicznego — błyszczącego w bladym świetle naszego kaganika jak ornamenty na średniowiecznych pergaminach ze złoconymi inicjałami — oprócz rycerzy i dam dworu pojawiali się sławni żeglarze, którzy przemierzyli świat od Kotoru i Konstantynopola, aż po Chiny i Japonię, a na gałęzi całkiem bliskiej znalazła się nawet amazonka — przynajmniej ja ją sobie tak wyobrażałem, matka mówiła o niej po prostu „twoja ciotka” — która z początkiem naszego wieku, a więc w niedalekiej i bynajmniej nie mitycznej przeszłości, przysporzyła rodowi sławy, odrąbawszy głowę napastliwemu Turkowi! Był również bohater narodowy i pisarz, słynny wojewoda, który w pięćdziesiątym roku życia nauczył się czytać i pisać, aby wzorem bohaterów antycznych do laurów swego miecza dołączyć laur pióra. Kwiat drzewa genealogicznego, które matka sadziła w tłustym, wilgotnym czarnoziemie wieczorów

jesiennych, stanowili jednak moi wujowie, ludzie światowi w najlepszym tego słowa znaczeniu, biegle władający językami obcymi i podróżujący po całej Europie, burzący stare mity w imię nowych, na skalę europejską i światową. Jeden z wujów został nawet wyróżniony przez króla serbskiego zaproszeniem na obiad, po którym — wbrew swym europejskim manierom — udał się do restauracji „Dardanele”, gdzie zjadł zdrową porcję fasoli po serbsku za 25 par (wraz z chlebem, wkalkulowanym w cenę).

W każdej z tych historii tkwił morał, który matka wypowiadała na końcu, po trzyćwiertkowej pauzie, niby dystych, lub zachęcała, abym sam go wyciągnął, sprawdzając przy tej okazji moje skłonności i normy moralne. Wśród matczynych opowieści — oprócz tych średnio-wiecznych o rycerzach i królach, o pięknej Cygance i ostatnim z Abenserażów — była także bajka z podwójnym morałem, bajka ezopowa, której wartości moralnej i uczuciowej nie należałoby lekceważyć. Z bajki tej, wiadom, wynikały dwie nauki: jedna — wprost z jej treści, druga — ze skrytego lęku mojej matki, zaniepokojonej wszechwładnym wpływem, jaki wywierały na mnie czarodziejskie, fantastyczne opowieści jesiennego deszczu — a przykład ojca przekonał ją raz na zawsze, jak wielkim grozi to niebezpieczeństwem. Była to bajka o krowie, której zabrano ukochane cielę. Historia ta powtarzała się trzykrotnie, za każdym razem w identyczny sposób, i zawsze kończyła się tak samo tragicznie: przychodzą kupcy, sprytni handlarze, wyprowadzają cielę o sarnich oczach, a jego matka roni łzy, ciepłe, duże krowie łzy, i ryczy żałośnie, bardzo żałośnie. Wreszcie

rozchorowała się ze smutku, przestała jeść, ze zmartwienia straciła mleko.

Widząc, że nie chce nawet ziół leczniczych i długo już nie pożyje, chłop zabił biedną krowinę — tu moja matka zniża głos do oktawy oddającej głębokie wzruszenie, które tak zapiera jej dech, aż zatracą się rytm opowieści.

Czy znacie koniec tej pięknej bajki, czy wiecie, co stało się z sercem matki-krowy? Na jej sercu znaleziono trzy duże, głębokie, śmiertelne rany, jak gdyby zadane nożem rzeźnickim — a każda rana to jedno uprowadzone cielę.

Taki jest koniec bajki o krowie ze zranionym sercem.

„Czy wiesz, kochanie, o co pytali mnie ludzie, nawet nieznanymi? — zagadnęła któregoś z tych wieczorów matka, powracając od mitycznej przeszłości swego dzieciństwa do czasu historycznie określonego, graniczącego niekiedy z zasięgiem mojej pamięci. — «Bardzo przepraszam, czym pani smaruje buzie dzieci, że mają taką piękną, białą cerę?». Uśmiechałam się na to, mówiąc, że w ogóle nie smaruję was niczym, tylko daję dużo mleka, owoców, jarzyn, czasem sok z pomarańczy. «Pani wybacz, ale nie mogę w to uwierzyć...». Och, Andi, to ci już chyba opowiadałam... A kiedyś znowu, w Kotorze, jakaś pani zatrzymała mnie na ulicy i prosi, żebym jej pożyczyła moje żurnale. «Jakie żurnale?» — zdziwiłam się, a ona pyta, czy wasze ubranka są szyte według mody wiedeńskiej czy paryskiej. «Przepraszam bardzo — wyjaśniłam — sukienkę Any sama skroiłam i uszyłam na mąszyne według wymyślonego przez siebie fasonu, ubranko,

które ma Andi, też sama zrobiłam na drutach, a zielone jest dlatego, proszę pani, że ze wszystkich kolorów najbardziej lubię właśnie zielony, zielony jak trawa. Chętnie pożyczyłabym pani żurnale, proszę mi wierzyć, ale nie prenumeruję ani wiedeńskich, ani paryskich». Na to ona... Ach, kochanie, przecież to też ci opowiadałam... Boże, mój Boże, byliście najładniejszymi dziećmi na całej ulicy Bema i wszyscy naokoło pytali, jak ja to robię, że macie takie rumiane buzie”.

„Opowiedz mi jeszcze — prosiłem — jak przyjechał następca tronu, jak był ubrany i kto mu się podobał...”.

„Och, Andi, chcesz to usłyszeć jeszcze raz? — cieszyła się matka. — Chcesz pewnie zapamiętać, co powiedział młody następca tronu?... A więc koleżanki zaczęły kiedyś szeptać, że do naszego miasta przyjechał młody książę, chyba to był książę włoski... I rzeczywiście, któregoś dnia przyszedł do naszej szkoły, jak to się mówi, *incognito*, ale ubrany jak najprawdziwszy książę, urodziwy jak dziewczyna, wszystko na nim błyszczało, złota szabla i epolety, a dłonie miał białe, wypieczczone, jak wielcy panowie. Zabawił zresztą krótko, popatrzył na nas, pośmiał się i odszedł z dostojną asystą, mieniąc się od srebra i złota, a jego ostrogi dźwięczały w korytarzu przystrojonym na tę uroczystość różami i bzem. Nazajutrz wzywa mnie *signorina* Angelica — Włoszka, która uczyła nas robót ręcznych — i powiada, że młody książę wypytywał, jak się nazywam i skąd pochodzę, z jakiego domu, bo bardzo mu się podobałam. Ze wstydu o mało nie zapadłam się pod ziemię... Pomyśl tylko, Andi, jaka piękna była twoja matka...”.

Tu moja matka odkładała na chwilę druty i przędzę jak zmęczona Parka i wyjmowała z głębi szafy kartonowe pudła, w których znajdowały się stare, pożółkłe fotografie rodzinne i dagerotypy, ów *corpus delicti* minionych czasów, urojonego blasku jej młodości i sławy naszego rodu.

Tak to, powoli i całkiem nieświadomie, matka zatrzymała mnie wspomnieniami, pielęgnowała moją słabość do starych fotografii i pamiątek, do pleśni i patyny. Padając ofiarą tej sentymentalnej edukacji, razem z nią wzdychałem do dni, które nigdy już nie wrócą, do dawnych podróży i zapomnianych krajobrazów. Przesiadaliśmy w milczeniu, pochyleni nad pożółkłymi fotografiami, których anachroniczność nie ulegała kwestii, a staroświeckie ubiory budziły w nas tęsknotę.

Ten utalentowany młody człowiek, *wunderkind*, poeta i pianista, to mój zmarły ojciec, Edward Sam — mówiłem sobie w duchu. Edward Sam, zmarły śmiercią podwójną i nieodwołalną. Oto moja matka, Maria Sam, w czasach kiedy nie była jeszcze moją matką. Nieżyjąca już Maria Sam. A oto moja siostra Ana, przed jakichś pięciu — sześciu lat, gdy mieszkaliśmy w Alei Kasztanów... Nieżyjąca już Ana Sam. Ten chłopiec zaś — z dzwoneczkiem na szyi, jak baranek — to ja, nieżyjący już Andreas Sam... Powszechnemu umieraniu — czasu, młodości i mody — moja matka próbowała niekiedy przeciwstawiać utopię mglistej przyszłości, w której jednak jakoś nie potrafiła się znaleźć. Były to tylko daremne dygresje, sprowadzające się do domysłów, po czym znowu, poprzez barwne przygody moich wujów, historia powoli i nieuchronnie

staczała się w przeszłość niby w przepaść, a wokół leżały rozsypane poźółkłe fotografie jak jesienne liście.

Zanosząc się śmiechem, w drzwiach stała Ana, skąd pana w deszczu, ze zroszonymi włosami, niczym do bry duch nocy. Szybko orientowała się, że błądzimy po ścieżkach przeszłości, i jakby urażona, zaczynała z nas pokpiwać, robiąc aluzje do ojca i do naszych wieczornych seansów. Szczęśliwy, że w taki prosty sposób udało się rozbić twardą skorupę żałobnej ciszy, zbierałem z podłogi fotografie i w pośpiechu składałem je do pudła, jakby schwytyany na gorącym uczynku i zawstydzony, moja matka zaś zrywała się tak nagle, że z kolan spadały jej kłębki, koziołkowały w półmroku niby angorskie kotki, uwiązane na kolorowych nitkach do koszyka z wełną, i niewidoczne baraszkiwały po kątach, zderzając się delikatnie, jak gdyby dla zabawy.

W MIARĘ JAK UPLYWAŁ CZAS, gromadziłem coraz więcej dowodów podważających moją wiarę we własną nieśmiertelność. Zwłaszcza w długie wieczory jesienne — gdy pokusy stawały się silniejsze, bardziej natrętne i gdy jedyną pociechę stanowić mogła jasna, błoga wizja niedostępnego zresztą dla mnie raju — zaczynałem podawać w wątpliwość wszelkie wartości uznawane przez Boga i przez ludzi. Wyczerpany długotrwałą głodówką, idąc spać, słańiałem się na nogach. Na próżno zaklinałem matkę, żeby nie zostawiała mnie samego w ciemnościach. Przejęta tym i zmartwiona obiecywała, że uchyli drzwi od kuchni, aby do pokoju wpadał promień światła, całowała mnie, dodawała otuchy, po czym wycofawszy się do swego kąta, znów z kłębkami wełny na kolanach powracała do mozolnej, wyrobniczej pracy. Przekonany w końcu siłą jej argumentów i pogodzony z nieuchronnością snu, któremu dotychczas daremnie się opierałem, postanowiłem wprowadzić w czyn jedną ze swoich piekielnych, grzesznych myśli: podporządkować sobie anioła snu, wykorzystać przymusowe i przykre obcowanie z nim dla bezbożnych celów. Z biegiem lat tak

narósł we mnie lęk przed snami, że rankiem, kiedy się budziłem, pierwsza moja myśl graniczyła właściwie ze śmiertelnym strachem: a więc znowu nastal dzień, krótki dzień, nieodwołalnie kończący się czarną otchłanią snu, w której będę musiał zatonać na przekór wszystkiemu. Podświadomie przeprowadzana paralela pomiędzy cyklem dnia i nocy oraz cyklem życia i śmierci stała się w pewnej chwili absolutnie nie do zniesienia, odsunąłem więc od siebie drugi człon tego porównania jako problem, nad którym zdążyć zastanowić się w przyszłości, fenomen snu natomiast nadal był ciągle obecny i aktualny, ze swymi koszmarami, dziwami i pokusami. Noc po nocy, już od lat. Zawsze powtarzał się ten sam sen z małymi tylko różnicami: leżałem sobie — we śnie — w swoim łóżku i naraz nastawała jakaś gęsta, przerażająca, złowróżbna cisza. Ta napięta aż do wybuchu cisza przenikała stopniowo moje ciało i moją świadomość, dusiła w gardle i zapierała dech, była bowiem mrozącą krew w żyłach zapowiedzią tego, co wyczuwałem i wiedziałem, że wkrótce nastąpi. A to, co nadchodziło, nie miało nazwy ani twarzy, może przypominało burzę z piorunami, burzę-zemstę piekieł, która podobnie jak śmierć pojawia się znienacka, zaskakując i dorosłych, i dzieci we śnie, po tchórzowsku. Nagle zapadała ciemność, nieprzenikniona biblijna ciemność, jak owej nocy, gdy nad ziemią przeleciał Boży anioł-morderca, milki ptaki, chowały się gdzieś nawet muchy, nieruchomiały liście na drzewach. I wówczas nadchodziło to nienazwane, z hałasem wyważało drzwi znajdujące się naprzeciw mojego łóżka i rzucało mi się do gardła. „Andi, Andi!”

słyszałem wystraszony głos matki, mijało jednak kilka minut, zanim uświadamiałem sobie, że nie jest to głos matki na próżno wołający mnie we śnie, ale szczęśliwy koniec sennych koszmarów. „Kochanie, znowu spałeś na lewym boku” — szeptala, kładąc mi dłoń na czole. Najbardziej dziwiła moją matkę zawsze ta sama historia o Czymś, co nadchodzi, a ja wbrew wszelkim wysiłkom nie mogę dojrzeć żadnego kształtu ani twarzy. Wstrząs, jaki za każdym razem przeżywałem pod wpływem sennych zmyr, wyraźnie jednak świadczył, że jest to koszmars, którego niepodobna opisać.

Matka, pełna zrozumienia, nie zabraniała mi wieczorami długo przesiadywać w kuchni, żeby oddalić moment spotkania ze zmorą, a kiedy zasypiałem, zanosila mnie do łóżka. Pozwalała mi czytać wszystko, bez wyboru, sądząc zupełnie słusznie, że każda książka może przynieść zapomnienie. Czasem nawet nie sprzeciwiała się, abym śleczył nad lekturą do późnej nocy, gdyż zauważyla, że powoli odzyskuję odwagę i zaczynam walczyć przeciwko sennym koszmarom własnymi siłami. Dzięki wzorom czerpanym z powieści brukowych, obfitujących w zbrodnie i bohaterskie czyny, udało mi się przynajmniej skonkretyzować swoje sny i wkrótce potrafiłem już rozpoznać pod czarną maską twarz nastpnika, który pojawiał się w drzwiach naszego pokoju jak widmo. Bądź co bądź, było to niemałe osiągnięcie w procesie rozwojowym moich snów. Wielkie i niewidoczne, nieokreślone i nieznanne Coś — grożące do niedawna upiornymi szponami niby tajemną bronią, wobec której człowiek pozostaje bezradny — powoli zaczynało

przybierać postać nędznego ulicznego opryszka czy platanego mordercy dzieci, dybiącego na moje życie. Bronić się przed nim było naturalnie o wiele prościej. W chwili gdy dostrzegałem go na kilka kroków od siebie, przy czajonego w ciemnościach, i gdy przyglądaliśmy się sobie wzajemnie przed podjęciem decyzji, on — o ataku, ja — o ucieczce, zrozumiałem za którymś razem, że w tej okrutnej grze śmieszna byłaby jakakolwiek próba ucieczki czy obrony, gdyż szanse miałbym mniejsze niż zając umykający przed sforą psów myśliwskich: ze strachu traciłem władzę w nogach, ciężkich jak ołów, i nie mógłbym nawet ruszyć się z miejsca. W przerażeniu, nie mając innego wyjścia, z wielkim wysiłkiem woli i świadomości powtarzałem: „To tylko sen, to tylko sen”, oddalając się dzięki temu o całe kilometry od wystrychniętego na dudka mordercy, którego owo niezwykle zjawisko znikania zbijało z tropu i niewątpliwie doprowadzało do wściekłości. Oczywiście nie zawsze mi się to udawało, czasem w obliczu niebezpieczeństwa i własnej słabości śniłem, że się budzę, nie budziłem się jednak na jawie, ale w jakimś nowym śnie, w innej warstwie snu, niekiedy jeszcze głębszej i bardziej ponurej.

Podobnie dręczyła mnie myśl o śmierci, silniejsza niż rojenia o jej uniknięciu i nieśmiertelności. Sprzyjały temu naturalnie czytane przeze mnie powieści, których przebiegli i mężni bohaterowie stawali się wobec zjawiska umierania i śmierci bezbronni jak dzieci, mierzyli z rewolwerów w pustkę, bezradnie objawali żelazne pięści o szczękę kostuchy, a cała ich chytryść i inteligencja

udawała się na nic, gdy jako przeciwnik stawiała przed nimi koszmarna mgławica zwana śmiercią. Ostateczne odejście mojego ojca — w głębi duszy nigdy nie chciałem w nie uwierzyć — stało się jednym z doświadczeń, na których zbudowałem teorię o niemożności ucieczki. Wiedziałem bowiem, że ojciec ze swoim darem wymowy i argumentacji, ze swoją filozofią potrafiłby wywieść ją pole nawet samą śmierć, potrafiłby skompromitować ją jakimś rewelacyjnym stwierdzeniem lub podstępem, gdyby skompromitowanie śmierci w kategoriach ludzkich było w ogóle możliwe. Uświadomienie sobie tej strasznej prawdy nie osłabiło we mnie jednak pobożności, przeciwnie. Zachwiała się tylko moja wiara, stała się mniej żarliwa. Wieczorami, gdy przewracałem się z boku na bok w panicznym lęku przed śmiercią — wciąż jeszcze najwinnie kojarzyłem ją ze snem — nagle, jakby w chwili olśnienia, udawało mi się spojrzeć na siebie samego z punktu widzenia wieczności, *sub specie aeternitatis*, i ze zgrozą uprzytamniałem sobie własną marność w aspekcie tej wieczności, którą w takich chwilach pojmowałem jako trwałość świata boleśnie kontrastującą z oczywistym już dla mnie przemijaniem ludzkiego życia.

To przenikanie czasu i przestrzeni, na których tle wieczorami, przed zaśnięciem, jak gdyby w apokaliptycznym olśnieniu przyglądałem się własnej nicości i własnemu lękowi, naruszało moją czystość wewnętrzną i Boskie, święte ideały. Zaczynałem rozumieć szaleńczą odwagę i dzielność bohaterów czytanych przeze mnie powieści, którzy zapewne dzięki uświadomieniu sobie własnej

ności stawali się mężni i nieustraszeni. Do herezji tej, oczywiście, bałem się przyznać nawet sam przed sobą, przynajmniej z początku, ale myśl, że wskutek uświadomienia sobie marności i krótkotrwałości życia (nigdy nie odczuwałem jej tak wyraźnie, jak przy pierwszym zetknięciu się z tym problemem, gdy miałem około dzie więciu lat) można stać się mężnym i nieustraszonym, była niezwykle kusząca. Z czasem także losy niektórych bohaterów powieści zaczęły wydawać mi się mniej tragiczne, a długie lata, spędzane przez nich za kratkami, w ogóle przestały wywierać na mnie wrażenie, gdyż w aspekcie wieczności wszystko to było niczym. Gdybym już z góry nie skazał się na piekło — w najlepszym wypadku na czyściec, niewielka różnica — jako że postęпки, a zwłaszcza grzeszne myśli odebrały mi prawo do raju, starałbym się zdobyć miejsce w wieczności, ale na to było za późno: moją wiarę niebezpiecznie nadwątląło zwątpienie.

Herezja moja nasilała się zwłaszcza podczas snu, gdy potęgę wieczności odczuwałem jeszcze mocniej, jeszcze bardziej dotkliwie. We śnie błdziłem w podobnych okolicach jak na jawie, w jesiennym krajobrazie naszej wsi, ale świadomość funkcjonowała w czasie całkowicie odmiennym od rzeczywistego, właściwie poza czasem, gdyż wieczne trwanie świata i znikomość mojej egzystencji, podporządkowanej powszechnemu prawu przemijania, stawały się jeszcze bardziej oczywiste, prawie namacalne. To odczucie nieosiągalnej wieczności, która podczas snu wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca w kontraście do znikomości mojego istnienia, zwodziło mnie coraz

częściej i coraz boleśniej. Wyzbywszy się oporów moralnych w potocznym rozumieniu tego słowa, świadom własnej marności, we śnie przestawałem bać się nawet Boga: chciałem powetować sobie znoszone do niedawna piekielne męki, chciałem, mówiąc po prostu, żyć za wszelką cenę, korzystać z życia, ile tylko można, choćby we śnie. Wiedziałem, że nie uda mi się zmylić Anioła Stróża, który nocą czuwa przy mnie, notując w księdze podwójnej buchalterii uwagi o moim zachowaniu, ale zadawalałem się faktem, że obecność jego podczas snu jest zupełnie znośna, a szept ledwie słyszalny.

Dzięki wszystkim tym doznaniom ze snów moich zaczęły znikać zmyry, przynajmniej wtedy, gdy nie spałem na lewym boku ani na wznak. Nauczony doświadczeniem (ilekroć krzyknąłem czy zapłakałem, matka zawsze stwierdzała, że spałem na lewym boku albo na wznak), starałem się, jak tylko mogłem, zasypiać na prawym boku, z kolanami podkurczonymi prawie pod brodę — w ten sposób broniłem się również przed głodem i zimnem — i leżeć tak jak najdłużej, aż wreszcie przeszło to w przyzwyczajenie. Dumny, że własną wolą potrafiłem poskromić senne koszmary, obracałem się przed zaśnięciem z boku na bok, często drzemałem na lewym, na tym, gdzie bije serce — źródło moich zmor i koszmarów — ale w ostatniej chwili, gdy morzył mnie sen i gdy jego nadejście było już niewątpliwe, ostatnim wysiłkiem świadomości przewracałem się na prawy bok, jako że w tej pozycji nawiedzały mnie tylko piękne sny: oto znów jadę na rowerze stryja Ottona, podniebnym łukiem przelatuję nad rzeką... Świadomość, że mogę

kontrolować sny, że poprzez wieczorną lekturę czy rozmyślenia mogę nawet nadawać im określony kierunek, doprowadzała do wybuchu moich najprymitywniejszych instynktów. Fakt, że żyję właściwie podwójnym życiem (nie było w tym zresztą ani odrobiny fałszu, wiek nie pozwalał mi jeszcze na skażenie czystości moich snów i moich światów), jednym w rzeczywistości, a drugim we śnie, napełniał mnie niezwykłą i szczerze mówiąc, grzeszną radością. Głodowaliśmy wtedy okropnie, wprost jęczeliśmy z głodu, zrozumieliśmy więc, że wieczorem, rzucając się po łóżku i nie mogąc zasnąć, wyobrażałem sobie mnóstwo potraw, za którymi przepadałem i których zapachy potrafiłem niekiedy wyczarować z bolesną dokładnością. Najczęściej jednak, gdy usypiałem, nawiedzał mnie mój klasyczny sen: jedziemy pociągiem, w przedziale pierwszej klasy, matka nakrywa rozkładany stolik białą serwetką z cienkiego lnianego płótna i kroci struclę z makiem. Zaczynam jeść, czuję — we śnie — smak, nawet zapach maku, zbieram okruszki z serwetki. Ten posiłek, ten wysiłek trwa jednak nazbyt długo, wątpliwości przeciskają się już przez wąską furtkę snu, ale wciąż nie mogę zaspokoić apetytu i resztką świadomości pojmuję, że to przecież sen, więc muszę wymyślić więcej ciastek i owoców na swoją ucztę, a potem, jak Jezus wodę, zamienić je w wino snu. Ale wtedy, w tej olśniewającej, niemal boskiej chwili przytomności narzuca mi się myśl „To tylko sen, to tylko sen” (bowiem sen nie znosi przytomności). Usiłuję odegnać tę myśl, nie dlatego, aby była fałszywa, lecz dlatego właśnie, że uświadamiam sobie jej prawdziwość. I wówczas budzę się, czując, że

piekielny głód skręca mi kiszki, znów długo przewracam się po łóżku, wreszcie próbuję uciec się do jakiegos innego oszustwa.

Podobnie jak w tym śnie jadłem struclę, w innym, rozgrywającym się na tle słonecznego pejzażu naszej wsi, spotykałem na brzegu rzeki, w polu, wśród łąk i kwiatów, pannę Magdalенę, młodą gospodynię kierownika szkoły. Ta czarnooka dziewczyna o wydatnych piersiach pracowała kiedyś w Budapeszcie, skąd przyjechała w nasze strony z jakimś oficerem, a gdy ją porzucił, zaczęła kokietować tutejszych chłopców, często się o nią bili. Wiedziałem, że romansowała także z moimi młodymi kuzynami, kilka razy ich podpatrzyłem, spotykałem ją też spieszącą po nasypie do sąsiedniej wsi albo na tajemne schadzki, pod wieczór. Kiedyś nawet pogłaskała mnie po głowie, gdy stanąłem przed nią i ukloniłem się, drżąc z obawy, żeby nie wyczytała mi z oczu, co myślę.

Powzięta przeze mnie decyzja, że we śnie zmuszę do oddania mi się pannę Magdalенę, skończyła się kompletnym fiaskiem. Z początku wszystko co do joty było jak na jawie: panna Magdalena zbliżała się po nasypie, potem zeszała na pole i ruszyła w moją stronę, żeby pogłaskała mnie po głowie. Haniebna decyzja osłabła we mnie całkowicie, gdy uprzytomniłem sobie, że spełnienie jej byłoby możliwe jedynie we śnie („To tylko sen, to tylko sen”), i obudziłem się zawstydzony, pełen skruchy. Potem przez długi czas unikałem spotkania z panną Magdalенą, a gdy zbliżała się po nasypie, uciekałem i kryłem się w zaroślach nad rzeką, gdyż

wydawało mi się, że i ona mogłaby przypomnieć sobie mój sen, uczestniczyła w nim bowiem tak samo jak ja i była dostatecznie blisko, aby wyczytać mi z twarzy decyzję, dostrzec moje drżenie, nawet ruch ręki sięgającej ku jej piersiom.

Pewnej nocy jednak, uspokojony, że nie ma świadków, gdyż kobieta spotkana na łące pod dziką gruszą była zupełnie nieznajoma — widziałem ją pierwszy raz w życiu, więc i ona nie mogła mnie znać — postanowiłem wytrwać w swej decyzji i zgwałcić ją bez dłuższych ceregieli. Dałem się opętać sofistycie snu, w którym można grzeszyć nie tylko bezkarnie, ale niejako nawet i bezgrzesznie: ta kobieta w rzeczywistości nie została zgwałcona, istnieje tylko we śnie i nigdzie poza tym, przypomina trochę młode bohaterki z mojej wieczornej lektury, jest bardziej jeszcze anonimowa, bardziej abstrakcyjna. Ma nad nimi jedną przewagę: jest ucieleśniona, we śnie, oczywiście.

Była to kobieta ze wsi, może trzydziestoletnia, o skórze białej i pachnącej. Zrywała ulęgałki i uśmiechała się do mnie. W pobliżu nie było nikogo. Kiedy powziąłem decyzję — jak gdyby z ulgą i z pewną godnością, choć prawie mdlałem z przejęcia i ze strachu — nagle stał się jakiś cud i cała okolica zniknęła z pola widzenia, tylko ja i ona znaleźliśmy się naprzeciw siebie, oko w oko. Zdążyłem jeszcze przez chwilę nacieszyć się urodą i bliskością swojej zdobyczy, bielą jej skóry, głębią oczu, blaskiem zębów. Niespodziewanie przyszło mi na myśl, że kobieta może się opierać albo wezwać policję, i naraz o mało się nie roześmiałem, uprzytomniwszy sobie, jaki to nonsens,

przecież ja sam ją wymyśliłem, stworzyłem na miarę swojego snu i swoich sił, więc śmiało, młody człowieku, podwinij jej spódnicę, sam to przecież wymyśliłeś we śnie, to tylko sen, to tylko sen. Tymczasem kobieta dalej snuła się koło mnie, drwiąc z mego niezdecydowania i z moich obaw, gdyż nie przebudziłem się jeszcze na dobre, ale refleksją, że to właściwie tylko sen, zdyskwalifikowałem swoją decyzję i musiałem pogodzić się z faktem, że we śnie nie można rozstrzygnąć o wszystkim siłą własnej woli, nie można eksploatować go jak kopalni grzechu i występku.

W drugiej wersji tego samego snu uciekłem, płonąłem ze wstydu i nie udało mi się wzbić w powietrze, tylko długo spadałem w głęboką przepaść, lekko, jak gdyby na skrzydłach, przekonany, że skończysz się to upadkiem, roztrzaskaniem się i piekielnym ogniem, pragnąłem jednak cieszyć się jak najdłużej chociażby rozkoszą zawrotnego spadania, bo i tak czekało mnie przebudzenie, to wszystko nieprawda, nie przebudziłem się jeszcze na dobre, to tylko sen, to tylko sen, taki jak inne, to tylko sen.

W tej chwili przestają spadać do piekła, przytomność kładzie kres temu lekkiemu spadaniu, tak podobnemu do lotu, i ocknąwszy się, sprawdzam, na którym boku spałem.

Wielkim wysiłkiem woli przewracam się na prawy bok: *o, mea culpa, o, mea maxima culpa, o serce, o nocy!*

Oparty na łokciach, zdyszany jak szczeniak, próbuję otrząsnąć się z majaków i grzesznych myśli, zapomnieć o swych klęskach. W szarzącym mroku dostrzegam

matkę i siostrę, wstrzymawszy oddech, upewniam się, że śpią, a zatem nie były świadkami moich zmór i kosmarów, nie zdradziłem się krzykiem ani ruchem ręki. Wieczność i śmierć, tajemnica czasu stają przede mną niepojęte i niepokonane. W ciemnych powijakach nocy i porannej szarówki czas kondensuje się, gęstnieje jak kwaśniejące mleko; rozbudzony, naiwnie usiłuję go przyniknąć, lecz napotykam tylko głębokie milczenie ponurych, stoczonych przez robactwo sprzętów, przynięcionych swoim nocnym, specyficznym ciężarem, wykrywam znieruchomiałe wahadło w sercu sprzętów zmiądzonych zapomnieniem, właściwie nieistniejących, bezliźnie zamienionych w plamy, okolonych liliową aureolą. Obrazki na ścianach, za szkłem, Anioł Stróż nad moim łóżkiem, szafka nocne, zięjący pustką flakon — wszystko to jest teraz jedną wielką, żalostną próżnią bez sensu, bo w półmroku ledwie można dojrzeć, gdzie się co znajduje, i właściwie tylko domyślam się tego na podstawie wspomnień z wczorajszego dnia, które wydają się bardzo już odległe.

Obecność matki i siostry odczuwam jako znak życia, chociaż nie słyszę ich oddechu, umieranie sprzętów natomiast odczuwam tej nocy niemal namacalnie, jako bolesny ciężar, gdyż stanowi ono jeszcze jeden dowód istnienia śmierci. Zaczynam też utożsamiać moją śmierć z zapomnieniem, w którym pogrążają się sprzęty w ciągu nocy, i przejmuję mnie dreszcz litości nad losami świata. Jako jedyną pociechę, jedyny znak zwycięstwa nad nicością wyławiam z mroku — najpierw jako odgłos, potem jako nikły błysk metalu — małe, okrągłe

serce zegara, bohatercko przeciwstawiającego się śmierci, nocy i czasowi, usiłuję więc jego zwycięstwu nadać rangę powszechnego triumfu, umieścić jego serce w martwym ciele nocy, aby je wskrzesić, wydzwignąć ponad rozrównienie i uczucie klęski. Przykładam ucho do ścianki martwej szafki nocnej i chwytam przenikające ją drżenie, słyszę, jak uderza jej puls poniżej gardła jak u jaszczurki, wyteżam wzrok, by dojrzeć doniosłe skutki tego zwycięstwa, i już wydaje mi się, że jasny promień zaryzował skrzydła Anioła Stróża. Pozwałam więc snuć się rojeniom, rozdmuchuję zwycięstwo do powszechnego triumfu barw i światła, które zaczyna atakować ze wszystkich stron, występować z ram obrazków, wykwiatać na kształt wielkich płomiennych róż z zawieszonych na drzwiach sukienki mojej siostry Any.

Z nadejściem świtu, świadom zwycięstwa, radośnie zaskoczony życiem budzącym się w sprzętach i we mnie, po raz pierwszy zasypiam snem sprawiedliwego, snem, w którym nie ma wlotów ani upadków.

Collins podbiegł do stołu, zapalił lampę. Wentworth i Luiza tymczasem dzwignęły Mulatkę. Oczy miała przyknięte, oddech coraz słabszy. Collins podniósł lampę wysoko nad głową i przyjrzał się dziewczynie. W dłoniach ścisnęła małą ampułkę. Na wargach jej pozostało kilka drobniutkich ziarenek proszku. (Rozdział XXXIII) „Wiatr! Wiatr!” — rozległy się okrzyki na pokładzie. „Nareszcie — pomyślał z radością Wentworth. — Koniec tej okropnej ciszy”. Działo się to rankiem, w jakieś dwa tygodnie po śmierci Marcii. Siedział na werandzie ze

swoją dziewczyną i z Southerlandem, patrzył na morze, wielkie, świetliste morze, na którym tu i ówdzie zaczynały już narastać fale...

Słyszałem łoskot fal rozbijających się o boskie brzoża dalekich kontynentów — Tahiti, Archipelagu Malajskiego, Japonii — jak bujnie rozkwitła róża otwierała się przedemną historia świata, przygoda dostępna jedynie największym śmiałkom, wiecznotrwała historia świata, w której dokonał się właśnie jeden z rozdziałów — wspaniały *happy end* miłości. Perłopławy, Mulatki, kępy koralu, orzechy kokosowe, egzotyczna flora i fauna, wszystko to były Boskie twory na miarę mojego snu, ich barwy i kształty, a zwłaszcza zapachy potrafiłem wyczarować z taką dokładnością, że oryginał mógłby tylko stracić w moich oczach, jak w oczach ślepeca, który nagle przejrzał, gdy w wyobraźni stwarzałem idealne modele roślin i zwierząt, odwołując się do doświadczeń ze snów i lektury Biblii, do czasów Noego. Błogosławiony podział świata na złych i dobrych! Moi bohaterowie — na których wyciwny patrzyłem niekiedy przez palce, wybaczałem im lekomyślność i niezbyt obiektywnie oceniałem przygody miłosne — wyszedłszy obronną ręką z piętrzących się niebezpieczeństw, na zakończenie powieści otrzymywali nagrodę niebios w postaci jakiegoś boskiego daru: Mulatki o wargach nabrzmiałych jak owoc granatu albo białej dziewczyny — z piegowatym noskiem — która ramionami przypominającymi lilie oplatała szyję sprawiedliwego.

Prerażony rygorystycznym klimatem scen biblijnych, przekonany, że z piętnem grzechu pierworodnego nigdy nie zdołam zachować wszystkich dziesięć przykazań,

udręczony katechizmem, który strona po stronie wyraża moją skłonność do grzechu, mój upadek, nieuchronność tego upadku i oczywistość czekającego mnie piekła — oddaję się lekturze ulubionych powieści podobnie jak grzesznym myślom, przed którymi nie potrafię się obronić, a które według surowych, drakońskich wyroków sądu ostatecznego są jednak mniej grzeszne niż postęпки, niż czyny. Przywłaszczam sobie z powieści ląd i morza, niebo i miłość. O, życie, o, świecie, o, swobodo! O, ojczyzno mój!

Pewnego jesiennego wieczoru — niechaj czytelnik pozwoli, że wyodrębnię to zdarzenie — pewnego największego jesiennego wieczoru (miałem wtedy jedenaście lat), bez żadnego przygotowania, bez zapowiedzi, bez znaków na niebie, dziwnie po prostu wtargnęła do naszego domu Euterpe, muza poezji lirycznej. Było to jedyne ważne wydarzenie, jedyne promień rozjaśniający *status quo* tej chmurnej jesieni. Leżałem w kuchni na drewnianej skrzyni, z kocem naciągniętym na głowę, z rozpaczą postanowiwszy przespać jesienną nudę i poskromić głód stoickim rozmyśleniem o tym, co mnie czeka, o miłości. Głód wysubtelnia człowieka, wysubtelnienie rodzi miłość, miłość rodzi poezję. Moje bardzo jeszcze niedojrzałe wyobrażenie o miłości i o tym, co mnie czeka, przekształcało się w fascynującą, wymalowaną jaskrawymi barwami mapę świata (aneks do książki mojego ojca), w coś nieosiągalnego, w rozpacz. Podróżować! Kochać! O, Afryko, o, Azjo, o, dalekie kraje, o, moje życie! Zamknąłem oczy. Pod powiekami, zaciśniętymi mocno,

aż do bólu, szara rzeczywistość zderzyła się z ogniem fantazji i zapłonęła purpurową luną. Potem przybrała odcień żółty, błękitny, fioletowy. Na chwilę otworzyło się niebo i przy dźwięku fanfar ujrzałem, jak nagusieńkie aniołki, poruszając skrzydełkami niczym muchy, unoszą się wokół skupiającego różową jasność ogniska rajy. Trwało to jednak, powiadam, zaledwie chwilę. Wkrótce z zawrotną szybkością zacząłem pogrążyć się w otchłani i nie był to sen. Poddawałem się jakiemuś wspaniałemu, wszechogarniającemu rytmowi, a słowa płynęły mi z ust potokiem, jakbym nagle stał się medium przemawiającym po hebrajsku. Był to istotnie jakiś dziwny język, niesłychanie dźwięczny. Gdy minęła pierwsza fala gorączkowego podniecenia, zacząłem zastanawiać się nad znaczeniem słów i dopiero wtedy pod falującą powierzchnią melodii i rytmu odkryłem tekst całkiem zwyczajny, jak w barkarolach, które śpiewał mój ojciec. W pełni świadom, że wiersza tego niepodobna przetłumaczyć, proszę, żeby czytelnik zechciał zwrócić uwagę na elementy, z których był zbudowany, gdyż mogą one posłużyć jako dowód, że utwór ten istniał kiedyś naprawdę. Cała ta ballada, liryczna i fantastyczna, istne arcydzieło natchnienia, złożona była z kilku słów następujących po sobie w doskonałej, niepowtarzalnej kolejności: *kępa koralii, chwila, wieczność, liść*, poza tym z tajemniczego, zupełnie niezrozumiałego słowa — *plumasseria*.

Oszalały ze strachu, jakiś czas jeszcze kulilem się na skrzyni, aż wreszcie oznajmiłem głosem łamiącym się ze wzruszenia: „Mamo, napisałem wiersz”.

Gdzie się podziały błyszczące ramy tej powieści, dorozki ciemnofioletowe w poświacie księżyca, kwiaty wędzące w wazonach? Gdzie kwiaty w rozkołysanych koszykach na prowincjonalnej stacji? Gdzie niebieskie światło lamp w przedziałach pierwszej klasy? Gdzie siedzenia z zielonego pluszu, koronki falujące jak wachlarze? Czyżby tak szybko przestał działać przyrząd do upiększania wspomnień, szklane naczynie, przez które przepływa prąd podczas procesu galwanoplastyki? Gdzie pozłota ze starych ram, gdzie uśmiech Mony Lizy?

Jesteśmy świadkami upadku wszelkich wartości. Pod wpływem wilgoci i nagłych zmian temperatury pozłota zaczęła odpadać z ram, wyblakły skrzydła Anioła Stróża i wargi Mony Lizy. W czasach, gdy ojciec grał swoją życiową rolę Ahaswera, nasze meble, raz po raz nadawane na bagaż, nieustannie ulegały zniszczeniu i jakby zarażone filokserą zaczęły się rozsypywać, próchnieć. Małe czerwonawe pasożyty, które moja matka określała popularną nazwą „amerykańskie robaczki”, a ojciec mawiał o nich *Ageronia mexicana*, upodobniły nasze szafy do szczątków wydobytych z dna morza, bez połysku, z labiryntem wydrążonych tuneli. Od czasu do czasu odłupywały się od nich duże płyty forniru, a na jego spodzie widniały jak gdyby ślady indiańskiego pisma, którego fantastyczne hieroglify tłumaczyliśmy sobie jako znak z tamtego świata. Także maszyna do szycia mojej matki, niezwykle wrażliwa na wstrząsy, przepadła bezpowrotnie w zamęcie wojennym, zaginęła jak sierota, zgubiła się gdzieś po drodze. Był to ciężki cios dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla matki. Nie lepszy los spotkał drugie

grające pudło, które stanowiło niegdyś ozdobę i chlębę naszego domu: stara kanapa koloru zgniłej wiśni rozleciała się na jednej ze stacyjek pomiędzy Budapesztem a Kanizsą, do końca nie przestając zachwycać słuchaczy muzyką sprężyn: świadkowie mogliby stwierdzić, że nawet jej rżenie brzmiało nadzwyczaj melodyjnie. Zdaniem mojego ojca, który uczestniczył w wizji lokalnej, głos jej w owej chwili najbardziej przypominał klawesyn, jeżeli oczywiście i to nie było chorobliwą przesadą, halucynacją, *delirium tremens*.

W naszym domu panowały teraz wilgoć i zielonkawoszara pleśń, jedyny kolor w naszym mieszkaniu, kolor zgnilizny. Całe nieszczęście polegało na tym, iż w żelaznym piecyku kuchennym nigdy nie chciało się palić, toteż brakowało nam prawdziwego płomienia, blasku. Ów piecyk wzmagał jeszcze wrażenie pustki w naszym mieszkaniu, przynajmniej z początku, zanim przywykliśmy do dymu. Później, gdyśmy się już dobrze wyplakali i zabrakło nam łez, zaczęliśmy poruszać się w błękitnawoszarym dymie jak w naturalnym środowisku, nazywaliśmy go poetycznie „ogniskiem domowym”, krztusiliśmy się nim jak dymem mocnych, drogich cygar, w którym urzeczywistnia się zapach lata i igliwia, a także ciepła, bliska sercu idea domowego ogniska. Paliliśmy w tym piecyku suchymi szyszkami zbieranymi w lesie, jesienią, i znoszonymi do domu w dużych workach, jak węgiel. Ach, ta cudowna kopalnia, te złote pokłady! O, Hrabiowski Lesie, o, lesie mojego ojca! Z drzew kapała rosa, a zapach żywicy zmieszany z wonią igliwia działał profilaktycznie i sam już nie wiem jak. Jesienne wędrówki po lesie napełniały nas radosnym

podnieceniem. Wracaliśmy przed wieczorem, obładowani workami, zatrzymywaliśmy się zwykle na skraju lasu, żeby trochę odpocząć i doczekać zmroku. Gdzieś w dali rozlegał się dźwięk rogu myśliwskiego, melodyjne ha-lal-lal-lal, po czym zapadała uroczysta cisza.

Wśród drzew błędził duch naszego ojca. Czy nie słyszeliśmy przed chwilą, jak wyciera nos kawałkiem gazety, a las odpowiada mu trzykrotnym echem?

„Musimy już iść — mawiała wówczas moja matka. — Boże, jak prędko się tutaj ściemnia”.

Strasburg — Belgrad, 1962–1964

KLEPSYDRA

*Ex voto, na modłę staroświecką
Mirjanie*

Prolog

Migotanie cieni rozbija krawędzie przedmiotów i zniekształca powierzchnie brył, przesuając sufit i ściany zależnie od charakteru grzebieniastego płomienia, który rozkwita, to znów więdnie, jak gdyby przygasał. Żółta gliniana dolna powierzchnia podnosi się niczym deski na dnie tonącej łodzi, a po chwili zanurza się w ciemności, jakby zalana mętną, brunatną wodą. Cała izba dygoce, poszerzając się, to znów zacieśniając lub tylko zmieniając miejsce w przestrzeni o kilka centymetrów w lewo — w prawo i w górę — w dół, lecz zachowuje stałą objętość. Wskutek tego linie poziome i pionowe przecinają się niby to chaotycznie, w różnych nieprzewidzianych punktach, ale na zasadzie jakiegoś wyższego porządku i równowagi sił, która nie pozwala, aby ściany się rozsypały, aby sufit się wykrzywił, obniżył lub całkiem opadł. Ta równowaga istnieje zapewne dzięki równomiernemu przesuwaniu się podłużnych belek podtrzymujących sufit, one też bowiem jak gdyby ślizgały się to w lewo, to w prawo, w górę i w dół, razem ze swymi cieniami, bez skrzywienia i bez trudu, lekko, niby po wodzie. Słysząc, jak fale nocy biją o burty barki-pokoju: podmuchy wiatru zasypują okno

to płatkami śniegu, to znów ostrymi kryształkami, na przemian. Kwadratowe małe okno, jak otwór strzelni czy, zapchane jest rozpadającą się poduszką, z której sterczą gałgany i powiewają niby bezkształtne zielsko lub pędy roślin — nie wiadomo, czy poruszają je uderzenia wiatru wdzierającego się przez szpary, czy tylko ich cienie kołyszą się zależnie od kaprysów grzebieniastego płomienia.

Oko z wolna przywyka do półmroku, do rozkołysanej izby, pozbawionej wyraźnych konturów, do migotliwych cieni. Przyciągnięty blaskiem płomienia wzrok kieruje się ku lampie, ku ostatniemu jasnemu punktowi w mrocznym pomieszczeniu, leci ku niej jak zabłąkana mucha i zatrzymuje się na tym jedynym źródle światła, migocącego niby daleka, przygodna gwiazda. Przez chwilę osłepione i jakby zaczarowane oko nie widzi nic poza tym światłem, ani długich cieni, ani rozkołysanych płaszczyzn, ani powiewających gałganów; zupełnie nie widzi tylko światło, ów grzebieniasty płomień jakby poza przestrzenią, a potem zaczyna z wolna rozszczeptać światło, przepuszczać je przez swój pryzmat i odkrywać wszystkie barwy spektrum. I dopiero gdy je rozszczepiło, gdy je rozłożyło, w powolnym falowaniu coraz bledszej jasności okalającej płomień oko odkrywa wszystko to, co da się jeszcze odkryć wśród fałd cienia i pustki: najpierw cylinder, krystaliczną osłonę płomienia, z początku w ogóle niezauważoną, pominiętą, jakby była jedynie echem płomienia i jądra jasności, echem, po którym następuje ciemność wyraźnie odgraniczona, jak gdyby światło było powycinane szkłem, umieszczone w jaskini,

pochowane w mroku, tak że dokoła istnieje nie tylko ciemność, ale jakaś inna materia, o całkiem odmiennym ciężarze gatunkowym, gęsta, różniąca się od tej, która otacza płomień. Trwa to jednak zaledwie chwilę, zanim oko oswoi się nie z ciemnością, ale ze światłem. Wówczas odkrywa, że było to złudzenie, i dostrzega kopeć na szkle, kopeć, który od głębokiej czerni przechodzi w odcień srebrzysty, jak w osłepłym zwierciadle. Oko już widzi, że ta szklana osłona nie jest granicą jasności, podobnie jak nie bez zdziwienia odkrywa, że srebrzysty odcień sadzy też jest tylko złudzeniem, a porównanie z osłepłym zwierciadłem to nie gra wyobraźni, ale gra światła, wyraźnie widoczna w umieszczonym za cylindrem okrągłym lustrku, w którym widać drugi płomień, płomień-bliźniak, niemal nierzeczywisty, ale płomień. Jeśli oko aż do tej pory go nie dostrzegało, to tylko dlatego, że umysł opiekał się złudzeniu, nie chciał go przyjąć (jak na rysunku, gdzie oko widzi białą wazę albo klepsydrę, albo kielich, aż do czasu, gdy umysł — wola? — odkryje, że ta waza to próżnia, negatyw, czyli złudzenie, a pozytywem, czyli rzeczywistością, są dwa identyczne profile, dwie głowy zwrócone do siebie twarzami, symetryczne *en face*, niby w lustrze, nieistniejącym lustrze, którego oś pokrywałyby się z osią teraz już nieistniejącej wazy-klepsydry, kielicha, naczynia, właściwie w podwójnym lustrze, tak żeby obie twarze były rzeczywiste, a nie tylko jedna, gdyż w przeciwnym razie ta druga stanowiłaby jedynie odbicie, echo pierwszej, i wtedy już nie byłyby symetryczne, nie byłyby nawet rzeczywiste; żeby więc obie twarze były równoprawne, obie jak platońskie prawzory, a nie tylko

jedna, bo w przeciwnym razie druga z konieczności stałoby tylko *imitatio*, odbicie odbicia, cień; dlatego te dwie twarze, przy dłuższej obserwacji, jednakowo się przybliżają, jakby pragnąc się połączyć, potwierdzając swoją identyczność).

Oswojone ze światłem (podobnie jak umysł oswoił się ze złudzeniem) oko zaczyna szperać w ciemności i półmroku. Wyzwoliwszy się spod magicznej siły przyciągającej płomienia, dostrzega teraz lampę naftową, podobnie jak jej migotliwy cień, i rozpoznaje duże bryły cieni. W przestrzeni zasłoniętej przez lustro panuje jeszcze głęboki mrok (a płomień wydobywa się właśnie z tego mroku, jakby się nim karmił), natomiast na lewo i na prawo od lampy przesuwają się duże szare płaszczyzny, zbyt jasne, aby były cieniem, za mało jasne, aby były światłem. Lecz umysł przychodzi oku z pomocą i jakby dotknięciem ręki odkrywa twardą powierzchnię szarobiałych ścian, a wyraźnie już odróżniając cień od światła, odkrywa następnie trzy długie belki pod sufitem, trzy długie belki podwojone przez cienie, załamane, niby pręt w wodzie, poprzecznymi cieniami niewiadomego pochodzenia. Zorientowawszy się w przestrzeni, znalazłszy mocne oparcie, wyznaczywszy północ, oko odkrywa duży cień kuchenki zmieszany z kuchenką, podwojoną kuchenkę z czarnej zardzewiałej blachy i lekkiego cienia, ośmionożną kuchenkę, która kołysze się na długich nogach niczym zziębnięte psisko drżące na wietrze. Za lustrem na lampie, za płomieniem-odbiciem panuje ciemność i tam jest ślepe okno: stamtąd ciągnie ziąb, stamtąd dobiega igielkowaty dźwięk i przytłumione drżenie szyby. Z drugiej strony,

naprzeciwko ślepego okna, stoi drewniana skrzynia; widac tylko jedną jej ściankę, która chwieje się, ale jakoś nie pada. Obok drewnianej skrzyni, obok jej dna, cień załamuje się nieregularnie, faliście. Powoduje to wypukłość glinianej podłogi na przestrzeni metra — metra i pół, przypominająca raczej zablźnioną ranę niż grób. W kącie, przy samej skrzyni, oparte o jej bok niewidoczny w ciemności, jakby wyrzucone przez mętną wodę, zawieszono między podmytą ścianą a deskami skrzyni, bardziej wyczute niż dostrzeżone, znajduje się to, czego szukało oko: tornister o zaokrąglonych bokach.

Spojrzenie obleciało izbę jak ćma, zderzyło się z ulotnymi cieniami, odbiło się od ścian i belek, a teraz powraca ku światłu, gdzie leżą jak gdyby ukryte przedmioty (spojrzenie odnajduje je na końcu, nie szukając w pobliżu płomienia, nie szukając niczego w bliskości światła) na stole niewidocznym aż do tej chwili, w cieniu czy w świetle, aż do tej chwili. Na lewo, tuż przy lampie, arkusze papieru w kratkę; obok złożona wpół gazeta, prawie na środku stołu; na prawo — kilka numerów zatłuszczonego czasopisma i książka w czarnej okładce ze złotym nadrukiem jakby z tej samej materii co płomień; zasłonięty cieniem lusterka, nieco ponad powierzchnią stołu, jak gdyby unosił się w powietrzu, do połowy wypalony papieros. Niewidocznymi drogami dym dostaje się do lampy i niebieskawy, skłębiony, wypływa przez cylinder.

Ręka zbliża się do płomienia.

Obrazy z podróży (I)

2

Ze wstrzymanym oddechem, z głową zwróconą ku drzwiom człowiek nasłuchuje. Odnosi wrażenie, że tamci w sąsiednim pokoju nie śpią, udają tylko. Czeka więc, aż sen ich przechytry. Obawia się, że swoją czujnością, swoją bliskością (rozdzielają ich jedynie rozchwiane drzwi z dużą szparą przy ziemi), nurtem swoich myśli mogłoby na niego wpływać. Myśl bowiem, zwłaszcza w cichej nocy, przed zaśnięciem, koncentruje się z taką siłą, że drga w powietrzu jak ładunek elektryczny, nieomal dostrzegalnie, niczym żar nad rozpalonym piecem.

Z tamtej strony drzwi nie słychać oddechów, nie słychać nic. Albo to, co słychać, ta drżąca cisza to właśnie ich oddechy, cisza ich myśli i snu.

Teraz odwrócony jest plecami do stołu. Jego długi cień, niewyraźny i chybliwy, przecina pomieszczenie po przekątnej, a bezkształtny, zdeformowany cień głowy załamuje się na krawędzi drewnianej skrzyni. Depcząc swój cień, jak lunatyk, człowiek kieruje się w kąt izby. Osłonięta od światła jego ciałem, ręka na oślep sięga ku niewidocznemu przedmiotowi, który dostrzegł, kierując się w tę stronę, a także wtedy, gdy wszedł do izby.

Wyczuwa pod palcami zaokrąglone brzegi tekturowego pudła i gładką, chłodną powierzchnię mosiężnego zastrzasku. W rękę trzyma teraz mały uczniowski tornister bez rzemieni (rzemienie prawdopodobnie się urwały, bo na spodniej stronie połyskują jeszcze nity), o zaokrąglonych drewnianych bokach i klapie z tektury, która udaje świńską skórę. Człowiek podnosi klapę i przytrzymuje ją brodą. Pod cienkimi zeszytami wymacuje kanciąstą buteleczkę, gładką i zimną jak kostka lodu. Ścisną ją w dłoni, odkręca korek, wciąż jeszcze nie odwracając się do światła. Podsuwa szyjkę pod nos, uważając, żeby jej nie dotknąć, i czuje zapach atramentu. Zamyka buteleczkę, z lekka potrząsa i spogląda na nią pod światło. Na wygładzonych krawędziach zamigotał mglisty płomień lampy, licznął ciemnofioletowy atrament wzdłuż ścianek naczyńka. Człowiek znów zaczyna szperać w tekturowym tornistrze, przytrzymując klapę brodą. Obok zeszytów znalazł cienką, wrzecionowatą obsadkę i ujawszy ją trzema palcami, wyrysował w powietrzu jakieś arabeski. Potem przycisnął czubek pióra do paznokcia dużego palca; dał się słyszeć odgłos przypominający trzeszczenie twardych skrzydeł owada.

Znów jest przy stole; moment bezruchu. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął długie arkusze papieru w kratkę i położył na gazecie. Papier jest zgięty wzdłuż, jak urzędowe pismo, ale nie złożony. W pierwszej chwili jeszcze widać drobne kratki, lecz linie powoli się rozplywają, roztopiają i nikną, a wkrótce potem znikają oświetlone brzegi arkuszy. Zamiast nich pozostaje tylko źródło bladej światła. Gdyby nie miał w kieszeni

złożonego wół projektu, napisanego w ciągu ostatnich dni (w jakiejś bezmiennej restauracji, obok rozżarzonego pieca, na stole nakrytym zatłuszczoną serwetą; w ciemnej klitce za pracownią ze wzorami makatek, na starym stole do gry w karty, przy świetle naftówki, w przedziale pociągu pospiesznego, również nocą, przy białym świetle lampy acetylenowej; lecz także w półśnie, w tej właśnie izbie), gdyby więc nie włożył w niego tyle wysiłku, może by zrezygnował ze wszystkiego. Ale ten projekt kusi wbrew silnemu pragnieniu, aby go powierzył płomieniowi i położyć się spać. Nie może jednak wszystkiego rzucić w ogień, teraz, kiedy już zrobił pierwszy krok i tych kilka stron wydarł pustce. Bez względu na wahanie i chwilową rezygnację budzi się w nim, na granicy poznania, przecucie, że może ów mały fragment historii rodzinnej, ów krótki zapis ma w sobie siłę kronik, które, gdy ujrzą światło dzienne po upływie wielu lat albo nawet tysiącleci, stają się świadectwem czasu (niezależnie od tego, o jakim człowieku była mowa), jak fragmenty rękopisów znalezione nad Morzem Martwym lub w ruinach świątyń, lub na murach więzień.

Wyjął więc z wewnętrznej kieszeni projekt napisany ółówkiem, na takim samym papierze w kratkę, i przebiegł go spojrzeniem.

Projekt leży tuż obok lampy. Knot rozplómienia się faliście, wykwita płomień z liliowego jądra, poprzez czerwień, aż do bladej żółci. Cylinder lampy pokryty jest kopciami, wokół którego widać srebrzystą błonkę, jak na osłepłym zwierciadle. W ciszy ledwo dosłyszalnie syczy falisty grzebień płomienia. Szum czasu.

Na chwilę odłożył pióro. Gazeta-bibuła. Na niej, w poprzek rządków druku mówiących o gołębiach-listonoszach**, pierwsze słowa listu jak gdyby w lustrze, jak gdyby po hebrajsku.

3

Człowiek spogląda na spiczasty płomień, drgający w prądzie zimnego powietrza, które ciągnie od niewidocznego okna naprzeciw, potem spojrzenie ześlizguje się niżej, na zaklaną bańkę lampy. Bańka zwięza się pośrodku, tworząc wgłębienie, na którym zaciśnięty jest zardzewiały blaszany pierścień. Symetryczne półkola pierścienia nie zamykają się jednak, ale rozdzwajają w odległości paru centymetrów i z końców ich wystają dwa równoległe druty, które łączą się przy wierzchołku w trójkąt o zaokrąglonych bokach, a pośrodku utrzymują w ramce zardzewiałej blachy na wół ślepe okrągłe lustroko o wyszczerbionych brzegach. Lustroko stwarza dwa bliźniacze płomienie, dwa grzebieniaste płomienie stojące naprzeciw siebie, równoprawnie, bez względu na to, że jeden z nich, ten w lusterku, ten który się odbija, żyje jedynie

* Gołębie, wypuszczone z samolotu, z początku nie umieją sobie radzić. Te, które już mają doświadczenie, rzucają się w dół jak kamień i lecą tak aż do chwili, gdy się uwolnią od wpływu prądów powietrznych. Nowicjusze natomiast próbują zaraz lecieć przed siebie. Wiatr rzuca je na wszystkie strony niczym statki na wzburzonym morzu i przez jakiś czas krążą bezradnie, póki nie zorientują się i nie odnajdą kierunku, w jakim powinny lecieć, żeby dotrzeć do celu (przypr. aut.).

dzięki przywidzeniu, iluzji, z łaski pierwszego płomienia. Bańka jest od wewnątrz zielonobrunatna niby akwarium z ustalą wodą i wydaje się oszliżła od jakichś ledwo widocznych glonów i porostów. Człowiek przygląda się naczyniu, szukając linii, która powinna wskazywać poziom nafty, powierzchnię płynu, ale płyn całkiem się utożsamił z kolorem szkła, oddziałując na nie, nadając mu swój własny kolor: brudnoszary, zielonobrunatny, rdzaworudy. Najpierw szuka owej linii pod blaszanym żebrzem pierścienia, przenika wzrokiem pokrywające guzkowatą powierzchnię szklanej bańki drobne bąble, wokół których nawarstwiła się tłusta błonka nafty zmieszanej z sadzą i kurzem. Nie znalazłszy poziomu nafty (zbyt leniwy, żeby wykonać ryzykowny, skomplikowany ruch i zakolysać lampą tak, by płyn sam się pokazał), przebiegł oczyma wzdłuż zarzewiałego blaszanego pierścienia na zwężonej części bańki, dokładnie pośrodku, w jej talii, i właśnie pomyślał, że powierzchnia płynu tu się zapewne skrywa, gdy u korzenia przesyconego knota, białego i ociężałego niczym glista opita w jelicie, dostrzegł ledwo widoczne zwężenie, małą deformację, jak w wypadku pręta załamującego się w wodzie. Zrozumiał, nie bez obawy, że nafty w naczyniu jest ledwie na palec. „Wszystko to wyssie, wszystko to połknie”. I jakby przestraszony tą myślą (że lampa zgaśnie), szybko machnął piórem, skrobął po papierze, kontynuując to, co zaczął, aby ubiec ciemność.

Na rozstawionych nogach, nieco pochylony, człowiek stoi przy oknie. Na ramiona ma narzucony koc. Koc pachnie końmi i moczem. Człowiek jest w kaloszach, lekko połyskujących w świetle, które wpada przez niskie, kwadratowe okno. Z tej wysokości może dojrzeć tylko wirujące płatki śniegu za szybą i od czasu do czasu mgliste zarysy jakiegoś drzewa. Śnieg nawarstwia się na ramie okiennej, tworząc mały falisty pagórek, zasypany śniegiem. Podmuchy wiatru zmieniają nachylenie zboczy pagórka, krzywą jego poziomu. Chwilami są to dwa łagodne wzgórza, niemal jednakowej wysokości, całkiem schematyczne, lecz nagle wiatr odkształca falistą linię, łącząc dwa wzgórza w jedno lub spiętrzając ostry grzebień w miejscu, gdzie przedtem była kotlina. Gdy śnieg nieco się przerzedza, człowiekowi przychodzi na myśl, że od okna do drzewa nie ma więcej niż dziesięć metrów, lecz gdy wiatr niesie duże płatki, drzewo oddala się od domu, jak łódź odbijająca od brzegu, niepostrzeżenie. Tę przestrzeń złudnych konturów także pokrywa śnieg, a falista powierzchnia, również zmienna, upstrzona jest ładami stóp, może od wczoraj, może od rana, może od paru godzin. Okno drży pod uderzeniami wiatru i słychać wysoki, krystaliczny dźwięk szkła, po którym skrobie śnieg. Człowiek podnosi głowę, nasłuchuje. Przez chwilę wydaje mu się, że z oddali dobiega szczekanie psa. Ale głos ginie w przeciągłym wyciu wiatru, miesza się z nim i nie wiadomo, czy było to szczekanie psa, czy tylko skowyt zawiei. Jak długo już ten człowiek stoi przy

oknie, okryty kocem? Może cały dzień, może godzinę lub dwie, może zaledwie dziesięć minut.

Teraz całkiem nachylił się do okna, tak że zaciemnił izbę. Poprzez mglistą jasność usiłuje przeniknąć oczyma przestrzeń za drzewem, gdzie wznosi się ogrodzenie z siatki, której oczka zupełnie zalepił śnieg. Wyraźny, ostry dźwięk dzwonek dobiega nagle, bez zapowiedzi, bez linii wstępującej. Niemal jednocześnie człowiek dostrzega mgliste zarysy łbów końskich, a zaraz potem ludzi siedzących w saniach: woźnicę w zaśnieżonej futrzanej czapie i kobietę, która właśnie wysiada. I ona ma na głowie czapkę z futra, jeśli to nie włosy upięte w wysoki kok, ubielony śniegiem. Kobieta bierze coś, co leżało na siedzeniu, i wyciąga rękę ku woźnicy. Człowiek patrzy, jak kobieta z małą walizką zbliża się do furtki, strząsa śnieg z drucianej siatki, a potem brnie w głębokim śniegu. Idzie prosto ku niemu. Człowiek nagle odwraca się od okna i szybkim krokiem podchodzi do drzwi. Słyszy pukanie. Przez podłużną szparę dostrzega ruchomy cień, a potem słyszy, jak kroki oddalają się, skrzypiąc w śniegu. Spogląda przez szparę. W pierwszej chwili nie widzi nic, a potem tylko wirujące białe płatki. Znowu słyszy, jak skrzypiąc w śniegu, kroki się zbliżają. Widzi teraz kobietę, tę samą co przedtem. Strząsnęła z głowy śnieg, wyraźnie więc rozpoznaje jej bujne, kędzierzawe włosy, upięte w wysoki kok, na który padają kryształowe płatki. Kobieta otulona jest czarną, robioną na drutach chustą, spod której wyciąga niebieską kopertę. Człowiek nagle podnosi głowę i widzi nad drzwiami, wewnątrz, trójkątny róg koperty z wilgotnymi śladami palców. Znowu

przykłada oko do podłużnej szpary, kobieta jednak już zniknęła. Kroków nie słysza. Odsunawszy się od drzwi, człowiek spogląda na kopertę, ale jej nie dotyka. Myśli pewnie, że kobieta ukryła się i skądś obserwuje wetkniętą w szparę nad drzwiami, powiewającą niebieską kopertę, której większa część została na zewnątrz.

Człowiek leży na łóżku; właściwie siedzi oparty o dużą poduszkę. Nakryty jest szarym kocem, spod którego wystają tylko ręce i głowa. W rękę trzyma cienką książkę lub czasopismo. Na okładce — reklamy; fotografie opon samochodowych różnej wielkości, z różnymi zygakowatymi liniami, a w poprzek nich duże stylizowane litery, prawdopodobnie marka opon. Tytuł wytłoczony jest grubszymi literami, w skos, w górnej trzeciej części zeszytu, na szarzielonym tle. Kartki zatłuszczone, często pozaginane, może przypadkiem, a może dla zaznaczenia miejsc, gdzie znajdują się jakieś istotne wiadomości. Człowiek wypuszcza spod dużego palca kartki, które trzepoczą. Pod wpływem tego zwija się płomień lampy na marmurowej płycie szafki nocnej. Razem z płomieniem zaczynają drgać, jakby się poruszały, liczne sanie na tapetach, wytłoczone symetrycznie w odstępie może dziesięciu centymetrów. (Z powodu owej symetryczności oraz wielokrotnego powtórzenia szarego rysunku sanie sprowadzają się do jednych jedynych, podobnie jak postaci przedstawione w tej scenie, która nie wydaje się statyczna, lecz przeciwnie, zaczyna ożywać, wbrew

identyczności albo właśnie dzięki niej). Są to staroświeckie sanie o wysoko wywiniętych płozach, które nadają im kształt arki. W zaprzęgu dwa konie — zatrzymały się albo dopiero się zatrzymują. Woźnica o sumiastych wąsach i w futrzanej czapie, na którą napadał śnieg, ściąga wodze. Końskie łby są podniesione wzwyz i w bok, pewnie pod wpływem siły ściągniętych wodzy. Z saní schodzi kobieta z dużą mufką w lewej ręce albo może z małą walizką, prawą ręką natomiast przytrzymuje się wygiętego pręta u boku siedzenia. Spod futra i długiej sukni sięgającej kostek wyziera niewiarygodnie mała nóżka w spiczastym pantoflu. Noga zawisła w powietrzu pomiędzy siedzeniem saní a falistą linią śniegu. Na prawo od saní, na wysokości końskich łbów, widać żaluzje w oknach jakiejś wptwrnej rezydencji z dużą sklepioną bramą. Kobieta najwyraźniej przybyła niespodziewanie, bo okiennice są przymknięte, a ciężka gotycka brama zawarta, na pewno zaryglowana. Płomień uspokoił się i noga kobiety, zatrzymana w powietrzu, teraz całkiem znieruchomiała. Nieruchome są też łby koni. Przednie nogi, zgięte w kolanach pod kątem ostrym, zawisły w powietrzu. Spojrzawszy na zamkniętą przed chwilą książkę, człowiek odkłada ją na marmurową płytę szafki nocnej. Prócz książki, którą odłożył, obok lampy znajduje się blaszana popielniczka i napoczęta paczka papierosów. Biała porcelanowa lampa ma klosz z cienkiego przejrzystego szkła, z wymalowanymi dużymi liliowymi irysami. Zanim zdmuchnie płomień, człowiek przykręca knot. Teraz w pokoju widać tylko marmurową płytę, przypominającą taflę lodu. Woźnica

zaciął konie batem, sanie pomknęły w mrok. Nie słyhać już dzwoneków, nie słyhać nic. Jedynie skowyt zamieci po tamtej stronie okna i mroku. Kobieta w futrze na chwilę zatrzymała się przed bramą, potem brama ją połknęła, a tym samym ziewnięciem pustki ciemność połknęła również bramę. W jednym z okien, za wpiół przymkniętymi drewnianymi żaluzjami, widać smugę światła przenikającego przez spojenia. Człowiek patrzy na smugę światła, które przedziera się naprzeciw niego przez spojenia niewidocznych drzwi. Smuga porusza się, jakby za drzwiami ktoś przesuwiał źródło światła albo to zmniejszał, to podkręcał płomień lub tylko osłaniał go dłonią od wiatru. Nie słyhać kroków ani głosów, jedynie skowyt zamieci po tamtej stronie okna i mroku. Smuga światła tymczasem coraz bardziej się rozszerza, rozwierając bok świetlistego trójkąta na podłodze, a długie cienie zaczynają się poruszać, łukowato, wokół osi sprzętów. Marmurowa płyta szafki nocnej wynurza się oświetlona, razem z lampą, czasopismem, emaliowaną popielniczką, napoczętą paczką papierosów. W coraz szerszej szparze światła w drzwiach ukazuje się lampa, a raczej tylko porcelanowy abażur rozświetlony własną światłością. Knot jest chyba przykręcony, tak że nie widać innych części lampy ani trzymającej ją ręki. Można tylko dojrzeć na kloszu z cienkiej przejrzystej porcelany liliowe kwiaty, zapewne irysy. Ów jasny klosz z irysami przez chwilę unosi się w powietrzu i z lekka kołysze, po czym niewidoczna ręka podkręca knot. W tym momencie lampa i trzymająca ją ręka zaczynają przesuwac się do przodu, a płomień tańczy w strumieniu powietrza ciągnącym od

otwartych drzwi i półprzymkniętych okiennic. Kobieta przechodzi przez pokój bezszelestnie, trzymając lampę na wysokości głowy, w pewnym oddaleniu od siebie. Twarz ma zupełnie bez wyrazu, jakby odlaną z wosku, oczy na pozór przymknięte. Włosy upięte w wysoki kok, czarne lub może siwawe. Długa przezroczysta koszula, sięgająca ziemi, spływa w głębokich fałdach wokół jej niewidocznych, zaledwie wyczuwalnych kostek i można pomyśleć, że owa postać unosi się w powietrzu, luno-tycznie przezroczysta i lekka. Koszula jest różowa albo koloru skóry, albo w świetle lampy te dwa kolory mieszają się i wzajemnie przenikają. W odległości nie większej niż na wyciągnięcie ręki sunie za nią bezgłośnie druga kobieta w takiej samej koszuli sięgającej ziemi. I ta ma włosy upięte w wysoki kok, twarz jak z wosku, oczy pozornie przymknięte. Ta druga nie trzyma lampy, ale wyciąga ręce do przodu, jakby chciała dosięgnąć lampy w rękach pierwszej i odebrać ją, przypomina nie tyle bliźniaczkę, ile cień pierwszej, jej odbicie w jakimś bocznym lustrze, w uchylonym skrzydle szafy albo w lśniących powierzchniach mebli.

6

Zamieć chwilowo ustała, drobne, rzadkie płatki śniegu unoszą się w powietrzu. Człowiek stoi przed drzwiami. Na głowie ma popielaty kapelusz, wystrzępiony płaszcz sięga mu do kostek i getrów mysiego koloru, założonych na błyszczące kalosze. Jedną ręką przyciska do piersi, na wysokości serca, zatluszczoną aktywkę ze świńskiej

skóry, w drugiej trzyma laskę. Człowiek rusza. Po lewej stronie, kilka metrów od zaszypanego podjazdu wznosi się oszklona parterowa weranda. Za oszklonymi drzwiami prowadzącymi do domu z werandą słychać śmiech, bardzo stłumiony, i głosy, których znaczenia nie można rozpoznać. Gdy człowiek znalazł się na wysokości drzwi, śmiech nagle zabrzmiał wyraźniej. Pewno ktoś właśnie otworzył drzwi. Człowiek spojrział w tamtą stronę. Stół naprzeciwko drzwi ustawiony jest wzdłuż, tak że widać go w znacznym skrócie. Miejsce u czoła wolne (czy nie siedział tutaj przed chwilą ten albo ta, która otworzyła drzwi?); tu także stoi porcelanowy talerz i do połowy opróżniony kieliszek czerwonego wina. Po przeciwnej stronie (jeśli tam nie jest czoło stołu) siedzi kobieta z wysokim kokiem, w czarnej sukni. Po bokach stołu, na tej samej wysokości, niemal symetrycznie, siedzą po dwie osoby, widoczne z profilu: dwie kobiety w czarnych sukniach, może nieco młodsze od tej pierwszej, a naprzeciwko mężczyzna o żółtej twarzy i jeszcze ktoś, kogo dobrze nie widać. W świetle padającym z przeciwnej strony (przez odsunięte firanki na oknie spią się drobne płatki śniegu jak konfetti) połyskują symetrycznie rozstawione porcelanowe talerze, naczynia i szkło. Dokładnie pośrodku stołu, na nieznacznym podwyższeniu, wzdłuż, rozpiera się prosiak. Człowiek widzi go w skróconej perspektywie: krótkie uszy i zakręcony ogon tłustego prosięcia, które błyszczy jak odlane z brązu. Ryj jest zwrócony ku drzwiom — w szernalych, dużych kłach zielone jabłko. Ręka mężczyzny o żółtej twarzy zatrzymała się, razem z kieliszkiem, w pół drogi między stołem a żółtymi

zębami. Stało się to w chwili, gdy przez otwarte drzwi zobaczył człowieka z laską.

7

Człowiek siedzi na głazie przydrożnym. Głaz jest okrągły, grubo ciosany, wyraźnie widać skutki erozji i czasu w jego porowatej, gąbczastej tkance, na której rozpościera się promieniście plamy porostów w postaci drobnych kropli przypominających rdzę. Ten kamień najwyraźniej nie znalazł się nad krawędzią przepaści po prostu przypadkiem, ale umieściła go tu ręka ludzka i nadała mu ostateczny kształt (jeśli można to nazwać ostatecznym kształtem). W górnej części znajduje się niewielkie siodlaste wgłębienie w ciemniejszej, szarej warstwie o wyraźnie odmiennej strukturze i wieku geologicznym niż podstawowa bryła wapienia. Na krawędzi wgłębienia widać lej grubości dużego palca, długi na jakieś dwadzieścia centymetrów, równoległy do osi kamienia. Jego równa linia świadczy o tym, że też został wydrążony ludzką ręką: ślimakowate łuki to niewątpliwie ślady wiertarki pneumatycznej lub żelaznego klina, za których pomocą wiercono otwór na dynamit (o ile kamienia nie odłupano od podstawy po prostu mechanicznie). Człowiek ogląda się. Na równym skalistym zboczach, wznoszącym się po tamtej stronie drogi niby wysoka ściana, odkrywa w skale pionową szczelinę, która mogłaby dokładnie odpowiadać, jako druga symetryczna połowa, lejowi na krawędzi siodlastego wgłębienia, tym bardziej że na tej stromej ścianie też wyraźnie widać dwie różne warstwy

górną, ciemniejszą, i dolną, jaśniejszą, bardziej kruchą. W stronę horyzontu ciągnie się skalisty masyw, ponaciany ostrymi fałdami, wgłębieniami i szczelinami. O jakieś dwadzieścia metrów poniżej kamienia, na którym siedzi człowiek, można jeszcze dojrzeć plamy porostów, rudawe i czerwone, a gdzieś tam zupełnie białe, jak gdyby ostre skały były spryskane wapnem albo kalem ptasim. Obok kamienia, na którym siedzi, z głębokich szczelin przy drodze wyzieraają włochate, pokryte kurzem liście piołunu, nieco już wyblakłe. Człowiek czuje ich zapach wznoszący się razem z falami gorąca, które bije z rozgrzanego kamienia. Rzadkie krzaczaste rośliny, rozrzucone na skałach i w kotlinach, wyraźnie odróżniają się bladą zielenią od szarobiałego kamienia i jasnych plam porostów o barwie wapna. Na dalekim szarym zboczu, ciągnącym się w stronę horyzontu, można dojrzeć białą wstęgę drogi, która opada równoległe skośnymi liniami, wcinającymi się w skałę. Ze zbocza na zbocze droga staje się coraz węższa i wreszcie w pobliżu pasa zieleni, wąska już niby kozia perć, wywija się w meandry i w kształt jasnej litery *m*, jak trzy jasne linie na dłoni. Na krętej poszarpanej linii, gdzie łączą się ląd i morze, widać głębokie fiordy i zatoki, a pomiędzy nimi ostre skaliste szczyty. Słońce, idealnie okrągłe i czerwone, właśnie dotyka spiczastego wierzchołka. Wielkie cienie gór zabarwiają błękit morza na ciemnozielono, wyraźnie rozgraniczając błękit i zielen jak dwie barwy, które się nie mieszają, przynajmniej nie tak łatwo i gruntownie, jak mieszają się na dalekiej linii horyzontu błękit nieba i błękit wody.

Opodal łamanej linii zetknięcia ładu i morza można dojrzeć wśród zieleni skupisko maleńkich domków, również schematycznych: białe ściany i czerwone dachy. Na lewo, w pewnym oddaleniu od skupiska domków, pod słupem komina, z którego wznosi się czarna nić dymu prosto w górę, czerwono odbijają się promienie słońca w oszklonej fasadzie fabryki, niby łuna pożaru. Na końcu krótkiego mola stoi kamienny słup latarni morskiej. Wierchołek latarni jarzy się migotliwym, iskrzącym światłem i nie wiadomo, czy to odbłask słońca, czy światło lampy gazowej. Po brzegach mola, z obu stron, znajdują się żelazne pale do cumowania statków. Człowiek siedzi na jednym z tych pacholów, pośrodku mola, twarzą zwrócony ku morzu. Przy mołu uwiązana jest samotna barka, łódź rybacka z jednym masztem. Nie ma na niej nikogo. Lina zwinięta w pętlę, jak zmija, leży na pochyłości wznoszącej się ku dziobowi. Deski w tym miejscu były niegdyś pomalowane na zielono; farba całkiem już wyblakła, gdzieś tam potworzyły się bąble lub liczne drobne szczeliny jak na starych płótnach. Dno stateczku, także z desek, wyokrąglą się niby wielka beczka. Od zewnątrz barka pomalowana jest na czarno, a tam, gdzie łączą się deski, połyskuje świeża, roztopiona smoła, która wzbiera powoli, jak krzepnąca krew. Brzegi burt z grubych desek pomalowane są zieloną farbą, podobnie jak wznoszący się ku górze dziób, z dziobnicą wzmocnioną metalem. Z burty zwisają dwie wysłużone opony samochodowe, całkowicie wytarte, tak że nie widać już falistych wy pukłości ani zygakowatych nacięć, jedynie jakieś litery z boku, zapewne to marka fabryczna. Pomiędzy oponami

na burcie stateczku a kamiennym mołem ciągnie się łukowato zielona linia wody. Barka zwrócona jest dziobem ku morzu, stoi nieco ukośnie do moła. Morze jest spokojne, ciemnozielone i przezroczyste, tak że wyraźnie widać zanurzoną część kadłuba, podobną do muszli, przechylony ster i małą śrubę w kształcie ósemki. W dole, na nieokreślonej głębokości dna, można dojrzeć cień muszli stateczku, podziurawiony promieniem słońca odbijającym się od martwej ryby, stłuczonego lusterka czy blazowanej puszkii po konserwach.

Nagle cień stateczku zaczyna drżeć, rozpraszać się, zanikać. Promień słońca gaśnie, a zielona powierzchnia fałuje i łśni. Słychać, jak woda pluszcze wokół mola i boków barki. Skrzywienie liny uwiązanej do pachola. Powolny chrobot łodzi w zatoce. Stateczek zbliża się do mola łagodnym łukiem. Powolne, opóźnione sapanie dobiega dopiero wtedy, gdy milknie motor, odgłos ów bowiem zakradł się w ciszę jakoś niepostrzeżenie. Rozkołysana woda odslania na bokach kamiennego mola zielony welur alg i czarne plamy małżów. Morska trawa i rozmaite odpadki, które aż do tej pory utrzymywały się na powierzchni niemal bez ruchu, nagle poruszyły się zakołysane, rzucane w lewo — w prawo, w prawo — w lewo: łupy arbużów; pomidory; rdzawe ogryzki jabłek; rozmiękle niedopałki; pudełko od papierosów; martwa rybka; skórka chleba; zdechły szczur; pudełko zapalek; wyciśnięta połówka cytryny; zmurszała gałąź; szyszka; wykałaczkii; słomki; rybnie łuski; zgniła pomarańcza; zielona butelka od piwa; kawałek deski; rozdarta niebieska koperta; ogryziona drewniana obsadka; pióra ptasie; kolba kukurydzy; korek;

rozerwany słomkowy kapelusz; przedziurkowany bilet kolejowy; dwie połowy ołówka bez grafitu; strzępy gazet; kartka papieru w kratkę z rozmazanymi literami; pudełko od konserw; orzech; okrągła blaszana puszka, w której była kiedyś zielona farba; odcinek przekazu pniego; żółto-zielona etykieta z butelki piwa; wyszczerbione szkło lampy; figura szachowa (biały pionek, któremu tylko głowa wystaje znad wody); król karo o wystających brzegach, złamany pośrodku, ale nie przepołowiony, tak że wyraźnie widać symetryczne, szablonowe postacie; kolorowa pocztówka, a na niej, na pierwszym planie, błękitne morze i molo z latarnią, przy molu statek rybacki uwiązany do kamiennego pala, zaś inny statek zbliża się do mola, przecinając powierzchnię wody łagodnym łukiem. Na drugim planie, za zielonymi palmami, białe domki o czerwonych dachach. W dali wysokie góry, po których wije się wąska droga, a nad nią błękitne niebo i kilka purpurowych obłoków. Gdzieś pośrodku mola, na jednym z pachołów, siedzi człowiek. Jest nieco przygarbiony i pochylony ku przodowi. Na głowie ma zsunięty do tyłu słomkowy kapelusz, a między rozstawionymi kolanami trzyma laskę lub raczej chyba wędkę. W odległości jakichś dziesięciu metrów, oparta łokciami o kamienną barierę, stoi kobieta, a przy niej chłopiec pięcio- czy sześćioletni i nieco starsza dziewczynka. Wszyscy patrzą w stronę horyzontu, pewnie podziwiają zachód słońca. Znajdują się na samym zakręcie, w miejscu gdzie droga rozszerza się, tworząc jak gdyby taras albo punkt widokowy. Opodał, na samej krawędzi drogi z grubo ciosanych kamiennych bloków stoi samo-

chód. Na czarno lakierowanej karoserii cienka warstewka kurzu. Kwadratowe szyby są całkiem opuszczone, drzwi otwarte na roścież. W dużych okrągłych reflektorach odbija się purpurowy zachód. Nad profilem przedniej części auta, przypominającym plaster miodu, maska o ząbkowanych, niklowanych brzegach, spod której bucha para. Cały przód samochodu drga w falach gorąca, unoszących się jakby nad rozżarzonym piecem. Pod szerokim błotnikiem, przypominającym błotnik dorożki, na wytrąconych oponach ledwie można rozpoznać faliste wypukłości czy zygzakowate nacięcia. Na bokach opon litery wypełnione kurzem, najpewniej marka fabryczna. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach wspiera się o błotnik mężczyzna w kaszkiecie w kratkę i dużych okularach w kauczukowej oprawie. Patrzy ku pasażerom, których tu przywiózł — ku człowiekowi siedzącemu na kamieniu przydrożnym, jakieś dziesięć metrów poniżej zakrętu, i ku grupce w pobliżu, przy kamiennej barierze. Potem i on spogląda w stronę horyzontu, pewnie na zachodzące słońce. Teraz kobieta patrzy ku człowiekowi siedzącemu nieco niżej na kamieniu. Ale on jakby ich nie dostrzegł. Zapatrzył się w dal; pewnie podziwiał zachód słońca.

Człowiek spogląda teraz w stronę zakrętu, skąd słychać kroki i grzechot kamyków. Wkrótce na zakręcie wyłania się osioł obciążony chrustem. Z pochyloną głową, z opuszczonymi uszami kroczy po stromej pochyłości. Brzemień chrustu, przywiązanego sznurem do niewidocznego jucznego siodła, zwisa na zakurzone boki osła. Na wąskich gałązkach widać świeże ukośne cięcia. Sterczy

pośród nich sierpowate ostrze noża z cienkim kanciastym trzonkiem. Na gałązkach, w ciemnych, luźno przytroczonych bukłakach chlupocze płyn: wino, mleko lub woda. Kilka kroków za osłem idzie kobieta w czarnej spłowiałej sukience i zawiązanej pod brodą, równie spłowiałej chustce, zgięta pod ciężarem chrustu nie mniejszym niż ten, który dźwiga osioł. Człowiek odprowadza ich oczyma aż do chwili, gdy kryją się za ostrym zakrętem. Nieco później znowu ich dostrzega na następnym zboczu, dwadzieścia metrów niżej. Potem znikają mu z oczu na długo, aż wreszcie ukazują się na kolejnej serpentynie. Nie słychać już chlupotania w bukłakach ani chrobotu kamyków pod nogami. Człowiek wstaje z kamienia i podpierając się laską, idzie drogą pod górę, po czym siada obok szofera.

Zapiski szaleńca (I)

II

Trudno jest wysoko unieść swoje nieszczęście. Być obserwatorem i jednocześnie przedmiotem obserwacji. Tym, który jest w górze, i tym, który jest na dole. Ten na dole to plama, cień... Patrzyć na własne istnienie w aspekcie wieczności (czytaj: w aspekcie śmierci). Wznieść się na wyżyny! Świat z lotu ptaka.

Idea mojego statku powietrznego jest stara jak ludzkość. To tylko kontynuacja zamiarów Ikara. Także mój szybowiec zrodził się z obserwacji lotu ptaków. Nie wymaga nawet siły wioslarza. Nie jestem zresztą sportowcem. Ani też człowiekiem specjalnie silnym — muskuły mam prawie jak niewiasta. Czy możecie sobie wyobrazić następującą scenę: odświętnie ubrany, z muszką w grochy, wsuwam ramiona w rzemieńne pasy i ulatuję na kształt gołębia, spadam z dziesiątego piętra głową na dół, jak kamień, następnie jednym ruchem skrzydeł wyrывam się z loopingu i wysokim łukiem lecę nad głowami tłumu. Zdaje się na laskę prądów powietrznych i siadam na łące w pobliżu mej rodzinnej wsi. (*Natio borgo selvaggio*; zapadła dziura rodzinna!) Potem zwijam skrzydła, chowam do aktówki i wchodzę do wsi niezauważony, anonimowy, jeśli wolicie.

Z waszego punktu widzenia, nawet gdybyście się znali, dowali na dachu drapacza chmur, wyglądam jak żuraw, wkrótce jak jaskółka, potem jak nietoperz, potem jak motyl, potem jak bąk, potem jak pszczoła, potem jak muszka (albo muszka w grochy) i wreszcie jak musza pstrzyzna. Zniknąłem z waszego pola widzenia, zniknąłem bez śladu. Wzniosłem się do nieba, drodzy moi państwo. Tak, do nieba czystej abstrakcji.

9

Gdyby człowiek przyłożył głowę do ziemi w odpowiednim momencie, człowiek o słuchu psa, usłyszałby cichy, ledwo słyszalny szmer, jaki wydaje woda przelewana z jednego naczynia do drugiego lub piasek przesypany się w klepsydrze — coś takiego można by usłyszeć, coś takiego słyhać, gdy przyłoży się do ziemi głowę, z przywartym uchem, z myślą drążącą w głąb przez warstwy geologiczne, do mezozoiku, do paleozoiku, przez warstwy piasku i nieprzepuszczalnej gliny, z myślą drążącą niby korzeń olbrzymiego drzewa przez warstwy mułu i kamieni, przez warstwy żwiru i gipsu, przez warstwy martwych ślimaków i małżów, przez torfiaste warstwy rybich łusek i szkieletów, przez szkielety żółwi i gwiazd morskich, i koników morskich, i potworów morskich, przez warstwy bursztynu i drobnego piasku, przez warstwy trawy morskiej i próchnicy, przez gęste pokłady alg i muszli perłoplawów, przez warstwy wapienia, przez warstwy węgla, przez pokłady soli i lignitu, cyny i miedzi, przez warstwy szkieletów ludzkich i zwierzęcych,

przez warstwy czaszek i żeber, przez warstwy srebra i złota, przez pokłady cynku i pirytu. Gdzieś tutaj bowiem, na głębokości kilkuset metrów, znajduje się trup Morza Panońskiego, jeszcze nie całkiem martwy, lecz tylko przyduszony, przytłaczany coraz nowszymi warstwami ziemi i kamienia, piasku, gliny i torfu, zwłokami zwierząt i zwłokami ludzi i zwłokami dzieł ludzkich, tylko przygnieciony, bo wciąż jeszcze oddycha, oto już na przesłuzeniu kilku tysięcy lat, przez słomkę falujących pól zboża, przez trzcinę bagienną, przez korzenie ziemniaka, jeszcze nie całkiem martwy, lecz tylko przytłoczony warstwami mezozoiku i paleozoiku, bo oto oddycha już od kilku godzin, od kilku minut (według miar czasu ziemskiego), oddycha ciężko, astmatycznie, jak górnik przygnieciony filarami, stemplami i ciężkimi blokami wyciskającego pot węgla. Gdy człowiek przyłoży głowę do ziemi, gdy przystawi ucho do wilgotnej gliny, zwłaszcza w takie ciche noce, może usłyszeć jego oddech, jego przedłużone śmiertelne rżenie.

10

Jeżeli wszystko dzieje się według ściśle deterministycznych praw boga-natury, zgodnie z ogólną zasadą *causa sui*, w takim razie nie istnieje przypadkowość jako zjawisko obiektywne, nie tylko w skali wszechświata, lecz także w najbliższych zdarzeniach, na przykład gdy ktoś zostawi książkę (zapomni jej?) w przedziale pierwszej klasy (jakby ją tu umieściła Opatrzność Boska, albo jakby przyfrunęła z nieznanych dali na kształt anioła, który

przysiadł z wóptrozłożonymi skrzydłami na siedzeniu z zielonego pluszu, w pierwszej klasie, na miejscu numer dwadzieścia sześć, przy oknie, a więc właśnie na tym, które zarezerwowano dla niego na prowincjonalnej stacji Szid, a ktoś inny (predestynowany?) usiadł właśnie na tym miejscu i znajdzie oprawny w czarną skórę tomik (*Tractatus theologico-politicus*), który na tego kogoś wprze silny i trwały wpływ.

11

ZAŁOŻENIE: Niezakłócona praca umysłu wymaga absolutnej samotności, w przeciwnym razie umysł dostaje się pod zgubny wpływ cudzego umysłu, nie będąc może nawet tego świadom.

DOWÓD: Gdyby w sąsiedniej izbie nie spała moja żona, w myślach moich na pewno nie pojawiłyby się czarno-górskie wsie, tylko może jakieś inne odniesienie, inny determinant, gdyż w projekcie mojego listu nie było nawet wzmianki o czarnogórskich wsiach ani o ładnych wsiach, jako że wówczas (gdy pisałem projekt) mój umysł nie był jeszcze pod wpływem jej umysłu, ale (co z poprzedniego wynika) pod wpływem jakiegoś innego promieniowania Q.E.D.

KONKLUZJA: Doskonała samotność jest nieosiągalna, albowiem, gdybyśmy ją osiągnęli, osiągnęlibyśmy także doskonałość, a to nie jest niczym innym jak ideą, czyli Bogiem.

12

Czarny rynek może, z jednej strony, przynieść wielki zysk (przy wielkim ryzyku oczywiście), a z drugiej nieobliczalne w skutkach niebezpieczeństwo zarazy. Sprzedaż mięsa padłych lub chorych zwierząt; masowe zatrucia zepsutym mięsem (któregoś dnia w gazetach). Jakieś robaki, pasożyty jelit przenoszące się z wieprzowego mięsa do organizmu człowieka; kielbasa z dzika, zatrutej tą chorobą, to już nie zrobaczywiła kielbasa, ale kielbasa z robaków.

13

Przyprawy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mają działanie profilaktyczne i dezynfekujące oraz pewne właściwości mimetyczne, dzięki którym znakomicie oddziałują na zmysł powonienia subtelnych kupców zepsutej kielbasy. Wskutek operacji wojennych, blokady morskiej itd. przyprawy osiągają powoli wartość droższych metali lub, dokładniej mówiąc, odzyskują swą zdegradowaną, średniowieczną wartość i cenę, swą przysługą aureolę rzadkości.

Stalowa kasa Wertheim & Co. Weksel, czek, podpis właściciela; sprawdzanie, pieczęcie. Bezgłośnie otwierają się dobrze naoliwione, ciężkie stalowe drzwi. Zapach przypraw bije z kasy falami. Zależy to chyba od ciężaru gatunkowego. W powietrzu unoszą się niewidoczne cząsteczki pieprzu — kichanie i pokasływanie. Przedziurkowany weksel i — woreczek goździków albo cynamonu.

Sługa uniżony, wielmożny panie! Jeszcze raz sprawdzić czy skórzany woreczek jest dostatecznie pewny. Uzbrojona eskorta i samochód pancerny przed bocznym wejściem do banku. Po otwarciu drzwi samochodu pancernego nagle wyzwalają się uwięzione zapachy dalekich łądów. Dusza Kolumba, Vasco da Gamy.

14

Zmienić konstrukcję dachu: belki, listwy; dać nowe dachówki i rynnę; wymienić zbutwiałe futryny i poszerzyć okna; zdrapać tynk i syplik próchno; wszystko na nowo otynkować i wybielić; przekopać ziemię na głębokość metra lub półtora metra (zależnie od tego, do jakiej głębokości glina wchłonęła koński moc); nanieść świeżej ziemi, a na to położyć deski; w kuchni położyć płyty albo też podłogę z desek; poszerzyć mieszkanie o jakieś metr-dwa, to znaczy rozebrać i przesunąć ścianę dzielącą je od spiżarni; uporządkować spiżarnię i doprowadzić do stanu używalności; wszelką niepotrzebną starzynę wyrzucić na śmietnik: stare rowery, konewki, skrzynie, chomąta itd., wszystko na śmietnik. A jakże, i to: jej pelargonie — na śmietnik.

15

Koniec końców mleko jest pokarmem. Mleko matki na przykład. Mleko ssaka. Jezus ssący wymię krowy. Albo owcy. Albo wielbłądźcy. Zamiast bielutkiej piersi Przenajświętszej Paniienki. Także Maria jest ssakiem. Także

jej piersi wydzielają kiedyś biały mleczny sok. Albowiem lehowa w swojej mądrości zatroszczył się również o dzieci, o mlode. Niech się stanie gruczoł, i stał się gruczoł. Niech pocieknie mleko, i mleko pociekło z pęcherzykowatych ust piersi. Ratowanie życia według systemu usta-usta. Rodzaj posiłku żołnierskiego, który specjalnie wzbogaca się wszelkimi niezbędnymi dla organizmu składnikami (co zarazem odciąża transport i upraszcza problem wyżywienia). Tłuszcz, białka, węglowodany, enzymy, witaminy, sole mineralne; wszystko to zatem, co biesiadnicy podczas wielkanocnej uczty (lukullusowej) wnosili do swych organizmów w stanie stałym, i to bez umiaru. Wszystko to znajduje się w mleku, w postaci drobnych, mikroskopijnych cząsteczek. Pojawiły się wściekle krowy i w mgnieniu oka pożarły, co tylko było na stole: pieczone prosię, kurę, szynkę, ciastka, owoce i orzechy, wszystko, wszystko, wcale nie po kolei, absolutnie lekceważąc bon ton, to znaczy według zasad krowiego bon tonu, a więc najpierw połknęły ciastka, zaraz potem wychłptały rosół z kury, a w końcu wsunęły na deser batystowy obrus nasiąknięty tłuszczem, winem i sorbetem. Później fabryka w ich kałdunach wszystko to przerobiła, rozdrobniła, zwarzyła, sfermentowała, oczyściła, przefiltrowała, spasteryzowała, zakwasiła, wychłbotała, znów przefiltrowała, wreszcie wymieszała z kazeiną, albuminą, laktozą, i na koniec wszystko się znalazło w wymionach, a następnie w blaszanych kubkach, w rękach moich dzieci; po trzykroć, raz za razem, jak w bajce.

Śledztwo (I)

16

Czy E.S. opatrzył list prawdziwą datą?

Po nazwie wsi napisał jutrzejszą datę, usprawiedliwiając swój postępek tym, że według jego zegarka marki Longines z dnia dzisiejszego zostało jedynie szesnaście minut i w związku z tym przewidywany koniec (jeszcze daleki), a nawet początek tego listu już przynależą jutru. List został zaczęty u kresu jednego dnia, ale w całości należał do dnia nadchodzącego, do nadchodzącego brzasku, do dalekiego świtania.

Czy poza tym przerobił kiedyś datę jakiegoś dokumentu?

W roku szkolnym 1905/1906 przerobił datę zaświadczenia lekarskiego i w ten sposób przedłużył sobie wycząsy mniej więcej o tydzień. W roku 1912 zmienił datę wydania bezpłatnego biletu drugiej klasy na pociąg pośpieszny od stacji Kameral Moravice do Zagrzebia, przedłużając ważność biletu niemal o trzy tygodnie. W roku 1924 powtórzył ten wyczyn, nie wyciągnąwszy (najwyraźniej) nauczki z poprzedniej kary (tej z roku 1912), prawdopodobnie zdążył o niej zapomnieć i znów zmienił datę na swoim dokumencie podróży — tym razem

był to bilet pierwszej klasy (numer 755 363) — aby bezpłatnie podróżować od stacji Vrbovsko do Nowego Sadu i na linii Nowy Sad–Budapeszt (przez Suboticę) zaledwie o dziesięć dni dłużej, od pierwszego do jedenastego listopada. W roku 1932 znowu przerobił datę na pewnym dokumencie: na zaświadczeniu lekarskim numer 2249, stwierdzającym, że jest tymczasowo zdrowy do decydowania o sobie, z tym, że co sześć miesięcy winien poddawać się gruntownym badaniom lekarskim; w tym wypadku ważność dokumentu przedłużył o cały rok (1933). W roku 1934, w Suboticy, zmienił datę na kilku dokumentach w Fabryce Wyrobów Szczotkarskich, której był współwłaścicielem i akcjonariuszem...

Czy odpowiadał za któryś z tych czynów?

Dwukrotnie. W roku 1912 (Kameral Moravice — Zagrzeb) zapłacił karę w wysokości dziesięciu koron, a w 1934 (Fabryka Wyrobów Szczotkarskich) przegrał sprawę ze swoim współnikiem Weissem, który nie mógł mu udowodnić fałszerstw, ale przekonał sąd o jego winie. Dość było innych oznak niesumiennego prowadzenia interesów.

Czy E.S. przechowywał jakieś dowody swojej winy?

Wśród papierów, w teczce z napisem „Dokumenty kolejowe” miał Decyzję Głównego Inspektora Węgierskich Królewskich Kolei Państwowych (*Magyar Királyi Államvasútak*), wydaną w roku 1912 pod liczbą porządkową 1042, natomiast dokumenty odnoszące się do sprawy z Weissem zniszczył co do jednego.

Proszę podać w całości tekst wspomnianej Decyzji.

Pan E.S., dietariusz kolejowy, Kameral Moravice (za pośrednictwem Naczelnika stacji). — Jak stwierdzono, dnia 23 lutego br. jechał Pan od stacji Kameral Moravice w kierunku Zagrzebia pociągiem pospiesznym numer 1091, drugą klasą, posiadając bezpłatny bilet wydany 4 listopada ubiegłego roku pod liczbą porządkową 95463. Nieważność biletu usiłował Pan zatuszować w ten sposób, że datę wystawienia przerobił Pan z 4. na 24. W związku z tym wymierzam Panu grzywnę w wysokości 10 (dziesięciu) koron, które winny być potrącone z Pana wynagrodzenia w dwóch ratach. Jednocześnie upominam, aby na przyszłość stanowczo wystrzegał się Pan postępów niegodnych funkcjonariusza kolei. Inspektor I. Šušnjić.

Czy pokazywał komuś tę Decyzję?

Przed dwoma laty pokazał ją panu Gawanskiemu, po to, aby podkreślić solidność pracy na kolei w przeszłości (w porównaniu z obecnym stanem). Pragnął się też pochwalić, że za młodu był prawdziwym *huncwotem*, zdolnym do wszelkich *huncwoterii*, choćby nie wiem jak niebezpiecznych.

Do kogo zwracał się E.S. na początku swojego listu? Do najmłodszej siostry, Olgi.

Miał jeszcze jakieś rodzeństwo?

Cztery siostry (nie licząc Olgi) i jednego brata, to znaczy, razem z Olgą pięć siostr i brata.

Do kogo, poza nią, mógł zwrócić się w ten sam sposób, listownie?

Nie licząc na lepszy skutek od tego, jaki przewidywał, mógł zwrócić się poza tym do starego i, że tak powiem, jedynego przyjaciela, pana Gawanskiego (Nowy Sad,

Wybrzeże Kolejowe 8), do brata, Dolfi-Adalberta (Triest, Via Lazzaretto Vecchio 11), do prezydenta Roosevelta, do premiera Churchilla, do kanclerza Adolfa Hitlera, do admirała Horthyego, do Ministerstwa Kolei, do Ministerstwa Finansów, do Oskarżyciela Publicznego, do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, do Międzynarodowej Unii Pomocy, do Ligi Obrony Praw Człowieka, do Międzynarodowej Rady Żydów, do Towarzystwa Ochrony Zwierząt, do Boga Ojca *Sabaoth*.

Dlaczego zatem nie zwrócił się do którejś z wymienionych osób lub instytucji?

Do Gawanskiego nie zwrócił się, nie chcąc go kompromitować na wypadek, gdyby policja kontrolowała jego korespondencję. Do swego brata Dolfi — z powodu napiętej sytuacji osobistej i międzynarodowej. Do pozostałych natomiast dlatego, że nie dowierzał nikomu z nich, z wyjątkiem może tego ostatniego, z którym i tak często obcował.

W jakim stosunku pozostawał nadawca do adresata?

W stosunku dłużnika, gdyż poprzedni nadawca, a obecny adresat, przed dziesięcioma dniami przysłał nadawcy, poprzedniemu adresatowi, krótki list.

O czym była mowa w tym liście?

O sytuacji atmosferycznej (mróz, zamiecie), o zdrowiu (grypa, kaszel, reumatyzm, migrena, nerwy, obstrukcja), o lekarstwach i ziołach leczniczych (aspiryna, szaflwia, rumianek, okłady z wody Burowa, reumina), o wroście (cen drzewa i węgla (z 240 do 320, względnie z 350 do 380), o złym stanie dróg (zawiane śniegiem), o zimowej odzieży, a zwłaszcza o popielatym garniturze męskim; o jakichś

kocach, o cytrynie jako owocu w dzisiejszych czasach nieistniejącym, o szynce, o orzechach na święto Chanuki, o wszystkim widzącym i wszechmocnym Bogu, o skarpetach, o spalonym lesie, o potażu (otrzymywanym z popiołu drzewnego).

Czy w liście tym nie było mowy o czymś, o czym pragnąłby się dowiedzieć?

Nie było mowy o butach męskich i o pędzu do golenia.

17

O czym przypominały mu własne przemarzniete palce?

O krótkich, pulchnych, zakrwawionych palcach pana Hordósa, rzeźnika.

Jakie niebezpieczeństwo przyszło mu na myśl?

Że te palce mogłyby się pomieszać z kielbaskami, a p. Hordós mógłby któryś ze swoich zakrwawionych palców ciachnąć i zawinąć mu w papier razem z wędliną, więc zrezygnował z kupna krwawej kiszki.

Na co patrzył niezdecydowany klient?

Patrzył, jak p. Hordós zdejmuje z haka kawał wieprzowiny, przepycha swój kielbaskowaty palec przez dziurę po haku i kładzie jędrne mięso na dłoni, jak potem klepie to mięso, a ono ześlizguje się wzdłuż boków miski, zwijając się niby węgorz.

Jaka myśl pochłaniała niezdecydowanego klienta?

Myśl, że wyrazem twarzy, ruchem ani słowem nie wolno mu zdradzić, iż w kieszeni ma tylko pięć pengó i dwadzieścia osiem fillérów, w przeciwnym razie

bowiem rzeźnik gotów mu wpakować ochłapy albo nawet padlinę.

Czy zauważył jakieś oznaki tego, że p. Hordós, rzeźnik, jednak go przejrzał?

Owszem, mógł tak sądzić na podstawie faktu, że ten ostatni, widząc jego niezdecydowanie, wyciągnął spod lady płaską misę, przechylił przed nim, po czym nagle znów nadał jej pozycję poziomą, a niezdecydowany klient spostrzegł, jak w miejscu, gdzie na powierzchni galarety powstało faliste pęknięcie, wypłynęła biaława chrząstka i wyrzwał kawał owłosionej świńskiej skóry (ucho?).

Kiedy E.S. upewnił się, że p. Hordós przejrzał go na wylot?

W chwili, gdy ten ostatni zaczął wyciągać gdzieś spod lady podroby: ceglastą wątrobę przypominającą skwaśniałą, zakrzepłą krew, śledzionę oślizłą jak węgorz, pianogumową masę płuc, koronkową tkankę żwacza, nerki jak bliźniacze embriony, serce straszliwie przeszyte rzeźniczym nożem.

Jak E.S. przetłumaczył sobie nieme pytanie, które pojawiło się na moment w oczach rzeźnika?

Jada pan wieprzowe mięso?

Co odpowiedział mu E.S., również tylko spojrzeniem?

Tak, proszę pana. Wszystko, oprócz padliny!

Jaki obraz zjawia się potem w plamce żółtej jego pamięci?

Jego własne palce manipulujące przy mosiężnym zatrzasku aktówki. Raz po raz naciskał zatrzask, który jakoś nie mógł zaskoczyć.

Co przy tym czuje?

Czuje na dłoni jędrne mięso zawinięte w gazetę, zapach świeżego mięsa zmieszany z zapachem farby drukarskiej. Na chwilę uzyskuje wyraźny wgląd w sposób łamania gazety.

Nad czym głowi się E.S.?

Usiłuje sobie przypomnieć, jak włożył mięso do aktówki, robi to z maniackim uporem, kto wie, który już raz analizując (w pamięci) każdy swój ruch, mierząc w myślach ciężar każdego kawałka mięsa.

Czy ma jakiś dowód, że jednak włożył mięso do aktówki tamtego dnia, w jatkę?

Istnieje (istniało) niezbite *corpus delicti*: strzęp zakrwawionej gazety i kawałek odgryzionego serca o wadze paru gramów.

W jaki sposób E.S. usiłował pozbyć się obrazów, które zmienacka zjawiała się w jego pamięci, powodując wyrzuty sumienia?

Lirycznym skokiem w przód: pragnął przeskoczyć w pamięci drogę od jatki do gospody i od gospody do wsi, ale udało mu się to jedynie częściowo. W jego świadomości, na sumieniu pozostała plamka, podobna do tej, jaką wywołuje obraz padający na ślepą plamkę w oku.

Jakie dokładnie pytanie zadał sobie i nie znalazł odpowiedzi?

Czy można pozbyć się jakiegось obrazu z pamięci, podobnie jak umyślnym wywracaniem gałki ocznej można spowodować, że obraz pada na ślepą plamkę?

Jaki skutek wywołało umyślne wywracanie gałki pamięciowej?

Pamięć rozdrabniała i wywracała myśli, obrazy i dźwięki, a nad koszmarnymi wspomnieniami czuwał jasnowłosy anioł snu, anioł o rumianych policzkach i obfitych piersiach, o rękach czerwonych i nabrzmiałych od mycia szklanek. (Ach, ręce szynkarek, niebezpieczne ręce!).

Czy E.S. widział psy?

Nie, ale na podstawie rejestru głosowego i ledwo dostrzegalnych cieni na białym tle śniegu mógł przypuszczać, że zablądził na jakiś sabat psów, na ponury psi karnawał, na ludożercze, rytualne ogólnopsie święto, którego ofiarą miał paść on, E.S., we własnej osobie.

Co poza tym słyszał?

Wycie zawiei, która w porywach zmieniała rejestr psich głosów, zniekształcała je i wchłaniała, mieszając wycie psów z własnym, przystosowując ich wycie do swojego.

Jak E.S. widział siebie?

Oczyrna psa, jak przez dwuwypukłą soczewkę albo jak w krzywym zwierciadle: szpic laski wydłuża się w długiej perspektywie ku dużej jak głowa pięści, w której kończy się precel uchwytu. Ta głowa-pięść w dalekiej perspektywie staje się coraz cieńsza i przerasta w długą, cienką rękę, przy końcu, na odcinku ramienia cieńszą niż laska. Gdy spojrzeć wzdłuż cienkiej, zdeformowanej ręki, od dołu ku górze, niewyraźnie widać głowę, małą jak pięść.

Co jeszcze widać z psiej perspektywy?

Gąsienicowaty kalosz na pierwszym planie i czarną wytartą aktówkę, w której znajduje się niewidoczna, ale obecna wieprzowina (kilogram lub nieco więcej), kawałek nawet od szynki (70 gramów), żeberka (200 gramów),

ślonina (200 gramów), podroby (250 gramów), wszystko to zawinięte w niewidoczną gazetę.

Jak rozpoznawali wzajemnie swoją obecność E.S. i psy?

Psy węchem, słuchem i wzrokiem, a E.S. jedynie słuchem.

Jaką myśl podsunął mu strach?

Myśl o możliwości nie tylko mimikry, lecz nawet utożsamienia: gdyby zmienił optykę swoich okularów, mógłby się stać psem.

W czym znalazł ujście jego wypróbowany zmysł reklamy?

W następującej fantazji: „Stosownie do życzenia człowiek staje się psem, kotem, koniem albo ptakiem. Kupujcie czarodziejskie okulary firmy E.S. Według własnego wyboru będziecie oglądać świat oczyma zwierzęcia”.

Jakie związane z tym ogłoszenie ułożył w duchu?

„Czy chcielibyście swojego wiernego stróża — psa lub kotkę ulubienicę zobaczyć tak, jak one widzą was, ich oczami? Czy chcecie iść na polowanie, mając oczy psa? Albo oglądać publiczność na wyścigach konnych oczyma konia? Stańcie się koniem, psem lub kotem za jedynie 10 pengó. Nie możecie kupić skrzydeł ptaka, możecie natomiast ujrzeć świat oczyma gołębicy itd. Oto osiągnięcie najnowszych badań optycznych, psychologicznych, biologicznych i oftalmologicznych. Firma optyczna E.S. Katalog mozaikowych zdjęć w kolorze na żądanie wysyłamy bezpłatnie. Firma paraoptyczna E.S.”

Jak się zachowywały psy?

Nie zadowalały się już kawałkami mięsa, które starał się rzucać daleko od siebie (żeby omamić i odegnać psy), ale pewne swojej przewagi liczebnej i taktycznej rzucały się na żywe mięso, niewątpliwie rozumiejąc również to (jego własną skrytą myśl), że wróg jest pijany, odurzony i mimo teoretycznej i taktycznej wiedzy nie będzie mógł długo stawiać oporu na tym syberyjskim, lodowatym terenie.

Co wobec tego robił E.S.?

Nadal szarpał mięso, odrywał je razem z gazetą, na oślep chwytał krwawe, zamarznięte, śliskie kawałki, darł je paznokciami, szarpał zębami i starał się rzucać daleko od siebie, zgodnie z tą tanią i przejrzystą taktyką.

Co E.S. słyszał i wyczuwał?

Jak psy gnają za ciskanymi kawałkami mięsa, szczekając i warcząc nerwowo, niby na polowaniu, jak z łbami zadartymi w górę i ze zjezoną sierścią podążają w ślad za pachnącym mięsem, które leci w powietrzu, opisując niewidoczny, lecz regularny łuk, według surowych praw geometrii Euklidesa. Leci po orbicie, w której maczali palce i ów narwany zięć Maricia, i wiatr, i zamieć, i sam diabeł. Wyczuwał, jak psy śledzą węchem tę krwawą i pachnącą orbitę, z łbami zadartymi w górę, ze zjezoną na grzbiecie i karku sierścią, zwrócone w jednym kierunku, a prowadzone jego (E.S.-a) ręką, zamachem jego ręki, który był początkiem wszystkiego.

Jak się kończyła linia balistyczna rzuconego mięsa?

Krwawy kawałek mięsa, oderwany jego rękoma, paznokciami i zębami, nie mógł, jak należy, opisać łuku (który urywał się nagle, nieco powyżej metra nad ziemią,

gdzie wściekle, zgłodniałe psy przecinały go kłami gwałtownie i przed czasem).

Jak zachowywały się psy, przejrawszy nędzną ludzką taktykę (*divide ut regnes*)?

Zorganizowały się, zapewne na zasadzie odwiecznego prawa swoich dalekich przodków. Wilczury, zachowując jeszcze świeżą pamięć, poprowadziły stado bestii nowymi drogami: jedne stały wokół niego, oblegając tę ludzką twierdzę, to twarde miasto, i pozostawiając wolny jedynie krąg, jaki E.S. mógł zakreślić cyrklem swej ręki-laski, zmuszały go do coraz żywszego odrywania kawalków mięsa, inne, teraz już spokojniej, podążały za rzucanymi kąskami i chwytaly je zręcznie, bez poprzedniego zamieszania, nie czyniąc sobie wzajemnie szkody.

Co zrobił E.S., świadom swojej klęski?

Upadł na kolana i poczuł psi zapach, psie dyszenie — jakby surowe mięso w ustach.

Jak widział siebie (z odcieniem pewnej metaforyczności)?

On chwytła swoją wątrobę, a psy-orły ją rozdzierają. Wrywa swoje bliźniacze nerki, a psy je polykają. Odgryza drobne kawałki swojego serca i wypłwaja jak najdalej od siebie, a jego ojcowskie serce pada łupem zgłodniałych psów.

Jak nazajutrz, w łóżku, próbował sobie wytłumaczyć znaczenie tego koszmarne go snu?

Gonitwa oznacza akt płciowy (medium: p. Klara, szynkarka). Rozwarty pysk psa, podobnie jak aktówka, to krwawa macica, do której człowiek tęskni, do której chciałby powrócić i znowu się w niej skulić na podobieństwo płodu,

ale poza tym to także krwawe wnętrze kobiecego ciała, *vulva vulgaris, vagina, waga, wadera, wachla, ważka, wagonetka* itd.

Jak wytłumaczył obecność psów w swoim śnie?

Psy wyszły zapewne z „Przeglądu”, który czytał tej nocy przed zaśnięciem.

Jak tłumaczył inne symbole?

Śnieg to łóżysko; serce — macica; wątroba — łechtaczka; nerki — jądra; żółć — sperma; żebra — kompleks Edypa; psie zęby — agresja seksualna; psi ogon — penis; aktówka — *wagina, vulva* itd. Wszystko zatem wytrysnęło we śnie z tej maciczno-waginalnej aktówki: serce, wątroba, żebra, nerki — płód.

Jak chciał udowodnić samemu sobie prawidłowość swojego tłumaczenia?

Sięgnął ku krzesłu stojącemu obok łóżka (na krześle wisiało mokre poszarpane ubranie) i wziął do ręki „Przegląd”, założony na stronie 36, gdzie znajdował się artykuł pod tytułem *Wpływ wojny na psy*, przetłumaczony z londyńskiego „World Review”.

Proszę odczytać wspomniany artykuł w całości.

„Od czasu, jak zaczęła się wojna, w Anglii zauważono, że psy ruszyły do ofensywy na wszystkich frontach i wciąż wzajemnie się mordują. W każdym razie ambulatoria dla zwierząt odnotowują coraz większą ilość psich walk. Tak na przykład londyński Urząd do Spraw Leczenia Zwierząt we wrześniu 1941 roku zanotował 198 wypadków poszkodowania psów w tych walkach, a już w październiku 410 wypadków. Ekspert tej instytucji, Mr Govent, tłumaczy to zjawisko w następujący

sposób: psy są niezwykle wrażliwe na nastroje swoich panów. Jeżeli państwo są nerwowi, pies państwa będzie niespokojny. Państwo denerwują się, czytając o atakach z powietrza, a pies, wyszedłszy na ulicę, atakuje ogara sąsiadki albo samą sąsiadkę. Nie wie, dlaczego to robi, można powiedzieć, nie ma żadnych «wojennych celów». Wystarczy, że jego pan jest zły i zdenerwowany. Pies bowiem utożsamia się ze swoim panem. Poza tym psy nie mają niezbędnej opieki i wystarczającego ruchu z powodu zaciemniania miast i przymusowej emigracji swoich właścicieli. Przeważnie jednak stały się wojownicze, a niekiedy nawet krwiożercze dlatego, że udziela się im psychoza wojenna ich właścicieli. Jeżeli pies znajduje się w pobliżu pana, gdy czyta pan komunikat o nalotach czy o niepomyślnych wynikach operacji wojennych i wzbiera w panu gniew na wroga, gniew ten udziela się psu i budzi rozpacz albo wojowniczy nastrój. Wbrew rozpowszechnionym przesądom pies nie jest mniej wrażliwy niż człowiek ani też mniej krwiożerczy”.

Jaka myśl towarzyszyła E.S.-owi podczas powtórnej lektury tego artykułu?

Myśl, że Freud, tworząc swój sennik, nie poświęcił dostatecznej uwagi lekturze przed snem.

Podniecony podejrzeniem, co uczynił w chwilę potem?

Nagle zrzucił z siebie pierzynę, pomimo kaca i bólu głowy jednym stanowczym krokiem wstał z łóżka.

Co znalazł w kuchni, obok drewnianej skrzyni?

Aktówkę, z niezapiętym mosiężnym zatrzaskiem. Przytrzymując wierzchnią stronę podbródkiem, obszukał

wnętrze aktówki, po czym naraz ją upuścił, jak gdyby się uklął czy sparzył.

Co trzymał w palcach?

Skrawek zakrwawionej gazety.

Odwróciwszy się nagle ku żonie, o co ją zapytał?

Czy wyjęła z aktówki mięso.

Oczekiwał jakiejś odpowiedzi?

Nie, bo zrozumiał wszystko na widok przerażenia w jej oczach.

Co w końcu powiedział?

Że w tę gazetę, której skrawek trzyma na dłoni, było zawinięte mięso: kilogram (albo nieco więcej) wieprzowiny, kawałek (nawet) od szynki, żeberka, słonina i podroby (około dwustu gramów).

Gdy znów się rzucił na aktówkę, obwąchując ją i obszukując, co wreszcie z niej wyciągnął?

Trzymał w palcach małej kawałek świńskiego serca, ze śladami swoich zębów na żywym mięsie: *corpus delicti*.

Co zrobił E.S., zwałpiwszy już nie tylko w swój sen, ale i w jawę?

Znów popędził do pokoju i zajrzał do „Przeglądu”, w którym na stronie 36 znalazł artykuł pod tytułem *Wpływ wojny na psy*, a w nim następujące stwierdzenie: „Od czasu, jak zaczęła się wojna, w Anglii zaobserwowano, że psy ruszyły do ofensywy na wszystkich frontach”, itd., itd.

Jak siedzieli podróżni w saniach?

Na tylnym siedzeniu żona autora listu i jego dzieci, a na przednim, obok woźnicy, autor listu, przywódca *exodusu*, kapitan statku, wygnaniec.

Czym podróżni byli okryci?

Ci na tylnym siedzeniu — dwoma kocami, z których cieńszy był z bawełny, a grubszy z koziej sierści, ci na przednim siedzeniu natomiast owinęli się od pasa w dół kocami, też z koziej sierści.

Czym pachniały koce?

Końmi i moczem.

O czym rozmawiali kapitan statku, E.S., i sternik imieniem Martin?

O pogodzie, o froncie wschodnim, o znacznym udziale węgierskich pułków w najnowszych operacjach, o rasach koni, o ostrej papryce czereśniowej, o gulaszu, o brzoskwiniówce, o braku niezbędnych artykułów, takich jak nafta, masło, świece stearynowe, żyłki, obuwie itd.

Jaką znaczącą wzmiankę uczynił E.S.?

Że duży haczykowany nos nie jest nieodzowną cechą Żydów i często zdarzają się drastyczne wyjątki.

Jak przyjął to sternik imieniem Martin?

Z podejrzliwością, niedowierzaniem i niechęcią.

Jaki materiał dowodowy wskazał sternik na poparcie swojej tezy o bogobójcach?

Zasypany śniegiem krzyż przydrożny, a na nim Boga-człowieka z oczyma niebieskimi jak niebo i zakrwawionymi dłońmi, na które śnieg położył kojący okład

z lodowatych płatków; Boga-człowieka w koronie cierniowej, przypominającej żałośnie puste gniazdo wronie. Wskazał więc Ukrzyżowanego, który marzył na gruntach należących do wsi, zapomniany przez wszystkich.

Czy kapitan-bogobójca i sternik (zabójca bogobójców) znaleźli coś, co do czego zgadzaliby się w pełni i bez zastrzeżeń?

Owszem, znaleźli: czosnek jako środek skutecznie pobudzający krwiobieg i regulujący trawienie; wzrost cen, brak artykułów pierwszej potrzeby, a przede wszystkim i ponad wszystko, byli zgodni w opinii na temat brzoskwiniówki, która rozgrzewa krew i pobudza krążenie, odmładza, rozwesela, rozplómienia, w ogóle dogadza ludziom i godzi ich bukiem zapachów.

Gdy opróżnili manierkę kapitana z zakręcanym korkiem i opłatną łykiem flaszkę sternika z kaczanem kukurydzy zamiast korka, do czego ich to zagrzało?

Już w pobliżu portu i miejsca przeznaczenia wstąpili do gospody w Bakszy, do pani Klary, i zamówili jeszcze po pięćdziesiątce morełówki, na rachunek kapitana, jak chcą *savoir-vivre* i niepisane prawa.

Jaki obraz ukazał się podróżnym na koniec, przed rozstaniem z woźnicą?

Różowa odbytnica konia, przypominająca różę, w biegu wyciskała zielonkawobrunatne bryłki na śnieg.

Dlaczego nie dojechali saniami aż do miejsca przeznaczenia?

Ponieważ E.S. nie mógł się dogadać z woźnicą w sprawie ceny. Ten ostatni mianowicie przewidywał, że z powodu zmęczenia koni i późnej pory nie zdąży wrócić na

z morza wszelkie jego dobrodziejstwa, florę i faunę, niby siecią, a raczej drewnianym korytkiem, w jakim płucze się złoto. W białym, dobrze wyplukanym ryżu można było znaleźć ziarenka piasku, a czasem i kamyczek, chyba dlatego, żeby wszystko wyglądało bardziej naturalnie (jeśli nie były to po prostu ziarenka soli morskiej, bo rozplywały się na języku), lecz także algi, porosty i przyprawy, liście bobkowe, szafran, kapary i majeranek, a ponadto flądry i sardele, raczki i małże (moule, daktyły morskie i skalne), langusty, scampi, mureny i kalmary, lecz także skrzydło kurczęcia, comber zająca i łopatkę cielęcą, wszystko to zatopione w ryżu jak w morskim piasku, zmieszane z ryżem jak risotto. Gdy człowiek nakłada sobie tej potrawy — a z ryżu wyłoni się czerwony wąsik raczka, skrzydło ptaka, wyrzją chrupiące, nakrapiane kleszcze homara, rozwarta muszla daktyla skalnego czy ostrygi, prążkowana skorupa morskiego ślimaka — dopiero wtedy można zrozumieć, że nie jest to potrawa w zwykłym sensie tego słowa, lecz jakiś mityczny pokarm, posiłek bogów, i że w odróżnieniu od innych potraw nie przygotowano jej w kuchni, ale tym miedzianym rondlem zaczerpnięto z morza, na oślep, razem z morską wodą, solą, piaskiem i kamyczkami, ciągnięto rondel przez głębinę morską, a potem na brzeg i wzdłuż brzegu, podnoszono i znów ciągnięto przez wodę, a potem przez zarośla nadbrzeżne, przez szlachetną gęstwinię zielonych brzegów — stąd właśnie trzy listki bobkowe wyzierające z pilawu, stąd kuleczki oliwek, szafran i majeranek, stąd wreszcie i ten cienki, do połowy nacięty krążek cytryny, który jaśnieje na brzegu

rondla niby małe śródziemnomorskie słońce, oświetlające daleki mityczny pejzaż.

44

Traktat o kartoflu. — Nadeszły czasy, kiedy musimy myśleć o sobie w perspektywie życia i śmierci, nie jak samolubne indywidua, lecz w aspekcie całej naszej rasy, tego boskiego chwastu ziemi, rozproszonego po świecie, krzewiącego się na wszystkich kontynentach, właśnie tak jak nieszczyśny kartofel (*solanum tuberosum*), który, podobnie jak my, wyłonił się z dalekich mroków historii, z dalekich mroków ziemi, ale jego istnienia, w przeciwieństwie do naszego, nikt nie będzie stawiał pod znakiem zapytania dopóty, dopóki na ziemi będą istniały głodne usta, dopóki będzie istniała ziemia. Nieszczyśny kartofel (*Kartoffel, patate*), ten chleb ubogich, który skądinąd nie schodzi ze stołu bogaczy, podawany w postaci frytek i *purée*, polewany mlekiem, śmietaną i sosem z dziczyzny, prostacki kartofel, ta ziemskoniebiańska manna, podziemna narośl, skrofuloza ziemi, twardy wrzód, bryłowata bulwa, w ciągu swoich długich dziejów nigdy nie wygiął się w idealny krąg jabłka czy pomidora (tego drugiego boskiego owocu), lecz pozostał niedoskonały jak człowiek, tylko pozornie symetryczny, pełen guzów i narośli, wyrostków i odrostków, dołków i blizn, bez środka i bez nasienia, bez niczego, co by świadczyło o obecności Twórcy i Jego mądrości. Pozostał więc idealnym obrazem ziemi i człowieka ulepionego z gliny, ten twór złożony z mięszu i skóry, bez kości

i bez serca, istny homunkulus (*homo-homullus-humus*), do złudzenia przypominający człowieka, człowieka bez duszy, z którego wygnano Boga.

Pamiętasz, siostró, jak w dzieciństwie przebieraliśmy w piwnicy kielkujące kartofle? Znajdowaliśmy wówczas małe, podobne do człowieka kartofelki, o małych głowach i potwornie skarlałych kończynach, małe homunkulusy, którymi bawiliśmy się jak lalkami, aż do czasu, gdy odpadła im głowa albo skurczyły się, zwiędły ze starości. I widzisz, teraz, gdy żebrzę o kartofle, nie mogę zapomnieć o ich zadziwiającym podobieństwie do człowieka, a z drugiej strony, za pozwoleniem, do Żyda. Wyłoniliśmy się, jak powiadam, z tych samych mroków historii. Ale dlaczego, proszę państwa, kartofel jest bardziej długowieczny? Czy dlatego, że my, że człowiek miałby być od niego doskonalszy? Nie wierzę. Sądzę, że jest bardziej długowieczny i doskonalszy niż my, niż wy, a zatem, że nas przeżyje. Przeżyje ten wielki kataklizm. A gdy gołębicą powróci z gałązką oliwną w dziobie, łódź osiadająca na twardym gruncie wykopie w nasiąkniętej i odsączonej, rozmytej i umęczonej ziemi na jakimś nowym Araracie krzak ziemniaka. Zaczynam poważnie wierzyć, chociażby ze względu na obraz i fantazję, że kartofel (*Kartoffel, patate*) to jedyny na tym świecie twór — niechaj mi Bóg wybaczy — który nie powstał z woli Bożej i za dotknięciem ręki Twórcy, ale jest dziełem jakiegoś jałowo-płodnego, obłąkanego szamana, płodem jałowej alchemii (czemu Paracelsus w traktacie *De generatione rerum naturalium* nie poświęca dostatecznej uwagi). Stąd może jego młodość,

jego odporność. Kartofel nie ma nawet pięciuset lat, a do Europy sprowadzono go dopiero gdzieś w XVI wieku jako kwiat ozdobny, i wiecie dokąd? — do Hiszpanii, proszę państwa! Myślę, że coś wam to mówi w ramach mojego szczęśliwego porównania pomiędzy kartoflem a Żydem, gdyż niewątpliwie tu, w Hiszpanii, gdzie dokonano selekcji przed dalszą wędrówką — *Ewiger Jude* — doszło do decydującego spotkania między kartoflem a człowiekiem, między niedoskonałą naroślą bulwy a garbatym sefardyjskim nosem... Stąd ruszyli razem i tak, pewnego dnia w końcu XVIII wieku, dotarli — kartofel, proszę mnie dobrze zrozumieć — na stół francuskich monarchów i rozszedł się po świecie. Wskutek różnych krzyżówek, pod wpływem różnych klimatów i gleb przybierał najrozmaitsze kształty i nazwy: Dar, Amerykan, Rosafolia, Holender, Bem, i wreszcie, jako ukoronowanie jakości, *magnum bonum, Alma*.

22

Świnie są najmniej wybredne ze wszystkich zwierząt. Wiedział o tym, bez wątpienia, Mahomet, podobnie jak żydowscy prorocy-higienisci. Pewnego dnia młody Mahomet siedział i patrzył, jak świnia je coś okropnie brudnego: rozrywała padlinę albo żarła zgniłe kartofle, przypominające ludzkie odchody. Najedzony pieczenią, którą niedawno temu napełnił swój kałdun, Mahomet zaczął nagle wymiotować, bo przypomniał sobie, że było to wieprzowe mięso. Szybko wetknął palec do ust, jak robią pijacy, i całą pieczeń wyrzucił z siebie w piasek na brzegu

morza. Po czym pobiegł do domu i wniósł do księgi praw którą wówczas pisał (później nazwanej Koranem), następujące słowa: nie jedzcie świnia, albowiem będziecie wymiotować. Podobnie ma się rzecz z *koszerem*: jakii prorok najadł się zepsutego mięsa... Fanatyk zamienia co mu się przydarzyło, w regułę, w święte prawo, w przykazanie boskie. Historia religii (zakazy i tabu, *koszer* itd.) jest zbiorem ostatecznych konsekwencji jednostkowego doświadczenia. *De gustibus* — tego rodzaju estetyzującego demokratyzmu nie uznają fanatycy. Swoją smak ogłaszają jedynie możliwym, kanonicznym smakiem. Tak samo wygląda sprawa alkoholu. Któryś ze świętych upił się i zwymiotował. Potem za dużo paplał i język mu się plątał podczas przekazywania poleceń otrzymanych z nieba, rada mędrców zatem zdecydowała, że winien się wyrzec alkoholu. Wierni jednak nadal piją, bydlę jak to bydlę, a jemu ślina cieknie z ust po świętej brodzie. Wobec tego idzie do swojego szałas, a tam, we śnie, Bóg nakazuje mu powtórzyć ludziom następujące Boskie słowa: Wino to grzech. Wylejcie wino do morza, a pijanych, razem z beczkami, rzućcie na fale. Niech się stanie... Szczęściem żaden prorok nie pamiętał, jak smakuje mleko matki. Bo inaczej...

23

Skłonny jestem wierzyć, że Newton odkrył prawo powszechnego ciężenia przy pomocy kału: kucając w trawie, pod jabłonką, o zmierzchu, gdy ukazują się pierwsze gwiazdy, pod osłoną mroku, który krył go

przed niedyskretnymi oczami — mrok był bowiem dostatecznie gęsty, aby go ukryć, gwiazdy były nie dość błyszczące, aby go oświetlić, a księżyc jeszcze za horyzontem. W tej chwili ciszy, gdy odzywają się pierwsze ślaby, a leniwe kiszki przechodzi skurcz pod wpływem lirycznego wzruszenia pięknem natury i dzieła Boskiego, jako że wegetatywny układ nerwowy przenosi wzruszenia intelektualne do kiszki i wpływa na przemianę materii, zatem w owym centrum wszelkich wzruszeń zaczął przeczuwać odkrycie tego tak prostego, ale dla przyszłego rozwoju nauki fundamentalnego prawa, wciąż jeszcze kucając pod jabłonką, zapatrzony w gwiazdy (jabłek w ciemności nie było widać, bo jabłek w ogóle nie było, na drzewie wisiało jedynie mnóstwo gwiazd, jabłka zaś przed dwoma dniami zostały zerwane pod jego osobistym nadzorem, nie istniało więc niebezpieczeństwo, że któreś z nich trafi w człowieka kucającego pod tym nowym drzewem wiadomości dobrego i złego, w przeciwnym razie nie kucnąłby pod nim, znalazłby jakieś bezpieczniejsze miejsce).

Newton wówczas poczuł, że kał wysliznął mu się z pobudzonych kiszki lekko, bez wysiłku, mimo chronicznej obstrukcji, będącej po prostu następstwem długiego przesiadywania nad książkami, i razem z radością odkrycia, które nagle błysnęło w jego umyśle — a mianowicie że jakiegokolwiek dwa ciała przyciągają się wzajemnie z siłą wprost proporcjonalną do ich mas i odwrotnie proporcjonalną do kwadratu ich odległości, czyli że Ziemia o wiele szybciej (i w miarę spadania coraz szybciej) przyciąga gównem niż gównem Ziemię — razem ze świadomością

dalekosiężnego znaczenia tego odkrycia, któremu towarzyszyło dalsze opróżnianie się kiszki, dotarł do niego fakt upokarzający: że tak ważne dla ludzkości, dalekosiężne prawo odkrył na zasadzie spadania własnego kału, pewnego wieczora, kucając pod jabłonką... Z pewnością zarumienił się i zadumał nad tym, czy w ogóle oznajmić ludzkości o swym upokarzającym w istocie odkryciu, w którym chyba sam diabeł maczał palce. Jednakże, nadal kucając pod drzewem wiadomości dobrego i złego, na nowo dręczony przez obstrukcję, Newton wpadł na swój wielce kłamliwy historyczny pomysł i gówno zastąpił jabłkiem. Ludzkość nigdy nie domyśliła się prawdy i przyznała jabłku zasługę tego odkrycia, albowiem jabłko miało już rajski rodowód, jak też mityczną przeszłość związaną z sądem Parysa, nie było więc nieznanne, co również jemu, Newtonowi, nie było nieznanne. I tak, od tej pory, jabłka spadały na zasadzie nowego prawa, prawa Newtona, gówno zaś nadal spadało najzupełniej anonimowo, można powiedzieć, poza prawem, jak gdyby prawo powszechnego ciężenia wcale się do niego nie odnosiło.

24

O, ten bolesny wysiłek wnętrzości kobiecych, szalonej macicy, która z miesiąca na miesiąc, w ciągu jakichś czterdziestu lat, uparcie i szaleńczo puszcza ikrę niby jesiotr, zawsze chętna do rodzenia, gotowa każdego miesiąca przygarnąć nasienie śmierci, wykarmić je pod sercem i wykołysać w swoim łonie!

25

Przyznaję śmiało: moje serce miesiączkuje. Spóźniona, chorobliwa miesiączka mojego judaizmu... Przechodziły przed wami pan, na którego patrzycie, szanowne panie i panowie, ów pan po pięćdziesiątce, w popielatym garniturze, okularach w żelaznej oprawce, pan z laską i z żółtą gwiazdą (której jednak nie widzicie, gdyż zaslonił ją aktówką), ten pan miesiączkuje. Proszę sobie wyobrazić, Sędziowie, moje serce miesiączkuje. Dewiacja biologiczna jako wcielenie żydowskiego, kobiecego pierwiastka. Sensacyjna wiadomość dla gazet: szpakowaty pan dostał bóleści z powodu menstruacji! Co najciekawsze, jest to człowiek całkiem zdrowy (nie licząc małego przeziębienia), człowiek, który nigdy nie cierpiał na zaburzenia hormonalne. Męska miesiączka? Nie. Pierwiastek kobiecy doprowadzony do ostatecznej konsekwencji. Comiesięczne kwitnienie serca. Nasienie śmierci. *Weltschmerz*.

26

Gdy piszecie o skrwawionym sercu albo gdy wasze serce po prostu miesiączkuje, atrament musi stać się czerwony, i nie chodzi tu już o kąt, pod jakim światło naftówki pada na wasz rękopis. Byłoby infantylnie poetycką przesadą podkreślać to poprzez nakłucie stalówką czubka własnego palca, jak wtedy, gdy pielęgniarka pobiera wam krew.

Jeżeli chodzi o ten list (droga pani), pan, który go pisał do pani (wiem, to brzmi dziwnie), ten pan jest w poważnym stanie! Analiza jego moczu wyraźnie o tym świadczy. Wynik równie wyraźnie wskazuje, że chodzi tu o mężczyznę. To tyle. Powiedziała pani, że jest on pani bratem, więc proszę mu doradzić, żeby się przygotował. On jest brzemienny, droga pani. Nosi w sobie nasienie śmierci. Zechce pani przyjąć wyrazy współczucia.

Bajka zimowa z Panonii. — I patrzcie, z nieba padało czyste, białe pierze, jakby skubano tam duże, spalone panońskie gęsi. Wszyscy zbierali pierze do worków z juty: kupcy żydowscy i ich żony, subieki i ich siostry, dzieci kupców żydowskich i dzieci subiektów. Albowiem Jehowa podszeptnął im był w nocy, we śnie, że będzie padać z nieba czyste, gęsie pierze i że prócz nich, wybranych, nie dowie się o tym nikt. A gdy już napełnili swoje worki, ujrzeni nagle, że z nieba zaczął padać, unosząc się na kształt gęstych płatków, czysty, miękki puch, oni zaś nie mieli go w co zbierać, bo napełnili pierzem wszystkie worki, wszystkie pierzyny, powłoczki, wszystkie garnki i wszystkie koryta, wszystkie czapki i kapelusze. Wówczas to, chciwi darów Bożych, za radą jakiegoś sprawiedliwego starca wysypali wszystko, co dotychczas byli nazbierali, i z jeszcze większym zapałem rzucili się na ten puch, przypominający mannę niebieską. A cena gęsiego puchu

sięgała wówczas jednego srebrnika za pud. Rankiem, gdy wszystko to poznosili do komór i chcieli wreszcie odpocząć, niektórzy z nich poszli spojrzeć na swe bogactwo i przekonać się w świetle Bożego dnia, że nie był to tylko sen. Worki i pierzyny, powłoczki, garnki i koryta, czapki i kapelusze pełne były wilgotnego, lodowatego śniegu. Żdźci gniewem, zaczęli szukać owego sprawiedliwego starca, chcąc go ukarać, ukamienować, ale starzec jakby się pod ziemię zapadł. Wówczas najśmielsi i najpobożniejsi zwrócili oczy ku niebu i usłyszeli głos Boży, który rzekł im: Niech to będzie dla was nauką. Nie żądajcie od nieba więcej, niż wam ono dać może. Co się zaś tyczy pierwszego padania, powiadam wam, to za prawdę było pierze, lecz wyrzuciliście je na wiatr. Pójdźcie za nim, a znajdziecie je...

Mózg pana Freuda, prymariusza. Był to kawałek zamarznętego, galaretowatego mięsa, całkiem dobrze zachowanego, przypominającego mózg jagnięcy, podawany w całości (w Wiedniu, roku 1930, w restauracji „Danubius”). Udeptany śnieg z gąsienicowatymi śladami żołnierskich podkutych butów jak gdyby nieco stopniał jedynie tuż obok mózgu, na którym wyraźnie uwidaczniły się faliste wygarbienia niby na orzechu i czerwone nitki naczyń włoskowatych. Mózg leżał na rogu ulic Łykofy Greckiej i Mileticja. Słyszałem, jak ktoś powiedział, czyj to był mózg i z czyjej wypadł czaszki. Mózg pana Freuda, prymariusza, leżał na malej śnieżnej wyspie

między dwiema ścieżkami wydeptanymi w śniegu, inteligencja wyraźnie oddzielona od czerepu, podobnie jak mały od twardej szmaragdowej skorupy, pulsująca masa w śniegu niby w lodówce, nie jak mózg idioty w szklanym słoju (wiadomo, do kogo należał), ale jak mózg geniusza, zakonserwowany i zachowany w inkubatorze przyrody po to, aby wyrosła w nim (w tym inkubatorze) uwolniona z oków ciała ciemna perła myśli, myśl nareszcie zmaterializowana, skryształizowana.

30

Papieros dopalił mi się aż do palców i opadł z niego szarobiały czerw popiołu, czerw bez kręgosłupa, podobny do: a) wyciśniętej z tubki pasty do zębów, b) gnijącej gałązki wrzosu, c) skamieliny jakiegoś czerwia. To nagłe rozsypanywanie się zbutwiałego papierosowego kręgosłupa nastąpiło w mgnieniu oka, na granicy snu, na granicy oddechu i ruchu, i nie jest całkiem oczywiste, czy porowaty słupek popiołu rozpadł się w proch i popiół w chwili, gdy się wyrwałem z letargu i sennych rozmyślań, czy odwrotnie, to ja się wyrwałem z letargicznego półsnu z szalonego wiru i przekroju wszystkich myśli, obrazów, przeczuc na samej granicy snu, gdy runął porowaty słupek popiołu mojego papierosa, ledwie dosłyszalnie, pacnąwszy jak: d) gołębi kał na cienką membranę kratkowanego papieru leżącego przede mną na stole. W tej samej chwili ogarnęło mnie silne poczucie przemijania, jak gdyby słupek popiołu (wciąż jeszcze widoczny jako s ł u p, choć już zwalony i roztrzaskany, złamany kręgosłup czasu)

ten zwalony słupek czasu przedstawiał samo przemijanie, bolesny i niewątpliwy obraz przemijania, który budzi w człowieku takie uczucie (przecucie), jak nagle przesuwnąca się wskazówka (dużego elektrycznego zegara na dworcu w Suboticy, Nowym Sadzie, Trieście, Budapeszcie). Przesuwanie wskazówki nie dokonuje się tam stopniowo i nieodczuwalnie, lecz nagle, z tępym odgłosem i szarpnięciem, jak gdyby coś strzyknęło, a po tym nagłym skoku metalowa wskazówka drga jeszcze przez parę chwil, wyrwana z drzemki i beczasowości, jakby przypomniawszy sobie o swojej służbie w ostatnim momencie albo jakby ktoś jej przypomniał, obudził ją, wyrwał ze spokojnego spoczynku, jakiś zegar nad zegarami, król zegarów, nieublagany i surowy budzik, Chronos-Jehowa, który rytmicznym biciem swego serca, pulsowaniem tętna przypomina, budzi i nie pozwala stanąć czasowi.

31

Prolegomena do wszelkiej historii. — Złane potem, brudne masy biedoty miejskiej, łachmany; ośmielony tłum, zagrzewany ideą sprawiedliwości Boskiej i ludzkiej; patetyczne sceny, w których matki ze zgłodniałymi dziećmi na ręku domagają się chleba; wiara w Boga, w Dobro, w Sprawiedliwość, w Niebo; krzyk rozpacz, krzyk zemsty; mówcy i prowokatorzy wspinający się na improwizowane mównice; płacz dzieci, które niczego nie rozumieją; okrutna wrzawa historii.

A co się tymczasem dzieje po drugiej stronie, *extra muros*?

Przez ledwie zakołysane kotary ze złotopurpurowego pluszu, przez witraże i kotary wrzawa zgłodniałego tłumu dociera jak przez watę, jak z dna morskiego, ledwo dosłyszalnie; migotanie świec w wielkich złotych kandelabrach i odbicia tych świec w lustrach weneckich, w uchylonym skrzydle szafy, w lśniących powierzchniach mebli. Tylko pies i paziowie, konie i służba słyszą wyraźnie głos tłumu, a nawet wydaje im się, paziom i sługom, że rozpoznają w głosie swoich bliskich wyrzut i groźbę...

I oto z piany pachnących poduszek wstaje Królowa o białych rękach i zdziwionych oczach, bo ten hałas jest dla niej całkiem niezrozumiały i obcy. Tylko odrobinę zaniepokojona, ubiera się z pomocą dam, zakłada czarną przezroczystą woalkę i czarny myśliwski kapelusz, pewnie nosi żalobę, nie wiadomo po kim i dlaczego, jeśli nie jest to kaprys mody — tego lud nie wie, tego lud nie może wiedzieć. Spójrzcie, stoi w blasku swoich szat, „potężna jak wojsko pod bronią”, z królewskim pierścieniem na zbyt białej dłoni, z oczyma błękitnymi niby staw w pałacowym ogrodzie, z wachlarzem w delikatnych palcach, z wachlarzem przedstawiającym, jak w lustrze, scenę, w której Królowa stoi na balkonie i macha lewą ręką uwielbianemu przez nią i wielbiącemu ją ludowi, w prawej trzymając wachlarz, a z drugiej (wierzchniej czy spodniej?) strony, z tej, której nie widać, której lud nie widzi, a którą ona zasłania królewskie, boskie piersi, z tej strony wachlarza, rozłożonego teraz jak a) karty do taroka (*tarots de Marseille*) albo jak b) ogon jakiegoś egzotycznego ptaka lub pawicy z ogrodu królewskiego, z tej strony poeta napisał smutny sonet na jej wachlarzu —

— *zęby jej trzeba wybić, tej suce, krzyczy rozwścieczony motloch* —

I podnosi zbyt białą rękę, aby pomachać swemu uwielbianemu i wielbiącemu ją (mimo wszystko) ludowi, lecz oto na moment nastaje cisza i z tego nagłego oniemiań wyrywa się grzmiący głos wodzów i demagogów, którzy ładają (nie dla siebie, dla ludu) Chleba i Sprawiedliwości, a Królowa nic nie pojmuje, bo wszystko jest poza zwykłym trybem, poza protokołem, to już nie okrzyki uwielbienia i wierności, lecz jakiś dziwny bunt.

Czegóż chcą ci ludzie, czegóż, ach, o nieba?

Chleba, pani.

Chleba? O, Elwiro, czyż nie mają chleba?

Nie, pani.

A na to Królowa, bez metrum i rymu: *Czemu w takim razie nie jedzą ciastek, droga moja Elwiro? Panie i panowie, czemu nie jedzą ciastek? Przy tym falują jej piersi, królewskie piersi, do których przyłgnął złożony wachlarz, aby po chwili nagle się rozłożyć w całym przepychu i bogactwie, jak ogon pawia lub jakby Królowa przygotowywała się do wyrzucenia atutu z trzymanyh w rękę kart.*

Śledztwo (II)

32

Jak brzmiałaby notatka prasowa o tragicznym losie autora listu, człowieka, który nie przyjął haniebnej propozycji i nie zmielił ziarna bez pozwolenia władz w młynie niejakiego Rosenberga?

Wczoraj, w miejscowości Kerkabarabás znaleziono we własnym mieszkaniu martwą rodzinę pana E.S., nadinspektora kolejowego w stanie spoczynku. Komunikat policji sporządzony na podstawie oględzin lekarskich stwierdza, że śmierć nastąpiła już przed pięcioma dniami. Przyczyną śmierci były głód i zimno. Członkowie nieszczęsnej rodziny: ojciec (53), matka (40) i dwoje dzieci (9 i 7) zmarli po długich cierpieniach, mieszkając o dwa kroki od swoich zamożnych krewnych, a mianowicie od rodziny wdowy po Ignacym Boroska, kupcu z tej samej miejscowości. Pani Boroska zeznała w komisariacie, że śmierć wyżej wymienionej rodziny wcale jej nie zdziwiła, gdyż on, to znaczy zmarły E.S. był niepoczytalny. Uzasadniając swoją opinię, przytoczyła fakt, że zmarły E.S. nie przyjął pomocy, jaką zaofiarowała mu na całkiem dogodnych warunkach (*sic!*), a mianowicie dwóch cetnarów, czyli

stu kilogramów pszenicy w cenie zaledwie 40 pengő za cetnar metryczny.

Proszę podać sprawozdanie z procesu autora listu, zakładając, że skorzystał z ryzykownej propozycji i zmiełił ziarno bez pozwolenia władz u niejakiego Rosenberga, właściciela młyna parowego w Bakszy.

Jak się dowiadujemy od naszego wysłannika, w tych dniach przed sądem specjalnym w Suboticy odpowiadała za przestępstwo uchylania się od podatku, za niedozwolony handel, łapówkarstwo i wzbogacenie wojenne grupa żydowskich handlarzy. Główny oskarżony, pan E.S., emeryt, nadinspektor kol., przyznał się, że w zmo-wie i z namowy pana Gyuli Boroska, *alias* Georgesa, kupował od chłopów ziarno po paskarskiej cenie 20 pengő za cetnar metryczny, po czym woził pszenicę do właściciela młyna parowego w Bakszy, pana Rosenberga, który miał ziarno bez pozwolenia. W ten sposób oskarżeni przysparzali sobie korzyści materialnych kosztem pracowitych rąk i potu naszych rolników.

Jak brzmiałby fragment artykułu odnoszącego się do niejakiej pani Rebeki?

Pani Maria, dawniej Rebeka — którą główny oskarżony nazywa Marią Antoniną — siostrzenica głównego oskarżonego, zeznała przed sądem, że nie uważa siebie za winną śmierci wuja i jego rodziny. Pani Rebeka, która wystąpiła w czarnym kapeluszu z woalką spuszczoną na warz i z wachlarzem w ręku, nie zdołała przekonać sądu ani ławy przysięgłych o szczerości swojego bólu.

Co widać w tym fragmencie projektu, pisanego ółwkiem?

Wykres sejsmograficzny drgań pociągu pośpiesznego na odcinku Lenti–Nowy Sad.

Co przedstawiały fotografie w przedziale pierwszej klasy?

1. Nad miejscem, gdzie siedział podróżny: pejzaż pañoński. Ciągająca się w nieskończoność, śniegiem pokryta równina. Czarne plamy pól uprawnych, wylaniających się gdzieś spód śniegu. Na pierwszym planie, w prawym dolnym rogu nagie, sękaty drzewo, na którym kulą się czarne, zziębnięte wrony. Na skos, niemal po przekątnej i jak gdyby poza pejzażem, grube, oblepione śniegiem druty telegraficzne, w sumie sześć czy siedem, po lewej stronie, na samym brzegu fotografii, niemal już pod drewnianą ramką, nawinięte na białe gruszkowate izolatory. Ów pierwszy plan (druty i białe porcelanowe izolatory) jest nieostry i niedokładny, a przedstawione na nim przedmioty wydają się prawie przezroczyste, tak że widać w pierwszej chwili nie zwraca na nie uwagi, skupiając się na studiowaniu szarego zimowego pejzażu w tle.

2. Naprzeciw podróżnego, wygodnie rozpartego na pluszowym siedzeniu: panorama miasta w dali; na pierwszym planie nasyp z szynami i jakieś rudery. W tle równina, a na niej, daleko, studnia z żurawiem. Z lewej strony, też na dalszym planie, jakieś doły i coś, co przypomina cegielnię, a obok wielka, ospała rzeka, która przecina

prawą część fotografii i w dolnym prawym rogu wpływa pod drewnianą ramkę.

3. Na lewo od miejsca, gdzie siedział podróżny: na pierwszym planie morze i molo z latarnią; przy nim statek rybacki uwiązany do kamiennego pała, a drugi taki sam statek zbliża się do mola, przecinając powierzchnię wody łagodnym łukiem. Na drugim planie, za palmami, domki kryte dachówką, a w dali wysokie szare góry, po których wije się wąska droga. Nad górami jasne niebo i kilka obłoczków. Gdzieś pośrodku mola, na jednym z pachołów, siedzi człowiek widoczny od tyłu. Jest nieco przygarbiony i pochylony ku przodowi. Na głowie ma zsunięty z czoła słomkowy kapelusz, a między rozstawionymi kolanami trzyma laskę lub raczej wędkę.

4. Na prawo od miejsca, gdzie siedział podróżny: znów panorama jakiegoś miasta z katedrą. Może tego samego miasta, z tą samą katedrą, co na fotografii naprzeciwko podróżnego, ale w innym ujęciu. Tutaj wyraźnie widać katedrę, jak też wieżę i koronkową rozetę nad łukowatym portalem. Drzwi katedry są szeroko rozwarte, cień portalu pada na sylwetkę jakiegoś człowieka. Nie można rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Zegar nad wysokim gotyckim oknem wskazuje trzecią. Najprawdopodobniej trzecią po południu. Na ulicach pusto. Oprócz sylwetki, na którą pada cień portalu, widać jeszcze tylko jednego człowieka. Jest to chyba zamiatacz ulic, bo w rękę trzyma jakieś narzędzie, zapewne łopatę, którą do tej pory odgarniał śnieg i odrzucał obok na wysoką stertę. Na szarym niebie czarna chmura tuż nad gotyckimi kamienicami; na drugim planie wyraźnie widoczne ich

łukowate okna i drzwi, zamknięte podobnie jak żaluzje okienne.

Na pierwszym planie znajduje się plac i odchodząca od niego ulica. Na gzymsie gotyckiej kamieniczki, jak też na placu, kilka gołębi dziobie coś w śniegu z całkowitym spokojem. Może wyczuwają, że pies, który wlecze się za wozem wyładowanym meblami, nawet się za nimi nie obejrzy. Wóz przejeżdża przed zamkniętą bramą gotyckiej kamieniczki. Siedzą na nim dwaj mężczyźni, jeden w kapeluszu, a drugi w futrzanej czapie, pewnie woźnica. Trudno się zorientować, co dokładnie znajduje się na wozie, widać tylko łukowate płaszczyny mebli. Meble są przewiązane sznurem, ale nie przykryte. Wóz mija właśnie pomnik, więc łby koni zasłania postać bohatera, za którą kroczą w kierunku katedry. Pomnik widoczny jest od tyłu. Na marmurowym postumencie stoi człowiek z prawą nogą zdecydowanie wysuniętą, a ciężar całej postaci spoczywa na lewej nodze. Prawą rękę podnosi w patetycznym geście, wskazując palcem ku szczytowi wieży albo ku niebu. Ma na sobie surdut lub długą marynarkę. Peleryna narzucona na surdut rozwiewa się w fałdach z brązu, wachlarzowato rozsuniętych w ślad za ruchem ręki. Na ramionach i na postumencie widać łąty świeżego śniegu. A może obok nogi bohatera usiadł gołąb, którego na fotografii niepodobna odróżnić od plam śniegu. Po tej stronie placu, z ukosa i niewyraźnie, mającą tablice reklamowe z napisami: „Astra”, „Royal”, „Foto” i innymi, które roztapiają się w mgłę.

Jak obecnie widzi siebie autor listu, cofnąwszy się w czasie o jakieś piętnaście dni, a w przestrzeni mnie-

więcej o dwieście kilometrów od miejsca, w którym się znajduje?

Drżącymi rękoma zbiera swoje papiery z patentowanego stolika pod oknem w wagonie pierwszej klasy, miejsce 126, wpycha papiery do aktówki, pomiędzy butelki piwa i kanapki z suszonym śledziem, które dała mu na drogę jego siostra Berta, zawinąwszy je najpierw w kratkowany papier listowy, a następnie w gazetę, i długo męczy się z mosiężnym zatraskiem, nie mogąc go zamknąć.

Kto nad nim stał w tym momencie?

Młody jasnowłosy konduktor z nikłowymi kleszczami wymierzonymi jak rewolwer w jego piersi, w jego gwałdzie.

Kto był świadkiem tej sceny oprócz konduktora i człowieka, który (widząc siebie) usiłuje zamknąć aktówkę?

Pani (około trzydziestu lat) w kapeluszu z woalką spuszczoną na twarz, przytulająca do siebie pogrążoną we śnie dziewczynkę (około trzech lat), jakby w pociągu, w przedziale pierwszej klasy miało niebawem stać się coś strasznego, jakaś zbrodnia niczym w powieści; młodzieniec (około dwudziestu pięciu lat) z czarnymi przyznanymi włosami, student albo szpieg, który zza ilustrowanego czasopisma próbował wyłowić oczyma skrawek bieli spośród czarnych sukni damy w czerni; tęgi jegomość (około pięćdziesięciu lat), prawdopodobnie przemytnik, ze złotym zegarkiem na złotej dewizce, któremu w tej chwili przyglądał się tak uważnie i wnikliwie, jakby chciał otaksować jego wartość; starsza pani (około sześćdziesięciu lat) z modlitewnikiem w okładce z macy

perłowej; zaspany oficer (około trzydziestki) z pobrę-
kującymi ostrogami.

Ktorej z wymienionych osób E.S. poświęcił był na-
więcej uwagi?

Wdowie o niezwykle Udanych białych Udach.

Jak owdowiała?

Mąż jej zginął gdzieś na froncie wschodnim. Wydalają-
właśnie strawiony pokarm.

Jak brzmiało oficjalne zawiadomienie o śmierci jej
małżonka, które ułożył w duchu autor listu?

Niniejszym zawiadamiamy, iż małżonek pani, kapitan
rezerwy sławnego 1. Węgierskiego Pułku Huzarów, bo-
hatersko poległ za Ojczyznę, spełniając swój najświętszy
obowiązek.

Jak przyjęła tę wiadomość?

Natychmiast wybrała z żurnalu czarną suknię według
najnowszej mody na jesień — zimę 1941/1942 (z dużymi
patkami na ramionach, z głębokim dekoltem, marszczoną
w talii, średniej długości: do pół łydki), jak również czarną
halkę obszytą czarną koronką i, bez wątpienia, czarne
majteczki, też z koronkami, wreszcie kapelusz z ozdobną
szpilką, czarną woalkę i czarne rękawiczki do łokcia.

Co dostrzegł ciekawy obserwator?

Że Czarna Dama kładła na blade policzki odrobinę
różu.

Co mogło nadawać blask oczom Wdowy o niezwykle
Udanych białych Udach, jeśli nie płacz i smutek?

Olśnienie możliwością przyszłej przygody, która jeśli
nawet nie skończy się szczęśliwym związkiem z jakimś
bogatym małżonkiem, może zamienić się w stałą, wciąż

odnawiany związek z kolejnymi młodymi kochankami,
a wówczas bezpłatnie, ku obopólnemu zadowoleniu,
Wdowa poduczałaby ich sztuki miłosnej.

W kim E.S. podejrzliwie upatrywał pierwszego ewen-
tualnego kochanka Czarnej Damy, a zatem pierwszego
potencjalnego rywala?

W młodzieńcu z przyłizaną czupryną, który z za pa-
rawanu ilustrowanego czasopisma wykazywał żywe
zainteresowanie jej jedwabnymi (czarnymi) pończo-
chami.

Jaką wiadomość zdołał E.S. ukradkiem wyczytać
z tegoż czasopisma, zanim opuścił przedział pierwszej
klasy?

Ambasador niemiecki Jagow wraz z małżonką i japoń-
ski konsul generalny Okubo Tashitaka, również z mał-
żonką, obecni podczas defilady... * * * * *
* * * * *

Jaką dostrzegł fotografię?

Mężczyzna z siwą brodą (mniej więcej czterdziesto-
letni), w uszance i szynelu wojskowym, wręcza ikonę
żołnierzowi (może trzydziestoletniemu), który z zado-
woleniem uśmiecha się spod hełmu.

Kogo przedstawiała ikona?

Najświętszą Pannę i Dziecię Jezus z wielkimi au-
reolami.

Jaki był tok myśli E.S.-a w momencie, gdy opuszczał
przedział pierwszej klasy? (Synkopy.)

Zdenerwowany jestem, okropnie. Niesamowita czerń
jej sukni, jak tunel... *Élan vital*. Alkohol, alkohol! Ho-
lenderski tulipan czarny... Nygus z naprzeciwna będzie

się teraz bez przeszkód do niej zalecał. Całowałby bez końca niezwykle Udana białe Uda... Dama chyba pojęła znaczenie mojego ukłonu? Ona promienieje, co za czar! Czarna koronka, koronka jakże... Żegnaj, żegnaj na zawsze, o pani!

Co zrobił E.S., zanim znalazł się na korytarzu?

Rzucił przez okno przedziału pierwszej klasy szybkie spojrzenie.

I co zobaczył?

Ciągnącą się w nieskończoność, pokrytą śniegiem równinę, czarne plamy pól uprawnych, wyłaniające się gdzieś niedziedzie spod śniegu, i nagie sękaty drzewo, na którym kuliły się czarne zziębnięte wrony.

Co poczuł, gdy przeszedł do drugiej klasy?

Przede wszystkim zapachy.

Jakie?

Zapachy brudnych nóg, zmokłych kur, płaszczy wojskowych, mokrej skóry, mokrego wołoku, znoszonych butów, cebuli i machorki. Poczuł także westchnienia kiszek.

Kogo ujrzał?

Żołnierzy, chłopów, kontrolerów skarbowych, kolejarzy, gajowych, kupców i handlarzy.

Jakie przedmioty zwróciły jego uwagę?

Drewniane skrzynki, mundury, kobiałki, karabiny, bagnety (w futerałach), chodaki, onuce, pasy żołnierskie, drób, karty, noże.

Jakie kolory?

Brudnoszary, oliwkowozielony, kaczosraczkozielony, krzyczącoczerwony, brudnobiały, rdzaworudy, stalowoszary.

Co w okamgnieniu zdradziło, że jego wejście zostało dostrzeżone?

Krzywy chłopski kozik, który zatrzymał się w pół drogi pomiędzy zatłuszczonymi wąsami a słoniną posypaną papryką.

Kto przyjrzał mu się z największą ciekawością?

Gęś o długiej szyi wystającej z kobiałki przyjrzała mu się czerwonymi oczyma, wykręcając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Co E.S. zobaczył, gdy usiadł?

Olbrzymią nogę w gipsie, która zwisając z drewnianej półki na bagaże, kołysała się o jakieś pięć do dziesięciu centymetrów przed jego nosem. Na owej nodze wyrysowane były chemicznym ołówkiem nimfy, kobiece i męskie narządy płciowe, swastyki i strzały ułożone w krzyż, a poniżej widniały imiona kochanych dziewczyn.

Proszę je wymienić.

Marica, Anna, Fannika, Urszula, Dorota, Rozika, Gretchen, Juliszka, Pandora, Ilonka, Lili, Lulu, Hajnalka, Milena, Gracja, Melania, Piroszka, Margit, Katica, Anita, Lana, Helena, Romy, Ingrid, Cora, Bella, Elżbieta, Tatiana.

Co (kolejno) widział E.S. przy wjeździe na stację?

Posterunek blokowy numer 26, warsztaty kolejowe, składy węgla, nastawnię zwrotnic, pompę do napełniania zbiorników, magazyny, pomieszczenia służbowe, żółto-szary budynek dworca, wiszące koszyki na kwiaty, restaurację dworcową.

Czy w chwili, gdy pociąg wjeżdżał na stację, jakaś lokomotywa brała wodę?

Nie, ale zapewne działo się to przed kilkoma minutami, gdyż woda ciurkiem ciurkała z ust pompy, której kadłub z lanego żelaza owinięty był słomianym warkoczem, pokrytym cienką warstwą lodu.

O czym na ten widok przypomniał sobie podróżny? Przypomniał sobie, nie bez żalu, o surowej, ponurej zimie i o nieosiągalnym pięknie słonecznego z Bożej łaski lata.

W jakim wierszu wyraził te uczucia?

A jest to ponad wszelką miarę

Żałosna pora, pani!

Do kogo kierował ten wiersz?

Bez wątpienia kierował ten wiersz do Wdowy o niezwykle Udanych białych Udach, która w owej chwili spuszczała białą jędrną nogę (w czarnej jedwabnej pończosze) z ażurowego stopnia wagonu pierwszej klasy nieopodal.

Kto czekał na Wdowę o niezwykle Udanych białych Udach?

Wbrew jego zawistnym przewidywaniom na Wdowę czekała staruszka, również w żalobnej czerni. Obie kobiety bez słowa padły sobie w objęcia, a między sobą ścisnęły dziewczynkę.

Kto czekał na E.S.-a?

O jego przyjeździe nikt nie został powiadomiony.

Czy wśród podróżnych zauważył żołnierza z nogą w gipsie?

W pewnej chwili wydało mu się, że w tłumie spieszącym do wyjścia widzi gipsową nogę pokrytą rysunkami.

Czy nasz podróżny zatrzymał się w restauracji dworcowej?

Nie, bo już z okna pociągu dostrzegł, jak złowieszczco powiewają kogucie pióra na czarnych, wysokich czakach żandarmów i tępo połyskują bagnety na ich karabinach. Sądził więc, że najsmardziej zrobi, znikając czym prędzej z niebezpiecznej strefy dworca, gdzie oprócz żandarmów widział także patrol żołnierzy w hełmach i pod bronią, jak również cywilów, w których bez trudu rozpoznał tajnych agentów.

Jak ich rozpoznał?

Dzięki własnej intuicji i doświadczeniu oraz teatralnej niedbałości ich zachowania.

Jak byli ubrani agenci?

W długie gabardynowe płaszcze mysiego koloru, kapelusze z szerokim rondem, czarne nauszники, solidne czarne buty na grubej podeszwie.

Wylegitymowali go?

Przy wyjściu z dworca musiał stanąć w kolejce razem z przyjezdnymi i pokazać papiery agentom.

Miał jakieś kłopoty?

Agent przyjrzał mu się, porównując wygląd z fotografią, po czym bez słowa oddał legitymację.

Czy sprawdził także jego bezpłatny bilet?

Nie, chociaż E.S. podsunął go, pragnąc, by agent przełonił się o wysokim stopniu służbowym, jaki właściciel biletu zajmował przed pójściem na emeryturę. Liczył, że wzbudzi takie samo zainteresowanie, jak niegdyś u funkcjonariuszy kolejowych, którym okazywał swój bezpłatny bilet.

Gdyby agenci przypadkiem zajrzeli do jego aktówki, co by w niej znaleźli?

Trzy kanapki z suszonym śledziem, zawinięte najpierw w kratkowany papier listowy, a następnie w zatłuszczoną gazetę; cztery jajka na twardo, też zawinięte w gazetę; pustą butelkę po piwie marki Ormai; dwie koszule, białą i żółto-brunatną, marki Kaiser; cztery kauczukowe kolnierzyki; cztery krawaty marki Breiner, w pastelowych kolorach oraz jeden z czarnego moheru, marki Rapajic; arkusz papieru w kratkę (29,3 × 20,8 cm), już prawie zapisany ołówkiem; zatłuszczony numer 12/1941 czasopisma „Przeгляд Najlepszych Artykułów”, wydanie Spółki Bata; dwie pary popielatych skarpet pocerowanych różnokolorową bawełną; płócienną chusteczkę z kraciastym deseniem wzdłuż brzegów, nieużywana; opróżnioną płaską butelkę z ebonitowym korkiem-kieliszkiem; dwie paczki papierosów „Symphonia” w miękkim opakowaniu, każda po 25 sztuk; wyblakły różowy ręcznik frotté, zmięty i jeszcze wilgotny; płócienną niebieską piżamę rozmiar 39, marki Tivar; zmydlony kawałek mydła do prania, domowej roboty, w ebonitowym pudełku; mosiężną maszynkę do golenia; dwie żyłki marki *Tabula Rasa*; wyliniały pędzel do golenia; korek pachnący winem; dwa drewniane spina-cze do suszenia bielizny; blaszany guzik od koszuli.

34

Dokąd kierował się podróżny, wyszedłszy z dworca?

Pospieszył ku dorożkom, bo były tylko dwie, a trzecia, z zapaloną latarnią na boku, jak wielka czarna gondola

384

właśnie odpłynęła, zabierając z jego życia, może na zawsze, ukrytą pod czarnym skórzanym fartuchem Wdowę o nie-zwykle Udanych białych Udach, Madonnę Sleepingów, Femerydę, źródło jego krótkotrwałych marzeń, szeks-pirowską Czarną Damę, której wyśpiewał w duchu kilka wersów, a w chwili, gdy wsiadała do dorożki, pozdrowił ją kawalerskim ukłonem, uchyliwszy kapelusza, czego ona nie zauważyła albo udała, że nie zauważa.

Gdzie się znajdował postój dorożek?

Na lewo od wyjścia z dworca, na placu ogrodzonym z jednej strony murkiem, a z drugiej żelaznymi sztachetami. Placyk ten wybrukowany był dużymi kamiennymi płytami, na których iskrzyły się podkowy i głośno pluskał pienisty jak piwo mocz, roztopiał w mgnieniu oka płatki świeżego śniegu, wypełniał wszystkie szczeliny pomiędzy kamiennymi płytami, po czym wąskim kanałem ściekał do kwadratowego otworu odpływowego.

Jakie uczucia ścierały się w duszy E.S.-a, gdy dorożka ruszyła?

Zadowolenie, ulga, zmartwienie.

Zadowolenie?

Ponieważ w dorożce mógł oddać się słodkim marzeniom o ponownym spotkaniu z jakąś damą, z tą samą nawet, i ponieważ dorożka, podobnie jak przedział pierwszej klasy, była jego środowiskiem naturalnym, w którym czuł się jak w domu.

Ulga?

Ponieważ kontrola dokumentów odbyła się bez kłopotu, co świadczyło o tym, że intuicja i szczęście jeszcze go nie zawiodły.

385

Zmartwienie?

Ponieważ intuicja i doświadczenie życiowe mówią mu, iż następny krok musi być przeciwagą poprzedniego, jako że w życiu sprawy toczą się na zasadzie przeciwności, a zatem po wznoszącej się fali nadchodzi opadająca, po sukcesie trudności, po wzlocie upadek i tak dalej, ale człowiek, wbrew poznaniu empiryzemu, wciąż jeszcze nie potrafi przedstawić sobie z góry tego schematu, łuku tej fali. W przeciwnym wypadku mógłby przewidzieć wydarzenia do najdrobniejszych szczegółów.

Co mu się przytrafiło po drodze?

Ukołysany stukotem kopyt, w pewnej chwili się zdrzemnął.

Jaki miał sen?

Płynął przez wielką wodę, w całkowitej ciemności, ale świadom w każdej chwili tego snu, że jest uratowany, podobnie jak Noe, a wszyscy, którzy byli z nim do niedawna, potonęli, tylko on przeżył wielką katastrofę, co we śnie napełniło go uczuciem jakiejś niejasnej dumy, albowiem to, że on jedyny się uratował, nie było tylko dziełem Boskiego miłosierdzia, lecz także jego własną zasługą, umiejętnością radzenia sobie w trudnych sytuacjach życiowych.

Kiedy się zbudził?

W chwili, gdy jego statek ze snu, jego arka uderzyła o twardy grunt i zaczęła się trząść. Nie było mu dane ujrzeć nowego lądu, bo dorożka skręciła na wybrukowaną kocimi łbami ulicę Niemiecką (obecnie Bema).

Jaki napiwek dał dorożkarzowi?

Trzy pengő i dwadzieścia fillérów, których dorożkarz zażądał, E.S. zaokrąglił do czterech pengő, ponieważ swoje cudowne ocalenie (we śnie) połączył ze szczęśliwym przybyciem (na jawie) do pierwszego miejsca przeznaczenia.

Jaką decyzję podjął przed domem numer 21 przy ulicy Bema (dawniej Niemieckiej)?

Nagle zmienił poprzednią swoją decyzję i polecił dorożkarzowi, żeby na niego zaczekał, bo zaraz wróci.

Co spowodowało zmianę decyzji?

Nagle postanowienie, że nie wstąpi do właścicielki mieszkania, które tu wynajmował (p. Mészáros), było zapewne spowodowane opóźnieniem, do jakiego doszło na dworcu, i refleksją, że jest zbyt późno na wizyty.

Co chciał załatwić przy ulicy Niemieckiej (Bema)?

Miał zamiar uregulować swój dług (czynsz za dwa miesiące) i przekonać właścicielkę mieszkania, żeby nie wyrzucała jego rzeczy do pojutrze, kiedy to ostatecznie się wyprowadzi.

I co zrobił?

Postawił od wiatru kołnierza płaszcza i zszedł z dorożki, przenosząc cały ciężar ciała na skrzypiący stopień, po czym zrobił kilka kroków w kierunku okna swego dawnego mieszkania. Okno jednak było zalepione od środka niebieskim papierem pakowym, nie zdołał więc niczego zobaczyć ani przekonać się, czy jego rzeczy są jeszcze w mieszkaniu.

Jak długo zatrzymał się przy oknie?

Parę minut. Potem szybko wrócił do dorożki i ruszył w dalszą drogę: Wybrzeże Kolejowe 8.

Jak go przyjął pan Gawanski?

Pan Gawanski długo patrzył przez judasza, bez słowa, jak gdyby nie wierzył własnym oczom, a potem, astmatycznie dysząc, włożył szlafrok.

Co następnie robili niespodziewany gość i gospodarz domu?

Serdecznie uścisnęli sobie ręce i wymieniwszy w korytarzu kilka przyjaznych słów, pospieszyli, na propozycję gościa, posłuchać wiadomości zaczynających się o godzinie dwudziestej według Greenwich.

O czym myślał gość, rozgrzany traminerem, rozwijając swoją efektowną obronę holenderską (1. Sf3, f5; 2. g3, Sf6 itd.)?

O tym, jak kiedyś w rozmowie z rodzonym bratem, z którym zobaczył się (1937) po upływie może dwudziestu lat, przez niecałe dziesięć minut wyczerpał wszystkie tematy i obaj długo milczeli, aż wreszcie zaczęli grać w szachy i w ten sposób skrócili czas przykrego, uciążliwego milczenia, jakie zapadło po krótkiej konwersacji.

Na co poskarżył się gospodarz niespodziewanemu gościowi, a gość uprzejmemu gospodarzowi?

Gospodarz poskarżył się na swoją córkę, która zamierała wyjść za jakiegoś obywatela, na coraz dokuczliwszy wrzód żołądka, na łamanie w krzyżu, astmę, zaostrażając się krótkowzrocznością, na ból zęba, na bezsenność, którą zwalcza piciem lub, z braku alkoholu, tabletkami aspiryny, na łysienie, utratę męskości, utratę pamięci, na klaustrofobię, kancerofobię, łakomstwo oraz infantylny apetyt na słodczyce. Gość wyznał gospodarzowi, że dzieli większość jego dolegliwości (ból w krzyżu,

zaostrażająca się krótkowzroczność, bezsenność, na którą nie ma leku, klaustrofobia), a poza tym wymienił następujące: lęk przed nocą, lęk przed kolejnym dniem, lęk przed ludźmi w mundurach, lęk przed starością i niemocą, lęk przed psami (kynofobia), lęk przed Bogiem, lęk przed śmiercią, lęk przed piekłem.

Czy gość przemilczał coś przed gospodarzem?

Bez względu na wypróbowaną tolerancję religijną gospodarza przemilczał, że wyrzucono go z przedziału pierwszej klasy, przemilczał też wytworne spotkanie z towarzyszką podróży, prawdopodobnie wdową wojenną, która aż do tej pory (gdy poproszono go, aby był uprzejmy opuścić grzecznie przedział pierwszej klasy) siedziała naprzeciw niego, tak że zdołał w pewnej chwili uchwycić spojrzeniem skrawek jędrnej białości jej ud, wyrastającej z czarnych jedwabnych pończoch, przemilczał więc to spotkanie z wdową, dla której wyśpiewał później kilka wersów i wreszcie, na koniec, po kawalersku ją pożegnał, ruchem znamionym a niedwuznacznym: zdjęciem kapelusza.

Czy gospodarz przemilczał coś przed gościem?

Że obywatel, który kręci się koło jego córki, choć posiada ortodoksyjne węgierskie nazwisko Fekete i zawód akwizytora, w gruncie rzeczy jest synem pewnej pani imieniem Rachela.

Jakich wspólnych znajomych sobie przypomnieli?

Pana Dragutina Florijani, asesora, który w roku 1924 pokonał w symultanie, przy dziewięciu stołach, słynnego Ottona Tytusa Bláthy z Budapesztu; pana Ryszarda Engla, kupca, który cierpiał na klaustrofobię i w roku 1938

skoczył pod koła pociągu pośpiesznego, pozostawiając młodą wdowę i dwie córki — sieroty; pana Tihomira Petrovicia, urzędnika min. fin., który gdzieś w roku 1930 wrócił z Paryża z bujną czarną czupryną, twierdząc, że dzięki kuracji hormonalnej odzyskał nie tylko utraconą kosmatość, ale i męskość; pana Andriana Fehéra, zwanego Fedzio, który przed dwoma laty powiesił się z powodu nieznośnego bólu głowy; pana Maksyma Freuda, prymariusza, którego rozstrzelano 24 stycznia 1942 roku i którego mózg, wypadłszy z czaszki, leżał cały dzień w topniejącym śniegu na rogu ulic Szkoły Greckiej i Mileticia; niejakiego Sándora (nazwiska nie pamiętali), który potrafił wypić duszkiem trzy litry różowego wina; pana Jovana Gondję, grabarza, którego zabito na cmentarzu razem z żoną i dzieckiem; raka karku komunalnego Helmára Bélé, z którym nieraz pili u Weinhebla w lokalu „Katóleka Porta”, a który niedawno przepiłował jakąś kobietę i wrzucił do Dunaju; kupca A. Zieglera, którego chwycił paraliż; pana Bélé Sternberga, nadinspektora kol., który w grudniu 1941 roku rzucił się pod pociąg towarowy koło przejazdu, a w liście pożegnalnym wyjaśnił, że na ten krok zdecydował się z powodu „ogólnego chaosu”; pana Mikszę Kohna, kupca hurtowego, którego rozstrzelano wraz z całą rodziną (żona i troje dzieci); pana Žarka Uzelaca, któremu odcięto wąsy i uszy, ale żyży; pana Paję Schwarza, zwanego Herz Schwarz, któremu rozbito głowę siekierą, a potem wrzucono go do Dunaju, pod lód; panią Kónig, nauczycielkę, którą żołnierze węgierscy zgwałcili, a potem zakłuli bagnietami; pana Scheinbergera, zwanego Szani, który w przystępie szału strzelił sobie w usta

z dubeltówki; pana Djordje Stankovicia, pracownika drukarni, który w tajemniczy sposób zniknął rok temu, wyszedłszy po piwo do sklepu Zieglera; pana Dezyderego Gutmanna, inżyniera, który trzy lata temu szarpnął za hamulec w pociągu pośpiesznym Nowy Sad–Budapeszt pod pozorem, że wiatr porwał mu jedwabną chusteczkę stanowiącą dla niego cenną pamiątkę; panią Fischer, wdowę, która po przeżytym szoku zachorowała na cukrzycę i wpadła w stan chronicznej bezsenności; pana Antona Buarova, kontrolera skarbowego, który z niewiadomych powodów znalazł się w zakładzie dla obłąkanych; pana Gyulę Berecza, rejenta, który zenił się pięć razy, w tym cztery razy z wdowami; pana Aladára Sichermanna, kancelistę, który skoczył do studni, w momencie gdy miał pójść do ślubu; pana Marka Kapamadzije, krawca, który zginął w swoim domu razem z sześciuosobową rodziną podczas montowania pocisków własnej roboty; pana Žarka Blagoticia, lekarza, który wyskoczył z okna więzienia śledczego; pana Josipa Kosticia, magazyniera kolejowego, który pisywał dziesięciozłotkowcem wiersze o rychłej zagładzie świata; pana Adolfa Singera, lekarza, któremu w więzieniu na żywo odjęto nogi; pana Mártona Böszörményi, który strzelał do siebie z rewolweru; pana Árpáda Kertela, adwokata, który podczas transportu wyskoczył ze statku do rzeki Begej i utonął; pana Bulata, inżyniera i iluzjonistę, który przy wejściu na dworzec zamiast przepustki pokazał starą uczniowską legitymację z trzeciej klasy powszechnej szkoły, jedyną, jaką mógł jeszcze znaleźć w splecionym domu, i dzięki swym niezwykłym umiejętnościom z tą uczniowską legitymacją dotarł

aż do Ameryki, skąd napisał do krewnych w N.S.; pana Dezső Bálinta, wysokiego urzędnika sądowego, któremu wskutek zaburzeń hormonalnych zaczęły rosnąć piersi; pana Filipa Uhlmanna, optyka, który niedawno opuścił rodzinę i przeprowadził się do psiej budy, wyobrażając sobie, że jest złym psem; pana Adama Mándi, oficera, który rozciął sobie szablą brzuch, naśladując harakiri, co mu się nie udało, gdyż umarł wskutek infekcji; pana Ivana Popova, restauratora, któremu żona w przystępie szału podała nieoskubaną kurę, wyjąwszy jej tylko oczy szydełkiem, na co on z rozpaczy zaczął jeść kurę razem z piórami i udusił się; pana Dezyderego Bleiera, który stracił mowę po czymś, co mu się zdarzyło między siódmą a dziewiątą rano 12 stycznia 1942 roku; pana Marka Mudrinskiego, fizjoterapeutę, który wstrzykiwał sobie narkotyki; panią Hollós, kasjerkę, która z miłości wyszła za jakiegoś Żyda pół roku temu; pana Vladetę Markovicia, geografa, który niedawno przy sprawdzaniu dokumentów okazał się bigamistą: jedną żonę miał w Béczeju, a drugą w Suboticy; właścicielkę piekarni, wdowę Horgos, która przed dwoma miesiącami wyszła za mąż (po raz trzeci) za węgierskiego podoficera; pana Jánoša Kovácsa, który co roku kąpał się w zamrzniętym Dunaju, rozbijając lód koło zielonego ogrodu kąpieliska miejskiego, a kilka miesięcy temu zginął w wypadku samochodowym; pana Karla Steinera, który w 1937 roku przepadł bez śladu gdzieś w ZSRR; pana Živana Pavkova, szewca, który odziedziczył bajeczny majątek w Ameryce trzy dni po tym, jak umarł, na pół ślepy, w nędzy; pana Andriję Laufera, urzędnika, który z miłości przeszedł na

islamizm; pana Mártona Fuchsa, który umarł od ukąszenia pszczoły; hrabiego M.L. Poltarackiego, z którym kilka razy grali w *chemin-de-fer*, a o którym w tych dniach można było dowiedzieć się z gazet, że umarł w Nowym Jorku słodką śmiercią; pana Djordje Ivkovicia, właściciela drukarni, z którym obaj współpracowali w latach 1936–1938, a o którym od dwóch lat wszelki śluch zaginął; pana Jovana Szengili, kuśnierza z Béczeju, który skutecznie leczył astmę ziołami; doktora Komáromi z Budapesztu, który wszelkie choroby leczył akupunkturą; doktora Szafarika, który z powodzeniem leczył rypdurę i przeprowadzał operacje prostaty; pana Osipa Nezmezcicia, szlifierza, który został popem; pana Popovicia, sklepiarza, któremu urodziły się trojaczki (dwaj chłopcy i dziewczynka); pana Lujo Letringera, ślusarza, który został lotnikiem i tuż przed wybuchem wojny rzucał ulotki nad swoim domem, wykonując niebezpieczne loopingi; pana Emila Tumpicia, księgowego, któremu zdawało się, że jest wyższym niemieckim oficerem, wobec czego przyszył sobie do płaszcza lampasy; pana Aleksandra Vukcevicia, nauczyciela historii, który miał trzecie stadium syfilisu; urzędnika dunajskiego towarzystwa Lloyd, pana Arnolda Wenzla, który w 1928 roku ożenił się z rosyjską hrabianką, a potem ją publicznie grzmocił; pana Johanna Krohna, oberkelnera, który był tak genialny w matematyce, że wielocyfrowe liczby podnosił do dziesiątej potęgi, a skończył jako cyrkowiec; pana Dawida Baumanna, który w roku 1937 wrócił z Kanady, bo nie odpowiadał mu tamtejszy klimat; pannę Darinkę Mrazovac, kelnerkę, do której obaj zalecali się z galanterią

gdzieś w 1925 roku, a która niedawno uciekła z jakimś awanturnikiem, opuściwszy czworo dzieci i chorego (dotkniętego apopleksją) męża, emerytowanego profesora; urzędniczkę Zakładu Asekuracji i Reasekuracji, pannę Farkas Juliannę, od której obydwaj złapali trypra w roku 1920; pannę Magdalenę Ivanović, fryzjerkę, która w roku 1939 poroniła na noworocznym balu kolejarzy; pannę Kenyeres Mariszkę, prostytutkę rodem z Pécsu, która w roku 1922 otruła się sodą kaustyczną, dwa dni po ślubie z jakimś bogaczem; pana Mosze Altaraca, który w 1934 roku wyjechał do Ameryki i stał się współwłaścicielem wytwórni wody sodowej; pana Alberta Einsteina, zięcia Maricia, który został sławnym uczonym; pana Stanisława Simonovicia, zwrotniczego, który uległ wypadkowi; pana Iliję Marinkovicia, nadzorcę torów, który dostał *delirium tremens* dwa lata temu; pana Mártona Barabása, byłego trenera piłki nożnej, który po śpłodzeniu syna przestał się jękać.

Pod jakim pozorem gość wymówił się od kolacji?

Twierdząc, iż podobnie jak osioł Nasredina-hodży przywykł do głodowania, z tą różnicą, że jemu nie przydarzy się to co osłu, czyli nie zdechnie. Ma bowiem w organizmie duże zapasy energii, które od czasu do czasu uzupełnia za pomocą alkoholu.

Ku czemu skierowała dyskusję ta wzmianka?

Ku wyższym, Boskim sprawom. Gospodarz wyraził podziw dla doskonałości żywych organizmów (zwłaszcza dla organizmu człowieka), które Stwórca, powodowany wyższym zamysłem, uczynił praktycznie doskonałymi; wszystko w nich służy jakiemś celowi.

Jakim przykładem zilustrował to gospodarz?

Przykładem wielbłąda, który nosi w sobie, niby w zbiorniku, dużą ilość płynu. Spragnieni wędrowcy na pustyni zabijają niekiedy swoje wielbłądy, gdyż w ich brzuchu, w skomplikowanych narządach znajduje się kilka galonów świeżej, chłodnej wody.

Czy gość nie miał co do tego zastrzeżeń?

Zgadając się zasadniczo z tezą gospodarza o celowości, jaką Stwórca wniósł w budowę świata i żywych organizmów, stanowczo zaprotestował przeciwko historii z wielbłądem i powołał się na artykuł z „Przeglądu”, świadectwo doktora Brehma, który przebywając na wyprawie naukowej w Egipcie, polecił otworzyć brzuch wielbłąda i nie znalazł żadnego płynu zdanego do picia, mimo że zwierzę poprzedniego dnia wypilo dużą ilość świeżej wody.

Jak się przedstawiał, po sześciu rozegranych partiach, ostateczny wynik ich trzyletniego maratonu szachowego?

Zdaniem gościa, pokonał on gospodarza stosunkiem punktów 85½ : 62½; zdaniem gospodarza, stosunek punktów wynosił 85½ : 79½, również na korzyść gościa.

Na czym opierali się gość i gospodarz w swoich sprzecznych twierdzeniach?

Gospodarz powoływał się na swój zatłuszczony notes, w którym zapisywał wyniki wszystkich rozegranych partii, a gość na swoją fenomenalną pamięć.

Jakie tematy polityczne poruszyli, półgłosem, przy butelce banackiego rizlingu?

Potencjał gospodarczy Związku Sowieckiego ze szczególnym uwzględnieniem przemysłu ciężkiego,

elektryfikacji, uzbrojenia, nafty i transportu; strategiczne znaczenie granic tego kraju; potencjał gospodarczy i wojenny Stanów Zjednoczonych; fanatyzm japoński, zwłaszcza postać księcia Konoe; Daladier i Gamelin; niemieckie metody prowadzenia wojny; problem antysemityzmu i dyskryminacji rasowej w świetle najnowszych wydarzeń politycznych; odpowiedzialność rządu węgierskiego i witezia* Grassy za rzeź w Nowym Sadzie; niepowodzenia Francji, ze szczególnym uwzględnieniem linii Maginota, i rola tego państwa podczas obu wojen; sowiecko-fiński traktat pokojowy; bitwa o Narwik; Chamberlain i Churchill; ewakuacja aliantów spod Dunkierki; stosunki włosko-francuskie w nowo zaistniałej sytuacji; kapitulacja Włochów w Etiopii; Antonescu i jego reżym; ucieczka króla i rządu jugosłowiańskiego, jak również sprawa rezerw złota; porozumienie między polskim rządem emigracyjnym a rządem sowieckim; siły brytyjskie w Libii; Karta Atlantycka; inwazja na Holandię; niemiecko-włoska inwazja w Libii; kapitulacja Singapuru; lądowanie oddziałów amerykańskich w północnej Irlandii; walki partyzanckie w Jugosławii

Witeż — członkami Zakonu Witezi, założonego w 1920 r. przez regenta Horthyego, zostawali początkowo oficerowie, którzy odznaczyli się w tłumieniu rewolucji 1919 r. na Węgrzech. Nadawanie im ziemi miało na celu stworzenie kasty „nowych feudałów”. Podczas II wojny światowej, od 1941 r. znacznie wzrosła liczba członków Zakonu Witezi, którymi dyktatura obsadzała wysokie stanowiska w administracji państwowej i armii walczącej u boku Niemiec hitlerowskich (przyp. tłum.).

partyzanci i czetnicy; NDH*; Singapur i wycofywanie się Anglików.

Jakim pesymistycznym rozważaniom oddał się gość?

Wyraził obawę, że Związek Sowiecki po wywalczonej zwycięstwie rozpocznie wojnę ze Stanami Zjednoczonymi; że Wschód wystąpi przeciwko demokratycznym instytucjom Zachodu; że tajna broń niemiecka przedłuży wojnę o jakieś dziesięć lat; że zwycięskie kraje zaczną na nowo uzależniać i wykorzystywać inne narody; że głupota ludzka jest nieprzemijająca, więc ludzie nadal będą się mordować; że nigdy nie ustanie bezprawie; że po wojnie nagły przyrost naturalny zagrozi istnieniu rodu ludzkiego; że nowe sekty i partie staną się zagrożeniem demokratycznych państw; że fanatyzm religijny i polityczny będzie po wojnie zbierał nowe żniwo; że ludzie z jego pokolenia (ci, którzy przeżyją) w nowym świecie będą sprawiać wrażenie przedpotopowych skamielin.

Jakie argumenty starał się przeciwstawić gospodarz temu płynnemu i momentami przekonującemu wykładowi?

Powoływał się na Postęp, Ewolucję, Demokrację, Humanizm.

Kogo cytowali na poparcie swoich tez gość i gospodarz?

Gość: Spinozę, Churchilla, Fritza Sternberga, Bruce Bliventa, Nostradamusa, Einsteina, Mojżesza, Dawida, Eklezjastę, M.L. Poltarackiego, Adolfa Singera, Osipa

Nezavisna Država Hrvatska — Niezależne Państwo Chorwacja utworzone przez okupantów niemieckich (przyp. tłum.).

Nezmezcizia i swoją nieżyjącą już matkę Reginę; gospodarz: Pawła, Jakuba i Jana, Włodzimierza Iljicza, Churčila, Daladiera, doktora Słobodana Jovanovicia, króla Piotra I, Vasę Pelagicia, Svetozara Mileticia, swojego nieżyjącego już ojczyma, małżonkę oraz kapitana rezerwy pana Marinkovicia.

Jakie przepisy wymienili między sobą gospodarz i gość?

Gość podał gospodarzowi przepis na sałatkę ze szcziwui i pokrzyw, z dodatkiem lub bez dodatku margaryny. Gospodarz wtajemniczył gościa w magiczną formułę otrzymywania sposobem domowym napoju alkoholowego z kartofli.

Jak przy tym postąpił jeden, a jak drugi?

Gospodarz zanotował przepis w zatłuszczonym notesie, a gość znowu powołał się na swoją pamięć. Zrobił w związku z tym ironiczną uwagę, że dla gospodarza tłuszcz nie jest tak niedostępny, jak mu się wydaje, bo w razie potrzeby mógłby rzucić na patelnię tę swoją wszechmądrość i wytopić z niej ilość tłuszczu wystarczającą do przyrządzenia posiłku, co by przyniosło wieloraki pożytek, jako że przy tej okazji spłonęłyby jego wyniki szachowe, wykazujące drastyczną niezgodność z rzeczywistym stanem gry.

Jak gospodarz zareagował na ten docinek?

Zaproponował przeciwnikowi, aby zniszczyli rezultaty dotychczasowego (trzyletniego) turnieju i zaczęli od początku, od zera.

Jakie rady z zakresu medycyny wymienili gospodarz i gość?

Gospodarz polecił gościowi lincurę (jeden kieliszeczek na czczo) na polepszenie obiegu krwi i apetytu, a napar z macierzanki przeciwko mdłościom; gość polecił gospodarzowi okłady z wody Burowa na opuchnięte nogi, jak też następujący napar przeciwko zwapnieniu naczyń krwionośnych i wysokiemu ciśnieniu: kwiat głogu (*Craegus monogyna*), skrzyp (*Equisetum*) i jemiołę pospolitą (*Viscum album*) – filizankę rano i wieczorem, przed jedzeniem.

O której godzinie rozstali się gospodarz i gość?

O trzeciej dwadzieścia według czasu środkowoeuropejskiego.

Czy gość skorzystał z zaoferowanego mu noclegu?

Gdy gospodarz uprzytomnił mu, że już od dawna trwa godzina policyjna i będzie trwać aż do szóstej rano, z wdzięcznością przyjął propozycję i wkrótce wyciągnął się na miękkiej kanapie w pokoju, którego okna wychodziły na nasyp kolejowy.

Co go usypiało?

Prócz wina, które krążyło w jego żyłach, rozgrzewając krew i pobudzając mózg, usypiało go wycie wiatru, tykanie budzika w sąsiednim pokoju, stukot kół pociągów i gwizd lokomotywy.

Co przeszkadzało mu zasnąć?

Lodowate nogi, które usiłował rozgrzać, pocierając stopę o stopę.

Czy zapomniał podziękować Jehowie?

Zanim zmorzył go sen, podniósł twarz ku Jego Twarzi i odmówił krótką modlitwę, sucho szeleszcząc wargami.

Co mu przeszkadzało zwrócić się myślą ku Bogu?
Świadomość, iż zapomniał poprosić gospodarza, żeby
postawił na szafce nocnej butelkę wody, gdyż wkrótce na
pewno zacznie go dręczyć pragnienie.

O czym nie zapomniał?

O nakręceniu zegarka.

Co zapomniał zrobić?

Zapomniał na koniec jeszcze raz się wysuszyć, choć
między ostatnim jego siusianiem a położeniem się na ka-
napie minęło dobre piętnaście minut, które zużył na
podręczne czynności, jak mycie zębów, szukanie oku-
larów, rozbieranie się, wkładanie piżamy itd.

Dokąd zanosił go lekkie skrzydła snu?

Jak gdyby utożsamiał je z anielskimi skrzydłami, roz-
postartymi po obu stronach osi ciężkiego żelaznego
koła (symbol kolei), a wrytymi na kopercie jego ze-
garka, znalazł się nagle na jakimś nieokreślonym dwor-
cu kolejowym. Mogły to być Kameral Moravice, Szid,
Mała Krsna czy Lenti, a jednak nie była to żadna z tych
miejscowości.

O co przede wszystkim się zatroszczył?

O szybkie opróżnienie pęcherza.

Co mu w tym przeszkadzało?

Wyjątkowo duża, jak na tę małą stację, gromada ludzi,
przeważnie żołnierzy i Cyganów, którzy tłoczyli się wszys-
scy naraz wokół ustępu, tak że z trudem tylko zdołał się
prześcisnąć do rozchwianych drzwi.

Jaki obraz ujrzał wkrótce potem?

Kucznik pełen był odchodów, tak że smrodliwa gęsta
kałuża wylewała się z lejkowatej kloaki na beton, ściany

zaś, z których spadało wapno, gęsto zamazane były
palcami uwalanymi kałem. Mimo pilnej potrzeby zre-
zygnował więc z opróżnienia pęcherza i znów zaczął się
przeciskać przez cuchnący potem tłum.

Dlaczego nie załatwił potrzeby przy pobielonym płocie
koło budynku dworca?

Pod płotem stał jakiś człowiek, którego twarzy nie
mógł rozpoznać w mroku, ale widział wyraźnie wyszcze-
rzone zęby: ten człowiek się śmiał.

Spotkał go już gdzieś przedtem?

Sądząc po błyszczących białych zębach i śniadej cerze,
był to ów mężczyzna, który niedawno tak ostro zaprote-
stował w związku z tym, że żądano od niego, by zapłacił
za wejście do ustępu.

Gdy widmowa postać E. S.-a stała tak niezdecydowanie,
do jakiej zmiany doszło na dworcu?

Z ogłuszającą orkiestrą, złożoną z piszczałek, tołum-
basów, skrzypiec i bębenków, hałaśliwy tłum wdarł się na
dworzec, po czym zebrał się na pustym placu nieopodal,
a E.S. ku swemu wielkiemu zdumieniu spostrzegł coś,
czego nie mógł pojąć: na peron wjechał pociąg, bezgłośnie,
jak widmo.

Czego śpiący E.S. usiłował się dowiedzieć, patrząc, jak
hałaśliwy orszak ustawia się w koło?

Co to za stacja, co za pociąg, gdzie, kiedy i dlaczego
to się dzieje, ale na żadne z tych pytań nie mógł uzyskać
odpowiedzi. Jego zmieszanie rozumiał tylko śniady męż-
czyzna o białych zębach, obserwujący go ze złośliwym
uśmiechem.

Co w końcu zrobił obserwowany obserwator?

Podszedł i zobaczył nosze ustawione pośrodku kręgu, na placu za budynkiem dworca. Na noszach leżał młody żołnierz, trupio błydy, z zamkniętymi oczyma, a tłum pielgrzymował wokół jego martwego ciała, tańcząc rytualne *kolo*.

Co jeszcze zauważył E.S.?

Że tołumbasy i bębenki umilkły. Cisza zapadła grobowa.

I co się stało?

Młody żołnierz nagle podniósł się i stanął na nogach. Potem zachwiał się, jakby miał upaść.

Co nastąpiło po chwili ogólnego zamieszania i krzyku grozy, jaki wydarł się z piersi ludzkich?

Czterej silni mężczyźni w długich płaszczach od deszczu i kapeluszach wciśniętych na czoło podeszli do młodego żołnierza i próbowali położyć go na nosze, lecz nadaremnie, gdyż chłopcu za każdym razem udawało się rozciągnąć jednego z nich na trawie. Młody żołnierz nadal szedł przed siebie niepewnym krokiem, jak dziecko.

Do kogo zbliżył się chwiejnym krokiem zmartwych powstały?

Ludzie rozstąpili się przed nim i stanął oko w oko z E.S.-em.

Co mu powiedział zmartwych powstały głosem zatęchłym i ochrypłym?

Poprosił go, żeby zrobił coś dla położenia kresu temu nieszczęściu i poniżającemu handlowi ludzkimi kośćmi. Osobiście, powiedział, nie ma nic przeciwko temu, żeby go zabito, sądzi jednak, że to wręcz nieludzkie postępować z ludźmi tak, jak z nim postąpiono: wyjąć im kości,

a ciało zostawić puste. Z niego po prostu wysypano kości niby z worka. Jako dowód podał to, że chód ma nie tylko chwiejny, ale i widmowy. Padł ofiarą kościokrądown.

Z czego poza tym zwierzyła się E.S.-owi okaleczona ofiara kościokrądown?

Że w ciągu dnia przeżywa drastyczne wahania temperatury ciała od -56° do $+1100^{\circ}$ Celsjusza (*sic!*), co temu młodemu ciału zadaje straszliwy ból. W związku z tym żołnierz poprosił E.S.-a, aby ujął się za nim oraz jemu podobnymi biedakami i odkrył przed światem straszliwą prawdę o międzynarodowej organizacji kościokrądown.

Co się tymczasem stało?

Agenci w cywilu i lekarze kościokrądowni (w białych kitlach i z wielkimi strzykawkami) zdołali obezwładnić dwóch innych żołnierzy, którzy podźwignęli się z noszy, i właśnie, przywiązanych sznurami, ładowali biedaków do pociągu.

Jakie cenne świadectwo prawdzie dał jeszcze zmartwych powstały?

Że kościokrądom udało się obezwładnić tamtych dwóch tylko dlatego, iż temperatura ich ciała spadła do -56° , gdyby zaś mieli taką temperaturę jak on w tej chwili ($+1100^{\circ}\text{C}$), agenci i lekarze byłiby bezradni, podobnie jak wciąż jeszcze są bezradni wobec niego, co niestety długo już nie potrwa, bo jemu również temperatura teraz (przed wieczorem) nagle spada i za kilka minut spadnie do najniższej granicy -56° . Wtedy będzie musiał wrócić na nosze.

Co w końcu (przed ostatecznym spadkiem temperatury) uczynił młody żołnierz?

Pocałował w policzek E.S.-a, którego uszu dobiegło, jak ktoś w tłumie powiedział, że jest to Pocałunek Śmierci.

Kto uratował E.S.-a od opokarzającego dygotania?

Czarno ubrana dama, która odepchnęła młodego półnieboszczyka i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia czule i namiętnie przygłnęła do E.S.-a, przyciskając gorące wargi do jego warg. Potem ręka jej sięgnęła ku rozporowi i palce Czarnej Damy, przesunawszy się sprawnie wśród guziczków, dotknęły gorącego, nabrzmiałego członka.

Kto w tej samej chwili przejął rolę obrończyni i pocieszycielki?

Czarną Damę zastąpiła dziewczyna w czarnym uczińskim fartuchu, która szeptała mu do ucha nie przyzwoite słowa i nie wypuszczała z drżących palców gorącego członka.

Dlaczego mimo silnego podniecenia nie doszło do polucji?

Ponieważ tłum nie tylko patrzył z oburzeniem, ale zasypywał ich kąśliwymi uwagami. E.S. musiał więc odsunąć rękę dziewczyny i wrócić do przedziału.

Co robił w przedziale?

Rozparty na miękkim pluszowym siedzeniu zaczął pilnie studiować broszurę o wielorybach.

Czy po przebudzeniu pamiętał coś z przeczytanej w śnie broszury?

Niemal dosłownie mógł powtórzyć ostatni rozdział. Autor tej pracy twierdził, że wieloryby, choć żyją w wodzie, nierzadko umierają z pragnienia. Zdarza się, że

w poszukiwaniu chłodnych ujść rzecznych lub źródeł słodkiej wody grzęzną przy brzegu, gdzie umierają w straszliwych mękach, kurcząc się powoli, jak balon, z którego uchodzi powietrze.

Jak E.S. tłumaczył sobie koszmarną część swojego snu?

Pewne przejaskrawienia przypisywał oddziaływaniu alkoholu (fizjologia), zmęczeniu i emocjonującym wrażeniom minionego dnia (psychologia), a wreszcie zmianie tónka (siła przyzwyczajenia).

Jaki sen opowiedział E.S.-owi gospodarz ujęty zaufaniem, które okazał mu gość, opowiedziawszy odnosząc się do wielorybów część swojego snu?

Gospodarz zwierzył się gościowi, że przez całą noc grzązł po kolana w gównach, co gość wytłumaczył jako dobry znak: zapowiada to podwyżkę emerytury, wygraną na loterii klasowej, niespodziewany przekaz, spadek, znalezienie wypchanego portfela albo przynajmniej jakiegoś banknotu w kieszeni starych spodni za komodą.

Jakimi wsparł to dowodami?

Własnym doświadczeniem: w roku 1911 znalazł na stacji Kameral Moravice portfel bez dokumentów, za to z sumą 225 koron; w roku 1925 wygrał na loterii klasowej kwotę dziesięciokrotnie wyższą od ceny kupionego losu; w roku 1928 na balu kolejarzy w Suboticy wygrał na tombole czek wartości 25 dinarów; w tym samym 1928 roku otrzymał od swego brata Dolfi z Triestu przekaz na sto lirów. Za każdym razem przed odniesieniem tych korzyści śniło mu się właśnie, że grzęźnie w gównach po kolana, a nawet po szyję.

Co E.S. cenił we śnie?

Jego podobieństwo do życia i odmienność od życia; jego działanie profilaktyczne; odradzający wpływ zarówno na duszę, jak i na ciało; nieograniczone możliwości wyboru i układu tematów i treści; głębię jego otchłani i wysokość wzlotów; jego erotyczność; jego swobodę; możliwość kierowania nim poprzez siłę woli i sugestii (naperfumowana chusteczka pod poduszką, cicha muzyka z płyt lub radia itd.); jego podobieństwo do śmierci i moc wyczarowania dla nas wieczności; jego podobieństwo do obłądki, ale bez rzeczywistych następstw; jego brutalność i łagodność; siłę wydobywania z ludzi najgłębszych tajemnic; jego błogosławioną ciszę, której nieobcy jest krzyk; dar telepatycznego i spirytystycznego obcowania z istotami dalekimi lub nieżyjącymi; jego zaszyfrowany język, który niekiedy da się zrozumieć i przetłumaczyć; możliwość obrazowego przedstawiania mitycznych pojęć związanych z postacią I kara, Ahaswera, Jonasza, Noego itd.; jego monochromatyzm i polichromatyzm; jego podobieństwo do macicy i do paszczy rekina; zdolność zamieniania nieznanomych miejsc, ludzi i okolic w znajome i odwrotnie; możliwość wczesnego wykrywania rozmaitych chorób i urazów; jego trwanie, którego nie można łatwo wymierzyć; jego zdolność mieszania się z jawą; jego moc utrwalania obrazów i dalekich wspomnień; lekceważenie chronologii, jak też klasycznej jedności akcji, miejsca i czasu.

35

Dlaczego autor listu poświęcił swemu trzydniowemu pobytowi w Nowym Sadzie zaledwie kilka zdań?

Niektóre sprawy, na przykład wizyta u pana Gawanckiego czy u pani Fischer, nie miały według niego znaczenia dla dalszego toku wydarzeń. Inne, jak sprawa, którą załatwiał w biurze kolei czy u parocha, uważał za zbyt delikatne i nawet zbyt niebezpieczne, aby wspominać o nich w liście. Pierwsza miała charakter tajemnicy służbowej, druga — tajemnicy sakralnej i jako takie służywały na immunitet.

O co E.S. poprosił parocha (i *vice versa*)?

O zachowanie tajemnicy.

Gdzie i kiedy E.S. rozmawiał poprzednio z osobami duchownymi?

W roku 1903, jako czternastoletni chłopiec, rozmawiał może dwadzieścia minut z rabinem Steinovitzem, po lekcji, w korytarzu, na temat cudów biblijnych. W roku 1905, z tymże Steinovitzem (w tym samym korytarzu) przeprowadził krótką rozmowę o pochodzeniu zwyczajów związanych ze świętem Chanuka i o sobotnich zakazach, jak też o niektórych tajemnicach ciała, lecz rabin albo nie potrafił, albo nie chciał dać odpowiedzi na jego pytania. W roku 1912, jadąc pociągiem do Dombóváru, wdał się z młodym franciszkaninem w rozmowę o dogmatach (nie przedstawiając się). Powiedział mu wtedy, że niewiara w dogmat, zwłaszcza w dogmat o nieomyślności papieża, nie wyklucza wiary w Boga. W roku 1929, również w pociągu, udowadniał pewnemu jezuitcie, że *Protokoły*

mędrców Syjonu to falszyfik, złośliwy pastisz książki, która w 1864 roku ukazała się w Brukseli pod tytułem *Rosmowa w piekle między Machiavezzim a Monteskiuszem* i którą napisał niejaki Maurice Joly, socjalista utopijny. W roku 1939, na Cetinju, rozmawiał z popem Luką o pochodzeniu kartofla zwanego Dar, o którym niechybnie wiadomo, że Piotr I Petrović sprowadził go z Rosji, jak też o niezwyklej sztuce balsamowania rąk i doczesnych szczątków świętych, których relikwie przechowuje się w monasterach, o sztuce, jak się wydaje, będącej w zaniku, o czym świadczą przykłady coraz mniej udanych mufikacji władców tego świata. W roku 1940, na rogu ulicy Szkoły Ludowej, rozmawiał z rabinem Blahmem z N.S. Blahm radził mu, żeby przestał pić, ponieważ nadchodzą dni, gdy trzeba będzie trzeźwo spojrzeć śmierci w oczy, i żeby swoje pieniądze czym prędzej przeniósł do banku swajcarskiego, a szyfr podał zaufanemu przyjacielowi.

Jakimi środkami stylistycznymi posłużył się autor listu, pragnąc możliwie najlepiej przygotować nadejście Cudu?

Opóźniał je, zatrzymując akcję poprzez brawurowe zwroty tematyczne i spuszczenie z tonu do poziomu banalnej powszedniości: przed nadejściem sądnej godziny słychać będzie tylko brząkanie blaszanych łyżek i widelców, idylliczne drobnomieszczańskie pobrzękiwanie sztućców, a posłuży ono jako kontrpunkt, w którym zagrzmia trąba sądnego dnia. Solidne kształty biedermeierowskich szaf będą również tylko złudnym kontrastem plastycznym nadchodzącego chaosu, po którym kamień nie zostanie na kamieniu.

Co jeszcze znajdowało się w mieszkaniu po exodusie? Dwie szafy w pokoju i rozklekotany stół w kuchni, nakryty ponacinanym papierem woskowym.

Czego zabrakło?

Dwóch szafek nocnych z marmurowymi blatami (sprzedane), francuskiego łoża małżeńskiego (sprzedane), kredensu z lustrem (sprzedany), kuchennego kredensu (sprzedany), czterech krzeseł (sprzedane), kuchenki (wyrzucona na śmietnik), żelaznego piecyka do palenia drzewem (sprzedany handlarzom starego żelastwa), maszyny do szycia marki Singer (oddana na przechowanie pani Fischer), ram fotografii rodzinnych (rzucone w ogień).

Proszę opisać szafy.

Dwie staroświeckie jednoskrzydłowe szafy z drzewa orzechowego, niegdyś na wysoki połysk, nad drzwiami lukowato zwieńczone (dwa faliste łuki) i ozdobione rzeźbionymi w drzewie, stylizowanymi różami, wśród których znajduje się ślimakowata woluta przypominająca główkę kontrabas.

Co zostało w szafach?

W jednej z nich były wciśnięte dwie gruzłowate pierzyny bez powłok, a w drugiej leżały stare gazety i kartonowe pudełko z fotografiami rodzinnymi.

Co przedstawiała fotografia, którą E.S., kucając obok szafy, wyjął z kartonowego pudełka?

Chłopaka może osiemnasto- lub dziewiętnastoletniego, z włosami świeżo podciętymi, uczesany z przedziałkiem. Duże usta, prosty nos. Kłapy ciemnej marynarki obszyte czarnym połyskującym jedwabiem. Długa szyja wydawała się jeszcze dłuższa, bo ścisnął ją wysoki

kauczukowy kołnierzyk, pod którym widać było węzeł białego motyla.

Co mógł stwierdzić model w związku ze swoją fotografią?

Ujrawszy przypadkiem odbicie własnej twarzy w lustrze na drzwiach otwartej szafy, mógł z zalem odkryć ślady zgubnego działania czasu.

Proszę przejrzeć i opisać pozostałe fotografie.

Smukła kobieta z dzieckiem na rękę. Na drugim planie niewyraźna, zamglona panorama miasta: kominy fabryczne, wieża, jakieś sękate drzewo. Na odwrocie napis Gabriella e Lully. Trieste (bez daty).

W górnym prawym rogu stempel wodny (herb i korona Świętego Stefana). E.S. w krawacie i z przedziałkiem. *In verso: Magyar Királyi Államvasútak / Königl. ung. Staats-eisenbahnen. SZEMÉLYAZONOSSÁGI IGAZOLÓJEGY / IDENTITÄTSKARTE. Vasúton vagy hajón való utazásnál a személyazonosság igazolására / Zum Nachweise der Identität bei Fahrten auf Eisenbahnen und Schiffe. Kelt / Datum: Pécs, 1920. ápr. 1. A tulajdonos névalírása / Unterschrift des Inhabers: E.S.**

Trzy panienki od szesnastu do dwudziestu lat, ustawione według wzrostu. Najmniejsza (najmłodsza?), z kokardą w rozplecionych włosach, trzyma w ręku kilka kwiatów polnych. Druga (średnia) ma na szyi mały medalion,

* Na odwrocie: Węgierskie Królewskie Koleje Państwowe. Długość tożsamości. Dla wykazania tożsamości przy podróżach kolejąmi i statkami. Data: Pécs, 1 kwietnia 1920. Podpis właściciela: E.S. (tekst równoległy w języku niemieckim, przyp. tłum.).

a kołnierzyk bluzki obszyty koronką. Trzecia, z rękami założonymi do tyłu, ma ciemne włosy uczesane z grzywką i naszyjnik z wisiorków. Jest w sukience w jasne paski, z pluszowymi wyłogami. *In verso: Cetinje, VIII 1921. Pieczęć: S. Händler, Wien, III. Steingasse Nr 9.*

Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, około trzech i pięciu lat, w kombinezonach i kaloszach, obejmują się na białej ławce.

E.S. w okularach w żelaznej oprawce i w kauczukowym kołnierzyku. *In verso: Poświadczenie: dinarów 600 (słownie: sześćset), którą to sumę... Hirschl... w formie... (reszta nieczytelna).*

Kilkuletnia dziewczynka, ręką podpierająca podbródek, z kokardą we włosach. Plisowana sukienka. Spojrzenie utkwiwione w błękitną dal. *In verso: Post card Carte postale.*

Grupowa fotografia szkolna: jedenastu chłopców i dwanaście dziewczynek plus nauczycielka i z boku jeszcze jedna pani, zapewne wychowawczyni albo woźna.

E.S. z brodą i przedziałkiem na boku. *In verso: 1919.* Dwie dziewczynki i chłopiec za karłowatym krzewem. W dali biała wstęga drogi, która opada równoległymi, skośnymi liniami, wcinającymi się w skałę. Na krętej, poszarpanej linii, gdzie łączą się ląd i morze, widać głębokie fiordy i zatoki, a pomiędzy nimi ostre skaliste szczyty. *In verso: 16 VIII 1939.*

Na pierwszym planie część jakiegoś hydrantu czy studzienki. Dwa wątle krzewy oleandrów w kwadratowych drewnianych skrzynkach. Przed pierwszym z lewa stoi dziecko na krzywych nóżkach (pewnie dopiero zaczęło

chodzić) i kruszy w palcach grudki ziemi. Pomędzy oleandrami na niskim stołeczku siedzi dziewczynka z kokardą we włosach. Na drugim planie widać odrapany tył jakiegoś budynku i drewniane drzwi, wejście do piwnicy lub do spiżarni. *In verso*: Foto Aleksic, Nowy Sad, 1937.

Naprzeciwko drzwi stół ustawiony wzdłuż, tak że widać go w znacznym skrócie. Świąteczna kolacja albo wesele. Miejsce u czoła jest wolne, ale tu także stoi porcelanowy talerz i do połowy opróżniony kieliszek czerwonego wina. Po przeciwnej stronie siedzi kobieta z wysokim kokiem, w czarnej sukni. Po bokach stołu, na tej samej wysokości, niemal symetrycznie, siedzą po dwie osoby, widoczne z profilu: dwie kobiety w czarnych sukniach, a naprzeciwko mężczyzna i jeszcze ktoś, kogo dobrze nie widać. Wszyscy spoglądają w stronę drzwi. Czy nie zniknął w nich na chwilę ten, dla kogo wyprawiono ucztę lub wesele? A może goście patrzą w stronę obiektywu? Kobieta, która by mogła być panną młodą, też spogląda w stronę drzwi. Ciemne włosy, kolczyki, kauczukowy grzebień w kształcie koka. *In verso*: Foto Aleksic itd.

Młoda kobieta (zdjęcie do połowy), ta sama co na poprzedniej fotografii. Długa biała szyja, duże ciemne oczy, ciemne włosy wysoko upięte, kolczyki jak dwie kropki smoły, kauczukowy grzebień w kształcie koka. Prawą rękę trzyma na piersiach. W rękę ma białą chusteczkę czy też rękawiczkę. Na serdecznym palcu dwa pierścionki: obrączkę i pierścionek przypominający żuka. *In verso*: Foto Vujović, Cetinje.

E.S. Z małej kieszonki na piersiach wystaje ostrym końcem do góry żółtawy ołówek stolarski. E.S. pochylil

się, jakby przeglądał na stole stare rękopisy, dokumenty, wyblakłe listy czy pożółkłe fotografie. W tle dwie staroświeckie szafy ze ślimakowatą wolutą nad drzwiami. Reszty pomieszczenia nie widać wyraźnie.

Zdjęcie zrobione na ulicy. E.S. i drugi mężczyzna w jego wieku, obaj z uniesionymi kapeluszami. Przed nimi dwaj chłopcy i trzy dziewczynki. Jedna z dziewczynek trzyma lalkę, druga bukiet bzu. Na fotografii można się doliczyć jeszcze dziesięciu przechodniów. Jest także pomnik, widoczny od tyłu. Na marmurowym postumencie stoi człowiek, z prawą nogą zdecydowanie wysuniętą. Prawą rękę podnosi w patetycznym geście, wskazując palcem jak gdyby ku szczytowi wieży, widocznej po prawej stronie. Na pierwszym planie fasady kamieniczek z napisami: „Astra”, „Royal”, „Foto Aleksic”, „Fryzjer”, „Ogród”, i nieczytelna tablica reklamowa, na której można rozpoznać mężczyznę z uniesionym kapeluszem. *In verso*: Foto Aleksic, Nowy Sad, 1939.

Co zrobił E.S., gdy powkladał z powrotem fotografie do kartonowego pudełka?

Poszedł do kuchni, wyciągnął szufladę stołu i razem ze sztućcami włożył ją między pierzyny. To samo zrobił z kilkoma garnkami, jak też z ciężkimi nogami szaf, przypominającymi drewniane kule.

Jaki adres napisał na szafach?

Kanciastym ołówkiem stolarskim napisał na bokach i na tylnej stronie szaf swój adres (jako zadresata), a jako nadawcę podał panią Ágnes Fischer (Nowy Sad, ulica Vitéz 27).

Co mógł uważać za palec Boży i pierwsze ostrzeżenie?

Z szafy w przedziwny sposób wypadł widelec, i to jedyny, który nie był z blachy; wypadł na beton przed drzwiami, załśnił jak wałka, a potem jeszcze przez pewien czas dźwięczał niby widełki stroikowe.

Na co popatrzył E.S., wychodząc z mieszkania ostatni, tuż za tragarzami?

Na ściany.

I co zobaczył?

Obramowania z kurzu w miejscach, gdzie wisiały fotografie rodzinne, portret Mony Lisy wycięty z jakiegoś czasopisma i barwną litografię DAS STUFENALTER DER MANNES, którą przed niespełna rokiem podarował mu nieżyjący już Maurycy; drobne ślady eksplozji płynów na suficie, przypominające eksplozje pocisków przeciwlotniczych; tłustą plamę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się łóżko i gdzie opierał głowę o ścianę; zielone malowidła pleśni; chińskie cienie w miejscach, gdzie opadło wapno; piętna wilgoci.

Nad czym się zamyślił?

Nad możliwością przepowiadania losu z plam na ścianach, analogicznie do testu Rorschacha: pacjent staje w swoim mieszkaniu lub w swojej celi przed plamami na ścianach i odczytuje je w obecności lekarza.

Na przykład?

Co pan widzi w tej plamie? — Morze. — I co jeszcze? — Statek płynący po wielkiej wodzie... ropuchę... czarnego motyla... macicę... rozwartą pysk psa... macicę (to już mówiłem). — Proszę dalej. Co jeszcze widzi pan w tej plamie, panie E.S.? — Zdjęcie mojej miednicy w chwili zapłodnienia. — Zapłodnienia? Jakiego znowu

zapłodnienia? — Intelktualnego. — Co zapłodniło pański intelekt? — Śmierć, panie doktorze.

Kiedy już przestąpił próg i odszedł parę kroków, E.S. obejrzał się po raz ostatni. Wydało mu się wtedy, że coś zobaczył, ale nie mógłby przysiąc. Co to było?

Stary szczur przebiegł w miejscu, gdzie przed chwilą stała jedna z szaf, i zniknął w jakiejś dziurze.

Jak potoczyły się wypadki?

Najpierw z otwartego okna, pierwszego od bramy, buchnęła chmura kurzu, podobnie jak z działa po oddaniu strzału unosi się chmura dymu. Potem z sąsiedniego okna. I kolejno, w równych odstępach czasu, z dwóch pozostałych, jak na strzelnicy. Następnie kurz pojawił się w niezamieszkaną część domu, gdzie była piwnica czy spiżarnia (w części budynku naprzeciw hydrantu). Niszczycielska fala przeszła wreszcie przez dach, porywając za sobą dachówki, belki i mury.

Jak długo to trwało?

Kilka minut, a może kilka sekund.

Co było słychać?

Brzęk szkła, pęknięcie cegieł i dachówek, trzask desek, jak gdyby podczas pożaru.

Jaki nekrolog (wiadomość do gazet) ułożył w duchu cudem ocalony, stojąc koło gruzów, tuż obok hydrantu, poszarzały od kurzu i nagłego strachu?

E.S., twórca *muromancji*, sztuki przepowiadania przyszłości z plam na ścianach (słowo, które u nas, w Panonii, zdomowało się jako *zidomancja** lub *żydomancja*, co jest

Zid — ściana, mur (przyp. tłum.).

może bardziej adekwatne), 18 marca br. poniósł śmierć pod gruzami domu, gdzie uprawiał ów rodzaj czarnej magii, nazwany przez siebie nauką. Tak więc *Schwarz-künstler* padł ofiarą własnych wielokierunkowych machi nacji. Dom, w którym do niedawna zamieszkiwał (Nowy Sad, ulica Bema 21, dawniej Niemiecka), a który zapisany jest jako własność pani Mészáros, zawalił się w chwili, gdy autor podejrzanej książki *Muromantische Schriften* (w rękopisie) próbował przerysować ze ściany kilka wzorów płam będących dziełem wilgoci. Na podstawie tych wzorów zamierzał udowodnić czarno na białym słuszność swojej teorii. Jak oświadczył pan Hanifović, tragarz, zamieszkały przy Wyrbrzeżu Dunajskim, E.S. wygłosił do niego i jego niewinnego kolegi, pana Pupavaca, wykład o znaczeniu i możliwościach tej „nauki”, utrzymując, iż cały jego los, jak też los jego rodziny, jest rzekomo zapisany w plamach na ścianie jak na dłoni, „nieodwołalnie jak w zwoju świętej Tory” (*sic!*). Obaj tragarze zaprzeczyli fałszywym pogłoskom, jakoby E.S. twierdził, iż w którejś plamie, w którymś z tych „zwojów Tory” ujrzał dzień i godzinę swojej śmierci, już bliskiej. Jak nam powiedział pan Pupavac, tragarz, jeden ze świadków tajemniczego wydarzenia, „Ojciec Magii” słowem nie wspomniał o swojej śmierci, a w chwili katastrofy targował się z tragarzami o cenę przewozu mebli.

Co było przyczyną zawalenia się domu?

W pierwszym momencie E.S. skłonny był sądzić, że wypadek spowodowało trzęsienie ziemi, którego epicentrum znajdowało się gdzieś daleko, albo silny wybuch w składzie amunicji.

Czy znalazł wiadomość, która by potwierdziła jego przypuszczenia?

Ani tego dnia, ani później nie było w gazetach ani w radiu wiadomości o trzęsieniu ziemi w Europie Środkowej, na Balkanach czy gdziekolwiek na świecie, a o wybuchu w składzie amunicji też nie pisano, co jest zrozumiałe samo przez się, gdyż mogła to być tajemnica wojskowa.

Dlaczego nie widział związku między zawaleniem się domu a odsunięciem szafy?

Bo szafy nie dotykały ścian.

W co E.S. skłonny był wierzyć, nie wykraczając poza ramy rozumowania pozytywistycznego?

Że dom zburzył ów szczur: natrafił w fundamentach, gdzieś u nasady ścian, na punkt przecięcia sił, które utrzymywały wszystko w równowadze.

W co nie był skłonny wierzyć?

Że szczur trafił na ten punkt przypadkiem.

Jaka sprawa pozostała dla niego niejasna?

Kto polecił szczurowi przegryźć zębami te przecinające się siły. I dlaczego właśnie wtedy, tego dnia, o tej godzinie?

I co jeszcze?

W jakim języku zostało wydane polecenie.

Ewentualna odpowiedź?

W hebrajskim.

Dlaczego nie wierzył w przypadek?

Ponieważ wierzył w uwarunkowania, w deterministyczne prawa Boga-natury, zgodnie z ogólną zasadą *causa sui*.

Na czym polegała ta wiara?

Wierzył, że przypadkowość jako zjawisko obiektywne nie istnieje, nie tylko w skali wszechświata, lecz także w najbliższych zdarzeniach, na przykład, gdy ktoś opuści swoje mieszkanie ostatni, wyjdzie tuż za tragarzami i odwróci się, żeby spojrzeć na dom, w którym przeżył dwa lata, objąć go jednym wszechogarniającym spojrzeniem (mimo wszystko nostalgicznym, bo u podstaw jego leży świadomość przemijania, którego oznaką stanowią zmiany, świadomość przemijania i śmierci, przeczuwanej i bliskiej; nostalgicznym mimo złych doświadczeń, jakie promieniają z wilgotnych ścian na zawsze opuszczonego mieszkania, mimo zdradzieckiej eksplozji płynów wysoko, pod sufitem, gdzie rozbijał szklanki w chwilach gniewu i rozpacz), gdy zatem ktoś o nostalgicznym spojrzeniu jako ostatni opuści swoje mieszkanie, a dom w tym momencie zadrży w posadach, gwałtownie, jak gdyby pod ciężarem spojrzenia, pod ciężarem wszystkich niepowodzeń, które w tym mieszkaniu gromadziły się latami (jego i cudze nieszczęścia), utrzymując kruchą pustkę kruchych ścian, wypełniając izby swoją gęstością, pod ciężarem nieszczęść i myśli, które były tu zamknięte jak w próżni, zagęszczone i grożące eksplozją, aż naraz buchnęły, rozprysły się na wszystkie strony, niesione strasliwą siłą wybuchu spowodowanego tym jego spojrzeniem, rzuconym wzgardliwie jak żarzący się niedopałek w pełną gazu ziemnego jamę pośrodku pañońskiego błota.

W jakich myślach pogrążył się potem?

Myślał o ewentualnych następstwach, w razie gdyby pozostał w mieszkaniu choćby jeszcze parę chwil i wykonał

zamiar, który pojawił się jednocześnie w jego pęcherzu i w świadomości (lub odwrotnie), to znaczy gdyby zaczął, jak zamierzał przez moment, oddawać moc na mokre ściany swego byłego mieszkania. Belki i cegły spadłyby mu na głowę (jak kilof na głowę Lwa Dawidowicza Bronsteina), na ledwie zaznaczającą się tonsurę w jego popielatych włosach, jak gdyby przeznaczoną dla topora mściwego losu: *malleus ludeorum*.

Jaki obraz pojawił się w jego wspomnieniach?

Mózg pana Freuda, prymariusza.

Jakie światło?

Czerwony odbłask słońca, niby łuna pożaru w oszklonej fasadzie fabryki mydła w Kotorze, w roku 1939, i rozświetlony tym samym blaskiem obłok, na który patrzył z wielkiej, niebiańskiej wysokości nad zatoką.

Jak E.S. widział samego siebie?

Rozpięty rozporek, nabrzmiały tryton, z pęcherza pozwoli wypływa ciepłe piwo (wypite z tragarzami w bufecie na dworcu). Ciepły zastrzyk moczu, który wbijał w ścianę jak koń, złoty strumień, nagle przecięty nożycami śmierci, teraz już wysechł, a ze zwiotczałego członka cieknie wątły strumyk, już nie płynie, tylko cieknie ciurkiem, jak ze świńskiego pęcherza, którym bawią się dzieci, jak ze źle zakręconego kranu, którego nawet ręka śmierci nie mogła dokręcić. Cieknie ciurkiem ciecz, rozlewa się pod nim i wokół niego, wsiąka w porowaty tynk i grube warstwy wapna, w szczeliny spróchniałych belek i desek, w kurz, który wchłania moczu tak, jak popiół z papierosa wchłania atrament.

Jak odniósł się E.S. do tego wypadku?

Nie była to jego przyszła, przeczuwana śmierć, ale jego już przeszła śmierć pod gruzami domu w N.S., czyli śmierć, którą już przebrnął, Leta, którą już przepłynął spokojnie, *post festum*, gdy ciało przestało być niewidnikiem, pęcherz opróżnił się i zwiotczał, krew zakrzepła na rozbitej czaszce, oczy zmatowiały, a dusza wyzbyła się ziemskich więzów.

Przymknąwszy oczy, jakie zadał sobie pytanie?

Po co byłoby to wszystko, co jest i nie jest (a co mogło być), jeżeli razem z ciałem, z okiem, z jądrami miałyby umrzeć duch, ów obłok, owo jądro w sercu umierającego serca? Po co byłoby to wszystko, jeśli nie po to, żeby przeżyć marny proch ciała, w najdoskonalszej kwintesencji zebrać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, poznanie i przecucie, ekstrakt wszystkich zmysłów, serca i mózgu, wszystko to zgromadzić w małym, wiecznym obłoczku, w parze obłoczka, i nadal żyć, jako świadomość i istotna treść.

Gdy duch E.S.-a niby niebieski obłok unosił się ku niebieskim wyżynom, co tymczasem robiła jego ziemska rezerwa, pozostała część tego ducha?

Patrzyła już tylko na ziemskie następstwa śmierci, patrzyła na nie jak Bóg albo jak starzy, dobrzy pisarze obiektywnie.

Jak wyglądał ostatni obraz (patrzac obiektywnie)?

W jego oku, niby w obiektywie aparatu fotograficznego albo wykopanym spod ziemi oku Cyklopa, widać było po tym wstrząsie już nie pejzaż z domem, oleandrami w zielonych skrzynkach i hydrantem, lecz ruinę, uwieczniony moment odpadania tynku i walenia się ścian: chmurę kurzu, cegły jak obnażone dziąsła.

Proszę w dwóch słowach opisać sytuację w momencie zawalenia się domu.

Zaskoczenie i chwilowe osłupienie.

Co nastąpiło po chwilowym osłupieniu?

Ucieczka, panika, krzyk o ratunek.

Kto pierwszy przybiega na ratunek?

Goloręcy tragarze, zasłaniając usta i nosy brudnymi chustkami, zaczynają grzebać wśród cegieł i ciężkich bloków muru.

Do jakiej kasty należą tragarze?

Do wielkiej kasty krewniaków śmierci, do której należą poza tym strażacy, grabarze, pracownicy przedsiębiorstw pogrzebowych, lekarze, sanitariusze, sędziowie, kaci, policjanci, tajni agenci, bandyci, popi, hodźowie, rabini, rzeźnicy, rzeźnicy, akrobaci, szpiedzy, pogromcy, asy samochodowe, zmywacze okien na piętrach, sportowcy, piloci, żołnierze, oficerowie, marszałkowie, kolejarze, rybacy, żeglarze, nurkowie, górnicy, rowerzyści, kierowcy samochodów, podróżni, piechurzy, alpinisci, wynalazcy, chemicy, fakirzy, pogromcy węzów, hycle, weterynarze, alkoholicy, wegetarianie, żarłoki, narkomani, palacze, chorzy, neurastenicy, melancholicy, hipochondrycy, psychiatrzy, prorocy, rewolucjoniści, aptekarze, wariaci, akrobaci, elektrycy, filozofowie, hydraulicy, murarze, kominiarze, gospodynie domowe, samobójcy, kochankowie, cudzołźnicy, urzędnicy, myśliwi, naganiacze, kontrolerzy skarbowi, celnicy, kłusownicy, leśniczowie, węglarze, stróże nocni, naprawiacze wind, windziarze, włamywacze, prawnicy, tramwajarze, dżokeje, dorożkarze, woźnice, pszczelarze, pastuchy, rolnicy, prostytutki,

starczy, malarze mostów, budowniczkowie, monterzy, poszukiwacze złota, szulerzy, poeci, bokserzy, rekordziści, minerzy, marynarze, solenizanci, handlarze, płatni mordercy, kowale, szklarze, łowcy ludzi, niewolnicy, posiadacze niewolników, pośrednicy, prezydenci, carowie, królowie, badacze wulkanów, zbieracze bananów, zamiatacze ulic, spadochroniarze, zakonnice, wierni, bezbożnicy, dozorczy haremów, paszowie, milionerzy, żebracy i inni.

Jakiego podobieństwa można się dopatrzeć między tragarzem a grabarzem?

Podobieństwa akcji: przenoszenie doczesnych pozostałości z jednego miejsca pobytu do drugiego; flegmatyczność i zręczne obchodzenie się z drewnianymi opakowaniami; sznury jako środek pomocniczy; fizyka i metafizyka w służbie dnia powszedniego.

Jakie dźwięki przy tym słychać?

Skrzyp spróchniałych belek; opóźnione, już po wszystkim, osypywanie się tynku, przypominające trzeszczenie nadtłuczonego garnka.

Jaki jeszcze obraz mogło uchwycić zamierające oko?

Wśród ciężkich bloków muru, poprzez chmurę kurzu, błysnęły wyblakłe dzwoneczki z desenia na ścianie.

Piosenka okolicznościowa (polka andrusowska, czas dasz, *kolo*)?

Hej, niech na moim grobie

Posadzą dzwoneczki,

Hej, niech na moim grobie

Chłopcy piją z beczki.

Dźwięk, który zagłusza abstrakcyjne brzęczenie dzwoneczków?

Wycie karetki pogotowia.

Rzeczy/przedmioty?

Nosze, białe fartuchy, stetoskop, opaska ze znakiem Czerwonego Krzyża, skórzane torby, łopaty, rydle, kilofy, gumowy wąż do polewania.

Widzowie?

Dzieci, sąsiedzi, dziennikarze, przypadkowi przechodnie.

Jak przebiega akcja ratunkowa?

Tragarze podważają żelaznym drągim blok muru, pod którym znajdują swego (byłego) pracodawcę, i odwracają go na wznak. Idą umyć ręce pod gumowym węzem, który ktoś podłączył do hydrantu i którym ludzie polewają kurz unoszący się nad zwaliskiem.

Kto następnie wkracza na scenę?

Osoby oficjalne: lekarze, sanitariusze, policjanci.

Co wpisują te osoby do rubryki: **DZIEŃ, GODZINA I MINUTA WYPADKU?**

18 marca 1942, godz. 17.12.

Proszę podać oficjalny opis stanu posiadania zmarłego.

Portfel ze świńskiej skóry (jedna sztuka); chusteczka płócienna (jedna sztuka); ołówek i wieczne pióro (jeden komplet); ołówek żółty, stolarski (jedna sztuka); klucze na kółku (trzy sztuki); paczka papierosów Symphonia, w miękkim opakowaniu (napoczęta); pudełko zapalek (jedno); zegarek kieszonkowy marki Longines (jedna sztuka); 2 pengő i 80 fillérów (drobnymi); pakiet pociętego na ćwiartki papieru gazetowego; notes (jedna sztuka); ubranie popielate (jedno); buty czarne (jedna para); kożusze (dwie sztuki); kalesony (jedna para); krawaty (cztery

sztuki); kołnierzyki kauczukowe (pięć sztuk); aktówka ze
świńskiej skóry (jedna sztuka); arkusz papieru w kratkę;
skarpety (trzy pary); maszyna do golenia (jedna sztuka);
guzik blaszany (jedna sztuka); ręcznik (jedna sztuka);
drewniane spinacze do suszenia bielizny (dwie sztuki).

Proszę wymienić dokumenty znalezione w portfelu
ofiary wypadku.

Dowód osobisty numer 225 464, wydany 11 stycznia
1941 roku w Nowym Sadzie; bezpłatny bilet pierwszej kla-
sy numer 56 666, wydany 8 listopada 1941 roku (niewał-
ny); kwit świadczący o zapłaceniu czynszu za październik,
listopad i grudzień; wyciągi z ksiąg metrykalnych cer-
kwi Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Nowym
Sadzie, a mianowicie świadectwa urodzenia i chrztu
członków rodziny zmarłego; protokół badania sądowo-
lekarskiego wydany przez sąd powiatowy w Kovinie.

Proszę przytoczyć pełny tekst tego protokołu.

„W sprawie ubezwłasnowolnienia pana E.S. z Nowego
Sadu Sąd Powiatowy w Kovinie przyjmuje do wiadomo-
ści protokół badania sądowo-lekarskiego pacjenta E.S.
z dnia 25 marca 1940 roku i postanawia co następuje: Sąd
Powiatowy w Kovinie na podstawie § 194 ust. 2 i 10 kpc
zezwala na wypisanie ze Szpitala dla Umysłowo Chorych
w Kovinie podległego pacjenta E.S. pod warunkiem,
że ślubna żona, jako tymczasowy opiekun pacjenta, za-
pewni mu utrzymanie i pomoc w sprawach osobistych;
w wypadku pogorszenia się stanu jego zdrowia winna
umieścić go w najbliższym zakładzie dla umysłowo cho-
rych. Jednocześnie wzywa się Zarząd Miejski w Nowym
Sadzie, aby z majątku chorego pobrał po 25 dinarów, czyli

razem 50 din. na honoraria dla biegłych lekarzy i przesłał
je tutejszemu Sądowi. U z a s a d n i e n i e: Pacjent był
badany w Państwowym Szpitalu dla Umysłowo Chorych;
biegli lekarze orzekli, że nie jest zdolny odpowiadać za
siebie i za swój majątek, ale ze względu na to, że stan
jego zdrowia uległ znacznej poprawie i chory nie jest
niebezpieczny dla siebie ani dla otoczenia, może być, jako
podleczony i spokojny, oddany pod opiekę rodziny. — Na
podstawie powyższej opinii lekarzy Sąd postanowił jak
w sentencji wyroku”.

Dzień, miesiąc i rok urodzenia zmarłego (ciąg dalszy
protokołu wypadku)?

11 lipca 1889.

Pod jakim znakiem zodiaku się urodził?

Pod czwartym znakiem zodiaku zwanym Ra k (*kara-
kata, cancer*), który oznacza początek lata; w jaskrawym
blasku gwiazdy Syriusz, która zapowiada przesilenie let-
nie; w trzydziestym pierwszym stopniu łuku, który od
przesilenia letniego sięga do jesienno ekwinokcjum,
kiedy to siły nocy przewyciężają siły dnia.

Jakie planety rządzą tym znakiem?

Księżyc, który oddziałuje na przypiływy i odpływy
wyobraźni, na płodność Raka, na jego życie uczuciowe,
skalę wyobraźni, liryzm, na jego niespokojny sen, na
euforię trawienia, na jego bierność, fatalistyczne podpo-
rządkowanie się losowi, na jego melancholijne tułactwo,
manie, histerie i lęki. Ma r s, który daje mu pewną agre-
sywność, przejawiającą się w walce z rodziną i religią.
Sa t u r n, który w połączeniu z jego znakiem stwarza
niebezpieczną skłonność do zamykania się w sobie, we

własnym pancerzu, i stąd się biorą jego introwertyzm, lodowata samotność, schizofreniczne aberracje.

Do jakiego żywiołu należy Rak?

Do żywiołu wody, gdyż jego dusza pławi się w morzu sprzecznych wrażeń, a limfatyczna słabowość daje złudzenie bierności i bezwładu, a pod skorupą jego pancerza trwa intensywne życie noktambulika.

Interpretacja znaku?

Płodność, sperma, poczęcie, płód.

Podstawowe symbole?

Głębia, przepaść, studnia, jaskinia, loch, kieszeń, brzuch, pochwa, wazon, butelka.

Interpretacja ogólna znaku?

Cztery aspekty praprzyczynowości, Parabrahma, czwarty element jako uzupełnienie ukrytego trójkąta lub trójkątów.

Boki kwadratu?

Wszechświat zawarty w osobowości jednostki; sny na jawie; sen jako myśl wyrażona w obrazach; czuwanie jako przebłysk i odbłysk myśli.

Boki trójkąta?

Intuicja (udział snu); dedukcja (udział inteligencji); kontrola (udział wątpliwości).

Trzy filary życia wegetacyjnego?

Pragnienie–głód–czuwanie.

Części ciała i narządy odgrywające istotną rolę?

Stopy, gołenie, palce, prostata, trzustka, wątroba, pęcherz, wegetatywny układ nerwowy, gruczoły, czaszka.

Budowa?

Wątła.

Znak pokrewny?

Ryby. Poczęte w tym samym żywiole Rak i Ryba odznaczają się wieloma wspólnymi cechami, wzajemnie się uzupełniają, mają nieraz prawie identyczny charakter pisma. Rozumieją się intuicyjnie i dążą do wspólnego ideału piękna. Ich wspólnota jest namiętna, głęboka i trwała. Łatwość fascynacji, szalona jasność umysłu.

Skłonności?

Bierność, narcyzm.

Funkcje umysłu?

Postrzeganie, wątpienie, sprawdzanie.

Czynności?

Tworzyć, pomnażać, wytrwać, czuwać, lecieć, pisać, płynąć, spać.

Przedmioty?

Laska, ubranie, kapelusz, gazeta, obsadka, krzesło, teczka.

Miejsca?

Piwiarnia, wagon restauracyjny, sklep, księgarnia, biblioteka, łaźnia, las, targ, jatka, teatrzyk kukielkowy, cyrk, procesja, nabożeństwo, brama cerkwi, bufet, synagoga, aukcja, bank, dworzec kolejowy, dorozka, piekarnia, fabryka, dom wariatów.

Co wykopali robotnicy usuwający gruzy z posesji przy ulicy Bema 21?

W fundamentach budynku znaleźli hermetycznie zamkniętą szkatułkę z zielonego szkła, a w niej kaligraficzny dokument erekcyjny i egzemplarze monet będących kiedyś w obiegu.

Jak brzmiała treść dokumentu?

Plan domu wykonał Ludwik Detzer, a wybudował go Dezydery Detzer z Budapesztu, który w tym samym roku wznosił wiele innych domów mieszkalnych, jak też siedzibę komitatu w mieście Somborze. Tego roku panował Franciszek Józef. Toczyła się wojna w Bośni i Hercegowinie. Nastąpiło zaćmienie słońca i pojawiła się gwiazda ogoniasta. W Dunaju na wiosnę było tak mało wody, że koło Paksu ludzie przechodzili rzekę suchą stopą. Fundamenty poświęcił Nikifor Janković w zastępstwie protopopa. Kamień węgielny położono 11 lipca 1889 roku.

Jakie osoby przysłałyby depesze kondolencyjne po śmierci E.S.-a?

Jego siostry z Kerkabarabás, Szentadorján, Sziget i Csesztreg, jego brat z Triestu, państwo Draszковиć, Vujović i Dragičević z Cetinja, państwo Szidak, Gavanscy, Horvát, Schwarz, Baumann, Popov, Rónai, Berecz, Gutmann, Kostić, Böszörményi, Jankov, Mirković, Klein, Konstantinov, Vasiljević, Kesić, Protić i Krohn z Nowego Sadu, państwo Kraus z Somboru, Ziegler z Suboticy i Mayer z Pórszombat, doktor Papanopoulos z Kovina, Rosenberg z Bakszy, państwo Fischer, Berki, Pap, Lerm, Kis, Schlang i Kohn z Budapesztu, państwo Czukljević z Szidu, państwo Okoliczanji z Zagrzebia, państwo Koriczanscy z Wiednia, doktor Abravenel z Toronto, M. Margelius z Galicji, L. Perez z Bruzylji, Aharon Zeitlin z Jerozolimy.

Jakie instytucje?

Jugosłowiańskie Koleje Żałobne, *Magyar Árvai Vasúttal*, Unia Narodów Pogrążonych w Żalu, Rada Osieroconych Żydów, *International Cheerless Chess Federation*, Zamucony Pen Club.

Jaką ceremonię przewidywał E.S.?

Wahał się między skromnym pochówkiem w kręgu najbliższej rodziny (na wyraźne życzenie zmarłego) a pompatycznym pogrzebem pierwszej klasy (na koszt państwa), z równoprawnym udziałem przedstawicieli wszystkich wyznań.

Co pociągało go w tym drugim wariantcie?

Moment estetyczny i kosmopolityczny: zawołanie rabina (w języku hebrajskim), katolicki kontrapunkt (w języku łacińskim), prawosławne śpiewy (w języku starocerkiewnym) i mahometańskie zaśpiewy (w języku arabskim), które by następowały kolejno, na zmianę.

Jakie w końcu wybrał rozwiązanie?

Pośrednie, stanowiące swego rodzaju kompromis: w trzecim wariantcie za jego trumną miała iść kapela cygańska, grająca smętne cygańskie pieśni o miłości i o śmierci.

Czego nie powinno zabraknąć w tym trzecim wariantcie?

Cymbałów, choćby je musieli nieść na ramionach niby zapasową trumnę albo pchać przed sobą na wózku, podobnie jak za życia często przynosili dla niego cymbały z kąta w kąt, a niekiedy nawet wozili po ulicach.

Z jakim oszustwem należało się liczyć w części mojej szwowej obrządku?

Że Gyula (Georges) będzie szarpał swój nowy tweedowy płaszcz zbyt zrecznie, czyli wzdłuż szwów, co wyraźnie świadczyłoby o tym, że uprzednio nadpruł nitki przy kołnierzu i na rękawach; że Rebeka wydusi z siebie jakiś ryk, przypominający ryk wścieklej krowy; że Neti

wydmucha nos w czarno obrębianą chusteczkę, ale nie z żalosego łkania, tylko z przeziębienia.

Jaki wariant można by jeszcze brać pod uwagę?

Orkiestra dęta kolejarzy z Suboticy, zwycięski zespół na środkowoeuropejskim konkursie orkiestr dętych w Budapeszcie w roku 1936, gra na życzenie zmarłego *Psalm 114* Mendelssohna.

Proszę podać pełny tekst mowy pogrzebowej, wygłoszonej przez E.S.-a nad grobem niejakiego Béli Sternberga, nadinspektora kolejowego, który w grudniu 1941 roku rzucił się pod pociąg towarowy koło przejazdu. Mowę tę, z dużymi i drastycznymi skrótami, dokonany bez wiedzy autora, wydrukowano w „Głosie Kolejarzy”, w numerze 218 z 20 grudnia 1941.

„Moje panie i panowie! Przemieszczanie ludzi w przestrzeni, a więc i w czasie, jest powinnością zaszczytną i chwalebłą, gdyż dzięki tym prawie niewidocznym dla pasażera przewodnikom wy, moje damy i panowie, podążacie przez śniegiem pokryte równiny, przez gąszcz lasów, przez wyniosłości gór, przez rzeki i wiadukty, podążacie przez mroczne tunele nocy, przez deszcze i śniegi z szybkością stu do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, aby czym prędzej rzucić się w objęcia swoich kochanych i najukochańszych, przebywających w wielkim oddaleniu, podążacie do nich na skrzydłach żelaznych kół (symbol kolei), na miękkich posłaniach wagonu sypialnego, wygodnie rozparci w pluszowych fotelach albo, w najgorszym razie, na drewnianych ławkach drugiej klasy czy nawet na półce wśród bagaży, kołysani w ciepłym macierzyńskim łonie kolei, tego cudownego wynalazku naszych

nowych czasów. Leżycie zatem w przytulnych pluszowych fotelach, czyli w łonie żelaznej macierzy, skuleni jak płód, przemieszczacie się w przestrzeni i czasie wygodnie niby w rosyjskich powieściach (które może w tej chwili czytacie przy jasnym świetle lamp rtęciowych w przedziałach pierwszej klasy), nie myśląc bynajmniej o pracowitych i sumiennych ludziach, którzy czuwają przy telegrafie Morse'a, przy telefonii, i to nie tylko na dużych dworcach, lecz także na małych stacyjkach, gdzie diabeł mówi dobranoc, nie myśląc zatem o ludziach, którzy nie śpią, przyjmują potężne parowozy, karmią je i kierują tymi parowymi smokami lekko i zręcznie, jak izwoszczyki kierują końmi... Tak, moje damy i panowie, Béla Sternberg był jednym z tych, od których zależą, od których zależały bezpieczeństwo i wygoda waszych podróży, a na podobieństwo sławnych generałów, weteranów wielu wojen, zaczął niemal przed czterdziestu laty jako zwyczajny szeregowiec, na prawie bezimiennej stacyjce, aby z czasem, dzięki pracy i pilności, poświęceniu i przywiązaniu do kolei, dojść na same szczyty, że tak się wyrażę, do rangi generała, i gdy już przeszedł wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie blaski i nędze zawodu kolejarza, nieszczęśliwy wypadek położył kres jego owocnemu i pozytecznemu dla społeczeństwa życiu. Tak, *meine Damen und Herren*, nieraz już się znajdował między niebezpiecznymi zderzakami, kręcił się koło śmiercionośnych kół, przechodził przez tory, wspinał się na parowozy i nigdy, nigdy nie spotkało go nieszczaćcie, nigdy żelazna bestia nie kopnęła go twardo podkutym kopytem, jakby go znała, jakby byli zaprzyjaźnieni, co tu dużo mówić, jak gdyby chodziło

o konia i pana, o posłusznego konia i dobrego pana. A oto ów dobry pan zginął nie na polu bitwy, nie na posterunku, lecz w sposób tragicznie dobrowolny, nie widząc w chwili kryzysu innego rodzaju śmierci prócz śmierci pod kołami pociągu, i to teraz, można powiedzieć, w czasie pokoju — gdyż bez względu na obiektywny stan rzeczy i międzynarodową jatkę, na kolei panuje lub powinien panować pokój. Chciałbym podkreślić, że kolej winna być eksterytorialna, poza stanem wojny jak Szwajcaria, winna zatem być neutralna, ponieważ mimo wszystko nadal pełni lub winna pełnić służbę między narodowej komunikacji transportowej, trzymając się swego kodeksu, choć niektórzy politycy próbują ją przekształcić, wykorzystać dla niskich, morderczych celów, wykorzystać zaszczytne powołanie i powinność kolei jako międzynarodowej organizacji służącej połączeniu ludzi dobrej woli, zdecydowanie odrzucić jej kodeks moralny, postawić na głowie jej zasadę łączenia i zamienić w zasadę rozdzielania, a zbliżanie zamienić w oddalanie. Wiecie jednak, moje damy i panowie, że kolejarze, podobnie jak strażacy, winni stać i stoją ponad interesami jednostek, a nawet państw, gdyż posłannictwo ich, podobnie jak posłannictwo lekarzy czy kapłanów, jest ponadjednostkowe i ponadnarodowe, pozwólcie, że powiem: Boskie... Tak, zgromadzeni w smutku, ten biedak, jak powiedziałem, nie zginął na polu bitwy, nie padł ofiarą katastrofy kolejowej, lecz dobrowolnie rzucił się w objęcia zimnych żelaznych szyn, a żelazne koła wagonu byłącego dokonały na nim krwawej masakry, którą wybrał jako niesławny koniec. Oddajmy mu jednak, moje

damy i panowie, oddajmy mu jednak honory wojskowe, bo na nie zasłużył, niech huknie salwa kompanii honorowej, niech zgodnie zagwizdzą gwizdki zwrotniczych, niech zagrzmią organy parowozów, przeciągle niby jęk. I niech mu ziemia lekką będzie”.

Jak brzmiały wypowiedzi, których w związku ze zgonem E.S.-a udzieliłoby czasopiśmiom i radiu niektóre sławne osobistości?

Wszystko, co jest możliwe, zdarza się; możliwe jest tylko to, co się zdarza (F r a n z K a f k a). Odnosząc się krytycznie do swoich przeciwników, nie był krytyczny w stosunku do siebie: myślał, że może stworzyć filozofię, a przy tym jej nie przezwyńczyć. Pozostanie w naszej pamięci jako żywy obraz człowieka wyobcowanego w wyobcowanym społeczeństwie. Jako przykład i jako pouczenie (K a r o l M a r k s). Był jedynie ucieśnieniem snu, jego zaburzenia umysłowe łączyły się ze snem i wywodziły ze snu. Chwała niebiosom, że ten koszmara był tak bogaty (S i g m u n d F r e u d). Jednym ze sposobów rozwiązania problemu życia jest zbliżanie się do rzeczy i istot, które wydały się nam piękne i tajemnicze, bo wówczas pojmujemy, że nie ma w nich tajemnicy ani piękna; to jeden z rodzajów higieny, za którym bylibyśmy skłonni się opowiedzieć, i choć może nie zasługuje na szczególne polecenie, daje nam pewien spokój, pozwalający łatwiej przeżyć życie i pogodzić się ze śmiercią — dzięki niemu niczego nie musimy żałować, ponieważ nabieramy przekonania, że osiągnęliśmy to, co najlepsze, a i to nie jest niczym nadzwyczajnym. Czyżby zmarły należał do tych, którzy poznali ów niebezpieczny rodzaj higieny? Wierzę, że tak było (M a r c e l P r o u s t).

Jakich wyrażeń użył E.S., aby pomóc pracownikowi Zakładu Asekuracji i Reasekuracji w wypełnieniu rubryki dotyczącej możliwych przyczyn wypadku (zawalenia się domu)?

Opatrzność; palec Boży; *Deus ex machina*; szczerzy czajny; złe zamiary.

Co wydawało mu się możliwe?

Że padł ofiarą dobrze obmyślonego zamachu. Wystarczy bowiem, aby jeden człowiek (a tym razem bez wątpienia działało ich więcej) skierował morderczą machinę swoich pragnień ku drugiemu, a już dom się wali temu drugiemu na głowę albo ów człowiek zapada na ciężką chorobę czy nagle umiera. Wiedział o podobnych wypadkach z lektury. Wydaje się, że ten rodzaj telepatii i czarnej magii w prymitywnych środowiskach wciąż jeszcze działa skutecznie (wbrew twierdzeniom europejskich pozytywistów).

Zwierzył się komuś z tych myśli?

W żartobliwym tonie powiedział p. Gawanskiemu, że dom prawdopodobnie zburzyli Neti i kompania, a na poparcie przytoczył kilka (zaczerpniętych z „Przeglądu”) przykładów z historii Europy: w roku 1437 niejaki Hubert (nazwisko nieznanne) z Regensburga w Bawarii postanowił oślepić kobietę imieniem Johanna, wdowę po Johanie Pagani, ponieważ mu się naraziła. W związku z tym uczynił wizerunek ludzaco do niej podobny i oczy na nim przekłuwał dwoma ćwiekami, aż do skutku. W roku 1640 niejaka Magda Muhić, zamieszkała na przedmieściu włońskiego miasta Zagrzebia, zawzięła się na panią Jelenowacką. Nalała przeto mleka do jakiegoś dołu, a potem w tym

mleku czyniła czary rozżarzonym pogrzebaczem, wymawiając słowa: „Teraz mój ożóg przebijaj serce Jelenowackiej”, wskutek czego ta ostatnia umarła. W roku 1327 król francuski Karol IV zachorzał okrutnie, a w dzień Świętego Bartłomieja u służebnej, niejakiej Karoliny, znaleziono posążek odlany z wosku na obraz i podobieństwo króla, posążek poprzebijany żelaznymi ćwiekami i szydełkami, a ile było dziur i ran w tym posążku, tyleż samo dobry król odczuwał na swym ciele aż do śmierci. W 1864 pewna służąca w okolicy Nagykanizsy w podobny sposób uśmierciła swoich byłych chleboborców: jej ofiary zmarły wskutek ciężkich wstrząsów mózgu.

Czy E.S. miał kiedyś pokusę, żeby zemścić się na kimś w ten sposób?

Nieraz smarzał nos w gazety z podobizną wodza Reichu.

Czy świadom był niebezpieczeństwa, na jakie się naraża?

Jak najbardziej. W związku z tym składał gazetę na coraz mniejsze części, a dopiero potem rzucał w jakieś bezpieczne miejsce, w gąszcz zarośli czy do rzeki, skutecznie usuwając *corpus delicti* swoich szalonych, niebezpiecznych poczyniń.

Uznając fakt uratowania się spod gruzów za szczęśliwy omen i palec Boży, jakie możliwości widział przed sobą na przyszłość?

Ostrą kontrofensywę aliantów z nagłym nocnym desantem spadochronowym, słusznie obliczonym na moment zaskoczenia (Machabeusze); jednoczesny zamach na wodza Reichu i innych dowódców sił Osi,

zorganizowany przez ośrodek szpiegowski gdzieś w Szwajcarii; wynalezienie przez aliantów supertajnej broni, gazu nerwowego albo innej trucizny, która by przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny uśpiła lub doprowadziła do szaleństwa nieprzyjacielskich żołnierzy; ugodę, na mocy której alianci wymieniliby jeńców wojennych za Żydów, w stosunku 1:5 i 1:3 (pięciu Żydów za jednego oficera i trzech Żydów za jednego żołnierza); osiedlenie się Żydów w jakimś kraju afrykańskim albo na bezludnej wyspie, załatwienie przez aliantów za cenę pewnych koncesji terytorialnych; sensoryjne porwanie wodza Reichu (dzieło jakiego szalonego Machabeusza lub tajnej organizacji) i uzyskana w zamian za jego życie gwarancja w sprawie dobrowolnego przesiedlenia Żydów z diaspory do Palestyny albo jakiegoś kraju afrykańskiego; lądowanie w pobliżu wsi (na Wielkim Polu albo na Trakcie Rzymskim) uszkodzonego samolotu alianckiego typu superforteca, który by naprawiono w ciągu nocy, tak że rano mógłby wylecieć z nim (E.S.-em) i jego rodziną w kierunku jakiegoś lotniska, znajdującego się poza zasięgiem zła (na przykład w Szwajcarii); wyjazd z fałszywymi dokumentami do Czarnogóry, gdzie po przez żonę miał kontakty rodzinne oraz przyjacielskie i gdzie nocą, w Zatoce Kotorskiej, na z góry ustalonym miejscu wzięłaby go na pokład angielska łódź podwodna; pojawienie się znaku na niebie, który by mu wskazał konkretną możliwość ratunku, lub głosu (krzak gorejący), który by we śnie podał miejsce, gdzie czeka na niego konspiracyjny samolot, względnie łódź podwodna (arka Noego) itd.

Które z talmudycznych zaleceń o dziękczynieniu cenić szczególnie, ze względu na moral liczący się z pobudkami estetycznymi?

To, które wymaga od synów Izraela, by kierowali do Jehowy słowa wdzięczności w chwili, gdy odczuwają błogosławiony czar aromatycznych ziół lub pachnących przypraw: mocny zapach perfum, jakim tchnęła kokieteryjna dama (lat około trzydziestu), którą wyminął w korytarzu pierwszej klasy, wracając z N.S. (*Raj utracony*); zapach cynamonu i wanilii, unoszący się z jeszcze ciepłego ciasta, które na patentowanym stoliku pod oknem kroila tęga pani (matka dwojga małych dzieci) i poczęstowała go, ale on, wygnany z raju, grzecznie odmówił; zapach fiołków, których świeży bukietik podsunęła mu pod nos młoda Cyganczka na stacji kolejowej w Lenti.

Jak E.S. mógł połączyć w swojej świadomości i pogodzić w duchu zalecenie Talmudu odnoszące się do aromatycznych zapachów z estetyką chrześcijańską (scholastyczną) na konkretnym przykładzie perfum kokieteryjnej damy w korytarzu pierwszej klasy (*Raj utracony*)?

Wierzył w słowa wdzięczności, które skierował bez słów do Jehowy, i zarazem świadom był faktu, iż Święty Bernard nie mylił się, przypisując zapachom siłę szkodliwą dla rozumu (*Odoratus impedit cogitationem*). Zapach wyperfumowanej damy, która pojawiła się na moment, a potem nagle zniknęła za drzwiami pluszowego przedziału pierwszej klasy (*odore di femmina*), uczynił jego wygnanie bardziej uciążliwym i bolesnym i wprowadził jeszcze większy zamęt w jego myśli.

Czy często kupował kwiaty?

W roku 1919 w Budapeszcie kupił bukiet narcyzów (po forincie sztuka) dla pewnej Fánnikii, na którą daremnie wyczeekiwał przed restauracją „New York” cafe czterdzieści pięć minut, a potem rzucił bukiet do kosza na śmieci. W roku 1928 zaniósł osobiście bukiet róż (siedem sztuk po pół pengő) na wesele hrabiny Arcybaszew i niejakiego Arnolda Wenzla, urzędnika dunajskiego towarzystwa Lloyda. W roku 1931 położył osobiście na marach panny Marickiej białą różę (sztuka za dinar). W roku 1931/1932 posyłał najpierw anonimowo, a potem z biletem wizytowym siedem razy po siedem róż, i to sześć razy po siedem wyłącznie purpurowoczerwonych, a za siódmym razem sześć czerwonych i jedną białą (w cenie od pół dinara do dinara za bukiet!) na adres pani Horgos, Nowy Świat, Świętego Sawy 8. W roku 1934 zaniósł bukiet anemonów chorej córeczce pana Gawanskiego. W roku 1934 kupił w gospodzie „Pod Srebrnym Lwem” w Suboticy olbrzymi pęk goździków (około trzydziestu kwiatów) i podarował rudowłosej kasjerce (imię nieznanne), która w tej gospodzie pracowała raptem trzy dni. W roku 1939 na balu kolejarzy w N.S. posłał przez kelnera trzy tulipany (trzy sztuki za dwa dinary) pewnej Magdalenie, fryzjerce.

Jakim argumentem posłużył się E.S., aby przekonać właściciela pary koni, że jeden pengő za przejazd to uczciwa zapłata?

Wyjaśnił, że cena jednego pengő, jaką ma zamiar mu zapłacić, jest całkiem adekwatna, jeżeli wziąć pod uwagę, że on, czyli woźnica, i tak miał jechać w tym kierunku, czyli na wieś, i że wszelkie wyliczenia matematyczne

dowodząby niezbicie, iż para koni zaprzężona do dobrego wozu (jak w danym wypadku) wskutek powiększenia jego ciężaru o jakieś siedemdziesiąt trzy kilo żywej wagi nie mogłaby (pomimo błota, gdyż działania błota, jako niewiadomej, nie bierze się przy tej operacji pod uwagę) stracić takiej ilości energii, której nie dałoby się uzupełnić sianem czy kalorycznym ziarnem (owies, kukurydza, żyto) kupionym za jednego pengő.

Czy właściciel pary koni uznał słuszność tej kalkulacji?

Aby go ostatecznie przekonać, E.S. musiał uciec się do argumentu skutku moralnego, jaki może wyrzucić jeden pengő rzucony na szalę w sądnej godzinie: ten jeden jedyny blaszany pengő może mieć rozstrzygające znaczenie, gdy na wadze Boskiej sprawiedliwości znajdują się dobre uczynki po jednej, a grzechy po drugiej stronie.

Jakie zalety ma wiosna (okres kwitnienia i kichania) w porównaniu z zimą?

Gdzie w zacisznym miejscu można wystawić plecy ku miłym i korzystnym dla zdrowia promieniom słońca, co zmniejsza bóle reumatyczne. Jasność w pokoju wczesnym rankiem przyjemnie usposabia, toteż człowiek łatwiej się budzi. Można czytać w łóżku bez obawy o zaziębienie. W ustępie można siedzieć, ile się tylko podoba, i doświadczać skutków obstrukcji. W ciągu całego dnia można chodzić na długie spacery po polu, nad rzeką czy do lasu. Kiełkowanie roślin i kwitnienie można obserwować na konkretnych okazach, które, po oznaczeniu, przez cały rok będą służyć jako przykład pełnego cyklu biologicznego. Świergot ptaków budzi w duszy słodko-bolesne uczucie wolności. Problem opału i odzieży schodzi na

dalszy plan. Wyżywienie ułatwiają wiosenne dzikie rośliny i rozmaite zioła. Utrzymywanie higieny osobistej (golenie, mycie) z obowiązku zamienia się w przyjemność. Kobiety i dziewczyny odsłaniają ramiona i nogi aż do kolan.

Jakie są negatywne skutki oddziaływania wiosny (okres wzrostu i kwitnienia) na człowieka?

Zakłady dla umysłowo chorych przyjmują największą ilość pacjentów. Krzywa statystyczna samobójstw zastraszająco pnie się ku górze.

Zapiski szaleńca (III)

36

(Projekt). Nie obawiajcie się, nie przyjeżdżam w odwiedziny! Jestem przekonany, że nie spaliliście jeszcze wszystkich mostów, ale chciałbym wierzyć, że choć w części postąpiliście pod jakimś wpływem, to znaczy: wbrew własnemu sumieniu. Cel mojego przyjazdu: kartka pocztowa z 9 marca br. Dzięki Bogu, nie potrzebuję pieniędzy (nie bójcie się!) i mam nadzieję, że nie będę ich potrzebował, gdyż postaram się za wszelką cenę nie dopuścić do sprzedaży domu, który aż dotychczas dawał schronienie ludziom będącym w opresji, a więc i mnie. Dlatego, choćby w dowód przywiązania, wszelkimi siłami będę się starał przeszkodzić wam w jego sprzedaży. A z tego jasno wynika: nie chcę pieniędzy, chcę tylko swojej części domu, i to natychmiast! Jednym słowem, nie chcę od was nic, tylko żebyście podpisali oświadczenie (które załączam), poinformowali mnie, co jest z częścią domu należącą do naszego brata Dolfi — i już mnie nie ma! W przeciwnym razie, to znaczy jeżeli nie podpiszecie załączonego oświadczenia, nie ruszę się z domu aż do chwili, gdy spełnicie moją wolę. A jeśli będziecie się ociągać, zrobię skandal,

który odbije się echem nie tylko w komitacie, lecz także w całym kraju. Nie po to przecierpiałem *Lehrjahre*, żeby teraz, nadużywając mojej dobroci, grozili mi i z dnia na dzień szykanowali w rodzinnym domu ci, którzy nie mają z nim (uczuciowo) nic wspólnego. Za to, że nie chcieliście zrozumieć moich skarg i gorzkich listów, że nie potrafiliście czy też nie chcieliście zrozumieć bólu mojej chorej duszy, lecz wzmagałście go jeszcze swoim postępowaniem, drogo teraz zapłacicie. Nie będę wam szczegółowo opisywał wszystkiego, co działo się ze mną w tych dniach, jakie krzywdy wyrządzili mi bliźni, nie będę mówił o dziwnych znakach (na niebie) — wszystko to jest ponad możliwości waszej wyobraźni. Nie chcę słyszeć z waszej strony żadnego sprzeciwu, żadnych wykrętów, chcę tylko jednego: żebyście mi to podpisali. Podkreślam, że w domu, w którym się urodziłem, przez który żyłem w biedzie i tyle przecierpiałem, w tym domu chcę być panem i nikomu nie pozwolę się szykanować. Ostrzegam, że bieg czasu i historii, błogosławiony niech będzie święty Wszehmocny!, mnie przyznają rację. Proszę was, nie zmuszajcie mnie swoją bezczelnością do czegoś takiego, co nie dałoby się potem naprawić (Wyczyn z lasem i potażem już się nie powtórzy!) Ponownie was ostrzegam, że historia i czas mnie przyznają rację, niebawem wszystkie weksle będą musiały być wykupione i dla nikogo nie będzie litości. Albowiem mówi Talmud (*Sanhedryn*, 100): „Tą samą miarą, jaką człowiek sędzi, i on będzie sądzony”.

Bez względu na krytykę Marksa uważam, że Malthus miał rację. Dla udowodnienia mojej tezy, dla mojej spekulacji, nie ma znaczenia fakt, czy ten pan, to jest Malthus, był dyletanckim i powierzchownym plagiatorem cudzych idei. Mnie interesują idee, a nie to, czy on ściągał z Jamesa Stuarta, Townsenda, Franklina i innych. Bo tak czy inaczej pozostaje faktem, że ludzie za bardzo się namnożyli, a przyrost naturalny stanowi problem numer jeden. Ekonomiczny i egzystencjalny. Metafizyczny, jeśli wolicie. Ludzie mnożą się jak muchy i w każdej chwili kilka milionów wdów jest w stanie zagrożenia erekcją. Konsekwencje zaś są jasne. Ten rozszalały *phallus*, pierwotny symbol mityczny, drąży krwawe wnętrza kobiet, ludzkość dyszy w parne noce i nikt już nie myśli o następstwach. A następstwa są katastrofalne... Poprzez mnożenie się ludzi mnoży się grzech. *Perpetuum mobile*. Jak w średniowiecznej próbie wykorzystania grawitacji Ziemi. Na kole w równych odstępach zawieszono są ciężarki. Ziemia przyciąga ciężarek, ciężarek porusza koło, następny ciężarek wchodzi w magnetyczne pole przyciągania. I tak dalej. Coś jak młyn wodny czy wiatrak. I czemu wobec tego ludzkie marzenie o wiecznie obracającym się kole ogłoszono szaleństwem? Czyżby marzenie o *perpetuum mobile* nie jest równie godne uwagi i chwały, jak odwieczny sen o lataniu? Czyżby różni Ikarowie i marzyciele spod ich znaku byli naprawdę szaleni? Nic podobnego. Co do mnie, stawiam znak równania pomiędzy tymi dwoma marzeniami. Bo w gruncie rzeczy koło też jest jednym

z następstw takiego marzenia. Pozostawiam wam rozwinięcie owej paraleli do końca. Chciałem powiedzieć, do samolotu z jednej, a koła z drugiej strony. Proszę bardzo. Ten warkot nad moją głową w ciszy wiejskiej nocy (kiedy piszę te słowa), na wielkiej wysokości, te samoloty dniami i nocą przelatujące nad wsią, na wysokości od pięciu do dziesięciu tysięcy metrów, z południowego wschodu na północny zachód, ten cud nowoczesnej techniki (wojennej) to też tylko sprzężenie i ostateczna konsekwencja owych dwóch szalonych snów, które obskuranci i pozytywiści od wieków publicznie ogłaszali obłędem. Lekarze od średniowiecza aż do dziś u tysięcy ludzi rozpoznawali szaleństwo, mając jako *corpus delicti* ich szaleństwa właśnie dowody materialne lub tylko przyznanie się do idealistycznego pragnienia, by zostać ptakiem. I nie próbujcie tego „wiecznego snu o lataniu” nazywać ciekawością, gdyż zapewniam was, nie macie racji. Co do mnie, twierdzę i rozporządzam niezbitymi dowodami (jeżeli potraficie liryczne rezultaty operacji logicznej przyjąć jako dowód oczywisty), że ludzki sen o lataniu i jego urzeczywistnienie to po prostu następstwo ucieczki od grzechu. Albowiem Ziemia, proszę państwa, jest zapowietrzonym gniazdem wszelkiego występku, Ziemia i Woda, jak dowiódł słynny Sinistario d'Ameno, to dwa nierozdzielne pojęcia i wobec tego nikogo nie powinno dziwić (nadal cytuję go, naturalnie z pamięci), że za sprawą poetów Wenera rodzi się z morza, gdyż niewątpliwie chcieli oni po prostu połączyć w tym symbolicznym obrazie dwa grzeszne żywioły: Ziemię i Wodę, dwa grząskie środowiska, z których chęłbotania rodzą się

człowiek i grzech (grzech i człowiek). Powiadam więc, nie tylko Ziemia, ale i Woda, zwłaszcza ona, jest gniazdem grzechu i występku, a rozwiążność ma źródło w wilgoci. Oto dlaczego człowiek dąży ku wyżynom, oto wieczny sens mitu o Ikarze... Nie zamierzam tu przytaczać szczegółowych danych o populacji ani udowadniać słuszności wyliczeń i formuł Malthusa (dane te można znaleźć w każdej encyklopedii). Nie chcę też wzorem prowincjonalnego rabina (jak kiedyś raczyli mnie nazwać) głosić apokalipsy i udowadniać komukolwiek, a zwłaszcza wam, że świat jest nieuchronnie skazany na zagładę. Nie potrzebuję dowodów bardziej oczywistych niż te, którymi rozporządzam. A gdzie są te dowody?, spytacie. Tu, proszę państwa, tu, droga moja siostró, tu. Tylko patrzcie dobrze — pokazuję swoje serce.

38

Zwracam się przeto do was jako ten, który zna tajemnicę. Ludzie niebezpiecznie się namnożyli. Nie zamierzam mówić wam teraz, jak i jest obraz naszego świata, oglądane z wyższej, bardziej moralnej perspektywy. Powiadam tylko, że ludzie mnożą się w zastraszającym tempie, a środki, jakimi próbują się ratować, nie są bynajmniej wystarczające ani skuteczne. Przymusowa czy dobrowolna sterylizacja, planowanie rodziny, wojny jako spontaniczne stosowanie teorii Darwina, selekcja naturalna, głód, eutanazja — wszystko to tylko śmieszne i daremne usiłowania. Chiny z pięćset czy sześćset milionami mieszkańców, sławetne żółte niebezpieczeństwo, którym straszą nas od

dawna, nie są jedynym zagrożeniem świata. Nie bójcie się inwazji żółtych mrówek! Kara boska nie przychodzi z bagna. Ona przyjdzie z nieba. A tu już nie będzie litości dla nikogo. Jednakowo ucierpią wszyscy, biedni i bogaci, a najbardziej my — wybrani!

39

(Projekt). Mimo oddalenia w czasie i przestrzeni wasze świńskie postęпки nie tracą swojej mocy. Rozmyślając o tym, co spotkało mnie z waszej strony, o wstydzie, jakiego mi narobiliście, odnoszę wrażenie, że wszystko to było koszmarnym snem. Zaklinam cię, jako że niestety wciąż jeszcze potrafię rozróżnić koszmarny sen i koszmarną jawę, nie pozwól, aby twoja córka i Georges krzywdzili moją rodzinę, bo ewentualnej wymówki, że to oni (to znaczy moja żona i dzieci) zaczęli z wami dysputę, w ogóle nie przyjmę do wiadomości. I wierz mi, lepiej żeby do tego nie doszło. Proszę cię też, ciebie osobiście, postaraj się, abym po powrocie znalazł moich najbliższych przy życiu. Ufam, że masz jeszcze tyle serca, by nie pozwolić im umrzeć z głodu. I nie zapominaj, co mówi Tal mud: „Gdy dobro czynimy, winniśmy je czynić z radością” (*Wajikrá Rabba*, 34).

PS „Nędzarz więcej dobra czyni bogaczowi, przyjmując jego dar, niż bogacz, który mu wyświadcza dobrodzieństwo” (tamże).

(Obrazy z podróży (III))

40

Drzewo ukazało się pomiędzy rozkołysanymi końskimi łbami, potem zatańczyło między uszami koni. To woźnica, wyrwany ze snu, nagle ściągnął wodze tuż przed bramą z drucianej siatki. Człowiek widzi końskie pyski zwrócone nieco wwyż i w bok, wyszczerzone zęby (duże końskie zęby koloru starych kostek domina, od środka całkiem czarne) i przez moment białą pianę na żelazie w końskich pyskach. Drzewo jest nieco pochylone, a poniżej korony zwisa gałąź niemal pod kątem prostym. Gałęzie pokryte są cienką warstwą lodu, przezroczystą i miejscami nie grubszą niż celofan. Ten szklany bandaż spowija również pień, ale tu jest już całkiem cienki, zwłaszcza w miejscu, gdzie pada słońce, tak że na wypukłości od wschodu wyraźnie widać leciutko zmarszczoną korę. Słychać rytmiczne kapanie wody z gałęzi, chrobot w blaszanych rynnach. Głowy koni zwrócone są teraz w bok, w bok i do wewnątrz, w stronę dyszla sterczącego niemal pośrodku, głowy ich są nienaturalnie pochylone, jak gdyby obydwa konie naraz skręcały w bok, bezsensownie i bezskutecznie, jeden w lewo, a drugi w prawo, nie od dyszla, lecz ku dyszlowi, na tej wąskiej przestrzeni, gdzie nie mogą się

wyminąć. Skrzypiąc i zgrzytając, wóz stanął, ale jeszcze trochę jakby się przesuwa, do tyłu. Człowiek dostrzegł pod obluźnionymi klapkami dwoje czarnych, dużych końskich oczu. Konie patrzą, przynajmniej tak mu się wydaje, gdzieś przed siebie, jak gdyby kierowane w to niejasne i niewiadome „przed siebie” siłą inercji, która aż dotychczas je popychała, a oczy zwrócone pod przyrusem, razem z głową, w dół i do środka, ku dyszlowi, jedynie one (lub ich zezujące spojrzenie) jeszcze zachowują linię poruszania się zatrzymanego wozu. Człowiek odwraca się, przebiega wzrokiem pusty wóz, na którym migoce w słońcu kilka słomek, bardzo żółtych. Dostrzega żelazne obręcze na tylnych kołach, ubłocone i od błota zgrubiałe, a za nimi, po obu stronach, równoległe, świeże ślady kół w błocie.

41

Graniasty promień słońca, przenikający przez małe okno, pada teraz, bez przeszkód, na podłogę z żółtej gliny. Człowiekowi wydaje się, że glina paruje. Może to tylko złudzenie. Jego marynarka z zabloconymi łokciami wisi na krześle. Krawat rozluźniony, rękawy koszuli podwiniete. W ręku trzyma łopatę, trochę zardzewiałą, lecz jeszcze błyszczącą pod rdzą, która w postaci kropelek nawarstwiła się na ostrzu. Człowiek stawia ostrze łopaty na boku kwadratu oświetlonego słońcem i napiera na nie całym swoim ciężarem. Ostrze zagłębia się w ziemię może na pięć centymetrów, po czym odrywa kawał twardej żółtej gliny.

42

Jego marynarka z zabloconymi łokciami leży na stercie cegieł jakieś dziesięć metrów dalej. Widzi na marynarce żółtą gwiazdę, całkiem zniekształconą, nie tyle perspektywą, ile fałdami materiału. Niektóre cegły na stercie są zupełnie zdeformowane, inne pęknięte na pół, jeszcze inne tylko trochę wyszczerbione. Kolor mają wyblakły, jakby cegła z upływem czasu zamieniała się w kamień, albo może takie wrażenie wywołuje warstwa stwardniałego wapna, które przywarło do ceglastej tkanki i zrosło się z nią. Pod lewym, wysoko podwiniętym rękawem (prawy, zmięty i okrutnie zablocony, trzepocze wokół przegubu ręki) błyska w słońcu jego biała skóra, upstrzona jasnobrązowymi cętkami piegów, jak u pstrąga. Cienkie włoski ledwo rudziejają poniżej łokcia. Człowiek stawia ostrze łopaty na stwardniałej ziemi i naciska na nie, napierając ciężarem całego ciała na powyginaną górną krawędź metalu. Skrzypiąc, jakby wrywało czy przecinało jakieś korzenie, ostrze zagłębia się w ziemię może na pięć centymetrów, po czym uderza w coś twardego. Człowiek zaczyna szarpać trzonek w lewo, w prawo, jak gdyby żelazo utkwilo pomiędzy dwoma twardymi przedmiotami. Słychać trzeszczenie podobne do tego, jakie wydaje łamiący się, zepsuty ząb pod kleszczami dentysty. Chwilę później z ziemi wyziera wyszczerbiona cegła, wilgotna i czerwona, koloru świeżej wołowiny. Człowiek pochyla się i sięga po nią. Dłonie ma owinięte podartą szmatą, prawdopodobnie chustką o niewiadomych kolorach i ewentualnym wzorze, gdyż płótno przesiąkło zaskorupiałym błotem. Szmata jest związana

pośrodku dłoni, a ściśnięte i nieco skurczone palce czynią jego ruch niepewnym i niezgrabnym. Odwraca cegłę na bok, ujmując ją jak w szczypcy. Cegła wyślizguje mu się z ręki i spada w błoto. Człowiek ogląda się i w purpurze zachodu spostrzega ostry szpic bagnetu na karabinie strażnika. Przez moment staje się to wszystkim, co widzi, gdyż purpura słońca zalewa mu szkła z odciskami zabłoconych palców. Strażnik siedzi na stercie zmurszałych bełek, karabin trzyma między kolanami. Człowiek pojmuję, że strażnik nie patrzy w tę stronę, więc przez chwilę sam wpatruje się w niego, jakby go widział po raz pierwszy. Wkrótce udaje mu się wyraźnie odróżnić od tła sylwetkę bez twarzy, strażnika na czerwonym horyzoncie, jego sztywne czako, na którym powiewają kogucie pióra, już nie ciemnozielone, ale żółte i purpurowe jak płomień. Po chwili znowu spuszcza wzrok ku cegle i usiłuje podnieść ją palcami przypominającymi kleszcze, które nie rozwierają się jak należy. W końcu zdołał uchwycić ją w szczypcy i rzucić w kierunku sterty. Cegła spada zaledwie dwa metry dalej. Nagle człowiek słyszy, że strażnik coś do niego mówi, jakieś słowa bez znaczenia, może to przekleństwo, może pogródka. Przestraszony rzuca się naprzód i już jest koło cegły, która upadła w błoto. Wciąż słyszy ten głos. Może strażnik tylko się śmieje.

43

Kwadrat słonecznego światła, wokół którego zaczął nacinać glinę, przesunął się i na podłodze między stołem a oknem leżą teraz dwa kwadraty jednakowej wielkości

jaśniejszy, wyrysowany promieniem słońca, i drugi, także żółty, koloru świeżo wykopanej gliny. Te dwa kwadraty przecinają się niemal symetrycznie, w połowie, gdyż właśnie o tyle przesunęło się słońce. Drugi kwadrat, ze świeżej gliny, ma nierówno wyżłobioną powierzchnię. Wydobytą glina leży tuż obok wgłębienia na kształt dużych wiórów z drzewa akacjowego. Na tych wiórach widać gdzieś błyszczące, wygładzone płaszczyzny, wycięte przez ostrze łopaty, zarysowane nawet całkiem wyraźnie, jak na gipsowym modelu. Nieco przygarbiony, w marynarce narzuconej na plecy, człowiek siedzi za rozchwanianym stołem, trzyma ręce na jego powierzchni. Prawą rękę ma owiniętą jakąś szmatą, prawdopodobnie chustką, ale z powodu zaschniętego błota ledwie widać na niej linie wzoru. W zaciśniętych ubłoconych palcach, przypominających kleszcze, trzyma papierosa. Dym z papierosa, niewidoczny, unosi się w górę, potem zjawia się w przejrzystym słupie światła słonecznego, padającego ukośnie przez okno, i zaczyna związać się w tym żółtym świetle jak pasmo błękitnej mgły. Oparta o ścianę koło kuchenki stoi łopata. Słońce jej nie oświetla, ale smuga rozproszonego światła dotyka żelaza, teraz już wyraźnie błyszczącego, bo kropelki rdzy zostały z niego starte. Dlaczego człowiek nagle zrezygnował z kopania? Może zanadto się zmęczył albo glina była za twarda, więc musiał przestać. A może porobiły mu się pęcherze na dłoni?

451

Chwyta cegłę obiema rękami, niezgrabnie, potem rozpadza się trochę i ciska ją w kierunku sterty. Cegła spada, toczy się jeszcze, a po chwili słychać jak gdyby stukot drewnianych kul. Człowiekowi wydaje się, że pomimo zabłoconych szkieł widzi jaskrawoczerwoną ranę na cegle i purpurowy obłoczek ceglanego pyłu. Wraca i podnosi łopatę leżącą tam, gdzie zostały wyraźnie odcisnięte ślady jego kaloszy. Spojrzenie kieruje się za ostrzem i razem z nim jakby przenika w głąb ziemi. Człowiek ruchy na sztywne i niepewne, głowę nisko spuszczoną. Nagle skurcz przechodzi jego ciało, jak gdyby się zerwał ze snu. Czy strażnik znów coś powiedział, czy był to dźwięk gwizdka? Skurcz ciała trwał zaledwie chwilę. Włokąc za sobą łopatę, człowiek zbliża się do sterty cegieł i bierze marynarkę. Staje w szeregu z łopatą na ramieniu.

Owinięty grubym kocem, pachnącym końmi, człowiek siedzi za stołem. Lamy tu już nie ma, wisi na gwoździu wbitym w ścianę po lewej stronie, nieco powyżej jego głowy. Z kwadratowego okna naprzeciw pada światło białe, szarobiałe, raczej odbłask śniegu niż światło dnia. Okno drży pod uderzeniami wiatru i wydaje się czasem, że przez niewidoczne szpary pomiędzy jego ramą a futryną przedostają się igiełki śniegu. A może takie wrażenie wywołują porywy wiatru, który wpycha przez szpary fale zimnego powietrza. Nieco przygarbiony, z rękoma

na powierzchni stołu, człowiek patrzy w stronę okna. W oknie nie widać jednak nic prócz wirujących płatków i małego, ukośnie ściętego pagórka, jaki usypał śnieg na dolnym boku ramy za szybą. Ręce człowieka przez chwilę spoczywają przed nim nieruchomo. Potem jedna z nich sięga ku czasopismu leżącemu na stercie po prawej stronie. Człowiek przysuwa je bliżej i nie otwierając, przygląda się okładce, jakby widział ją po raz pierwszy. Jest to stare czasopismo, zatłuszczone, o postrzępionych kartkach. Na zielonej okładce znajdują się reklamy: fotografie opon samochodowych i stylizowane duże litery, zapewne marka opon. Tytuł „Przegląd” wytłoczony jest grubszymi literami w skos, w górnej trzeciej części zeszytu, na czerwonoszarym tle. W dużej jasnej ramce poniżej tytułu widać litery złożone w dwóch szpaltach, może to spis treści. Człowiek wypuszcza spod dużego palca tłuste, pozaginane brzegi stron, najwyraźniej nie zwracając uwagi na zawrotne trzepotanie kartek. Potem kładzie czasopismo z powrotem na stertę, a bierze drugie. Ten drugi zeszyt, na oko, jest zupełnie podobny do pierwszego: te same fotografie falisto ząbkowanych opon samochodowych, ten sam ukośny pas z tytułem i jasny kwadrat zawierający spis treści w dwóch szpaltach. Jedynie tylna strona okładki nieznacznie różni się kolorem. Człowiek odkłada czasopismo, zdejmuje z ramion koc i podchodzi do okna. Spogląda przez nie z rękami założonymi do tyłu. Szybko przelatujące płatki śniegu i co pewien czas, pomiędzy dwoma porywami wiatru, samgłona sylwetka drzewa.

Marynarke ma zarzuconą na ramiona, a w butonierce, po lewej stronie, duży żółty kwiat. Ścieżka leśna biegnie miejscami pod sklepieniem dębów. Człowiek ma w ręku sękatą gałąź, którą ścina wysokie pokrzywy obok ścieżki. Nagle zatrzymuje się — dobiegły go uderzenia siekier. Wydaje mu się też, że słyszy głosy. Zdejmuje marynarkę, przerzuca przez rękę i naraz, oślepiony słońcem, wychodzi z gęstwiny. Przysłaniając oczy dłonią, dostrzega na polanie, może dziesięć kroków przed sobą, ostrza siekier błyszczące jak kawałki rozbitego lustra. Drwali jeszcze nie widzi dokładnie, ich sylwetki niewyraźnie zarysowują się poprzez liście na samej granicy zarośli naprzeciwko, ale słyszy pohukiwanie, które towarzyszy lśniącym zamachom ostrzy. Wysoko nad zalaną słońcem gęstwiną drży korona drzewa. Kwiaty i liście dzikiego bzu w pobliżu są zupełnie nieruchome, podobnie jak wysokie łodygi pokrzyw i zielone korony drzew. Przez chwilę człowiek nie pojmuje. Ponad tą jedną chwijającą się koroną spogląda w niebo. Niebo jest błękitne, czysto błękitne. Tylko gdzieś nad drzącą koroną widać biały obłok. Zanim jeszcze przez fałdy zielonej kurtyny liści zdolał dojrzeć muskularne piersi drwali, zrozumiał, że korona trzęsie się pod ciosami siekier. Ale jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Drwale zapewne go spostrzegli, bo nagle przestali rąbać i człowiekowi wydało się, że patrzą na niego. Spodziewał się, że uciekną, i już przewidywał ich kroki: rzucają siekiery i pędzą po koszule, które zawiesili gdzieś na

krzakach. Wkładają je w biegu, a koszule zaczepiają się i drą na gałęziach, na kołcach jałowców. Nic z tego. Może go nie zauważyli? A może tylko udają? Siekiery oparli obuchem o ziemię. Trzymają je w ręku niby laski. Słońce wyraźnie zaznaczyło zarys podkoszulków na ich piersiach i gdyby nie kosmyki włosów, można by nie dostrzec, że są nadzy do pasa. Szyje mają pomarszczone i ciemne jak kora drzewa przed nimi. Pień jest u podstawy podcięty, z ukosa i głęboko, z obu stron, symetrycznie. Świeża blizna jaśnieje, jak gdyby z drzewa dobywał się płomień lub jakby znajdowało się w nim silne źródło światła. Korona już nie drży. Drwale zamieniają siekiery. Podnoszą je jedną ręką, potem oburącz. Wykonują w powietrzu ruchy naśladowujące ścinanie drzewa. Człowiek podszedł zupełnie blisko przez wysoką trawę, między kołczastymi krzakami głogu. Słyszy, jak jeden z drwali coś mówi, nadal nie patrząc na niego: że trzonek wydaje mu się za cienki, bo przywykł do swojej siekiery, a to jest siekiera jego syna czy brata; coś w tym rodzaju. Człowiek pojmuje, że drwale rozmawiają, byle coś mówić, i że nie uciekną. Na jego pytanie odpowiadają, że wynajęli ich „pan”. Który pan?, pyta. „Pan”. Potem, nie zwracając na niego uwagi, zaczynają znów wypróbować siekiery: przecinają powietrze silnymi, rytmicznymi ciosami, którym towarzyszy pohukiwanie. Człowiek ma już odejść, gdy jeden z drwali, zatrzymując błyszczące ostrze wysoko nad wymaglinowanym pniem, powiada: „Ten ze sztywną nogą”. I dalej tną powietrze siekierami. Nadzy do pasa, stoją naprzeciw siebie (zapewne tak, jak niedawno temu, gdy pień jęczał pod ciosami siekier), uderzając lśniącymi ostrzami w promień słoneczny,

który pada ukosem z korony zranionego drzewa i wznosi się pomiędzy nimi jak wysoki lśniący słup.

47

Przez czworokąt okna, wśród dużych płatków śniegu widać tylko w górze gałęzie drzewa. Pokryte są grubą warstwą śnieżnego puchu, a ich cienkie czubki nikną w zadymce. Człowiek wstaje i podchodzi do okna. Teraz widzi także pień, zupełnie biały, przynajmniej po stronie zwróconej ku oknu. Na lewo od drzewa — ślepa ściana jakiegoś domu, a za drzewem, nieco dalej, ledwo widoczne poprzez śnieżną zasłonę zardzewiałe oczka ogrodzenia z siatki. One też na pewno są teraz białe, zgrubiałe od śniegu, który napadał na nie, i przez to zmniejszone. A może śnieg zupełnie zalepił oczka siatki i zamiast ogrodzenia stoi tam biała śniegowa ściana. Gdzieś z oddali dobiega szczekanie psa, ciche, jakby przez watę. Człowiek nie widzi psa, nie widzi nic prócz ubielonego pnia i ślepej ściany. Nagle, poprzez płatki śniegu, dostrzega czarny kanciasty przedmiot, przesuwany się ku niemu gdzieś z boku, od strony, gdzie wznosi się ślepa ściana. Z początku nie rozumie, co by to mogło być. Dopiero gdy niewidzialna ręka odwraca ów przedmiot bokiem, pojmuje. W chwilę potem dostrzega mężczyznę. Mężczyznę o sztywnej nodze, okrytego popielatym kocem, takim samym jak ten, który on ma na ramionach. Wydaje mu się nawet, że czuje zapach koca: zapach koni i moczu. Mężczyzna ma ubielone śniegiem włosy i ramiona. Pochyla się nisko nad piecykiem, który popycha przed sobą. Piecyk jest czarny, chyba

zardzewiała; powoli sunie przez wysoki śnieg, który skracca o połowę jego nogi. Po jakimś czasie piecyk i popychający go mężczyzna znikają z ramy okna. Nie widać już ich śladów na śniegu.

48

(Człowiek z laską stoi przed drzwiami. Przed nim ciągnie się dość niska ślepa ściana, kamienny mur lub tył jakiegoś domu. Na lewo druga ściana, z oknami o zamkniętych żaluzjach. Na prawo — wysoka sklepiona brama. Pod sklepieniem, w miejscu gdzie śnieg jest odgarnięty, siedzi mężczyzna z nogami skrzyżowanymi zwyczajem ludzi Wschodu, plecami oparty o mur. Na głowie ma pognieciony brunatny kapelusz, na którym wyraźnie widać ciemniejszy kolisty ślad, w miejscu gdzie była kiedyś wstążka. Z zabloconych butów wystają gołe nogi. Obok stoi wąska drewniana skrzynia z arkuszami jasnej blachy, przypominającymi arkusze staniolu. Z przegródki w drewnianej skrzyni mężczyzna wyciąga małe cygańskie kowadło i ustawia je pomiędzy dwoma gładkimi kamieniami, którymi wybrukowane jest podwórze. W rękę ma młotek. Bierze jeden ze stojących obok obitych garnków. Ociera dłonią emaliowane dno, obraca je ku światłu. Człowiek z laską pyta o coś, ale on wzrusza ramionami i zaczyna stukać w garnek. Człowiek pyta go po raz drugi, a on powiada, że pani ma gości. Człowiek milczy, lecz jakiś czas jeszcze stoi obok. Słucha, jak przeciągle trzeszczy emalia. Patrzy jak w stare blaszane rondle wchodzą olowiane luty niby kule rewolwerowe kalibru 6,35).

Cienkie blaszane nogi piecyka, zupełnie rozklekotane, przesuwają się przez niski próg. Czarne pudło porusza się wolno, chrzęści blacha. Coś w nim postukuje: pewnie kruszy się i odpada warstwa błota i szamotu, którym piecyk wyłożony jest od środka. Ten, który go przytaszczył, teraz się prostuje. Przez chwilę stoi, jakby zaniewidział. Drzwi za jego plecami otwarte są na roścież. Wpada przez nie blade światło zimowego popołudnia. W półcieniu, po lewej stronie, obok małego okna, mężczyzna odkrywa tego, który go obserwuje. Mówi coś, strzepując śnieg z ramion. Tamten nie słyszy albo udaje, że nie słyszy. Nagle człowiek stojący obok okna zrzuca z ramion koc i przesuwa się do kąta, tak że ten drugi przez moment go nie widzi. Tylko przez moment, bo oto z ciemności wychodzi człowiek, trzymając przed sobą laskę. Bez słowa zbliża się do mężczyzny, który sapie nad piecykiem. Laskę uniósł i z ukosa wymierzył w piecyk. W chwilę potem rozlega się trzask. Żelazny szpic laski wbija się w bok piecyka. Blacha skrzypi, odpada szamot. Człowiek z trudem wyciąga laskę: zmurszała blacha ospuje się jak sadza. Wreszcie człowiek raz jeden mocno kopie w blachę. Piecyk powoli przewraca się przez próg, najpierw nieco na bok, a potem wzdłuż swojej osi.

Człowiek przystanął na chwilę, może po to, by zmierzyć wzrokiem przebytą drogę. Ucichł skrzyp jego butów. Z niewiadomej dali wiatr przynosi szczekanie psa,

długie i przeciągłe. Wytężając oczy w mroku i zawiei, człowiek nie widzi nic, ani cienia, ani ruchu. Nasłuchuje, znowu w postawie szermierza. Niewidoczny pies szczeka gdzieś w oddali. Wiatr przerywa i roznosi jego szczekanie.

Chłopiec pojawia się z nienacka, wyłania się z zamieci tuż przed jego laską. Laska wymierzona jest w piersi chłopca. Człowiek widzi, że chłopiec otwiera usta jak ryba, ale nic nie słyszy, bo zamieć porywa jego głos. Chłopiec podchodzi jeszcze bliżej, dotyka piersiami żelaznego szpica laski. Znowu coś mówi, usiłując przekrzyczyć wycie wiatru. Potem, zrozumiawszy, że człowiek go nie słyszy, chwytą laskę przy samym końcu, tuż za szpicem, i rusza naprzód. Człowiek stąpa powoli, jak gdyby prowadziła go ręka chłopca. Idą tak, trzymając laskę za dwa końce, idą przez śnieg i zawieję.

Zapiski szaleńca (IV)

51

Świadom faktu, że nie jestem zdolny podnieść na siebie ręki, że brzydzę się swojego ciała, brzydzę się śmierci, krwi i wszystkich rekwizytów śmierci, sznura, brzytwy, broni, przed chwilą, gdy ruszyłem do wsi, odprowadziwszy syna przed dom, nagle poczułem się oświecony możliwością bezbolesnego pozbycia się wszelkich lęków i trosk bez narażania się na chwytły z dramatu grozy: przez śmierć w śniegu, słodką śmierć bez krwi i oszpecania ciała, bez bólu i bez gwałtu.

Albowiem koło się zamknęło. Mój powrót do rodzinnej wsi nie jest przecież niczym innym, jak tylko tym powrotem do prapoczątku, powrotem na łono ziemi, jednym z ostatnich stopni wielkiego okręgu, jaki opisuje wszystko, co żywe, kręcąc się w tym kole między narodzinami a śmiercią, z zawrotną szybkością, aż do czasu, dopóki te dwa punkty się nie połączą.

Nie była to właściwie decyzja, nigdy nie podjąłem takiej decyzji, bo decyzja wymaga woli, ale był to jedynie odległy zamiar, który usiłowałem przemycić nie tylko do zwierzęcia w sobie, lecz także do swojej świadomości. Gdybym go przynajmniej domyślał do końca, może odebrałbym sobie życie.

52

„Nad wszystkim panuje natura, tylko nie nad strachem przed nią” (*Talmud, Berachot, 33 B.*)

53

To uczucie, że opuściło mnie moje własne Ja, to widzenie samego siebie z perspektywy innego człowieka, ten stosunek do siebie jak do obcego*

nad Dunajem, gdy czekałem w kolejce. To samo uczucie: z jednej strony E.S., lat pięćdziesiąt trzy, żonaty, ojciec dwojga dzieci, rozmyśla, pali papierosa, pracuje, pisze, goli się przy pomocy maszynki, a z drugiej strony, obok niego, a właściwie w nim samym, gdzieś w jego mózgu, jak we śnie albo w półśnie żyje inny E.S., który jest i nie jest moim Ja, bo kiedy ten się goli dokładnie obliczonymi ruchami i nawet ręka mu nie zdrży, tamten drugi, zmniejszony do rozmiarów embriou, załatwia całkiem inne sprawy, zajmuje się czymś zupełnie niewiadomym, ale niebezpiecznym, i chwilami, w okamgnieniu, przyłapuję go na tych niedozwolonych i tajemniczych czynnościach, przyłapuję go *in flagranti* na robieniu czegoś innego, czegoś, co jest nawet dla mnie całkiem niezrozumiałe, gdyż to, co tamten drugi robi, nie ma żadnego związku nie tylko z goleniem, zawiązywaniem krawata czy jedzeniem, ale też z moimi rozmyślaniami, z tokiem moich myśli, z moim postępowaniem — to jest

* Niedokończone; brak jednej kartki (przyp. aut.).

ktoś inny! Ale co w tym najgorsze, to fakt, że nie mogę dokładnie wiedzieć, co tamten drugi robi (kiedy ja się na przykład gołę) i czy to jest straszne, bo tamten drugi ukrywa to przede mną, a gdy wydaje mi się, w trakcie golenia, że już schwyciłem go za gardło, przyłapałem na gorącym uczynku, tamten mi się wymyka, wyslizguje mi się w moim własnym mózgu, w jakimś bolesnym zwoju mojego mózgu, i nigdy nie mogę nad nim zapanować, wezwać go do odpowiedzialności albo przynajmniej wprowadzić na światło dzienne i odprawić z Bożą pomocą, bez wymówek i wyrzutów. Co robi tamten drugi, kiedy ja się gołę? Porusza się po jakichś nieznanach obszarach, wymawia jakieś niezrozumiałe sylaby, niezrozumiałe słowa i zdania, ale nie bez związku, tylko po prostu wymawia je szeptem lub jeśli wymówi je głośno, to zaraz potem dodaje wiele innych zdań i sylab bez związku, zmuszając mnie w ten sposób, abym zapomniał zupełnie jasne i precyzyjne znaczenie tamtych pierwszych słów, zupełnie zrozumiałych i wystarczających do zidentyfikowania sensu całego tekstu, całej myśli.

Tamten drugi krąży po jakichś nieznanach mi obszarach, a kiedy na moment go zaskoczę, rzekomo przejęty wyłącznie goleniem i włoskami, które skryły się za fałdą nozdrzy, czasem udaje mi się na moment, tylko na moment zobaczyć go, tamtego drugiego, jak idzie za pogrzebem, w jakimś orszaku żałobnym, ale dokładnie nie wiadomo, czy jest w karawanie, tamten drugi, czy tylko idzie za pogrzebem przypadkowo, a w chwilę potem (dokładniej mówiąc, wszystko to dzieje się w jednym czasie) nie wiadomo już nawet, czy to karawan, czy

tylko na czarno polakierowana dorożka i czy ten człowiek to właśnie on, tamten Drugi. Ale co najstraszniejsze w tym polowaniu na Drugiego, który jest i nie jest moim Ja, to przerażający fakt, że tamten Drugi, zrośnięty ze mną — jakbyśmy byli syjamskimi braćmi — kręgosłupem, mózgiem i wegetatywnym układem nerwowym, że ten mój syjamski brat, który porusza się samodzielnie, odwrócony w inną stronę, o własnych nogach i rękach, że ten mój brat-bliźniak, to moje Ja-nie-ja myśli w gruncie rzeczy moją głową, kradnie myśli z mojego mózgu, jak gdyby nasze mózgi były zrośnięte lub tylko umieszczone w jednej i tej samej potwornej czaszce, w dwóch zrośniętych czaszkach, które stały się jednym jedynym potwornym *Wasserkopf* z dwoma mózgami leżącymi obok siebie, tak że myśli jednego mózgu przenoszą się na drugi, ale niezupełnie wyraźnie, słabo artykułowane, gdyż jeden drugiemu przeszkadzają, podobnie jak w półnie słucha się rozmowy zza ściany, zza grubej ściany rozdzielającej i łączącej dwa pokoje: w drugim pokoju ktoś zazdrosny może zarzyna kogoś nożem, może zimne ostrze wbija się w żywe ciało, bo słychać jakieś krzyki, przewracanie się i bolesne stękanie, lecz równie dobrze może to być uścisk i namiętne dyszenie dwojga kochanków (przez grube ściany nie słychać wyraźnie) lub histeryczny śmiech czy bolesny szloch. Tak prześladowa mnie tamten drugi, pojawia się we mnie z nagle, kiedy gołę się przed wyszczerbionym lustrem i patrzę na swoją twarz w wianku piany, całkiem spokojnie.

Jest poranek, zamieć ustała, słońce przenika przez kwadratowe okno, słychać muczenie krów w obejściu po

drugiej stronie drogi, dzwoni dzwon na wiejskiej dzwonicy. W izbie ciepło, płoną szyszki w blaszanej kuchence, dym się rozwiął, czuć tylko zapach żywicy, zapach lasów. W tym momencie tamten drugi pojawia się we mnie, wydobywa się z mojego mózgu z dreszczem bólu, bo tamtemu drugiemu przytrafiło się coś strasznego, złowroga myśl oparzyła jego mózg, myśl o śmierci, myśl wyężona i bezlitosna jak u człowieka, który przebudził się we własnym grobie, ale ja, E.S., nie znam dokładnie znaczenia tej myśli, nie wiem nawet, czy jest to myśl o śmierci, a jednak odczuwam jej intensywność, ciężar, jej zgubny pesymizm, przytłaczającą realność i zaczynać nam drzeć gdzieś w głębi swej istoty. Nie drżą mi ręce, bo ręce wciąż jeszcze trzymają maszynkę do golenia, a palce poźółkle od nikotyny przesuwają się po kołce stej linii brody, wymacując włoski, ale drży mój układ nerwowy, moje serce, moje wnętrze, moje przerażone, spłoszone Ja. Albowiem od tej pory wszystkie siły mojej osobowości skupiają się na rozwikływaniu tej tajemnicy, tej zagadki, tej okrutnej afery, z którą stanął oko w oko tamten drugi we mnie, na rozwikływaniu tej sprawy kryminalnej, w której nie ma ani jednego pozytywnego elementu, ani jednego znanego szczegółu i wiadomo tylko, że chodzi o śmierć, o śmierć jakiegoś człowieka albo śmierć jako taką, poza wszelkim mieszczańskim kontekstem, ale chodzi o śmierć, o zgubę, o strasliwą katastrofę żywej istoty, co do tego nie ma wątpliwości: to dygotanie we mnie, to szaleńcze spojrzenie tamtego drugiego, który patrzy na mnie z pękniętego lustra, gdy się gołę, wyraźnie o tym świadczą.

W mojej świadomości pozostało wrażenie jakiegoś koszmaru, sensownie mogłem sformułować tylko jedno jedyne słowo: WIELKIE, przymiotnik stojący obok nie wiadomej rzeczy, obok pojęcia, którego niepodobna było zidentyfikować, ale które promieniowało jakąś niepojętą grozą, a słowo WIELKIE, które z bolesnym wysiłkiem świadomości zdołałem wypchnąć w pole rozumu, w pole artykulacji, na moment uchwycić w tym szybkim przelatywaniu pojęć i obrazów, tak przypominającym sen, to słowo było całkiem adekwatne, stało całkiem naturalnie i logicznie obok jakiegoś nieznanego pojęcia, zgadzając się z nim co do rodzaju, liczby i przypadku, choć owo pojęcie wciąż jeszcze było poza sferą tego, co zrozumiałe, poza plamką żółtą świadomości. To przeraźliwe i przerażające WIELKIE przytłaczało mnie swoją wielką i przerażającą obecnością, a przerażenie wynikało z niemocy mojej świadomości i ducha polegającej na tym, że przymiotnikowi nie mogłem przydać rzeczownika, a dzięki temu wyjaśnieniu pojęć sprawa mojego koszmaru stałaby się bardziej oczywista, przerażenie przybrałoby ludzkie rozmiary lub przynajmniej kształt wyraźnie określonego przerażenia. A tak, z tym nijakim przymiotnikiem (właściwie pozbawionym rodzaju), figurującym obok jakiegoś rzeczownika lub może czasownika, mój strach, moje wewnętrzne dygotanie przerastały w koszmar na jawie i przypuszczałem, że to, co dzieje się ze mną, nie jest niczym innym jak dalszym ciągiem nagle przerwane go snu: kiedy część mojej

istoty podążała za powszednim (logicznym) tokiem myśli, druga część, równocześnie, trwała w głębokim śnie, dręczona koszmarem snu, z którego nie mogła się ocknąć. Szczątki tego snu na jawie, tego koszmaru (od których odłączyło się jedynie słowo WIELKIE), grasowały w mojej świadomości, a w mózgu, we wnętrzu mojej istoty rozgrywały się jednocześnie dwa procesy: sen i jawa, mroczna obecność koszmaru i jasny tok rozumowania, ale pomiędzy tymi dwoma procesami istniała nieprzenikalna ściana, przerwana łączność. Cały wysilek mojej przebudzonej osobowości sprowadzał się do tego, żeby pojąć jakieś słowo docierające zza tej ściany, z tamtej uśpionej kory mózgowej, albo, skoro już nie mogę zobaczyć, żebym przynajmniej nie słyszał, co dzieje się w moim własnym wnętrzu, teraz, w tej chwili.

Słowo WIELKIE było jedynym artykułowanym i uchwytnym słowem, jeśli i ono nie stanowiło tylko przykładu, tylko namiastki jakiegoś słowa, jakiegoś innego pojęcia, jakiegoś innego stanu. To, co działo się po drugiej stronie świadomości, działo się zbyt szybko, obrazy oddalały się z niepojętą szybkością, a sprawy, które rozgrywały się tam, w mrocznym wnętrzu mojej istoty, obrazy przesuwały się w korze mojego mózgu były nazbyt przerażające, abym mógł je analizować z zimną krwią, nawet gdybym je zdołał pojąć: wszystko to działo się po tamtej stronie życia, w niezgłębionych mitycznych obszarach śmierci, w okrutnej dolinie tego, co jest po tamtej stronie. Ten drugi, ta druga moja istota, to byłem ja sam po mojej śmierci: martwy E.S. w zetknięciu z żywym, martwy E.S., który wyszedł

z mojego własnego snu i ucieleśnił się, zagnieździł obok tego żywego.

Moje tchórzliwe, rozdwojone Ja.

55

Czym są wszystkie wysiłki ludzkości, wszystko to, co nazywa się historią, cywilizacją, wszystko to, co człowiek czyni i co czyni człowieka, czym jest to wszystko, jeśli nie daremną i nędzną próbą człowieka pragnącego przeciwstawić się absurdowi powszechnego umierania i nadać mu rzekomy sens, jakby można było nadać sens śmierci, jakby można jej było nadać jakiegokolwiek inne znaczenie i jakiegokolwiek inny sens oprócz tego, który ma. Filozofowie, ci najbardziej cyniczni, usiłują bezsensowi śmierci nadać sens przy pomocy jakiejś wyższej logiki lub sprytnych wykrętów ku powszechnemu pocieszeniu, ale tym, co przynajmniej dla mnie pozostaje nadprzyrodzoną tajemnicą, jest pytanie: co pozwala człowiekowi, mimo świadomości o śmierci, działać i żyć, jak gdyby śmierć istniała gdzieś poza nim, jakby była zjawiskiem naturalnym?

Dreszcze, nieustające w ostatnich dniach, pomogły mi zrozumieć, wbrew silnym napadom strachu, że moja choroba polega jedynie na tym: czasami z całkiem niewiadomych przyczyn, wskutek zupełnie niezrozumiałych porывów nawiedza mnie ja s n o ś ć u m y s ł u, pojawia się we mnie świadomość śmierci, śmierci jako takiej. W tych

chwilach diabolicznego oświecenia śmierć nabiera dla mnie tego znaczenia i ciężaru, które ma *in sich*, a których ludzie najczęściej nawet się nie domyślają (oszukując się pracą i sztuką, tuszując jej znaczenie i jej *vanitas* filozoficznymi powiedzonkami) i prawdziwe znaczenie śmierci odczuwają tylko wtedy, kiedy zapuka do drzwi, zdecydowanie i niedwuznacznie, z kosą w ręku, jak na średnio-wiecznych grabiurach. Ale co mnie przeraziło (uzyskanie świadomości nie daje pociechy) i jeszcze wzmogło we wnętrzu dreszcze, to świadomość, że moje szaleństwo jest w gruncie rzeczy szaloną jasnością umysłu i że dla wyzdrowienia — bo tych ciągłych dreszczy po prostu nie można znieść — potrzeba mi właśnie szału, zapomnienia, obłądki, dopiero obłąd mnie uratuje, dopiero szaleństwo przyniesie mi uzdrowienie! Gdyby doktor Papandopulos zapytał mnie przypadkiem o zdrowie, o przyczynę moich urazów i lęków, teraz umiałbym mu odpowiedzieć zdecydowanie i niedwuznacznie: s z a l o n a j a s n o ś ć u m y ś l u.

Przesłuchanie świadka (I)

56

Wezwanie zastałem po powrocie z Pórszombatu, czyli wczoraj.

Po co pan jeździł do Pórszombatu?

Odwiedzić Mayerów.

Kto to jest Mayer?

Pan Samuel Mayer to mój stary znajomy, jeszcze ze szkoły handlowej. Nie widzieliśmy się przeszło trzydzieści lat. Kilka dni temu dowiedziałem się, że niejaki Mayer, kupiec, mieszka w Pórszombacie, i pomyślałem, że to pewnie on. W związku z tym postanowiłem go odwiedzić.

Po co?

Przed wszystkim chciałem się zobaczyć ze starym kolegą szkolnym, a poza tym spodziewałem się z jego strony pomocy moralnej i materialnej.

Od kogo pan się dowiedział, że Mayer mieszka w Pórszombacie?

Dokładnie nie pamiętam... Może od mojego siostrzeńca Gyuli, zwanego Georgesem.

W jakich okolicznościach Gyula wspomniał o Mayerach?

Jeśli się nie myłę, nastąpiło to przypadkiem. Z Georgesem, czyli Gyulą, nie łączą mnie najlepsze stosunki, można nawet powiedzieć, że jesteśmy skłóceni.

Więc jak doszło do tego, że Gyula wspomniał o Mayerach?

Podczas jednej z naszych kłótni powiedziałem mu, to jest Georgesowi, że nie dam się wciągnąć w jego jakubowe kręactwa, na co on, nie pamiętam dokładnie po jakiej replice, stwierdził, że jestem zwyczajny bankrut i *Luftmensch*, gdyż w przeciwnym razie mógłbym żyć przyzwoicie, jak choćby taki Mayer z Pórszombatu, ogólnie szanowany kupiec, który mówił mi, że kiedyś chodziliśmy razem do szkoły handlowej w Zalaegerszeg. Wtedy przyszło mi do głowy, żeby odwiedzić Mayera i jak wspominałem, poprosić go o pomoc.

Miał pan na myśli pieniądze?

W pierwszej chwili miałem na myśli nic określonego. Chciałem po prostu pozyskać zaufanie bogatego kupca, od którego mógłbym raz i drugi pożyczyć trochę pieniędzy, mąki czy tytoniu. Bardzo by mi się to przydało, zwłaszcza teraz, gdy jestem skłócony z Georgesem, jak też z siostrą, u której tymczasowo mieszkam z moją trzyosobową rodziną.

Czy Mayer wyszedł panu naprzeciw?

Pożyczył mi czterdzieści pengő i obiecał, że za kilka dni przyśle trochę mąki.

Bezpłatnie?

Myśle, że zamierzał przysłać mi ją bezpłatnie, ja natomiast zachowywałem się tak, jakby chodziło o pożyczkę, podobnie jak w przypadku pieniędzy, które od niego dostałem.

Kiedy zamierza pan oddać te pieniądze?

W myśl nowych przepisów moja renta została drastycznie zmniejszona, a koszty przeprowadzki i urzędzenia się w nowym miejscu są olbrzymie. Pieniądze zamierzam oddać mu ratami, w ciągu roku. Najpóźniej.

Z procentami?

Nie było mowy o procentach.

Wróćmy do Mayera. Kto z nim mieszka?

Jego żona, rodem z Pesztu, i najstarszy z trzech synów, który razem z ojcem pracuje w sklepie. Jest to sklep detaliczny, jak gdyby handel towarami kolonialnymi, ale ostatnio interesy nie idą najlepiej. Słyszałem to od samego Mayera. Skarżył się na trudności w zaopatrzeniu i niełojalną konkurencję. Podejrzewa, że wielu dawniejszych klientów unika jego sklepu wskutek listów z pogróżkami, jakie otrzymali od miejscowych władz.

Gdzie przebywają pozostali synowie pana Mayera?

Najmłodszy jest na froncie wschodnim. Nie pisał do nich już od miesiąca i spodziewają się najgorszego. Średni, z wykształcenia archeolog, przebywał gdzieś na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej, na terenie wykopalisk z czasów rzymsko-panońskich i został tam aresztowany pod zarzutem, jakoby chciał przejść przez granicę i przyłączyć się do ruchu konspiracyjnego. Jest to wiadomość niesprawdzona, przyniósł ją człowiek niezbyt godny zaufania, który nawet nie podał Mayerom nazwiska i żądał za tę informację wygórowanej sumy. Tak. Zapomniałem powiedzieć, że mieszka z nimi matka Mayera, na pół sparaliżowana i głucha, oraz subiekt czy służący, coś takiego, mężczyzna może pięćdziesięcioletni, który rąbie

im drzewo, pali w piecach i opiekuje się starszą panią. Jeżeli się nie mylę, na imię ma Alojz, jest to Słoweńiec z Murskiej Soboty. Pracuje u nich już ponad dwadzieścia lat. To chyba wszystko.

Znał pan przedtem synów Mayera?

Nie.

Skąd pan wie, że jeden z nich przebywał na wykopaliskach w wymienionym miejscu?

Tak mówił Mayer. Pokazał mi nawet przywiezioną przez syna figurkę z ceramiki, stojącą w szklanej gablocie, i twierdził, że to oryginał.

Proszę opisać tę figurkę.

Figurka z ceramiki, wysokości około dwudziestu centymetrów, przedstawia zranionego dzika. Tylna część jest uszkodzona, ale głowa i przednia część tułowia są dobrze zachowane. Dzik ten zapewne został zraniony, gdyż kłęczy na przednich nogach jak gdyby w przedśmiertnym skurczu, z głową nieco przekrzywioną i rozwartym pyskiem z potężnymi kłami. W tym skurczu zranionego zwierzęcia wyczuwa się raczej bezradność i nadchodzącą śmierć niż krwiożerczą siłę. Oczy wyrażają strach, niemalże ludzki, chociaż głowa jest tylko nieznacznie stylizowana.

Co się jeszcze znajduje w szklanej gablocie?

Posążek z drobnziarnistego białego marmuru przedstawiający Hermesa z małym Plutosem na ręku. Figurka ta, wysokości jakichś trzydziestu centymetrów, nie ma głowy i obu nóg do kolan. Hermes jest całkiem nagi, tylko przerzucona przez lewe ramię tkanina spływa mu na plecy i owija się wokół lewej ręki. W ręce, na której trzyma Plutosa, widać resztki kaduceusza. Ciężar ciała

spoczywał prawdopodobnie na prawej nodze. Mały Plutos też mocno ucierpiał: nie ma głowy, piersi, brzucha ani obu nóg aż do kolan. Dłonie boskiego dzieciątka i resztkę lewej nogi widać na piersiach Hermesa.

Dalej!

Posążek nagiego geniusza, wysokości około siedemdziesięciu centymetrów, również bardzo uszkodzony. Brak głowy i szyi, obu nóg do kolan i lewej ręki do ramienia. Długie skrzydła tylko nieznacznie uszkodzone. Prawa ręka, przylegająca do piersi, pozbawiona jest jedynie dłoni. Można przypuszczać, że ów geniusz był przedstawiony z wężem w ręku.

Dalej.

Kilka kolczyków z czasów rzymskich, monety Hadriana, fragmenty naczyń rytualnych, naczynia żydowskie, menora, wszystko to bez większej wartości, przynajmniej według opinii Mayera.

Pokazał pan fotografię syna?

Pokazał mi sporo fotografii z różnych okresów jego życia. Fotografie te znajdują się w dużym albumie z okutymi rogami, oprawnym w zielony aksamit.

Nie wydaje się panu, na podstawie fotografii, że spotkał pan już kiedyś tego człowieka, mianowicie młodego Mayera, archeologa?

Nie sądzę.

Jak on wygląda?

Wzrost średni, uwydatniający się brzuch, dolna szczęka wysunięta, szeroki mięsisty nos, krótko podstrzyżone, twarde włosy, okulary w metalowej oprawce, gęste brwi, krótkie ręce, dość niedbały sposób ubierania...

Chód?

Nie potrafię powiedzieć.

Od kiedy znają się pan Mayer i pański siostrzeniec Georges?

Nie wiem. Mayer mówił mi tylko, że już od dawna wymienia z Georgesem niektóre artykuły powszechnego użytku.

Jakie artykuły miał na myśli?

Nie wiem.

Zna pan niejaką panią Fischer z Nowego Sadu?

Tak.

Kiedy pan się z nią widział ostatnio?

Szesnastego lub siedemnastego marca tego roku, dzień czy dwa po moim przyjeździe do Nowego Sadu.

Po co pan jeździł do Nowego Sadu?

Żeby sprowadzić rzeczy, które tam zostały: dwie szafy i pościel.

Czym się zajmuje pani Fischer?

Do niedawna sprzedawała ręcznie tkane gobeliny, hafty, makatki z wzorami do szydełkowania i haftowania.

Powiedział pan „do niedawna”?

Tak. Teraz choruje i niedowidzi. Ostatnio przeżyła szok nerwowy.

Co jej się stało?

Nie wiem. Nie mówiła. O jej chorobie dowiedziałem się od dozorczyńni, która otworzyła mi bramę.

Proszę opisać pracownię pani Fischer.

Jest to mała pracownia w podwórzu, 3 na 2 metry, z oknem, które zapewne służyło kiedyś jako wystawa.

W szklanej gablotce, gdzie dawniej znajdowały się wzory, teraz wisiało wypisane ołówkiem chemicznym ogłoszenie o sprzedaży, na wyjątkowo dogodnych warunkach, kanapy, dwóch foteli, lustra, kredensu i piecyka. Okno było zasłonięte od wewnątrz niebieskim papierem pakowym i kocem, tak że w mieszkaniu panował półmrok, a pokój oświetlała jedynie świeca. Gdy wszedłem, pani Fischer zapaliła lampę naftową.

Co się znajduje w tym pokoju?

W kącie piec pomalowany srebrną farbą, pod oknem rozkładany stół, na którym leżą nożyczki, poduszeczka z igłami i ze szpilkami, wykroje z papieru, kolorowe gałganki, bawełna, jedwab, szpulki, wstążki, frędzle, koronki. Na stoliku do kart znajduje się druga lampa, niezapalona, talia wytartych hiszpańskich kart, resztki kartonowej rolki z kawałkiem kretonu. Na ścianach makatki płócienne z wyrysowanymi niebieską kreską scenami z życia mieszczańskiego: gospodyni unosi pokrywkę garnka, z którego bucha gorąca para, a mąż uśmiecha się, trzymając za plecami bukiet róż. Ten sam wzór powtarza się na wielu makatkach przypiętych do ścian pinezkami, rozpostartych na oparciach krzesel, na maszynie do szycia, wreszcie zastępujących serwetki na stołach.

Znał pan męża pani Fischer?

Tak. Był akwizytorem w Fabryce Wyrobów Szczołkarskich Weiss & Comp., a przy okazji sprzedawał gobeliny i makatki roboty swojej żony, czyli pani Fischer.

W jakim stosunku pozostawał pan ze wspomnianą firmą?

Byłem jednym ze współwłaścicieli. Po procesie, który wytoczył mi Weiss, straciłem cały kapitał włożony w ten interes.

Co wytwarzała fabryka?

Szczotki.

A poza tym?

Nic. Tylko szczotki i pędzle: murarskie, malarskie, toaletowe itp.

Co pan rozumie przez itp.?

Szczotki stalowe, zgrzebla, pędzle do golenia. Tak, i pędzle do golenia.

Czy rozmawiał pan z panią Fischer o Mayerach?

Nie. Nie przypominam sobie.

Czy istnieje inne wejście do pracowni prócz tego, o którym pan wspomniał?

Są tylko te jedne drzwi i otwierają się ledwie do połowy, bo przeszkadza otomana.

Proszę opisać otomanę.

Zwyczajna staroświecka otomana z oparciem, pokryta aksamitem, który kiedyś musiał być czerwony, ale teraz jest już całkiem wyliniały i poplamiony woskiem, spermą czy krwią. Pani Fischer rozpostarła na oparciu i na całej otomanie wspomniane makatki ze wzorami do wyszywania.

Dlaczego to zrobiła?

Dawid Fischer, jej mąż, odebrał sobie życie na tej otomanie. Ślad kuli, która przeszła jego czaszkę, do niedawna widać było na oparciu w postaci dużej dziury.

Czy widział pan w tym mieszkaniu jakieś męskie rzeczy? Pan mnie rozumie? Buty męskie, przybory do golenia, marynarkę, kapelusz i tym podobne?

Nie, nie widziałem nic podobnego.

Niech pan się zastanowi.

Na półce, za brudną płócienną zasłonką z tym samym wzorem wyrysowanym niebieską kreską, znajdowały się rzeczy, które warunkowo można by nazwać męskimi, nie tylko dlatego, że należały do pana Dawida, zmarłego męża pani Fischer, lecz także dlatego, że te przedmioty, powiedziałbym, z natury swej są męskie: bursztynowa cygarniczka, srebrna tabakierka i parę innych drobiazgów.

Nie pominął pan czegoś?

Było tam jeszcze kilka rzemyków, które mężczyźni podczas modlitwy zawiązują na czole i na rękach, zwitek Tory i narzędzia.

Jakie narzędzia?

Noże różnej wielkości, trochę już zardzewiałe, choć mam wrażenie, że pani Fischer je przechowuje troskliwie. Zawsze, gdy mi pokazywała te noże (robiła to podczas każdej mojej wizyty), przecierała je brudnym płótnem do wyszywania, chuchając na błyszczące stalowe ostrza.

Ile było tych noży?

Co najmniej dziesięć.

Do czego służyły?

Nieżyjący już Dawid Fischer był *sojchetem*, rzezakiem, swego rodzaju osobą duchowną, upoważnioną do zarzynania zwierząt jedzonych przez Żydów.

Czy któregoś z noży brakowało?

Nie potrafię powiedzieć.

Po co pani Fischer pokazywała panu te noże?

Była to, jak już wspomniałem, część niezmiennego rytuału podczas składanych jej wizyt. Pani Fischer

mianowicie odsłaniała tę półkę przy ludziach zaufanych, dawnych przyjaciółach jej męża, i w ten sposób włączała do rozmowy zmarłego Dawida. Stawiała przed półką dwa krzesła, podnosiła zasłonkę i zaczynała z panem rozmawiać. W pewnej chwili, trzymając w ręku burztynową cygarniczkę, srebrną tabakierkę lub wycierając szmatką noże, zwracała się nagle do Dawida, całkiem po prostu, jakby on tu był: prawda, Dawidzie? pamiętasz, Dawidzie? święta racja, Dawidzie.

Jest pan pewny, że zwracała się właśnie do niego, do zmarłego męża?

Najzupełniej.

Więc twierdzi pan, że były to noże rzeźnicze?

Tak.

A mówił pan przedtem, że pan Fischer był akwizytorem.

Akwizytorem był o wiele wcześniej. Zresztą, w pewnych warunkach, te dwa zawody wzajemnie się nie wykluczają.

Co znaczy: w pewnych warunkach?

Chciałem powiedzieć, w wyjątkowych warunkach. Ostatnio coraz trudniej jest znaleźć kogoś, kto mógłby pełnić powinność rzeźnika. Nie wystarczy bowiem być po prostu dobrym rzeźnikiem. A z drugiej strony, niełatwo się utrzymać z tej pracy. Coraz mniej jest tych, którzy zachowują stare obyczaje. Po śmierci pana Glessingera jedynym wchodzącym w rachubę kandydatem na *szo-cheta* był pan Fischer. Nie był on wprawdzie rzeźnikiem, miał jednak wszelkie inne walory: jako religijny, wierny starozakonny, przepisy talmudyczne umiał na pamięć

(nauczył się ich od swego ojca), a poza tym zajmował się wypychaniem ptaków, więc znał anatomię zwierząt.

Dlaczego przedtem pan nie powiedział, że pan Fischer wykonywał ten zawód?

Powiedziałem.

Powiedział pan, że był akwizytorem.

Myslałem, że tamto nie jest ważne.

Ostrzegam pana, wszystko jest ważne.

Ja właściwie...

Wróćmy do pańskiego siostrzeńca Georgesa. Wspomniał pan, że jesteście skłócenii.

Tak.

Ale mieszkacie pod jednym dachem...

Na własne życzenie, pragnąc się uniezależnić, odłączyłem się od gospodarstwa mojej siostry. Mieszkam, razem z rodziną, w tak zwanej przybudówce, po prostu w dawnej stajni.

Tak czy inaczej, zna pan zainteresowania Georgesa?

Jeżeli moje spostrzeżenia są słuszne, interesuje go wyłącznie sklep. Nie powiedziałbym, że odezwała się w nim prawdziwa żyłka kupiecka. Jego zainteresowanie drobnym zyskiem jest właściwie zabijaniem czasu, podobnie jak jest nim podwójna księgowość, ciągle przestawianie towarów na półkach, namiętne zbieranie i eksponowanie reklam rozmaitych artykułów, przede wszystkim zaś tych, których nigdy nie sprzedawał i prawdopodobnie nigdy nie będzie sprzedawał. Tak, poza tym rower. Myślę, że trzeba tu wspomnieć o rowerze specjalnie przystosowanym do jego sztywnej lewej nogi przez zdjęcie pedału...

Proszę mówić dalej.

O ile mi wiadomo, Georges nie miał żadnych przygód, chciałem powiedzieć, po linii kobiecej, chociaż kiedyś, mniej więcej przed dziesięć laty, istniała w Lendavie Dolnej pewna dama, o której mówiło się, że będzie jego przyszłą. Była to wdowa po tamtejszym kupcu, niejakim Bernfeldzie. Wiem o tym tylko z listu, który gdzieś w tym czasie napisała do mnie, do Nowego Sadu, siostra, czyli matka Georgesa. Ale jakoś nic z tego nie wyszło, przestało się o tym wspominać w listach. O ile mi wiadomo, Georges aż do czasu wojny regularnie odwiedzał na rowerze Lendavę Dolną. W jego pojęciu rower, jako nowoczesny środek transportu, zastąpił staroświecki powóz, którym jeździł jeszcze ojciec Georgesa.

Czy pański siostrzeniec poluje?

Od czasu, jak u nich mieszkam, raz jeden nie zjawił się w sklepie i powiedziano mi, że wczesnym rankiem poszedł na polowanie. Nie widziałem, jak wychodził, i nie dowiadywałem się, czy dopisało mu szczęście. Zresztą nie żywię się tym, co on upoluje. Osobiście nie należę do zwolenników polowania, można by nawet powiedzieć...

Wróćmy do pańskiego siostrzeńca.

Myszę, że to wszystko.

Gdzie trzyma strzelbę i jaka to strzelba?

Nigdy nie widziałem w domu strzelby, a ze sprzętu myśliwskiego — właśnie tego ranka, o którym wspominałem — widziałem tylko skórzaną ładownicę z kieszonkami na naboje, ale nabojów w kieszonkach nie było. Później znalazłem pod łóżkiem pusty, wystrzelony nabój, który przypuszczalnie upadł na podłogę, gdy Georges nabijał

luskę śrutem albo zakładał nowe kapiszony. Jeżeli chodzi o strzelbę, widziałem ją tylko raz, i to raczej z daleka, niewyraźnie. Mam krótki wzrok, a warunki atmosferyczne też nie były wtedy najlepsze. W czasie porannego spaceru spostrzegłem Georgesa pod lasem. Ze strzelbą w pogotowiu szedł śladem zwierzyny, prawdopodobnie zajęca. Schowałem się za pień dębu, nie chcąc się z nim spotkać, jako że nasze stosunki zaczęły się psuć od pierwszego dnia po moim przyjeździe. Dął wiatr i sywał śnieg, więc nie widziałem, jaka to strzelba, i w pierwszej chwili nie byłem nawet pewien, czy to strzelba, czy kij, którym Georges płoszy sroki. Dopiero później, gdy przeszedł koło mojego schronienia, przekonałem się, że to strzelba, najprawdopodobniej dubeltówka, bo usłyszałem dwa strzały, raz po razie, i chwilę później ujrzałem tragiczne skutki działania śrutu: z drzewa nad moją głową runęły na ziemię dwie niewinne wrony, można powiedzieć, spadły mi u nóg. Jestem pewien, iż zabił je tylko po to, aby mi pokazać, że strzelić to dla niego rzecz całkiem zwyczajna. Niewątpliwie dostrzegł mnie, zanim schowałem się za drzewem, i chciał w ten sposób nastraszyć, dokładnie mówiąc, ostrzec.

Jakiego śrutu używał?

Luska, którą znalazłem wówczas pod łóżkiem, była pusta, ale wrony zostały strasznie zmasakrowane, dosłownie rozniesione na strzępy. Mógł to być śrut na dziki albo i na niedźwiedzie.

Jest pan pewien, że to był pański siostrzeniec Georges? Tak, proszę pana.

Jest pan pewien, że strzelał?

Sądzę, że tak.

Na podstawie czego?

Na podstawie czasu, jaki upłynął między pojawieniem się Georgesa i dwoma strzałami oddanymi raz po razie.

Ile czasu mogło upłynąć?

Minuta — dwie.

Czy ten fakt, zdaniem pana, jest wystarczający dla wyciągnięcia wniosku, że strzały oddał właśnie Georges?

Nie widziałem innych myśliwych i napotkałem tylko jego ślady. Łatwo je poznać. Lewa, sztywna noga w ortopedycznym bucie zostawia charakterystyczny ślad, przypominający odcisk żelazka. Poza tym wrony były rozerwane na kawałki, co wygląda mi na dzieło Georgesa.

Jakie przekonania polityczne ma pański siostrzeniec? Konserwatywne.

Co pan przez to rozumie?

Za żadne skarby nie unowocześniłby swojego sklepu i nie rozszerzył listy klasycznych artykułów sprzedaży detalicznej, jak nafta, cukier, pasta do obuwia (w dwóch kolorach), sznurowadła do butów (dwie długości), świece, lepy, tanie cukierki itd. Myśli, że przez wprowadzenie innych artykułów, na przykład mydła toaletowego, wody kolońskiej czy nawet pasów elektrycznych, mógłby wzbudzić podejrzenia chłopów i władz. Poza tym boi się, że chłopowie obwołaliby go modernistą i pornografem, wrogiem patriarchalnych obyczajów. Ja natomiast sądzę i dawno mu już powiedziałem, że wszystko to wypływa z jego własnych przekonań. To on tak myśli, a nie chłopie.

Jakie są jego poglądy polityczne? Rozumie pan moje pytanie?

W dziedzinie polityki Georges jest kompletnym ignorantem. Polityka według niego to sprawa, na którą człowiek nie może mieć wpływu, coś w rodzaju zjawiska przyrody, gromu lub zamieci, a więc pozostająca poza sferą jego zainteresowań. Logika Georgesa jest prostacka i przerażająca w swoim prostactwie: polityka jako taka to dla niego pojęcie niezgłębione i niebezpieczne, rzecz sama przez się niebezpieczna, rzekłbym, zaraźliwa, coś w rodzaju dżumy. Jeżeli jej nie tykasz, i ona cię nie tknie. Groźbę zarażenia sprowadza się w ten sposób do minimum, trzeba tylko wzorem hipochondryków i ginekologów jak najczęściej myć ręce, a wówczas można spokojnie popijać swój sok malinowy. Georges boi się dziś jedynie samolotów alianckich przelatujących nad wsią, i to nie dlatego, że mogłyby ją zbombardować (bo wie, że bomby k o s z t u j ą, więc nie zrzuca się ich byle gdzie), ale obawia się, że jakiś uszkodzony samolot, z konieczności, dla zmniejszenia ciężaru, zrzuci bomby na chybił trafił albo spadną „same, chociaż nikt ich nie ruszał”, i zrzuceniem przypadkiem, zrządzeniem Opatrzności zburzą jego sklep, rozniosą cukier w kostkach na cztery strony świata. Co do mnie, pierwszego dnia po przyjeździe na wieś oświadczyłem kategorycznie, że nie chcę z Georgesem rozmawiać o polityce, bo dla mnie polityka nie jest sprawą przesądów. Powiedziałem mu też, że bardziej zrozumiałe i godne przyjęcia są rozważania polityczne woźnicy niż brednie mojego siostrzeńca o bombach, które spadają z nieba prosto na jego sklep i jego cukier puder.

Co sprzedaje pański siostrzeniec oprócz cukru?

Powiedziałem już: sól, tanie cukierki, lepy, pastę i tłuszcz do obuwia, sznurowadła, dziegieć, świece, naftę, szkła do lamp naftowych, mydło toaletowe, perkale, wstążki, knoty, towary lokciowe. Myślę, że to wszystko.

Nie pominął pan czegoś?

To, co wyliczyłem, na pewno stanowi dziś inwentarz jego sklepu. Może nawet przesadziłem cokolwiek. Powiedziałem „mydło toaletowe”, a chodzi o zwyczajne mydło domowego wyrobu, z odpadków zwierzęcych. Georges kupił je od chłopca, licząc się z możliwością, że ktoś zapyta w sklepie o mydło, jakiś mieszczanin, oficer czy podróżny. Skłonny jestem zresztą wierzyć, że na był to śmierdzące mydło po to, aby je sprzedać mnie. Poza tym nie widzę dziś na wsi nikogo, kto by kupował mydło.

Czy przed wojną Georges miał więcej towarów?

Przez jakiś czas miał w sklepie wyroby firmy Mepol z Vrbasu, Metal-Politura-Szlonski & Strauss. Gdzieś w roku 1925 napisał do mnie z prośbą, abym udał się do wspomnianej firmy w jego sprawie. Chciał uzyskać zwolnienie ze sprzedaży artykułów, na które nie mógł znaleźć nabywców, a zobowiązany był je sprzedawać na podstawie umowy, nie pamiętam już, ustnej czy pisemnej. Georges miał nadzieję, że niektóre z tych artykułów uda mu się upłynnić wśród chłopów i okolicznych bogaczy, ponieważ rozeszły się wieści, że w najbliższych latach tereny te zostaną zelektryfikowane. Jednakże, jak panu oczywiście wiadomo, ów projekt upadł i po dziś dzień nie doprowadzono do wsi prądu.

O jakie artykuły chodziło?

Według informacji pana Gluszaca, który jako jedyny przedstawiciel prawny Mepolu poinformował mnie o interesach tej firmy, chodziło o ręcznie wyrabiane przedmioty z kauczuku i bakelitu: obudowy aparatów telefonicznych, opakowania leków, cukiernice, wyłączniki prądu, rozmaite izolatory, „miękkie blachy”, płytki do wykładania łazienek, jak również grzebienie, maszyny do golenia, pędzle, lusterka, ramki do fotografii i inne towary jarmarczne, na których nie wytłaczano nawet firmy, tylko od ręki sprzedawano te artykuły Cyganom, przekupniom i właścicielom małych wiejskich sklepików, takim jak Georges. Mój siostrzeniec poprosił więc, abym interweniował w tej firmie i załatwił w jego imieniu umowę, która by zmieniła dotychczasowy układ. Chciał, aby nie przysyłano mu już wyrobów ze znakiem firmowym, gdyż — z wyjątkiem cygarniczek — nie budzą one zainteresowania nabywców, tylko towary z drugiej serii, czyli galanterię straganową, grzebienie, spinki, lusterka, ramki, pędzle i kauczukowe szpilki do włosów.

Czy pański siostrzeniec nadal współpracuje z rzezoną firmą?

Jak powiadomił mnie wspomniany pan Gluszac, firma Szlonski & Strauss przestała istnieć w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, kiedy to pan Avigdor Strauss wyemigrował do Erec* Izrael. Z jego odejściem firma straciła znaczenie i przez jakiś czas jeszcze wyprzedawała tylko zapasy towarów jarmarcznych. Gdy

Erec (hebr.) — ziemia (przyp. tłum.).

zwróciłem się w sprawie Georgesa, firma Mepol była już właściwie w likwidacji. Georges natomiast przekonał się jeszcze raz, raz na zawsze, że rozszerzanie listy towarów jest ryzykowne i w związku z tym niewskazane.

Co się stało ze Szlonskim?

Szlonski także znalazł się w Palestynie, co potwierdził sam pan Głuszac. Nie wiadomo natomiast, czy nasz Szlonski to ów znany poeta Abraham Szlonski, autor *Chaosu kamieni*, czy też są to dwie różne osoby. Niezyskujący już Paja Schwarz twierdził, że to ten sam Szlonski, i powołał się na list swojego kuzyna Feuersteina, który pisał, że Szlonski zdobył światową sławę i ponoć dopływa o przyjaciół z Vrbasu i Nowego Sadu, a konkretnie o Herza Schwarza, jak nazywano zmarłego Paję.

Kto to jest Feuerstein?

Feuerstein też jest pisarzem, a pochodzi gdzieś z nasyżych okolic. Znalazł się w Izraelu mniej więcej w tym samym czasie co Szlonski i często wymienia się ich razem, jako przedstawicieli tej samej szkoły. Książki ogłasza pod nazwiskiem Avigdor Hammeiri. Więcej o nim mógłby panu powiedzieć nieboszczyk Paja Schwarz, którego, jak wspomniałem, łączyły więzy pokrewieństwa z Feuersteinem, *alias* Avigdorem Hammeiri. Korespondował z nim po węgiersku i po hebrajsku, gdyż zmarły Herz Schwarz uczył się hebrajskiego i dość dobrze już władał tym językiem.

Czy załatwił pan dla Georgesa jakieś inne sprawy?

W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, podczas mojej podróży do Triestu, a następnie do Kotoru i Cetinja, Georges prosił w liście, abym dał mu znać,

jakie są ceny owoców południowych i możliwości ich przewozu. Chciał mianowicie wciągnąć mnie do swego rodzaju spółki, jako że sugestia o handlu owocami południowymi wyszła ode mnie. Nie występowałem jednak w tej sprawie jako ewentualny współnik, tylko po prostu wspomniałem w liście, że Georges mógłby sprzedawać suszone figi i granaty, a ja dałbym mu adresy i polecił go pewnym kupcom. Georges na to zaproponował mi w liście, żebym ja się zajął zaopatrzeniem i transportem, naturalnie przy współudziale finansowym, a on by prowadził sprzedaż, co oznacza, że miałbym ponosić całe ryzyko tego interesu. Na list nigdy nie odpowiedziałem, bo z jednej strony nie chciałem się w to wdawać, a z drugiej, szczerze mówiąc, nie brałem propozycji Georgesa poważnie. Skoro bowiem zamierzał sprzedawać drogie owoce południowe wyłącznie chłopom, to całe przedsięwzięcie było absolutnie chybione. Miałem ochotę napisać, że przywiozę mu koszyk suszonych fig, pomarańczy i w ten sposób zaopatrzę go co najmniej na kilka sezonów. Napisałem nawet taki list, ale w końcu go nie wysłałem: Georges nie ma ani umiejętności przenikania tajemnic handlu, ani poczucia humoru. Stanowi on typowy okaz staroświeckiego sefardyjskiego kramarza i powiedziałbym, że nawet ten sklepik to dla niego za wielki luksus. Jestem głęboko przekonany, że powinien chodzić z ruchomą ladą zawieszoną na szyi, sprzedawać lusterka i gumę arabską na jarmarkach albo handlować pierzem jak jego dziadek.

Czy istnieją jeszcze inne dowody, że przed wojną Georges miał więcej towarów niż dzisiaj?

Do dziś pozostały w sklepie napisy na pustych szufladach i blaszanych pudełkach: ryż, wanilia, pieprz, liście bobkowe, cynamon. Ale nie twierdzą, że w szufladach były właśnie te artykuły. Według słów mojej siostry, Georges sprzedawał też gwoździe, druty, sznury, śrubki, garnki, rondle, patelnie, nakrycia stołowe oraz papier, tytoń, znaczki skarbowe, atrament, stalówki, obsadki.

Czy handlował sprzętem myśliwskim?

Nie wiem.

Czy pański siostrzeniec zna panią Fischer?

Nie. Nie zna.

A znał pana Fischera?

Myślę, że nie. W każdym razie nigdy mi o tym nie mówił, nawet nie wspominał. Poza tym Georges, jak powiedziałem, rzadko opuszczał swój sklep. Jeździł na rowerze tylko do Murskiej Soboty, Nagykanizsy i Lendavy, nie wydaje się więc prawdopodobne, że bywał w Nowym Sadzie.

Co pan robił w Nowym Sadzie poza odwiedzeniem pani Fischer?

Mówiłem już, nadałem meble na bagaż: dwie szafy z pościelą i nakryciami stołowymi, które, pozwolę sobie wspomnieć, jeszcze nie nadeszły. Poza tym odwiedziłem starego przyjaciela, pana Gawanskiego.

Kim jest Gawanski?

Znamy się z czasów, kiedy po raz pierwszy pracowałem w Nowym Sadzie. Pomógł mi wtedy znaleźć mieszkanie i kupić meble. Nie stać mnie było na kupno nowych mebli i właśnie dzięki Gawanskiemu, który pracował wówczas jako agent handlowy, udało mi się nabyć stare

meble w zupełnie dobrym stanie, i to za przyzwoitą cenę. Gawanski był również moim żyrantem...

Proszę mówić dalej.

Pozналиśmy się u Bośniaka. Była to dość przyzwoita knajpa w pobliżu dworca, a właściwie biura kolei, gdzie wówczas bywałem często, ponieważ dostałem od nich pewną płatną robotę. Któregoś dnia popiliśmy tam nieźle, a później pojechaliśmy do niego dorożką. Gawanski miał bowiem w piwnicy sporo wina w butelkach.

Czym się zajmował?

Powiedziałem już, był agentem jakiejś firmy handlowej, a zajmował się sprzedażą ziemi i nieruchomości.

Ma rodzinę?

Żonę i córkę, ale jest chyba ze wszystkimi skłócony. Właściwie sam sobie gotuje, twierdząc, że sposób, w jaki gotuje jego żona, szkodzi mu w związku z nadciśnieniem, a ona z kolei nie chce zrezygnować ze swoich nawyków. Gawanski mianowicie od wczesnej młodości jest wegetarianinem, całymi latami jadał tylko jarzyny i owoce. Ostatnio jednak chyba odstąpił od swoich roślinożerczych zasad i ukradkiem dobiera się nawet do słoniny, spożywając ją z dużą ilością cebuli, jak gdyby sam siebie nabierał.

A jego córka?

Jego córka ma dwadzieścia cztery lata. Zareczyła się z kupcem, niejakim Fekete z Czantaviru. Nie miałem okazji poznać go osobiście, ale zdaje się, że Gawanski nie jest zachwycony tym związkiem.

Z jakich powodów?

Nie potrafiłbym powiedzieć. On sam niechętnie o tym mówi, więc nie chciałem go pytać.

Jakie stosunki łączą Gawanskiego z panią Fischer?

O ile mi wiadomo, w ogóle jej nie zna.

Czy Gawanski często podróżuje?

Myślę, że od lat nigdzie nie wyjeżdżał. Boi się każdego ruchu, nawet w domu, i przykuty jest do fotela jak do wózka inwalidzkiego. Przy jakiejś okazji powiedziałem prosto z mostu, że właśnie przez to puchną mu nogi i stąd też jego niezdrowa otyłość.

Czy podczas pańskiej wizyty był ktoś jeszcze w tym mieszkaniu?

Prócz Gawanskiego i jego żony nie było nikogo.

Gdzie była panna Gawanska?

Powiedziano mi, że wyjechała z narzeczonym.

Dokąd?

Tego nie wiem.

Więc jej narzeczony jest kupcem?

Tak, kupcem czy komiwojażerem... Tak mi powiedziano.

Czym handluje pan Fekete?

Nie wiem. Nie było o tym mowy.

Może pan sobie jednak przypomni.

Nie było o tym mowy.

Kiedy pan wyszedł od Gawanskiego?

Zostałem u niego na noc.

Dlaczego?

Gawanski powiedział, że zbliża się godzina policyjna i nie ma sensu się szwendać.

Jak długo przebywał pan pod jego dachem?

Jedną noc.

Dokąd następnie pan się udał?

Wziąłem doróżkę...

Gdzie?

Przy ulicy Jean-Louis Barthou.

A do tego miejsca szedł pan pieszo?

Tak.

Więc potrzebował pan dwóch godzin na przejście z Wybrzeża Kolejowego do ulicy Jean-Louis Barthou?

Racja. Wstąpiłem do parocha.

W jakim celu?

Po świadectwa chrztu dla członków mojej rodziny.

Ile pan za nie zapłacił?

Kupiłem tylko znaczki stemplowe...

Sprawdzimy to.

Po dwa pengö za każdy wypis z ksiąg metrykalnych.

Wstępował pan do cerkwi?

Nie.

A świadectwa wydał paroch?

Tak.

To znaczy gdzie? W swoim mieszkaniu?

Tak.

Kto pana do niego skierował?

Kancelaria gminy cerkiewnej.

Znał go pan przedtem?

Nie.

Więc jak pan do niego trafił?

W kancelarii gminy cerkiewnej zastałem urzędnika, którego nazwisko nie jest mi wiadome. Był on bardzo powściągliwy. Powiedział, że ostatnimi czasy dużo jest takich spraw, gdyż niejeden chciałby dla członków rodziny uzyskać fałszywe papiery. Zazaczyłem, że moja sprawa

nie zalicza się do takich i chce po prostu legalną drogą uzyskać wspomniane dokumenty. Wtedy ów człowiek skierował mnie do parocha.

Podczas jednej z naszych wcześniejszych rozmów, podam panu dokładną datę... o, dwudziestego ósmego marca, a więc nie tak dawno, oświadczył pan dosłownie (cytuję): „Moja siostrzenica Rebeka, obecnie Maria, uczy się katechizmu pod okiem młodego popa. Sądzę, że zmiana wyznania jest w tym wypadku raczej następstwem potrzeby pewnej prostytucji duchowej niż świadomym aktem wynikającym z przekonania”.

Tak, prawda.

Cytuję dalej: „Żadna religia nie jest doskonała, nie ma zatem powodu, aby człowiek zmieniał wyznanie. Jedyną religią jest wiara w Boga”.

Tak. Nadal tak uważam.

Jeżeli dobrze się rozumiemy, nie zamierza pan pójść w ślady swojej siostrzenicy, która bierze lekcje katechizmu?

Nie zamierzam.

Jak należy tłumaczyć fakt, że był pan w gminie cerkiewnej, a nie poszedł do synagogi?

Przedtem też nie chodziłem do synagogi i nie miałem nawet dobrych stosunków z rabinem.

Widział się pan z kimś jeszcze poza wyżej wymienionymi osobami?

Myślę, że wyliczyłem wszystkie prywatne spotkania. A więc miał pan również spotkania oficjalne?

Poza sprawą, jaką załatwiłem u parocha, oficjalną może na by też nazwać rozmowę w biurze kolei.

O co chodziło?

O moją rentę.

Z kim pan o tym rozmawiał?

Z panem Lauferem. Andrija Laufer.

Kto to jest Laufer?

Urzędnik w biurze kolei. Kiedyś pracowaliśmy razem na stacji Szid, w czasach gdy był jeszcze praktykantem.

Jaką pełni funkcję?

Doszedł tylko do dyżurnego ruchu. Teraz zdegradowano go do funkcji sekretarza czy coś w tym rodzaju. Tak czy owak, jeszcze pracuje, ale spodziewa się, że lada chwila mogą go wyrzucić.

Czy to nie dziwne, że on wciąż jeszcze pracuje na tak odpowiedzialnym miejscu?

Nie trzeba zapominać, że pan Laufer zmienił wyznanie i jest mahometaninem. Jego oficjalne nazwisko brzmi Alija Latific, ale zawsze nazywaliśmy go po staremu, czyli Andrija. Gdzieś w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ożenił się z pewną muzułmanką z Sarajewa i wtedy przeszedł na islam. Sądzę, że zrobił to bez specjalnego nalegania jej rodziny, chciałem powiedzieć, z miłości. Kiedy jego żona umarła w parę lat po ślubie, Andrija, czy Alija, stał się jak gdyby świeckim derwiszem: studiował Koran i uczył się arabskiego. Myślę, że w duchu nosił się z zamiarem wyjazdu do Palestyny, ale nie znalazł sił, by wyjechać. Nie mógł oddalić się od miejsca wiecznego spoczynku żony i żył w przekonaniu, że na tamtym świecie będzie mógł się z nią potkać tylko na łonie wiary Mahometa.

Proszę się skracać.

Tego rodzaju zmiana wyznania jest również aktem wiary: miłość to emanacja Boga.

O czym rozmawialiście?

Laufer pracuje z dwoma innymi urzędnikami i nie chciał w ich obecności rozmawiać ze mną prywatnie. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że mnie nie poznał, ale gdy powiedziałem swoje nazwisko, stało się dla mnie jasne, że po prostu udaje. Tak więc cała nasza rozmowa sprowadziła się do sprawy służbowej. Spytałem go o losy odwołania, które złożyłem w związku z decyzją zmniejszenia mi renty. Odnalazł ów dokument i na skrawku papieru napisał mi numer sprawy. Wreszcie powiedział, żebym za jakiś miesiąc zwrócił się do nich na piśmie, i wyraził nadzieję, że do tej pory sprawa zostanie rozpatrzona.

Gdzie siedzieli dwaj pozostali urzędnicy?

Młodszy, w cywilnym ubraniu, siedział dokładnie na przeciw Andriji i coś pisał albo udawał, że pisze. Drugi, mniej więcej w wieku Andriji, siedział na prawo od niego, za tym samym dużym stołem... właściwie są to dwa duże biurowe stoły, złączone i nakryte niebieskim papierem pakowym. Ten drugi, łysiejący urzędnik, miał, podobnie jak Andrija, spłowiełą kolejarzką kurtkę, a na rękawach odznaczały się jeszcze miejsca, gdzie kiedyś były naszywki. Jadł kromkę chleba ze smalcem i z papryką. Myślę, że był tym bardzo zajęty i nie zwracał na nas uwagi. Nie jestem pewien, czy w ogóle spostrzegł moje wejście do biura. W pewnej chwili odwrócił się bokiem, prawie plecami do mnie, i już nie widziałem jego twarzy. Grzebał w szufladzie, chcąc chyba znaleźć

papier, w który mógłby wytrzeć zatłuszczone palce. Jakis czas jeszcze cmokał i wysysał okruchy spomiędzy zębów.

Czy z miejsca, na którym siedzi Andrija Laufer, widać stację?

Andrija odwrócony jest plecami do okna wychodzącego na stację. Światło na jego stół pada z okna po prawej stronie, przez które widać jakiś mur. Jest to chyba ściana składu czy silosu.

A z miejsca, na którym pan siedział, widać stację?

Widać tylko zwrotnice i perony, poza tym metalowy kadłub pompy i nieco dalej wagę towarową. Pompa owinięta jest warkoczem słomy. Stacja znajduje się o wiele dalej, jakieś pięćset metrów w prawo.

Zna pan nawet tę odległość?

Kiedyś pracowałem na stacji i odległość pomiędzy pompą a budynkiem dworca przebywałem kilka razy dziennie, czasem pieszo, czasem drezyną.

Dlaczego drezyną?

Musiałem często jeździć do parowozowni, do nastawni zwrotnic, do warsztatów remontowych, a z nadzorcą torów lub z głównym mechanikiem jeździłem z samego rana na inspekcję.

Kto jest głównym mechanikiem?

To się zmieniło. Ostatnio był Słowak nazwiskiem Chalupka. Nie wiem, kto jest teraz.

Czy do swojego *Rozkładu jazdy* w roku 1938 musiał pan robić plan stacji kolejowej?

Nie, proszę pana.

A potrafiłby pan zrobić taki plan z pamięci?

Może, ale tylko w przybliżeniu, jeżeli tymczasem coś się nie zmieniło.

Czy uczestniczył pan w hufcach pracy?

Od stycznia czterdziestego pierwszego roku, mimo zaświadczenia o złym stanie fizycznym i umysłowym, pracowałem przy budowie nasypu i na cegielni.

A więc zna pan technikę kładzenia szyn?

Zatrudniony byłem przy robotach ziemnych, to znaczy przy samym nasypie. Szyny chyba kładli inni. Nie wiem. Zresztą nie wierzę, że ktoś kładł szyny na tych nasypach.

Co pan chce przez to powiedzieć?

Nasypy były robione niefachowo, bez badania gruntu i bez żadnych planów. Jestem pewien, że dziś już nawet nie istnieją.

Proszę opowiedzieć o tym szerzej.

W hufcu pracy było razem ze mną kilku inżynierów, jak choćby Ofner... Powiedzieli mi, że pierwszy deszcz podmyje nasypy i zetrze je z oblicza ziemi.

Kto to jest Ofner?

Mówiłem już, inżynier. Poznałem go w hufcu pracy.

Zna pan jego obecny adres?

Słyszałem, że został zabity.

Powiedział pan, że w hufcu pracy było więcej specjalistów.

Prócz Ofnera było jeszcze kilku inżynierów różnych specjalności, na przykład Pollak czy Herz, oraz kilku mierniczych i geologów, jak Weiss czy jeden z braci Krausów, chyba starszy. Wszyscy oni uważali, że nasyp dotrwa tylko do pierwszego deszczu, co się zresztą sprawdziło.

Dlaczego nie wykorzystali swojej wiedzy fachowej?

Strażnicy nie pozwalali im się mieszać. Kiedyś, na samym początku, Ofner zwrócił uwagę komendantowi straży, że wszystko to się robi bardzo niefachowo i że nasyp długo się nie utrzyma, na co tamten smagnął go pejczem po twarzy, twierdząc, że Ofner chce się wykręcić od roboty. Było jeszcze kilka prób przekonania strażników o potrzebie założenia czegoś w rodzaju biura terenowego, w którym by dokonano fachowych obliczeń, pomiarów geologicznych i sporządzono dokładny, precyzyjny plan, ale żadna z tych prób nie dała wyniku. Do grupy inżynierskiej mieli wejść wszyscy specjaliści, a jak mówiłem, w hufcach pracy było ich kilku: wspomniany Ofner, bracia Kraus, Pollak i Herz, czyli Paja Schwarz. Plany opracowaliby w domu, aby nie padło na nich podejrzenie, że wykręcają się od roboty, a w terenie odrobiliby swoje. Na tę propozycję, przedstawioną przez nieboszczyka Schwarza, strażnicy rzucili się na nich z kijami i pejczami, krzycząc, że grupa inżynierska zamierzała sporządzić plany stacji i obiektów wojskowych, lotniska i poligonu, jak też stanowisk artylerii przeciwlotniczej, aby dostarczyć je obcemu wywiadowi. To była ostatnia próba zrobienia czegoś z tymi nasypami.

Jak pan tłumaczy troskę Ofnera i innych o nasyp?

Sądzę, że im, fachowcom, było szczególnie ciężko wykonywać daremną robotę. Nie mówiąc o upokorzeniu.

Czy podczas ostatniego pobytu w Nowym Sadzie spotkał pan może kogoś z grupy inżynierskiej?

O ile mi wiadomo, z tych ludzi żyją dziś tylko Pollak i jeden z braci Krausów. Ale i z nimi się nie widziałem.

Pollak jest w więzieniu, a młodszego Krausa wpisano na listę zaginionych.

Co się stało z innymi?

Zostali zabici podczas starcia ze strażnikami albo później. A Paja, czyli Schwarz, powiesił się w chłodni. Wszyscy naokoło, łącznie z jego żoną, przez dłuższy czas myśleli, że uciekł za granicę, utopił się w Dunaju czy coś takiego, aż tu znaleziono go w chłodni: ludzkie mięso.

Kto panu dostarczył tych informacji?

Usłyszałem o wypadku tego samego dnia, gdy Paję znaleziono w chłodni, a później pisały o tym gazety. Zdaniem „Völkischer Beobachter” chodziło o bankructwo i jakieś brudne sprawy, w które Schwarz był rzekomo zamieszany. „Der Stürmer” zamieścił sensacyjnie zabarwiony artykuł, z którego wynikało, że w kielbasach Schwarza znaleziono kawałki mięsa ludzkiego, co poświadczył niejaki Malmos, weterynarz z Czurugu. „Der Stürmer” podał, że jako materiał dowodowy posłużył kawałek kielbasy, co do którego fachowo i niezbiecie stwierdzono, że zawiera (cytuję z pamięci) „część opuszek palców z przyrośniętą zrogowaciałą masą wielkości tyłu a tyłu milimetrów, co do której również fachowo i niezbiecie stwierdzono, że jest identyczna z paznokciem człowieka, w danym wypadku dziecka w wieku od ośmiu do dwunastu miesięcy”. Wszystko to oczywiście było wymysłem nawiązującym do zawodu ojca Paji, starego Schwarza, rzeźnika. Straciwszy pracę, Paja zastąpił ojca w sklepie, stary Schwarz bowiem całkowicie oslepl.

Kto dostarczył panu informacji o innych członkach grupy inżynierskiej?

O Pollaku opowiedziała mi pani Fischer, że po odcięciu narządów płciowych w stanie nieprzytomnym przewieziono go do szpitala więziennego.

Od kogo to słyszała?

Jej mąż przed popełnieniem samobójstwa przebywał razem z Pollakiem w areszcie śledczym w Żółtym Domu, a następnie w tak zwanym Tunelu.

Kraus?

O Krausie dowiedziałem się od jego żony.

Gdzie i kiedy pan ją spotkał?

Przed wyjazdem z Nowego Sadu, a więc w końcu lutego lub na początku marca. Spotkaliśmy się w ratuszu, dokąd wezwano nas dla sprawdzenia dokumentów. Powiedziała mi wtedy, że jej mąż, czyli Kraus młodszy, znajduje się na liście zaginionych.

Co jeszcze przy tej okazji mówiła o swoim mężu?

Nic więcej.

Jak pan rozumie określenie „na liście zaginionych”? Przepuszczam, że został wywieziony albo utopił się w Dunaju.

Ofner?

Już mówiłem, zabito go. O jego losie powiedział mi Béla Sternberg na parę dni przed popełnieniem samobójstwa.

Czyli praktycznie jest pan jedynym pozostałym przy życiu członkiem byłej grupy inżynierskiej.

Nie należałem do tej grupy. Tworzyli ją, jak mówiłem, tylko inżynierowie, architekci, geolodzy, geometrzy i ludzie podobnych zawodów. Ja byłem po prostu w hufcu, w którego skład wchodziła również tak zwana grupa inżynierska.

To znaczy pracował pan razem z nimi?

mężczyzn. Przypuszczam, że przyszedli z innych wsi, z Bakszy albo z Csesztregu.

Kim jest Tóth?

Znam go stąd, że któreś nocy przyszedł pod nasze okno uzbrojony w fuzję i groził, że wszystkich nas zabije. Zapewne był pijany. Wystrzelił kilka nabożów w powietrze, po czym sołtys i jacyś chłopci zabrali go do domu. Również przy spotkaniu, o którym wspominałem, rzucał obelgi i nabijał fuzję, chcąc mnie zastraszyć.

Jak panu ubliżał?

Szczał na mnie psy i myśliwych. Powiedział głośno, tak abym słyszał, że zaraz wystrzelą nabój ze śrutem numer dziewięć do hieny (powiedział też jakiej), a obowiązkiem pozostałych myśliwych jest poświadczyc, że strzelał do hieny. Wiedziałem jednak, że to tylko pogrożki, bo gdyby zamierzał mnie zabić, toby strzelił, a nie gadał tyle. Od tej pory unikałem miejsc, w których mógłbym się natknąć na myśliwych, jeżeli w ogóle można uniknąć takich miejsc. Nie oddalałem się od drogi i nie wchodziłem w głąb lasu. Psy na szczęście wytopiły jakieś ślady i pognały w gestwinę, tak że tym razem mi się udało.

Czy spotkał pan jeszcze kogoś podczas swoich spacerów po lesie?

Nikogo.

Kłusowników na przykład...

Nie, proszę pana. Nie spotkałem kłusowników.

A Georges spotykał pan poprzednio w lesie?

Nie. Tylko wtedy.

Czy Georges często chodzi na polowanie?

O ile mi wiadomo, wtedy był po raz pierwszy. Sam

się zdziwiłem na jego widok. Poza tym zawsze przesiaduje w sklepie, bo nie lubi go powierzać nikomu, nawet własnej matce.

Czy wiadomego dnia przyniósł do domu jakąś zwierzynę?

Nie wiem. Nie bardzo mnie to interesowało.

Widział pan, kiedy Georges wrócił?

Owszem, widziałem. Około drugiej po południu.

Miał coś w rękę?

Nie wiem. Na ramieniu miał starą myśliwską torbę, która należała jeszcze do nieboszczyka dziadka, ale nie potrafiłbym panu powiedzieć, czy przyniósł w niej coś, czy nie. Nawet gdyby była wypchana, nie powiedziałbym, że Georges wrócił ze zwierzyną.

Dlaczego?

Przypuszczam, że byłby zdolny napchać torbę śniegiem, chrustem, wszystko jedno czym, byle zagrać przede mną myśliwego.

To znaczy torba była pełna?

Z powodu zadybki nie widziałem dokładnie. Georges szedł wzdłuż ogrodzenia z siatką, a potem nagle zniknął w domu. Torbę niósł na prawym ramieniu, ale nie wiem, czy pełną, czy pustą.

Jaka jest odległość pomiędzy pana oknem a siatką?

Ze dwadzieścia metrów... Może mniej.

Czy tego dnia w lesie natrafił pan jeszcze na inne ślady?

Tylko na ślady Georges. Jak powiedziałem, jego but ortopedyczny zostawia na śniegu wyraźny odcisk, jakby ślad żelazka.

A przedtem?

Czasami natrafiałem na ludzkie ślady, ale starałem się ich unikać. Zawsze wolałem iść śladem zwierząt i ptaków niż śladem ludzi.

Czego pan się obawiał?

Ponownego spotkania z Tóthem lub kimś jemu podobnym, a także możliwości, że jakiś myśliwy bodaj przypadkowo poczęstuje mnie śrutem, myśląc, że to zwierzyna. A najbardziej bałem się, żeby mnie nie rozszarpały psy myśliwskie.

Czy Georges potrafi się obchodzić z aparatami?

Nie rozumiem.

Mówił pan, że zajmował się sprzedażą artykułów technicznych firmy Mepol. Między innymi wymienił pan aparaty telefoniczne...

Były to tylko obudowy aparatów, bakelitowe skorupy, wykonane nader prymitywnie. Te wyroby firmy Szlonski & Strauss kupowali jedynie ignoranci i głupcy w rodzaju Georgesa. O ile mi wiadomo, wziął on od wspomnianej firmy jakieś pięć sztuk, a jedną jedyną udało mu się sprzedać, właściwie wepchnąć nieszczęsnemu komiwojażerowi z Pécsu, który, jak sądzę, do dzisiejszego dnia nie zdołał pozbyć się tego szmelcu.

A pozostałe cztery sztuki?

Gdzieś w trzydziestym dziewiątym lub czterdziestym Georges wysłał je pocztą na adres firmy Mepol, paczka jednak nigdy nie dotarła do adresata, ponieważ, jak mówiłem, firma ta już dawno przestała istnieć. Po wielu reklamacjach zawiadomiono go, że firma Mepol została zlikwidowana, ale przesyłki mu nie zwrócono. Kilkakrotnie

pisał do mnie wówczas do Nowego Sadu, prosząc, abym mu jakoś załatwił wynagrodzenie za poniesioną szkodę, ale odpowiedziałem, że jedyna szkoda to tracenie czasu na takie głupstwa. Napisałem mu nawet, że więcej kosztują znaczki na jego poleconym liście niż te skorupy, i zdaje się, że wtedy nareszcie dał spokój. Przynajmniej mnie już więcej nie nudził. Czy dalej spierał się z pocztą względnie z widmem firmy Szlonski & Strauss, nie wiem. Nie sądzę. Myślę, że mój list otworzył mu oczy i w końcu pojął, że nie tylko stracił na zawsze swoje obudowy, ale że cały ten interes od samego początku oznaczał marnowanie czasu i pieniędzy.

Kim był ów komiwojażer, który wziął od Georgesa jedną obudowę?

Wiem tylko tyle, że pochodził z Pécsu. Powiedział mi to w swoim czasie Georges.

Widział pan tego człowieka?

Nigdy go nie widziałem i sądzę, że wszystko to było wymysłem Georgesa, to znaczy komiwojażer z Pécsu i sprzedaż obudowy aparatu telefonicznego. Przypuszczam, że Georges zmyślił tę historię, żeby wydać mi się mniejszym głupcem, niż jest. Chciał udowodnić, że obudowy to nie taki znowu szmelc, jak twierdziłem, i że znaleźli się ludzie, którzy chcą i mogą je sprzedawać, nawet fachowcy, tacy jak ów komiwojażer z Pécsu. Jedyną zatem przeszkodę stanowi *vis maior*, czyli polityka władz, które jakby zapomniały o obietnicy zelektryfikowania całego okręgu. Tylko ten drobiazg mu przeszkadzał w sprzedaży towaru!

A jednak nie możemy wpaść na ślad tej jednej obudowy.

Jestem przekonany, że Georges odesłał ją firmie Mepol razem z czterema pozostałymi. Po prostu nie chciał się przyznać, że nie mógł sprzedać nawet jednej sztuki. Dlatego zmyślił historię z komiwojażerem.

Czy sądzi pan, że obudowy nadawały się do wykorzystania?

Może i dałoby się w nich zainstalować aparaty telefoniczne. Oczywiście tylko niektóre modele, i to pod warunkiem, że te skorupy byłyby z choć trochę solidniejszego materiału, w co wątpię.

Na jakiej podstawie?

Na podstawie całej działalności firmy Szlonski & Strauss. Była to działalność amatorów i poetów, którzy z konieczności zajmują się rzemiosłem i handlem.

Miał pan kiedyś w ręku taką obudowę?

Widziałem je, ale nie miałem w ręku.

Gdzie pan je widział?

Kiedy Georges napisał do mnie z prośbą o interwencję w Mepolu, wstąpiłem do sklepu „Orion” w Nowym Sadzie i wśród artykułów elektrotechnicznych odszukałem wyroby z marką ochronną firmy Mepol. Obudowy aparatów telefonicznych opatrzone tą marką wyróżniały się na półkach niezgrabnością i niesolidnym wykonaniem. Spojenia i kanty nie były nawet oszlifowane, a znak ochronny wytłoczony na wyrobach tej firmy stanowił również dzieło poetów i wymownie świadczył o tandemie Szlonski & Strauss.

Co przedstawiał ów znak?

Na ciemnej powierzchni bakelitu widniała biała waza, waza albo klepsydra, albo kielich, aż do czasu, gdy odkrył

pan, że ta waza to próżnia, negatyw, czyli złudzenie, a pozytywem, czyli rzeczywistością, są dwa identyczne profile zwrócone ku sobie jak w lustrze, zarysowane na krawędziach wazy-klepsydry. Ten sam znak, mający zapewne sugerować szczęśliwą symbiozę i równoprawność partnerów Szlonski & Strauss, znajdował się również na ich urzędowej korespondencji.

Czy potrafiłby pan wykorzystać obudowę wykonaną przez firmę Mepol?

Zainstalować w niej aparat telefoniczny?

Dobrze pan mnie zrozumiał.

Nie potrafiłbym. W zakresie techniki...

A czy może potrafiłby pan wykorzystać taką obudowę w innym celu, w sensie technicznym?

W zakresie techniki nie jestem specjalistą i niechętnie zajmuję się takimi rzeczami, jak choćby naprawa instalacji elektrycznej. Zresztą obudowy, o których mówimy, z trudem tylko można wykorzystać nawet w celu, do którego zostały przeznaczone, czyli do instalowania aparatów telefonicznych.

A jednak, jako były pracownik kolei, ma pan chyba jakieś wykształcenie techniczne? Zna pan na przykład działanie telegrafu, prawda?

Tak, oczywiście.

Jakim aparatem telegraficznym pan się posługiwał?

Z początku, na stacjach Szid i Kameral Moravice, aparatem Morse'a. Później, w Nowym Sadzie i Dombóvárze, mieliśmy aparaty Baudota i Hughesa. Były one bardziej skomplikowane, więc wszyscy, telegrafści i dyżurni ruchu, a także wyżsi urzędnicy, musieliśmy przejść

dodatkowe przeszkolenie. Telegraf Hughesa wymaga wirtuozerii niemal muzycznej: ma pan przed sobą klawiaturę z jakimiś trzydziestoma klawiszami, a aparat musi pan zestroić tak, aby nad taśmą papierową, na której znajduje się zapis, znajdowała się ta sama litera po obu stronach.

Czy dziś potrafiłby pan nadać wiadomość za pośrednictwem takiego lub innego aparatu? Gdyby na przykład, w wyjątkowych okolicznościach, znów powołano pana do służby?

Nie sądzę. W każdym razie musiałbym długo ćwiczyć, żeby nabrać dawnej wprawy. Podobnie jak w wypadku gry na fortepianie. Musi pan patrzeć w tekst nad klawiaturą, a palcami uderzać na ośle, dokładnie tak, jak przy grze na fortepianie czy na harmonii. A to się łatwo zapomina. Jeśli człowiek mimo wszystko potrafi grać na fortepianie, jest to sprawa słuchu i talentu, ale grać z nut to co innego. Tu nie wystarczy słuch ani talent. Istnieją bowiem wyraźne reguły, jak rytm, tempo i tak dalej. Podobnie ma się rzecz z aparatem Hughesa.

Gra pan na fortepianie?

Nie. Nigdy się nie uczyłem.

Kiedyś, przy pewnej okazji, uznał się pan jednak za wirtuoza.

Nie wiem, gdzie i kiedy mogło się to zdarzyć.

Powiedział pan to siostrzeńcowi nie tak dawno temu. Umiejętność posługiwania się aparatem Hughesa zwykłem nazywać w żartach wirtuozerią muzyczną. W towarzystwie przyjaciół lub w gospodzie, pod wpływem alkoholu, gdy zaczęto rozmawiać o muzyce, zdarzało mi

się wyrażać żal, że nie udoskonaliłem techniki gry na fortepianie. Bogiem a prawdą żałuję, że w młodości nie uczyłem się grać na fortepianie, ale w tym wypadku chodziło o telegraf Hughesa, o czym moi przyjaciele dobrze wiedzieli, fantazjowałem więc dalej, nazywając telegramy partyturą, nadawanie ich — koncertem, i tym podobnie. Nawiasem mówiąc, w szkole grałem przez pewien czas na skrzypcach, był to obowiązkowy przedmiot w gimnazjum około roku tysiąc dziewięćset dziesiątego. Zgrzyt skrzypiec jednak rychło zabija wszelką wolę nauki. Człowiek staje się świadom, że trzeba by całego życia, aby te zgrzyty zamieniły się w jaką taką muzykę. Myślę, że z fortepianem rzecz ma się inaczej. A więc mogłem to powiedzieć Georgesowi jedynie w tym kontekście, czyli w przenośni, choć wydaje mi się dziwne, że coś takiego mówiłem właśnie jemu.

Czy któryś z pana znajomych gra na fortepianie?

O ile mi wiadomo, nie.

Czy pani Fischer ma w domu fortepian?

Nie ma.

A pan Gawanski?

U Gawanskiego fortepian stoi w pokoju gościnnym, w miejscu, gdzie tworzy on jakby półkolisty występ, czyli tam, gdzie fasada wyokrąglą się na kształt baszty.

Kto gra na fortepianie?

Córka Gawanskiego. Ojciec płaci za jej prywatne lekcje.

Kto ją uczy?

Ubogi muzyk, który przyjechał z Budapesztu, bo nie mógł tam znaleźć pracy. Miał aferę z jakąś nieletnią

uczennicą i musiał opuścić Budapeszt. Zdaje się, że nawet pisano o tym w gazetach.

Jakże więc Gawanski może mieć do niego zaufanie? Dawny donżuan chyba się zestarzał, nie w głowie mu już młodzieńcze wybryki. Wziął sobie za żonę damę wspaniałego prowadzenia się i właśnie oczekują dziecka.

Jak on się nazywa?

Nie wiem.

Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

Coś jak Zilas, czy Zöldes... może Zöldesi.

To pseudonim?

Nie, chyba prawdziwe nazwisko.

Czy pana zdaniem ten Zöldesi, czy jak on się nazywa, ze względu na swój zawód mógłby opanować technikę posługiwania się telegrafem Hughesa?

Moje porównanie techniki gry na fortepianie z techniką posługiwania się telegrafem Hughesa i innymi aparatami posiadającymi klawiaturę jest metaforą i jako takie nie ma praktycznego znaczenia. Choćby to było sprzeczne z tym, co powiedziałem przedtem, myślę, że znajomość gry na fortepianie może tylko przeszkadzać ludziom, którzy by się uczyli zasad działania telegrafu Hughesa. Pewna rutyna ruchów, nawyki świadomości i palców niewątpliwie powodowałyby omyłki. Przypuśćmy, że osoba przyzwyczajona do fortepianu, pianina lub harmonii, w uniesieniu albo po prostu ze zmęczenia czy roztargnienia, zamiast liter odegrałaby na klawiaturze telegrafu jakiś akord. Skutki mogłyby się okazać katastrofalne.

Czy to, co pan mówi, odnosi się również do radio-telegrafu?

Osobiście nie znam się na tym, chociaż wiem, że na wielu liniach kolejowych w Europie radiotelegrafów używa się już na co dzień.

Skąd pan o tym wie?

Czytałem w „Głosie Kolejarza” i niedawno w „Przełądzie”.

Czy ktoś z pana znajomych interesuje się radiem jako amator, czy stanowi to jego hobby?

Nie mi o tym nie wiadomo.

Może panna Gawanska? Albo jej narzeczony?

Nie słyszałem.

Powiedział pan, że fortepian stoi w półokrągłej wnęce pod oknem...

Tak.

Proszę opisać ten fortepian.

Jest to czarny fortepian koncertowy w dobrym stanie, najczęściej przykryty narzutą z tego samego materiału co zasłony, zawieszony na karniszach nad dużym oknem w wypukłej części fasady, skąd wpada światło do pokoju. Nogi ma w kształcie stylizowanych pucharów, na których podstawie znajdują się mosiężne kółka. Pedały, również mosiężne czy miedziane, połączone są z mechanizmem w kształcie liry. Raz tylko widziałem ten fortepian otworzony, to znaczy bez czerwonej narzuty. Wieko było podniesione i podparte drewnianym drążkiem. Wtedy też po raz pierwszy zobaczyłem klawisze, lekko poźółkłe, jakby od nikotyny. Na fortepianie stały otwarte nuty.

Kiedy to było?

Mniej więcej przed trzema miesiącami. Wstąpiłem do Gawanskiego na kawę, rano, po nieprzespanej nocy.

Gdzie pan spędził noc?

Najpierw u Mártona, następnie w „Katolickiej Porcie” u Weinhebla, wreszcie w restauracji „Kolejowa”. Wypiłem sporo marnego wina, ale po drodze do Gawanskiego zdążyłem wytrzeźwieć.

Z kim pan pił tej nocy?

Z robotnikami, których nazwisk nie znam. Pamiętam tylko jednego, imieniem Sándor. Jest inwalidą, pracuje w drukarni. Zapamiętałem go, ponieważ gdzieś koło północy wygrał zakład, wypijając duszkiem trzy litry różowego wina. Zdaje się, że to jego stały numer.

Jak pan tłumaczy fakt, że fortepian był otwarty i że ktoś ćwiczył tak wcześnie?

Gawanski żalił mi się, że nie mógł spać, bo tej nocy u jego córki było jakieś towarzystwo. W pokoju i w całym mieszkaniu panował jeszcze bałagan. Na podłodze i na dywanach stały kieliszki, puste albo z niedopitym winem, poduszki na otomanie leżały w nieładzie, a w kuchni, dokąd poszedłem napić się wody, był nie mniejszy nieporządek: brudne naczynia w zlewie, resztki jedzenia, puste butelki. Jedną nawet powąchałem: wino było podrobione.

A co to za towarzystwo?

Nie wiem.

Czy Gawanski wymieniał jakieś nazwiska?

Nie.

Ile osób zaproszono?

Nie było o tym mowy.

Gawanski uczestniczył w zabawie?

Powiedział mi, że wypił wszystkiego pół litra wina, i to u siebie w pokoju. Nie chciał przeszkadzać młodemu.

Czy w chwili, gdy pan wszedł, zasłona w oknie nad fortepianem była odsunięta?

Tak.

Co widać z okna, przy którym znajduje się fortepian?

Po prawej stronie część miasta z katedrą; patrząc ku przodowi, na pierwszym planie nasyp z szynami i jakieś rudery, za nimi równinę, a na niej, daleko, studnię z żurawem; z lewej strony, też na dalszym planie, doły, cegielnię i Dunaj. Gdy stanie się przy oknie, pomiędzy ścianą a bocznym wgłębieniem fortepianu, widać parterowe domki rzemieślników i budki z desek w głębi ogródków. Latem rosną tu pomidory, cebula, dynie, słoneczniki, ogórki. Wtedy wyraźnie można rozpoznać wśród zieleni drewniane, pobielone wapnem klozety.

Czy widać z okna poligon albo lotnisko?

Nic podobnego nie widziałem.

Mówił pan o jakichś dołach koło cegielni...

Z tego okna ledwo je można dojrzeć gołym okiem. Kiedyś była tam cegielnia, ale zniszczyła ją powódź. Na pół metra — metr pod ziemią znajdują się jeszcze zupełnie dobre cegły, po prostu zakonserwowane w gliniastym gruncie.

Powiedział pan „gołym okiem”. To znaczy, że kiedyś patrzył pan na tę okolicę przez lornetkę?

Gawanski wspomniał w którejś rozmowie, że przyglądał się nam, czyli hufcowi pracy ze swojego okna przez lornetkę, ale w tym mrowisku nie mógł odróżnić poszczególnych ludzi.

Jaka to jest lornetka?

Gdzie pan spędził noc?

Najpierw u Mártona, następnie w „Katolickiej Porcie” u Weinhebla, wreszcie w restauracji „Kolejowa”. Wypiłem sporo marnego wina, ale po drodze do Gawanskiego zdążyłem wytrzeźwieć.

Z kim pan pił tej nocy?

Z robotnikami, których nazwisk nie znam. Pamiętam tylko jednego, imieniem Sándor. Jest inwalidą, pracuje w drukarni. Zapamiętałem go, ponieważ gdzieś koło północy wygrał zakład, wypijając duszkiem trzy litry różowego wina. Zdaje się, że to jego stały numer.

Jak pan tłumaczy fakt, że fortepian był otwarty i że ktoś ćwiczył tak wcześnie?

Gawanski żalił mi się, że nie mógł spać, bo tej nocy u jego córki było jakieś towarzystwo. W pokoju i w całym mieszkaniu panował jeszcze bałagan. Na podłodze i na dywanach stały kieliszki, puste albo z niedopitym winem, poduszki na otomanie leżały w nieładzie, a w kuchni, dokąd poszedłem napić się wody, był nie mniejszy nieporządek: brudne naczynia w zlewie, resztki jedzenia, puste butelki. Jedną nawet powąchałem: wino było podrobione.

A co to za towarzystwo?

Nie wiem.

Czy Gawanski wymieniał jakieś nazwiska?

Nie.

Ile osób zaproszono?

Nie było o tym mowy.

Gawanski uczestniczył w zabawie?

Powiedział mi, że wypił wszystkiego pół litra wina, i to u siebie w pokoju. Nie chciał przeszkadzać młodemu.

Czy w chwili, gdy pan wszedł, zasłona w oknie nad fortepianem była odsunięta?

Tak.

Co widać z okna, przy którym znajduje się fortepian?

Po prawej stronie część miasta z katedrą; patrząc ku przodowi, na pierwszym planie nasyp z szynami i jakieś rudery, za nimi równinę, a na niej, daleko, studnię z żurawiem; z lewej strony, też na dalszym planie, doły, cegielnię i Dunaj. Gdy stanie się przy oknie, pomiędzy ścianą a bocznym wgłębieniem fortepianu, widać parterowe domki rzemieślników i budki z desek w głębi ogródków. Latem rosną tu pomidory, cebula, dynie, słoneczniki, ogórki. Wtedy wyraźnie można rozpoznać wśród zieleni drewniane, pobielone wapnem klozety.

Czy widać z okna poligon albo lotnisko?

Nic podobnego nie widziałem.

Mówił pan o jakichś dołach koło cegielni...

Z tego okna ledwo je można dojrzeć gołym okiem. Kiedyś była tam cegielnia, ale zniszczyła ją powódź. Na pół metra — metr pod ziemią znajdują się jeszcze zupełnie dobre cegły, po prostu zakonserwowane w gliniastym gruncie.

Powiedział pan „gołym okiem”. To znaczy, że kiedyś patrzył pan na tę okolicę przez lornetkę?

Gawanski wspomniał w którejś rozmowie, że przyglądał się nam, czyli hufcowi pracy ze swojego okna przez lornetkę, ale w tym mrowisku nie mógł odróżnić poszczególnych ludzi.

Jaka to jest lornetka?

Zwykła damska lornetka oprawna w macię perłową, z rączką długości może piętnastu centymetrów, też z masy perłowej.

Czy miał pan lornetkę Gawanskiego w ręku? Chodzi mi o to, czy patrzył pan przez nią, stojąc przy oknie?

Kiedyś przyłożyłem ją do oczu, ale ujrzałem tylko jaskrawoczerwone migotanie, jak o zachodzie słońca. Była to pewnie zasłona albo narzutka leżąca na fortepianie.

A co pan widział przedtem?

Tylko jaskrawoczerwone migotanie.

Powtarzam: co pan widział przedtem albo potem, obojętne?

Ludzi koło cegielni.

Co robili?

Chyba wykopywali cegły z mułu i piaszczystego gruntu, rzucali na stertę, a później układali.

Poznał pan kogoś wśród nich?

Z tej odległości nie można było odróżnić twarzy. To samo zresztą mówił Gawanski. A on ma lepszy wzrok niż ja.

O jakiej porze patrzył pan przez lornetkę?

Wieczorem, tuż przed zachodem słońca.

I co pan widział?

Z lewej strony, obok ruin cegielni, spostrzegłem człowieka wykopującego cegły. Zauważyłem go, ponieważ znajdował się w pewnym oddaleniu od innych.

Proszę mówić dalej.

Dłonie miał owinięte podartą szmatą, prawdopodobnie chustką. W pewnej chwili wyprostował się, a wówczas podszedł do niego drugi mężczyzna. Chciał mu zdaje się pomóc przy poprawianiu opatrunku.

Dalej, dalej!

Nagle nadbiegli ludzie z pałkami i zaczęli ich bić. Bili tak długo, aż ci dwaj upadli na ziemię...

Dalej!

Później widziałem, jak się podnieśli i stanęli w szeregu ludzi z łopatami czy rydlami na ramieniu...

Dalej!

To wszystko.

Do kogo należy ta lornetka?

Jakieś dziesięć lat temu Gawanski kupił ją dla swojej żony od pana Poltarackiego.

Kto to jest Poltaracki?

Emigrant rosyjski. W Nowym Sadzie znalazł się około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego. Przedtem chyba mieszkał przez pewien czas w Valjevie i w Belgradzie. Mówiono, że jest hrabią, że łączyły go bliskie stosunki z dworem carskim i był nawet jednym z przywódców jakiegoś kontrewolucyjnego ugrupowania, ale chyba się rozczarował do białych i oddał się wyłącznie słodkiemu życiu. Żył w tych czasach z wyprzedzaży swoich rzeczy, swoich i żony czy też kochanki, jak również z lekcji śpiewu, gry na fortepianie, fechtunku, jazdy konnej i tym podobnych. Sofia Nikołajewna natomiast uprawiała spirytyzm i w praktyce właściwie ona utrzymywała starego hrabiego, zarabiając jako śpiewaczka w restauracjach i w bogatych domach. Nawiasem mówiąc, chodziły słuchy, że jest nim-fomanką i raz po raz przyprawia hrabiemu rogi.

Znał pan osobiście Poltarackiego?

Gdzieś w drugiej połowie lat dwudziestych graliśmy kilka razy w bilard i szachy w czytelni Domu Rzemiosł.

Co się z nim stało?

Słyszałem, że tuż przed wojną zmarł w Kalifornii słodką śmiercią, w objęciach jakiejś Murzynki.

Kto panu o tym powiedział?

Nikt. Przeczytałem w wiedeńskich gazetach. Poltaracki należał mianowicie do wysokich kregów i obracał się w towarzystwie eks-królów, regentów i hrabiów.

W jakich stosunkach pozostawał z Trockim?

Któregoś dnia nad stołem bilardowym napomknął, że przy pierwszej okazji odwiedzi Lwa Dawidowicza w Meksyku.

Niedawno porównywał pan swoją czaszkę z czaszką Lwa Dawidowicza Bronsteina...

Nie przypominam sobie.

Powiedział pan (cytuje): „Mógł mnie spotkać los Lwa Dawidowicza Bronsteina. Uratowała mnie Opatrzność”. Itd.

Możliwe, że tak powiedziałem.

W związku z czym?

Nie pamiętam.

Jaki materiał wybuchowy przechowywał pan w mieszkaniu?

Nie rozumiem...

Naoczni świadkowie twierdzą, że na chwilę przed zburzeniem domu przy ulicy Bema 21 rozległ się wybuch.

To wymysł!

Jakie stosunki łączyły pana z właścicielką domu, panią Mészáros?

Widywałem ją dość rzadko.

Za ile miesięcy zalegał pan z czynszem?

Za trzy.

W jakich stosunkach był pan z mężem właścicielki? Sądzę, że mnie unikał.

Dlaczego?

Trudno powiedzieć. W grę wchodziła prawdopodobnie wzajemna antypatia.

Twierdzi pan więc, że pan Mészáros był dla pana antypatyczny?

Mówiąc dokładniej, był mi obojętny. Nie zauważałem go po prostu. Przychodziło to tym łatwiej, że sprawami finansowymi zajmowała się pani Mészáros, nie musiałem więc utrzymywać z nim kontaktów.

Jak pan tłumaczy fakt, że dom zawałił się zaledwie w parę chwil po pana wyjściu?

Uratowała mnie Opatrzność.

Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Jestem zmęczony...

Jak doszło do zburzenia domu? Powtarzam: jak doszło do zburzenia domu?

Myszę, że dom zburzył szczur.

Kiedy pan zobaczył szczura?

Widziałem go dwa razy. Po raz pierwszy, gdy tragarze odsunęli szafy, a po raz drugi, przez moment, gdy obejrzałem się, wychodząc z mieszkania. Istnieje więc możliwość, że były to dwa szczury.

Gdzie pan je widział?

Jeden ukazał się, jak mówiłem, w samym kącie, tuż obok ściany. Wyszedł z dziury w podłodze i zniknął w przeciwnym kącie, w jednej z dziur znajdujących się tam, gdzie spróchniałe deski podłogi stykały się ze ścianą nadzartą przez wilgoć. Drugi szczur, jeżeli nie był to ten

sam, przebiegł pokój po przekątnej i zniknął w dziurze, której szeroki otwór zionął na środku pokoju, w miejscu, gdzie kiedyś leżał chodnik.

Czy na ścianach były pęknięcia?

Nie.

Czy dom był pochylony lub podparty belkami?

Jak zeznałem już wcześniej, na zewnątrz nie było widać niczego, co by świadczyło o tym, że dom może się zawalić.

Czy pan naprawiał coś w tym domu?

Nic. Nie licząc kilku desek wymienionych w podłodze.

Kto je wymienił?

Ja.

Skąd pan wziął deski?

Były to właściwie cztery dość szerokie listwy, które znalazłem kiedyś wieczorem koło domu. Spadły pewnie z jakiegoś wozu. Żadna z nich nie miała więcej długości niż metr, metr dwadzieścia.

Przekopał pan przy tej okazji ziemię pod podłogą?

Nie. Podniosłem tylko spróchniałe deski, a na ich miejsce położyłem wspomniane listwy. Na długość zabrakło może dziesięciu centymetrów.

Przybił pan listwy?

Nie. Belki nośne pod podłogą też całkiem spróchniały i rozmiękły, więc wbijanie w nie gwoździ byłoby daremną robotą.

Czy dom był ubezpieczony?

Pani Mészáros zeznała podczas przesłuchania, że był ubezpieczony w Zakładzie Ubezpieczeń „Panonia” i że posiada wszystkie potrzebne dokumenty. Na ścianie

domu znajdowała się pomarańczowa tabliczka z napisem „Panonia”. Po uprzątnięciu gruzów robotnicy jednak nie mogli jej znaleźć.

Czy na podstawie tego ubezpieczenia panu też przysługuje odszkodowanie?

Nie sądzę. W każdym razie moje rzeczy nie zniszczyły się podczas wypadku, nie widzę więc powodu.

Kopał pan może kiedyś w piwnicy?

Piwnica była podmoknięta, zalana chyba wodą podziemną i trzymano ją pod kluczem, pewnie ze względu na dzieci. Nigdy tam nie chodziłem. Wiedziałem o tym jedynie z opowiadań pani Mészáros. Wręczając nam klucze, napomknęła, że klucz od piwnicy nie będzie potrzebny, ponieważ nie nadaje się ona do użytku. Nie pamiętam, czy to wtedy wspomniała o wodzie podziemnej...

Gdzie znajdowało się wejście do piwnicy?

Do piwnicy prowadziły drewniane schody w tylnej części budynku. Na drzwiach wisi duża zardzewiała kłódka, świadcząca, że od dawna nikt już tam nie wchodził.

Skąd pan wie, że piwnica była podmoknięta i że prowadziły do niej drewniane schody?

Przekonałem się o tym przy usuwaniu gruzów. Gumowe buty robotników oblepione były grubą warstwą gliny. W nocy zresztą dobiegały spod podłogi dziwne odgłosy, jak gdyby ktoś chlapał się w wodzie. Były to szczury. Kiedyś opowiedziałem o tym panu Freudowi, prymariuszowi, a on mi poradził, żebym się zwrócił do psychiatrii.

Kto to jest Freud?

Ginekolog. Poznałem go w hufcu pracy. Już pierwszego dnia zauważyłem, że dłonie ma owinięte gazą. Potem

jednak strażnicy zerwali mu gazę z rąk i zbili go do utraty przytomności.

Czy później pan się z nim spotykał?

Widziałem go jeszcze tylko raz. Stał w szeregu przed zielonymi barakami. Potem widziałem jedynie jego mózg. Leżał na małej śnieżnej wyspie na rogu ulic Szkoły Greckiej i Mileticia.

Sądzi pan zatem, że hałas dochodzący z piwnicy powodowały szczury?

Tak.

Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Pluskaniu wody towarzyszyły piski jak gdyby szczurze.

Łowił pan kiedyś ryby?

Łapałem ryby na wędkę i ręką, ale to było dawno.

A w Dunaju pan łowił?

Nie.

Ma pan gumowe buty?

Nie mam.

Czy poza wspomnianymi piskami słyszał pan jakieś inne odgłosy dochodzące z piwnicy? Kaszel, rozmowę, może szept?

Nie słyszałem.

Czy właściciel domu, pan Mészáros, miał gumowe buty?

Nie wiem.

Czy widział pan kiedyś, że ktoś manipuluje przy kłódce od piwnicy?

Nie widziałem.

Proszę opisać kłódkę.

Jestem zmęczony.

Proszę opisać kłódkę!

Nie pamiętam, jak wygląda.

Powtarzam: proszę opisać kłódkę.

Jest to kwadratowa kłódka, wielkości mniej więcej 6 x 6 centymetrów, ze stalowym kabłąkiem, pokrytym rdzą w postaci drobnych kropelek. Zamek osłania ruchoma kłapka o średnicy osmiu do dziesięciu milimetrów. Po odsunięciu osłony widać prowadnicę klucza przypominającą gruby, tępy gwóźdź. Osłona zamka też jest zardzewiała, ledwo daje się przesunąć, i to tylko w jedną stronę (w lewo). Poniżej zamka z osłoną wyraźnie widać litery wielkości jakichś dziesięciu milimetrów:

ELZETT...

Dalej.

To wszystko.

Proszę opisać odwrotną stronę kłódki.

Na przecięciu przekątnych, w miejscu gdzie kończy się prowadnica klucza, znajduje się niewielka wypukłość. Przekątne zaznaczone są wypukłymi liniami po obu stronach kłódki...

Dalej.

Jestem zmęczony.

Kiedy wrócił pan z Nowego Sadu?

Przed trzema dniami.

Dlaczego nie zgłosił się pan na posterunek wcześniej?

Wezwanie zastałem po powrocie z Pórszombatatu, czyli wczoraj.

Po co pan jeździł do Pórszombatatu?

Odwiedzić Mayerów.

Kto to jest Mayer?

Jestem zmęczony.

Kto to jest Mayer?!

Pan Samuel Mayer to mój stary znajomy, jeszcze ze szkoły handlowej. Nie widzieliśmy się przeszło trzydzieści lat. Kilka dni temu dowiedziałem się, że niejaki Mayer, kupiec, mieszka w Pórszombacie, i pomyślałem że to on. Postanowiłem go odszukać.

Po co?

Chciałem od niego pożyczyć trochę pieniędzy.

Od kogo pan się dowiedział, że Mayer mieszka w Pórszombacie?

Od Georgesesa.

Przy jakiej okazji Georges wspomniał o Mayerze?

Jestem zmęczony.

Przy jakiej okazji Georges wspomniał o Mayerze?!

Podczas jednej z naszych kłótni Georges nazwał mnie zwyczajnym bankrutem i *Luftmenschem*, a jako przykład człowieka, który potrafił urządzić się w życiu, wymienił Mayera...

Dalej.

Jestem zmęczony.

Dalej. Dalej!

Śledztwo (III)

57

Czego spodziewał się E.S. w związku z wezwaniem służbowym, które otrzymał z Nowego Sadu?

Że ponownie powołają go do pracy na jakieś niższe stanowisko niż to, które zajmował, zanim przeniesiono go w stan spoczynku. Że ma stanąć przed komisją lekarską kierującą na przymusowe roboty. Że będą próbowali nakłonić go do szpiegowania pracowników kolei. Że wezmą go na zakładnika wraz z innymi znanymi w mieście osobami i rozstrzelają w odwet za sabotaże na liniach kolejowych.

Do jakiego deterministycznego wniosku doszedł, analizując szybkość przewozu swoich ruchomości?

Że ślimacza szybkość poruszania się jego szaf po torach kolejowych pozostaje w stosunku wprost proporcjonalnym do sukcesów wojennych sił Osi i odwrotnie proporcjonalnym do sukcesów Armii Czerwonej.

Proszę wyliczyć sposoby, jakimi E.S. mógł dojść do sumy sześćdziesięciu pengō, stanowiącej opłatę za przewóz jego ruchomości?

Pożyczka, kradzież, szczęście.

Pożyczka?

Jako ewentualnych wierzycieli widział Mayera, Gawanskiego, Rosenberga i panią Klarę, szynkarke, bez względu na to, że prawie u wszystkich tych osób był już zadłużony. Od Mayera dwukrotnie pożyczał po dwaście pengó, raz bezpośrednio, a drugi raz listownie, nie podając terminu zwrotu. Gawanskiemu był obecnie winien pięćdziesiąt sześć pengó, jako że już sto mu oddał. U Rosenberga nigdy się jeszcze nie zapożyczył, ponieważ ów przy okazji któregoś spotkania zręcznie unikał tematu, jaki poruszył E.S., czyniąc oczywiste aluzje do pożyczek i pieniędzy. Pani Klarze winien był około dwudziestu pengó, ale uważał to za drobnostkę w porównaniu z sumą, jaką zostawił kiedyś w jej gospodzie.

Kradzież?

Gdyby wiedział, gdzie Georges i Neti przechowują pieniądze, zacerpnąłby z ich kiesy pełną garścią w przekonaniu, że bierze tylko swoją należność za las, który spalili, a do którego on też rościł sobie prawo. Nie wykluczał nawet możliwości, że wyciągnie pugilares jakiemuś kupcowi czy handlarzowi, którego uśpi w pociągu winem lub podetkniętą pod nos chusteczką nasączoną jakimś środkiem odurzającym.

Szczęście?

Znalezienie portfela na korytarzu w pociągu, na ulicy czy w gospodzie; dar nieznanego ofiarodawcy; przesyłka pieniężna Czerwonego Krzyża lub innej organizacji filantropijnej; niezwykle korzystna zmiana wysokości jego renty, na zasadzie nowych przepisów działających wstecz, tak że wypłacono by mu wyrównanie za wszystkie lata służby; znalezienie zgubionego przez kogoś losu na loterie,

na który padłaby wgrana; wykrzycie tajnej a skutecznej broni, którą by sprzedał Amerykanom. Itd.

Czego się obawiał?

Że pod jego nieobecność mogłoby dojść do niespodziewanej i zastraszającej zmowy pomiędzy jego rodziną a rozdزونymi dziećmi.

Jak postąpił E.S., czytając listę ludzi, o których jego siostra Neti pisała, że zmarli, zginęli w wypadkach, zostali zabici lub po prostu zniknęli?

Szybko przebiegł oczyma tę część listu, usiłując o niej zapomnieć. W związku z tym, niby przypadkowo (a jednak całkiem rozmyślnie), wytarł nos najpierw odnośną częścią listu, ostatnią, właściwie dwiema ostatnimi ćwiartkami, które, tnąc papier i wsuwając do prawej zewnętrznej kieszeni marynarki, ułożył tak, by mieć je pod ręką, gdy mu nakaże po nie sięgnąć higiena osobista i nawyk wycierania nosa w gazetę lub papier listowy. A jako że miał krótki wzrok, nie zapomniał przed wytarciem nosa sprawdzić, czy wziął właśnie te ćwiartki, których chciał pozbyć się najprędzej.

Dlaczego chciał się ich pozbyć?

Albowiem nazwiska dawnych znajomych i przyjaciół językiem jaśniejszym niż wszyscy eklezjaści i filozofowie mówili o drodze będącej udziałem wszystkich żywych istot na tym świecie. Łatwiej potrafił znieść najbardziej ponure spekulacje na temat śmierci, niż patrzeć na jej zniwo. Wśród tych, których Neti wymieniła w swoim liście (bilans ostatnich dwóch — trzech lat), znalazło się niemało jego rówieśników lub nawet ludzi znacznie młodszych. *Vanitas vanitatum...*

Jaką scenę fantastyczną ujrzał E.S. oczami wyobraźni? Niby w parodystyczno-przygodowej opowieści P. Howarda (Jenő Rejtő), grając rolę ojca rodziny, w przystępie sprawiedliwego gniewu rzuca się z nożem na krewnych i wymierzając po jednym dobrze obliczonym ciosie w okolicę serca, kładzie kres tej ponurej powieści rodzinnej. W schłapanych krwią pokojach leżą ciała tych, na których wykonał sprawiedliwy wyrok, on zaś, ze skutymi rękami, pod eskortą żandarmów odchodzi najpierw do więzienia, a następnie do azylu dla umysłowo chorych — nietrudno było dowieść przed sądem jego niepoczytalności.

Jaki komunikat zamieściłaby prasa o potrójnej zbrodni popełnionej w rezydencji żydowskiej w miejscowości Kerkabarabás?

Komunikat pierwszy: Wczoraj we wsi Kerkabarabás, poczta Baksza, dokonano potrójnego morderstwa. Ofiarą klótni rodzinnej i nietolerancji padli pod ciosami noża: pani Neti, wdowa po śp. Ignacym Boroska (59), jej syn Gyula *alias* Georges (39), z zawodu kupiec, i córka Maria (dawniej Rebeka), wdowa po Istvánie Horvát (36), gospodyni domowa. Tę ohydłą zbrodnię popełnił w przystępie szału p. E.S., nadinspektor kol. w stanie spoczynku, ojciec dwojga dzieci. Morderca oddał się w ręce żandarmów bez oporu, z wyrazem ośpienia na twarzy, dobitnie świadczącym o jego stanie umysłowym.

Komunikat drugi: Jak się dowiadujemy od naszego wysłannika, rozprawa sądowa potrójnego mordercy (por. wydanie naszej gazety z 4 IV) została odroczone, komisja lekarska orzekła bowiem, że zabójca dokonał tej potwornej zbrodni w stanie zamroczenia umysłu. Doktor

Papandopoulos, który leczył p. E.S. podczas dwukrotnego pobytu w szpitalu dla umysłowo chorych w Kovinie, stwierdził, że pacjent ten zdradzał objawy agresywności i jako osoba niepoczytalna został wypisany ze szpitala pod warunkiem, że opiekę nad nim obejmie słubna żona.

Komunikat trzeci: Jak się dowiadujemy w związku z potrójnym morderstwem we wsi Kerkabarabás (por. wydanie naszej gazety z 4 i 10 IV), niejaka panna Nedomaczka, sprzedawczyni ze sklepu papierniczego „Rekord” w Nowym Sadzie, rozpoznała na fotografii mordercę i oświadczyła, że na kilka dni przed popełnieniem zbrodni sprzedała mu nóż do rozcinania papieru, ten sam, którym następnie dokonał morderstwa. Panna Nedomaczka zeznała pod przysięgą, że p. E.S. był w stosunku do niej niesłychanie uprzejmy, a na japoński nóż do rozcinania papieru spoglądał raczej oczyma estety (*sic!*) niż zbrodniarza. Stwierdziła także, iż nabycie japońskiego noża przez E.S.-a bynajmniej nie wzbudziło jej podejrzeń, tym bardziej że on, czyli E.S., prócz noża kupił kilka arkuszy papieru listowego w kratkę, widocznie dla zmylenia śladów.

Po wszystkich nieszczęściach (rozstrzelanie, powieszenie, naturalna śmierć w łóżku) i po zmartwychpowstaniu lub choćby po przeżyciu całkowitej amnezji (na którą częściowo już cierpi) co uczyniłby E.S.?

Wzięłby pod rękę nieszczęsną piegowatą latorośl ze sklepu papierniczego „Rekord” i wyruszyłby z nią w Nowe Życie (*Vita Nuova*).

Jak by ją zdobywał?

Bogactwem (materialnym i duchowym); bukietami kwiatów z wetkniętą w nie wizytówką; obłądnym wykupywaniem wszystkiego, co znajduje się w jej sklepie, bez słowa (słowa są ciężkie), aż do opróżnienia ostatniej półeczki. Po jej twarzy można by poznać, że w końcu zrozumiała jego szlachetne intencje. Wszystko było jedynie pretekstem i grą: papier w kratkę, japoński nóż, wszystko.

W roku 1932, w Kovinie, E.S. zamierzał pisać powieść za namową doktora Papandopulosa, a więc w celach stymulacyjnych, jako że wspomniany doktor w historii choroby napisanej osobiście przez E.S.-a dostrzegł rozwinięty zmysł obserwacji oraz ironiczny patos. Jak brzmiałoby krótkie streszczenie tej powieści?

Niejaki Malchus *alias* Kartafil, *alias* Joannes Buttadeus (niekiedy krócej: Buttadio), dręczony mglistymi (historycznymi) wyrzutami sumienia i strachem, od wczesnej młodości raz po raz zmienia nie tylko nazwisko, czyli tożsamość, lecz także zawód i miejsce pobytu. Nigdzie jednak nikt go nie potrafi zrozumieć i w końcu, jako bankrut życiowy, trafia do zakładu dla obłąkanych, gdzie doznaje jak gdyby olśnienia. Tam odkrywa, że jego powołaniem jest zawód kolejarza, a podróże mogą stanowić rodzaj lekarstwa na jego strach. Zaczyna pracę na dniówki, a po wielu perypetiach zostaje urzędnikiem i wreszcie inspektorem JDŽ*, potem MÁV**, a następnie kolei rumuńskich, bułgarskich, belgijskich, włoskich, austriackich,

JDŽ — Jugosłowiańskie Koleje Państwowe (przyp. tłum.).

MÁV — Węgierskie Koleje Państwowe (przyp. tłum.).

niemieckich, czechosłowackich, polskich i portugalskich, wciąż zmieniając nazwiska i miejsca pobytu. Oczywiście nie traci przy tym okazji, opisując (w powieści) ludzi i obyczaje panujące w wielu krajach, a także rozmaite swoje udręki. W końcu przeżywa jeszcze jedno olśnienie, podobne zresztą do pierwszego: pan Joannes Buttadeus (względnie Buttadio), *alias* João d'Espera em Dios, *alias* Izaak Laquedem, jako dyżurny ruchu na małej stacyjce spotyka sprawcę swego nieszczęścia, Jezusa. Obłąd czy sen? Tu powieść zamienia się w belkot.

Proszę przedstawić pokrótce problematykę książki, która z ironicznym dystansem opowiada o niedawnych, często niewiarygodnych przeżyciach głównego bohatera.

Parada w haremie, powieść, która ukazała się w znakomitej i taniej serii Instytutu Wydawniczego Tabor, jest pierwszą książką (tak przynajmniej podaje wydawca w skąpej nocie) pana E.S.-a. Pod sensacyjnym z zamierzenia tytułem, niewątpliwie nawiązującym do twórczości P. Howarda, czytelnik z zadowoleniem odkrywa godnego uwagi, utalentowanego pisarza, jak również interesujące treści psychologiczno-społeczne. Nie chcąc czytelnikom psuć zabawy i wzorem niektórych patalachów zdradzać treści książki, powiemy tylko, że akcja jej toczy się nie — jak można by sądzić po tytule — na egzotycznym tle wschodnich pałaców, lecz w zapadłej mieścinie panońskiej, w naszych czasach. Główny bohater powieści, niejaki E.S., człowiek niezwykle wrażliwy i poniekąd nadszarpnięty nerwowo, po pewnym straszliwym przeżyciu (chodzi o pogrom w Nowym Sadzie) wciąż nie

potrafi się znaleźć w sytuacjach określanych przez sto- sunki na wskroś mieszczańskie. Akcja powieści rozgrywa się w ciągu jednej nocy, od późnego wieczora do świtu. W tym tak krótkim czasie bohater analizuje swoje naj- ważniejsze, świeże i dawne, doświadczenia, dokonując bilansu życia. Konflikt głównego bohatera ze światem jest właściwie konfliktem ze śmiercią, walką ze śmier- cią, której rychłe nadejście E.S. przeczuwa. Powieść tę serdecznie polecamy prenumeratom i naszym nowym czytelnikom, wszystkim tym, którzy nie gonią za tanimi, karkołomnymi tematami i podobnie jak my żywią prze- konanie, że tak zwana intryga nie stanowi o uroku ani wartości dzieła literackiego.

Proszę przytoczyć dwie wersje pokwitowania (pomija- jąc trzecią, ostateczną), które E.S. układał dnia 4 IV 1942, a które dotyczyło spłaty pewnych długów.

1. Kwituję odbiór 50 (słownie: pięćdziesięciu) pengő, które pobiorę od rodzzonego brata E.S., rencisty, gdy tylko będzie mi mógł je wypłacić tytułem utrzymania jego i jego trzyosobowej rodziny w ciągu piętnastu dni. 4 IV 1942.

2. Kwituję odbiór 30 (słownie: trzydziestu) pengő, któ- re pobrałam od rodzzonego brata E.S., pracownika kolei w stanie spoczynku, tytułem wyrównania za piętnasto- dniową gościnność, jaką okazałam jemu i jego rodzinie. Miejsceowość i data: Kerkabarabás, 4 kwietnia 1942.

Itđ.? (Wariacje na ten temat.)

„Herr Kontrollőr grozi nożem!”, „gdyby miał dwadzieś- cia pengő, kupiłby piecyk”, „nosem mi już wychodzi to gadanie o lesie”, „jaki tam las!”, „już nieboszczyk dzia- dek załatwił z nim sprawę lasu”, „i sam się zgodził, żeby

z popiołu drzewnego wypalać potaż”, „sam był łaskaw polecić tego Pollaka, wszystko mamy na piśmie”, „wiel- możny pan chciał nawet zostać *Potaschen Fabrikant*”, „patrzcie tylko, dwadzieścia pengő!”, „czy on w ogóle wie, co dzisiaj znaczy dwadzieścia pengő?!”

Itđ.? (Synkopy.)

„U tej, nie powiem jakiej, pani Klary w Bakszy prze- puścił co najmniej dwa razy tyle”, „lekką ręką dawał na- piwki, zgrywał wielkiego pana”, „na pewno i przedtem pił jak smok, ale teraz po prostu chła”, „dzieciom by le- piej kupił książki do nauki”, „wykiwał nas wszystkich i dalej pije”, „jeszcze pożałuje, i to jak”, „jeżeli mu się znou nie pomiesza w głowie”, „wierzę, że uspokoi go policja”, „jakie komedie wyprawiał z tym piecykiem, nie wiadomo czemu”, „mógłby i on oszczędzać, gdyby nie...”, „nie narażaj się, Georges, uciekaj!”, „uciekajmy stąd!”, „on zwariował”, „jeszcze kogoś uderzy”.

Ile czasu upłynęło, zanim E.S. otworzył drzwi i szybko pochwylił niebieską kopertę, wetkniętą w szparę nad drzwiami?

Według zegarka marki Longines, który ścisnął w lodo- watej lewej dłoni, dokładnie dwanaście minut.

Co trzymał w prawej dłoni?

Prawą dłonią ścisnął preclowaty uchwyt laski, której szpic wbił przedtem w dziurkę od klucza.

Jak E.S. sprawdził wagę szynki (dar jego najmłodszej siostry)?

Najpierw zważył na dłoni pachnąco-brązowo-różowawy osmalony kikut, a następnie uchylił zatłuszczony papier, w który zawinięta była szynka, i obwąchał ją z bliska,

aż ślina gwałtownie napłynęła mu do ust. W końcu wzięł szynkę (zawiniętą w podarte gazety) pod pachę i zaniósł do pana Horváta, by ją zważyć.

W jaki sposób została ustalona waga netto szynki (bez gazet i zatłuszczonego papieru) przy pomocy pana Horváta?

Na lewą mosiężną szalkę (patrząc od strony właściciela szynki) położone zostały dwa żelazne odważniki oznaczone cechą 1 kg, a potem trzeci taki sam, na co szalka z odważnikami gwałtownie opadła, a podobnie do dziobów języczki wyraźnie się rozmięły. Następnie został zdjęty jeden z tych trzech odważników, a na jego miejscu stanął odważnik oznaczony cechą 0,5 kg, również żelazny, na co dziobkowate języczki nieco się przybliżyły, a pan Horvát naciśnięciem dużego i wskazującego palca próbował je zrównać. Przy trzeciej próbie zamiast półkilogramowego żelaznego odważnika na szalce stanęły, jeden po drugim, dwa mosiężne odważniki dwudziestodekagramowe i wreszcie osiągnięto równowagę. Szalki znalazły się w relacji równoważnej, na relatywnej równi, w relatywistycznej równomierności, w równomięśnej równowadze, w równopoziomowym równociągu, w równoważnym równomiejscu i na relatywnej równoważni.

Jakich dwóch godnych opatentowania wynalazków (między wieloma innymi) dokonał E.S., przeczytawszy o nich niedawno w „Wyborze Najlepszych Artykułów”?

Wymyślił elektrycznie ogrzewany koc i pas elektryczny dla mężczyzn.

Jakimi zaletami odznaczały się wynalazone przez niego przedmioty?

Minimalną wagą w stosunku do klasycznej pierzyny lub kołdry wełnianej czy puchowej i maksymalnym ciepłem, jak również możliwością łatwiejszej manipulacji i regulowania temperatury. Męski pas elektryczny spełniał klasyczną funkcję pasa, to znaczy przytrzymywał spodnie w talii, zapobiegając niemiłym niespodziankom, a poza tym, przez włączenie baterii za naciśnięciem dobrze ukrytego guziczka, ogrzewał okolicę brzucha i łądźwi i dzięki temu wpływał na ożywienie całej *noxi microcosmica*, a mianowicie zwiększał potencję, zapobiegał zapaleniu prostaty, leczył impotencję, regulował pracę nerek, wątroby, gruczołów wydzielania wewnętrznego i pęcherza, zapobiegał polucjom (po prostu przez wyłączenie baterii na noc), wreszcie, na życzenie, wywoływał silną erekcję i przyjemną ejakulację.

Dlaczego E.S. nie przyjął butów (spadek po nieboszczyku), które ofiarowała mu przed miesiącem jego siostra Olga, wdowa po Maurycym.

Albowiem wierzył w nadejście lepszych dni (optymizm). Albowiem nie chciał nosić butów nieboszczyka (przesąd). Albowiem nie podobały mu się (względy estetyczne). Albowiem były o numer za małe (względy praktyczne).

Proszę opisać te buty.

Półbuty numer 45, skóra zamszowa (imitacja), kolor szary, czubki okrągłe, noski i napiętki twarde, sześć par dziurek do okrągłych sznurowadeł, podwójna podeszwa (garbowana skóra świńska i karton), ozdobne dziurki

tworzące na przedniej części buta półkole, a w nim wzór na kształt płatka śniegu; takie same dziurki-śnieżynki znajdują się po obu stronach poniżej sznurowania; podszwa podwójnie obszyta białą nicią; wyrób Bata na sezon jesienno-zimowy 1940/1941.

Kiedy E.S. zamienił solidną brzytwę marki Solingen na tanie żyletki marki *Tabula Rasa*?

W roku 1932 w Kovinie. Chciał mianowicie poderznąć sobie gardło, ale przeszkodził mu lekarz, dokładniej mówiąc, pielęgniarka. Zatrzymała się dwa kroki od niego i spokojnie, ale stanowczo poprosiła, by rzucił „to narzędzie” albo złożył je i oddał. Przez jakiś czas jeszcze wymachiwał ostrzem, przecinając powietrze ruchami żwawymi, jak przy krojeniu kartofli, to znów wolnymi i ostrożnymi, jak przy obieraniu jabłek. W pewnym momencie z obrzydzeniem odrzucił brzytwę daleko od siebie, w trawę, i usiadł na ławce. Była wiosna. W ogrodzie szpitalnym kwitły kasztany, roztaczając mdły, ciężki zapach.

Co pominął w swoim liście człowiek postępujący się dziś przy goleniu kikutem pędzla, z którego zluszczył się lakier, trzonek popękał, a świńska sierść wytarła się lub powypadała?

Pominął fakt, że to samo indywiduum było kiedyś współwłaścicielem fabryki ręcznych wyrobów szczotkarskich (Weiss & Kohn), która produkowała rocznie około pięćdziesięciu tysięcy pierwszorzędnych pędzli, również na eksport do wszystkich krajów bałkańskich i środkowoeuropejskich, a także do Związku Sowieckiego, aż po rok 1930.

Nie mając tymczasowo nawet miseczki do golenia, jak się pocieszał?

Trzymał resztkę mydła w zaciśniętych palcach jak kapłan hostię i pocieszał się myślą o pewnym mędrцу — pułstelniku, który dopiero na starość zrozumiał, że można się obyć nawet bez szklanki: zobaczył mianowicie, jak pastuch zaczerpnął wody ze źródła dłonią.

Obrazy z podróży (III)

58

Człowiek podnosi cegłę i usiłuje rzucić ją na wysoką stertę nieopodal. Dłonie ma owinięte podartą szmatą, prawdopodobnie chustką, bo mimo zaskorupiałego błota widać na niej ciemne linie wzoru, może niebieskie, może brunatne, może zielone. Wprostował się na chwilę i próbuje poprawić opatrunek. Obie dłonie ma owinięte aż po palce, a szmaty zsunęły się i splątały wokół nich, więc jego ruchy są niezgrabne i nieskuteczne. Tę niezgrabność powiększa jeszcze popłoch. Nie wiedząc, co zrobić, zaciskając palce, człowiek jakby się zastanawia, czy w ogóle podrzeć szmaty, zerwać je zębami, czy spróbować jeszcze raz poprawić opatrunek. To wahanie trwa bardzo krótko. Nagle człowiek dostrzega w polu widzenia, w ciasnej przestrzeni ograniczonej jego zaciśniętymi dłońmi, tuż przed szklami okularów, parę tak samo zabłoconych rąk, tyle że nieowiniętych szmatami. Bezradnie powiera swoje dłonie tamtym. Twarz dostrzega dopiero potem. Twardą, chmurną twarz, oczy nieco spuszczone, zmarszczki na czole i ubłocony kapelusz. Na twarzy tego drugiego maluje się skupienie, ale usta dziwnie, nerwowo się poruszają, jakby i one, razem z palcami, uczestniczyły

w rozplątywaniu supła. Człowiek słyszy tylko ciche dyszenie tego drugiego. Nic do siebie nie mówią. Człowiek czuje, że wszystko trwa przeraźliwie długo, to rozwiązywanie rogów chustki zębami i paznokciami, to owijanie dłoni brudną szmatą. Najpewniej czuje również, że i ten drugi traci już cierpliwość, bo jego ruchy stają się coraz bardziej nerwowe. Usiłuje coś powiedzieć, chyba uwolnić tamtego od męczącej pomocy albo podziękować mu, albo poradzić, żeby zerwał i odrzucił szmaty. Jednakże głos nie wychodzi mu z gardła, tylko charczenie, jakby chciał odkaszląć.

Tamten drugi wciąż jeszcze męczy się nad opatrunkiem. Odwinął dopiero jedną dłoń, a teraz bierze w swoje ręce drugą, szukając supła na zabłoconej chustce. Wreszcie znajduje, ale znów nie może go rozwiązać. Zbliża usta do powierzonej mu dłoni. Człowiek widzi przez chwilę krótkie, jakby podpiłowane zęby tego drugiego, a potem jedynie ubielony kapelusz. Spogląda gdzieś ponad głową mężczyzny, który zakłada mu opatrunek. Przez zabłocone szkła nie dostrzega nasypu kolejowego ani domu o wyokrąglonej fasadzie. Widzi tylko w odległości paru kroków jakieś cienie snujące się po tym, o czym wie, że to błotnisty nasyp. Słyszy skrzypienie furmanki i tępy stuk cegieł, przypominający stuk drewnianych kul. Zwrócony twarzą ku słońcu, widzi tylko jaskrawoczerwone migotanie nad snującymi się cieniami. Naraz wydaje mu się, że wszystkie ruchome dotychczas cienie znieruchomiały. Wydaje mu się, że ustało także skrzypienie furmanki, nie słyhać stuku cegły o cegłę, przypominającego stuk drewnianych kul. Przechodzi mu przez myśl, że może to

tylko przywidzenie albo że ze zmęczenia traci przytomność — jakby purpurowe światło zębatego słońca na zachodzie wlewało mu się do mózgu przez oczy. W chwili, gdy zrozumiał, że się nie myli (że skrzywienie furmanki ucichło), zrozumiał również, że na wszystko jest już za późno. Dotarło to do jego świadomości razem z potwornym bólem czaszki. Nie zemdlął jednak. Cios zadany od tyłu, zapewne gumową pałką, na moment tylko rozjaśnił mu horyzont dziwnym purpurowym światłem. Człowiek kuli się, osuwa na kolana i osłania rękami przed gradem ciosów. Niektóre ciosy nie zadają mu bólu, orientuje się więc, że spadają na mężczyznę, który owijał mu dłonie. Słyszy jego jęk zmieszany z wrzaskiem tych, którzy zasypują ich razami. Nagle cios w głowę wypycha mu z ust jakąś twardą masę, którą wypływa dziwnie łatwo, razem z krwią i śliną. Z przerażeniem pojmuję, że wypuł szczękę. Potem słyszy (albo tylko mu się wydaje), że furmanka znów skrzypi, tym razem całkiem blisko, tuż obok jego głowy. Słyszy też, jak cegły padają na stertę, chyba częściej niż poprzednio. Teraz uprzytamnia sobie, że dłonie znów ma owinięte jak trzeba. Twarz kryje w szmatach, czuje zapach zaschniętej na nich gliny. Jeszcze kilka chwil pozostaje taki skulony, myśląc zapewne, że nie będzie mógł się podnieść. Tamci z pałkami chyba pokrzykują, ale nie wie, czy na niego, czy na mężczyznę, który owinał mu dłonie. Czołgając się na kolanach, usiłuje namiętnie szczękę i okulary. Palce wystające spod opatrunku szukają po omacku w zaskorupiałym błocie. W pewnej chwili wyczuwa pod palcami przedmiot kanciasty a zarazem śliski i uświadamia sobie, zanim jeszcze go zobaczył,

że to przedmiot jego udręki, uwierająca górna szczęką z dużymi porcelanowymi zębami. Niezgrabnie usiłuje przyciągnąć ją do siebie, lecz nagle ból rozrywa mu rękę i jednocześnie słyszy swój skowyt. Widzi, jak ciężki, podkuty but całym ciężarem przygniata mu palce. Czuje, jak z trzaskiem wszystko pęka niby krucha szklanka, a własne porcelanowe zęby wrzynają mu się w dłoń.

59

Z łopatą na ramieniu, utykając, człowiek kroczy w szeregu. Głowę ma nisko spuszczoną, opatrunek na jednej ręce (zwisającej wzdłuż ciała) całkiem się rozluźnił i trzyma się już tylko na przegubie. Lewą ręką ścisną trzonek łopaty. Purpurowe światło słońca widać jeszcze na dachach domów, wzdłuż których idą, i w oddali, na kopule wysokiej dzwonnicy. Ale człowiek tego nie dostrzega. Widzi tylko zablocone buty mężczyzny, który kroczy przed nim. I słyszy głuchy stukot kroków.

Zostało ich jedynie sześciu. Wyszli na plac. Nie ma tu ludzi. Przed nimi znajduje się katedra, a pośrodku placu pomnik. Na postumencie stoi postać bohatera z prawą ręką podniesioną ku szczytowi wieży katedralnej albo ku niebu. Teraz skręcają w boczną ulicę, w lewo. Człowiek idzie, utykając, z nisko spuszczoną głową. Znowu skręcają (jest ich już tylko trzech czy czterech), koło studni. Słyszą, jak kołowrót nagle przestał się obracać, a strumień wody zanika powoli. I znów skręcają. (Teraz jest chyba sam, kroki tego drugiego ucichły, słyszą natomiast skrzyp furtki). Człowiek idzie samotnie, najpierw

wzdłuż żółtego muru, z którego sterczą cegły, później wzdłuż drewnianego plotu. W którymś oknie jak gdyby poruszyła się biała firanka, przypominająca gazę. W tej samej chwili człowiek usłyszał, jak znów z rytmicznym skrzypieniem zaczęło się obracać żelazne koło u studni i trysnął strumień wody.

Człowiek dotarł do drewnianej bramy i spuścił łopatę ostrzem ku ziemi. Prawą ręką z powiewającym opatrunkiem naciska klamkę i uchyla drzwi tylko na tyle, żeby precyzyjnie naciskać boki, ale zawiasy i tak skrzypią. W oknach po lewej stronie pali się już światło. Człowiek na palcach przechodzi te kilka metrów pod oknami. Nareszcie znalazł się chyba w bezpiecznym miejscu, bo kroki jego stają się pewniejsze, choć nadal utyka. Stawia łopatę obok drewnianych drzwi na grubych zawiasach i zaczyna poruszać kłódką, jak gdyby chciał ją wyrwać. Przez pewien czas bezradnie trzyma kłódkę w poranionej dłoni, jakby się zastanawiał, co począć. Odsuwa zardzewiałą osłonę, wyjmuje z kieszeni pęk kluczy i jeden po drugim próbuje włożyć w zamek, ale na próżno. Zrozpaczony, wciska głowę w dłoń i stoi tak przez jakiś czas. Może godzinę, dwie albo i dłużej.

Przesłuchanie świadka (II)

60

Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

Już mówiłem, pracowaliśmy przy nasypie.

Co się zdarzyło tego dnia?

Wyprostowałem się w pewnej chwili, żeby poprawić opatrunek na rękach. Nie były to nawet bandaże, ale dwie chustki. Pomógł mi Ofner.

Kto to jest Ofner?

Inżynier. Poznałem go w hufcu pracy.

Czy tego dnia wykonał pan przewidzianą normę?

Tak. Chyba tak.

Co było dalej?

Nic nie widziałem, bo na szklach zaschło mi błoto.

Dalej.

Nagle odniosłem wrażenie, spostrzegłem albo poczułem, że się coś stało. Jakby ucichło skrzypienie furmanki, a niewyraźnie rysujące się sylwetki ludzi znieruchomiały. Gdy zastanawiałem się, co to może być, poczułem zadany od tyłu cios w czaszkę...

Dalej.

Od uderzeń zaczęło mi się mącić w głowie. Ofnera też powalili na ziemię...

Dalej.

Kłęcząłem, osłaniając głowę rękami. Później, poprzez wrzask tych, którzy nas bili, usłyszałem, że furmanka znów skrzypi, tym razem całkiem blisko, tuż obok mojej głowy. Uprzytomniłem sobie, że dłonie znów mam owinięte jak trzeba, bo twarz kryłem w szmatach. Poczulem zapach zaschniętej na nich gliny...

Dalej.

Przez jakiś czas pozostawałem taki skulony, myśląc, że nie będę mógł się podnieść. Potem szukałem okularów, usiłując namacać je w błocie. Wreszcie znalazłem. Jedno szkło było zgniecione. To wszystko.

Dalej!

To wszystko.

Czego pan szukał tego dnia w piwnicy przy Bema 21?

Nie przypominam sobie, że bym był w piwnicy.

Próbował pan otworzyć kłódkę wytrychem.

Użyłem w tym celu jedynie swoich kluczy. Myślę, że pragnąłem się ukryć. Spędzić noc w piwnicy. Nie chciałem w takim stanie, bez górnej szczęki i bez okularów, pokazać się swoim bliskim.

Dlaczego wybrał pan akurat tę piwnicę?

Nie wiem. Dwa lata temu powiesiła się w niej pewna staruszka.

A więc chciał się pan powiesić?

Nie wiem. Może.

Poprzednio pan zeznał, że zamierzał pan ze sobą skończyć.

Możliwe.

Dlaczego pan odstąpił od tego zamiaru?

Może dlatego, że nie udało mi się otworzyć kłódki. Nie wiem.

Poprzednio, w Bakszy, zeznał pan, że bito jedynie Ofnera.

To było innym razem. Ofner zrobił wtedy jakąś uwagę i uderzono go pejczem.

Dlaczego przemilczał pan przypadek, który odnosi się do pana?

Nie wiem. Tak czy inaczej, pragnę jak najprędzej o tym zapomnieć.

Jak długo stał pan przed drzwiami piwnicy?

Nie wiem. Może godzinę, dwie albo i dłużej.

Do kogo pan wstąpił przedtem, po drodze?

W takim stanie nie mogłem pokazać się nikomu.

Poprzednio zeznał pan (cytuje): „Powiedziałem tylko Neti przed jej wyjazdem do Budapesztu, żeby nakazała swoim dzieciom zostawić nas w spokoju, bo jeśli któreś tknie nas choćby palcem” itd...

Możliwe. Chciałem tylko...

Kto to jest Neti?

Moja rodzona siostra.

Po co pojechała do Budapesztu?

O ile mi wiadomo, po jakieś dokumenty.

Po jakie dokumenty?

Po zaświadczenie w sprawie obywatelstwa ojca i dziadka, a także zaświadczenie stwierdzające, że w latach 1870–1880 dziadek regularnie płacił w gminie domiar. Możliwe, że przy okazji chciała się też wystarać o dokumenty dotyczące sprzedaży lasu naszego ojca i działalności firmy Weiss & Egell.

Proszę o tym opowiedzieć.

Nieżyjący już Jakub Weiss około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego przybył do Agramu ze swoją żoną Franciszką, z domu Pollak. Pochodziła ona z Nagykanizsy, toteż Weiss większość interesów załatwiał w Nagykanizsy i okolicach, najczęściej za pośrednictwem krewnych żony.

Czym handlował?

Z początku owocami południowymi, rodzynkami, tytoniem i śliwownicą, a później, około roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego, miał już sklep z tak zwanymi towarami lokciowymi, *Schnittwarenhandlung*...

Proszę mówić dalej.

Po kilku sukcesach, którym towarzyszyły afery sądowe, Weiss rozszerza swoją sieć handlową na znaczną część Węgier i wzbogaca listę sprzedawanych towarów: poza tymi, o których już wspomniałem, handluje również octem winnym, miodem i zbożem. Około roku tysiąc dziewięćsetnego zawiera spółkę z przedsiębiorcą zagrzebskim Egellem i wkrótce obaj uzyskują zgodę na wypalanie potażu w lasach na terenie Węgier. W tym przedsięwzięciu pomagają im jako wspólnicy Schlesinger i Pinkas Pollak, brat żony Weiss'a, Franciszki...

Dalej.

Firma ta zawarła umowę o wypalaniu potażu także z naszym ojcem. Wówczas firmę prowadziła już wdowa po Weissie, Franciszka, i jej brat, Pinkas. Po śmierci ojca umowa została przedłużona bez mojej zgody, a dochodami ze spalonych lasów podzieliły się między sobą siostry...

Dalej.

Później firma uległa likwidacji, a wierzyciele, między innymi moje siostry, zostali z pustymi rękami. Śladem tego przedsięwzięcia były tylko hektary spalonego lasu. Gdzie pan był dwa dni temu?

Pojechałem odebrać swoje rzeczy wysłane z Nowego Sadu: dwie szafy, do których wpakowałem pościel i naczyńnia kuchenne.

Jak wyglądają te szafy?

Są to dwie staroświeckie, jednoskrzydłowe szafy z drzewa orzechowego, niegdyś na wysoki połysk, nad drzwiami łukowato zwieńczone i ozdobione rzeźbionymi w drzewie, stylizowanymi różami, mówiąc dokładniej, bukietem róż, pośrodku którego znajduje się ślimakowata woluta, przypominająca główkę kontrabas.

Kto pana zawiózł do Lenti?

Niejaki Martin, woźnica.

O czym rozmawialiście po drodze?

O czosnku jako środku skutecznie pobudzającym krwiobieg i regulującym trawienie, o wzroście cen, o braku niektórych artykułów i o brzoskwiniówce.

Czy wspomniany Martin woził już pana przedtem?

Woził mnie nieraz. W roku 1909 ze stacji w Lenti na wieś, a po dwóch dniach ze wsi na stację. W roku 1914 ponownie w obu tych kierunkach. Niecały miesiąc temu z Lenti do Kerkabarabás, przedwczoraj na odcinku Barabás-Lenti-Sziget i dziś na odcinku Barabás-Csestreg.

Po co pan jeździł do Szigetu?

Wstąpiłem do Rosenberga.

Czy to ta sama osoba, o której wspominał pan już przy innej okazji?

Nie. Wtedy chodziło o Izaaka Rosenberga, młynarza i kupca z Bakszy, a to jest Jakub Rosenberg, jego młodszy brat, również kupiec.

Czego pan chciał od Rosenberga?

Chciałem pożyczyć pieniędzy. Swoim przyjazdem postawiłem go właściwie przed faktem dokonanym: wiedziałem, że nie potrafi mi odmówić. Jako dowód mojej przymusowej sytuacji pokazałem mu przez okno jednokonnny zaprzęg chłopski, na który załadowane były obie szafy. Przyznałem się, że wyruszyłem w drogę bez złamanego grosza i nie mogę nawet zapłacić furmanowi, który oto cierpliwie czeka na wozie.

Ile pieniędzy dał panu Rosenberg?

Trzydzieści pengő.

Dlaczego pan się zatrzymał u niego?

Sam mnie zatrzymał. Powiedział, żebym przenocował u niego, a woźnicę albo też zatrzymał, albo wyprawil, jako że jutro może mi użyczyć swojej dwukółki. Wolałem pierwsze rozwiązanie, to znaczy aby Martin został ze mną w Szigecie, bo wiedziałem, że w domu nie ma kto mi pomóc przy znoszeniu szaf. Na Martina zresztą nie można liczyć: gdy człowiek go wynajmuje, liczy przede wszystkim na inteligencję jego koni. Martin właściwie nie trzeźwieje i przesyfia większą część drogi.

Co pan robił u Rosenberga?

Byłem okropnie zmęczony i położyłem się wcześniej. Ponieważ dług nie mogłem zasnąć, usiłowałem dokończyć list do mojej siostry Olgi mieszkającej

w Szentadorján. Chodzi o kopię tego listu, którą już od dawna noszę przy sobie.

Od kiedy pan zna Rosenbergow?

Od czasu, kiedy jeszcze istniała firma Weiss & Pollak. Firma ta zawarła umowę z Rosenbergiem seniorem, czyli ojcem Jakuba, a nieboszczyk Maks, czyli mój ojciec, wdał się w interesy z firmą Weiss & Pollak właśnie wskutek namowy i poręczeń Rosenberga seniora. Później synowie Rosenberga czerpali zyski z wypalania potażu, jego zapasy i resztę kapitału włożyli mianowicie w wyrób szkła, powierzając sprawę czeskim majstrom szklarzom...

Proszę mówić dalej.

Wdowa po Weissie, Franciszka, wyszła w swoim czasie za Rosenberga ojca i dalej prowadziła interesy firmy razem z krewnym Rosenbergow, jakimś Schreinerem, z zawodu szklarzem. Pod nadzorem tego majstra pracowało wielu pomocników i uczniów, jak też dziesięciu węglarzy, którzy wypalali potaż do wyrobu szkła.

I co było dalej ze Schreinerem?

Schreiner pożyczył pieniądze i wykupywał lasy, także młodniaki i zagajniki, ale w pewnym momencie został bez grosza, z wierzycielami na karku. Po pierwsze, spowodowany przez nieuwagę pożar lasu zniszczył znaczną część jego nieruchomości, a po drugie, włoskie i czeskie szkło, tańsze i lepszego gatunku, po prostu przekreśliło interesy firmy Weiss & Pollak. Schreiner opuścił więc fabrykę i chyłkiem wyjechał do Budapesztu, następnie do Zagrzebia, wreszcie do Weissenbach. Nastąpiła likwidacja firmy. Lasy były spalone, na licytację poszło pięć pieców do wytapiania szkła, budynek fabryczny, budynek,

w którym mieszkali majstrzy, uczniowie i węglarze, oddzielny piec do wypalania potażu oraz stajnia na osiem do dziesięciu koni. Łączna wartość tego majątku została oszacowana na około dwóch tysięcy ówczesnych forintów. Spisano również pozostałe wyroby ze szkła, zapasy kwarcu i potażu, i wszystko to wyceniono na zaledwie trzysta forintów, a sprzęty domowe, odzież roboczą i narzędzia na jakieś dwieście pięćdziesiąt forintów. Trzeba zaznaczyć, że wyroby ze szkła, jak szklanki, butelki do octu, do piwa itd., były raczej w złym gatunku, bo pracowano tam według zupełnie prymitywnych metod.

Czy Rosenbergowie mają jeszcze w posiadaniu część tych lasów?

O ile mi wiadomo, nie. Myślę, że w porę wycofali się z interesów, a młodniaki, które tymczasem wyrosły, sprzedali rodzinie hrabiego Esterházy.

Czy Izaak Rosenberg poluje?

Nie wiem.

Jakie stosunki łączą Jakuba Rosenberga z pańskim siostrzeńcem Georgesem?

Georges zaopatrywał się u niego w wyroby ze szkła. Były to resztki tandety, które zachowały się w piwnicach Rosenbergow, albo towar podobnej jakości, sprowadzany z Budapesztu czy z Nagykanizsy.

Jakie stosunki łączą Rosenberga z panią Fischer?

Rosenberg zbiera naczynia szklane i wyroby czeskich majstrów. Ma także cenną kolekcję naczyń kultowych i lamp. Nieboszczyk Fischer, jak mówiłem, był rzezakiem i również zbierał naczynia obrzędowe, zainteresowanie Rosenberga tym, co pozostawił, jest więc

zupełnie zrozumiałe. O ile mi wiadomo, Rosenberg wykupił część zbiorów od pani Fischer, natomiast pozostałymi pięcioma czy sześcioma przedmiotami rzekomo w ogóle się nie interesował, choć pani Fischer powiedziała mi przy jakiejś okazji, że nie rozstałaby się z nimi, nawet gdyby miała umrzeć z głodu. Osobiście przypuszczam, że lekceważenie wartości i wieku tych przedmiotów jest manewrem taktycznym ze strony Rosenberga, który nawet przy ostatnim naszym spotkaniu zapytywał, czy wdowa Fischer jeszcze przechowuje w swoim prywatnym muzeum „tę tandetę, o której myśli, że to skarby”.

Pośredniczył pan zatem pomiędzy Rosenbergiem a panią Fischer?

Owszem, ale dawniej, gdzieś koło roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego. Wówczas, gdy Fischer stracił pracę i zanim jeszcze został rzezakiem, zaproponowałem, że znajdę człowieka, który by na dogodnych warunkach odkupił część jego kolekcji. Fischer nawet słyszeć o tym nie chciał, ale już wtedy, o ile sobie przypominam, Rosenberg wstąpił do nich i oglądał te zbiory. Czy coś kupił, nie wiem.

Ile razy pośredniczył pan między nimi?

Tylko raz. Później Rosenberg sam kilkakrotnie przyjeżdżał do Nowego Sadu i osobiście załatwiał te sprawy. Wtedy jeszcze mógł się ruszać...

Jak to?

Od trzech lat jest unieruchomiony, to znaczy przykuty do wózka. Cierpi zdaje się na paraliż postępujący lub jakąś podobną chorobę.

Czy przedtem, gdy jeszcze mógł się ruszać, odwiedzał Mayerów?

Nie wiem.

Co zbiera Rosenberg prócz naczyń szklanych?

Dawniej zbierał chyba znaczki. Nie wiem o tym nie pewnego, tylko się domyślam, bo kiedyś prosił, żebym zachował dla niego cenniejsze znaczki z zagranicznych listów. Innym razem interesował się czarnogórskimi znaczkami z czasów króla Nikoli i chciał, żebym się o nie wystrzął, ale rozchorowałem się wtedy i nie mogłem mu pomóc.

A czy, jako amator, zajmuje się radiotelegrafią?

Nic o tym nie wiem.

Czy Rosenberg przekazał panu jakieś wiadomości pochodzące, jego zdaniem, z wiarygodnych źródeł?

Nie.

Niech pan się dobrze zastanowi.

Powiedział tylko, że jego zdaniem przedkładanie dokumentów dotyczących obywatelstwa i płacenia domiaru w gminie jest ostatnim środkiem, jaki władze przedsięwzięły w stosunku do nas. Nie mówił natomiast, że jest to informacja uzyskana z wiarygodnych źródeł.

Jakie stosunki łączą Rosenbergów z Mayerami?

Poza kontaktami zawodowymi, handlowymi, przez pewien czas Rosenberg i jeden z synów Mayera, archeolog, utrzymywali, że tak się wyrażę, kontakty naukowe. Rosenberg mianowicie nakłaniał Mayera, aby w trakcie poszukiwań archeologicznych spróbował ustalić udział zabytków sztuki i piśmiennictwa semickiego w wykopaliskach na terenie Panonii.

Często się spotykali?

Nie wiem.

Kto mieszka razem z Rosenbergiem?

Jego żona Sylwia, która prowadzi sklep od czasu, jak Rosenberg został przykuty do wózka, a poza tym służba: woźnica, ogrodnik i służąca, która opiekuje się chorym.

Co to za woźnica?

Ma koło sześćdziesięciu lat, a zachowuje się jak sjamski brat Martina. Pomagał mu przy wyprzęganiu i nietrudno było zauważyć, że obaj są pijani. Sam Rosenberg powiedział, że ten jego woźnica i służący rzadko bywa trzeźwy.

Ogrodnik?

Jest to niejaki Borys Awramowicz Struve, pochodzi z Rygi. Jako jeńiec wojenny w tysiąc dziewięćset szesnastym roku dostał się do Abazii. Po pierwszej wojnie światowej otworzył tam zakład fryzjerski, następnie in-troligatornię, a w końcu pracownię krawiecką. Przez pewien czas miał mały ogródek zimowy, w którym przeprowadzał eksperymenty z owocami południowymi i egzotycznymi kwiatami, kupując nasiona od marynarzy. Pracował też jako ogrodnik i lift-boy w jednym z hoteli w Abazii, gdzie poznał się z Rosenbergiem. Do dnia dzisiejszego goli Rosenberga co rano o ósmej i przygotowuje mu jakąś specjalną kąpiel, ogrodnictwem natomiast zajmuje się ubocznie i, powiedziałbym, bez zapału.

Posługaczka?

Jest to stara panna, po pięćdziesiątce. Tyranizuje Rosenberga i jego żonę. Podczas naszej wieczornej rozmowy weszła do pokoju bez pukania i odepchnęła wózek

z Rosenbergiem, który uśmiechał się tylko i wzruszał ramionami, dając mi do zrozumienia, że tak musi być. Na imię jej Rozalia. Ją również Rosenberg sprowadził z Abazii, gdzie pracowała jako pokojówka. Myślę, że z początku istniała jakaś sympatia pomiędzy nią a Borysem Awramowiczem, ale teraz po prostu się nie cierpią. Powiedziała mi to pani Rosenberg.

Co między nimi zaszło?

Roza dowiedziała się, że Borys koresponduje z jakąś damą w Rydze, to znaczy korespondował z nią jeszcze przed trzema laty. Ta dama z Rygi była podobno jego nieślubną żoną i miała z nim syna. Fakt ten czterdziesto-dwuletnia Roza przeżyła jako potworną zdradę i chciała popełnić samobójstwo. Połknęła tabletki uśmierzające, które zażywał Rosenberg, ale ta ilość nie wystarczyła, by zabić jej nieszczęście.

Czy Borys Struve nadal koresponduje ze swoją nieślubną żoną albo z synem?

Od jakichś trzech lat wszelki śluch o nich zaginął.

Czy Struve pisuje jeszcze do kogoś za granicą?

Przez pewien czas korespondował z kuzynem zamieszkałym w Paryżu, ale gdy ten dał mu znać, że jego żona i syn najprawdopodobniej nie żyją, Struve przestał w ogóle odpisywać na listy. Powiedział mi to Rosenberg.

Kiedy poznał pan Borysa Struve?

Podczas mojej pierwszej bytności u Rosenbergów, gdzieś w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Struve pracował wtedy u nich jako ogrodnik. Z ich dużego ogrodu wyrzucił *Gartenzwerge* i powrywał tanetne goździki, a zamiast nich posadził francuskie róże.

Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy z dziedziny ogrodnictwa. Niestety nie miałem okazji ani możliwości wykorzystania w praktyce tego, czego się od niego nauczyłem.

Czy Struve pisywał do pana?

Napisał do mnie tylko raz, gdzieś w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, prosząc, żebym kupił i przysłał mu książkę o holenderskich tulipanach. Nie odpowiedziałem na ten list, ponieważ przeszkodził mi stan zdrowia.

Po co pan był w tym roku u Rosenbergów w Csestreg?

Chciałem załatwić sprawę lasu. Według oświadczenia moich siostr największy zysk ze spalonych lasów wyciągnęli Rosenbergowie, toteż zamierzałem wyjaśnić z nimi tę sprawę. Odszedłem z kwitkiem, niczego nie załatwiłem. Rosenbergowie po prostu umyli ręce, twierdząc, że wszystko jest w najlepszym porządku i nie czują się winni ani zobowiązani z powodu tego, że ich nieboszczyk ojciec doradzał mojemu ojcu, aby powierzył swoje lasy firmie Weiss & Pollak.

Czy jednak dali panu jakieś pieniądze w formie, powiedzmy, odszkodowania?

Tak. Zupełnie symboliczną sumę dwustu pengő.

A czy suma, jaką Rosenberg dał panu obecnie w formie pożyczki, może zdaniem pana pójść na konto jego zobowiązań?

W pewnym sensie tak.

Czy Struve zajmował się czymś jeszcze prócz tego, co pan wymienił?

O ile mi wiadomo, nie.

Poprzednio, przy innej okazji, powiedział pan: „Struve poprosił mnie, żebym mu przywiózł z Nowego Sadu części do radia”.

Owszem, chodziło o lampę do radia marki Orion.

Przywiózł mu pan tę lampę?

Nie przywiózłem. Nieprzewidziane wydarzenia nie pozwoliły mi myśleć o takich sprawach.

Co pan rozumie przez „nieprzewidziane wydarzenia”?

Chodzi o zawalenie się domu, w którym mieszkałem, i o następstwa tego wypadku.

Poprzednio zeznał pan (cytuję): „Jestem głęboko przekonany, że dom zburzył szczur”. Czy podtrzymuje pan to zeznanie?

Tak.

Wróćmy do Borysa Struve. Czy prosił pana o coś jeszcze w związku z wyjazdem do Nowego Sadu?

Prosił, żebym mu przywiózł dobry pędzel do golenia. „Dla pana”, jak się wyraził. Obiecałem mu to, zwłaszcza że sam też nie mam przywoitego pędzla. Niestety nie znalazłem, ani dla siebie, ani dla niego.

Jeśli ktoś potrafi wymienić w aparacie radiowym lampę, czy nie wydaje się panu, że taki ktoś zna się również na technice radiowej?

Niekoniecznie. Ten rodzaj naprawy, polegający na wymianie części, potrafi wykonać każdy amator.

Czy wiadomo panu, że Struve był zbrojmistrzem?

Coś o tym słyszałem.

Czy widział pan jakiś warsztat w domu Rosenbergów?

Nie.

W jakich pomieszczeniach pan przebywał?

W przedpokoju, w pokoju gościnnym i w jednej z dwóch sypialni. Właściwie nie jest to sypialnia, lecz pokój, gdzie stoi kanapka, na której spałem.

Słyszał pan jakieś podejrzone odgłosy?

Nie słyszałem żadnych odgłosów. Przed położeniem się spać wypiliśmy z gospodarzem litr tramineru i zmęczony drogą, zasnąłem jak susel.

Czy Struve był z wami, gdy piliście traminer?

Nie.

A gdzie był?

Myślę, że zajął się Martinem i wozem. Widziałem go tylko podczas kolacji. Był przygnębiony i skarżył się na ból głowy.

W jakich stosunkach pozostawał Struve z Poltarackim?

Przy pewnej okazji zapytałem go, to znaczy pana Struve, co myśli o Poltarackim (było to kilka lat temu), na co odpowiedział, że jeśli chodzi o niego, najchętniej strzeliliby Poltarackiemu w łeb. Przeraziło mnie to, tym bardziej, że pan Borys, to znaczy Struve, jest człowiekiem spokojnym, zrównoważonym, i takiej wypowiedzi nie mogłem się po nim spodziewać. Wiedziałem, że w swoim czasie obydwa żyli w Nowym Sadzie jak bracia, na dobre i na złe, znajomi uważali ich za swego rodzaju spiskowców i masonów. Struve był wówczas podobno ordynansem pana Poltarackiego, chcę powiedzieć: grał w oczach ludzi rolę, która była mu przeznaczona. Myślę, że istniały też jakieś intrygi miłosne związane z Sofią Nikolajewną,

żoną Poltarackiego. Mówiono, że ten trójkąt, Struve–Sofia Nikołajewna–Poltaracki, żyje całkiem zgodnie. A zatem wyznanie pana Struve, że najchętniej strzeliłby Poltarackiemu w łeb, najprawdopodobniej nie wynikało z zazdrości. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili. Potwierdził to sam Borys, wyjaśniając motywy swojego wzburzenia: teraz już nieżyjący, pan Poltaracki nawiązał był kontakty z trockistami. Sądzę, że to spowodowało ich zerwanie.

A więc pana zdaniem Borys Struve, wbrew pewnym faktom, nie mógłby pracować dla Sowietów?

Jestem o tym głęboko przekonany.

Na podstawie czego?

Wszystko wskazuje, że Struve w czasach, kiedy przyjaźnił się z Poltarackim, przez swoją postawę i działalność pracował przeciwko Sowietom. Po otrzymaniu wiadomości o aresztowaniu i zniknięciu syna i żony nagle zobojętniał, zarówno w stosunku do Sowietów, jak do Poltarackiego, choć były to wtedy przeciwne pozycje. Po prostu zobojętniał na wszystko. Jego obecny stan psychiczny również jest następstwem takiej postawy. Rosenberg twierdził, że dostrzega u niego, czyli u Borysa, oznaki poważnych zaburzeń psychicznych. Ból głowy, na który skarżył się tamtego dnia, to też tylko wymówka. Ostatnio interesuje się teozofią i należy podobno do jakiegoś kółka spirytystów, którego aktywną członkinią jest również jego przyjaciółka Roza. Struve usiłuje chyba, jak to określił Rosenberg, żyć poza sprawami tego świata.

Wróćmy do Rosenberga. Powiedział pan poprzednio, że jego jedyny syn zaginął...

Nie znam dokładnie tej sprawy. Moja siostra zazna-
czyła, żebym absolutnie nie pytał Rosenberga o syna,
a to samo powiedziała mi w drzwiach niezbyt uprzejma
panna Roza, posługaczka.

Znał go pan osobiście?

Wiedziałem go tylko raz. Pracował wtedy w Nowym
Sadzie jako praktykant w aptece „Pod Białym Krzyżem”,
którą dzierżawił Zsigmond Lukács. Potem pracował przez
pewien czas w aptece Jovana Grossingera. Było to dwa
lata temu.

Kto to jest Zsigmond Lukács?

Mój stary znajomy. Miał aptekę przy ulicy Jean-Louis
Barthou. Później aresztowano go i zamknięto w więzieniu,
a następnie wywieziono do Belgradu. Słyszałem, że sko-
nał podczas przesłuchania. Bito go, a usta miał zatkane
brudnymi szmatami. Opowiadał mi o tym Grossinger.

Kto to jest Grossinger?

Też aptekarz. Przez pewien czas trzymano go w wię-
zieniu, a później rozstrzelano jako zakładnika. Jego na-
zwisko przeczytałem w obwieszczeniu wśród nazwisk
innych rozstrzelanych.

Wróćmy do syna Rosenberga. Co pan wie o jego losie?

Zdaniem mojej siostry Olgi, ukrywał się przez pewien
czas w Nowym Sadzie, w jednym ze szpitali, pracując
tam jako anestezjolog. Prawdopodobnie ktoś go wydał
i wtedy Rosenberg połknął dużą dawkę morfiny, ale dzięki
szybkiej pomocy lekarskiej został przy życiu. Potem wy-
wieziono go do Budapesztu, gdzie załamał się i popełnił
samobójstwo...

Dalej.

W przystępie szaleństwa powybijał sobie zęby i roztrzaskał czaszkę, uderzając głową o kamienną ścianę celi. Nie jest wykluczone, że był pod wpływem jakiegoś narkotyku.

Czy pan często wyjeżdża?

Tylko z konieczności i za zezwoleniem władz.

Czy podczas swoich spacerów po lesie widział pan może kogoś podejrzanego?

Dotychczas, jak już mówiłem, zdarzyły mi się w lesie dwa spotkania z ludźmi: z moim siostrzeńcem Georgesem i z myśliwymi, wśród których znajdował się niejaki Tóth, człowiek bardzo mi niezyczliwy.

Kiedy wyjechał pan z Szigetu?

Nazajutrz rano, czyli dziewiątego.

Czy Rosenberg zatrzymywał pana u siebie?

Powiedziałem, że spieszę się do domu, i wyjaśniłem mu powód tego pośpiechu: najdalej do czternastego muszę znowu być w Nowym Sadzie, ponieważ otrzymałem wezwanie z tamtejszego Wydziału Kontroli Cudzoziemców.

Ma pan już wymagane dokumenty?

Moja siostra Neti pojechała w tej sprawie do Budapesztu. Ma załatwić również dla mnie wymagane zaświadczenia o obywatelstwie rodziców i o placeniu domiaru w gminie. Tak się przynajmniej umówiliśmy.

Czy przed wyjazdem od Rosenbergów spotkał się pan jeszcze z Borysem Struve?

Nie widziałem go aż do chwili, gdy wsiadłem na wóz. Wtedy na moment ukazał się za firanką i chyba pomachał mi na pożegnanie.

Zatrzymywał się pan gdzieś po drodze?

W Bakszy wypiliśmy, to znaczy Martin i ja, po ćwiartce rakii na rozgrzewkę.

Rozmawiał pan z kimś w gospodzie?

Oprócz nas nie było wtedy nikogo. Tylko pani Klara, oczywiście.

O czym pan z nią rozmawiał?

O pogodzie, o drożyznie i o podwyżce ceny alkoholu. Zwrócił jej pan dług?

Nie byłem w stanie tego uczynić.

Czy robił pan jakieś aluzje?

Nie rozumiem.

Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

Nic takiego sobie nie przypominam, chyba że uważa pan za aluzję zdanie stanowiące kawalerski komplement dla pani Klary.

Jak brzmiało to zdanie?

Powiedziałem mniej więcej tak: Chciałbym zobaczyć panią Klarę wiosną. Jeżeli jeszcze tu będę. Miałem na...

Co znaczy: „jeżeli tu będę”?

Jeżeli będę żywy. To miałem na myśli.

Co się kryje pod hasłem „buty” i „pędzel do golenia”?

Chodzi o najzwyczajsze buty i pędzel do golenia. Obiecała mi je moja siostra Olga, gdy byłem u niej ostatnio przez jakiś tydzień.

Co to za buty?

Należały do jej zmarłego męża, Maurycego.

Widział je pan?

Widziałem. Stały w spiżarni na półce, wśród dziesięciu par wysokich butów, kaloszy i damskich pantofli.

Proszę je opisać.

Jestem zmęczony.

Proszę opisać te buty.

Są to półbuty z imitacji szarego zamszu, tak mi się przynajmniej zdaje. Mają okrągłe czubki, twarde noski i napiętki. Numer czterdzieści cztery lub czterdzieści pięć... tak czy owak, na mnie są za ciasne, bo przymierzyłem je naprędce, żeby Olga nie widziała. Z pewnym wysiłkiem chyba jednak mógłbym w nich chodzić, tym bardziej że mają podwójną podeszwę, choć przysiągłbym, że jedna z nich jest tekturowa. Z wyglądu wcale mi się nie podobają, bo ozdobione są dziurkami tworzącymi jak gdyby płatki śniegu po obu stronach poniżej sznurowania, na przedniej części buta.

Czy poza gospodą w Bakszy wstępował pan gdzieś jeszcze? Tak czy nie?

Nie. Martin może potwierdzić, jeżeli cokolwiek pamięta.

Kiedy pan przyjechał do domu?

Około piątej po południu.

Kto panu pomagał przenosić szafy?

Razem z woźnicą pchaliśmy je po śniegu na podobieństwo sań. To był mój pomysł.

Czy jeszcze ktoś panu pomagał?

Nikt.

Gdzie była pańska żona z dziećmi?

Gdy otworzyłem drzwi, zrozumiałem, że w największym pośpiechu opuścili mieszkanie.

Na podstawie czego sądził pan, że uczynili to w największym pośpiechu?

Najpierw spostrzegłem tekturowy tornister i książki, porzucane w nieładzie na stole w kuchni i na skrzyni pod oknem. Książki były otwarte, przybory do pisania wypadły z piórnika. Łóżko niezastane, ściana, która miała być pobielona podczas mojej nieobecności, niepobielona. Wiadro z pędzlem stało w kącie, a na ścianie wyraźnie widać było kilka pociągnięć pędzla, które ktoś nagle przerwał.

Pytał pan krewnych, co się stało?

Nie. Spytałem tylko pana Hermana, sąsiada, którego okna patrzą na nasze podwórze, czy przypadkiem nie widział, kiedy moja żona z dziećmi wyszła z domu.

Kim jest Herman?

Szewcem. Nieraz nam pomagał, pożyczając kartofli, mąki kukurydzianej, soli...

Co powiedział?

Że około dziesiątej rano widział żandarmów, którzy z pewnością mnie szukali, a zaraz po ich odejściu moja żona z dziećmi w wielkim pośpiechu wyszła z domu. Na pytanie, czy wie, w jakim kierunku, niepewnie wskazał gdzieś w stronę lasu.

Zwracał się pan jeszcze do kogoś?

Koło kładki na rzecze spotkałem panią Fanni, członkinię trzeciego zakonu, jak sama o sobie mówi. Gdy chciałem do niej podejść, złapała się za sznur, który nosi pod spódnicą, i uciekła, jakby ją kto gonił.

Jak pan to tłumaczy?

Myślę, że coś z nią jest nie w porządku.

Pytał pan jeszcze kogoś?

Po drodze spotkałem listonosza, któremu przed kilku godzinami zdawało się, że widział, jak moja żona i dzieci

biegną w stronę Traktu Rzymskiego. Wtedy pomyślałem, że najlepiej będzie poczekać na nich w domu, bo gdyby wrócili wcześniej niż ja, mogłoby dojść do nowego nieporozumienia. Poza tym byłem zmęczony i noga mnie bolała... Przyszli dopiero o zmroku.

Dlaczego nie zwrócił się pan do swoich krewnych?

Uważałem, że sami mogliby mnie powiadomić o tak ważnej sprawie. Poza tym byłem pewien, że przyglądali mi się zza firanki.

Gdzie przez ten cały czas była pańska żona z dziećmi?

Kryli się w zagajniku za rzeką. Jest tam szałas pasterski, w którym się schronili. Przyszli do domu przemarznięci i przerażeni.

Dlaczego zaraz nie stawił się pan na wezwanie, które przynieśli żandarmi?

Ze względu na zmęczenie i chorą nogę nie mogłem jechać zaraz, poszedłem więc do sołtysa, pana Fehéra, zapytać o radę. Powiedział, że nie wie, co mi doradzić w tak delikatnej sprawie, ale w razie potrzeby gotów jest poświadczyć, że tego wieczoru byłem u niego.

Czy poprzednio rozmawiał pan kiedyś z sołtysiem, panem Fehérem?

Po raz pierwszy spotkałem się z nim zaraz po naszym przyjeździe do wsi. Powiedział mi wtedy, że byłby znacznie bardziej zadowolony, gdybym nie znajdował się na terenie jemu podległym, ponieważ nie lubi mieć do czynienia z policją. Po raz drugi przyszedłem wezwany przez niego z powodu może zbyt głośnej kłótni z moim siostrzeńcem Georgesem. Kto wie, co mu Georges nagadał.

Co się panu stało w nogę?

Podczas wspomnianego wypadku w hufcu pracy jeden ze strażników chyba rozciął mi butem goleń. Na szczęście kość się nie złamała.

Ma pan świadectwo lekarskie w związku z tym skalectwieniem?

Nie mam.

Kto pana leczył?

Pan Jakub Herzog.

Gdzie i kiedy poznał pan Herzoga?

Herzog zjawił się w Kovinie tuż przed moim wyjazdem po drugim z kolei pobycie w szpitalu. Odbynał tam praktykę lekarską. Ponownie spotkałem go dopiero w hufcu pracy, podczas robót na terenie cegielni.

Proszę mówić dalej.

Ponieważ następnego dnia po wypadku wyraźnie kulałem, doktor Herzog podszedł do mnie, kiedy wracaliśmy z cegielni, i powiedział, że byłoby dobrze, gdybym wstąpił do niego i pokazał tę nogę. Tym bardziej, że poskarżyłem mu się na nieznośny ból, sińce i opuchliznę. Mieszkał przy ulicy Szkoły Greckiej. Poszedłem z nim od razu. Orzekł, że przydałby mi się odpoczynek, ale kość prawdopodobnie nie jest naruszona, tak mu się przynajmniej zdaje. Dokładnie można by to stwierdzić tylko przy pomocy rentgena.

Dalej.

To wszystko.

Kiedy Herzog zniknął z hufca pracy?

Kilka dni później. Rano nie stawiał się na apel. Tego dnia strażnicy byli bardzo surowi.

Czy wie pan, co się z nim stało?

Razem z żoną ukrywał się w Budapeszcie pod fałszywym nazwiskiem. Gdy żandarmi zapukali do drzwi, Herzog i jego żona zażyli cyjanek.

Kto panu opowiadał te szczegóły o śmierci Herzoga?

Filip Uhlmann.

Kto to jest Uhlmann?

Optyk. Jego pracownia przy ulicy Świętego Sawy niedawno została zamknięta. Mieszka z żoną w podwórzu tej samej kamienicy. Po wypadku na cegielni prosiłem, aby mi naprawił okulary, ale powiedział, że wszystkie jego narzędzia i materiały są zapieczętowane w pracowni. Starał się zresztą o ponowne zezwolenie na pracę. Uhlmann skierował mnie wtedy do Jovana Benedeka, Wybrzeże Dunajskie 8, który wstawił mi stłuczone szkło za niewielką opłatą.

Kim jest Jovan Benedek?

Jego matka, katoliczka, pochodzi z Sopronu, a Benedek ma również żonę katoliczkę, niejaką Julię Almási z Suboticy. Po dwóch tygodniach spędzonych w areszcie wypuszczono go na wolność. Za wstawiennictwem wpływowych przyjaciół matki pozwolono mu znów otworzyć pracownię.

Znał pan Benedeka przedtem?

Nie.

Pańscy krewni, a konkretnie Gyula-Georges Boroska, poinformowali żandarmów, że wyjechał pan do Budapesztu...

Rzeczywiście mam zamiar jechać w tych dniach do Budapesztu, ale przecież wiedzieli, że jeszcze nie wyjechałem.

Co pan tam ma do załatwienia?

Spróbuję za pośrednictwem Ministerstwa Komunikacji wpłynąć na stanowisko komisji, która w moim przekonaniu niesprawiedliwie i niezgodnie z przepisami zmniejszyła mi rentę inwalidzką.

Czy to jedyny powód wyjazdu?

Szczęka, którą wstawił mi Löbl, mocno mnie uwiera. Mam zamiar pójść do niejakiego doktora Barny, który ogłasza się w gazetach. Wstawia szczęki po umiarkowanych cenach, z gwarancją na dziesięć lat.

Kto to jest Löbl?

Löbl był ze mną w hufcu pracy, lecz nagle zniknął. Później dowiedziałem się od Herzoga, który siedział z nim w areszcie śledczym, że Löbla skazano na śmierć i powieszono. Zawisł na szubienicy półżywy. Wskutek bicia po stopach ropiała mu noga, a na łydce miał wielką otwartą ranę, w której białały kości...

Obrazy z podróży (tv)

61

Człowiek siedzi obok woźnicy. Na wozie znajdują się meble przewiązane w dwóch miejscach sznurem. Człowiek trzyma między kolanami laskę, której preclowaty uchwyt obraca w rękach. Woźnica trzyma między zębami zgaszoną fajkę. Dwa tegie styryjskie konie powoli ciągną wóz po zamrzniętym śniegu, skrzypiącym pod kołami. Najpierw jadą wąską ulicą, później skręcają w lewo, na duży plac. Śnieg przestał padać. Człowiek podnosi głowę, a potem zdejmuje okulary i przeciera szklą rogiem chusteczki. Po lewej stronie powoli przesuwają się gotyckie kamienice ze stylizowanymi gzymsami. Duża żelazna brama jest zamknięta, podobnie jak żelazne żaluzje na oknach. Przed nimi, w kierunku, w którym porusza się wóz, stoi gotycka katedra. Człowiek spogląda na zegar kościelny i wyjmuje zegarek z kieszeni, pewnie chce go nastawić. Zegar na wieży wskazuje trzecią. Drzwi katedry są otwarte. W cieniu portalu człowiek dostrzega jakąś sylwetkę, ale nie może rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Sylwetka jakby się poruszała. Człowiek przypuszcza, że ten ktoś żegna się raz po raz, pochylając nisko głowę. Wydaje mu się poza tym, że

w głębi, przez szeroko rozwarte drzwi, dostrzega migotanie świateł. Może jest to tylko gra światła na witrażach albo złudzenie. Na placu nie ma ludzi. Oprócz sylwetki, na którą pada cień portalu, widać tylko jednego mężczyznę, prostującego się nagle za wysoką stertą śniegu. Oparł się na drewnianej łopacie i patrzy w stronę wozu. Siedzący na wozie człowiek w okularach też spogląda na niego. Potem traci go z oczu. Mężczyzna z łopatą jakiś czas jeszcze patrzy za wozem, po czym schyla się i znów zaczyna odrzucać śnieg na stertę. Człowiek na wozie ogląda się w stronę, gdzie przed chwilą widział sprzątacza, ale teraz już go nie widać, bo zasłonięty białym pagórkami i pochylony, skrobie łopatą po twardym, skrzypiącym śniegu. Człowiek w okularach nie może tego słyszeć. Słyszy tylko skrzyp wozu, na którym siedzi. Teraz widzi jedynie psa. Pies przez pewien czas ze spuszczoną głową włócił się za wozem, a nagle pobiegł w bok, niezgrabnie skacząc po śniegu, w którym grzęzną mu łapy. Kilka gołębi, które dotychczas spokojnie dziobały coś w śniegu, poderwało się i po krótkim wahaniu usiadło na postumencie pomnika. Człowiek przygląda się, jak pies brnie przez śnieg, podskakując. Jest już bardzo blisko pomnika. Na marmurowym postumencie stoi postać bohatera, który podnosi prawą rękę, wskazując ku szczytowi wieży katedralnej albo ku pochmurnemu niebu. Na ramionach ma łąty śniegu przypominające duże białe epolety. Pies dotarł już do podnóża postumentu, na którym przycupnęły dwa białe gołębie, z daleka podobne do płam śniegu. Chyba nie mają zamiaru uciekać, jak gdyby wyczuwały, że pies nie potrafi ich dosięgnąć. Stoją tam jeszcze

przez jakiś czas spokojnie, a w pewnej chwili podrywają się z głośnym trzepotem skrzydeł. Pies odprowadza je spojrzeniem, po czym zbliża się do postumentu i podnosi tylną łapę. Człowiek w okularach wodzi wzrokiem za gołębiami, które krążą niezdecydowanie, a potem nagle wzbijają się i nikną w fałdach gotyckich okien katedry, na gzymsie i w koronkowej rozecie nad portalem. Człowiek w okularach spogląda teraz na psa, który wraca przez śnieg i zajmuje swoje dawne miejsce o jakieś pięć kroków za wozem. Człowiek mówi coś do woźnicy. Zapewne podaje mu adres, na który trzeba odwieźć meble. Woźnica kiwa głową i powoli ściąga lejce. Wóz skręca w boczną ulicę, tym razem w prawo. Jadą dalej bez słowa.

Śledztwo (1v)

62

Kiedy E.S. przybył na miejsce przeznaczenia?

Przybył na peszteński Dworzec Wschodni o godzinie siedemnastej minut dwadzieścia według czasu środkowoeuropejskiego, z katastrofalnym opóźnieniem około stu dwudziestu minut.

Co było przyczyną opóźnienia?

Zaspy śnieżne.

Czego podróży żałował?

Że nie napełnił swojej aktówki kanapkami i oprócz jednej nie wziął więcej butelek piwa na stacji w Nowym Sadzie.

Dlaczego był wściekły?

Dlatego, że najczęściej nie potrafił z poznania empirycznego wysnuć niezbędnych nauk.

Na przykład?

Zdarzało się nieraz na różnych liniach, a więc i na tej (Nowy Sad–Budapeszt), że z rozmaitych powodów do składu nie przyłączano wagonu restauracyjnego i był przez to głodny/spragniony (poznanie empiryczne), a jednak głupio i uparczywie wierzył raczej rozkładowi jazdy, w którym obok numeru pociągu widniał pięknie

wyrysowany znak heraldyczny widelca skrzyżowanego z nożem, niż wielorakiemu i w sposób tak niemiły osiągniętemu poznaniu.

Proszę przytoczyć jeszcze jakiś przykład.

Mnóstwo razy doświadczył zgubnego działania alkoholu (poznanie emp.), ale pomimo to wciąż na nowo zaczynał pić tak, jakby mu się to zdarzało pierwszy (czy choćby ostatni) raz w życiu i jakby przed paru dniami nie poniósł wszystkich konsekwencji tego swojego nie-poznania.

Jakie skutki dodatnie, w związku z ostatnim przykładem, odnosiły przewagę nad tak zwanymi negatywnymi konsekwencjami i za pomocą odmiennego poznania empirycznego obracały w proch empiryczne poznanie przykrych następstw?

Wzmoczone życie uczuciowe podczas pijaństwa: przyływ siły, potencji i energii psychicznej; sztuka retoryczna, powoli zamieniająca się w bełkot, zwroty i figury stylistyczne (metafory, metonimie, wariacje na ten sam temat, synkopy, gry słów itd.); częściowy lub całkowity zanik kynofobii; zwiększenie motoryki, rozluźnienie vegetatywnego układu nerwowego; wymienne występowanie sentymentalnych (kobiecych) i agresywnych (męskich) nastrojów; nagłe rozbudzenie uczuć towarzyskich, zarówno wobec stojących wyżej, jak też niżej od niego (w sensie zawodowym, społecznym, finansowym i umysłowym); bratanie się z przedstawicielami wszelkich zawodów, bez względu na płeć, rangę społeczną i wyznanie; podniecenie występujące na przemian z agresywnością; nagłe przypominanie sobie i używanie różnych (znanych i nieznanymi)

języków oraz posługiwanie się nimi, przy obfitym stosowaniu gry słów, w ten sposób, że znaczenie danego słowa w jednym języku, dzięki zmianie akcentu lub wprowadzeniu niewielkiej deformacji, najczęściej tłumaczy się również w innym języku; lekceważenie pieniędzy i dobroczynne skutki tego lekceważenia: poczucie bogactwa, hrabiowska galanteria (stawianie innym i wysokie napiwki); nagłe przypominanie sobie piosenek (melodii albo słów), które od lat lub od dziesiątków lat trwały, przysypiane popiołem, gdzieś na dnie zapomnienia; wesołość szukająca ujścia w piosence i muzyce; wybijanie taktu rękami na powierzchni stołu, nogami na rezonującej desce podłogi lub dłońią o dłoń; nagłe powiększenie rozpiętości głosu od basu do wysokiego altu, jak też możliwość łatwego dosięgnięcia oktaw na trzeźwo niedostępnych; wzrost muzykalności, wzmocnienie strun głosowych, zmiana barwy głosu (na ładniejszą); znakomita zdolność improwizowania nieznanymi melodii i rytmów (czardasz, polka andrusowska, ballady, romanse); słuchanie własnego głosu (z zamkniętymi oczyma) jako głosu kogoś innego w nas lub poza nami; zależna od charakteru i kaprysu piosenki zmienność nastrojów, które można dowolnie (przez powtarzanie piosenki) ponawiać prawie z tym samym nasileniem; wżywianie się w łatwą fabułę czy temat piosenki-melodii i wywołane tym asocjacje (młodość, miłość, śmierć); przyjemne ciepło wschodzące z vegetatywnego układu nerwowego niby małe słońce w człowieku (porównanie z kobietą, która poczuła we wnętrzu swojego ciała pierwsze oznaki życia: *i błogosławion owoc żywota twojego*); świństewka, które obok

piosenki, żartu i gry półsłówki przynoszą człowiekowi ulgę poprzez śmiech; całowanie w rączkę kelnerki, panierek przy kasie, szatniarek, prostytutek, kwiaciarek, jak też zacnych dam, całowanie w rączkę przy wręczaniu napiwku jako oznaka nastrojów demokratycznych i zarazem oglady; zwierzanie się ze spraw intymnych nieznanym osobom (kobietom i mężczyznom) po to, aby wywołać wzruszenie, współczucie lub zdumienie i w ostatecznej konsekwencji *katharsis*; ubolewanie nad śmiertelnością człowieka i przejściowe silne odczucie nieśmiertelności chwili.

Jakie negatywne konsekwencje nie odnosiły przewagi nad wyżej wymienionymi?

Te, których się zapominał, gdy minęły pierwsze oznaki kociokwiku (*Katzenjammer, másnaposság*): koszmarny sny (starość, zguba, śmierć), przykre budzenie się z takiego snu i piekielne pragnienie, które, jak płonący las, ledwie można ugasić wodą; potworny ból głowy, którego nie uśmierza aspiryna; męczące uczucie skruchy z powodu czegoś, co się popełniło i co nie jest jeszcze zupełnie jasne, ale w miarę trzeźwienia nabiera coraz większej oczywistości i coraz bardziej męczy, kiedy wypadki poprzedniego wieczoru zaczynają się przypominać i ukazywać w prawdziwym świetle; patrzenie na siebie jak na kogoś innego, kto głupio szasta pieniędzmi, wrzeszczy, wybija takt dłońmi i łokciami na odbrzmiewającej powierzchni stołu, całuje ręce panierek przy kasie, kelnerki i dziwek, przemawia w obcym języku, który sam ledwie rozumie, do ludzi, którzy go nie rozumieją lub rozumieją co nieco i niewłaściwie, bawi słuchaczy niewybredną

grą półsłówek, opowiada słone kawały albo sypie świńskimi powiedzonkami (*le vagytok szarva cseresznyemagos büdös kurvaszarra!*), zwierza się z intymnych spraw nieznanym i niezainteresowanym ludziom; odór gorzałki, który czuje w sobie, i odór własnego ciała oraz przewieszony przez krzesło obok łóżka, poplamione i wilgotne od moczu spodnie, na widok których przypomina mu się, jak wczoraj wieczorem w mękach wyrzucił z siebie gdzieś za bramą tłusty gulasz czy zupę rybną, opryskując buty i nogawki. (W tym wypadku nie pomogą próby zaśnięcia z kołdrą naciągniętą na głowę i zapomnienia o wszystkim. W tym wypadku nic nie pomoże).

Jak brzmi rada, której E. S. udzielił nieznanemu pasażerowi (lat około czterdziestu) w przedziale pociągu pośpiesznego Nowy Sad–Budapeszt, czyli rada na kaca?

Najbardziej skutecznym lekarstwem na kaca (*mein Herr*) jest samobójstwo.

Dokąd podróżny udał się z dworca?

Nie mogąc z powodu opóźnienia pociągu załatwić swoich spraw zawodowych, wszedł do dorożki i pojechał na ulicę Dohány 12/111, pod adres, który dał mu Rosenberg.

Zapisał sobie ten adres?

Dla ostrożności nie chciał go zapisywać, polegał więc na swojej pamięci.

Dlaczego nie wstąpił do restauracji dworcowej, żeby zaspokoić pragnienie?

Bo doświadczenie mu doradzało i ostrożność nakazywała unikać w miarę możliwości miejsc publicznych, takich jak piwiarnia, wagon restauracyjny, sklep, księgarnia,

biblioteka, łaźnia, targ, teatrzyk kukielkowy, cyrk, procesja, nabożeństwo, bufet, synagoga, aukcja, bank, dworzec kolejowy.

Czego spodziewał się zmęczony podróżny?

Że na tajnym miejscu przeznaczenia (Dohány utca 12/111) poczęstują go alkoholem i kawą, a może nawet zaproponują mu nocleg.

Jak go przyjęto?

Kiedy raz po raz, uporczywie dzwonił do drzwi mieszkania numer 18 (*Barna I. fogorvoslásra jogositott áll. vizsg. fogász**), z sąsiednich drzwi wyrzała dama w papilotach i oświadczyła, że pan, do którego dzwoni, nie pojawiał się tutaj już od przeszło dwóch miesięcy i w związku z tym radzi, żeby jak najprędzej zniknął z tej kamienicy, bo inaczej wezwie policję.

W jaki sposób E.S. próbował usprawiedliwić swoją obecność?

Powiedział, że pan doktor Barna leczył mu zęby i niedawno założył szczękę, która niestety znów zaczyna go uwierać.

Pomimo ostrożności i poznania empirycznego dokąd skierował się zmęczony podróżny?

Do restauracji „New York”.

Jakie zalety miało dla niego to miejsce?

Możliwość przyglądania się przechodniom przez wielkie okna wystawowe (zimną) lub bezpośrednio (w słoneczne dni), gdy siadywał wygodnie, z kuflem piwa, przed

drzwiami restauracji; obecność bohemy i świata artystycznego, w którym często potrafił rozpoznać jakąś twarz widzianą w gazetach lub ilustrowanych czasopismach; uprzejmość personelu kobiecego, zwłaszcza rudowłosej panienci siedzącej przy kasie; osóбка ta za każdym razem witała go uśmiechem, a czasami nawet pytała o przyczyny jego tak długiej nieobecności.

Jaką zmianę dostrzegł?

Rudowłosej panienci nie było, a na jej miejscu (przy wielkiej barokowej kasie, przypominającej katedrę) rozpięrała się otyła paniusia, która nawet nie zauważyła jego obecności.

Czy tego dnia spotkał się z kimś w restauracji „New York”?

Minął przy wejściu znajomego, nazwiskiem Zöldesi (dawniej Grünwald), który w Nowym Sadzie udzielał lekcji gry na fortepianie pannie Gawanskiej, ale ów nie odpowiedział na jego ukłon, czy dlatego, że go nie poznał, czy też dlatego, że nie chciał go poznać. Przywitał się z niejakim Wiktorem Kolbem, aptekarzem pochodzącym z Koprivnicy, ale ten wymówił się pośpiechem i wyszedł. Niejaki Roder (imię nieznane), były redaktor „Kuriera Handlowego”, powitał go w przejściu, uchylając kapelusza. Niejaki Imre Vándor, właściciel sklepu z towarami mieszanym, nie odpowiedział na jego ukłon, chociaż spojrzenia ich się spotkały. Jakaś dama w średnim wieku (imię i nazwisko nieznane) uśmiechnęła się do niego, a on zdjął przed nią kapelusza, chociaż nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją już widział. Niejaki István Szemere (niewiadomego zawodu) poprosił go o pożyczanie dwóch

* I. Barna, dyplomowany dentysta, uprawniony świadectwem państwowym do leczenia zębów (węg., przyp. tłum.).

pengó. Jakaś dziewczynka podsunęła mu anemony po dwa pengó sztuka. Pewien agent poprosił go grzecznie o pokazanie dokumentów.

Do kogo telefonował z restauracji „New York”?

Do niejakiego Ottona Weissa, zajmującego się handlem nieruchomościami, a zamieszkałego przy ulicy Thököly, lecz nikogo pod tym numerem nie zastał, chociaż dzwonił trzy razy w ciągu godziny. Do pani Idy Kraus, wdowy po zmarłym Eugenie Kraus, optyku, ale mu powiedziano, że ta pani „była łaskawa wyprowadzić się może miesiąc temu pod nieznaną adres”. Do niejakiego Béli Gutmanna, urzędnika na kolei, o którym jakiś kobiecy głos (prawdopodobnie żona) z płaczem poinformował go, że Béli, niestety, nie ma już między żywymi. Do niejakiego Zsigmonda Móricza (homonimu znanego pisarza), rejenta, który wyznaczył mu spotkanie dopiero za trzy dni, tłumacząc się nadmiarem pracy. Do niejakiej Klary Kohn, z domu Müller, byłej lektorki „Kuriera Handlowego”, o której mu powiedziano, że wyszła i wróci najpóźniej za pół godziny, ale po godzinie, gdy zatelefonował trzeci raz, też jej nie zastał, podobno nagle wyjechała. Do niejakiego Aladára Nagy, adwokata, o którym mu powiedziano, że już od dawna przebywa w szpitalu. Do niejakiego Tas-singera, introligatora, ale na dwukrotnie dzwonienie nikt nie podniósł słuchawki. Do niejakiej Racheli (zawód i nazwisko nieznanne), o której mu powiedziano, że wyszła za mąż i wyprowadziła się pod nieznaną adres, prawdopodobnie gdzieś w Budzie. Do Ferenca Fehéra, emerytowanego urzędnika kolej, który zaprosił go na kolację wieczorem, koło dziewiątej.

Dlaczego nie skorzystał z tego zaproszenia?

Ponieważ jego pociąg odchodził o dwudziestą piętnaście.

Czy wyciągnął jakąś naukę z niedawnego poznania empirycznego w związku z jazdą pociągiem?

Nie, ale mógł się przynajmniej wytłumaczyć przed sobą następującymi faktami: na rozmowy telefoniczne, piwo, czarną kawę (kapucyn), anemony (które posłał nowej kasjerce) i dorożki wydał prawie całą gotówkę (a *vis maior* nie pozwoliła mu znaleźć wierzyciela), tym razem więc nie mógł napełnić aktówki kanapkami ani piwem i musiał się zadowolić małą butelką złotego piwa, którą przechowywał w kieszeni jako ostatnią (złotą) rezerwę.

Jaka myśl pochłaniała go, gdy pociąg w szumie żelaznej konstrukcji mostu, zwalniając, przejeżdżał przez rzekę, która płynęła niewidoczna pod grubą warstwą lodu?

Myśl, że ta rzeka pulsuje jak wielka tętnica, gdzieś od Schwarzwaldu aż do Morza Czarnego, na przestrzeni jakichś dwóch tysięcy kilometrów, łącząc ludzi i kraje, a więc wszystkie narody, rozdzielone przez język, obyczaje i wiarę, można by uważać za krewnych i braci.

Jaką wizytę kurtuazyjną złożył, zanim ostatecznie pograżył się we śnie i zapomnieniu?

Poszedłszy wylać z pęczera złote piwo, które pociekło złotą strugą, wracał przez korytarz wagonu pierwszej klasy (*Raj utracony*) z nostalgicznym pragnieniem, aby przypomnieć sobie ziemię Kanaan...

Co zobaczył w przedziale pierwszej klasy (dla niepalących)?

W fiołkowym świetle przedziału czarno ubrana dama złożyła swoją piękną głowę na wysokie pluszowe oparcie, a na jej kolanach spała dziewczynka.

Co mu to przypomniało?

Spotkanie z inną damą (jeśli to nie była ta sama), którą kiedyś, nie tak dawno, ujrzał podczas podróży w przedziale pierwszej klasy, a która zniknęła bez śladu z jego życia, żeby teraz pojawić się znowu jak przywidzenie.

Co wydało mu się możliwe?

Że te dwie damy w czerni to właściwie jedna i ta sama kobieta, z którą los już po raz wtóry skrzyżował jego drogi.

Jak mógłby sprawdzić to przypuszczenie?

a) Zapytać jedyne (poza nim) świadka pierwszego spotkania (gdzie? kiedy? jak?), gdyż on sam nie mógł już sobie przypomnieć tej pierwszej damy w czerni; b) pozostawić jednemu świadkowi (poza nim) inicjatywę, aby ewentualnie dał mu znak potwierdzający słuszność jego przypuszczenia.

Czy E.S. przeprowadził tę ankietę?

Nie.

Czy Jedyń Świadek dał mu jakiś znak?

Dama w czerni spała z lekko rozchyłonymi wargami (gdy on szedł korytarzem) w fiołkowym świetle przedziału pierwszej klasy (dla niepalących) i prawdopodobnie coś jej się śniło.

Co?

Że przystojny pan w okularach na znak uszanowania i podziwu zdejmuje przed nią kapelusz, na co ona odpowiada zachęcającym uśmiechem; że potem tegoż

pana przepędzają z przedziału pierwszej klasy, zanim cokolwiek mogło nastąpić; że (po pewnym czasie) ów pan spiesznie idzie ku czekającym na postoju dorożkom, po czym znika na zawsze (na zawsze?) z jej wdowiego życia.

Dokąd E.S. podróżował?

Ze zmniejszoną szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę (z powodu zamieci) podróżował przez panońską noc, przez zamarznięte rzeki i rzeczki, przez mosty, przez gościńce, pastwiska i łąki, przez lasy i doliny, przez piaski i zasypy śnieżne, przez morza, przez wspomnienia, ku dalekiemu, ledwo przeczuwanemu światowi.

Gdzie znalazł się wkrótce potem?

Opisawszy olbrzymi krąg, jego ciało (jego duch) znalazło się wkrótce potem w chłodnej izbie, rozświetlonej słabutkim migotaniem płomienia lampy naftowej (*ner tamid**).

Jaki temat sakralny krył się w jego trosce o lampę?

Temat cudu chanukowego, kiedy to nieznaczną ilość oliwy w świecznikach paliła się przez całe osiem dni (zdobycie Świątyni Jerozolimskiej, Juda Machabeusz); dlatego wierzył, ufał, pokładał w Bogu nadzieję, że i jemu ta odrobina oliwy będzie się paliła do świtu, do brzasku, bo jeżeli im (Machabeuszom) oliwa starczyła na osiem dni, dlaczego jemu nie miałyby starczyć na osiem godzin.

O czym przy okazji chciał się przekonać?

Ner tamid — Wieczny płomień (hebr., przyp. tłum.).

Poprzez ten mały, drugorzędny eksperyment chciał się przekonać, empirycznie i dokładnie, o możliwości cudu (tego wcześniejszego).

Kiedy według czasu środkowoeuropejskiego miało się narodzić słońce dnia piątego, miesiąca czwartego, roku 1942, w miejscu zamieszkania autora listu, przyjmując za punkt wyjścia Lendawę, położoną o jedną godzinę i sześć minut na wschód od Greenwich, na szerokości geograficznej północnej 46°5'?

Brzask nautyczny miał nastąpić o godzinie trzeciej minut trzydzieści trzy, a brzask miejski (poranny) miał trwać od godziny czwartej trzynaście do czwartej czterdzieści siedem.

Do czego niechybnie prowadzi wiedza o cyklicznym ruchu Słońca, Księżycy i planet, jak też o cyklicznej zmienności nocy i dnia?

Do świadomości nieuchronnej śmierci; gdyż nawet twórczy umysł nie może uniknąć praw cyklicznego ruchu Ziemi, Słońca i planet.

Gdzie przedstawiono inny rodzaj ruchu okrężnego?

Na barwnej litografii (dar nieżyjącego już Maurycego), którą jej nowy właściciel przywiózł z Nowego Sadu, a która ukazywała schemat wstępującej i schodzącej linii życia ludzkiego, pod wymownym tytułem DAS STUFENALTER DES MANNES („Stopnie życia ludzkiego”).

Jak wygląda rama tego obrazka?

Cienka drewniana listewka, szczoneja przez korniki i upstrzona przez muchy czarnymi kropkami na wytartej pozłocie.

Proszę podać w punktach, stopień po stopniu, motywy barwnej litografii DAS STUFENALTER DES MANNES, nie zapominając o centralnym motywie ogrodu rajskiego.

OGRÓD RAJSKI. Na pierwszym planie lekko pochylona jabłoń. Poniżej korony gałąź, wyrastająca niemal pod kątem prostym, odróżnia się od innych. Z bujnej zieleni listowia wyziera owoc. W oddali, na horyzoncie błękitna mgiełka nieba. Na krętej, poszarpanej linii, tam gdzie łączy się ląd i morze, widać głębokie fiordy i zatoki, a pomiędzy nimi ostre skaliste szczyty. Słońce, okrągłe i czerwone, właśnie dotyka spiczastego wierzchołka. Wielkie cienie gór zabarwiają błękit morza na ciemnozielono, wyraźnie rozgraniczając błękit i zieleni jak dwie barwy, które się nie mieszają, przynajmniej nie tak łatwo i gruntownie, jak mieszają się na dalekiej linii horyzontu błękit nieba i błękit wody. Gdzieś stamtąd, z dalekiego błękitnego horyzontu nadlatuje stado ptaków. Zbratanie wszystkich stworzeń boskich. Po lewej stronie pnia lwica. Po prawej niedźwiedz brunatny. W tyle wielbłądzica i lew. Nieco dalej lania i jeleni, zastygłe w pozie obojętnego wyczekiwania. Kury spokojnie grzebią w rajskim śmietniku. Stado gęsi bieleje w zielonym ogrodzie. Wąż okręcony na wystającej gałęzi wysuwa drgający język — głowa jego znajduje się dokładnie pośrodku między głowami Adama i Ewy. Ewa, zupełnie naga, prawą ręką trzyma się najniższej gałęzi, a lewą, w zaciśniętych palcach, podaje Adamowi jabłko. Dwa obfite strumienie włosów spływają jej na plecy i piersi, aż do bioder. Adam siedzi pod jabłonią nagi, z zieloną gałązką zasłaniającą łono. Wyciąga rękę po jabłko.

NARODZINY. Dziecko leży w wiklinowej kolebce, w cieniu jabłoni. Prawa ręka dziecka niewspółmiernie mała w porównaniu z głową, zgięta na piersiach. Matki dziecka nie widać, ale na pewno skądś nad nim czuwa spojrzeniem.

DZIESIĘĆ LAT. Chłopiec biegnie za kółkiem, podnosząc w górę kijek. Cały ciężar jego ciała spoczywa na lewej nodze, prawa jest nieco uniesiona i zgięta, podobnie jak prawa ręka trzymająca kijek, którym popędza kółko. Ma niebieską marynarską czapkę opasaną wstążką, szary sweter i niebieskie spodnie. Biały kołnierzyk wyłożony na sweter.

DWADZIEŚCIA LAT. Chłopak obejmuje dziewczynę. Włosy wciąż jeszcze ma jasne, nieco ciemniejsze niż przed dziesięciu laty. Duże usta, prosty nos. Kłapy ciemnej marynarki obszyte czarnym połyskującym jedwabiem. Jego długa szyja wydaje się jeszcze dłuższa, bo ściska ją wysoki kauczukowy kołnierzyk, pod którym widać węzeł białego motyla. Dziewczyna ma niebieską sukienkę z falbanami, przewiązaną w pasie szeroką wstążką. Wysoko upięte ciemne włosy, spod których wystają dwa kolczyki jak dwie krople krwi. Kauczukowy grzebień w kształcie koka. Z rękawa wysuwa się cienka, delikatna ręka. W lewej dłoni trzyma kwiat przytulony do piersi w miejscu, gdzie widać białą koronkę. Prawa ręka chłopaka niknie gdzieś za plecami dziewczyny. Dotykają się czubkami palców jak przed rozpoczęciem tańca.

TRZYDZIEŚCI LAT. Mężczyzna wraca z pracy. Ma ciemne ubranie, na głowie kapelusz. Z aktówki, którą podniósł na wysokość piersi, wystaje pudełko w kolorowym

papierze, a na nim duża złota kokarda. Mężczyzna własnie otwiera aktówkę. Kobieta w długiej sukni barwy cynobru trzyma na ręku dziecko. Drugie dziecko, starsze, stoi odwrócone plecami. To dziewczynka w wieku pięciu lub sześciu lat. Też ma czerwoną sukienkę. Drugim palcem lewej ręki wskazuje aktówkę ojca. Obok nich leży tekturowy smok, a nieco dalej bębenek i gumowa lalka bez głowy.

CZTERDZIEŚCI LAT. Mężczyzna w surducie i półcylindrze trzyma w rękach rozwinięty rulon papieru. Dyplom? Akcje? Nakaz sądowy? Pod wysokim kołnierzykiem czarny krawat z dużym węzłem.

PIĘCDZIESIĄT LAT. Mężczyzna, w popielatym ubraniu, w lewej ręce trzyma kapelusz, prawą podniósł w geście mówcy. O czym rozprawia? Polityka? Finanse? Sztuka? Przeżycia miłosne? Śmierć?

SZEŚCIZDZIESIĄT LAT. Z laską w ręku mężczyzna zaczął schodzić po stopniach. Teraz odwrócony jest bokiem. Prawą ręką opiera się na lasce, lewą wsunął w zanadrze. Ma długi płaszcz, sięgający niemal do ziemi. Na głowie kapelusz. Twarz nieco mu się rozlała, oczy podpuchły. Bokobrody posiwiały.

SIEDEMDZIESIĄT LAT. Lewą ręką opiera się na lasce, w prawej trzyma fajkę. Na głowie ma kaszkiet. Pod kaszkietem widać siwe włosy zaczesane za ucho. Jest w grubym swetrze, ale kuli się, jakby mu było zimno.

OŚMIEDZIESIĄT LAT. Zgarbiony, przygięty, z laską w prawej ręce mężczyzna szedł na następny stopień. Ma na sobie ciemny szlafrok, przewiązany w pasie. Z trudem unosi głowę i patrzy gdzieś w dal.

DZIEWIĘDZIESIĄT LAT. Na najniższym stopniu mężczyzna nagle jakby się odwrócił, ostatnim wysiłkiem. Ma ten sam szlafrok, zapięty pod szyję i trochę już wypłowiwały. Na nogach papucie. Głowę spuszczone nisko, jakby szukał czegoś na podłodze. Od światła zasłania chore oczy kauczukowym daszkiem na gumce opasującej nagą czaszkę.

Na którym stopniu znajdował się E.S.?

Z piątego, najwyższego stopnia (nie licząc zerowego, który j e s z c z e jest nieistnieniem) zaczął schodzić po pochyłości na czwarty od końca (nie licząc ostatniego, odpowiadającego zerowemu, bo ten ostatni stopień j u ż jest nieistnieniem).

Zapiski szaleńca (v)

63

Nawet Spinoza (*Tractatus theologico-politicus*) sprowadza niektóre nadprzyrodzone zjawiska i cuda biblijne do aspektu pozytywistycznego. Nie chcę się wdawać w głębszą analizę jego błędów, chociaż fakt, że wciąż jeszcze uważam go za jednego z największych i za swojego, kusi mnie, aby się zająć jego mylnymi wnioskami. Ale cóż mogę przeciwstawić dowodom filozofa, skoro on sam nie podaje dowodów świadczących na korzyść jego tezy. Nie ma lepszego dowodu nad przekonanie! Skoro zatem powiada, że „owo dzieło Boże (Jahwe objawia się Noemu) to nic innego, jak załamywanie się i odbijanie promieni słonecznych przenikających przez kropelki wody (*sic!*), które unoszą się w chmurach”, to ja na ten pozytywistyczny atut mogę tylko wysunąć swoje przeciwne przekonanie (pozostając przy tym w ramach pozytywistycznego dowodzenia): to nic innego jak sen; albo: to nic innego jak to, co istnieje samo przez się, czyli słowo i litera Jahwe, Jego oblicze!

Czegóż się zatem spodziewać po doktorze S., psychiatrze, albo po moich krewnych, niezdolnych nawet pojąć zjawisk pozbawionych nierealnego echa, zjawisk, które

wprawdzie nie są naturalne, ale tym samym nie wchodzą jeszcze w dziedzinę nadnaturalności: że naszą sprawę dawno już diabli wzięli! A mówiąc „naszą sprawę”, mam na myśli wasze i nasze małe życie. Skoro już nie wierzyacie w wizje, moglibyście przynajmniej uwierzyć w nagie (pozytywistyczne) fakty z gazet. A te fakty i te gazety wyraźnie mówią, że wszystko diabli wzięli i że, zanim alianci zdołają cokolwiek przedsięwziąć, przybędą po nas Jeźdźcy Apokalipsy, o ile wcześniej nie zdechniemy. Z głodu, z rozpacz, ze strachu. Spytacie mnie, nieprawdaż, jak będą wyglądali ci słynni Jeźdźcy Apokalipsy, te rzekomo z mojej głowy zrodzone potwory? Wyczuwam ironię w waszym głosie, czytam w waszych myślach, lecz odpowiadam bez ironii: będą to czterej piękni żandarmi na białych koniach, uzbrojeni w karabiny z ostrymi bagnetami. Piękni wąsaci prowincjonalni żandarmi z kogucimi piórami na czarnych wysokich czakach. Może nie będzie ich czterech, jak w talii kart, ale tylko dwóch. I może konie ich nie będą białe. Może w ogóle nie przyjadą konno, ale na błyszczących rowerach, może nawet przyjadą pieszo. Ale przyjadą, to pewne. Już podkręcają wąsa i zakładają błyszczące bagnety na broń. Słyszcie rżenie ich koni. I słyszcie, jak skwierczą poruszane wiatrem pióra na ich czarnych wysokich czakach.

64

Może ten list, to moje pisanie będzie wyglądać, już zaczyna wyglądać, z przeczcuciem pierwszej zorzy, jak dzieło marności, *vanitas vanitatum*. Czy mój list, moje

dowczoraższe życie już teraz nie wyglądają jak cień marności? Już teraz, gdy wszystko to przeszło przez czyściec nocy, przez purgatorium mroku, przez katalizator wieczności, który sprawia, że pozostają tylko kryształki czystej egzystencji, twarde, kryształowe cząsteczki bytu (esencja). Noc przekreśli wszystko poza tym, a mój list nie zostanie wysłany, mój rękopis będzie już o świcie martwym rękopisem w martwym morzu czasu, zbutwiałym papierusem w zgniłym bagnie Morza Panońskiego lub będzie jak *z a p i s* złożony w próżni zielonej kryształowej szkatuły, od której klucz wrzucono do wody, w bagno, jak zapis zakopany w mrocznych fundamentach nocy, w wątych fundamentach istnienia, świadectwo dla jakiejś dalekiej przyszłości — *postumus*.

65

Niniejszym więc mój poprzedni testament należy traktować jako unieważniony, anulowany. W odróżnieniu od tamtej, teraz już przekreślonej decyzji, nie pozwalam, aby jakkolwiek część mojego ciała została wykorzystana dla celów naukowych, medycznych. Przede wszystkim mam tu na myśli mózg, na którym doktorowi Papandopulosowi wyraźnie najbardziej zależało, za jego też sugestią powziąłem pierwotną decyzję, teraz, powtarzam, już unieważnioną. Niniejszym zapisuję moje ciało PŁOMIENIOWI; wykonawcą mojej ostatniej woli czynię Stowarzyszenie do Spraw Kremacji „Odnowa”, którego troszeczkę powierzam moje doczesne szczątki, z tym że zapłatę należną za usługi rzeczzone stowarzyszenie

winno mieć zabezpieczoną w mojej nieruchomości, czyli w przypadającej mi po rodzicach części domu. Po spaleniu moich zwłok popiół, w służącej do tego urnie, ma być przeniesiony na Most Kolejowy i stamtąd wyspany do wód Dunaju. W akcie tym mogą uczestniczyć jedynie moi najbliżsi, czyli członkowie rodziny, oraz przedstawiciel Stowarzyszenia do Spraw Kremacji. Zamiast egzekwii czy jakiegokolwiek obrządku religijnego, wynajęta w tym celu osoba czytać winna fragmenty psalmów Dawida w kolejności: 44, 49, 54, jak również 114 i 137, w jednym z następujących języków: hebrajskim, łacińskim, niemieckim, węgierskim, serbskim, włoskim, rumuńskim, ukraińskim, armeńskim, czeskim, słowackim, bułgarskim, słoweńskim, portugalskim, holenderskim, hiszpańskim, jidysz. Rzeczona osoba nie może być rabinem, śpiewakiem cerkiewnym, mnichem ani jakąkolwiek osobą duchowną, nie należy również pozwolić, aby wzniosłość chwili, kiedy proch w proch się obraca, zniszczył swoim beczaniem aktor czy śpiewak. Najlepiej byłoby na tę okazję znaleźć jakiegoś włóczęgę, *Luftmenscha*, wałęsającego się nad Dunajem w czasie, gdy orszak z urną podejdzie do mostu, i jemu powierzyć wykonanie w tym punkcie mojej ostatniej woli. Nieistotne jest, czy rzeczona osoba będzie w danej chwili podpita czy trzeźwa; chodzi o to, żeby umiała czytać — tej granicy nie może przekroczyć nawet moja wspaniałomyślność. Po odczytaniu psalmów i wysypaniu moich prochów do Dunaju urnę-amforę należy roztrzaskać na kawałki i również wrzucić z mostu do wody, jak sfluczoną szklankę.

Życie moje było piękniejsze i bogatsze od waszego dzięki cierpieniu i szaleństwu, pragnę więc w krainę śmierci odejść dostojnie, jak wymaga ta wielka chwila, po której przestaje istnieć wszelkie dostojństwo i wszelki majestat. Moje zwłoki będą moją arką, a śmierć długim unoszeniem się na falach wiecznej rzeki. I cóż mogłem przeciwstawić nicości, jeśli nie tę arkę, w której pragnąłem pomieścić wszystko, co było mi bliskie, ludzi, ptaki, zwierzęta i rośliny, wszystko, co noszę w oku i w sercu, w trzypiętrowej nawie ciała i duszy. Pragnąłem wszystko to mieć przy sobie w czas śmierci, jak faraoni w majestatycznym spokoju swych grobowców, chciałem, żeby wszystko było jak przedtem: żeby w wieczności śpiewały mi ptaki. Pragnąłem łódź Charona zastąpić inną, mniej beznadziejną i mniej pustą, uszlachetnić niewyobrażalną próżnię wieczności gorzkimi ziemskimi ziołami, wyrastającymi z serca człowieka, głuchą pustkę wieczności uszlachetnić kukaniem kukułki i śpiewem skowronka. Rozszerzałem tę poetycką gorzką metaforę, rozszerzałem zapamiętałe i konsekwentnie, do końca, aż do następstw, które przerastają ze snu w jawę (i odwrotnie), z szalonej jasności umysłu w szaleństwo (i odwrotnie), z życia w śmierć, jakby nie istniały granice, i odwrotnie, ze śmierci w wieczność, jakby to nie było jedno i to samo. Mój egoizm jest tylko egoizmem ludzkiego istnienia, egoizmem życia, przeciwwagą egoizmu śmierci, a moja świadomość, poprzez tę namiętą metaforę, z egoizmem, który nie ma równego sobie, wbrew pozorom przeciwstawia się nicości, przeciwstawia się skandalowi śmierci,

pragnąc zgromadzić tę garstkę ludzi, tę odrobinę miłości, która stanowiła moje życie. Pragnąłem przeto i wciąż jeszcze pragnę odejść z życia wraz z okazami ludzi, flory i fauny, wszystko to pomieścić w sercu jak w arce, zawrzeć pod powiekami, kiedy zamkną się po raz ostatni. Pragnąłem przemycić w nicość tę czystą abstrakcję, którą można by przenieść ukradkiem przez bramę innej abstrakcji, znikomej w swoim bezmiarze: przez bramę nicości. Trzeba było zatem próbować zagaścić tę abstrakcję, zagaścić ją siłą woli, wiary, inteligencji, szaleństwa i miłości (miłości własnej), zagaścić ją tak i pod takim ciśnieniem, aby zyskała ciężar gatunkowy, który by ją dźwignął jak balon, wyniósł poza zasięg mroku i zapomnienia. Jeśli nie co innego, pozostanie moje materialne herbarium, pozostaną moje zapiski, a czymże one są, jeśli nie ową zgęszczoną ideą, która się zmaterializowała: zmaterializowane życie, małe, smutne, znikome ludzkie zwycięstwo nad olbrzymią, wieczną Boską nicością. Albo — jeżeli i to zatoni w czas wielkiego potopu — pozostanie przynajmniej moje szaleństwo i mój sen, jak zorza polarna, jak dalekie echo. Może ktoś zobaczy tę zorzę, może usłyszy dalekie echo, cień dawnego dźwięku, i zrozumie znaczenie tego blasku, tego pobłyskiwania. Może będzie to mój syn, który pewnego dnia wyda na świat moje zapiski, moje zielniki z panońskimi roślinami (niedokończzone, niedoskonałe, jak wszelkie twory ludzkie). A wszystko, co przeżyje śmierć, jest małym, znikomym zwycięstwem nad wieczną nicością — dowodem wielkości człowieka i miłosierdzia Jahwe. *Non omnis moriar.*

List, czyli treść

67

Kerkabarabás, 5 IV 1942

Droga Olgo! Na krótki list, który przysłałaś przez Babikę, odpowiadam nieco obszerniej, bo, dzięki Bogu, dajecie mi powody do pisania. Moi kochani krewni dostarczają nawet tematu do mieszczącej powieści grozy, którą mógłbym zatytułować następująco: Parada w haremie albo Wielkanoc w rezydencji żydowskiej, albo Klepsydra (wszystko się osypuje, siostrzo moja).

Żałuj, że nie przyjechałaś do domu, straciłaś wielkanocną ucztę, z której dwie czarnogórskie wsie mogłyby się obficie wyżywić nawet przez tydzień albo można by za tę cenę przeprowadzić gruntowny remont domu. Z drugiej strony moje dzieci w zimnej izbie spożywały na śniadanie, obiad i kolację zimne mleko, chociaż ja też przygotowałem się do obchodu skromnej Wielkanocy, przyniósłszy im z Bakszy 1 kg wieprzowiny, trochę mięsa od szynki, żeberek, słoniny i podrobów. Ale Los jest psem i wszystko to pożarł.

Historia zimnomlecznej Wielkanocy zaczęła się już piętego marca, tamtego piątku, gdy wróciliśmy od ciebie na

wieś (albo kiedyście nas, według Netiki, Marii i Georgesa, byli łaskawi wyrzucić).

Przyszliśmy z Bakszy do domu pieszko, na lodowatym wietrze, zostawiwszy bagaże. Program przypuszczalnie był tak obmyślony, że po naszym powrocie skończy się gościnność, i Neti nie dała mi (oczywiście za pieniądze) niezbędnych rzeczy, nawet nie pożyczyła naczyń do czasu, gdy będę mógł sprowadzić swoje (a naczyni mają tyle, że starczyłoby dla trzech rodzin). Przeciwnie, pożyczanie naczyń (pomimo obietnicy) szło z takim trudem, że moja żona musiała natychmiast kupić dwa garnki, 4 filiżanki, 4 łyżeczki, blaszane talerze itd., co kosztowało w sumie około osiem pengő. Teraz już mamy naczynia, ale z takim samym trudem przychodzi im dać nam trochę kapusty, zmarniętych kartofli i z jeszcze większym trudem trochę miejsca na kuchni.

Nic przeto dziwnego, że moja żona — która już u was z ciągłych nerwów zaczęła krwawić — wskutek tak wielkiego braku delikatności stała się jeszcze bardziej nerwowa, ja zresztą tak samo. Zdenerwowanie nasze potęgują nieustannie padający śnieg i zimno, które sprawia, że nie możemy nawet ruszyć się z domu ani zacząć urządzić mieszkania; mąkę, którą nam dałaś, już zużyliśmy, nie mamy chleba, ja powinienem wyjechać, ale nie mogę zostawić rodziny bez kawałka chleba. Mój wyjazd jest nagłący, bo już 5 marca mieli się stawić wszyscy renciści kolejowi w związku z ewentualnym powołaniem do służby.

Neti i jej rodzinka robią różne mętne propozycje w sprawie ziarna: żebym kupił dwa cetnary pszenicy po 40 pengő,

którą oni zmielą bez pozwolenia, i aż do jesieni nie będę musiał martwić się o chleb. Gdy nie przyjąłem tej propozycji, wystąpili z jeszcze mętniejszą: żebym kupił cetnar pszenicy za 40 pengő, a oni mi dadzą swoje kartki na mąkę; mąki pierwszego gatunku nie muszę wykupywać, bo po co mi ona, tylko mąkę na chleb (powiada twoja siostrzenica Maria Antonina). Oczywiście nie mogłem się wdawać w te Jakubowe krętaćwa i próbowałem radzić sobie w jakiś inny sposób. Tak więc przez pięć dni byliśmy bez chleba i myślę, że właśnie tu jest źródło całej nagonki: ponieważ nie chciałem wchodzić z nimi w te mętne układy, twoja siostrzenica Maria (Rebeka) zaczęła się zachowywać jak wściekła krowa!

W końcu 17 marca zjawilo się wybawienie: Nándor i Berta. Przynieśli nam chleba, mąki, fasoli, ziemniaków i wielką duchową ulgę, ponieważ nareszcie mogłem wyjechać. Jako że w dzisiejszych czasach nie można się wyprawiać z naszej wsi do Nowego Sadu bez pełnej torby, musiałem wstąpić do Berty, aby napełnić swoją aktówkę, inaczej umarłbym po drodze z głodu/pragnienia. Od Berty pojechałem nazajutrz do Nowego Sadu, gdzie załatwiłem wszystkie sprawy oraz nadałem na bagaż dwie szafy, włożywszy do nich naczynia kuchenne i pościel (niestety, jeszcze nie nadeszły). A gdy uporałem się z pakowaniem i wynoszeniem rzeczy, dom, w którym mieszkałem, zawalił się jak zamek z piasku! Gdybym zamarudził jeszcze choć parę chwil, ku wielkiej radości krewnych zostałbym pod gruzami!

Z Nowego Sadu dwukrotnie pisałem do Neti, żeby żyła z moimi w zgodzie i zaczęła z wyrównaniem rachunków

do mojego przyjazdu, jeśli są między nami jakieś niewyównane rachunki.

Dwudziestego ósmego marca szczęśliwie wróciłem do domu i na oko zastałem wszystko w najlepszym porządku. Był piękny wiosenny dzień i cieszyłem się, że wreszcie będę mógł uporządkować swoją stajenkę, zacząłem więc przekopywać ziemię w kuchni. Nazajutrz znów zimno, ostre zimowe powietrze. Przekleństwo bezczynności wzięło mnie w pokój, a raczej w kuchni, gdzie też dzieci nie mogły się uczyć ani bawić. Żona, kuląc się jak jeź (z powodu krwawienia, które nie ustaje przy tym zimnie i nerwach), przycupnęła razem z dziećmi koło kuchenki, w której zamierał ogień. Powiedziałem więc córeczce, żeby dołożyła kawałek drewna do ognia. Na to wychodzi z pokoju twój siostrzeniec Georges i słysząc moje słowa, zaczyna krzyczeć na cały głos, że „nie wolno palić na dwa fronty”. Także to wyzwanie przeklnąłem z zaciśniętymi zębami i pięściami, a pomyślałem przy tym o lesie, który nam spalili i zamienili w popiół drzewny, w związku z czym w swoim czasie powiedziałem ci, że czynią tak, bo nie wiedzą, co czynią.

Dla ukoronowania swojej wielkoduszności twój siostrzeniec Georges postarł się dla nas o zniszczony żelazny piecyk (który prawdopodobnie już dziadek wyrzucił na śmietnik) i postanowił dać go do naprawy (tak jak ty dałaś naczynia kuchenne Cyganowi, żeby je dla nas polutował; widziałem: w stare blaszane rondle wchodziły ołowiane luty niby kule rewolwerowe kalibru 6,35). Neti oświadczyła, że w domu jest blacha, i jeżeli piecyk da się do naprawy, to za głupie parę pengō będzie nam

służył do jesieni, a jesienią będziemy go musieli zwrócić właścicielowi! W Wielki Piątek po południu pchają ci przez śnieg ów słynny piecyk, a Gyula żąda ode mnie za naprawę siedem pengō i czterdzieści fillerów. Na to ja — obejrawszy piecyk — powiadam krótko, że nie potrzebuję tego szmelcu. Wybuchła ogólna rebelia, wszyscy naraz i każdy z osobna rzucają się na mnie. Zaczyna Neti: „Luftmensch! Luftmensch!” Maria: „Co za czelność mieć regularne dochody, a całymi miesiącami być na cudzym utrzymaniu!”. Gyula: „A dzie bedziesz gotować? Przyjmij do wiadomości, że na naszej kuchence nie postawisz ani jednego rondelka, bo ci go zrzuce!”. Itd. Itd. Ja jednak nie straciłem taktu nawet przy tym szaleńczym pomieszananiu głosów, powiedziałem tylko twojej siostrze Neti, że jeżeli oni się nie wstydzą, to ja naprawdę nie mam czego się wstydić. — Potem po prostu uciekłem z domu. Córka i żona już się położyły (było około ósmej), a synek przerażony wybiegł za mną na dwór i prosił, żebym nie szedł, bo ciocia Marusia mówiła, że wyniesie z pokoju łóżka i będziemy musieli leżeć na ziemi „jak bydłeta”. Powiedziałem mu, żeby się uspokoił i wracał, a jeżeli zabiorą łóżka, będziemy spać na słomie.

Poszedłem przejść się po wsi, żeby zebrać myśli, uspokoić nerwy i duszę. Po powrocie nadal byłem bardzo zdeenerwowany. Żona bała się, że naprawdę zabiorą nam łóżka, a i skądinąd była okropnie wystraszona, bo dzień wcześniej, gdy pojechałem do Pórszombatu, szukali mnie żandarmi dla sprawdzenia dokumentów (co też tego samego dnia pomyślnie załatwiłem w nimi w urzędzie gminnym w Bakszy).

Na domiar wszystkiego, tego samego dnia znów dostałem wezwanie z Nowego Sadu, żebym do 14 kwietnia koniecznie stawił się osobiście w tamtejszym biurze kolei. I co teraz robić? Sprawa mieszkania niezłatwiona, rzeczy w drodze, jeżeli wyjadę, to kto je odbierze i przywiezie, za przewóz kolejną trzeba zapłacić 60 pengő, nie mamy łóżek, nie mamy piecyka, ale najstraszniejsze jest to, że muszę żonę i dzieci zostawić na łasce i niełasce tych ludzi. — W myśl ulubionego powiedzonka naszej nieboszczki matki, że noc jest „mądrym doradcą”, rzeczywiście za radą nocy napisałem do Netiki następujący list: „Droga moja siostrzo! Z góry ci obiecuję, i na tym też zakończę niniejszy list, że nie będę się wdawał w żadne kłótnie z tobą ani z twoimi dziećmi. To ty zaproponowałaś, żebym spędził po kilka tygodni u każdej z sióstr, a kiedy już wszystkie was odwiedzę, będę uleczony. Przyjąłem zaproszenie. Tymczasem sytuacja tak się zmieniła, że byłem zmuszony przyjechać nie sam, ale we czworo — postępkiem, którego szkodliwe skutki z bólem stwierdziłem już w pierwszych dniach — i z nadludzkim wysiłkiem znosić wyzwania i szykany, miałem jednak nadzieję, że wam się to sprzykrzy i że nie zamierzacie iść na noże. Pod żadnym pozorem nie zwykłem nadużywać niczyjej gościnności i w związku z tym, jeżeli podpiszesz załączone pokwitowanie, zapłacę ci za piętnastodniową gościnę 20 pengő, bo w końcu jednak byłem twoim gościem, a nie gościem twoich dzieci. Tego, co już uczyniliście, nie można uczynić nieuczynionym, ale postarajcie się nie wywoływać nowej kłótni, gdyż w tej chwili najważniejsze jest dla mnie zdrowie moje i mojej rodziny, a zatem na nic wszelka kłótnia,

wszelka obraza, bo może twój brat nie jest święty, lecz niepodobna go zranic”. Załączone pokwitowanie: „Kwituję odbiór 20 (słownie: dwudziestu) pengő, które pobrałam od swego brata E.S.-a, głównego inspektora kolei w stanie spoczynku, tytułem utrzymania jego i jego rodziny w ciągu piętnastu dni. Kerkabarabás, 4 IV 1942”.

Po doręczeniu tego listu znów nastąpiła wielka rebelia, a twoja siostrzenica Maria Rebeka przez całą godzinę powtarzała jedną i tę samą śpiewkę: „Gdybym to ja wiedziała, czym ich obraziłam”, „żeby mnie tak szlag trafił, jeżeli ich obraziłam!”, „będzie tu mówić, że żrą przez piętnaście dni!”, „żrą już przez cały miesiąc”, „Herr Generalkontrollor to wielki kawalir”, „nie chciała ich żadna z sióstr, tylko my musimy koło nich tańczyć”, „ki diabeł ich obraził?”, „kiego diabła się mnie czepia?”, „mój mąż nie był Generalkontrollor, ale nie jestem mniejszą damą niż jego żona”, „my przynajmniej nie jesteśmy schmutzig”; itd. itd. Tak się darła i wylewała na nas pomyje przez całą godzinę, a gdyby nie zjawił się jej szwagier, aż do tej pory nie zamknęłaby plugawych ust, zwłaszcza, że tymczasem nadeszła Babika (przez którą posłałaś pocieszający dla mnie list), a ta już z pewnością dotoczyłaby do chóru.

Piszesz między innymi: „Na twój list odpowiadam krótko. Powiedziałaś Gyuli, żeby szynkę dał ci dopiero na Wielkanoc, bo wtedy według zwyczajów na wsi w każdym domu jest szynka, więc i wam się przyda” itd. (Ale oni nazajutrz po otrzymaniu twojego listu gotowali wielką szynkę, gdy przyszedł Georges i żarli ją aż do zachodu słońca, nie mówiąc już o chanukowych, pardon, wielka-

nocnych orzechach.) A szynka, którą Neti położyła mi na stole w Niedzielę Wielkanocną, ściśle trzymając się wskazówek, jakie dałaś Georgesowi, to był kikut o wadze 2,40 kg (w naszych stronach czegoś takiego nie nazywają szynką nawet żydowscy parvenus), ale i tego kikuta nie mogłem ugotować, bo w Wielki Piątek zostałem wygnany z kuchni. Dalej piszesz pokrótce: „Słyszałam, że Duża Berta przyniosła mąkę, więc nie posłałam chleba, myślałam, że masz”. Nie słyszałaś o tym, moja kochana, tylko ja ci napisałem, że „podli pp. Brandli” przynieśli po raz pierwszy chleb, bo przez pięć dni głodowałem, a „dobrzy” pp. Groszowie i Boroska postąpili haniebnie, pozwalając, aby chleb przysyłali mi Rosenbergowie i Mayerowie. O butach dla mnie nie wspominasz ani słowem, jak też o pędzlu do golenia...

No a teraz, kiedy już przejechałem się dobie, wróć jeszcze do twoich kochanych krewnych, żeby ci wyłożyły równoległe, jak spędziliśmy Wielkanoc, oni i ja. A zatem, kiedy twoja kochana siostra urządziła taką lukullusową ucztę, jakiej nawet za 30–40 pengő nie można wyprawić, ja, jak ci już pisałem, ze swoją rodziną w zimnej klitce zimne mleko spożywałem na śniadanie, obiad i kolację. W izbie było zimno, bo powyciągali z pieca rury, a mleko było zimne, bo nie pozwolili zagrać go na swojej kuchence. Po tym zimnym mleku byliśmy zmuszeni wejść pod pierzynę, bez poszwy, zaraz po „obiedzie”, oni natomiast, popijając w świetnym humorze wino, zjedli sobie rosół z kury, kurę, gotowaną szynkę (nie kikut), olbrzymią ilość ciasta, ciastka z kremem itd. itd. Taką Wielkanoc miałem anno 1942, a o Wielkanocy z 1941 roku opowiem ci kiedyś osobiście. (Nie jest to, co prawda,

historia na twoje nerwy, a tym bardziej na nerwy twojej siostry Malwiny).

Teraz przechodzę do największej tragikomedii. Twoja siostrzenica Babika, która już w Szentadorján zachowywała się wyzywająco wobec nas, a zwłaszcza wobec mojej żony, „w domu” najwyraźniej zrobiła się jeszcze odważniejsza, kiedy Georges opowiedział jej o „niesłychanej beczelności”, jaką wykazałem, nie chcąc wziąć wspomnianego starego piecyka „za głupie 7 pengő i 40 fil-lérów, chociaż mogłem go używać aż do jesieni”. Twoja siostrzenica mianowicie spytała na to: „Dlaczego nie dałeś mu w pysk, ja bym go strzeliła, jak tu stoje”. Wszystko to zniósłem z Chrystusową cierpliwością, bez słowa, powiedziałem tylko Neti przed jej wyjazdem do Budapesztu, żeby nakazała swoim dzieciom zostawić nas w spokoju, bo jeżeli któreś tknie nas choćby palcem, będzie musiała wrócić na pogrzeb.

Myszę, że z grubsza opowiedziałem ci o wszystkim. Moje szafy nareszcie nadeszły, przewiozłem je z Lenti do Szigetu, gdzie dalej piszę ten list. Jutro jadę do domu i najpóźniej do niedzieli, czyli do dwunastego, powinienem skończyć porządki w mieszkaniu, bo do 14 kwietnia muszę osobiście stawić się w Nowym Sadzie.

Nazajutrz po powrocie z Lenti ku największemu zdziwieniu nie zastałem w domu żony ani dzieci. W mieszkaniu nieporządek, widzę, że dzieci nie były w szkole. Żaden z sąsiadów nie wie, dokąd poszli, widziano tylko, jak szli, zdaniem jednych w lewo, zdaniem drugich w prawo. Twoi kochani krewni natomiast wyraźnie rozkoszowali się moją udręką płynącą z niepewności, co się

stało w domu, gdy mnie nie było. Wreszcie o zmroku, śmiertelnie zmęczona i przerażona, zjawiała się moja żona z dziećmi. Bali się zostać w domu, bo znowu szukali mnie żandarmi. Poszedłem do sołtysa, który przekazał mi wezwanie, żebym nazajutrz zgłosił się na żandarmerii. Noga bardzo mnie bolała, musiałem więc pojechać chłopskim wozem do Csesztreg, gdzie zgodnie z przepisami załatwiłem formalności związane z przesłuchaniem. Gdyby twoi kochani krewni podczas mojej nieobecności uczciwie poinformowali żandarmów, oszczędziliby mi wielu przykrości, a i kosztów. Jest chyba całkiem naturalne, że po tym wszystkim telegraficznie wezwałem Neti do powrotu. Czy już wróciła, nie wiem, bo w niedzielę musiałem wyjechać (przebywam obecnie w Nowym Sadzie), żeby ze zwałonego domu przeprowadzić się gdzie indziej. Mam to już za sobą. Z ulicy Bema przeprowadziłem się na ulicę Vitéz 27. Czekam na przesyłkę od żony, a gdy nadejdzie, mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu, we wtorek lub środę będę mógł wyruszyć do domu, na wieś, zatrzymawszy się jeden dzień w Budapeszcie.

Muszę jeszcze raz zająć się tobą. Kiedy już ostatecznie się urządzę, zaproszę was, bo niesłychanie nam się spodobała wasza wieczorna parada w różowych koszulach nocnych. (Szepnę ci co prawda, że tutaj w tak lekkich toaletach postawili przed lufami karabinów te róże Hebronu, które za bardzo kręciły kuprem).

Rozumiem już wiele rzeczy, których do tej pory nie mogłem zrozumieć. Teraz już wiem, dlaczego w październiku 1931 tak nieprzebyte było panońskie błocko w kierunku do Szentadorján, a w stronę Cetinja i Triestu drogi

były w porządku. Teraz rozumiem też, dlaczego autobus od Bak do Szentadorján w roku 1942 jest tak piekielnie drogi. Wszystko to już rozumiem. Mam jednak nadzieję, iż wkrótce i wy zrozumiecie, że jestem mężem i ojcem, a poza tym, że mam pięćdziesiąt trzy lata.

Wróć jeszcze do pytania z twojego kochanego listu: czy przerobiłem popielate ubranie? Odpowiadam: czekam, aż przyslesz mi przez Georgesa czy Babikę wskazówki, kiedy na wsi nosi się zimowe ubranie, bo w mieście nosi się zawsze, jeżeli się nie ma innego.

Teraz naprawdę kończę ten list w nadziei, że nie dacie mi już powodu i nie będę musiał zajmować się wami tak długo i z taką goryczą, gdyż ten „mały list” jest właściwie tylko streszczeniem wydarzeń, które przeżyłem wraz ze swą rodziną przez niecałe trzy miesiące. — Boże młyny miał powoli, ale niezawodnie.

Myszę, że już w przyszłym tygodniu będę w domu, o czym na pewno dam ci znać, a ponieważ ja już nigdy nie przestąpię twojego progu, proszę, żebyś ty mnie odwiedziła, chcę bowiem porozmawiać z tobą o bardzo poważnych sprawach.

A teraz do widzenia lub do spotkania, całuje cię twój brat

EDWARD

PS Bądź zawsze raczej wśród prześladowanych, a nie wśród prześladowców (T., Bawá Kammá).